WYDANIE
BIBLIOTEKI POLSKIÉJ W PARYŻU.

ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1861

TOM DRUGI

ROK 1858

PARYŻ
DRUKARNIA E. MARTINET
ULICA MIGNON, 2
1865

ROCZNIKI POLSKIE

TOM II.

WYDANIE

BIBLIOTEKI POLSKIÉJ W PARYŻU.

ROCZNIKI POLSKIE

Z LAT

1857-1861

TOM DRUGI

ROK 1858

PARYZ

DRUKARNIA E. MARTINET

ULICA MIGNON, 2

1865

SPIS RZECZY

TOMU DRUGIEGO.

ROCZNIKI POLSKIE.

RZĄD ROSSYJSKI.

I

RADA PAŃSTWA I SENAT RZĄDZĄCY.

26 grudnia 1857.

Rząd rossyjski nie jest, jak to powszechnie rozumieją, rządem samowładnym; jest on raczéj mieszaniną samodzierżtwa z możnowładztwem, monarchią ograniczoną wpływem możnych.

Ze wszystkich carów, jeden tylko Piotr Wielki był rzeczywistym samodzierżcą. Długoletnie prowadząc wojny, w namiocie swoim skupiał on całą polityczną i prawodawczą władzę, niepodzielaną z nikim, chyba z kochanką i faworytem. Ale do zarządu wewnętrznego imperyum potrzebował instytucyi złożonéj z ludzi ślepo mu oddanych a ciągle zamieszkałych w stolicy. Tym powierzył obszerną władzę wykonawczą i nazwał ich Senatem. Od owego to czasu ów śmieszny i nieużyteczny zbiór starych, zużytych i do pochlebstwa nawykłych urzędników, zowie się w Rossyi *Senatem Rządzącym*.

Dzięki Menszykowowi i Prokopowiczowi metropolicie petersburskiemu, Katarzyna I (Skowrońska) wstąpiła na tron carów. Był to pierwszy zamach nieprawy, przez dwóch możnych dokonany, któremu podobne powtarzały się przez lat czterdzieści, za każdém panowaniem, aż do czasów Katarzyny II. Wyniesienie na tron téj niepospolitéj Niemki, potrzebowało, jak wiadomo, udziału wielu osób. Ztąd wzięła źródło swoje władza możnych w państwie rossyjskiém; odtąd nie było już samodzierżczyni, pozostała tylko Imperatorowa.

Przywłaszczywszy koronę, Katarzyna nie mogła jéj inakszym sposobem utrzymać jak tylko nadając obszerne prawa jedynéj klasie narodu, któréj się należało obawiać, to jest szlachcie. Przez dozwolony sobie obór urzędników miejscowych, szlachta zyskała przewagę w administracyi prowincyonalnéj, lecz większego jeszcze dostąpiła znaczenia w ogólnych sprawach całego imperyum z pomocą nowo utworzonéj *Rady Państwa*. Były za czasów Anny i Elżbiety Rady przyboczne, gabinetowe, lecz składały się one zazwyczaj z ministrów. Do téj, która od czasów Katarzyny II istnieje Rady Państwa wchodzą ministrowie, ale wchodzą także ludzie niepodlegli, do rządu nienależący. Oni to tworzą owe ciało polityczne, które we wszystkich sprawach odnoszących się do polityki zagranicznéj, prawodawstwa i zarządu wewnętrznego ostatecznie rozstrzyga. W téj Radzie Państwa, od czasów Katarzyny, ważą się losy imperyum, a nieraz całéj Europy. Tam przygotowany został ów traktat cieszyński, ktory gwarantując konstytucyą Niemiec, arystokracyi moskiewskiéj nadał rolę pośrednika w sprawach Europy środkowéj. Tam dokonano drugiego rozdziału Polski, którego pierwszém następstwem było sprzymierzenie się trzech mocarstw północnych przeciw Francyi. Z łona téj Rady Państwa wyszli zbójeccy poskromiciele budzącego się na nowo samowładztwa w osobie cara Pawła. W téj to Radzie

Państwa zapadły uchwały, których celem było pohamować zwycięzki postęp rewolucyi francuzkiéj. Ona uradziła wszystkie wojny z Napoleonem w r. 1805, 1806, nakoniec w pamiętnym 1812. W roku 1815 nie należała Rada Państwa do utworzenia Królestwà kongresowego, ale po naszéj chlubnéj, a tak nieszczęśliwéj wojnie r. 1831, ona to obmyśliła nowy zarząd Królestwa wbrew zobowiązaniom cesarzów rossyjskich na kongresie wiedeńskim. Ta nakoniec Rada Państwa, utraciwszy niemało ze swego znaczenia w różnych epokach panowania Mikołaja, dziś dawny swój wpływ dość widocznie odzyskuje. Wprawdzie sam tylko cesarz mianuje członków Rady Państwa z pomiędzy urzędników cywilnych lub wojskowych do szlachty rossyjskiéj i niemieckiéj należących, ale zmysł polityczny, tak wysoko w arytokracyi rossyjskiéj rozwinięty sprawia, że mianowany członek Rady Państwa nietyle czuje się urzędnikiem, ile cząstką wielkiego ciała politycznego. Zdarza się że Rada przyjmuje nieraz tak stanowczy a jednomyślny charakter, że cesarz, aby samemu wobec zdań przeciwnych nie zostać, szukać musi stronników w nowych nominacyach, najczęściéj między urzędnikami, którzy do szlachty uboższéj należą. Roztrząsając sprawy polityczne , prawodawcze i administracyjne w obecności monarchy i jego ministrów, Rada Państwa jest do pewnego stopnia izbą prawodawczą, jedyną wprawdzie i z jednéj klasy narodu pochodzącą, ale złożoną z ludzi obeznanych wielce z rzeczami stanu. Ma za sobą niezaprzeczoną korzyść obrad tajemnych i szybką decyzyą w razie sprzeczności zdań. Na marginesach protokołu, członkowie Rady Państwa kładą swoje podpisy w dwóch kolumnach *za* i *przeciw;* ostatni cesarz dodaje swoje *i ja.* A z którejkolwiek strony padnie : to *ja* cesarskie, bez względu czy przy mniejszości czy przy większości zdań, decyzya zapadła niepowrotnie i rzecz idzie w wykonanie. Atoli roztrzygając

w ten krótki i doraźny sposób, cesarz podejmuje moralną odpowiedzialność za następstwa rozpoczętéj sprawy. Taką odpowiedzialność wziął na siebie cesarz Alexander, kiedy w czasie wielkiéj wojny roku 1812, wbrew większości głosów Rady Państwa, oddał naczelną komendę Barklayowi de Tolli; wkrótce jednak przestraszony niepowodzeniami i dręczony wyrzutami opinii publicznéj, powołał na naczelnego wodza Kutuzowa, chociaż go znał sobie nieprzychylnym, a znała go także z najgorszéj strony opinia publiczna w całym kraju, pod względem prawości osobistéj.

Lecz jeżeli władza prawodawcza cesarzów hamowana jest wpływem możnych i odpowiedzialnością moralną za skutki woli monarszéj, za to ich władza wykonawcza żadnemu nie ulega ograniczeniu, ani żadnéj kontroli, chyba jednéj tylko opinii narodu, zrzadka, bo tylko w łonie Rady Państwa do uszu pańskich dojść mogącéj. Wszystkie władze exekucyjne jedno mają źródło: wolę cesarską. Myślą było cara Piotra, aby Senat rossyjski stał się ciałem politycznem, odpowiedzialnem za nadużycia władzy wykonawczéj. Dzisiaj tylko pierwszy Departament Senatu dochował pozornie pewnych atrybucyj politycznych, on bowiem ogłasza ukazy i podpisami senatorów jakoby je stwiedza. Ale ukazy cesarskie nie potrzebują koniecznie podpisu senatorów, aby były prawomocnémi. Sakramentalne słowa *byt' po siemu*, własnoręcznie przez Cesarza napisane, dają prawu moc wykonawczą, któréj Senat w żadnym razie ograniczyć nie może. Reszta departamentów senackich zajmuje się rozsądzaniem procesów cywilnych lub kryminalnych: jest to trybunał najwyższéj instancyi.

Alexander I czując brzemię ogromnego państwa, liczącego już wówczas około pięćdziesiąt milionów ludności, a przewyższającego ogromem wszystkie mocarstwa o jakich nam dzieje podały, chciał ułatwić jego zarząd wewnętrzny przez ustanowienie czterech sena-

tów i przez przywrócenie im dawnéj, w całéj obszerności, władzy wykonawczéj. W ten sposób, w imieniu Imperatora, miały działać cztery jakoby izby rządzące: w Petersburgu, w Moskwie, w Wilnie i w Charkowie lub w Odessie. Takowe rozrzucenie władzy wykonawczéj wypływało z ducha konstytucyi, którą Alexander chciał nadać całemu państwu w roku 1810, a któréj projekt dziś jeszcze w największéj dochowuje się tajemnicy. Ale późniéj Cesarz zdumiony niespodzianém szczęściem, w chwili gdy rządził niemal całą Europą, zapomniał o konstytucyi o jakiéj marzył w czasach krytycznych, nazajutrz po zamordowaniu Pawła, lub pod wrażeniem klęsk, które rozbijały armią rossyjską za każdém jéj z Napoleonem spotkaniem się. Alexander czczony jako zbawca i oswobodziciel Europy, miał dosyć u siebie mocy, aby zamiast konstytucyi, dać Rossyi Arakczejewa.

Zwycięztwo Mikołaja nad stronnictwem przeciwném jego wstąpieniu na tron, a zamyślającém o rewolucyi, któréj celów nikt nie rozumiał, nawet nie zgadywał, na długie lata usunęło na stronę zachcenia konstytucyjne. Rada Państwa była jak dawniéj, a może mniéj jak dawniéj, jedynym hamulcem władzy prawodawczéj Cesarza; moc wykonawcza została całkowicie, ostatecznie i niezaprzeczenie przy samym tylko Cesarzu, którego bezpośredniém po prowincyach narzędziem są gubernatory i sprawniki.

Katarzyna podzieliła Rossyą na gubernie, a szlachcie, jak wiadomo, nadała wielkie przywileje. Zabezpieczyła im prawo poddaństwa, i dozwoliła wybierać z pomiędzy siebie urzędników do wszelkiego rodzaju administracyi prowincyalnéj, to jest sądownictwa, miejscowego zarządu i policyi. Kiedy szlachcic każdy rządził na wsi niemal tak samowładnie, jak Imperatorowa w kraju, wybrany przez szlachtę marszałek guberski był rzeczywistym jéj naczelnikiem i pierwszym urzędnikiem pro-

wincyi w ministerstwie spraw wewnętrznych. Lecz na tém też zatrzymała się szczodrobliwość ustaw Katarzyny, która daleką była od zaprowadzenia u siebie decentralizacyi państwa. Obok marszałków, których nominacya schlebiała dumie szlachty, postawieni byli gubernatorowie także jako pierwsi w prowincyi urzędnicy, a samemu tylko ministrowi spraw wewnętrznych podlegli. Pomimo że sprawnicy w guberniach rossyjskich wybierani są przez szlachtę, ulegają przecież gubernatorowi, który jest jedynym i rzeczywistym naczelnikiem policyi, i ma pod sobą policmejstrów i horodniczych mianowanych od korony. Jest nadto gubernator *ipso facto* prezesem izby rządowéj czyli tak zwanego guberskiego rządu (*gubernskaho prawlenja*), ma dozór nad sądownictwem, finansami, nad dobrami koronnemi i zarządem zdrowia. A tak obok gubernatorskiéj postawiona władza marszałkowska, drobnieje i niknie. Dziwnym i niezrozumiałym, bo wzajemnie krzyżującym się, musi się wydawać ten dualizm władz; rozjaśniemy go lepiéj, odróżniając w następnych artykułach zarząd szlachecko-chłopski i rządowo-fiskalny w guberniach.

Po przywłaszczeniu Polski a następnie Finlandyi, okazała się potrzeba nowego rodzaju administracyi miejscowéj, to jest zarządu politycznego w krajach podbitych. Pozornie niektóre władze miejscowe zostawiono w tych krajach w ręku szlachty, lecz oprócz zwykłych gubernatorów i sprawników (a i ci ostatni przez koronę są tutaj mianowani), dodano jeszcze Generał-Gubernatorów, to jest Wielkorządców. Takiemi są: *Namiestnikostwo* Polskie i Kaukazkie; *Generał-Gubernatorstwa*: Finlandzkie, Inflantskie (Estonia, Inflanty i Kurlandya), Litewsko-Żmudzkie (gubernia wileńska, grodzieńska i kowieńska), Kijowskie (gub. wołyńska, podolska, kijowska), Noworossyjskie (gub. bessarabska, chorsonska, jekaterino-

sławska i taurycka), nakoniec dwa *Generał-Gubernatorstwa Sybirskie*: Zachodnie (którego stolica Omsk) i Wschodnie (którego stolicą jest Irkuck). Niedawno jeszcze istniały *Generał-Gubernatorstwa*: Białoruskie (gub. smoleńska, mohylewska i witebska) i Małorossyjskie (gub. charkowska, półtawska i czernichowska). Ale uznano, że te gubernie mogą już być uważane za szczero-rossyjskie i wcielono je do ogólnego zarządu imperyum, również jak i gubernia mińska, którą wyjęto z pod władzy Generał-Gubernatora Litewsko-Żmudzkiego (1). Nieraz powstawały w Radzie Państwa rozprawy, czy jeszcze potrzebne są te osobne wielkorządztwa i czy nielepiéj byłoby całe imperyum pod jeden ogólny zarząd podciągnąć. Ludzie niechętni nowym podbojom, przemawiali za skasowaniem Generał-Gubernatorstw; ci, wyłączając małe cząstki np. Królestwo kongresowe i Finlandyą, pragnęli w reszcie państwa widzieć szczero-rossyjskie prowincye. Drugich natomiast zdanie było, że nie trzeba zbyt wcześnie łudzić się jednolitością kraju, który od zespojenia się w niepodzielną całość tak jeszcze jest dalekim, że nie należy zamykać ostatecznie granic, które są chwilowemi, a nakoniec, że w narodzie podbitym nie potrzeba dopuszczać stanu szlacheckiego do równego ze szlachtą rossyjską wpływu w rządach państwa.

Na tych powodach oparte zdanie za utrzymaniem Generał-Gubernatorstw przemogło stanowczo. A tak w krajach szczero-rossyjskich, lub w tych które za takowe są uważane, władza najwyższa jest monarchiczną, ale ograniczoną wpływem możnych; kraje zaś podbite, a oraz posiadłości azyatyckie, rządzone są samowładnie, bez żadnego udziału mieszkańców.

(1) Dla zupełnéj ścisłości winniśmy dodać, że tytuły urzędowe general-gubernatorów nie są brane z nazwisk prowincyj, dawne podziały wznawiać mogących, ale z nawisk miast lub gubernij. Wszystko co

II

O WŁADZY IMPERATORÓW I O STRONNICTWACH ROSSYJSKICH.

2 stycznia.

Wiele mowiono i pisano o testamencie Piotra W., o jego programie politycznym na późne wieki dla rządu rossyjskiego przekazanym. Namby się zdawało, że jest rzeczą zupełnie obojętną, czyli Piotr skreślił lub nie program podobny, skoro następni Wszech Rossyi mocarze nie szli torem polityki Piotrowéj. Posłuchajmy co mówi Fryderyk II w swoich dziełach o zamiarach pierwszego Imperatora Wszechrossyj. Chciał Piotr (słowa są Fryderyka) skupić całą ludność rossyjską w kraju na okół Moskwy leżącym, odgraniczyć się od zachodu Polską, w któréj nierząd utrzymując, zawsze mógł panować, a od południa stepami nieprzebytémi; z dwóch drugich stron samo położenie geograficzne czyniło go bezpiecznym. I w istocie, biorąc na uwagę cały ciąg usiłowań Piotra, przyznać trzeba, że monarcha ten, chociaż potrzebował brzegów baltyckich, aby się zbliżyć do Europy, części brzegów morza Czarnego, aby wejść w handel z Lewantem, i dla zapewnienia państwu swemu tych nabytków prowadził długie wojny ze Szwecyą i Turcyą, to jednak zamiary swoje i czynności zwracał szczególniéj ku brzegom kaspijskim. Myślą jego zdawało się być, że Moskwie, która z ruin mongolskiego państwa powstała, najwłaściwiéj i najkorzystniéj było sięgnąć po resztę téj wielkiéj spuścizny, i jeżeli przypisywać Piotrowi zamysły zuchwałe, zaborcze, to one najpe-

przypomina dawną oddzielność i udzielność krajów, z języka urzędowego jest na zawsze wymazane. Jeden tylko generał-gubernator Finlandyi tworzy tu wyjątek.

wniéj skierowane były ku odległemu Wschodowi. Wołga, ta ogromna arterya państwa rossyjskiego, wskazywała i jeszcze wskazuje, dokąd zmierzać powinien naturalny prąd tego narodu. Dla tego Piotr, ledwo ukończył wojnę szwedzką, zwrócił się w stronę Kaukazu. Nie obchodziły go plemiona mieszkające w górach, ale okrążywszy Kaukaz zdobyt Derbent, te bokowe wrota zakaukazkiego kraju, i kto wie, jak daleko ztamtąd bystry wzrok tego monarchy przeniknął głębie lądów azyatyckich.

Wiadomo, że od czasów Piotra, przez lat czterdzieści, nie było jednostajnego systemu politycznego w Rossyi, jak nie było stałéj sukcesyi w rządzącéj dynastyi. Dopiero Katarzynę II trzeba uważać za prawdziwą założycielkę tego imperyum, które dziś widzimy; to téż i polityka teraźniejsza Rossyi jest wypełnianiem programu, nie Piotra, ale owéj Imperatorowéj-Niemki. Przywłaszczywszy tron cesarski, musiała Katarzyna dbać o to, aby jak najsilniéj zająć uwagę publiczną wypadkami ważnémi i w kraju wielki rozgłos mającémi, a nadto, aby ludziom którym zawdzięczała koronę, dać pole do zasług, możność wyniesienia się i nabycia dostatków. Nic zatém nie mogło być dla niéj dogodniejszego, jak śmierć króla Augusta, która w r. 1764 tron polski wakującym uczyniła. Daléj wojny konfederackie i wojna turecka były przyczyną pierwszych zwycięztw wojsk moskiewskich i pierwszych zdobyczy na Polsce.

Łatwość owych zdobyczy i tryumfów ośmieliły Imperatorową. Czuła ona wyższość swojéj armii, swoich generałów i ludzi stanu nad tureckimi a na nieszczęście i nad polskimi. Wówczas to, poraz pierwszy, zrodził się śmiały projekt polityczny opanowania Stambułu, a wiadomo jest z wielu źródeł, jakiemi wysileniami i z jak wszechstronną przezornością do tego celu zmierzała. Ale należało Rossyi jednego trzymać się planu, albo zdobywać Konstantynopol, albo czychać na Polskę.

Katarzyna widocznie skłaniała się za pierwszym, panowie moskiewscy korzystniejszém dla siebie widzieli opanowanie Polski. Oprócz chęci pomszczenia się dawnych krzywd, oprócz wrodzonéj im odwiecznéj do Polski nienawiści, ciągnęła ich zdobycz bliższa i pewniejsza, któréj spodziewali się na naszéj rozprzężonéj Rzeczypospolitéj, dla imperyum w obszernych prowincyach, dla siebie w bogatych łupach, włościach i donacyach. Dopomogły arystokracyi rossyjskiéj dwa sąsiednie dwory, a najbardziéj dwór pruski.

Imperatorowie Rossyi wstępując na tron, przyrzekają w manifeście ludowi swemu, że będą iść w ślady polityki przodków a szczególnie w ślady Katarzyny II (1). Wszyscy do téj pory najuroczyściéj dotrzymywali słowa, tylko że ich polityka, za każdém panowaniem, staje się coraz przebieglejszą, doskonalszą, bo opartą na coraz to dłuższém doświadczeniu. A ten ciągły postęp widocznym jest tak dobrze w zarządzie wewnętrznym jak w usiłowaniach polityki zagranicznéj.

Dążnością polityki wewnętrznéj Imperatorów Wszechrossyj, jest utrzymać przewagę władzy samodzierżczéj w téj walce z możnowładztwem, którą wywołała polityka Katarzyny i jéj wyjątkowa na tronie rossyjskim pozycya. Długo rządom «nieśmiertelnéj carycy» przypatrywał się cesarz Paweł; przez długie lata czekał niecierpliwie na władzę, aż schwyciwszy ją, chciał od razu i gwałtownie przywrócić władzę absolutną Piotra. I został samowładnym, ale przypłacił to życiem.

W pierwszych latach panowania swego cesarz Alexander okazywał się tak łagodnym, tak mało samoistnym i tak uległym dobrym natchnieniom, widziano w nim tyle uczuć ludzkich i tyle gotowości do poświęcenia się wielkim obowiązkom, które nań wkładały

(1) Godném jest uwagi że cesarz Alexander II opuścił w swym manifeście imie Piotra.

rządy kraju, że wszystkich umysły podbił i oczarował. Uprzejmości jego obejścia nie mogli wydziwić się ci, którzy znając Rossyą i pamiętając Pawła, nie spuszczali z uwagi, że widzą przed sobą mocarza największego w świecie państwa. Nieszczęśliwe dla Moskwy wojny roku 1805, 1806 i 1807 zrobiły Alexandra jeszcze łagodniejszym, i, jeśli się tak można wyrazić o imperatorze Wszechrossyj, zupełnie liberalnym.

Zmianę charakteru Alexandra, Moskale przypisują jego spotkaniu się w Tylży z Napoleonem; powiadają oni, że cesarz Francuzów zdziwił się, znalazłszy Imperatora rossyjskiego tak mało samowładnym. Erfurt jeszcze bardziéj miał wpłynąć na charakter Alexandra. Co do nas sądzimy, że w miarę jak ustawały przyczyny, które cesarza rossyjskiego do wielkiéj u siebie roztropności zmuszały, rozwijała się w nim natura samodzierżcy. Ciągłe powodzenie psuje człowieka prywatnego, psuje także narody i monarchów.

Alexander do końca roku 1812 będąc ciągle w obozie i objąwszy niejako moralny kierunek wojny europejskiéj przeciw Napoleonowi, z namiotu swego rządził całém państwem. Żaden imperator rossyjski nie był tak blizkim, jak Alexander, wejść w ślady Piotra Wielkiego; żaden przynajmniéj nie miał więcéj sposobności zerwać z polityką, którą Rossyi przekazała Katarzyna. Z wojen świetnych mógł wynieść ogromne doświadczenie i potęgę rzeczywistą; w głębokim pokoju, którego świat znużony krwawemi wysileniami gwałtownie potrzebował, mógł on odrodzić swoje państwo. Ale cesarz Alexander przeżył sam siebie, zgnuśniał, zniedołężniał i oddał knut w ręce Arakczejewa. Od tego czasu ciasno mu było i tęskno na wielkich obszarach imperyum Wszechrossyj. Nie mógł sobie znaleźć dogodnego miejsca, ciągle podróżował i ciągle marzył o nowych projektach. Nadał konstytucyą Królestwu kongresowemu, przyobiecał ją Litwie, dałby ją nawet Rossyi, bo miał ją,

jak wspomnieliśmy, przygotowaną. Ale mu znowu przyszła myśl podnieść wojnę przeciw Turcyi. Marzył, że zdobędzie Konstantynopol, i odśpiewawszy *Te Deum* w kościele Ś. Zofii, złoży koronę. Takie żywiąc w duszy projekta, zwiedzał brzegi czarnomorskie, gdzie nagle życie zakończył. A tymczasem Arakczejew rządził samowładnie i nieludzko, knutował i posyłał w Sybir.

Cudzoziemcy, a nawet niektórzy Moskale mówiąc lub pisząc o Rossyi i jéj rządzie, wspominają o dwóch partyach, które jakoby wpływem swoim przeważać miały szalę polityki wewnętrznéj to na tę, to na ową stronę. Bez wątpienia, jest zawsze, przy dworze rossyjskim, dość silne stronnictwo niemieckie, boć to nie tajemnica, że w Rossyi panuje dynastya niemiecka, i wszystkie imperatorowe i wielkie księżne są najprawdziwszemi, z duszy i z serca, Niemkami. Z wyjątkiem może bardzo nielicznych osob, stronnictwo to mniéj myśli o polityce niż o sobie. Byle zdolność, jaką Pan Bóg obdarzył, sprzedać za co się da; a w razie niewzględności rządu, lub niestałości fawórów, nagradzać sobie odmienną fortunę oględną skrzętnością «*błahorazumnoju ekonomieju*,» to już o resztę mało się troszczy owa zgraja pastorskich synów i zgłodniałego rycerstwa nadbaltyckich prowincyj.

Stronnictwa mające więcéj wpływu przy dworze rossyjskim, a zarazem wznioślejsze pobudki, dadzą się podzielić na dwa główne rodzaje. Stronnictwo *urzędnicze*, złożone z ludzi znakomitych urzędem, lub osobistym wpływem, których doszli, albo własną zasługą, albo łaską carską. Do niego należą nie tylko Niemcy, ale Rossyanie, Małorossyanie, Ormianie, nawet Żydzi i czasami jakiś przybłędny Francuz, lub zmoskwiczony Polak. Ta partya pragnie rządów Piotrowych, ukazów i knuta, urzędów jak najwięcéj a znaczących i dostatnich; poza biórami nie chce słyszeć o żadnéj powadze, o żadnym wpływie arystokracyi i jéj dążeniu do ograniczenia władzy samodzierżczéj. Do tego grona nie zaplątą się oczywiście ża-

den szczery Rossyanin, prawdziwy potomek bojarski. Kiedy w zdarzonych okolicznościach władza Imperatora osłabnie i zniedołężnieje, z łona téj to partyi wychodzi jakiś Biren lub Arakczejew, a Moskale z właściwym sobie dowcipem politycznym nadają takiemu wszechwładzcy nazwę czasowca, *wremieńszczyka*.

Drugiém stronnictwem jest, jak wspomnieliśmy, *szlachta*, która opierając się na koncesyach nadanych przez Katarzynę II chciałaby, co najmniéj, utrzymać w rządzie wziętość swoję i powagę, jakie miała za czasów nieśmiertelnéj pamięci *Imperatorowéj Matuszki*. Mniejsze lub większe powodzenie monarchy, który jak wiadomo, często sam bierze odpowiedzialność za skutki swéj polityki, bywa przyczyną wzrostu lub zmniejszenia przewagi możnych. Podniosłszy głowę arystokracya rossyjska nazajutrz po owéj katastrofie nocnéj z dnia 12 na 13 marca 1801 roku, musiała uniżyć się po zwycięzkich wojnach z Napoleonem. Upadła jeszcze bardziéj kiedy cesarz Mikołaj zgniótł rewolucyą 14 grudnia 1825 r. Odzyskała swoj wpływ podczas wojny niezbyt szczęśliwéj 1828 i 1829 i w początkach 1831 roku, ale po wzięciu Warszawy, wszystko na nowo ucichło. Władza cesarza Mikołaja doszła najwyższego szczytu potęgi w latach 1848 i 1849. Ale upojony sławą wyprawy węgierskiéj, olśniony blaskiem swego europejskiego znaczenia, Mikołaj nie spostrzegł się jakiego na Zachodzie spotkał przeciwnika, wzbił się w pychę i zawikłał Rossyą w sieć niekończących się nigdy kwestyj wschodnich. Wojna ostatnia zadała silny cios władzy monarszéj; dały się słyszeć głosy możnych z surowém potępieniem Mikołajewskiego zarządu wewnętrznego i jego polityki zagranicznéj.

Pod tak zachmurzoném niebem panuje teraz Alexander II. Walka możnowładztwa z absolutyzmem, przez długi czas wstrzymywana, zawieszana, często niewidzialna a zawsze trwająca, dziś, zdaje się, ma być sto-

czoną. Naprawiając błędy przez ojca swego popełnione cesarz Alexander szuka ratunku dla zachwianego samowładztwa w kwestyach wewnętrznych. Rozpoczyna walkę śmiało i stanowczo, poruszając wielkie zadanie stosunków pana z chłopem. W téj sprawie tkwią przyszłe losy imperyum rossyjskiego; zasługuje więc ona ze wszech miar na bliższe poznanie.

III

POWODY PODNIESIENIA SPRAWY WŁOŚCIAŃSKIÉJ.

9 stycznia.

Zmiana stosunków włościańskich jest dziś zadaniem żywo obchodzącém całą ludność obszernego państwa rossyjskiego; bo jak z jednéj strony zapowiada całkowite przebudowanie socyalnego układu cesarstwa, tak z drugiéj grozi większém jeszcze niż dotąd zpotęgowaniem absolutyzmu. Na tę kwestyą inaczéj trzeba patrzeć w guberniach szczerorossyjskich, a inaczéj w prowincyach podbitych. W krajach tych tak do siebie niepodobnych ze swego pochodzenia, swojéj natury moralnéj i dążności historycznéj, stan poddaństwa bardzo jest różny. W pierwszych stosunek włościański zasadza się na prawie *krepostném*, z całą ohydną jego donośnością i tyrańskiém zastosowaniem; w drugich to prawo nigdy powszechnie użytém nie było.

W Rossyi jest, jak wiadomo, kilka rodzajów poddaństwa: są chłopi skarbowi (*gosudarstwennyje krestianie*), dóbr cesarskich (*udielnyje*), i szlacheccy czyli obywatelscy (*pomieszczyckie*), a do kogobądź oni należą, nie są wolni, gdyż, z wyjątkiem chłopów besarabskich i finlandzkich, nie mogą zmieniać miejsca bez zezwolenia gminy, urzędu lub pana. Jedni składają czynsz od ziemi, albo płacą za wolność osobi-

stą zarabiania na chleb codzienny; inni obowiązani są do pańszczyzny z ziemi, odbywają powinność służebną w naturze. A oprócz tych różnorodnych danin, wszyscy płacą na rzecz skarbu podatek od duszy mężkiéj, zwany podusznêm. Zastanówmy się naprzód nad stosunkiem pana z chłopem w ziemiach szczerorossyjskich.

Pod względem ekonomicznym możnaby podzielić tę ziemię na dwie połowy: północną i południową; linią rozgraniczającą jest rzeka Oka, płynąca z zachodu na wschód, to jest od granic Polski do Niższego Nowgorodu. Część północna jest krainą leśną i przemysłową, południowa z małémi wyjątkami jest stepową a zatém rolniczą. W północnéj, gruntu zdatnego do uprawy jest nie wiele; właściciel, czy to skarb, czy cesarz, czy szlachcic, nie mogąc zużytkować ziemi niewdzięcznéj, szukać musi korzyści w przemyśle lub handlu, bądź z wyrobów leśnych, bądź fabrycznych, a najbardziéj téż z wolności zarobkowania danéj chłopu chwilowo. Z wyłączeniem ogromnych obszarów leśnych, właściciele szlachta w północnéj Rossyi mało w swych dobrach mając gruntów dworskich, albo wcale ich nie mając, puszczają poddanych na czynsze, obrokami zwane i czynsze te pobierają razem od całéj gminy. Strach przedania dusz na wywóz albo na przesiedlenia ich w stepy, wreszcie groźba zaprowadzenia fabryk (1), jest przyczyną że gmina stara się o jak najregularniejszą wypłatę obroku, i poddaje się łatwo podwyższeniu czynszów ponawianemu nieraz co lat kilka.

(1) W Rossyi istnieje do dziś dnia zwyczaj i prawo sprzedawania dusz skazkowych *na wywóz*, to jest, że szlachcic nabywca ma prawo całemi rodzinami przenosić dusze kupione z jednéj do drugiéj gubernii. Zapewniano nas, że jeszcze w roku 1867 na kontraktach kjiowskich było ogłoszenie o duszach w gubernii orłowskiéj przedawanych *na swoz*. Podobnież zaprowadzenie fabryk w dobrach szlacheckich musi być straszliwą plagą dla chłopa, który pod różnemi pozorami może być zmuszony do roboty ciągléj od niedziel do niedzieli.

W krajach południowych, gdzie żyznéj ziemi nie brak, jedynie chłopi *dóbr skarbowych* opłacają czynsz od gruntów, które ku ich użytkowi służą; w dobrach atoli *cesarskich* i *szlacheckich* utrzymała się powszechnie pańszczyzna po trzy dni od duszy skazkowéj na tydzień. Lecz tak w czynszowym jak pańszczyznianym stosunku los rossyjskiego chłopa tylko od sumienności pana zależy. Gdzie pan możny a sumienny, tam i obrok bywa niewielki, i pańszczyzny nie z zupełną ścisłością wymagają. Ale w majątkach pomniejszych, których właściciele zadłużeni lub nad możność żyjący, żadnego na poddanych swych nie mają względu, obroki rosną w miarę wzrastających potrzeb właściciela, a jeśli w takich dobrach istnieje pańszczyzna, to przymus niewolniczy w tém dopiero kres swój znajduje, czego nawet kij z ludzkiego ciała wycisnąć nie może.

Wszelako ani uciążliwość obroczna, ani ciężka około roli praca pańszczyzniana nie dadzą się porównać ze służebnictwami składanemi w Rossyi, jako wypłata poddaństwa, w naturze. Panowie moskiewscy, którzy bardziéj niż inna szlachta imperyum, lubią mieszkać po wielkich miastach, mają w nich swoje pałace. Mnóstwo ludzi przywiązanych jest do takowych rezydencyj pańskich w Petersburgu lub w Moskwie; mnóstwo jest służby w pałacach d a c z o w y c h i p o d m o s k i e w n y c h (1). Ci ludzie nie mają ziemi, nie mają kawałka roli tak niezbędnéj, tak miłéj dla każdego Słowianina: są oni pałacową nieruchomością, przytwierdzeni do domu (*pripisnyje k'domu*). W języku urzędowym zowią się *dworowymi;* słowo boleśnéj dobitności, wypowiadające dokładnie całą nieludzkość owego prawa krepostnego, które jest jedyną kartą konstytucyjną szlachty moskiewskiéj. Rossyjskie słowo d w o r o w y j, stosuje

(1) Wiejskie pałace z parkami pod Petersburgiem nazywają się d a c z a m i; wioska pod Moskwą leżąca, zowie się *podmoskownaja.*

się tylko do tego rodzaju poddanych i do zwierząt podwórzowych: *dworowyj człowiek* i *dworowaja sobaka.* Ciężkie jest życie i twarda służba téj nieszczęśliwéj klasy ludzi; ich utrzymanie tak bywa nędzne, że większa część pobiera racyą prostego żołnierza i mieszka jak czarni niewolnicy w koszarach, a raczéj stajniach oburzających swoją nieczystością. Za przykładem panów, rossyjska szlachta lubi otaczać się takimi poddanymi, a im uboższy właściciel, tém stan dworowych bywa opłakańszy (2).

Rzecz się ma całkiem inaczéj w krajach podbitych. W Finlandyi i w Bessarabii chłop prawie jest wolny; w prowincyach nadbaltyckich szlachta niemiecka obdarzona właściwym sobie darem łączności, wpływami swémi u dworu potrafiła jeszcze dawniéj uzyskać potwierdzenie ustaw bardzo dogodnych dla właścicieli. W krajach polskich jak wiadomo, panuje powszechnie system pańszczyzniany.

Za panowania cesarza Mikołaja, jenerał-gubernatorowie kijowski i wileński zwykli byli donosić rządowi o

(1) Sam dwór imperatorski daje przykład usystematyzowanego poniewierania godności człowieczéj. W obu stolicach służba przywiązana do licznych pałaców cesarskich, stanowi oddzielną kastę ludzi zwanych dworcowymi. Dzieli się ona na rangi odpowiednie klasom niższym urzędów cywilnych i wojskowych; bywały jednak przykłady, że dworcowi dosługiwali się stopniów wyższych, tak np. Iliusz sławny furman Alexandra I miał rangę równającą się stopniowi pułkownika. Ale w téj kaście dziedzictwo jest najsurowiéj przestrzeganie, syn *dworcowego* musi być człowiekiem dworcowym i dosługuje się szczeblami hierarchicznémi urzędów wyższych, poczynając od najniższego, to jest od podpalacza (*istopnika*). Z żadnego in ego stanu niewolno jest przyjmować do służby dworcowéj. — Rzecz godna uwagi, że kiedy ukaz cesarski o urządzeniu stssunków włościańskich do Gen. Gubernatora petersburskiego na dniu 5/17 grudnia wydany nie wspomina wcale o téj klasie właśnie w gubernii, gdzie jest jéj najwięcéj. Czyżby to nie było jedną więcéj wskazówką z jaką ostrożnością w sprawie włościańskiéj postępuje cesarz Alexander i jak dalece unika wszystkiego, coby arystokracyą rossyjską rozdrażnić mogło?

mniemaném srogiém uciśnieniu chłopów przez panów polskich. W skutek tych częstych a bardzo interesowanych zażaleń nadane zostały polskim guberniom tak zwane inwentarze, to jest wyszczególnienie robocizny, którą chłop ma odbywać, stosownie do obszerności używanego przez siebie gruntu. Pamiętają wszyscy, jakie było zdziwienie i szlachty i włościan, kiedy inwentarze, po których tak wiele zmian spodziewano się, okazały się tylko utwierdzeniem robocizny oddawna w zwyczaj wprowadzonéj i nieprzeciążającéj bynajmniéj poddanego. W jednych tylko dobrach panów moskiewskich, pochodzących z konfiskaty i donacyi, włościanie doznali ulgi istotniéj, o ile pańszczyzna wymagana po trzy trzy dni z duszy, ograniczoną została wedle zwyczaju krajowego do trzech dni z chaty. Wprawdzie w kilku miejscach niezgrabne i złośliwe tych opisów wprowadzenie wywołało bunty poddanych, które wnet z moskiewską srogością zostały poskromione, ale spostrzegli się wkrótce chłopi i nie przypisywali szlachcie zmian, które rząd ustanowił na swoję korzyść. A chociaż rząd w zaprowadzeniu inwentarzy szukał tylko środka wmieszania się do stosunków między panem a włościaninem, to jednak, akta te zmieniając w prawo, co było tylko zwyczajem, zabezpieczyły chłopa od uciemiężenia złych panów i w całym kraju ustanowiły pewien porządek w systemie robocizny.

Na szczęście i chwałę polskiego narodu, nie było u nas osobnéj klasy ludzi *dworowych*; nie wprowadzili jéj w swych dobrach polskich panowie moskiewscy, bo w nich nie mieszkali nigdy. Uniknęliśmy zgorszenia i złego przykładu; nasza służba po dworach i dworkach szlacheckich składa się z wieśniaków prostych, niezgrabnych i leniwych, ale uczciwych i czujących godność ludzką. Zwykle taki sługa jest zarazem pierwszym gospodarzem na wsi, czasem staje się on poufnym doradzcą i pańskim przyjacielem; los jego rodziny bywa

związany z losami dworu od pokolenia do pokolenia. Komuż nie znani są owi starzy słudzy naszych panów, owi wierni kozacy granowscy, sawrańscy i sławuccy?...

W ten sposób przedstawiwszy pokrótce odmienny stan kwestyi włościańskiéj w guberniach rossyjskich a polskich, przejdźmy teraz do ostatnich ukazów cesarza Alexandra. Podnosząc to ważne zadanie rząd rossyjski zaczął działać ze zwykłą sobie a pełną tajemnicy przebiegłością. Nie wypowiada on swojéj myśli, lecz *zdaje się* żądać *nie* uwolnienia *chłopów*, ale tylko *zmiany stosunków między właścicielem ziemi a włościaninem z niéj użytkującym*, czyli zmiany w systemie pańszczyznianym, a ostatecznie zniesienia pańszczyzny, zastępując ją *czynszem*. Mówimy: *zdaje się* żądać, bo gdy świeżo nakazaném było, aby obywatele trzech litewskich gubernij wypowiedzieli swe zdanie w téj kwestyi, marszałkowie guberscy zapytali, na jakiéj zasadzie opierać się ma ich opinia: czy na zasadzie udzielenia chłopom osobistéj wolności, — czy też udzielenia im, razem z wolnością, pewnéj własności? Rząd odpowiedział poufnie: że obywatele nie dobrze zrozumieli życzenia rządu, że nie idzie wcale *o zupełnie uwolnienie chłopów*, to jest, o zniesienie krepostnego prawa, ale o zmianę w systemie robocizny. Urzędowa deklaracya rządu ukazała się świeżo w dwóch ukazach dla gubernij litewskich i petersburskiéj, których główną zasadą jest *stałość siedziby* chłopa i *zabezpieczony* przez właściciela dóbr podatek rządowy.

Lecz choć zawiłe są i skryte dążności rządu, można jednak ich domyślić się, kiedy zastanowimy się nad tém, co już zrobiono i co jeszcze w projekcie do zrobienia zostaje. Wszakże i wspomnione ukazy (z dnia 2 i 5 grudnia *v. s.*) mówią o stopniowych przemianach i zabezpieczają zupełne posłuszeństwo chłopów dla ich panów dzisiejszych. Nie chce bynajmniéj rząd całkowitego uwolnienia poddanych. Przytwierdzenie chłopa do ziemi, czy ona jest gruntem rolnym, czy siedzibą wiej-

ską, jest dla rządu niezbędnym warunkiem, bo mu zapewnia podatek poduszny. Za ten podatek chłopi pojedynczo nie są odpowiedzialni; w dobrach skarbowych i udzielnych za wypłatę odpowiadać będą gminy, w dobrach szlacheckich właściciele. Zmieniając ten stosunek, rząd naraziłby się na niepewność i trudność odbierania podatku; na gminach pozostają często długi czyli *niedoimki*, panu zaś za niewypłatę chłopskiego podatku grozi administracya rządowa a nawet sekwestr majątku. Przytém chłop utrzymany w prawnéj zależności względem pana nie ucierpi głodu, bo rząd właśnie na téj zasadzie zależności może zmusić pana do karmienia chłopów w czasach nieurodzaju lub przednowku. Lecz z drugiéj strony, prawo zabezpieczając skarbowi podatek a poddanym wyżywienie, nadaje panu taką przemoc, że on staje się pierwszym urzędnikiem, reprezentantem rządu, uzbrojonym we władzę policyjną, administracyjną a nawet sądową względem chłopa, a władzy téj używać musi w interesie i na korzyść rządu.

W dobrach gdzie pan ludzki jest i sumienny, a do tego ciągle zamieszkuje na wsi, stosunek pańszczyzniany zapewnia szlachcie daleko większy, niż rządowi, wpływ na poddanego. We wsiach oczynszowanych wpływ ten musi być mniejszym. Pan rzadko mieszka w swéj majętności, chłop oczynszowany podróżuje po miastach, przesiaduje w stolicach, a wszędzie spostrzega władzę cara, która panów jak chłopów zarówno dotyka. Rząd więc przez zamierzone w całéj Rossyi oczynszowanie chłopów, nie zmieniając nic w ogólnym systemie urządzeń wewnętrznych, nabiera większéj jeszcze niż dotąd mocy; przyznaje on panom władzę nad włościaninem, ale tę władzę, jak dopiero mówiliśmy, panowie sprawować będą w imieniu rządu. Nadto, ponieważ w kraju rolniczym, przy nadzwyczajnéj, jak np. w guberniach stepowych, taniości, włościanin nie od razu zdobędzie

się na regularną wypłatę czynszu pieniężnego, pan uciskać go musi jak dawniéj, dotkliwiéj nawet niż poprzednio; dla odbioru czynszu nieraz zmuszonym będzie sprzedać dobytek chłopa, czego oczywiście w inny sposób nie dokaże, jak tylko za pośrednictwem policyi rządowéj. Policya więc ostatecznie stanie się władzą rozjemczą między panem a chłopem, służyć nawet będzie za apelacyą od decyzyi pana, chociażby ten działał jako sługa rządowy.

Szlachta moskiewska rozumie po części dążności rządu. Za panowania cesarza Mikołaja, kiedy kwestya włościańska wniesioną została na Radę Państwa, członkowie którzy nie mieli wielkich posiadłości i jeszcze całą swą przyszłość widzieli w ręku cara, byli przychylni oczynszowaniu. Przeciwnie dawna i majętna szlachta żądała utrzymania dzisiejszego stanu; prezes Rady książe Wasilczykow (ojciec dzisiejszego kijowskiego Gen. Gubernatora) padł krzed cesarzem na kolana, błagając go, aby nie dawał powodu do zaburzeń, które tak ważna zmiana w kraju wywołaćby mogła. Ale bardziéj niż te głosy błagalne panów moskiewskich, wstrzymał rozwiązanie kwestyi włościańskiéj, ruch europejski roku 1848 i wojna węgierska. Cesarz Mikołaj, który z pewnym rodzajem dumy przypisywał sobie stworzenie w Rossyi stanu średniego, klasy kupieckiéj, pragnął dopełnić swojego dzieła uwolnieniem chłopów. Nie dowierzał on szlachcie rossyjskiéj, uważał, że w prowincyach mianowicie południowych, zbliżenie się pana do poddanego rolnika jest łatwe i może być niebezpieczne dla samowładzcy; uwalniając chłopów, chciał ich na przeciw panom postawić. Atoli błędy polityki zagranicznéj wydarły z ręku jego moc do przeprowadzenia tak wielkich zmian potrzebną; umierając ujrzał zadanie to na długie lata odroczoném.—Wojna wschodnia ogromne zdawała się przybierać rozmiary; rząd rossyjski w mniemaniu, że wyprawa krymska jest tylko pierwszym téj wojny

ustępem, uciekł się do środka ostatecznego, któremu podobnych Rossya bardzo rzadko używa, to jest do powołania pospolitego ruszenia. Pięc kroć sto tysięcy nowego wojska, pod dowództwem oficerów wybranych z łona samego narodu, miało stanąć do obrony kraju i wistocie już w połowie stanęło. Kiedy nad wszelkie spodziewanie udało się zawrzeć pokój paryzki, ostrożność ta pokazała się zbyteczną. Rozpuszczono pospolite ruszenie. Burza minęła, ale nauka w las nie poszła. Moskale umieją z doświadczenia korzystać.

Spostrzegł rząd rossyjski, że chcąc w danéj chwili powołać masy do obrony kraju, należy wprzód przygotować je i *zabezpieczyć od nieprzyjaznego lub obcego wpływu.* W Rossyi pobór rekruta odbywa się szybko i z wielką ścisłością; właściciel ziemski, gmina lub urząd, pod najsroższą odpowiedzialnością, muszą dostawić własnym kosztem rekruta, a oprócz tego zapłacić za jego pierwsze umundorowanie. Na tychże samych zasadach nakazany był w roku 1855 pobór milicyi, czyli pospolitego ruszenia, rachując po 23 *opołczenia* na 1000 dusz skazkowych. Ponieważ te wszystkie ciężary spadły najdotkliwiéj na szlachtę, która tracąc robotnika, ponosiła jeszcze koszta wyprawy, od każdego milicyonera do 200 fr. dochodzące, powstało wielkie niezadowolnienie i głośne w całym kraju szemranie. Wybory na oficerów pospolitego ruszenia w wielu miejscach były nader burzliwe, szlachta wymawiała się od tak uciążliwéj posługi; wojna stawała się coraz więcéj niepopularną. Te oznaki niechęci i widoczny w dzisiejszym systemie a nader szkodliwy wpływ szlachty na pobór rekrucki i organizacyą pospolitego ruszenia, były jednym z powodów, dla których cesarz Alexander, zawarłszy pokój, pospieszył wznowić kwestyą włościańską. Dostrzegł on w niéj korzystnych, nawet pod względem wojennym, zmian, które siłę odporną Rossyi podwyższyć i wszelkie zbrojne przygotowanie uczynić

muszą niezawisłém od klasy narodu myślącéj i rozprawiającéj.

Lecz zdaje się, że ten monarcha daleko więcéj niż jego ojciec znajdzie oporu w szlachcie moskiewskiéj. « Zmiana stosunków między panem a poddanym, mówi szlachta rossyjska, jestto szarpnięcie się na naszę własność, na nasze prawa i przywileje. My gotowi jesteśmy, skoro taka wola rządu, dać wolność chłopom, ale ziemia wszystka jest naszą własnością, a za wolność duszy skazkowéj rząd powinien nam zapłacić. Niedość na tém; uszczuplenie praw naszych nad poddanym, znosi najgłówniejszy nasz przywiléj, to jest prawo wyłącznego posiadania dóbr ziemskich, stawia nas na równi z kupcami. Oprócz pieniężnéj zapłaty potrzebujemy zatém inszego wynagrodzenia, potrzebujemy praw politycznych nowych a obszerniejszych, jednóm słowem *reprezentacyi narodowéj*. » I oto słowo : k o n s t y t u c y a, tak niemiłe uszom imperatorów rossyjskich, tak przeciwne zasadzie imperyum, tak niezgodne z dążnością historyczną i polityczną narodu, daje się słyszeć po miastach i stolicach, na nie jednéj naradzie zgromadzonéj szlachty!

Te są obawy i te nadzieje tak ze strony rządu, jak ze strony szlachty, w guberniach szczero-rossyjskich. Głęboko obmyślany i przygotowany wzrost absolutyzmu przez osłabienie wpływu szlacheckiego na stan chłopski, spotyka się z groźbą swobód politycznych, których domaga się arystokracya rossyjska. Walka już wydana, pocisk naprzód z prowincyj polskich rzucony, a jakie będą téj wojny koleje, i kto w końcu zwycięży, dziś nawet i przewidywać trudno...

W naszych nieszczęśliwych krajach polskich, skazanych nie wiadomo na jak długie lata dzielić losy imperyum, które zdaje się coraz bardziéj rosnąć i siły nabierać, zadanie włościańskie oddawna przygotowane i w sumieniu narodowém roztrzygnione, nierównie

łatwiejsze mogłoby znaleźć rozwiązanie. Tu rząd jakie zechce potrafi przeprowadzić zmiany. Tu, dla obu stron, cele są widoczne a środki przez naturę rzeczy wskazane. Celem *rządu* w naszych guberniach podobnie jak w rossyjskich, jest naprzód oczynszować chłopów, aby mieć dokładną wiadomość o dochodach szlachty i w każdym czasie powód gotowy do wmieszania się w stosunki między panem a chłopem. Celem jest *szlachty*: przebyć tę zmianę społeczną z jak największém uzacnieniem charakteru narodowego, a wyjść z niéj z jak najsilniejszym wływem moralnym na lud wiejski. Niesprawiedliwość szlachty polskiéj w stosunku z poddanym była podobno najgłówniejszą przyczyną upadku naszego państwa; po tak strasznych cierpieniach i wiekowéj pokucie, którąśmy przetrwali, może to zrządzi Bóg miłosierny, że dzisiaj, sprawiedliwość nasza w tym wielkim akcie, stanie się dla nas źródłem odrodzenia.

Widzieliśmy powyżéj, jak rząd zapewnił sobie pośrednictwo między panem a poddanym wprowadzając inwentarze, które w prowincyach zabranych pop ma prawo tłumaczyć a policya wykonywa. Nie jest obojętném dla rządu utrzymać w naszym kraju to pośrednictwo, które mu daje tak wiele przewagi, nie myśli téż wcale o zupełném uwolnieniu chłopa. Przeciwnie, obywatel-szlachcic polski chętnie poświęci własną korzyść, wyrzecze się, i dziś się już wyrzeka, władzy pańskiéj, byleby ta sprawa raz przecie roztrzygnioną była. Nad oczynszowanie przekłada zupełne uwolnienie poddanego z zapewnieniem mu własności, kupionéj z pomocą środków, których kredyt ziemski powinien dostarczyć.

Jeszcze jedna uwaga. Widoczném jest że rząd rossyjski zamierza u nas, po wsiach, przygotować klasę średnią na któréjby przychylność mógł w danym wypadku rachować, i która odrębnéj do pewnego stopnia będąc na-

rodowości, mogłaby z czasem stanąć przeciw nam do boju, i działanie a nawet istnienie żywiołu polskiego zniweczyć. Gdzie tego rodzaju dążności Rossyą zawiodą, to już dawniéj wskazaliśmy. Kto do złych namiętności odwołuje się, może liczyć na sukces chwilowy; można więc w imię zapomnianych krzywd i nienawiści powołać do życia dawnego zapomnianą narodowość ruską, ale z téj siejby pewno nie dla Moskwy ziarno wyrośnie. Zbierze je nie Rossya ale demokratyzm małorossyjski, który i bez pomocy rządowéj dosyć ma w naszym kraju zwolenników i, na nieszczęście, zawsze gotowych do działania narzędzi. Zastanowimy się późniéj, jakiémi środkami bronić się przeciwko tym dwom fatalnym tendencyom: rządowéj i małorossyjskiéj; a tymczasem przechodzimy do ostatniego ustępu niniejszéj pracy to jest do polityki zagranicznéj Rossyi.

IV

POLITYKA ZAGRANICZNA.

16 stycznia.

Imperator Alexander II wstąpił na tron w okolicznościach trudnych, które w rządzącym wymagały wiele umiejętności i doświadczenia, aby coraz to groźniejszym niebezpieczeństwom, póki czas, zapobiedz. Miał on do ukończenia wojnę, która wprawdzie jeszcze nie zadrasnęła żadnéj słabéj strony cesarstwa i ścieśnioną była pod murami jednego pogranicznego miasta, ale obrona tego miasta leżącego na odległym krańcu, wymagała wielkich poświęceń i wojna stawała się coraz to cięższą i coraz bardziéj wyniszczającą państwo. Czuł imperator, że z tych zapasów nie może wyjść zwycięzko, chciał wyjść z najmniejszą stratą, wyszedł wistocie z niespodziewanie małą. Pod względem materyalnym Moskwa

prawie żadnéj nie doznała szkody; dla imperyum ogarniającego szóstą część świata, co znaczy ów rąbek Bessarabii i kilka nędznych forteczek, co znaczy czterykroć stotysięcy żołnierza i paręset milionów rubli? Nic albo prawie nic w porównaniu klęsk, które mogły spaść na Rossyą, gdyby wojna inaczéj prowadzoną była. Ale w téj walce odwiecznéj Wschodu z Zachodem przeznaczenie raz jeszcze oszczędziło Moskwę; tam gdzie potrzeba było wyższego umysłu, los ślepy zgromadził zobopólne mierności, które zrównoważyły się wzajem.

Jednak pomimo to niesłychane szczęście Rossyi, jéj straty pod względem moralnym były i są nierównie dotkliwsze. Przez dwieście lat Moskwa ciągle wzrastała; od czasu pokoju polanowskiego (1634) nie ustąpiła nikomu piędzi ziemi, a od zajęcia Małorossyi bogaciła się wciąż obszernemi posiadłościami. Najniepomyślniejsze i najmniéj sławne wojny przynosiły jéj zawsze nowe prowincye. Po wojnie r. 1807, i po haniebnéj przegranéj pod Friedlandem, Alexander na własnym sprzymierzeńcu zyskał Białystok z obwodem; po dość nieszczęśliwéj kampanii tureckiéj (w 1828 i 1829 r.) Mikołaj posunął granice w Europie aż po Dunaj, a w Azyi nierównie daléj, niżby się tego można było spodziewać, pomnąc na zachwaloną przezorność angielską. A jeśli takie były skutki niepomyślnych wypraw moskiewskich, cóż powiedzieć o jéj wojnach szczęśliwych? Zwyciężona, kryjąc klęski swe, zdobywała prowincye; zwyciężywszy, głosząc nad miarę swą siłę i tryumfy, zagarniała państwa całe.

Jeden z mężów stanu rossyjskich, graf Bezborodko, w czasie rozpraw na Radzie Państwa: czy ostatecznie rozdzielić Polskę lub nie, — rzekł: «*czto nie rastiot to gnijot.*» Rzecz ciekawa, coby ten mąż stanu powiedział o pokoju paryzkim; czy ustąpienie téj maleńkiéj cząsteczki Bessarabii nie zdawałoby mu się punktem przesilenia?... Ta myśl przejmuje dziś

dreszczem niejednego Moskala; owa strata nieznaczna na południu cesarstwa jątrzy ich i niepokoi, kiedy wspomną o nieustających przez dwieście lat zaborach.

Imperator dzisiejszy, Alexander, wychowany bardziéj niż stryj, a nawet ojciec, pod wpływem szczero rossyjskiego patryotyzmu, czuje dotkliwie ten krok wsteczny; i gotuje się zapobiedz stanowczo temu cofaniu się Rossyi i przywrócić jéj w Europie znaczenie polityczne, które miała aż do wojny wschodniéj. Na tém polu zgodzą się łatwo wszyscy Moskale : imperator, arystokracya i liberalizm rossyjski. Z dziwnym instynktem przyjmą oni od razu i odgrywać będą wszyscy jednaką rolę; kiedy potrzeba kryć się będą pod maską umiarkowania i bezinteresowności, nic ich kosztować nie będzie umniejszyć się i upokorzyć do czasu. Było i jest w tradycyach wojennych ludów wschodnich, gotować w odwrocie cios tém straszniejszy dla nieprzyjaciela im mniéj spodziewany. Kiedy Napoleon z niezwyciężoną armią szedł coraz daléj w głąb Moskwy, cesarz Alexander I dał się raz słyszeć : «Jeśli nas pobije, cofniemy się w stepy, zapuścimy brody jak dawniéj i wrócimy poszukać odwetu.»

Pierwszym i najważniejszym środkiem ku odzyskaniu znaczenia politycznego Rossyi, jest rozerwanie przymierza zachodniego. — Za panowania Mikołaja, od wstąpienia na tron Ludwika Filipa nie było wprawdzie wyraźnego aliansu między Francyą i Anglią. Ale istniało zawsze między témi dwoma dworami porozumienie na powstrzymanie Moskwy. Nie było téż środka, któregoby cesarz Mikołaj nie był użył dla rozerwania téj harmonii państw zachodnich i dla odosobnienia Francyi. W r. 1853, przed samém zaczęciem wojny wschodniéj i na kilka miesięcy przed zawarciem aliansu francuzko-angielskiego, margrabia Landsdowne odezwał się : «Dziwną doprawdy byłoby rzeczą, gdyby cesarz rossyjski własnémi błędami zrealizował to, przeciw czemu wal-

czył przez całe swoje życie.» Mikołaj nie wierzył w przyjaźń państw zachodnich, wdał się w wojnę i naraził Moskwę na upokorzenie, z którego wydźwignąć zadaniem jest dzisiejszego imperatora, i celem wszystkich usiłowań zagranicznéj polityki rossyjskiéj.

Panująca dziś we Francyi dynastya przedmiotem jest nienawiści powszechnéj w Rossyi. Chłop moskiewski do imienia Napoleona przywiązuje znaczenie: uzurpatora, apostaty, bisurmana, antychrysta i tym podobnych przewisk wyjętych z manifestów i proklamacyj r. 1812. Wstąpienie na tron teraźniejszego cesarza Francuzów przyjęte było w Moskwie z jakąś wewnętrzną, tajemniczą trwogą. Wspomnienie Napoleona nasuwa zaraz chłopu rossyjskiemu myśl o Polsce. Rzecz szczególna, żadne pismo peryodyczne zdań tych nie rozszerza, nikt z wyższego towarzystwa takich pojęć nie ma i przypuszczeń nie robi; — i owszem jest powszechném usiłowaniem oświeceńszych Moskali dowieść, że Napoleon I najhaniebniéj łudził, najsromotniéj zawiódł Polaków; — jeden tylko chłop moskiewski i moskiewski żołnierz prawił z cicha i ponuro w ciągu zaszłych od r. 1848 wypadków: Francuz podniałsia, podniał Turka, podnimet, pożałuj, jeszczo i Polszczu!»

Ale rząd rossyjski przezwyciężając wstręt własny i całego ludu ku dynastyi Bonapartów, stara się wszelkiemi siłami pozyskać przyjaźń cesarza Francuzów i Francyi, i aby ją sobie zaskarbić nie masz podchlebstwa, któregoby Moskale nie byli gotowi dopuścić się. Tu, w Paryżu, rozbierając między sobą i krytykując wszystko ze złośliwą zazdrością, prawią Francuzom w oczy słodkie słówka, które za najlepszą uchodzą tu monetę. Zręcznie trafiają w słabą ich stronę i drażnią ich niedogasłą niechęć ku Anglii. Rozrzucone dzieła o Rossyi i jéj bogactwach narodowych, o jéj tendencyach do postępowości i cywilizacyi przez nadanie chłopom wolności,

o jéj staraniach do podniesienia handlu i przemysłu, ogłaszane broszury i rozprawy o korzyściach handlowych, mogących wyniknąć ze ścisłego Rossyi z Francyą stosunku, — wszystko to zmierza ku jedynemu celowi połączenia węzłem czasowéj przyjaźni tych dwóch narodów, a właściwie ku rozerwaniu aliansu anglo-francuzkiego. Nakoniec przez zręczne zahaczenie celniejszych domów handlowych w fatalną sprawę dróg żelaznych, Rossya weszła już w związek finansowy z kapitalistami zachodnimi, a najbardziéj francuzkimi.

Lecz pod tą polityką pełną pokoju i umiarkowania wre tłumiona starannie żądza wcześniejszéj czy późniejszéj zemsty. Nieraz z piersi moskiewskiéj wyrwie się jęk pożogi i krwi, podobny do gwizdu kozackiéj drużyny na mord i łup lecącéj! Paryż ich nęci, Paryż się im uśmiecha jak niegdyś Roma tłumom barbarzyńców, i oczy im się świecą gdy szepczą po cichu, że czas ten niedaleki, kiedy konie kozackie znowu napawać się będą przy wodotryskach placu *de la Concorde*...

Całkiem odmienny charakter ma polityka Rossyi względem Angli. Powszechne jest mniemanie w Rossyi, że wojna wschodnia stanowi pierwszy dopiero ustęp walki między témi dwoma narodami. Dzisiejszy spokój jest to zawieszenie broni, które co chwila może być zerwane. Dla tego Rossya głosząc że się rozbraja, reformuje armią i stanowi kadry dla ogromnéj siły zbrojnéj tworzonéj przez powiększenie wojsk rezerwowych. W pismach peryodycznych i broszurach, w rozmowach salonowych, na giełdzie petersburskiéj i moskiewskiéj, w gościnnych dworach, a nawet i szczególnie między ludem, zapamiętała nienawiść ku Anglikom coraz bardziéj wzrasta i krzewi się.

Zarzucą nam, że walka tych dwóch narodów jest niepodobną, jak walka lądowego tygrysa z wodnym hypopotamem. Odpowiemy: walka ta nietylko jest podobną ale niezbędną, wcześniéj czy późniéj, a na zwłoce zy-

skać tylko może Rossya. — Zawiedziony w swych widokach na Stambuł, upokorzony ostatnim pokojem, rząd rossyjski dążyć musi do nowych zaborów, jako jedynego środka odzyskania utraconéj przewagi. A zanim rozpatrzymy się w jego zamiarach na granicy zachodniéj, przyzwoicie jest, mówiąc o polityce rossyjskiéj względem Anglii, rzucić okiem na Wschód odległy.

Pierwszą zapowiedzią blizkich działań, w tamtych stronach, Rossyi zdaje się być posunięcie znacznéj części wojska ku brzegom kaspijskim, powiększenie flotylli na témże morzu i na jeziorze Aralskiém, i obrócenie ruchu wojennego ku ujściom Wołgi i linijom orenburskim. Mówią zwyczajnie : Rossyja zamyśla o podboju Indyj, i rozumieją że wyprawa do Indyj jest prawdopodobną, zwłaszcza przy teraźniejszych rozruchach w tych odległych posiadłościach W. Brytanii. Namby się zdawało, że nawet wśród obecnych zaburzeń, wyprawa do Indyj byłaby zawczesną i bezskuteczną ; Rossya więc o niéj na teraz nie myśli. Ona chce stanąć naprzód na granicach Indyj , tę pozycyą usiłuje zająć nie od dziś-dnia, i sądzimy, że w niedługim czasie opanować ją potrafi.

Wiadomo, że Rossyą od Indyj oddziela kraj obszernością swą równający się środkowéj Europie. O tym kraju, który się zowie Turkestan, niedawno temu członek honorowy paryzkiego geograficznego towarzystwa, p. Lemański, rozprawiał tak pięknie i zadziwił wszystkich nietylko nowością badań i spostrzeżeń, ale i czystością mowy francuzkiéj wychodowanéj nad Newą. Turkestan zawiera kilka hanatów, z których znaczniejsze są : kokański, chiwiński i bucharski. Najtrudniejszém zadaniem było dójść do jednego z tych hanatów, bo państwa te oddzielone są od Rossyi stepem bezwodnym, od Uralu aż do Syr-Darji, na 1, 500 wiorst ciągnącym się. Ale trudności tych dzisiaj już nie ma; kilka lat temu (1853) napad Kokańców na Achmeczet (Fort-Pe-

rowski) leżący nie daleko ujścia Syr-Darji, zadziwił Europę, że Rossya ma aż tam, na krańcu owych stepów odległych swoję twierdzę, która wojennemi etapy związana jest z Orenburgiem. Mając taką podstawę, dalsze działanie w kraju żyznym i ludnym aż do grzbietu Hindukuszu, ulega zwykłym wyrachowaniom strategicznym, które łatwo przewidzieć, i do skutku nie bardzo też trudno doprowadzić można.

Ten jest, naszém zdaniem, drugi ustęp działań zaczepnych Rossyi przeciw Anglii, skutkiem których będzie, że armia rossyjska stanie oko w oko z armią angielską. Walka tygrysa z hypopotamem zmieni się w ten sposób w walkę tygrysa z lwem...

Krótki zakres niniejszego poglądu nie dozwala nam roztrząsać skutków prawdopodobnych wojny téj w Azyi. Trudno też przewidzieć jaka będzie, po uskromieniu dzisiejszych rozruchów, organizacya wewnętrzna Indyj i jaką siłę zbrojną Anglicy potrafią tam zgromadzić i utrzymać. Lecz pomimo to, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przewaga materyalna w Azyi wypadnie na stronę Rossyi. Komunikacye Wołgi, morza Kaspijskiego i jeziora Aralskiego, niesłychana łatwość prowadzenia ogromnych karawan z kilku tysięcy wielbłądów złożonych, przynoszą Rossyi korzyści niezaprzeczone. Dość przejrzeć dzieje wszystkich wypraw rossyjskich do Azyi, żeby przekonać się, że pomimo niezdolności i złéj wiary jenerałów, i mimo faktów wojennych niesławnych, rezultat każdéj kampanii był dla Rossyi jak najkorzystniejszym. Moskwa rośnie i długo jeszcze rość będzie w kierunku lądów azyatyckich; wszystkie okoliczności sprzyjają jéj postępowi w tych stronach, i Anglia prowadząc wojnę z Rossyą, gdyby się tylko na Azyi ograniczyć chciała, musi być pobitą. Ona potrzebuje przeciw Rossyi gromadzić siły zaczepne w Europie, a jakie są te siły, sama natura rzeczy wskazuje.

Przejdźmy teraz do granic zachodnich Rossyi. Tu po-

lityka Rossyi względem dwóch mocarstw sąsiednich opiera się ciągle na wspólnictwie zbrodni dokonanéj na Polsce; atoli w dalszym rozwoju, wypadki położyły ogromną różnicę w jéj stosunku do Prus, a jéj stosunku do Austryi. — Najściślejsza przyjaźń łączy zawsze, jak łączyła, dwa dwory rossyjski i pruski. Panujący dom pruski czuje się, i ze wszech miar sprawiedliwie, obowiązanym Rossyi; winien jéj swe utrzymanie się na tronie; winny jéj Prusy i to, że policzono je do rzędu pierwszych mocarstw w Europie. Państwo pruskie jest zatém naturalnym sprzymierzeńcem Rossyi. Lecz z drugiéj strony położenie strategiczne Rossyi od zachodu nie bardzo jest korzystne. Owe Królestwo Polskie kongresowe, pod względem polityczno-strategicznym, jest jakby naroślą boleśną, wiecznie jątrzącą się i którą ciągle goić potrzeba. Aby umocnić tę słabą stronę, możeby Rossya wolała przy zdarzonéj zręczności i ogólnéj przemianie granic, oddać Prusom część Polski, aż po Wisłę w zamian za Wschodnie Prusy z Gdańskiem. Moskale często wspominają o stracie, jaką ponieśli w czasie siedmioletniéj wojny przez ustąpienie Prus wschodnich, które już mieli w swém ręku. Wszak Elżbieta kazała nawet bić talary z swém popiersiem w Królewcu! Śmierć téj imperatorowéj wstrzymała na chwilę zaborcze widoki Rossyi i uratowała Fryderyka II. Piotr III, z rodu i duszy Niemiec, zaledwo wstąpił był na tron, zaraz cofnął wojska swe przeciw Prusom posłane, z nieprzyjaciela stał się sprzymierzeńcem. I to było przyczyną jego upadku. Katarzyna II do śmierci zachowała jakąś niechęć ku Prusom; Alexander I znowu całém sercem przylgnął do pruskiéj dynastyi, a brat jego i synowiec, związkami krwi powiększyli jeszcze ścisłość tych stosunków i wzajemnych potrzeb. Pomimo to, dziś, jak za czasów Elżbiety, Prusy wschodnie biją w oczy Moskalom i zdają im się tak harmonizować z owemi prowincyami nadbałtyckiemi, spokojnemi, wiernemi, a wielce

Rossyi pożytecznemi i stanowiącemi najpiękniejszy klej not imperatorskiéj korony.

W jednym tylko razie wiekuista przyjaźń Rossyi z Prusami mogłaby się zachwiać, to jest, gdyby Prusy, jak się już zanosiło, chciały stanąć na czele jakiéjś ligi niemieckiéj, gdyby król pruski z dobréj woli i z własnéj inicyatywy, wsiadł na koń ze sztandarem wszech germańskim. O! wtedy Rossya podniosłaby głowę, i zasłaniając państwo swoje od morowéj zarazy, ukarałaby swawolnego sprzymierzeńca zaborem krajów aż po Odrę i aż po dawną słowiańską siedzibę, Rugią! I ten projekt nie jest także wymysłem ani marzeniem, bo już był na stole w r. 1848, kiedy Zachód tak dalece zaburzył się, że wszystkiego oczekiwać, wszystkiega obawiać się, o wszystkiém marzyć było wolno.

Z Austryą rzecz się ma inaczéj. Te dwa niedawno tak ściśle sprzymierzone dwory zdają się teraz dąsać się wzajemnie, i kiedy Rossya przymila się Francyi, Austrya wraca do dawnego sojuszu z Anglią. O szlachcie moskiewskiéj i o armii rossyjskiéj można wyrzec śmiało, że jedni i drudzy nienawidzą Austryi równie szczerze jak Anglii. Wstręt ten bierze źródło naprzód w różności religijnéj. Naród moskiewski dochował do dziśdnia bizantyńską nienawiść do Kościoła rzymskiego, Austrya zaś, w jego mniemaniu, jest wyobrazicielką pojęć i dążności katolickich. Powtóre: od czasów wojen konfederacyi barskiéj, Moskale podejrzywają dom rakuzki o jakieś tajemne zamiary względem Polski, i zdaje im się, że ta kwestya polska czeka ich przy każdéj wojnie na granicy austryackiéj. Potrzecie: przebieglejsi dyplomaci zarzucają Austryi, że wciągnąwszy Rossyą do wojny z Węgrami, wytrąciła z jéj rąk na zawsze oręż najstraszniejszy. Tym orężem było zadanie słowiańskie. Stając do boju w Austryi przeciw narodom walczącym za swą niepodległość, Rossya zrzuciła maskę insurrekcyjną, którą oszukiwała greckie i słowiańskie plemiona w Turcyi; tuż

obok, na pograniczu tureckiém, ujęła się za legalnością uświęconą traktatami, i dowiodła że nie inaczéj, jak tylko prawem zdobywcy po słowiańskie dziedziny sięgnąć jest gotowa. Ta dwoistość polityki rossyjskiéj wprawdzie w dwóch odrębnych państwach, ale okazana wśród ludów sąsiednich i nad jedną i tą samą wielką rzeką leżących, stała się powodem, że dzisiaj kwestya słowiańska dla Rossyi upadła. Ludy słowiańskie lub na wpółsłowiańskie w Austryi, podobnie jak w Turcyi, spostrzegłszy się, że jeśli tylko mają zmienić pana, to już wolą trzymać się dawnego, bo na zamianie pewno nie zyszczą.

Nakoniec, przekonała się Rossya, że największe i rzeczywiste zapory w jéj wschodnich zamiarach stawia zawsze Austrya. Linia operacyjna w każdéj wojnie z Turcyą na półwyspie bałkańskim, jedynie dogodna dla armii rossyjskiéj, jest zagrożona nieustannie ze strony Węgier. Samo wystawienie korpusu austryackiego na granicy wołoskiéj hamuje z téj strony zapędy Rossyi, nie dozwala nawet przejść Dunaju. Dla tego to, podczas ostatniéj wojny, Rossya w mniemaniu, że Francya z Anglią nie sprzymierzą się, i do téj kwestyi nie wmieszają się, śmiało wkroczyła do Multan i Wołoszy, i byłaby szła daléj, bo na wstrzymanie Austryi miała w Królestwie Polskiém armią, która gotową była do marszu pod wodzą Paskiewicza.

Te powody sprawiają, że Rossya nie jest daleka od wojny z Austryą. Woli ona spotkać w niéj jawnego nieprzyjaciela niż dwuznacznego i bardzo szkodliwego sprzymierzeńca. Podobna wojna byłaby nawet wielce popularną w Rossyi, gdyż po jéj końcowym rezultacie, Moskale spodziewają sią zdobyć ostatnią krainę ruską, do korony wszechrossyjskiéj dołączyć ostatni brylant ziemi ruskiéj! Odra i Karpaty, te dawne granice monarchii lechickiéj, mogłyby z czasem stać się granicami Rossyi. Niemi to Imperatorowie silić się będą wynagrodzić sobie już podobno na zawsze utracony Stambuł!

Lecz Austrya ma na swą obronę środek, który dyplomacya austryacka doskonale rozumié, i chociaż bardzo jest energiczny, w razie krytycznym użyć go potrafi. Tym środkiem jest szczere i stanowcze podniesienie sprawy polskiéj. Austrya ma w szeregach swoich wojsk armią polską, któréj brakuje tylko oficerów Polaków, a takowi mogą się znaleźć. Ośmdziesiąt tysięcy wojska polskiego, poparte przez Austryą sprzymierzoną, wkroczywszy do granic imperyum, byłyby dla Moskwy daleko straszliwszemi, niż armia moskiewska dla Austryi maszerująca z Warszawy do Wiednia. Rezultat walki polegałby na szczerém podniesieniu sprawy polskiéj. Co nie jest tak łatwém, *bo Polak mądry po szkodzie*, chociażby krzywd swoich zapomniał, a Austrya słynna jest ze złéj wiary.

Turcya i Szwecya, te dwa skrzydłowe i ościenne mocarstwa imperyum rossyjskiego, były i są naturalnymi wrogami Rossyi. Obie mają do powetowania wiele ciężkich strat i dla obu Rossya jest straszną. Atoli od wojny wschodniéj położenie tych dwu państw stało się o wiele lepszém; powiemy więcéj, przy dzisiejszym stanie przymierzy europejskich, Turcya i Szwecya mogą być wielce dla Rossyi niebezpiecznemi.

Co do Turcyi : dopóki trwa przymierze Anglii z Francyą, Turcya musi stosować się do polityki tych dwu mocarstw, i na przypadek nowéj wojny z Rossyą, stanie się oczywiście jéj teatrem, albo przynajmniéj jednym z teatrów. W razie zobojętnienia dzisiejszego zachodniego przymierza, Turcya pozostanie zawsze pod wpływem polityki angielskiéj, bo Anglia będąc w ciągłém spółzawodnictwie z Rossyą, w nieustającéj skrytéj wojnie, musi wszystkich sił dokładać, aby podług swéj woli kierować Turcyą. Jeśli przed wojną stosunek Turcyi do Rossyi był czysto bierny, po wojnie zmienić się musiał koniecznie. Spostrzegła to Rossya, a obawiając się, w razie zerwania zachodniego przymierza, wyłą-

cznego w Stambule wpływu Anglii, stara się zawczasu iść wbrew jéj polityce, sprzyja rywalizacyi Francyi, sprzeciwia się Anglii w sprawie księstw naddunajskich. Lecz jest jeszcze inna przyczyna, dla któréj Rossya była za połączeniem księstw. Jéj celem jest przekonać Francyą, że już wyrzekła się wszelkich zamachów na Stambuł; że ustąpiwszy z nad Dunaju, zobojętniała w kwestyi wschodniéj, o tyle przynajmniéj, o ile się to odnosi do Turcyi europejskiéj, a zatém o ile to Francyą bezpośrednio interesować może. Atoli z drugiéj strony, uzbrajanie się Rossyi na morzu Czarném, podnoszenie Sebastopolu, zamknięcie portów azyatyckich, a osobliwie nieustająca czynność w Mikołajowie, powinnyby przestrzedz Francyą, że w tém, mniéj niż w czemkolwiek inném, można ufać Rossyi, i że dla jednej niezupełnie zawiedzionéj wyprawy, imperatorowie rossyjscy nie wyrzekną się swojéj mniemanéj spuścizny po cesarzach Bizancyum.

Co do Szwecyi. Wojna wschodnia dowiodła, że wielkie wyprawy zamorskie, którym do ostatnich czasów nie wierzono, stały się, osobliwie przy dzisiejszym rozwoju marynarki parowéj, łatwemi do urzeczywistnienia. Mniemała Rossya, że tylko od strony zachodniéj jest dostępną; dzisiaj od morza widzi najsłabszą granicę. Ale nie sądźmy, aby ta słaba granica była na brzegach Finlandyi lub w odnodze fińskiéj. Tu Rossya mocno obwarowała się, i źleby znał Rossyą ten, coby w Finlandyi starał się zadać jéj cios stanowczy.

Finlandya ani za powód, ani za teatr wojny służyć nie może. Przypomnijmy, że ten kraj od dwu wieków był niechętny berłu szwedzkiemu, że pragnął jakiéj niezawisłości. Dziś o niepodległości własnéj Finnowie nie marzą, a byt ich materyalny pod panowaniem rossyjskiém jest daleko lepszy niżeli nim był pod rządami Szwedów. Imperatorowie Rossyi, tworząc sobie z Finlandyi pewien rodzaj zakrycia, uzbroili jéj brzegi

z wszelką starannością, a mieszkańców rozbroili łagodnością i mądrością rządów. Finlandya, jak wiadomo, ma osobne granice, senat oddzielny, odrębne instytucye administracyjne i sądowe, i własne szkoły. W szeregu tytułów cesarskich, W. Ks. Finlandzkie idzie zaraz po Królestwie Polskiém. Język jéj, religia, zwyczaje i prawa były przez rząd rossyjski szanowane. Nie mało też cieszyli się Moskale, kiedy usiłowania sprzymierzeńców w ostatniéj wojnie zwrócone były ku téj najwarowniejszéj granicy imperyum rossyjskiego.

W innéni położeniu są południowe brzegi Baltyku. Tam wylądowanie jest wielce niebezpieczne dla Rossyi, bo ziemie polskie leżą w pobliżu. Jest więc pytaniem niezmiernéj wagi dla Rossyi, czy Szwecya dochowa swéj pozornéj przyjaźni, czy też w razie danym wojnę wypowie? Na szali wypadków europejskich wiele zawsze ważył ów zawołany miecz szwedzki; w wojnie europejskiéj z Rossyą przeważy on stanowczo. Gdyby kiedykolwiek kampanią przeciw Rossyi chciano od Baltyku prowadzić, ląd szwedzki i wyspa Gotland muszą być wojskową posadą, i Szwecya staje się najniebezpieczniejszym dla Moskwy nieprzyjacielem.

Rossya ocenia doskonale tę wiszącą nad nią groźbę. Wśród skalistych nadbrzeży Norwegii, na saméj północy atlantyckiego oceanu, leży zatoka Varanger, która, jak inne norwegskie przystanie, nigdy nie zamarzając, ma jeszcze tę korzyść, że jest obszerną, aby całą flotę przez zimę pomieścić. Od wielu lat Rossya, pod różnémi pozorami, starała się wymódz na Szwecyi odstąpienie téj zatoki. Jéj posiadanie zapewniłoby Rossyi możność utrzymania floty, przez rok cały na otwartém morzu. Wiedziała Anglia o tych zamiarach rossyjskich; w ciągu ostatniéj wojny, razem z cesarzem Napoleonem, zdołała ona Szwecyą nakłonić do zawarcia (21 listopada 1855) traktatu z Zachodem, mocą którego król szwedzki zobowiązał się nie ustąpić Rossyi nigdy, ani dozwolić jéj

zająć, jakiejbądź cząstki terytoryum szwedzkiego lub norwegskiego. Podpisanie tego traktatu było pierwszém ze strony Szwecyi jawném wypowiedzeniem nieufności względem Rossyi, ale zarazem było téż dla Rossyi najbardziéj naglącym powodem, aby czém prędzéj zaprzestać wojny. Bo Szwecya nie może, jak Francya lub Anglia, kiedy zechce rozpocząć lub zakończyć walkę z Rossyą; ona nie może stanąć pierwéj do boju, aż ją upewnią sprzymierzeńcy, że zamiarem ich szczerym jest rozbić i skruszyć potęgę moskiewską, a zatém odbudować Polskę.

A tak, na całéj ogromnéj linii, przez którą ciągnie się zachodnia granica cesarstwa, przy każdém zetknięciu się nieprzyjazném Rossyi z którym bądź narodem europejskim, zadanie Polski wychodzi na jaw. I jak nikt z Zachodu nie zdoła wkroczyć do Rossyi prawdziwéj, nie zawadziwszy o ziemię polską, tak każdy spór polityczny, a tém bardziéj walka z Zachodem, zagraża Rossyi nieprzedawnioną nigdy sprawą naszą. Cień Polski, jak w tragedyi Szekspira, staje wciąż z krwawą raną, w oczach zabójcy, i odbiera spokój jego duszy, tém jedném słowem «ja tu zawsze jestem obecny.»

Można na przyszłość wiele przypuścić nowych politycznych kombinacyj: stosunek Rossyi do państw europejskich może się zmienić; przymierze Zachodu tak groźne dla Moskwy może się rozchwiać; inny alians jeszcze potworniejszy od *świętego przymierza* może się skleić chwilowo; ale w każdém miejscu i w każdym czasie kwestya polska musi być tamą dla Rossyi nieprzepartą. Ta Polska, któréj nie znajdzie oznaczonéj na karcie Europy, o któréj słowa nie usłyszy w powszedniéj, bieżącéj polityce; ta Polska oku materyalnemu niewidoczna, potylekroć znękana, przygnieciona, rozćwiertowana, silna jedynie siłą swych tradycyj i żyjąc tylko wiernością swych synów, w polityce świata waży przecież za armie i potęgi, przeszkadza Rossyi stanowczo do

zdobycia przewagi europejskiéj, przeszkadza jéj nawet do ustalenia wewnętrznéj u siebie organizacyi. Te są nasze pogrobowe dzieje i pogrobowe dla cywilizacyi zasługi; da Bóg, że one będą kiedyś nam policzone!

W każdym razie już dzisiaj liczy je Rossya i nie traci chwili, aby wydusić z nas tę resztę życia, które jéj tyle zadaje niepokoju. W sprawach religijnych, w administracyi krajowéj i sądownictwie, w oświeceniu publiczném, interesach handlowych i przemysłowych, w świeżo podniesionéj kwestyi włościańskiéj, wszędzie rząd rossyjski, wsparty pomocą całego narodu, toczy z nami wojnę na zabój. Za główny cel swych pocisków obrał sobie szlachtę i duchowieństwo katolickie, w których narodowość polską najwarowniéj widzi ugruntowaną. W walce téj nieubłaganéj Rossya zmienia swe kształty i oręż: to przemocą plac sobie czyniąc, burzy, gruchocze, niweczy wszystko co tylko cień jakiś naszéj ojczyzny przypomina, to znów do greckich uciekając się podstępów, przymila się i uwodzi łagodnémi pozorami, ale wojnie tępiącéj nigdy nie folguje, bo czas jéj blizki a przyszłość niepewna.

Potrzebujemyż ukrywać, że siły nieprzyjaciół są zbyt przeważne, i że często walka zdaje się zanadto nierówną. A jednak nie tracimy nadziei. Bo przeciw zwierzęcemu gwałtowi stawić możemy siłę moralną, przeciw zobojętnieniu, choćby świata całego, wiarę w miłosierdzie Boże, przeciw kłamstwom i podejściom Moskwy, prawdę i czystość naszych dążeń. Z takiemi podstawami naszego życia i działania możemy być spokojni i cierpliwi.

Rozpoczynając wojnę wschodnią Moskale wybili medal, na którym świętokradzko te zamieszczono słowa: W Tobiem Panie nadzieję moję położył, nie dajże mnie na wieczne pohańbienie! Nie Moskali to, ale nasze jest godło, i pod niém wytrwamy do końca. Bo wzywając na pomoc Świętego Imienia, ani krzywdy bliźniego nie pragniemy, ani wszechmocności Bożéj nie urągamy się bluźnierczo!

O PODRÓŻUJĄCYCH I O GODNOŚCI NARODOWÉJ.

2 stycznia.

Świeży ukaz cesarza Alexandra dozwala wszystkim mieszkańcom Królestwa, którzy za paszportem legalnym z kraju wyjechali, przedłużać pobyt swój za granicą do lat pięciu. Toż samo, jak wiadomo, przyznaném zostało już dawniéj mieszkańcom prowincyj zabranych.

Kilka lat temu za czasów Mikołaja, kiedyśmy przed pewnym obywatelem z kraju użalali się na dawne wyłączenie polskich prowincyj z życia europejskiego, odpowiedział nam: « Nie skarżcie się zbyt głośno. Bo kiedy zaczną wydawać paszporta, wszyscy naraz zapragniem wyjechać, i grosz który dziś w Polsce zostaje, rozejdzie się po świecie bez pożytku. » — Nam więcéj jeszcze niż polskiego grosza, żal dzisiaj polskiego czasu, któryby lepiéj dał się użyć w kraju. Żal nam sił od pracy oderwanych; żal nam owego nawyknienia do wygód zachodnich, do którego się w podróży tak łatwo przychodzi, i które, bądź co bądź, pewien wstręt do zagrody ojczystéj wyrodzić musi. Żal, kiedy spotykamy młodzież mar-

nującą płocho tyle na zachodzie środków, któreby jéj rozum i serce podnieść i rozwinąć mogły; żal, kiedy patrzymy na starszych, jak wśród długiego za granicą pobytu, wdrażają się do swobodnéj a bezmyślnéj nieczynności, i pędzą życie poza krajem, bez celu i bez obowiązków, bez walki i bez trudności. Żal nam wreszcie widzieć, że w téj wielkiéj stolicy chrześciańskiéj cywilizacyi, to niemal wyłącznie naszych braci zajmuje co tylko pustą ciekawość nasyca, albo jeszcze gorzéj, co dusze ich kazi i ostudza, i czyni ich niezdolnymi do pojęcia i pełnienia obywatelskich powinności!

Ale o tych smutkach naszych już dosyć pisaliśmy, pisały także dzienniki krajowe. Dziś chcemy zwrócić uwagę czytelników na inszą, a równie niebezpieczną stronę owéj łatwości podróżowania. Aż do wstąpienia na tron Alexandra, jedynym na zachodzie reprezentantem polskich praw i polskiego narodu była emigracya. Jakkolwiek w téj rodzinie mogły zajść wypadki, jakie bądź zdarzyły się wyskoki różnych jéj opinij, to przecież niewątpliwa, iż żaden naród w historyi nie wydał tak licznéj a tak godnéj emigracyi. Po trzydziestu blizko latach wyjątkowéj, często bolesnéj a zawsze niepewnéj exystencyi, tyle w tém gronie dochowało się ducha publicznego, tyle ofiarności i gorącego uczucia praw i obowiązków Polaka, że dziś jeszcze emigracya służyć może, pod wieloma względami, za szkołę obywatelską dla krajowców. Jéj świadectwo przed Zachodem, o cnotach i żywotności narodu, było tak uderzającém, że jeden z naszych nieprzyjaciół, minister austryacki, hrabia Ficquelmont przyznał: «że tylko polska emigracya dosłużyła się poważnego znaczenia w świecie politycznym.» Podobnież, pewien wysoki a nader szanowny urzędnik francuzki dał się słyszeć «*l'émigration polonaise seule, entre toutes les autres, a su créer des institutions.*» Wistocie, wydała ona i podejmuje cztery szkoły, dwa zakony, wiele zakładów miłosiernych, stowarzy-

szeń i instytutów naukowych; tworzyła wojskowe formacye i zakładała kolonie w krajach nam przyjaznych. Nie dziw, że budżet roczny tych instytucyj utrzymywanych w różnych stronach Europy, przechodził nieraz półmiliona fr.

Lecz pomimo znaczenia, którego długą pracą i zacnością na Zachodzie dosłużyła się, nie może dzisiaj emigracya wyobrażać przed nim narodu; nie może jak dawniéj, sama jedna, dawać krajowi świadectwa. Dziś Zachód ma sposobność przypatrzyć się Polakom świeżo z Polski przybyłym, i nie potrzebuje w nas domyślać się reprezentacyi, kiedy sam kraj niejako ma przed oczyma. Patryotyzm i poświęcenia emigracyi już dziś o tyle tylko przemawiają za narodem, o ile jéj własnym przykładem stwierdzają krajowcy. Oni są istotnymi na teraz Polski ambasadorami; z ich słów, z ich postępków, z ich wreszcie okazywanych uczuć, tych zwłaszcza, co mają przystęp do wyższych w towarzystwie sfer, Francya i Anglia wydają sąd o całym narodzie.

Po tylu klęskach i ciężkich stratach, ojczyzna nasza żyje tylko dobrém synów swoich imieniem. Tego dobra strzedz jak źrenicy w oku, jakby świętéj relikwii, jest dla każdego z nas pierwszym obowiązkiem. Jakże téj powinności dopełniają niektórzy z naszéj braci podróżnéj? Nie chcemy gorzkiemi przypomnieniami dodawać cierpkości tym słowom; powiemy tylko, że ludzie Zachodu umieją w każdéj czynności Polaków trafnie odróżnić, co należy przypisać trudnościom położenia, a co lekkomyślności lub co gorsza, własnéj woli. Cóż powie Francuz widząc, jak się to zdarzało, rodaków naszych w towarzystwie Moskali i Niemców, spotykając ich w najwyższych salonach, odzianych w mundury moskiewskie, i moskiewskiémi lub niemieckiémi orderami smutnie błyszczących? Co powie emigrant zapytany przez cudzoziemca o zdanie; jaką cnotą, jakiemi poświęceniami może on zatrzeć tego rodzaju... nikczemność?

Lecz jeśli wrażenia, przez niektórych krajowców na zachodzie zostawionego, już emigracya odmienić nie może, ma ona przecież w ręku swojém środki zaradcze, które uważamy za stosowne przypomnieć. Przyjmując z gorącém uczuciem i z braterską życzliwością wszystkich z kraju przybyłych, niechaj pamięta, że do niéj głównie, do niéj to należy ta święta straż imienia Polski poza Polską. Osiwiałym weteranom służby narodowéj, przystoi w pewnych razach okazać tę zacną szorstkość i drażliwość, która zbawienném dla wielu młodych może być ostrzeżeniem. Przystoi także naszym Polkom uczuć wspólnie krzywdę godności polskiéj zadaną, ścigać ją i piętnować nietajoną wzgardą. Wszak w naszéj historyi są nieodległe przykłady owych szanownych matron, które nie wahały się odepchnąć choćby synów swoich lub blizkich pokrewnych, kiedy ci na szkodę kraju służyli. Jest w opinii ludzi uczciwych przemoc wielka, na którą rzadko zerwie się umysł lekki, a nawet zuchwały. Tym świętym terroryzmem opinii wzajemnie pilnując się i wspierając, dochowamy, da Bóg, owéj nieocenionéj spuścizny, owego skarbu, który nietylko dla ludów podbitych ale dla państw niepodległych i silnych prawdziwą jest potęgą, i który w historyi narodów ważył nieraz za armie i zwycięztwa.

RESZYD PASZA.

16 stycznia.

Pod koniec naszéj ostatniéj wojny narodowéj, Niemcewicz wysłany do Anglii, aby starał się, razem z agencyą polską w Paryżu, nakłonić państwa zachodnie do wmieszania się w sprawę polską, usłyszał od ówczesnego posła francuzkiego w Londynie, księcia Talleyranda, radę, aby Polacy w chodzili w jak najściślejsze związki z Turkami. « Lecz samaż Turcya, zapyta Ursyn, jak długo jeszcze utrzyma się? »« Prawda, słabe to państwo, odpowie Talleyrand, ale bądźcie pewni, że ona i nas, i nasze dzieci, i wnuki nasze przeżyje. »

Od czasów Talleyranda powielekroć zdawało się europejskim dyplomatom, że już wybiła ostatnia godzina dla Turcyi, ale za każdą razą kiedy gotowano się w Europie wynieść trupa do Azyi, znalazło się niespodzianie w Turkach dosyć życia i energii, aby nie oglądając się co powie Europa, z orężem w ręku stanąć do obrony praw i godności narodu. Z kilku tego rodzaju prób wyszła już Turcya zwycięzko; a kiedy znalazł się w niéj mąż stanu, który zrozumiawszy lepiéj znaczenie polityczne swego kraju, mimo niesłychanych przeszkód ze

strony Rossyi, wprowadził go w ściślejszy stosunek państw europejskich, przyszłość Turcyi zdaje się być odtąd na dłuższe lata zabezpieczoną. Tym człowiekiem był Reszyd.

Wiele o Reszydzie Paszy pisano; my nie rozszerzając się nad historyą prac jego dla Turcyi niesionych, chcemy tylko, o ile dziś podobna, dotknąć z jego życia tych stron, które cudzoziemcom nie mogą być wiadome. Każdy Turek prawowierny, bogaty czy ubogi, miłuje szczerze Polaków, bo w nich spotyka jednaką nienawiść do Moskwy, i domyśla się w nich pewnego zbliżenia w niektórych właściwościach charakteru narodowego. Mawiali dawniéj Turcy « w Europie są tylko cztery narody szlachetne : Osmanli, Frank, Lechli i Madżiar. » Podczas wojny wschodniéj, kiedy chodziło o przyjęcie na ziemię Padyszacha pierwszego odziału ochotników polskich, odezwał się na Radzie pewien pasza podeszłego wieku. « Lechli i Osmanli są to jakby dwaj przyjaciele, którzy razem młodość spędzili; i wszystkie ich wspomnienia, nawet chwilowe zatargi, dawną ich zażyłość zwiększają. Stracili siebie z oczu przez lat przeszło trzydzieści, aż oto dzisiaj spotykają się niespodzianie. Cóż to za radość dla nich! Przyszedł czas, że na dnie wody, długo zmąconéj, pokaże się co prawda. Potrzeba, aby Lehistan znowu jak dawniéj z nami graniczył; bo to wszystkim wiadomo, że przeszedłszy Bessarabią, która jest własnością Osmanów, wchodzi się w kraj lechicki!...»

Lecz oprócz téj naturalnéj sympatyi, całemu narodowi właściwéj, miał Reszyd Pasza z Polakami związki ściślejsze, bo bezpośrednie i na spólném działaniu oparte. W roku 1834, przybywszy poraz pierwszy do Paryża i Londynu jako ambasador turecki, znalazł u księcia Czartoryskiego pomoc i objaśnienia, tak wielce potrzebne człowiekowi stanu pragnącemu Zachód poznać dokładnie. Od téj pory zawiązała się nieustająca wymiana korespondencyj i wzajemnych usług, które

Polacy w Paryżu i w Londynie oddawali Turcyi swémi stosunkami, a Reszyd niezmienną życzliwością opłacał się im na Wschodzie. A choć nie przyszedł jeszcze czas bliższego opowiedzenia tych zdarzeń, uważamy za konieczne wspomnieć tutaj o zaszłym w roku 1842 wypadku w Serbii. Zmieniono dynastyą; Moskale tracąc wiernego sprzymierzeńca, protestowali przeciw nowemu księciu, a Francya i Anglia przyłączyły się do rossyjskiego ultimatum. Porta sama jedna, przeciw trzem dworom, pozostała przy swéj opinii, i było to zasługą polskich usiłowań w Paryżu i w Londynie, że oba dwory zachodnie, lepiéj ze stanem sprawy obznajomione, odstąpiły Moskwy i zgodziły się na utrzymanie nowéj dla Serbii dynastyi.

Podczas pobytu swego na Zachodzie, Reszyd Pasza spostrzegł, że głównym powodem niepopularności Turcyi w Europie, a zarazem jedną z przyczyn jéj słabości wewnętrznéj, był ucisk Chrześcian pod panowaniem Osmanów. Przyjął więc za zasadę swéj polityki dążyć stale do polepszenia bytu rajów, i to dążenie podwakroć w cesarskiém hattihumayon ogłosił. Wziął katolików pod szczególną opiekę rządu, starał się między ludnością grecką utworzyć partyą Turcyi życzliwą, powoływał na urzędy Greków, o których wierności dla Sułtana był przekonany; zarzucano mu nawet, że dyplomacyą zagraniczną Turcyi samymi Fanaryotami obsadził. Lecz wpośród ludów słowiańskich znalazł na téj drodze przeciwników, z którymi walka była mu prawie niepodobną. Niektóre prowincye słowiańskie, przepełnione agentami moskiewskimi, stawały się dla Porty źródłem nigdy niekończących się kłopotów i zatargów. W każdéj niemal wsi bulgarskiéj, Rossya liczyć mogła z pewnością na pomoc greckiego popa i nauczyciela szkoły. Przeciw tym wpływom moskiewskim, zwrócili całą swą usilność agenci polscy na Wschodzie. Znajdując wiarę u Turków i Słowian zarazem, stawali się naturalnymi pośrednikami

tych dziwnie pomieszanych ludności; łagodzili wzajemne niechęci, wyświecali dążności Moskwy, zapobiegali spiskom, udało im się nawet lat temu kilka uprzedzić dość groźny dla Turcyi wybuch serbsko-bulgarski.— Potrafił Reszyd Pasza ocenić ważność tych usług. W zamian wpływów i stosunków, których w samejże Turcyi dostarczali mu Polacy, zapewniał agentom polskim wszelkie na Wschodzie ułatwienia, urzędową opiekę, a nawet pomoce pieniężne. W téj spólnéj czynności obie strony znajdowały korzyść widoczną : Turcy zbliżali do siebie Słowian, Polacy mogli skutecznie walczyć z moskiewską potęgą.

Po skończeniu wojny węgierskiéj, nadarzyła się Reszydowi sposobność zadania dotkliwego ciosu wpływom Rossyi na Wschodzie. Jeden z adjudantów cesarza Mikołaja (*proh pudor!* Polak głośnego w dziejach imienia!) przyjechał do Stambułu, aby żądać wydania własnych rodaków w ręce Moskwy. Posłowie zachodni, zapytani przez rząd turecki o opinią wymówili się brakiem instrukcyj, a przez agentów swych nie umieli nic innego doradzić Polakom tylko iżby dla uratowania życia, wyrzekli się wiary ojczystéj. Inszą była rada, którą Reszyd, wówczas przy władzy, nie wahał się dać Sułtanowi. Abdul-Medżid odpowiedział Rossyi, że wierny przepisom koranu, bronić będzie Polaków jako swoich gości. I dopiero, kiedy Mikołaj żądanie swoje poparł groźbą wojny, oświadczyła dyplomacya zachodnia, że jeżeli istotnie do wojny przyjdzie, Francya i Anglia będą zmuszone ująć się za niepodległością Sułtana.

Od roku 1846 do 1857, Reszyd Pasza był sześć razy wielkim wezyrem; lecz aby dać poznać przyczyny każdéj z tych zmian tak częstych w jego życiu politycznem, trzebaby zedrzeć zasłonę nietylko tajemnic Seraju, ale przeniknąć sekreta nie jednéj ambasady w Stambule. To jednak powiedzieć można, że ile razy cięższe zawikłania dyplomatyczne wymagały w rządzie większego

doświadczenia i znajomości europejskich stosunków, zawsze Reszyda do władzy powoływano. Po sławném ultimatum Menszykowa, Reszyd przyjąwszy tekę spraw zagranicznych, w miesiącu wrześniu 1853, skłonił Dywan do wypowiedzenia Moskwie wojny; i zaraz potém zadecydował formacyą wojskową z Kozaków w Turcyi mieszkających, a następnie powołał do służby tureckiéj czterech jenerałów polskich, z których jednemu miano oddać organizacyą polskiego korpusu. Ale gdy w Wiedniu nie tracono jeszcze nadziei wstrzymania kroków wojennych, projekt tworzenia wojska polskiego do czasu odłożonym być musiał.

W kilka miesięcy potém, kiedy państwa zachodnie zerwały z Rossyą, mniemał Reszyd Pasza, że przyszedł czas podniesienia chorągwi polskiéj, i to życzenie swoje, w imieniu rządu tureckiego, objawił pod koniec marca 1854, czekającym w Stambule Polakom. Znowu temu projektowi sprzeciwiły się ambasady, i rzecz znowu poszła w odwłokę.

W połowie 1854 zawarto traktat, mający na celu okupacyą księstw naddunajskich, dla zasłonienia Turcyi od napadu wojsk rossyjskich. W dalszém rozwinięciu stosunków Porty z Austryą, Reszyd oświadczał się gotowym odstąpić Rumunii, byleby Austrya oddała nawzajem sprzymierzonym Galicyą, jako podstawę do odbudowania Polski. Ale Zachod, zawsze w mniemaniu, że Rossyą od wojny odstraszy, nie chciał dotykać kwestyi, która zapowiadała walkę zaciętą, stanowczą i przez lat kilka trwającą.

Formacya pułku kozackiego *złożonego*, wedle słów Irade, *z samych Polaków*, była także poczęści dziełem Reszyda. Mniemał on, że z pożytkiem będzie dla sprawy naszéj, jeśli, nie ociągając się aż przyjaźniejsza pora nadejdzie, pod obcą ale przyjazną chorągwią, zbierzem się w zbrojnym szeregu, którego nazwę byleby rzecz była, zawsze łatwo przemienić. Sądził bowiem, że niezadługo

sprzymierzeni zmuszeni będą iść prosto do celu, i kiedy się pokaże, że niedosyć grozić Moskwie, poszukają środków aby ją zwalczyć. Jakoż, kiedy Sebastopol został zdobyty, a Moskwa mimo to nie ustępowała, cieszył się Reszyd, że wojna weźmie lepszy, niż poprzednio, obrót. W połowie października (1855) pisał on do księcia Czartoryskiego.

..... Je ne partage pas, mon prince, l'avis que la marche des affaires politiques est défavorable à votre patrie. J'aime à penser plutôt que les illusions d'une paix précaire étant désormais inadmissibles, et le seul moyen de rétablir l'équilibre européen sur des bases solides étant celui de poursuivre avec énergie la guerre, qui ne pourra ainsi qu'acquérir de l'extension, les événements ne manqueront pas d'amener sur le terrain la question de la Pologne. Quant à la Turquie, vous savez que ses sympathies pour la noble nation dont Votre Altesse est le chef, sont inhérentes à son système politique séculaire. Quoi qu'il en soit, soyez sûr que dans toutes mes pensées je ne sépare pas les intérêts de nos deux pays...

Nie było Reszyda przy władzy, kiedy negocyowano i podpisano pokój paryzki. Rząd turecki zawdzięczając gotowość, którą Polacy do jego obrony okazali, zaprosił ich do osiedlenia się w Turcyi i obiecał im wielokrotne ułatwienia. Gdy jednak Porta nie spieszyła się z dopełnieniem swych przyrzeczeń, Reszyd Pasza, chociaż od spraw publicznych usunięty, ofiarował w dobrach swoich pomieścić kilkuset dawnych żołnierzy polskich i przyjął na siebie wielki nakład, któregoby wymagać mogło założenie wsi polskiéj na wschodzie. Oto słowa, któremi donosi, że projekt ten został już w części wykonany:

Je me plais à penser que Votre Altesse aura appris avec satisfaction que j'avais fondé sur mes terres en Thessalie une colonie polonaise, où, pour commencer, cent cinquante colons ont été déjà installés. Je n'ai point hésité à faire les avances nécessaires

au début de cette œuvre, à laquelle S. M. impériale le Sultan a bien voulu autoriser son gouvernement à contribuer de toutes les manières. C'est aux colons polonais désormais à prouver par leur travail assidu que la mesure adoptée en leur faveur est de nature à leur donner une prospérité dont le pays profitera, ainsi que leurs compatriotes, cet asile étant ouvert à un plus grand nombre d'entre eux, dès que le succès aura couronné l'essai fait sur les premiers.

Ta była ostatnia usługa, którą Reszyd mógł oddać Polakom. Wielu bliższych przyjaciół i doświadczeńszych gospodarzy, przedstawiając trudności z któremi musi spotkać się wszelka na ziemi obcéj kolonia, odradzało jéj tworzenie i zapowiadało straty nieuchronne. «Mniejsza o straty, odpowiedział Reszyd, mnie nie idzie o wydatek ani o spekulacyą; ja chcę okazać Polakom życzliwość moję, ja to robię dla Polski, a mam nadzieję że się doczekamy jéj odbudowania.»

Ze śmiercią Reszyda straciła dziś Turcya najcelniejszego męża stanu; my, straciliśmy jednego z najwierniejszych i najszlachetniejszych przyjaciół Polski. A choć nie ziściły się jego nadzieje, iżby za życia swego oglądał kraj nasz niepodległy, to jednak zasługi jakie położył w ubezpieczeniu i wzmocnieniu Turcyi, szkody które zadał przewadze polityki rossyjskiéj, i szereg znakomitych ludzi stanu, których przygotował i po sobie zostawił, nie przeminą, da Bóg, bez wpływu na przyszłość.

OBEJRZENIE SIĘ NA ROK 1857.

23 i 30 stycznia.

I

Zwykle wszystkie dzienniki żegnają rok stary, witają nowy. Zwyczaj dla nich uciążliwy, a dla czytelników mało pożyteczny, przynoszący najczęściéj czczą igraszkę wysileń dowcipu, rzadko kiedy przydatne poglądy na upłyniony okres dwunastomiesięczny. Wyjątkowe położenie pisma naszego powoliło nam uchylić się i od ceremonialnéj i od sprawozdawczéj powinności.

W chwili kiedy dziennikarstwo oparte stopami — że się tak wyrazimy — na jakimkolwiek kawałku ziemi własnéj, mogło układać powinszowania, życzenia, lub sprawozdania, uczuliśmy najmocniéj, i nie bez głębokiéj boleści, nasze stanowisko tułacze, napowietrzne, zawieszone całkiem w myśli, w duchu. Z téj wyżyny patrząc w stronę, gdzie zawsze zwracają się wszystkie nasze troski i usiłowania, winszować nie mieliśmy czego, wynurzać życzenia uważaliśmy za rzecz zbyteczną, a zstąpić do obliczania naszych popasowych czynności w obozie pielgrzymim, brakło nam ochoty bo myśl i czucie wyrywały się daléj. Myślą byliśmy na

całym obszerze ojczystéj ziemi, uczuciem łamaliśmy opłatek ze wszystkimi, co wspólną z nami związani ideą i miłością, wielkie święto Bożego Narodzenia obchodzili przy ogniskach domowych. Błogosławiąc słowu, które zdaje się nam być symbolem udziału w uczcie braterskiéj, zastanawialiśmy się nad tém, jaki pamięcią zbierana przeszłość może wskazywać kierunek wspólnéj naszéj służbie dla przyszłości.

Roczne kółko bieżącego łańcucha dziejów odsunęło się tyle, że możemy je objąć wzrokiem jak osobną paciórkę w różańcu naszéj pokutniczéj i błagalnéj modlitwy. Już to dwudziesta siódma! — a wszystkie, chociaż równie posępnéj barwy, mają jednak właściwe sobie i bardzo wybitne piętna. Ogień zapału, blask nadziei, wir wyobrażeń, zawiedzione oczekiwania, stracone ofiary, krew, łzy, i nakoniec niemal zwątpienie, zostawiły ślady na każdéj. Przenizane nicią narodowego przeznaczenia, któréj końca nie widać, a tocząc się wśród zagadnień i wstrząśnień świata, tém są niewyraźniejsze im bliższe. Ostatnią z nich osłania jeszcze pomroka, jaka zwykle unosi się nad obecnością, bo w téj wieczor styka się z rankiem.

Nikomu wszakże nie pilniéj jak nam przedrzeć tę zasłonę, żeby wiedzieć dokąd kroki nasze kierować. Czy świat osięgnął pewien punkt swego dążenia i zadowolniony nadługo zatrzymał się na nim; czy zmordowany daremnemi wysileniami opuścił to wszystko, czego niedawno tak gorąco pragnął, o czém tak namiętnie rozprawiał, co tak żywo przeczuwał, a straciwszy wszelki popęd ku celom wznioślejszym, zatopił się całkiem w widokach materyalnego bytu? Pytanie to najmocniéj nas obchodzi, najbliżéj dotyka żywotnych zadań narodowości naszéj. Nie myślimy go tu rozwiązywać szerokim wykładem; śmiemy jednak powiedzieć, że ani zadowolnienia, ani zdobytego stanowiska nie masz, i wiek nasz sporo kroczy ku wszystkiemu, co

w jego żądzach i przeczuciach było prawego, tylko nie drogami woli i rachuby ludzkiéj, ale pod siłą opatrznego parcia.

W wielkim ciągu przyczyn i następstw dziejowych poźniejszym dopiero czasom stają się widocznemi chwile datujące nowy kierunek, albo nowy stan rzeczy. Rok upłyniony, chociaż zapewne nie będzie stanowił znaczącéj epoki, wyprowadził na powszechniejszy i wyraźniejszy widok dwa ogromne zjawiska. Z jednéj strony odsłoniła się Azya jak niezmierne pole, na którém końce zwikłanych interesów europejskich rozwinąć się i spotkać się muszą; z drugiéj, wystąpiła na scenę kwestya solidarności europejskiéj, która bez poruszenia najgłębszych zasad ustalić się nie da. Zdaje się, jakby Europa powołana wynieść swoje życie cywilizacyjne na rozleglejszą przestrzeń, nagloną razem była zakończyć rozrachunki domowe, zrealizować u siebie cały kapitał ducha chrześciańskiego. Cokolwiek bądź, konieczność pchnąca Europę na jakieś nowe koleje, niewątpliwie daje się widzieć w tym popędzie reformacyjnym, który tak szybko przeniknął Rossyą aż do dna i wzruszył potężne żywioły martwo leżące od wieków.

Zadanie europejskie, na punkcie do którego doszło, mocniéj niż kiedykolwiek zetknęło się z narodowém zadaniem naszém. Nic tu nie masz nowego, tylko przedmiot działania na drodze praktycznéj stał się wyraźniéj określonym i dostępniejszym. Parci także jesteśmy do rozrachunków w domu, do natężenia i rozlania aż do dna społeczeństwa tego pierwiastku, który stanowi indywidualność Polski w dziejach i nadziejach. Dźwignienie się orężne, zmartwychwstanie polityczne, zawsze świeci przed nami, jak gwiazda ożywiająca w nas energią i zapał; a ilekroć chmury je nam zakryją, mamy za hasło gotować i skupiać siły narodowe. Otoż hasło to, w swojém wyrażeniu ogólném, słabo działające na nasze umysły i serca, ma już dzisiaj na każdéj

stopie ziemi ojczystéj wyraźny, wielki i naglący przedmiot zastosowania. W epoce wypadków niespodziewanych, kiedy tajemna potęga myli albo wstecz obraca zamiary i dążności potęg ziemskich, któż zaręczy, że nasza gwiazda nie wynurzy się z mgły prędzéj, niżeli to rachuby rozumowane obiecywać mogą. Lękać się trzeba, żeby nas nie zastała niedość gotowych.

Ośmieliliśmy się rzucić te myśli, bo nie należą do nas samych; moglibyśmy poprzeć je mnóstwem napomknień i zdań pokazujących, że pod wieloraką postacią, w różném skierowaniu widoków krążą po kraju. Mniemamy i spodziewamy się, że rok bieżący da ujrzeć tam wpływ zmienionego położenia odbity znacznie, przynajmniéj w ruchu umysłowym i piśmienniczym. Tymczasem chcemy obejrzeć się jeszcze pobieżnie na stan kraju, jaki był w roku upłynionym. Za punkt środkowy widokręgu, musimy dla wielu powodów wziąść Królestwo i jego stolicę, a ztamtąd poglądać tylko dorywczo na inne części Polski.

Dzienniki warszawskie przyniosły nam roczne swoje sprawozdania, wypracowane staranniéj, niżeli dawniéj to bywało; skupiliśmy w pamięci nasze własne spostrzeżenia troskliwie zbierane : jednakże to wszystko chociażby wystarczyło na dokładny sumaryusz faktów, nie wystarcza w wielu rzeczach na zrobienie tego sądu, jakibyśmy mieć pragnęli, nie zaspakaja wielu ważnych zapytań, nastręczających się mimowolnie. Przy najszczerszych chęciach, sprawozdawcy wypowiedzieli tylko co wypowiedzieć mogli; przy najmocniéj wytężonéj uwadze dostrzegliśmy tylko, co zdaleka dostrzedz się daje. Dotkniemy téż lekko główniejszych jedynie przedmiotów, tak je stawiąc, aby przypominały czytelnikom ogólne kwestye, któreśmy nieraz obszerniéj roztrząsali. Będzie to w części usprawiedliwieniem naszego sposobu zapatrywania się na rzeczy krajowe, a w części programem dalszych prac naszych.

Wypada naprzód zliczyć fakta wynikające z postanowień rządowych. Pierwsze miejsce trzyma, obsadzenie stolicy metropolitalnéj, na którą powołany został dotychczasowy administrator archidyecezyi warszawskiéj, biskup Fijałkowski. Jednocześnie mianowani zostali biskupi kujawsko-kaliski i podlaski, tudzież sufragani podlaski i lubelski; zkompletowano także kilka kapituł i kolegiat. Obok téj sprawiedliwości domierzonéj Kościołowi katolickiemu, rząd czynił silne zamachy na dyecezyą chełmską, usiłując resztkę unitów do schyzmy zagarnąć.—Góruje następnie w kronice zeszłorocznéj ustanowienie Akademii medycznéj, które dla kraju obdartego pierwéj ze wszystkich instytucyj i zasobów naukowych, jest łaską i dobrodziejstwem. Liczbę zakładów naukowych dla płci żeńskiéj w Warszawie pomnożyła pensya rządowa o pięciu klasach. Wprowadzono w wykonanie nową organizacyą gimnazyów filologicznych; ułożono dla instytutu wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie nową ustawę odpowiedniejszą jego celowi; postanowiono urządzenie pięciu szkół gospodarstwa na prowincyi; płacę nauczycieli znacznie powiększono; przeznaczono 170 stypendyów rządowych dla uboższych uczniów szkół rozmaitych. Wszystko to pokazuje dobrą wolę u góry i dbałość przynajmniéj o instrukcyą; jak idzie wykonanie téj woli i jak stoi przytém wychowanie moralne, o tém chyba na miejscu dowiedziećby się można. Tu dodać należy zatwierdzenie ustawy Towarzystwa Rolniczego na rozległych zasadach i przywilejach opartéj, z czego kraj spodziewa się korzystnego wpływu na rozwój nauk do praktyki rolniczéj zastosowanych. Wprowadzenie nowéj taryfy celnéj dla Cesarstwa i Królestwa zniżyło opłaty od artykułów najpowszechniéj potrzebowanych. Odstąpienie na mocy najwyższego ukazu, kolei żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj i mającéj się wybudować w ciągu lat trzech Warszawsko-Bydgoskiéj Towarzystwu pod firmą *Epstein*

i *Milde*, dla uważających rzeczy jedynie pod względem korzyści materyalnych, zdaje się być szczęśliwym wypadkiem, przyspieszającym tę chwilę kiedy Warszawa stanie się ważnym punktem tranzytowym. O wtargnieniu téj spółki spekulantów cudzoziemskich ze swoją administracyą niemiecką, mówiliśmy obszernie. Jeżeli dodamy konwencyą podpisaną w Berlinie przez obustronnych pełnomocników w przedmiocie połączenia drogi żelaznéj Petersbursko-Warszawskiéj z Królewiecką i przepisy paszportowe przedłużające wolność pobytu za granicą do lat pięciu, będzie to wszystko, co pieczołowitość i łaskawość rządu dla Królestwa Polskiego wyraża. W ogólności wszakże kraj swobodniéj oddycha i miewa czasem z łaski monarszéj drobne pociechy dla uczuć narodowych. Powolenie wydania znacznéj części dzieł wielkiego wieszcza naszego obudziło powszechną i rzetelną radość. Liczne rodziny powitały wracających z Syberyi i dalszych stron Rossyi uwolnionych pokutników. Nie znajdujemy żadnego śladu ogólnego wrażenia z powrotu kilkuset emigrantów.

Zwracając się do względów na stan kraju, więcéj zależny od usposobień i usiłowań narodu niżeli ukazów rządu, musimy począć jak słusznie poczęły sobie sprawozdania dzienników warszawskich. Bierzemy z nich i kładziemy tu kilka rysów skreślających usposobienie i dążność ogółu. Społeczność nasza — powiadają — nie oglądając się na przeszłość i przyszłość, zajęta jest nienasyconą żądzą użycia chwili obecnéj. Prędko zapomina nauk doświadczenia, nie zważa na przestrogi, rwie się biedz daléj i daléj, jakby już blizką była celu wędrówki, albo widząc przed sobą niezmierną do przebieżenia przestrzeń, lękała się tracić czasu na obrachunek swéj drogi. Cecha ta zbyt wyraźna we wszystkich klasach społeczności, wiek nawet, zdolności i usposobienia indywidualne, nie nastręczają tu wiele wyjątków. Życie nad możność majątkową, o którém tak wiele pisano

w tym roku, doszło do niewidzianego jeszcze stopnia u nas, zarażając przykładem nawet tych, którzy dotąd trzymają się na uboczu w pozycyi odpornéj. Starzy ojcowie... usiłują biedz razem z synami, razem z nimi trawią ostatki sił i mienia. W tych to przyczynach trzeba szukać szczególniéj wykładu faktów zewnętrznych, i ze stanowiska kryzys duchowego zapatrywać się na kryzys finansowe. Jedno i drugie przyszło do nas z Zachodu.

Rok upłyniony przyniósł dostatek chleba i zadawalający stan zdrowia, dwie wielkie podstawy dobrego bytu, pomyślność jednak ogólna nie podniosła się bynajmniéj. Zbytek nie przestał ciągnąć za sobą drożyzny artykułów, które stały się niezbędnémi, a zniżenie cen zboża sprawiło upadek dochodów z dóbr ziemskich. Przesilenie finansowe, które przyprawiło o zgubę parę rzeczywistych i kilka urojonych fortun, istniało już oddawna tam gdzie budżet wydatków przechodził dochód. Stosunkowo do krajów zachodnich, bankructw pokazało się nie wiele, ale to nie skutkiem zamożności kraju, lecz że przemysł spekulacyjny mało jeszcze w nim rozwinięty. Gdyby nieumiarkowany, bezcelowy, a coraz rosnący popęd do przejażdzek za granicę, nie wywoził bezpowrotnie wszystkich prawie zapasów gotówki, gdyby bogatsi, których jest niewielu, zamiast niebezpiecznego — jako to tegoroczne doświadczenie pokazało — lokowania kapitałów swoich na bankach zagranicznych, obrócili je na potrzeby przemysłu i handlu krajowego, katastrofy świata bankierskiego małoby dawały się uczuć i stan kraju mógłby być daleko pomyslniejszy.

Po tych uwagach smutnych a nastręczających wiele do rozwiązania zagadnień, napotykamy słowa lepszéj otuchy i wróżby : pomyślniejsza przyszłość ukazuje się w nadziejach, a zarody jéj tkwią już w gruncie naszym. Są powody do mniemania, że młodzi korzystając z do-

świadczenia starszych i własnego, opamiętają się w zapędzie, i przestawszy marzyć o cudownem wzbogaceniu się w jednéj chwili, oparci na rozumniejszych, istotnych podstawach wzajemnéj ufności i wiary, wezmą się do pracy mozolnéj, ale uczciwéj, któréj skutek zawsze niezawodny.

Słowa te przynoszą nam tém większą pociechę, że utwierdzają nas w przekonaniu, jakiego nabieraliśmy z własnych postrzeżeń w ciągu roku; mamy tém większą rękojmią poprawy, że rola tak tych co nawołują, jak i tych, co się skłaniają do zwrotu ku zajęciom się obiecującym niezawodne owoce, stanie się łatwiejszą. Praca wytrwała i rozumna, piękne godło! — ale niedość je głosić, trzeba obok zachęcań i napomnień podawać sposoby, wytykać praktyczne przedmioty, a mianowicie w narodzie tak pełnym serca, imaginacyi i ognia jak nasz, wskazywać punkt moralny i wzniosły, do którego wszystkie drogi usiłowań zbiegać się mają. Bez téj dźwigni trudno u nas wydobyć, a trudniéj jeszcze utrzymać jakąkolwiek działalność. Z tém zadaniem łączy się ściśle rozsądzenie niektórych ważnych sporów w pojęciach. Widzimy ciągle w kraju skwapliwe, prawie mimowolne naśladownictwo Zachodu, i słyszymy nieustanne wyrzekania przeciw niemu. Na tych samych kartach pism znajdujemy zalecanie przemysłu i potępianie jego, jako krzewiciela materyalizmu. Darmo chcieć opierać się prądowi cywilizacyi wyżéj, chociażby mętnie wezbranéj. Spokojność, solidarność Europy, nie jest tylko systematem wymyślonym w górnych sferach polityki, wyrobiła się ona na całym poziomie życia, krąży po nim pędem elektryczności i pary; darmo również chcieć obejść się bez przemysłu i handlu: idzie tylko o to, żeby mieć własne ognisko, któreby czyszcząc obce i materyalne wpływy, obracało je na zasiłek, nie zaś na rozprzężenie naszego jestestwa. Pozostaje wiele do mówienia w téj mierze, i przedmiot ten rozległy od-

kładamy do częściowego traktowania w osobnych artykułach.

Wspomnieliśmy o pojęciach i pismach i musimy rzucić okiem na ruch umysłowy i pismienniczy, w którym zresztą najmocniéj zbiera się i odbija cały obraz stanu krajowego.

Oddać winniśmy naprzód sprawiedliwość dziennikarstwu. Pisma codzienne uczyniły znaczny postęp, spoważniały, podniosły ton, starały się więcéj odpowiadać swemu powołaniu. Przyznajemy, że jak same powiadają o sobie, były pod pewnémi względami w przekorze z publicznością roztargnioną, obojętną, chciwą nowinek. Pisma zbiorowe, do dawnych dodały nowe zalety i wszystkie mają rzeczywistą wartość. Zarzucają im brak krytyki, czyli raczéj zajęcia się krytyką. Zarzut ten zdaje się nam być niesłusznym, albo raczéj źle wyrażonym. Krytyka jest, ale powszechnie przyjętego *criterium* nie masz. Niedostatek w literaturze, odpowiadający innemu niedostatkowi w społeczeństwie.

W ogólności ruch pismienniczy był mniejszy, jak w latach poprzednich. Sprawozdania jednak nie przyklaskują mu jak niegdyś, nie widzą w nim głównéj osi losów krajowych; owszem wyznają, że garstka ludzi wyłącznie poświęcających się zatrudnieniom literackim, pracuje i krząta się gorliwie, ogół zaś czyta od niechcenia, obojętnie, bez prawdziwego zasmakowania i bez celu. Mamy do zanotowania tutaj i do bliższego rozważenia późniéj, oznaki zwrotu ku ważniejszym gałęziom literatury, ku historyi szczególniéj. Powieść zdaje się być zagrożona detronizacyą; w feletonach bywa pomijaną od czytelników. Poezya — o téj nie mogąc dosyć powiedzieć, wolimy zupełnie na teraz zamilczeć. Dodamy nakoniec, że i artyzm doświadcza zmiennéj doli. Malarstwo straciło względy publiczności; muzyka więcéj niż kiedykolwiek cieszy się niemi.

Poza obrębem Królestwa, ruch pismienniczy ma zna-

czne ognisko w Krakowie, rozciąga się do Lwowa, słabo drga w Poznaniu. Wilno nie było bez silnego w nim udziału, ale tylko przez prace i wydania pojedyncze. Niedawno dopiero zawiązało się tam pismo zbiorowe pod tytułem *Teki Wileńskiéj*, któréj nie znamy jeszcze zblizka. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Krakowie, pod przewodnictwem czcigodnego swego prezesa, zwróciło zewnętrzną czynność do zbudowania sobie domu, położyło jego kamień węgielny i wzniosło ściany, których każda cegła jest datkiem sympatyi narodowéj. Towarzystwo Naukowe Poznańskie, po zajęciach się organizacyjnych i funduszowych, przystępuje do prac właściwych swemu powołaniu. Prezes jego wyznaczył z własnéj kieszeni nagrodę za napisanie *Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce*, co można wziąść za piękną zapowiedź, że duch obywatelski będzie kierował usiłowaniami naukowemi. Komisya Archeologiczna Wileńska, także zagrzewana i wspierana czynną gorliwością swego prezesa, zgromadza szacowne zbiory, budzi umysły do zajmowania się rzeczami ojczystemi. W całym kraju widać ogólny popęd do wydobywania, gromadzenia i ocalania wszelkiego rodzaju zabytków naszéj przeszłości. Sztuka znalazła tu dla siebie swojskie pole do uprawy. Mnożą się okazałe i nie bez zalet artystycznych albumy, zbiory wizerunków przedstawiających okolice, gmachy, pomniki i drobne nawet przedmioty historyczne. To skierowanie się umysłów i serc ku głębiom dziejów i wspomnień, to zwrócenie miłości ku szczątkom, ruinom i wszelkim świadectwom dawnego bytu, miałoby charakter smutnéj jakiéjś rezygnacyi, żałobnego rozpatrywania się w inwentarzu dóbr straconych, gdyby przy tém mnogie oznaki żywotności narodowéj, nie dawały nam rękojmi, że duch Polski dlatego zanurza się w przeszłość, żeby tém pewniéj owładnął obecnością i tém wyżéj szczeblował w przyszłość.

Pod tym względem przebiegając myślą wszystkie części ziemi naszéj, widzimy, że krainy przyciśnione berłami niemieckiemi, pasują się najcięźéj z wpływem żywiołów gaszących ich narodowe życie. Księstwo Poznańskie, duszone w sieci trudności finansowych, w trwodze razem o wychowanie dorastającego pokolenia, sprowadza zakony Urszulanek i Sercanek. Galicya, trapiona sprawą uregulowania stosunków włościańskich, i nurtowania niemczyzną, daje się z tém słyszeć, że kaznodzieje dzielnie przyczyniają się do ocalenia u niéj języka polskiego. Tu wypadałoby nam mówić o powszechnie objawiającym się u nas ruchu religijnym; nie mogąc o nim pobieżnie traktować, wspomniemy tylko, że zewnętrzne swoje zastosowanie znajduje głównie na polu dobroczynności. Co do Litwy, o téj zawsze najmniéj wiedzieć możemy; ale tam zaszedł fakt jeden, który wszystkie względy na religijność, narodowość i dobroczynność skupiając w sobie, sprowadza wszystkie widoki nas zajmujące do jednego punktu. Mówimy o poruszonéj tam kwestyi włościańskiéj. W tym punkcie górującym naszych zadań narodowych spotykamy się z owém ogólném zadaniem Europy, któreśmy uznali za główną cechę upłynionego roku; a tak zamyka się koło naszego poglądu, obejmującego mnóstwo ledwie dotkniętych faktów, z których każdy, o ile można będzie, stanie się przedmiotem obszerniejszego wykładu w piśmie naszém.

II

W obejrzeniu się na rok przeszły, sprowadzając różnostronne widoki do jednego punktu, ukazaliśmy sprawę włościańską jako ognisko, które obecnie środkuje w sobie wszystkie zadania narodowości naszéj. Słuszność takiego uważania rzeczy, potwierdzają liczne myśli i

zdania rozsiane po dziennikach krajowych, a pokazujące i żywy zwrót umysłów ku temu przedmiotowi i pełną dobréj wróżby dojrzałość sądu. Zbierzemy je tutaj pod jeden rzut oka, wiążąc w całość główniejsze przynajmniéj szczegóły.

Wielka sprawa wyzwolenia i podniesienia stanu włościańskiego, występując koleją w różnych częściach Polski, uważana była zawsze w obrębach okoliczności i warunków miejscowych; za poruszeniem jéj dopiero na rozległych przestrzeniach zaniemeńskich i zabużańskich, przybrała postać ogólnego zadania i jedném drgnięciem przebiegła wszystkie serca, w których ma tętno przeszłość i przyszłość ojczysta. Nie jesteśmy bez doświadczenia i pewnego postępu na téj drodze. Księstwo Poznańskie, Galicya, Królestwo Polskie przedstawiają już trzy stopnie dzieła, poczynającego się teraz w stronach wschodnich dawnéj rzeczypospolitéj naszéj. Są wzory, przykłady, przestrogi domowe w téj dziedzinie zespolonéj nie jednym węzłem przyrodzonym i historycznym, a dziś w całéj rozciągłości dotkniętym. Z Księstwa téż i z Galicyi odzywają się głosy obywatelskie, w których widać głębokie zastanawianie się nad własném położeniem, w chęci wydobycia ztąd światła dla ogólnego pożytku, pilny rozbiór przebytych kolei dla nauki tym, co wstępują na podobną drogę. «Spodziewamy się — mówi — jeden Wielkopolanin — że bracia nasi chętnie przysłuhciwać się będą głosom tych, którzy już własném są zbogaceni doświadczeniem, jedni ciężkiém, drudzy bolesném, ale wszyscy korzystném dla przystępujących poźniéj od nich do rozwiązania tego żywotnego zadania.» Z innéj strony, Galicyanin, biorąc także za punkt wyjścia kwestyą włościańską, zwraca uwagę na smutny stan Księstwa Poznańskiego i badając przyczyny zaszłych tam trudności, usiłuje dać przestrogę tak swojéj prowincyi jak wszelkiéj innéj części kraju, któraby mogła przez podobne położenie być wysta-

wiona na podobne próby. Oto są w skróceniu jego słowa:

«Poznańskie uważane było dotąd za część dawnéj Polski, materyalnie jak najlepiéj stojącą. Miało porobione gościńce, drogi żelazne, pozaprowadzane instytuta kredytowe różnego rodzaju. Rząd pruski w układach z Rossyą, starał się zawsze wyjednać jak najkorzystniejsze stosunki dla prowincyj swoich z Królestwem i Cesarstwem. Zkądże to więc pochodzi, że wielka część obywateli poznańskich, widzi się obecnie w niemożności uczynienia zadość swemu zobowiązaniu względem zakładów kredytowych, i zmuszona jest wyzuć się ze spuścizny swych pradziadów? Co w tém najbardziéj przeraża, to jakaś fatalność, skutkiem któréj nieustannie i nieuchronnie, krok po kroku, bez widocznéj przemocy i gwałtu, jesteśmy wypierani z odwiecznych naszych siedzib. Warto zastanowić się ile w tém własnéj naszéj winy, a zastanowienie się to powinno obchodzić kraje, w których warunki produkcyi stały się podobne, przez co i podobne niebezpieczeństwa im grożą.

»Uregulowanie stosunków włościańskich zrobiło w Poznańskiem, równie jak w Galicyi, potrzebę kapitału; ale Poznańskie znajdowało się okolicznościach pomyślniejszych : Europa była natenczas w zupełnym pokoju, produkcya zostawała pod wpływem swych naturalnych warunków, stopa procentowa stała nizko. Chociaż więc zmiana gospodarstwa pańszczyznianego na pieniężne, sprawiło gwałtowną potrzebę gotowizny, kredyt właścicieli ziemskich nietylko nie upadł ale owszem wzmógł się nadzwyczaj. Towarzystwo ziemskie i inne kredytowe instytuta chętnie przychodziły im w pomoc, prywatni nawet kapitaliści nie wahali się powierzać im swoich kapitałów, przestając na nizkim procencie, bo wiedzieli że wartość hipoteki z każdym rokiem będzie wzrastała. Na nieszczęście, właściciele ziemscy nie przypuszczając aby to kiedykolwiek zmienić się mogło, marząc owszém o coraz większym wzroście wartości swych majątków

ziemskich, obciążyli je pożyczką nad siłę, a co gorsza, pożyczki téj użyli nie na to, na co jedynie powinna była być użyta, to jest na powiększenie stałego dochodu z dóbr swoich, ale na cele uboczne lub wydatki zbytkowe : dziś pokutują zato. Dopóki stopa procentowa trwała nizka, a zboże utrzymując się w cenie miało odbyt, wszystko szło dobrze. Właściciel, częścią lab połową dochodu opłacał raty obejmujące procent i stopniowe umorzenie długu. Ale powoli, właśnie sama nizkość procentów podnieciła różne przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe. Potrzebowanie kapitałów zwiększyło już stopę procentową, następnie wypadki wojenne wstrząsając kredyt, podniosły ją jeszcze wyżéj. W miarę jak wzrastała stopa procentowa, spadała cena majątków ziemskich. Dochód, który uważany jako 3 od sta, reprezentował 100 tysięcy talarów, policzony na 6, wyobrażał już tylko 50 tysięcy kapitału. Ziemia przytém straciła na ponęcie, skoro namnożyła się masa papierów reprezentujących wartość rozmaitych .przedsiebiorstw przemysłowych, które obiecywały korzystne dywidendy. Kto z właścicieli ziemskich w czasach taniości kapitału pokusił się na zwiększenie pożyczki, ujrzał się nagle obróconym na dzierżawcę wsi swojéj. Póki dochód z gospodarstwa wiejskiego nie zmniejsza się, zmiana wartości dóbr ziemskich czuć się nie daje. Ale niech tylko warunki produkcyi cokolwiek się zmienią; niech tylko ceny zboża spadną, lub sprzedaż całkiem ustanie, jak np. w obecnéj chwili; niech zarazem ceny wszystkich innych potrzeb do życia pójdą wgórę i tak się na czas dłuższy utrzymają; niech jeszcze nowe podatki lub •jakiekolwiek nieprzewidziane ciężary zwalą się na głowę: wtedy trzeba albo ograniczyć się w zwykłych wydatkach i ująć swoim wygodom, albo naruszyć ową część dochodu, która jest przeznaczona na spłacenie raty procentu i długu, albo uszczuplić ten dochód, sprzedając płody, gospodarskie za bezcen i tem samém postawić się

w niemożności uiszczenia się z wypłat. W takiém położeniu zwykle przychodzi uciekać się do nowéj pożyczki na wysoki procent, a gdy to położenie potrwa dwa lub trzy lata, nie pozostaje nic więcéj jak ogłosić się za bankruta i pozbyć się całego mienia.

»Te wypadki są wielką nauką dla Galicyi, gdzie nagła i gwałtowna zmiana warunków produkcyi, wywołała niezbędną potrzebę kapitałów, a tém samém i kredytowych instytutów których każdy z chciwością domaga się i z upragnieniem oczekuje. Ale Galicya powinna używać kredytu bardzo ostróżnie, żeby zamiast pomocy zguby nie znalazła. Rolnictwo jéj, i w ogólności gospodarstwo wiejskie, stoi jeszcze na nizkim stopniu, a nie podniesie się aż po uregulowaniu reszty stosunków wynikających z uwłaszczenia włościan. Musi ona obliczać procent wedle skali najmniejszego dochodu z ziemi, i potrzebuje naprzód aby kredyt jéj użyczony był tani. Taki kredyt jedynie Towarzystwo kredytowe galicyjskie dać może, i ze wszech sił należy wołać do rządu, żeby dał właściwsze zasady oszacowaniu dóbr, odbywającemu się teraz na podstawie warunków, które już od lat trzydziestu nie istnieją. Bardzo wielu, chcąc sobie pomodz, ucieka się do banku hipotecznego wiedeńskiego. Stopę tego bankn, samą przez się wysoką, podnoszą jeszcze różne opłaty tak dalece, że wszystko razem wzięte, czyni niemal 10 od sta. Pożyczka podobna żadną miarą korzystną być nie może; bo żeby taki procent płacić, trzeba byłoby na to dochodu z hipoteki dwa razy większéj od téj, na któréj się dany kapitał opiera. Powtóre, Galicya potrzebuje kredytu z umorzeniem na długi czas rozłożonem. Przy gospodarstwie wymagającém wielkich wkładów, które mogą tylko wynagradzać się powoli, a niemającém żadnych środków rychłego obracania kapitałem — bo nawet gorzelnia, ta studnia artezyjska dochodu dla dawniejszego właściciela, choć nieobfita ale pewna, w obecnych okolicznościach żadnéj

nie nastręcza pomocy — trudno byłoby wypłacać raty wyrachowane na prędki zwrot kapitału z procentami, a zatém grube. Kto pomijając te wszystkie względy zaciąga długi na wyższy procent, ten albo do spłacania ich ma źródła prócz gospodarstwa wiejskiego, albo po prostu chwyta się ratunku jak tonący brzytwy. Prawda, że własność ziemska, tak co do dochodu jako i cennéj swéj wartości, stojąca teraz w Galicyi tak nizko, że już niżéj spaść nie może, musi pod obudwoma témi względami iść corocznie w górę; ale postęp ten zależny od wielu zewnętrznych okoliczności, będzie powolny, i temu tylko na pożytek wyjdzie, kto podoła majątek ziemski utrzymać wswém ręku. Tymczasem jest rzeczą pewną, że pożyczka lekkomyślna i lekkomyślnie użyta, wytrąci tę własność z rąk zadłużonych jéj posiadaczy i odda w ręce zagranicznych kapitalistów, którzy na wzroście wartości wewnętrznéj dóbr, okupionym łzami, krwią i cierpieniem dawniejszych dziedziców, jedni i jedynie skorzystają.»

Uwagi te i przestrogi, tak słuszne i zbawienne, są dla Galicyi owocem cudzego doświadczenia; ale ze względami powyżéj dotkniętémi łączą się inne, w których ona sama powinna dać przykład i zostawić doświadczenie. Ilekroć mowa o stanie finansowym i gospodarskim prowincyi, zaraz rzecz schodzi do dwóch kwestyj będących bezpośredniém następstwem uwłaszczenia włościan. *Służebnictwa* i *czeladź*, to dziś dwa dotkliwe kłopoty właścicieli galicyjskich. Uwolnienie gruntów szlacheckich od używalności służących włościanom, wprowadzone całkiem na drogę robót administracyjno-biórowych, nie obiecuje ani rychłego ani pomyślnego końca. Czeladź potrzebowana wszędzie, odmawiana nawzajem przez sąsiadów, wabiona naddatkiem płacy, czuje swą ważność, zrywa się z dawnych umów, przy nowych powiększa swe wymagania, a im staje się droższą, tém mniéj uległą i sumienną w pracy. Tru-

dność ze stałą czeladzią, brak najemnika w nagłych chwilach sianokosu, żniwa i t. p. przyprawia gospodarzy o wielkie straty obecnie i trwoży jeszcze bardziéj o przyszłość. Wiele w téj mierze narzekań, rozpraw i podawanych sposobów; wszystkie jednak tchną nieufnością we własne środki i kończą się wzniesieniem błagalnego głosu do rządu. «Tylko wysoki rząd może zaradzić złemu i podźwignąć rolnictwo z upadku; tylko kierunek zgóry może zapewnić dobry skutek przedsiębranym urządzeniom stosunków,» to są najczęściéj napotykające się i zaiste niepocieszne zdania. Rolnictwo i gospodarstwo wiejskie — powiadają jedni — nie podniesie się u nas, dopóki *ustawa* o czeladzi nie przyjdzie im w pomoc, a *rozum* nie przemoże u włościan naszych innych nienawistnych wpływów i nie skłoni ich do podania ręki podczas siejby i żniw większym posiadaczom ziemskim. Zerwane już dawne związki patryarchalne — mówią drudzy, — należy szukać związku nowego w interesie wzajemnym, przeciw tworzącemu się monopolowi pracy postawić monopol lasów i pastwisk, a tak zmusiwszy dwa monopole do układania się i równoważenia, w wykupnie służebnictw przyjąć za zasadę wypłatę robocizną. Taki stan rzeczy i pojęć wywołuje koniecznie szereg wyższego rzędu zagadnień i zapytań. Jakże to, po tylu wiekach patryarchalnego stosunku, pozostaje nam tylko stosunek interesu; po stracie pańszczyzny jedyny środek w przymusowéj robociznie? Czyliż wszystkiemu ma zapobiedz ustawa, a ta całą swoję moc, słuszność i zatém skuteczność, może mieć tylko w woli i powadze rządu? Jak nakoniec zrobić, żeby dobrze zrozumiany interes i rozum włościański, przeważył nienawistne wpływy?... To wszystko wyprowadza i podnosi kwestyą na wznioślejsze stanowisko. Praktycznemi zadaniami, dotkliwym kłopotem naglone umysły, zwracają uwagę na moralność i oświatę ludu, budzą troskliwość o mnożenie, spierają się o kierunek szkołek

wiejskich. Do rozpraw poważnych, miesza się lekkie pióro literatury nadobnéj, kreśli powiastki, wierszyki, obrazki tendencyjne. Jeden z takich obrazków dał powód jakiemuś kapłanowi do odezwania się bezimiennie z uwagami, które zdaniem naszém, dotykają téj strony przedmiotu, gdzie leży główny węzeł wszystkich zagadnień. Ubolewających nad zerwaniem poddańczo patryarchalnych stosunków, i niewidzących sposobu jakby złączyć rozprzężone wyższe i niższe czynniki narodu, zapytuje on, czy teraz chłopek z pod wszelkiego wpływu szlachcica usunięty, i czy jakakolwiek ustawa dokazać zdoła, aby zasada ewangeliczna miłości bliźniego ze społeczeństwa chrześciańskiego wyrugowaną być mogła? Co do szkółek wiejskich, co do roztrząsań do czego ma zdążać oświata ludu, kończy tém, że lud nasz nie szedł nigdy inaczéj, jak za przewodnictwem wiary i tylko tą drogą można go prowadzić daléj zgodnie z zamiarami Opatrzności. — Kiedy tak miejscowe kłopoty przywodzą do obrachunków sumienia, do rozpatrywania się w dawnych błędach i zaniedbaniach powinności, do szukania i prostowania dróg poprawy, uczucie braterskie zwraca się ciągle ku tym, którzy mają jeszcze zostawiony sobie czas, na posadzie nierozerwanych stosunków, gotować się do niezbędnéj ich zmiany. Pomiędzy głosami z Poznańskiego jeden tak się odzywa : « W bolesném położeniu naszém wielką to dla nas pociechą, że szlachta polska dała popęd w ogromie cesarstwa do polepszenia losu włościan ; choć w części spełni się tym sposobem ślub Jana Kazimierza. Ale nie bez pewnych obaw poglądamy na tak pięknie poczętą sprawę... lękamy się, aby to co jéj ściele drogę tyle różną od ciężkich kolei przybytych gdzieindziéj, nie było pomostem do wkroczenia panslawizmu... Spodziewać się należy, że szlachta za Niemnem i Bugiem, pomna na swoje święte obowiązki, nie zaślepi się zbyt wyłącznym swym interesem, do czego ma zostawioną możność, i chwyci się

sposobności do poświęceń dobrowolnych, tak zresztą zgodnych z prawdzywém jéj dobrem.»

Widzimy tedy jak sprawa włościańska, nadając żywy ruch umysłom, zmusza je nie tylko rozszerzać się w przestrzeń, ale iść w głąb i w górę zadań narodowych. Żywotność tego ruchu ma swoje źródło i razem rękojmię trwałości w praktyczném rozwiązywaniu się téj sprawy. Praktyczność będąca hasłem wieku, jest jeżeli nie cechą, to przynajmniéj potrzebą naszego charakteru. Najrozumniejsze pomysły, najwznioślejsze pojęcia, najświętsze nawet prawdy, póki trzymają się w sferze teoryi, doktryny, dogmatu, nie wywierają u nas mocnego i trwałego wpływu; dopiero na polu zastosowania, na drodze czynu trafiają do przekonania i uczucia. Za przykład w téj mierze może posłużyć fakt świeży, o którym winniśmy powiedzieć słów kilka.

Zawiązanie się Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém, na mocy ustawy zatwierdzonéj przez Cesarza w ostatnich dniach roku zeszłego obudziło żywy i powszechny interes. Z Poznańskiego, gdzie rząd założenie podobnego Towarzystwa zdusił w samym zarodku, korespondencye pisane do dzienników, tchną żywém współczuciem, a razem pokazują jak szczegóły odnoszone są do ogólniejszych widoków. Od pierwszéj chwil przewidowano tam, kto powołany zostanie do przewodniczenia Towarzystwu, dodając, że «powołanie to nastąpi zapewne nie *dla*, ale *pomimo* zasady dzierżawy, a nie własności, co do stosunków włościańskich, którą zasłużony mąż ten reprezentuje.» W Galicyi, posiadającéj oddawna instytucye tego rodzaju, dało się widzieć rozleglejsze i żywsze zajęcie się ich stanem. Towarzystwo Rolnicze Lwowskie przedstawiło do rozbioru pytanie: «Jaka jest przyczyna, że Towarzystwa gospodarskie w ogólności, a nasze w szczególności, tak mało znajdują u współobywateli uznania i poparcia, i jakby temu zaradzić można?» Wszczęła się z tego powodu pole-

mika, objawiły się uwagi, że obojętność nie jest ogólną, że nie żali się na nią np. Towarzystwo Krakowskie, a jeżeli inaczéj dzieje się ze Lwowskiém, to przyczyn tego powinno szukać w sobie, z których główniejszemi są: opieszałość większéj liczby członków i tajność posiedzeń; szukając zaś sposobów zaradzenia złemu, powinno dla siebie i dla kraju wyjaśnić swoje stanowisko, roztrzygnąć wyraźnie, czy ma być naukowo-gospodarskiém, czy reprezentować stan i interesa gospodarzy? W samém Królestwie nakoniec, publiczność okazała dla nowo powstającego Towarzystwa współczucie, jakiego nigdy nie doświadczały dawniéj podobne instytucye. Ciekawa jest historya ich, którą wypiszemy w treści z jednéj korespondencyi poznańskiéj.

Pierwsze Towarzystwo rolnicze w Polsce powstało roku 1810. Prezezem jego był Ludwik Gutakowski (po Stanisławie Małachowskim prezes senatu), wiceprezesem Alexander Potocki minister policyi, sekretarzem Trębicki, wławiony w owym czasie agronom. Z upadkiem Księstwa Warszawskiego upadło i to stowarzyszenie, krótkiego lecz czynnego życia; a przy wzniesieniu się Królestwa, zawiązało się w r. 1815 Towarzystwo gospodarczo-rolnicze, którego prezesem obrano wojewodę ordynata Stanisława Zamoyskiego. Towarzystwo to, chociaż obok prezesa miało w gronie swojém wielu mężów gorliwych o dobro kraju i postęp rolnictwa, przez cały czas trwania konstytucyjnego Królestwa, przy ułatwieniach jakie wtenczas znaleźć mogło, mało rozwinęło swoją działalność i mało okazało się użyteczném. Urządzały się w kraju pojedyńcze gospodarstwa na sposób zagraniczny: zaprowadzono płodozmiany, zajmowano się szczególniéj ulepszeniem i rozmnożeniem owiec. Ta gałąź gospodarstwa stała się wkrótce modą i taką namiętnością, iż ktoś żartobliwie twierdził, że gdy się dwóch na wsi obywateli spotka, nie pytają się, jak się ma żona lub dzieci, ale jak się ma baran sprowadzony z téj lub owéj

sławnéj owczarni. Wychodziły nawet i pisma peryodyczne w przedmiocie gospodarstwa, poświęcone jak *Izys* i poźniéj *Piast* rolnictwu, a *Sylwan* leśnictwu krajowemu. Ale z tém wszystkiem pod namiestniczemi rządami ks. Zajączka, więcéj wznosiły się miasta, fabryki, rękodzielnie, niżeli wsie i gospodarstwo rolne; więcéj on dbał o przyozdobienie kraju niżeli o rozszerzenie zródeł i istotnéj jego pomyślności. «Wszystko co się robiło, było dekoracyą a nie amelioracyą,» mawiał dowcipnie wojewoda Badeni. Kierunek téż umysłów był wówczas gdzieindziéj nie do saméj użyteczności materyalnéj zwrócony. Przed mieszkańcami Królestwa, przed młodzieżą różne zawody i widoki stały otworem. Zaszłe następnie zmiany polityczne, wymowniéj może niż słowa Cycerona o godności i szlachetności rolnictwa, skłoniły wszystkich, z małémi wyjątkami, do zatrudnień gospodarskich. Oświata ludzi ukształconych, rzutkość młodzieży, sprężystość, wytrwałość i nawyknienie do porządku starych wojowników, ożywiały i podnosiły ten rodzaj usiłowań; brakowało wszakże spójni, związku, środków znoszenia się i oświecania się wzajemnego. Tylko w niektórych miejscach, około znakomitszych obywateli i gospodarzy, skupiały się kółka sąsiadów idących za ich przykładem. Takim punktem zjazdów, nawet ze stron odleglejszych, był w gubernii lubelskiéj Klemensów, którego właściciel Andrzéj Zamoyski, urządziwszy gospodarstwo wzorowe, czas wolny od innych a coraz szerszych przedsięwzięć i zatrudnień, poświęcał na próby różnych odkryć i ulepszeń gospodarskich. Jego téż staraniem zawiązanie zostało w Warszawie wydawanie peryodyczne *Roczników gospodarstwa krajowego*. Corocznie w czerwcu, gdy targ wełniany, a następnie wraz z nim wyścigi konne i wystawa zwierząt ściągały do Warszawy liczne grono obywateli, Redakcya *Roczników* odbywała swoje posiedzenia, na których nieraz toczyły się zajmujące roz-

prawy o przedmiotach gospodarstwa krajowego, a przytém zajmowano się i sprawą zmiany stosunków włościańskich.

Opowiedzenie to przyprowadziło nas do chwili obecnéj. Teraz trzeba dodać, że projekt Towarzystwa Rolniczego w Królestwie, z zadowoleniem przyjęty przez Cesarza, wyszedł z Redakcyi Roczników i spółka tego wydawnictwa, w myśl potwierdzonéj ustawy, stała się pierwszym zawiązkiem nowego stowarzyszenia, złożonym z 53 członków spółki i z 20 przybranych przez nią obywateli.

Ustawa Towarzystwa zawiera następne główniejsze przepisy. Towarzystwo ma na celu zjednoczenie pojedyńczych usiłowań dla nadania silniejszego popędu przemysłowi rolniczemu w kraju; zajmować się zatém będzie przedmiotami dotyczącémi gospodarstwa wiejskiego we wszystkich jego gałęziach, oraz naukami z niém związek mającemi. — Towarzystwo będzie się składało z prezesa wybieranego na lat 6, z wiceprezesa, członków komitetu i członków stowarzyszonych, tak czynnych jako i honorowych. Wszyscy obywatele kraju, bez różnicy stanu i wyznania, mogą być członkami czynnymi. — Oprócz posiedzeń zebrania ogólnego, Towarzystwo odbędzie corocznie w czerwcu jedno posiedzenie publiczne, na którém będą czytane rozprawy konkursowe i rozdawane nagrody, tudzież okazywane ciekawsze płody i narzędzia rolnicze. — *Roczniki Gospodarstwa Krajowego,* staną się organem Towarzystwa. — W rozwinięciu ustawy, nadane zostały Towarzystwu przywileje, mocą których ma prawo, udzielać listy pochwalne, przeznaczać premia pieniężne i medale, przedstawiać rządowi zasłużonych w zawodzie gospodarstwa wiejskiego do nagród honorowych.

Dnia 6 stycznia odbył się uroczysty akt otwarcia Towarzystwa Rolniczego. Po nabożeństwie w kościele Wizytek celebrowaném przez metropolitę arcybiskupa

Fijałkowskiego, członkowie założyciele Towarzystwa wraz z władzami duchownemi i świeckiemi udali się do sali gmachu Kazimierowskiego, gdzie już czekała publiczność tłumnie zebrana, a wpuszczana tylko za biletami pierwéj rozesłanémi. W nieobecności słabego na zdrowiu Namiestnika Królestwa, przewodniczył obrzędowi Dyrektór główny prezydujący w Komisyi Spraw Wew., Muchanow. Po odczytaniu ukazu potwierdzającego ustawę i saméj ustawy, zabrał głos arcybiskup i błogosławił dziełu tak pożądanemu dla kraju, a poczynającemu się starym obyczajem od wezwania Boga w pomoc. Następnie Redaktor Główny *Roczników*, hr. Andrzéj Zamoyski przemówił w imieniu swoich dawnych i nowych współtowarzyszy. Nareszcie członkowie obecni przystąpili do wyborów, odbytych jednomyślnie i ogłoszonych natychmiast. Wypadek ich był następny: Prezesem został hr. Andrzéj Zamoyski, wiceprezesem Alexander Ostrowski; w liczbie zaś 16 członków powołanych do składu komitetu, znajdujemy nazwisko Edmunda Stawiskiego, autora świeżo wydanego dzieła pod tytułem: *Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego*, które zyskało powszechnie dobre przyjęcie. — Przez cały ciąg posiedzenia publiczność okazywała jak największe zajęcie się i współczucie. Obecnych w sali i na chórze osób było 1,200 a cichość i porządek świadczyły o wytężonéj ich uwadze.

Towarzystwo Rolnicze w Królestwie ma przed sobą rozległe i piękne pole do prawdziwie obywatelskich zasług. Wszystko wróży, że godnie odpowie swemu powołaniu. Powszechnego nawet zajęcia się niém nie bierzemy za czczy i chwilowy objaw, bo cokolwiek bądź, narodowy nasz ogół ma poczucie istotnéj wagi w rzeczach. Niedawno postrzegliśmy jeszcze jedną oznakę utwierdzającą nas w tém mniemaniu.

Roczne sprawozdania dzienników warszawskich jednozgodnie ubolewały nad usposobieniem ogółu, zarzu-

cały mu płochość, niedbałość i obojętność dla literatury, dla sztuki, dla wszystkiego co nie jest zabawą i rozrywką. Obok tego wyznały jednak z niejakiém zadziwieniem, że od czasu jak otworzono Akademią medyczną, publiczność warszawska licznie i stale uczęszcza na prelekcye, słucha pilnie wykładów z natury swojéj niebawiących. Zdaniem naszém, podobne popędy chociażby stygły z czasem, ulegały zmianie, zawsze są oznaką, że przedmiot odpowiada jakiéjś rzeczywistéj potrzebie, dotyka żywotnych zadań. Zbyteczném téż byłoby żądać, aby ogół we wszystkiém brał stały i czynny udział. W każdém społeczeństwie, im ważniejsze poświęcenia się i obowiązki, tém bardziéj są tego rodzaju, że je mała garstka, a częstokroć jeden człowiek dźwigać musi. Dzięki Bogu, narodowi naszemu nie zupełnie jeszcze brak ludzi dobréj woli.

Ponieważ wspomnieliśmy o Akademii warszawskiéj, dodamy na zakończenie wiadomość, że prezydent jéj radzca stanu Cycuryn, już przybył i rządy objął. Z tego powodu odbyło się 11 stycznia publiczne posiedzenie, na którém dotychczasowy zwierzchnik Kochański, złożył chlubne świadectwo młodzieży, że od chwili rozpoczęcia nauk w niczém nie zasłużyła na najmniejszą naganę. Przemówił potém Prezydent, w języku łacińskim. Mowa jego w tłumaczeniu podana przez dzienniki, wyraża wiele serdeczności i pięknych zasad. Ile ze słychu wiemy o panu Cycurynie, jestto człowiek zacny, rozległéj nauki i szczerze zamiłowany w swojém powołaniu. Chociaż wolelibyśmy na jego stanowisku widzieć rodaka z takiemiż zaletami, w obecnych jednak miejscowych okolicznościach, przy nieustającéj niektórych wyższych urzędników niechęci i wśród stawianych przez nich przeszkód, może to być pod pewnym względem pożytecznėm dla Akademii, że mający powagę u swego rządu Rossyanin stoi na jéj czele.

PRZEWODNIK POLSKI W PARYŻU.

6 lutego.

Czytelnicy nasi, którzy goszczą w Paryżu, poznali już zapewne z dokładnością to, za czém tu zwyczajnie ubiegają się cudzoziemcy. Życie wesołe, dźwięczne i błyszczące, teatra, bale i koncerta, ogrody, galerye i muzea, sklepy bogate, hotele wspaniałe i kryształowe kawiarnie, wszystko co świeci i ku wygodzie służy, co bawi i przyjemnie zadziwia, o czém marzyć, za czém tęsknić wyuczyli się jeszcze w kraju od naszych feletonistów i korespondentów, — wszystko to spokojnie, z przyzwoitym rozmiarem czasu, możnaby powiedzieć z religijną sumiennością zostało już bez wątpienia zwiedzone, zbadane, wszystko to wiernie odbiło się na dnie serca i umysłu,—i dziennik wrażeń zamknięty! Jednych może od wyjazdu wstrzymuje ostatek dni karnawałowych i nadzieja zpotęgowanéj zabawy; drudzy, jeszcze mniéj z losami kraju związani, czekają stosownéj pory, aby w pielgrzymce do wód i kąpieli znaleźć odpoczynek i sił odnowienie. Nim jednak stolicę Francyi opuszczą i z niéj do Polski zawiozą pamięć tego tylko, czém tutaj sami żyli, my pragnęlibyśmy

odsłonić stronę mniéj znaną Paryża, z ulic jasnych i przestronnych zaprowadzić ich w przedmieścia i domki uboższe, z balów Opery i baletu przenieść w podziemia kościelne, ukazać im świat całkiem odmienny: świat cierpiący i świat chrześciański.

Nazywają Paryż powszechnie stolicą cywilizacyi, i słusznie tak go zowią. Ale to jego piewrszeństwo wpośród miast chrześciańskich pewno nie na tém się zasadza, co tutaj nęci połowę światu. Za takie pierwszeństwo Bóg w dawnych wiekach karał ogniem miasta ludne i bogate; przez taką cywilizacyą waliły się państwa potężne i umierały narody. Dzisiaj niebraknie w Paryżu pustego dźwięku i czczych połysków; więcéj niż który bądź gród europejski, rozsiał on zgorszenia i śmierci zarodów. Pomimo to, z niego dzisiaj bije źródło nowych dla historyi sił i czynników; z niego rozchodzą się promienie, które w ciemnościach zwątpienia błyszczą jak gwiazdy, i jak gwiazdy niepewnemu żeglarzowi drogę do portu wskazują. Nie przeczym, że trudno w pierwszéj chwili dojrzeć w Paryżu tych myśli, które Europie przynieść mają odrodzenie; nie ma tu dzisiaj ani krwawych walk, ani wielkich słowa zapasów torujących drogę nowym ideom; nie słychać zgoła o męczeństwach ani o zdumiewających ofiarach. Bo téż doprawdy nie ma nic nowego, tylko dawno znanych prawd nieznane dotąd formy i objawy; tylko z ziarna rozsianego przed wiekami, nowy dziś owoc wyrasta.

Każdy wiek przywodzi z sobą inne potrzeby i choroby ludzkości, ale duch wiary wiecznie żywy umie zawsze wyszukać odpowiednie lekarstwo i stworzyć najwłaściwsze środki głoszenia prawdy. Bywały apostolstwa ludów, krwi i męczeństwa, wymowy i nauki, późniéj apostolstwo zapału rycerskiego i twardego życia zakonów. Dziś to wszystko świat zużył; w cudowność nie wierzy, świadectwa krwi nie żąda, przeciw nauce stawia naukę, w głośnych ofiarach domyśla się więcéj

próżności niżeli miłości bliźniego. Dziś jedno tylko pozostało czém prawdzie można dać skuteczne świadectwo : świadectwo życia codziennego, apostolstwo miłosierdzia. Dziś świat temu tylko pobłaża i to tylko przyjmuje, co nikogo swém znaczeniem nie głuszy, niczyjéj próżności nie drażni, i co w ukryciu a bez żadnéj na téj ziemi korzyści, bliźnich wspiera i podnosi. Kiedy w strasznych dniach 1793 burzono we Francyi kościoły i obdzierano ołtarze, kiedy nawet pojęcie Boga nie było popularném, nie wahano się przecież zażądać, aby wzniesioną była statua na cześć Wicentego à Paulo, bo dobrodziejstwa które ludziom świadczył, wyjednały mu przebaczenie tego, iż Boga miłował. I rzecz godna uwagi : na tylu apostołów, męczenników, wielkich uczonych i głośnych mówców, na tyle mężów którzy ludzkości oddali ogromne usługi, i których Kościół w poczet świętych policzył, świat dzisiejszy jednego tylko Wicentego à Paulo – w którego życiu nie ma cudowności, który ksiąg ani uczonych traktatów nie pisał, dostojności świata ani Kościoła się nie dosłużył, nie poniósł głośnego męczeństwa, na swém łożu w póżnéj starości spokojnie umarł, i w historyi zdaje się nic nie ważyć, — jego jednego tylko świat dzisiejszy szczególną otoczył czcią, i wzięto go za wzór do naśladowania, poniekąd za patrona epoki.

Do naszych czasów meżna szczególnie zastosować słowa : *le bien ne fait pas de bruit, le bruit ne fait pas de bien.* W ten to świat cichy, oczom mnóstwa ludzi niewidomy, a jednak niezmiernie rozległy i jak świątynia gotycka pełen fantastycznéj rozmaitości, w to życie które hałasu nie lubi i ludzkich pochwał unika, życie jak Trapistów milczące a czujne i pracowite, w to chrześciańskie, że tak powiemy « mrowisko, » chcemy dziś wprowadzić naszego czytelnika.

I

TOWARZYSTWO ŚWIĘTEGO WINCENTEGO A PAULO.

Amor notitia est.

6 i 13 lutego.

Lat temu dwadzieścia pięć, pełno było gwaru w tak zwaném *Quartier latin*. Po młodych głowach roiły się plany obszerne, niepodobne do wszystkiego co dotąd widziano. Obudziła się, jak powiada wielki mówca żyjący, w młodszém pokoleniu szlachetna żądza aby, gdy jedno stulecie zeszło na burzeniu, nowy wiek budował. Mnóstwo umysłów, biegłych w naukach fizycznych i matematycznych, lecz niezdolnych do zrozumienia wyższych prawd, albo żądających od ekonomii politycznéj więcéj nierównie niżli ona dać może, rzuciło się z zapałem w projekta na pozór olbrzymie. Głoszono z entuzyazmem, że szczęście i dobry byt dla wszystkich zstąpią na ziemię, a drogą do tego raju ma być sprawiedliwy między ludźmi rozdział wszelkich uciech i spokojne zorganizowanie wszystkich namiętności. Plany te, w zastosowaniu nieskończenie liczne, choć w zasadzie zawsze jednostajne, upadły i pierwéj nawet, zanim na chwilę dały się zrealizować, jak wszystko upaść musi, co nie ma w sobie pierwszego *criterium* prawdy, to jest zdrowego rozsądku.

Są pojęcia, które każdy chrześcianin rozumie, niezrozumiałe jednak dla geniuszów, a tém mniéj dla umysłów miernych zbyt w sobie zaufanych. Ktokolwiek w świecie moralnym nie przypuszcza konieczności złego, jak konieczną jest śmierć w świecie fizycznym, ten buduje gorzéj niż na piasku, bo w mgłach swojego złudzenia. Człowiek wolny jest i każde tchnienie

jego życia rodzi złe i dobre; w atmosferze którą oddychamy jest zaród śmierci, jak w społeczeństwie, w któróm żyjemy jest zasada zepsucia. Trzeba mieć złe na baczności, trzeba z niém walczyć, ale nie należy nigdy się spodziewać, że się je całkiem wytępi. « Nigdy prawda, mówi wielki francuzki koznodzieja, sama królować nie będzie; i zawsze ją ten los czeka, że się przeciw niéj gromadzić będą przeciwnicy, często straszni i potężni. »

Lecz kiedy ogół starszych i młodszych reformatorów rozmyślał, i rozprawiał jak za jednem wysileniem ludzkość uszczęśliwić, w miesiącu maju 1833, zawiązało się Towarzystwo z ośmiu młodzieńców, mające na celu nie dyskutować nad usunięciem nieszczęścia, ale nieszczęśliwym ile się da pomagać. Przyjęli oni nazwisko konferencyi, aby zachować pamięć zebrań naukowych, które dały początek ich związkowi i przybrali za patrona Ś. Wicentego a Paulo, aby wskazać dobitnie, że czynami i tylko czynami, chcą służyć bliźniemu. Ale nie trudno domyślić się, że stowarzyszenie studentów bogatszém było w dobre chęci, niż w środki materyalne; szczęściem, niektórzy członkowie znaleźli wstęp do jednego z dzienników, a honorarya za ich pracę wpływały do kasy związkowéj. We dwa miesiące po swém założeniu, związek liczył członków pietnastu; następnego roku liczba stowarzyszonych tak się wzmogła, że nie tylko biednych odwiedzali, ale uczęszczali nadto do więzień, gdzie młodzież zamknięta pozbawiona była wiary i wszelkiéj nauki. W roku 1835 było już członków blisko stu, i konferencya rozdzieliła się na dwie, nie bez żalu i bez długiego wahania się stowarzyszonych, serdeczną związanych przyjaźnią. Dziś tych rozgałęzień tysiące.

Przerywamy na chwilę historyą postępów Towarzystwa, aby myśl jego i działania opowiedzieć, trzymając się o ile podobna okólników, co rok do wszystkich

konferencyj rozsyłanych. Cechą Towarzystwa, pierwszym, głównym i najważniejszym obowiązkiem każdego z członków jest: odwiedzać biednych w ich własném mieszkaniu, i dawać im pomoc materyalną, którą konferencya przeznaczy. Pomoc ta udzielaną bywa stale, co tydzień, w asygnacyach na kilka funtów chleba, mięsa lub jarzyn, czasem w odzieniu, potrzebnych meblach, niekiedy, ale bardzo rzadko w gotowiznie. Wszystko to jednak, powtarzamy, musi być przeznaczone przez konferencyą, i zasiłku tego nie wolno jest stowarzyszonemu, w czasie bytności swéj u biednych, pomnażać własną ofiarą. Nie o to bowiem idzie, aby ubogi odbierał wsparcie większe lub mniejsze, w miarę współczucia, które w odwiedzającym potrafi obudzić, ale aby je odbierał wedle istotnéj swej potrzeby, i aby zawsze ne jednakie mógł liczyć miłosierdzie, bez względu czy go bogatszy czy uboższy nawiedza. Nadto, stowarzyszony, któryby mniemał, że oddając biednemu assygnacyą, (choćby téż do niéj własną jałmużnę hojnie przyłożył), już się tém samém z powinności swéj wywiązał, dawałby znać po sobie, że nie pojmuje ducha Towarzystwa, i biednych nie rozumie wcale. « Nie jest Towarzystwo, woła jeden z prezesów, zbiorem komisyonerów do roznoszenia chleba. Kto przez służącego daje pomoc biednemu, ten z jego szkodą zatrzymuje najlepszą część jałmużny, to jest słowo gorące i serdeczne, które tyle dodaje jéj ceny. Kiedy ubogi spostrzega, że o nim myślą, że się nim opiekują, że go kochają, dopiero do głębi duszy czuje się wzruszony. Miłosierdzie aby było skuteczne, musi być prawdziwém, to jest *zupełném.*»

Konferencya dowiedziawszy się, zazwyczaj przez miejscowe Siostry Miłosierdzia o rodzinie ubogiéj, wysyła do niéj jednego z swych członków. Ten w ciągu pierwszych swych odwiedzin wypytuje się *tylko* o potrzeby materyalne, słucha cierpliwie skarg i żalów, i

zapewnia swoim protegowanym stałą od tego dnia pomoc, ale pomoc szczupłą, bo ludzie od których przychodzi nie mają wiele do rozdania. Jednak w razie potrzeby Towarzystwo czuje się być obowiązaném do większego wsparcia, niżli same tylko bony żywności. Jeśli odwiedzający zastanie, jak się to często zdarza, w rodzinie nieszczęśliwéj chorego, Towarzystwo przysyła swojego doktora, zapewnia lekarstwa, czuwa nad złożonym niemocą. Jeśli ubogi pozbawiony jest zarobku, Towarzystwo usiłuje znaleźć mu zatrudnienie. Jeśli rodzinie zbywa na odzieniu, na posłaniu, na niezbędnych sprzętach, i tych nawet Towarzystwo powoli dostarcza. A wziąwszy raz w opiekę, strzeże i wspiera dobrą radą, zachętą, zbawienném upomnieniem.

Doświadczenie naucza, że większa część nędzy bierze u ludzi swe źródło w ich własnym nieporządku i braku przezorności, że jakkolwiek opłakanym być może los podupadłéj familii, przy rozwadze, wytrwaniu i zabiegliwości, zawsze znajdzie się sposób ulżenia nieszczęściu. I toż to jest główne zadanie odwiedzającego. «Trzeba, mówi okólnik, aby stowarzyszony składał jałmużnę z tego co wié, co umié, co nabył doświadczeniem. Trzeba, aby był oczyma niewidomego, nogami kulawego, rozumem szalonego, gospodarzem rozrzutnego, bo i między ubogimi są rozrzutni. *Beatus qui intelligit super egenum et pauperum.*» Lecz jako postępować ma stowarzyszony, aby przeniknął dokładnie nie tylko stan materyalny, ale i ubóstwo moralne rodziny mu poruczonéj? Zadanie nietrudne, nowicyat niecięźki. Aby wiedzieć jak ubogim dopomódz, dosyć podobno ich kochać. *Ama et fac quod vis.*

Najpierwszym obowiązkiem, który Towarzystwo w ustawie i we wszystkich niemal okólnikach stowarzyszonym zaleca, jest uprzejmość, cierpliwość i nigdy niewyczerpana słodycz w każdym stosunku z ubogim. Biedny pojmuje to łatwo, że nie zawsze można dogodzić

jego żądaniom; ale kiedy kto twardo, surowo i nieludzko się z nim obchodzi, tego nie przyjmuje i nie przebacza nigdy. Pełno jest w tym względzie szczegółowych rád i przepisów Towarzystwa, dowodzących jak wielkiéj są wagi te drobne na pozór formy powierzchowne, które ludzie względem wyższych tak ściśle przestrzegają, a zaniedbują je tylko, mając do czynienia z niższymi. Stowarzyszony, wchodzący na poddasze ubogiego, powinien odkryć głowę, przyjąć ofiarowane sobie krzesło, nie spieszyć się bynajmniéj, zapoznać się z wszystkiémi członkami rodziny, wejść w poufną znajomość z dziećmi biednego, a w rozmowie swéj wystrzegać się podniesienia głosu nawet w interesie rodziny, nawet wtedy, gdy skarcić należy postępek niegodny lub nieroztropny, którego się dopuścili. Zasiadłszy przy domowém ognisku, i wszedłszy w swobodną rozmowę, stowarzyszony łatwo odkryje, czy ojciec i matka są poślubieni, dzieci czy ochrzcone, czy umieją pacierz, czy chodzą do szkół, czy jedność i zgoda panują w tym domu, i co jest przyczyną nędzy i chorób: błąd czyli téż nieszczęście. W mieszkaniu ubogich wszystko przemawia do duszy odwiedzającego, wszystko ma swoje znaczenie, odzież, sprzęty a nawet ściany i wiszące na nich obrazki. Dość dwa lub trzy razy nawiedzić rodzinę, aby módz sobie zdać sprawę z wielkości nieszczęścia, z którego trzeba ją wydźwignąć. Miłość chrześciańska wskaże naówczas, jak pozyskać ufność biednego, jakie mu rady dawać zwolna i stopniowo, jakich używać środków, aby jego brak sił zastąpić, złe namiętności uciszyć i uśpioną moc ducha rozbudzić: *Amor notitia est.*

Ta troskliwość o los biednego spokojna, wytrwała a przezorna, troskliwość miłosierdzia chrześciańskiego, podbija łatwo serca ubogich, bo miłości nic się nie opiera, a od stowarzyszonego nie wymaga przecież zbyt wielkiéj czasu ofiary. Nie ma potrzeby, aby on w swych wizytach zachowywał ścisłość matematyczną; wyjąwszy

nadzwyczajne zdarzenia, byleby raz na tydzień zaszedł do «swojéj» rodziny, to dosyć, a mniejsza zresztą o dzień i godzinę. Kiedykolwiek on przyjdzie, może być pewny, że go czekają z upragnieniem, że nie śmieją ruszyć się z domu, aby nie stracić jego odwiedzin, że za każdym szelestem, na schodach lub na drabinie wiodącéj do poddasza, serce im bije z radosnéj nadziei. I nic dziwnego, bo ten co ma ich odwiedzić przychodzi dla nich tylko, przychodzi wysłuchać ich skarg i użaleń, przynosi im słowo dobre, słowo pociechy, którego nieszczęśliwi tak bardzo potrzebują i tak rzadko słyszą. A za trochę tych drobnych starań, tych kilka słów serdecznych, których stowarzyszony udzielić może ubogim, o ileż więcéj sam od nich przyjmuje? Ileż wzmocnienia, ile pociechy, jakaż to wymowna nauka historyi życia ludzkiego na ziemi!...

Niedostatki i potrzeby odwiedzanéj familii przedstawiane i rozbierane bywają na konferencyi. Kilkunastu lub kilkudziesiąt członków Towarzystwa składa konferencyą, która ma swoje bióro i swoich urzędników. Do bióra należą: prezes, wice-prezes, sekretarz i podskarbi; urzędnikami są: szatny i bibliotekarz. Konferencya zbiera się raz na tydzień; otwiera jéj posiedzenie Modlitwa Pańska i prośba do Świętego Wincentego a Paulo, następnie jeden z członków odczytuje ustęp z *Naśladowania*, albo z ustawy i okólników Towarzystwa. W skład saméj konferencyi wchodzą sami tylko mężczyzni świeccy: ale że Towarzystwo założone było przez młodzież, młodzi więc w niém mają liczebną przewagę i pełnią większą część urzędów.

Nie tylko ludzi wszelkiego wieku, ale wszelkiego stanu i zatrudnienia, wszelkiéj klasy społeczeńskiéj, bogatych i ubogich, zmieszanych razem i obok zasiadających, można widzieć na konferencyi. To związanie ludzi różnego wieku i powołania w jedno grono, nadaje właśnie Towarzystwu tę wszechstronną znajo-

mość ubóstwa, trafność sądu z delikatnością uczuć połączoną, dojrzałość rady i gorliwość wykonania, z któremi ubogim przychodzi w pomoc. Wszystkich gromadzi i jednoczy miłość bliźniego, i wyższa jeszcze nad nią miłość Tego, który w każdym nędzarzu kazał widzieć siebie. Z wspólnéj narady członków, z wspólnéj ich troskliwości o los biednych, rodzi się zbliżenie i wywiązuje się koleżeństwo miłosierdzia między ludzmi, bardzo daleko zresztą od siebie postanowionymi, i którzyby bez tego pośrednictwa może nigdy nie byli się zeszli. Myliłby się, ktoby mniemał, że owe cotygodniowe posiedzenia konferencyi, na których tylko o nieszczęściu i o nieszczęśliwych jest mowa, bywają smutne, ponure i swoją jednostajnością męczące. Owszem na tych obradach panuje uczucie swobody i przyjacielski stosunek, przy których czas choćby najdłuższy nie długim się zdaje, i które w znacznéj części tworzą siłę i żywotność Towarzystwa. Każdéj prawie sesyi zdarza się coś nowego; nierzadko piękny postępek biednego porusza słuchaczy, nierzadko radość serdeczna i wesołość ogarnia zgromadzenie. Stowarzyszeni zdają sprawę z swych odwiedzin : w jednéj rodzinie ojciec zasłabł i potrzebuje spiesznéj pomocy, w innéj narodziło się dziecię i konferencya proszona jest o posiłek nadzwyczajny. Z tego domu trzeba chłopca oddać do szkoły, w tamtym dziewczę gotuje się do pierwszéj komunii. Tu matka doprasza się o obuwie dla swych dzieci, tam zabrakło roboty ojcu rodziny; tu proszą o odzież, tam o meble, jeden członek domaga się większéj ilości chleba, inny gorąco przedstawia, że przez wzgląd na zdrowie jego ubogich, konferencya powinna przeznaczyć w miejsce chleba, podwójną ilość mięsa i jarzyn. Wkrótce ogólna nastąpi rozmowa, stowarzyszeni udzielają sobie nawzajem rad, podnoszą się myśli i uczucia!

Kto choćby raz zaszedł na to zebranie ludzi dobréj woli, ten pewno wrócił do domu z sercem ukojoném,

z cichém wewnętrznem zadowolnieniem, że coś dobrego mógł zrobić, że za bliźnich swoich prosił Boga, że mu się otworzył nowy świat życia i działania, w którym łatwo o sobie i swych cierpieniach zapomnieć, w którym wszystko co uczyni znajdzie swą wagę i będzie mu policzone, że podwoił wreszcie siebie i swoje siły, bo dusza jego znalazła cel nowy, cel nieskończony! Bóg woła na nas nieszczęściami; szczęśliwy kto z krzyżów drugiego może dla siebie korzystać! Po każdém takiém zetknięciu jakiś spokój, jakaś czerstwość i moc prawdziwa wstępuje do głębi ducha, widok nędzy obudza w sercu rzewne uczucia i sprowadza człowieka do właściwéj miary w ocenianiu własnych bolów.

Po zamknięciu dyskusyi i wydaniu asygnacyj, posiedzenie kończy się kwestą i modlitwą. Kwesta odbywa się w skrytości, każdy daje wedle swego mienia; w niektórych konferencyach dwa razy robi się składka, raz na żywność, drugi raz na odzienie. Te dobrowolne ofiary członków stanowią podstawę dochodów każdéj konferencyi, z których musi i ubogich swoich opatrzyć i część na inne zakłady Towarzystwa udzielić. Zabroniono jest konferencyom zaciągać pożyczki albo zadłużać się u dostawców, ale nie wolno również oszczędzać zebranych funduszów, i składać jako nieruchomy kapitał. Towarzystwo co ma, rozdać powinno; a jeżeli po jakiémś kazaniu, loteryi lub koncercie, wpłynie do kasy konferencyi summa przewyższająca obecne jéj potrzeby, można tę summę zachować przez kilka miesięcy, co najwięcéj aż do zimy, podczas któréj więcéj jest ubogich, i niedostatek ich bywa dotkliwszy. Towarzystwo nie dozwala kwesty po domach, chyba po sprzęty lub odzienie zużyte, które połatane służy jeszcze uboższym. « Każdy z nas, słowa są okólnika, ma w swojéj szafie lub na poddaszu jakieś przedmioty nie potrzebne, których ciężar nigdy bardziéj nie daje się uczuć, jak przy zmianie mieszkania. Bo co z niemi robić?

Sprzedać je? — nic nie dadzą! Wynosić, — ileż kłopotu? Zostawić je — byłaby jednak szkoda! — Więc prosimy uwiadomić szatnego naszych konferencyj, a on je z wdzięcznością zabierze. Oto np. stare krzesło, oddawna wyszłe z mody i pokrycie jego całkiem zniszczone, my płótnem je pokryjemy i ten sprzęt nieużyteczny stanie się ulubionèm miejscem wypoczynku, pociechą starca lub chorego. — U stołków kulawych zrównamy nogi i nie jedna matka posadzi na nich z radością swe dziecie. Towarzystwo z każdéj rzeczy potrafi wyciągnąć pożytek, nie wymiata nawet okruchów, bo choćby niemi jedno dziecko tylko się pożywiło, jużby w jego oczach miały wielką cenę. »

W czasach jak nasze, w których tak każdy lubi sobą zatrudniać publiczność, namawiano powielekroć Towarzystwo aby założyło osobny dziennik. Ale propozycya ta zawsze była odrzucaną. Polem usiłowania Towarzystwa są czyny a nie trybuna; warunkiem jego wpływu nie głośna popularność, ale cicha praca. Dlatego stowarzyszenie wkłada na swych członków obowiązek czuwania, aby dzienniki jego czynnościami najmniéj zajmowały się. Dodziśdnia w żadném piśmie, w żadném sprawozdaniu, w żadnym okólniku nie zdarzyło się wyczytać, nawet imion pierwszych założycieli Towarzystwa. Są one znane tylko z tradycyi; wkrótce zapewne i tradycya zginie na zawsze — ale dzieło pozostanie.

Dalsze prace Towarzystwa i jego obecną organizacyę opowiemy następnie.

II

Dzień, w którym pierwsza konferencya stowarzyszenia, licząc już blisko stu członków, postanowiła, choć z żalem a nawet obawą, rozdzielić się na dwa osobne grona, wprowadził Towarzystwo, że szczupłego zakresu

młodzieńczych miejscowych usiłowań, w sferę nie równie obszerniejszą, bo rozgałęzioną na całéj kuli ziemskiéj, gdziekolwiek światło Kościoła jaśnieje. W samym Paryżu nim upłynęło dwadzieścia lat od pierwszego zawiązku Towarzystwa, liczono już czterdzieści cztery konferencyj. Dzisiaj w stolicy Francyi dwa tysiące stowarzyszonych obraduje w siedemdziesięciu konferencyach, i zajmuje się losem sześciu tysięcy nieszczęśliwych rodzin, to jest około dwudziestu pięciu tysięcy mieszkańców. Tak więc, przynajmniéj czwarta część ubogich Paryża znalazła w uczniach Świętego Wincentego, gorliwych opiekunów i prawdziwych przyjaciół.

Między tą wielką mnogością stowarzyszonych, prezesi konferencyj utrzymują związek i jedność. Dla naradzenia się nad wspólnemi sprawami i potrzebami Towarzystwa, schodzlli się dawniéj co trzy miesiące, późniéj co miesiąc, teraz posiedzenia ich odbywają się co tydzień. Tworzą oni tak zwaną Radę paryzką. Rada, od każdego pojedynczego grona w Paryżu, otrzymuje dziesiątą część jego dochodów, przeznaczoną na wsparcie konferencyj przyciśniętych chwilowo niedostatkiem pieniężnym. Niewolno jéj, z kasy zbiorowéj, udzielać wsparcia pojedyńczym ubogim; ona czuwa nad potrzebami wszystkich biednych, któréml się konferencye paryzkie opiekują, i jest, przez to samo, drugim szczeblem w hierarchii władz Towarzystwa. Wkrótce atoli okazała się potrzeba nowéj, jeszcze ogólniejszéj władzy.

Wspomnieliśmy, że Towarzystwo Świętego Wincentego a Paulo jest przedewszystkiém dziełem młodzieży. Nie jeden z młodych, przybyły do Paryża dla dokończenia nauk, wprowadzony został przez kolegów na posiedzenia konferencyj. W gronie stowarzyszenia znachodził stosunki łatwe i przyjacielskie, które mu wynagradzały po części to, co opuszczając dom rodzinny utracił; zapewniał sobie w niéj szczerych doradzców, i mógł korzystać z najlepszéj pomiędzy wszystkiemi nauki, to

jest z dobrego przykładu. Widok nędzy, któréj może po raz pierwszy zblizka przypatrzył się, obudzał w nim szlachetną chęć znalezienia się między ludźmi, co służą nieszczęśliwym. Oddawał im swoje godziny wolne, swoje uczucie, i po kilkomiesięcznéj praktyce miłosierdzia, z nowym zasobem bogactw moralnych, i z silną wolą służenia sprawie, którą poznał i cenić nauczył się, powracał do domu.

W ten sposób konferencye prowincyonalne we Francyi, jak w całéj niemal Europie, zakładane były naprzód po miastach akademickich, i przez młodzież naukową. Ztąd rozszerzyły się w miastach fabrycznych, wkońcu dostały się wśród wiejskich mieszkańców, którzy podobno nie w saméj tylko Francyi tak bardzo są opuszczeni, chociaż najpilniéj moralnego wsparcia od klas wyższych potrzebują. A wszędzie gwiazdą przyświecającą stowarzyszonym był jeden i ten sam cel : pomagać biednym, rozsiewać ziarno wiary, przywracać ducha zgody. Owoce ich pracy pokazały się jawnie w liczbie konferencyj : od roku 1835, w którym pierwsze prowincyonalne grono założoném zostało w Nimes, do roku 1851, przybyło Towarzystwu w 311 departamentowych gminach, czterysta piętnaście konferencyj. Dzisiaj ta ilość potroiła się : w 767 miastach lub gminach francuzkich, liczy obecnie Towarzystwo 1297 konferencyj, a w nich prawdopodobnie około dwudziestu pięciu tysięcy stowarzyszonych.

W tym samym czasie Towarzystwo rozszerzać się poczęło za granicami Francyi. W roku 1835 w Rzymie, w roku 1844 w Nicei i w Genui założone konferencye; dzisiaj istnieją już w dziewięćdziesięciu dwóch miastach włoskich. W Belgii pojawiły się już naprzód w r. 1842, w dziesięć lat późniéj liczono ich czterdzieści cztery, lecz w ciągu jednego tylko roku 1856, przybyło ich siedemdziesiąt dziewięć. O cztery lata późniéj wprowadzone do Holandyi, w ciągu czterech lat rozszerzyły

się w piędziesięciu miastach. W Niemczech najpierwsze Monachium otworzyło u siebie konferencyą, późniéj w Bon założono ich trzy, obecnie znajdują się w czterdziestu pięciu miastach pruskich, nie licząc Księstwa Poznańskiego. Jeszcze szybszy był wzrost Towarzystwa w Anglii i w Hiszpanii; w trzech królestwach Wielkiéj Brytanii w ciągu dwunastu lat, sześćdziesiąt pięć miast ujrzało u siebie konferencye. W roku 1846 zakładano je nieomal współcześnie na dwóch odległych końcach świata, w Stambule i w środku północnéj Ameryki, w Saint-Louis. Przeniesione następnie do Kanady, Mexyku, Senegalu, na przylądek Dobréj Nadziei, do Martyniki, Pondiszery, i t. p., dziś z wyjątkiem Australii i północnéj Europy, istnieją już na całym świecie (1).

W każdym prawie z powyżéj wyliczonych krajów, gdziekolwiek znaczniejsza ilość stowarzyszonych znajduje się, istnieją Rady, pełniące dozór nad czynnościami konferencyj jednéj prowincyi lub jednéj narodowości. One pośredniczą między stowarzyszonymi zagranicznymi

(1) W miesiącu wrześniu 1857 było w Księstwie Poznańskiém dziewiętnaście konferencyj uznanych przez Towarzystwo, siedmnaście formujących się. W samym Poznaniu członkowie trzech konferencyj odwiedzali przez rok 1856 dwieście rodzin. W Galicyi i w Krakowie nie słyszeliśmy dotąd o żadnéj konferencyi Ś. Wincentego; miałyżby ich zakładaniu sprzeciwiać się prawa austryackie, które niemal wszelką opiekę nad biednymi oddają w ręce rządowe? Aleź właśnie czytamy, że w księstwach austryackich kilka nowych konferencyj otworzono. Może téż Kościół katolicki w Galicyi, z długiéj niewoli praw józefińskich dopiero co oswobodzony, nie miał jeszcze dosyć czasu, aby wrócić do sił i odrodzonego życia dać dowód; w każdym razie, dla czego Kraków dawniéj tak słynny z pobożności, który najwięcéj liczy u siebie kościołów, i w dawnych wiekach ufundował nie mało zakładów miłosiernych, dla czego miasto tyloma klęskami w ostatnich latach nawiedzione, i pod względem materyalnym od roku 1844 tak bardzo upadłe, dzisiaj nie spieszy się korzystać dla siebie i dla prowincyi z przykładów, które Zachód chrześciański całemu światu podaje. Wszak przez Kraków rozchodziła się niegdy cywilizacya europejska po całéj Polsce, czemuż téj roli zaszczytnéj stary nasz gród teraz nie pełni i dobrowolnie się wyrzeka moralnego pierwszeństwa pomiędzy polskiemi miastami?

a naczelną władzą Towarzystwa. Tę najwyższą dla całego stowarzyszenia władzą jest Rada główna i jéj prezes w Paryżu (1).

Rada główna nieoddzielna dawniéj od Rady paryzkiéj, jest węzłem łączącym wszystkie konferencye i utrzymującym między niemi jedność uczuć, zwyczajów i kierunku, w których Towarzystwo do dziś dnia dotrwało. Nie ma w swém ręku środków przymusowych, nie rozkazuje i praw nowych nie stanowi; ona tylko doradza, przestrzega i istniejące ustawy przypomina; jéj członkowie, którzy do pierwszych czynności związku należeli, są jakby starszymi w rodzinie braćmi, i jako tacy, mają nad młodszymi rozproszonymi po świecie przewagę, którą daje doświadczenie nabyte latami i znajomość tradycyj ojczystego domu, który dla wszystkich wspólną był kolebką. Na pytania przesłane jéj przez którą bądź konferencyą, odpowiada słuchając bardziéj dawniejszych przykładów, niżli własnego natchnienia członków, wskazuje niebezpieczeństwa, które już pierwéj poznano, ostrzega o czynnościach, które więcéj szkody niż pożytku przyniosły. Zbierając w gronie swém światło całego Towarzystwa, odsyła je napowrót wszystkim, i jeżeli gdzie bądź powstała myśl nowa, lub jakiś środek dotąd nieznany szczęśliwie był użyty, wnet wiadomość ta rozchodzi się przez Radę główną po wszystkich konferencyach. Te nieustające porozumiewania się, wolne od podszeptów dumy i zawiści, sprawiają że dziś jeszcze w rozszerzoném tak znaczenie gmachu Towarzystwa, trwa ten sam duch, którym żyli pierwsi jego założyciele i «że w każdym stowarzyszonym, jak się wyraża okólnik, na pierwszy rzut oka poznać można tęż samę krew, tęż samę rodzinę, ten sam pokarm

(1) Sekretaryat Generalny Towarzystwa znajduje się w Paryżu, *rue Furstenberg*, 6. Tam można nabyć *Poradnika* i sprawozdań Towarzystwa, oraz wszystkich publikacyj, które Rada główna dla użytku biednych rodzin ogłasza.

wspólny, który wyssali z jednéj dla wszystkich piersi macierzyńskiéj.»

W istocie bez **Rady głównéj**, bez tego stróża wspólnego wszystkim doświadczenia i domowych pamiątek, przewaga potrzeb miejscowych w wielu krajach wpłynęłaby snadnie na zmianę kierunku Towarzystwa, tak, że pod jedném nazwiskiem utworzyłoby się wkrótce mnóstwo związków bardzo różnych, wśród których oko najbystrzejsze nie mogłoby dostrzedz bratniéj jedności. Możeby nawet poformowały się inne związki, które zasłaniając się powagą i wziętością, jakiéj dosłużyły się już poczęści konferencye Świętego Wincentego, użyłyby jéj do celów wprost przeciwnych i narażały imię, a nawet istnienie Towarzystwa. Aby zapobiedz tego rodzaju niebezpieczeństwom, ustawa saméj tylko **Radzie głównéj** daje moc uznawania konferencyj, to jest przyjmowania ich w skład Towarzystwa. Rada mianuje także prezesów i wicepresów konferencyj. Z summ, które jéj bywają przysłane przez grona pojedyńcze, przychodzi w pomoc Radom prowincyonalnym uboższym, albo przyciśnionym nadzwyczajnemi potrzebami. Kiedy srogie nieszczęścia materyalne spadną na który naród lub prowincyą, a Rada sądzi, że nie dość miejscowych wysileń, aby ulżyć cierpieniom, wówczas od całego Towarzystwa domaga się pomocy pieniężnéj. Kilkokrotne wylewy Rodanu i Loary wywołały tego rodzaju składki nadzwyczajne; podobnież w końcu 1846 r. Rada zawiadomiona o nędzy straszliwéj, która dręczyła Irlandyą, odwołała się do miłosierdzia wszystkich stowarzyszonych, i w początkach roku 1847 przesłała Radzie irlandzkiéj summę 153,000 fr.

Taka jest, w krótkości ujęta, organizacya Towarzystwa Świętego Wincentego; teraz jeszcze kilka słów o jego historyi wewnętrznéj, moralnéj. Czasy dzisiejsze, pod względem usposobień religijnych, bardzo są niepodobne do owéj chwili, w któréj ośmiu młodzieńców

zawiązało w Paryżu pierwszą konferencyą miłosierdzia. Nie wiedzieli oni, nie przeczuwali do jakiéj wielkiéj sprawy przeznacza ich Opatrzność. Uszczupliły się wówczas niezmiernie szeregi duchowieństwa; między ludem a Kościołem wykopana była przepaść; nie rzadko ksiądz nie mógł nawet przystąpić do téj winnicy, do któréj uprawiania był powołanym. Wtedy Bóg zesłał na świat myśl nową i apostolstwo nowego rodzaju. Pod chorągiew miłosierdzia zaciągali się mężczyzni i niewiasty, starce i dzieci. Ubodzy nawracali ubogich, i miłosierdzie chrześciańskie posłużyło za środek do zreformowania obyczajów. Lecz w pośród tych zastępów najwyżéj wzniósł się sztandar, który dźwignęli synowie Wincentego a Paulo. « Świat, słowa są francuzkiego mówcy, ujrzał w nich nowych rycerzy miłosierdzia; tylko że zamiast z mieczem w ręku, szli oni na zdobycie narodów z czémś nad miecz silniejszém, bo z miłością w sercu. »

Wprawdzie wiele innych przyczyn rozpędziło z ponad ziemi te chmury, które światło dzienne zasłaniało oczom ludzkim, ale rozbudzenie miłosierdzia szczególniéj między mężczyznami, jakie dziś widzimy, jest w głównéj części dziełem Towarzystwa Świętego Wincentego. Rozrosło się ono jak drzewo wspaniałe, z którego nasion wciąż nowe wykłuwają się krzewia, i wokół którego ziemia tak długo niepłodna bujnym zarasta dziś gajem.

To krzewienie się nowych instytucyj miłosiernych, o których z kolei wspominać będziemy, jak z jednéj strony przyczyniało się do rozszerzenia sfery Towarzystwa, tak z drugiéj narażało je na zboczenie z drogi pierwotnéj, i na odstąpienie od swych zasadniczych czynności. Rada główna powielekroć wytrzymywać musiała szturmy od przejętych gorliwością członków lub konferencyj, którym się zdawało, że Towarzystwo w myśli swéj nie rozwija się, nie postępuje z duchem

czasu, nie dosyć czynności ogarnia, w ciasném kółku się zasklepia, albo że nie przybiera charakteru sobie właściwszego, to jest reguły i sukni zakonnéj. Te i tym podobne projekta, zarzuty lub upominania musiały być silne i liczne, bo do nich bardzo często wracają okólniki. «Zostańmy czém jesteśmy, woła w roku 1842 prezes Towarzystwa; związek nasz jest wyłącznie świecki, to znamie było mu nadane po głębokiéj rozwadze; w tym charakterze potwierdziła go Stolica apostolska. Czcijmy według wartości, uznawajmy nie równie lepszemi od naszego te przerozmaite stowarzyszenia i zakłady chrześciańskie, tak szanowne usługami, które oddały, szanowne swą dawnością, oraz cnotą i żywą wiarą swych członków. Możemy do nich zosobna należeć, ale zarazem pamiętajmy, że różność czasu różne potrzeby wywołuje, że dzieła wiary zawsze jednakie w swéj zasadzie, zmieniały się zawsze w swych formach wedle odmiennych epoki wymagań. Bylebyśmy starali się być coraz lepszymi chrześcianami, to choćby nam czego nie dostawało, choćby formy nasze potrzebowały ulepszeń, można być cierpliwym : czas lepiéj to urządzi niż my. Duch pokoju, umiarkowanie i dobry przykład więcéj zapewniają postępu i wprowadzają skuteczniejszą reformę, niżeli dyskusye, prawa i próby gorliwości pod cieniem których tak łatwo ukrywa się miłość własna i zbytnie przywiązanie do osobistych pomysłów.»

Pilne i regularne odwiedzanie biednych, ten główny i istotny obowiązek każdego ucznia Świętego Wincentego, i coraz to głębsze wnikanie w ich potrzeby, zmusiły niemal wszystkie konferencye, do przyjęcia nowych powinności. Te dały początek nieco odmiennym ale pokrewnym instytucyom mającym na celu podniesienie moralne rodzin nieszczęśliwych, pomoc w wychowaniu ich dzieci, zapewnienie im przyszłości, albo też dostarczanie ubogim żywności taniéj i zdrowéj (1).

(1) Opowiemy je w miejscu właściwém; tu tylko uważamy za ko-

Konferencye Świętego Wincentego zetknęły się tutaj z wieloma zakładami miłosiernémi, utworzonémi spółcześnie, albo istniejącémi oddawna. Zapobiegając szkodliwéj, jakaby ztąd wyniknąć mogła, rywalizacyi, w tych słowach odzywa się prezes Towarzystwa w okólniku swym z r. 1846. «Ostatni z kolei przybyliśmy na pole chrześciańskiego miłosierdzia i prawie wszędzie wyprzedziły nas świeckie i religijne instytucye odległych czasów sięgające. Dłoń nasza rozdaje jałmużnę, która choć rożną bywa, wszędzie jest nieskończenie niższą od potrzeb biednego. Wyznajmy więc z dobrą wiarą, że pokora jest dla nas najprzyzwoitszą, i że naszym pierwszym powinna być obowiązkiem. Otoczmy czcią głęboką zakłady dobroczynne, które obok widzimy, strzeżmy się współzawodnictwa, bo z niego próżność tylko i duma mogłyby zebrać owoce. Możemy przestać na téj drobnéj cząstce, która nam przypadła, i nie smucić się choć mało robimy, jeśli szukać będziemy pociechy w tém, aby czynić jak najlepiéj, co nam okoliczności pozwolą. Niechaj daleką pozostanie od nas chęć zwracania na siebie uwagi świata, i szukania w sławie u ludzi środków do naszego dzieła. Ufność w Bogu, odwaga i pokora, oto są cnoty, które razem wzięte i szczęśliwie połączone, powinny tworzyć grunt i podstawę Towarzystwa Świętego Wincentego a Paulo.»

nieczne wspomnieć o jedném z najtrafniejszych zastosowań Towarzystwa Ś. Wincentego, to jest o konferencyach, jakie zaprowadzono w szkołach i pensyach płci męzkiéj. Kogoż to wistocie nie uderzy, jak ważną jest rzeczą w edukacyi, aby mlody, z wiadomościami które czerpie z książki lub z wykładu profesora, uczył się zarazem życia ludzkiego; aby od pierwszych chwil, w których rozmyślać i sądzić poczyna, zapoznawał się z nieszczęściem, zbliżał się do ubogich, ich niedolę rozważał i szukał jak przynieść im ulgę. Ile z tąd nieocenionych korzyści, ile pomocy w ukształceniu serca i charakteru mlodzieńca !... Ktoby chciał poznać tego rodzaju szkolną konferencyą, temu przedewszystkiém zalecamy zwiedzenie pensyi : *Maison de l'Assomption*, w *Clichy-la-Garenne*, pod Paryżem. Opis téj pensyi znaleźć można w książce panny Julii Gourand : *Voyage d'agrément à Paris*, 1856.

Należałoby jeszcze z pism Towarzystwa, z jego ustaw i okólników wiele innych wyjątków przytoczyć, aby w pełności wykazać ducha jego działań, jego znajomość ludzkiego serca i przejęcie się obowiązkami chrześciańskiémi, i aby nacechować tę wszechstronną przezorność, z którą potylekroć, wcześnie, zapobiegało wszelkim ze swojéj drogi zboczeniom. Miało jednak Towarzystwo, jak każda sprawa rękom ludzkim oddana, chwile rozstroju; był nią rok 1848. Przesilenie handlowe i umysłowe téj epoki wyrzuciło na bruk zbyt wielką naraz ilość ubogich, aby zwyczajne zasoby Towarzystwa mogły im dopomódz; tém bardziéj, że zadaniem konferencyi nie jest wcale zaspakajać i opatrywać wszystkie potrzeby biednego; one tylko wspierają go i podnoszą, aby mógł własną pracą sobie wystarczyć i o swojéj ostać się mocy. Tymczasém w r. 1848 nie łatwo było biednemu znaleźć zatrudnienie: zamknięte sklepy i fabryki; nikt nie kupował, nikt nie chciał produkować; uwieziono lub pochowano kapitały. Nawet członkowie Towarzystwa krwawémi wypadkami przerażeni, jedni rozproszyli się, drudzy ostygli w gorliwości — właśnie w chwili, gdy największe z ich strony były potrzebne wysilenia! «Nie ustawajmy w gorliwości, woła pod koniec 1849 r., prezes Towarzystwa; im czasy są trudniejsze, tém więcéj dobądźmy z siebie ducha i miłosierdzia!» — «Jest rzeczą dla wszystkich widoczną, mówi w inném miejscu okólnik, że przyszłość i zbawienie społeczeństwa zawisły dzisiaj od zgody bogatego z ubogim, od ich życzliwości wzajemnéj. A możnaż znaleźć do tego celu środek pewniejszy nad miłosierdzie? Idźmy więc na poddasze ubogiego! Być może, że nie zawsze też same środki materyalne służyć nam będą, ale zawsze możemy mieć to samo serce, tęż samą miłość, a ktokolwiek pożył czas jakiś wpośród biednych rodzin, ten wie, że prawie u wszystkich niedostatek jałmużny łatwo zastąpić nadpłatą uczucia. Miejmy więc ufność i trwajmy,

bo jeśli Bóg nie opuszcza nigdy tych co na Nim polegają, to tylko pod warunkiem, że sami sobie pomagać będą i poświęcić się umieją. »

Nie pozostały te wołania bez odgłosu. Rok 1850, który w niejednym kraju, w świecie moralnym i politycznym rozpoczął, rzecby można, epokę restauracyjną, który w całéj Europie, a szczególniéj téż we Francyi, otworzył tyle nowych instytucyj, dawnych tak wiele ulepszył i ludzi dobréj woli nowym węzłem prac zbiorowych połączył, rok ten pomnożył także, nader znacznie, szeregi uczniów Świętego Wincentego. W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy przybyło Towarzystwu sto ośmnaście konferencyj. « Czyż ta liczba, mówi prezes Towarzystwa, nie jest sama przez się nauką wymowną? Często bracia nasi, chwilowemi trudnościami przygnębieni, przerażają się to szczupłością swych zasobów, to smutnym w przyszłości losem swego grona i wołają z rozpaczą: *Panie giniemy!* Ludzie małéj wiary, chciałbym odpowiedzieć,czemu niepokoicie się? Czyż nie widzicie błogosławieństwa Bożego w tém rozmnożeniu konferencyj? Nie wywołujemy ich przecie, nie wybiegamy naprzeciwko nim środkami ludzkiémi; wstają same z siebie, bo je ręka Boga podnosi. Troszczycie się, aby was nie odbiegli członkowie pożyteczni, smucicie się nad miarę śmiercią jednego z was. Miejcież ufność w waszą sprawę; wiara góry przenosi, wiara ma skarby nieznane. *Dabo tibi thesauros absconditos!* Dajcież więc hojnie, nie oszczędzajcie, nie naśladujcie bojaźliwéj roztropności tych, którzy nadzieję stracili. Nie brakło nam dotąd chleba powszedniego, nie zabraknie go nam daléj, jeśli wiary dochowamy!

Od tego czasu wzrost Towarzystwa przeszedł wszystko co dotąd widziano. Opierając się na cyfrach, w ostatnim roku ogłoszonych, można przyjąć za zasadę, że z każdém trzechleciem, przybywa teraz stowarzyszeniu przeszło tysiąc konferencyj Tysiąc konferencyj! — to

przybytek co trzy lata około dwudziestu tysięcy nowych członków wezwanych na świadectwo wiary przez miłosierdzie, to co trzy lata pięćdziesiąt tysięcy nowych ubogich rodzin, wziętych pod opiekę klasy bogatszéj. Zaprawdę, słusznie powiedziano: *Digitus Dei est hic!* Bóg na służbę swoję tworzy nieżnane dotąd zastępy rycerstwa!

III

SIOSTRY MIŁOSIERDZIA.

13 marca.

W roku 1848, w dniach czerwcowych, krwawa i zacięta walka toczyła się na przedmnieściu St.-Marceau. Na ulicy *Mouffetard* wzniesioną była barykada, zpoza któréj celne na wojsko padały strzały. Aby z niéj zpędzić powstańców, ruszył odddział gwardyi ruchoméj, który tego dnia od ośmiu godzin był już w nieustannym boju. Przywitany od ludu rzęsistym ogniem, zachwiał się i stanął. Ale oficer komenderujący uniesiony zapałem, skoczywszy na barykadę, znalazł się po drugiéj stronie sam, opuszczony od swoich. Wobec zaciętego nieprzyjaciela, sam jeden nie mogąc ani bronić się, ani cofnąć, przerżnął się szczęśliwie w ulicę *l'Epée de Bois* i wpadł w otwartą bramę domu Sióstr Miłosierdzia. Na ten widok, na widok tłumu który pędził za nim z groźnémi krzyki i z bronią dobytą, rzucają się naprzód córki Świętego Wincentego i stają naprzód w bramie szeregiem, zastępując goniącym. Rozpoczyna się negocyacya. Mimo uszanowania jakie dla Sióstr okazują, powstańcy nie chcą słyszeć o litości dla oficera. «Oddajcie go nam, wołają, musi krwią swoją zapłacić za tylu naszych braci, którzy przez niego polegli!» Napróżno Siostry błagają, aby nie rozlewano krwi na ich podwórzu uświęconém. «Wyprowadzimy go na ulicę, odpowiada lud, i tam zastrzelemy.» I kiedy mimo najgorętszych prośb, mimo

błagalnych z łzami upomnień, powstańcy cisnęli się coraz gwałtowniéj, i mierząc do oficera już na ramiona Sióstr kładli karabiny, starsza między Siostrami rzucając się przed ludem na kolana, zawoła. « Za pięćdziesiąt lat mojéj pracy, za wszystko dobre com dla was, dla żon i waszych dzieci zrobiła, darujcie mi życie tego człowieka! » Głos ten wzruszył powstańców do głębi duszy; podnieśli spokojnie karabiny, uchylili głowy przed Siostrami i odeszli...

Czemże były te pięćdziesiąt lat pracy, których samo wspomnienie uciszyło od razu gniew zażartych nieprzyjaciół? Kiedy piszący te słowa, zapytał przełożonéj jednego z domów paryzkich, czém trudnią się właściwie Siostry Miłosierdzie? — widział je bowiem w różnych stronach Europy najróżnorodniejszemi pracami zajęte, — odpowiedziała z rozrzewniającą prostotą. « Jesteśmy wszędzie gdzie ludzie cierpią, i gdzie do siebie chcą nas przywołać! »

Kilka zakładów i dzieł dobroczynnych, po których dzisiaj chcemy oprowadzić czytelnika, pomiędzy mnóstwem innych jakiémi stolicya Francyi jest napełnioną, wykaże jaki wielki udział biorą Siostry Miłosierdzia w tém wszystkiém co się robi w Paryżu na polu chrześciańskiém. Od lat dziecinnych aż do późnéj starości, w najtrudniejszych lub najboleśniejszych wypadkach życia, ubogi ilekroć zechce, spotyka tu zawsze opatrzną rękę Siostry. U téj niewiasty znajduje miłość macierzyńską, rozumną cierpliwość nauczycielki, doświadczenie lekarza; znaduje nadto cichą pokorę wyrobnicy i gorliwość zakonnika. Siostra Miłosierdzia przynosząc, o ile jest w mocy ludzkiéj, ulgę boleściom ciała, leczy prawie zawsze choroby duszy.

ŻŁOBKI.

Opowiada p. Marbeau, którego imię w dziełach dobroczynności na długo pamiętném zostanie, że w r. 1844

otrzymał polecenie złożyć raport o domach ochrony znajdujących się w Paryżu. W ciągu pracy swéj zapoznał się z codziennném życiem ubogich i boleśnie tém był uderzony, że w stolicy gdzie tak wiele otworzono zakładów opiekuńczych dla dzieci kilkoletnich, tak mało okazywano troskliwości o zdrowie i życie nowo-narodzonych. Jakim sposobem, pytał on, może matka, po świeżo odbytym połogu, pogodzić swoje nowe obowiązki z koniecznością szukania zarobku po za domem? Z bólem serca przekonał się, że ubogie kobiety zmuszone były zostawiać dzieci w domu, beż żadnéj opieki, albo téż jeżeli mogły się zdobyć na opłatę kilkunastu *sous* codziennie, oddawały je do tak nazwanych *maisons de sevrage*, gdzie szczupłość miejsca, brak powietrza, niedostatek opatrzeń i lekarskiéj pomocy, bywały przyczyną chorób i znacznie śmiertelność dziecięcą powiększały. Zapobiegając złemu, powziął myśl założenia miłosiernéj instytucyi, opiekującéj się niemowlętami we dwa tygodnie po ich urodzeniu, aż do trzeciego roku życia, to jest do chwili, kiedy wejść mogą do ochronek. Święte wspomnienie Betleemskiego żłobu dało nazwisko temu nowemu dziełu, którego pierwszy wzór otworzono na Chaillot, w listopadzie 1844 (1).

Urządzenie żłobków bywa proste i nie kosztowne. W sali przestronnéj, czystéj, dobrze ogrzanéj znajduje się kilkanaście lub kilkadziesiąt kolebek zasłonionych małemi firankami. Mniejsze dzieci leżą w nich po całych dniach; starsze, jeżeli o własnéj sile biegać jeszcze nie umieją, wsadzone są w zwyczajne klatki o kółkach, które zostawiają dziecku ruch swobodny, ale nie dozwalają

(1) P. Marbeau jest prezesem stowarzyszenia Société des crèches, mającego nadzór nad wszystkiemi żłobkami w Paryżu. Stowarzyszenie to wydaje pismo peryodyczne pod tytułem : *Bulletin des Crèches et de l'Education populaire*, chez Guirodet, rue Saint-Honoré, 338. Czytelnik znajdzie w tym zbiorze bliższe szczegóły dotyczące tak urządzenia żłobków, jak ich rozgałęzienia się we Francyi i w Europie.

mu upaść. Kilka materaców służy za mięki trawnik, na którym dzieci bawią się i bezpiecznie przewracają. Dwie lub trzy Siostry Miłosierdzia albo świeckie kobiety, zajęte od świtu aż do zmroku, pilnują téj młodocianéj ludności, a można sobie wyobrazić ile one mają kłopotu, zwłaszcza gdy nadchodzi uroczysta chwila jedzenia, i kiedy każde z téj dziatwy płaczem, krzykiem i gestami domaga się gwałtownie, aby jemu pierwszemu dano jeść! W jednéj zatém chwili Siostry sadowią starsze dzieci na ławce kolistéj, opatrzonéj poręczą i przegrodami, a skoro wszystkie miejsca są zajęte, zamykają drugą poręczą, która służy zarazem za stół biesiadniczy. Stojąc w środku tego żłobu, dozorczyni na wszystkie dzieci może naraz mieć zwrócone oko.

Sala żłobków otwartą bywa od piątéj zrana. Każda matka zmuszona szukać zarobku po za domem, może przynieść swoje dziecko, ale jest zobowiązaną odwiedzić je w ciągu dnia, jeżeli nie przestała jeszcze go karmić. O 8 1/2 wieczorem, to jest w chwili, kiedy roboty już wszędzie bywają skończone, odbiera napowrót dziecię. Jeżeli potrzeba, zakład pożycza bielizny dla dzieci i płaszczów wełnianych do ich okrywania. W niedzielę i święta, ponieważ matki z domu nie wychodzą na robotę, sala złobków jest zamkniętą.

Każdy dom żłobków ma w Paryżu osobny komitet i damy opiekunki, których głównym obowiązkiem szukać pomocy pieniężnéj dla zakładu. Fundusze te wprawdzie pochodzą w części ze wsparcia miejskiego i rządowego, ale nie równie więcéj dostarczają ich środki prywatne. Żłobki należą już dzisiaj, choć nie oddawna istnieją, do najpopularniejszych zakładów w Francyi. Robotnik który widzi, że dzięki Siostrom lub świeckim dozorczyniom żona jego może spokojnie wyjść z domu za robotą, a dziecku jego tymczasem nie tylko że na niczém nie zbywa, ale owszem, że je otaczają troskliwością i opatrzeniem, jakich w domu nigdy nie zaznało, ocenia

rzetelność tego dobrodziejstwa i przejęty jest za nie szczerą wdzięcznością. Zapytaliśmy raz pewnéj robotnicy, któréj córka przez pietnaście miesięcy była w Żłobkach Clichy, co sądzi o tym zakładzie? « Ach, panie, odpowiedziała, choćby mi dali tysiące franków, nie byliby mi zrobili tyle dobrego! » W chwili kiedy salę St. Louis zwiedzaliśmy, wszedł do zakładu człowiek z ludu, tragarz węgla, pytając, czyli może obejrzyć żłóbki. Że to było w godzinie poobiedniéj dzieci spały; zdjął saboty i po cichu, na palcach, obchodził jednę po drugiéj kolebkę, przypatrując się śpiącym niemowlętom w świeżą odzianym bieliznę i białemi kołdrami nakrytym. Odszedł widocznie wzruszony, bo czarną ręką łzy z oczu obcierał, nad kolebkami zrobił znak krzyża, i nic nie mówiąc, połowę pieniędzy, które miał w woreczku, wsypał do skarbony. Zdarzyło się, że żłobki otrzymawały zapisy mniéj niż stu franków renty, od ludzi ubogich, umierających bezdzietnie. Bywają też fundacye na jedno lub więcéj dziecko, na utrzymanie którego dobroczyńca składa pewną summę corocznie. Pewnego razu, p. Marbeau otrzymał list kobiecą ręką pisany, następnéj treści. « Umarła mi córka i chciałam zbudować jéj pomnik. Lecz myślę, że lepszym od kamienia grobowego pomnikiem, będzie kolebka dziecinna w jednym z waszych zakładów. Proszę tylko, aby ta kolebka nosiła zawsze imię mojéj zmarłéj córki. »

Znajduje się obecnie w Paryżu dwadzieścia sześć żłóbków, które przyjmują corocznie półtrzecia, do trzech tysięcy dzieci (1). We Francyi jest ich przeszło sto; nie dawno temu, zakład podobny otworzony był w Dijon, kosztem składowym robotników. Za przykładem Francyi,

(1) Oto adresa celniejszych: rue Saint-Guillaume, 13; rue Martel, 10; rue Traverse, 1; rue Saint-Lazare, 148; rue du Faubourg-Saint-Honore, 182; rue de Chaillot, 38; rue Marthe (à Clichy), i t. d. Adres Stowarzyszenia żłobków: M. Bory de Renaudes, rue Faubourg-Saint-Honoré, 223.

instytucya upowszechniła się po całéj Europie. W Stanach Zjednoczonych zaprowadzono je oddawna, ale z bardzo osobliwszemi zmianami; w żłóbkach Washingtońskich, dzieci kołysane są za pomocą pary! Zabawną rzeczą musi być w istocie, jak ta najstraszniejsza potęga w świecie, machina parowa, pełni przy kolebkach skromny obowiązek piastunki!

W niektórych miastach polskich istnieją także, jak słyszeliśmy, żłobki. Ale ta instytucya, podobnie jak większa część dzisiejszych dobroczynnych zakładów, powinnaby znaleźć w Polsce zastosowanie po wsiach raczéj, niżeli w miastach. Któż nie wie, jak częste a smutne bywają u nas wypadki, kiedy ojciec lub matka wychodząc w pole na robotę, zostawiają w domu niemowlęta swe pod opieką starszych wprawdzie, ale nie o wiele rozumniejszych dzieci.

Nieraz dziecko sparzy się, skaleczy, potłucze; nieraz pies wściekły je pokąsa. Jakżeby więc ważném była dobrodziejstwem taka sala żłobków, otwarta tylko w porze robót wiejskich, przy plebanii, lub przy szkółce, jeżeli już nie przy samym dworze! Koszt założenia będzie podobno bardzo nieznaczny, a dozór, w braku Sióstr Miłosierdzia, nie trudno byłoby z kobiet miejscowych urządzić, przy trochę dobréj woli i wytrwałości naszych pań i córek szlacheckich. Zdaje nam się, że gdyby nasza skromna rada trafiła do serca i umysłu Polek, przekonałyby się wkrótce, jak wiele dobrego tą niepozorną ofiarą i tym jednym, małym początkiem możnaby otrzymać, i jak piękny otworzyłby się dla nich szereg chrześciańskich zajęć i przyjacielskich stosunków z naszą wiejską ludnością!

OCHRONKI, DOMY SIEROT, SZKÓŁKI ŻEŃSKIE.

Przy ulicy *Reuilly*, w najuboższéj i najodleglejszéj stronie przedmieścia Ś. Antoniego, wznosi się rozległy

dom Siόstr Miłosierdzia, pod nazwiskiem Providence Sainte Marie. W zakładzie tym gdzie dwanaście Siόstr wychowuje a poczęści żywi, bez żadnego stałego funduszu i z samych tylko ofiar miłosiernych, przeszło tysiąc dwieście dzieci ubogich, znajduje się pięć osobnych edukacyjnych instytucyj.

Obszerne podwórze oddziela dom ochrony od głόwnego budynku. Sala ochrony zawiera w jednéj połowie dwa rzędy ławek wznoszących się stopniowo aż do sufitu; w drugiéj, z której nauczycielka jednym rzutem oka obejmuje wszystkie dzieci siedzące na ławkach, znajdują się meble sporządzone ku ułatwianiu wykładu naukowego. Jest tutaj pulpit z prętami i różnokolorowemi gałkami do nauki rachunków; jest wielka księga z malowanémi obrazkami z historyi świętéj; są organki; jest szafka, w której za szkłem miniaturowy zbiór historyi naturalnéj. Ławki zapełnione czterema set dziatwy od dwóch do sześciu lat; z prawéj strony chłopcy, z lewéj dziewczęta. Ponad ławkami, na głównéj ścianie, uderza wchodzącego wielki obraz Matki Bozkiéj, który jaśniejąc nad gromadą dziecięcych główek, zdaje przyjmować je wszystkie pod swą opiekę miłosierną.

Na rogu ławek siedzą monitorowie, to jest uczniowie i uczennice, starsi wiekiem albo roztropniejsi. Każdy monitor ma pod sobą pięcioro, lub więcéj dzieci, którym powtarza lekcye nauczycielki, za ich naukę odpowiada i z ich prowadzenia się zdaje sprawę. Najpilniejszy i najpoważniejszy uczeń jest generalnym monitorem. Dzięki téj organizacyi, a przytém wybornéj pedagogicznéj metodzie, obecność jednéj Siostry w sali ochrony, wystarcza najzupełniéj do utrzymania cichości i porządku między takiém mnóstwem dzieci, i do zatrudnienia właściwą robotą każdego zosobna.

Była godzina dwunasta, kiedyśmy weszli do sali. Dzieci skończyły właśnie ranne zajęcie, zbliżała się godzina obiadu i wypoczynku. Na dany znak powstają

wszyscy, za drugim razem zwracają się do ściany; z najwyższych ławek schodzą monitorowie, prowadząc za sobą swe grona; toż samo dzieje się po stronie dziewcząt. Siostra stojąc u spodu ławek, kieruje tym manewrem i bije w takt klepaczką; dzieci maszerując odpowiadają, tupiąc nóżkami do taktu. Każde dziecko kładzie swe rączki na plecach poprzedzającego, i w ten sposób dwa ścieśnione szeregi rozwijają się i okrążają salę, następnie schodzą się u drzwi. Tu je przyjmuje druga Siostra, i za jéj przewodem gromada zawsze do taktu bijąc nóżkami, wstępuje do sali jadalnéj. Ci co siedzieli w klasie na najwyższych gradusach, zachodzą w jadalni do najodleglejszych ławek, i na komendę zajmują swe miejsca. Jeżeli w ciągu marszu wkradł się nieporządek, wnet się odzywa głos świstawki; dzieci silnie tupnąwszy stają, monitorowie uwiadamiają o winowajcach; ci na rozkaz Siostry ustępują na stronę, gdzie w cichych łzach zatopieni, czekają aż wszyscy skończą obiad. Skoro każdy znalazł się już przy swoim koszyku i swojéj ławce, dziatwa na komendę podnosi łyżki do góry, poczém pomocnice Sióstr przywożą i rozlewają zupę, i w milczeniu rozpoczyna się jedzenie. Po skończonym obiedzie i odśpiewanéj modlitwie — zmiana frontu: na dany przez Siostrę znak, dziatwa układa rączki swe na ławkach, przechyla główki i zasypia..... W godzinę późniéj, tym samym porządkiem, jeżeli jest pogoda, idą bawić się na podwórze; o drugiéj wracają do klasy.

Stosownie do pory roku ochronki bywają otwarte krócéj lub dłużéj, zawsze jednak na godzinę przed zachodem słońca matka musi odebrać swe dziecię; starsze tylko dziewczątka lub chłopcy mogą wracać do domu same. Każde dziecię, byle zdrowe, jeźli skończyło trzy, a w niektórych miejscach tylko dwa lata, bezpłatnie do ochronek bywa przyjęte. Uczy się w niéj alfabetu, czytania, rachunków na pamięć, trochę rysunku linearnego, głównie zaś katechizmu i historyi świętéj. Ale najpier-

wszém zadaniem ochronki jest, jak z jednéj strony dopomódz rodzicom, którzy w ciągu dnia nie są w stanie czuwać nad dziećmi, tak z drugiéj zabezpieczając dzieci od złego przykładu, wpajać w nie uczucia religijne, i przyzwyczajać wcześnie do przyzwoitości, porządku i posłuszeństwa. Daléj ochronki nie sięgają. Po skończonych sześciu latach, dziecię przechodzi do szkoły właściwéj (1).

Dwie Siostry, jedna zrana, druga od południa, zajmują się w domu Reuilly ochronką; czterem innym oddany jest Zakład Sierot. Sto kilkanaście ubogich dziewcząt, które ojca i matkę straciły, otrzymuje w nim bezpłatnie: mieszkanie, odzienie, żywność i naukę. Przyjęte w siódmym roku życia, opuszczają zakład między ośmnastym a dwudziestym pierwszym, ale zawsze nie wcześniéj aż im Siostry wynajdą stałe pomieszczenie w magazynach, sklepach, domach prywatnych i t. d. Dziewczyny stosownie do wieku rozdzielone są: na trzy klasy, w których cztery godziny codziennie, i na tyle pracowni, w których resztę dnia roboczego przepędzają. W pracowniach rozpoczynając naukę szycia od najprostszych robót, szyją grubszą i cienką bieliznę, robią najtrudniejsze hafty i koronki, w niektórych zakładach dostarczają sukien kobiecych i zbytkowych przedmiotów damskiéj toalety, są nawet osobne sale, w których lepią i składają sztuczne kwiaty. Właściciele sklepów miejskich chętnie u Sióstr Miłosierdzia zamawiają hurtowne roboty, które w ten sposób stają się dla Zakładów w znacznéj części źródłem ich utrzymania (2). Żądania te bywają nawet

(1) Jest w Paryżu trzydzieści cztery ochronek; znajdują się w każdym okręgu miejskim, i mieszczą razem około dziesięć tysięcy dzieci. Wszystkie zostają pod nadzorem Komitetu Dam, którego kasyerami są bankierowie *Mallet frères*, rue de la Chaussé-d'Antin, 13. Ochronka powyżéj przez nas opisana jest najliczniejsza, przyjmuje dzieci najuboższéj części miasta, i zdawała się nam być najlepiéj urządzoną.

(2) W bardzo wielu Domach Miłosierdzia znajdują się Zakłady Sie-

tak wielkie, że Siostry, oprócz własnych uczennic, mogą zatrudnić znaczną ilość robotnic, które w ich zakładach ukończywszy nauki, przychodzą późniéj do ich pracowni dla własnego zarobku. Około stu takich dziewcząt przychodnich dom Reuilly zatrudnia codziennie.

We wszystkich prawie domach Sióstr, obok zakładów i pracowni sierocych lub pensyonatów, znajdują się klasy dla dziewcząt poza domem mieszkających. Ale Siostry starają się aby, o ile podobna, uczennice przychodnie nie miały zetknięcia z mieszkającemi w zakładzie, znaczna jest bowiem różnica w wykształceniu moralném i religijném jednych a drugich. Jest więc w domu, o którym mowa, osobna S z k o ł a, do któréj uczęszcza około czterystu pięćdziesiąt dziewcząt externów. Podzielona na pięć klas, zatrudnia tyleż osobnych nauczycielek. Nauki trwają w niéj od 9 do 11téj i od 2 do 4téj; godziny środkowe przeznaczone są na roboty ręczne, śniadanie i odpoczynek.

Aczkolwiek niejednaką bywa wartość zakładów szkolnych w różnych domach Sióstr Miłosierdzia (1), to jednak przyjąć trzeba za ogólną zasadę, że zatrudniając się tylko dziewczynami ubogiemi, Siostry o takie starają się dla nich wychowanie, aby przyzwyczajone zawczasu do życia skromnego, umiały znaleźć w pracy własnéj utrzymanie dostateczne. W najwyższych zatém szkolnych

rot. Najważniejsze atoli są: rue Oudinot, 5; Saint-Louis-en-l'Ile; la Madeleine; rue de Sèvres, 10; rue Notre-Dame-des Champs, 7. W Zakładzie Oudinot mieszka dwieście pięćdziesiąt sierot, większa część miejsc rozdawaną w nim bywa przez osoby, które do fundacyi domu należały. Zakład Saint-Louis-en l'Ile, jeden z najlepiéj urządzonych, mieści, oprócz sto trzydzieści sierót, dwieście trzydzieści dziewcząt przychodnich, których uczy i dogląda pietnaście Sióstr. W obu wspomnionych, sieroty pozostają do dwudziestego roku życia.

(1) Jako wzorową szkołę i pracownią Sióstr Miłosierdzia możnaby zalecić Zakład w Conflans pod Paryżem, mieszczący przeszło dwieście internów. Zakład ten utrzymywany jest kosztem asocyacyi *des Jeunes Economes*, któréj stowarzyszone opłacają corocznie po fr. 4.

klasach edukacya przez Siostry udzielana, kończy się na szczupłym zasobie wiadomości w codziennném życiu niezbędnych. Za to każda z ich uczennic, w razie potrzeby, sama wydoła wszystkiemu, co należy do oszczędnego i porządnego utrzymania domu i rodziny. Przeznaczone do ciężkiéj walki z życiem, dziewczyny nie wynoszą z ich zakładu nauk wykwintnych i połyskujących talentów, ale przywłaszczają sobie, rzecby można, ducha swych nauczycielek i przejmują wraz z uczuciem religijném ich energią i pracowitość, ich cierpliwość i zaradność! W czasach tak trudnych jak nasze, w których ludziom tak ciasno zdaje się być na świecie, kiedy wszyscy, mężczyzni i kobiety, z losu swego niekontenci szczęścia drugich tak bardzo są zawistni, — niemałe to podobno dla wszystkich dobrodziejstwo, owe mnogie pokolenia, przez Siostry Miłosierdzia co rok wychowywane, kobiet cichych, skromnych i na małém przestających, którym duch wiary da w każdym wypadku potrzebną rezygnacyą, a praktyczny kierunek wychowania potrafi z nich w każdém położeniu uczynić istoty sobie i bliźnim pożyteczne!

Przerywamy na tém opis dzisiejszy. Bo jeszcze długo byłoby opowiadać, gdybyśmy chcieli choć krótkiemi słowy wspomnieć o wszystkich chrześciańskich ofiarach, o wszystkich miłosiernych i edukacyjnych trudach i mozołach córek Świętego Wincentego. Dawne zakony tworzone były w celu, aby przynieść ulgę jednemu tylko rodzajowi nieszczęść, jednéj tylko chorobie ludzkości. Wincenty a Paulo kazał córkom swoim wszystkie cierpienia ubogich wyzwać naraz do walki, wszystkich brzemię wziąść odważnie na swoje ramiona.

Przekonano się dziś powszechnie, że wszelkie zakłady

dla dzieci i ubogich dziewcząt, wtedy dopiero odpowiadają swemu przeznaczeniu, kiedy ich zarząd sprawują Siostry Miłosierdzia. Wiadomo, że usługi przez te niewiasty w szpitalach lub w domach przytyłku oddawane, nie dadzą się niczém zastąpić. Żołnierz francuzki raniony ciężko na polu bitwy, jeźli Szarytkę widzi nad swojém wezgłowiem, zapomina o nieszczęściu, nawet umiera z uśmiechem na ustach, bo mu się zdaje, że nad nim czuwa jego własna matka. W pielgrzymkach swoich na poddasze ubogiego, członkowie Towarzystwa Wincentego a Paulo spostrzegają codzień, jak szczupły byłby zakres ich działania i jak małoważny rezultat ich pracy bez pomocy Sióstr Miłosierdzia. Zdarza się dziś we Francyi, że właściciele wielkich fabryk, zatrudniając tysiące ludzi, obok zakładów swoich otwierają beż żadnego dla siebie zysku wielkie garkuchnie, i do Sióstr Miłosierdzia udają się z prośbą, aby przy ich nadzorze, robotnik otrzymał żywność zdrową i, o ile można, najtańszą. W Austryi przyjęły Siostry ostatniémi czasy jeden z najprzykrzejszych i najtrudniejszych obowiązków, to jest czuwanie nad zbrodniarzami. Pod wyłącznym kierunkiem niespełna sześćdziesięciu Sióstr, bez żadnéj pomocy i żadnego mieszania się władz, zostaje w téj chwili, w czterech więzieniach austryackich, półtrzecia tysiąca zbrodniarzy obojéj płci (1) i dosyć było kilku lat pobytu Siòstr w murach więziennych, aby te straszne przybytki zbrodni i wzajemnego psucia, zmienić w ciche domy pracy i rzetelnéj, moralnéj poprawy!...

W sprawach ludzkich, choćby téż i najtrudniejszych, ilekroć z energią i duchem rządności łączy się ku wspólnemu celowi duch wiary i miłości bliźniego, rosną zawsze z tego związku, przy małych nawet siłach, wypadki

(1) W Stein, w Arcyks. Austr., 900 więźniów, 24 Siòstr. W Landowitz w Styryi i w Mestrych w Morawii, 1,000 kobiet. We Lwowie 500 kobiet więziennych, 15 Siòstr. Przełożone więzień korespondują bezpośrednio z ministrem spraw wewnętrznych.

zdumiewające, prawie nadziemskie! Takie jest źródło owéj wszechstronnéj potęgi Sióstr Miłosierdzia.

IV.

ZAKŁADY TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO WINCENTEGO A PAULO.

27 marca.

Pod różnémi kształtami objawia się ludzka nędza; nie zawsze ją wsparcie pieniężne usunie, ale zawsze dla niéj miłość bliźniego wynajdzie lekarstwo. Wprowadzając klasy bogatsze do mieszkań ubóztwa, Stowarzyszenie Świętego Wincentego otworzyły im świat nowy, świat nieszczęść bez końca i pole ofiar bez granic, i powołało do życia mnóstwo instytucyj i filialnych stowarzyszeń. Te tworząc jakoby szereg bocznych ołtarzów i pomniejszych kapliczek, przy wspaniałéj gotyckiéj świątyni, już nie wszystkim odrazu cierpiącym, ale tylko pewnym cierpieniom przynoszą ulgę i wytchnienie; razem jednak wzięte uzupełniają to wielkie dzieło opieki chrześciańskiéj, która ogarnia całe życie ubogich, wszystkie ich potrzeby przewiduje, wszystkie ich moralne i fizyczne niedostatki usiłuje naprawić. O takich to osobnych zakładach, z kolei wypadałoby nam mówić. Ale szczupłością miejsca, ścieśnieni możemy przebiedz ledwo celniejsze, zostawiając czytelnikom bliższe z témi zapoznanie się, które ich usposobieniu, dobréj woli i uczuciu potrzeb krajowych bardziéj zdają się odpowiadać.

Zaczynamy od chleba powszedniego. Aby dostarczyć ubogim żywności zdrowéj, to jest jarzyn, ryżu, zupy i mięsa, otworzono przy konferencyach tak zwane KUCHNIE GOSPODARSKIE, które zkupując i przyrządzając te artykuły w wielkich ilościach, przynoszą tém samém ubogim konsumentom oszczędność znaczną. Jedne z tych kuchni

otwarte są przez pięć miesięcy, inne przez rok cały, lecz każda aby straty nie ponieść, musi sprzedać codzień najmniéj pięć set porcyj. Zarząd ich oddano Siostrom Miłosierdzia, które jednak w godzinach rozdawania przywołują do pomocy członków Stowarzyszenia. W zakładach tych widzieć można ludzi bogatych, Paryżanów głośnego nawet imienia i wysokiéj pozycyi, czyniących dobrowolnie służbę najuboższéj klasie stolicy. Nie wstyd im wracać do domu z sukniami pełnemi..... *znaków* tłustości, mówimy znaków, bo nie sądzimy aby się godziło nazywać je *plamami*. Nie wstydzą się nawet dnie całe przepędzać na tak mizernych funkcyach jak nalewanie garczków lub krajanie mięsa. Bo ów garnuszek zupy, który biedna kobieta zanosi do swego domu, może przywróci zdrowie jéj ojcu lub synowi będącemu podporą rodziny; bo w każdym razie, tylko tego rodzaju, w klasach bogatszych, zupełne z siebie samego ofiary, mogą zachwianą różnych stanów zgodę i zdrowie moralne schorzałemu przywrócić społeczeństwu (1).

Mówiliśmy dawniéj, że odzież, obuwie i bielizna ubogich są przedmiotem szczególnego w każdéj prowincyi zajęcia; dodamy, że dla zaopatrzenia ich w sprzęty domowe założono niedawno osobną instytucyą pod nazwiskiem *Oeuvre de Bethléem*. Lecz codzienne potrzeby biednego łatwiéj nieraz udaje się zaspokoić, niźli tę niemiłosierną, a co trzy miesiące odnawiającą się klęskę, to jest czynsz mieszkalny! Dla rodziny złożonéj z kilku osób, z któréj jedna tylko na chleb zarabia i

(1) Jest w Paryżu ośm kuchni (*fourneaux économiques*) należących do Stowarzyszenia Ś. Wincentego: przy ulicy Volta, Stanislas, faubourg Saint-Jaques, Limoges, Saint-Charles, i t. d Przez pięć miesięcy zimowych każda z nich rozdała ośmdziesiąt do sto tysięcy porcyj. Są bony na 5, 10 i 15 centimów. Za 10 centimów można dostać 125 gramów mięsa gotowanego, albo 6 decilitrów bulionu i pół litra jarzyn zmieszanych. Za 15 centimów dawano śniadanie zupełne złożone z zupy, jarzyn i kawałka chleba. Administracya zakładu sprzedaje bony, które ludzie bogatsi zwykli w miejsce jałmużny rozdawać.

przynosi na wyżywienie wszystkich dwa lub półtrzecia franka dziennie, straszna to doprawdy chwila, kiedy naraz trzeba płacić dwadzieścia, trzydzieści a nawet czterdzieści franków! Jeźli się w terminie nie zapłaci, wnet przyjdzie woźny, meble zabierze i sprzeda, z mieszkania wypędzi, — i co potém robić, gdzie się obrócić!... Ludzie miłosierni różnych, aby ulżyć temu nieszczęściu, probowali sposobów: od czasu do czasu płacono czynsze za ubogich, albo budowano domy gdzie im bezpłatne rozdawano mieszkania. Ale takie środki kosztowne są i rozpowszechnić się nie dadzą, a co gorsza często zadają szkodę moralną. Biedny, za którego raz lub dwa razy zapłacono mieszkanie, nawyka do téj pomocy i chętnie wydatek lokalu z budżetu swego wykreśla. Zaradzając złemu, o ile podobna, Stowarzyszenie zaprowadziło przy konferencyach tak zwane SKARBONY CZYNSZU (2). Uboga rodzina powierza członkowi, co ją odwiedza, oszczędzone pieniądze, które zapisują się do przeznaczonéj na to książki wraz z datą ich włożenia. Dla zachęcenia ubogiego do oszczędności, konferencya przydaje mu 10, 15 a nawet 20 od sta włożonéj summy, tak że wciągu roku kapitał jego o czwartą część powinien urość. Jeżeli ubogi składa swe oszczędności regularnie i w stosunku do ceny mieszkania, konferencya opłaca czynsz właścicielowi domu, a przewyżka oszczędności pozostaje na rachunek biednego; lecz jeźli on przed końcem kwartału zażąda zwrotu, może odebrać swój kapitał, ale traci prawo do wszelkiego zysku. W ten sposób zapobiegając klęsce materyalnéj, Stowarzyszenie uczy zarazem przezorności, która tak rzadką jest między ubogimi cnotą a źródłem bywa wielu innych cnót. Robotnik oszczędny prawie zawsze dbałym jest o los swojéj rodziny.

(1) *Caisse des loyers*. Bliższą wiadomość o organizacyi i rachukowości Skarbon czynszowych, dosiać można w Sekretaryacie Towarzystwa Ś. W. a P., 6, *rue Fur enberg*.

Z wielu dzieł, które potworzyły się w łonie Stowarzyszenia Świętego Wincentego najmilszym dla biednych, choć im materyalnéj korzyści wcale nie przynosi, jest związek Świętej rodziny (*la Sainte Famille*), do któréj należą zarówno członkowie Towarzystwa jak odwiedzani przez nich ubodzy. Święta Rodzina założona przed dwunastoma laty w kościele St. Sulpice, dziś istnieje w jedynastu parafiach i w każdéj po kilkaset do tysiąca i więcéj liczy członków. Każdego miesiąca, co dwa tygodnie, zgromadzają się członkowie jednéj rodziny, a nim naznaczona wybije godzina, już wszystkie wejścia kościoła oblężone są od kobiet, młodzieży i starców. Jak wszędzie tak i tu stowarzyszeni Ś. Wincentego służą ubogim, ustawiają krzesła, pilnują porządku; lecz jeźli w każdém inném zebraniu oddzielone bywają miejsca bogatych i ubogich, tu przeciwnie zmieszani razem, do jednych cisną się ołtarzów, jedni za drugich przesyłają swe prośby. Nieraz zdarzyło się nam słyszeć, jak ubogi rozstając się ze stowarzyszonym, który go w domu nawiedzał, żegnał go słowy: *będę się za was modlił!* Uczucie wdzięczności sercu ludzkiemu jest wrodzone; może więc dla tego związek Świętéj Rodziny tak miły jest ubogim, że nie przynosi im korzyści materyalnéj a daje przecież sposobność odpłacania się poniekąd swym dobroczyńcom; zebrani obok nich w kościele, za nich serdeczną mogą zanieść modlitwę.

Cóżkolwiek bądź, korzyści moralne, które ubodzy ze związku Świętéj Rodziny odnoszą, są niezaprzeczone; jestto jakby drugi szczebel uświęcenia dla tych, których stowarzyszeni Ś. Wincentego poraz pierwszy do moralnéj i religijnéj pociągnęli naprawy. Ubodzy wszedłszy do Świętéj Rodziny, przejmują się taką gorącością uczuć chrześciańskich i ducha religijnego, że sami w kole swych znajomych i sąsiadów stają się nieporównanymi apostołami. — Przy każdym związku Świętéj Rodziny założoną jest Biblioteka, która otwartą bywa dwa lub

trzy razy na tydzień, i gdzie zawsze pięciu z kolei członków stowarzyszenia Ś. Wincentego zostaje na służbie ubogich. Jeden z nich odbiera i wypożycza książki, drugi przyjmuje pieniądze do Skarbony Czynszu, inni piszą listy albo podania do władz, których ubodzy nie byliby w stanie napisać. Te ciągłe zetknięcia się i ztąd wynikające zwierzania i prośby, dały początek nowym obok Świętéj Rodziny instytucyom, to jest biórom Sekretarza i Obrońcy Ubogich. Ich cel, wskazany samém nazwiskiem, jest załatwianie interesów ludzi biednych, wymagających długiego zachodu, a często kosztu i wiadomości administracyjnych lub prawniczych. Niedawno temu, na jedném z walnych zgromadzeń stowarzyszenia Ś. Wincentego słyszeliśmy, że Obrońca Ubogich w ciągu kilku lat ostatnich, wydobył dla trzydziestu sześciu protegowanych rodzin, summę czterdziestu kilku tysięcy franków ze spraw lub sukcesyj, które bądź kosztami utrudnione formalnościami procedury zawikłane, żadnéj już nadziei pomyślnego końca ubogim nie zostawiały.

Powiedziano tyle razy, a jednak nie można tego dość często przypominać, że jałmużna ograniczona do saméj tylko materyalnéj pomocy, prawie żadnéj nie przynosi korzyści, i że owszem zdarzyć się może, iż szkodę wyrządza. Bo kto cierpieniom bliźniego chce skutecznie i na długo zaradzić, kto ubogiego chce dźwignąć i o własnéj postawić mocy, ten sięgnąć powinien do gruntu rzeczy, ten poznać musi stan jego duszy i dla duszy znaleźć lekarstwo. Pod łachmanami, któremi ciało biednego jest odziane, kryją się często rażące choroby ducha. Jedną z tych strasznych chorób, jedną z najpowszechniejszych przyczyn i nędzy dotkliwéj i zepsucia, które przechodzi w moralną krew pokoleń, jest nierząd mnóstwa rodzin związanych z sobą, jak mówią, na wiarę. Tak często a tak wymownie ogłaszano małżeństwo za jarzmo ludzi wolnych niegodne, że teorye te

zszedłszy do warstw najniższych, w kraju chrześciańskim i najbardziéj cywilizowanym natworzyły tysiące związków, ani bożem, ani ludzkiem prawem nieuświęconych, Wzrosły generacye bez nazwiska, bez rodziny i bez uczuć rodzinnych; i cóż za dziw, że istoty, które z domu podrzutków wyszedłszy, skończyły swoje wychowanie na ulicy, które nigdy nie zaznały uścisku matki, nie słyszały przestrogi ojca, nie skosztowały słodyczy domowego pożycia, cóż za dziw, że te nieszczęśliwe istoty nie czuły i czuć nie mogły dla społeczeństwa nic, oprócz nienawiści i pragnienia zemsty za krzywdy, jakiéj doznały. Skoro więc rozbudził się na nowo w spółeczeństwie francuzkiém duch chrześciańskiego miłosierdzia, pierwsze usiłowania zwrócono zaraz przeciw skutkom, które ten gwałt prawom rodziny chrześciańskiéj zadany, pociągnąć za sobą musiał fatalnie. Założone przed lat trzydziestą, w celu uprawniania związków nieślubnych Towarzystwo pod wezwaniem Ś. Franciszka Remigiusza przez długi czas wytrzymywać musiało prześladowanie szyderstwa lub otwartéj walki, zanim się doczekało dzisiejszego uznania i rozpowszechnienia. Członkowie tego Towarzystwa biorą na siebie bezpłatnie wszystkie trudności, zachody, korespondencye, a nawet koszta; zbierają wszystkie potrzebne informacye i dokumenta, których ten akt cywilny i religijny, z tyloma związany formalnościami, koniecznie wymaga. Ale gdyby na tém tylko ułatwianiu małżeństwa poprzestać chcieli, dzieło ich małoby dotąd wydało owoców. Trzeba bowiem wprzód wyszukać pary nieślubne, wejść z niemi w ścisłą znajomość, zyskać ich zaufanie, wpłynąć na nie dobrą radą, i przekonanych i do ślubu nakłonionych, wprowadzić nareszcie do biór Towarzystwa. Téj właśnie przygotowawczéj pracy podejmują się stowarzyszeni Ś. Wincentego, zawiązani świeżo w tym celu w osobne towarzystwo: Oeuvre de l'Instruction zwane. Towarzystwo Ś. Franciszka de Regis uprawnia

co rok około tysiąc trzysta związków nieślubnych, a od trzydziestu lat swego istnienia, ułatwiło w samym Paryżu przeszło trzydzieści tysięcy małżeństw (1)

Przechodzimy obecnie do zakładów, które Stowarzyszenie Ś. Wincentego utworzyło dla młodzieży ubogiéj. Dać rodzicom biednym żywność dla dziecka, dać odzienie, wyrobić chłopcu wstęp do szkoły, lub umieścić go na terminie u maistra, wielkie to już zaprawdę dobrodziejstwo! Ale Stowarzyszenie na tém nie przestaje. Niedosyć bowiem dozwolić chłopcu uczyć się rzemiosła, trzeba ochotę do nauki budzić w nim ciągłém czuwaniem i przyjacielskiém upominaniem; niedosyć zająć jego dnie powszednie, trzeba mieć na pamięci czas odpoczynkowi przeznaczony; niedosyć wreszcie wpływać na niego przez pracę i naukę, trzeba nawet przez zabawę umysł jego rozwijać i serce uszlachetniać. Takie jest zadanie jednéj z najpiękniejszych w Stowarzyszeniu instytucyi : Opieki nad młodzieżą szkolną i terminującą.

Wiadomo, że aby wykład i upomnienia naczyciela wpłynęły w szkole na umysł młodego, potrzeba niezbędnie pomocy i współdziałania ze strony rodziców. Tymczasem większa część rodziców ubogich, którzy zaledwo dali się namówić aby chłopca posyłać do szkoły bezpłatnéj, mało się troszczy czy on się uczy lub nie, a bynajmniéj o to nie dba jak się w szkole sprawuje, czy ma uszanowanie dla nauczyciela, czy jest uprzejmym i przyjacielskim dla swoich kolegów. Co gorsza, w miejsce zachęty do nauk, młody znajduje często poza szkołą przykłady, wobec których zatrzeć się muszą w jego pamięci przestrogi nauczycielskie. Aby więc nauczyciel tym wielokrotnym wydołał trudnościom, aby mógł zwalczyć złe nałogi ucznia i umocnił go przeciw zgubnemu

(1) Bliższą wiadomość o czynnościach i organizacyi tego Towarzystwa znaleźć można w dziełku : *Manuel de la Société de Saint-François de Regis*, w Sekretaryacie T. Ś. W. a P., 6, *rue Furstenberg*.

w domu rodzicielskim wpływowi, powinien być skutecznie poparty. Tę właśnie moralną pomoc przynosi mu Stowarzyszenie. Każda niemal w Paryżu konferencya przeznacza na wizytatorów, do szkółek uczących bezpłatnie, po jednemu lub dwóch członków na klasę. Ci zwiedzają szkołę co tydzień, pytają profesora o każdego zosobna ucznia, zapisują jego postępy, odzywają się, jeźli potrzeba, z pochwałą lub naganą, i w pewnych oznaczonych epokach, zwykle co sześć tygodni i stosownie do prowadzenia się uczniów, rozdają im nagrody.

Jak widzimy, nic w tém dziele nie ma trudnego, nic kosztownego, a jednak wszędzie gdzie ten system odwiedzania uczniów w szkole był przyjęty, nieobliczone przyniósł korzyści. Chłopiec, który co tydzień otrzymywał dobre postępki, który pilnością i przykładném prowadzeniem się zasługiwał na premium, który miał je prawie w ręku swojém i stracił przez nierozwagę, albo chwilowe opuszczenie się, żałuje serdecznie swego błędu; porusza go do głębi ta sprawiedliwość wymierzona przez człowieka, którego wprawdzie nie zna, ale którego uważa nieporównanie wyższym od siebie, srożéj go to boli, niż najostrzejsza kara, jakaby go spotkać mogła w szkole, i obiecuje sobie na przysłość wszelkiego dołożyć starania, aby go spodziewana nie minęła nagroda.

Lecz jakkolwiek dzieło to jest prostém, są przecież pewne warunki, o których wizytator pamiętać i ich przestrzegać powinien. Najpierwszym jest jak najściślejsza punktualność, punktualność matematyczna. Jeźli odwiedzający nie przyjdzie w godzinie umówionéj z nauczycielem, to niedość że uczniom zły daje przykład, ale wizyta jego traci na wartości, a w szkole wywraca się cały porządek; jeźli zaś co gorsza nie przyjdzie wcale, dzieci martwią się i zniechęcają, i po kilku opuszczeniach wizytator pozbawia się wszelkiego u nich znaczenia. Niemniéj ważną zdaje się być uległość dla

nauczyciela, któremu służy prawo zabronić wstępu do klasy każdemu, kto nie jest jego zwierzchnikiem. Bo aby zyskać wpływ dzieci, aby umocnić władzę moralną nauczyciela, wreszcie aby skłonić go do potrzebnych zmian lub ustąpień, trzeba we wszystkiém wobec szkoły, do jego życzeń stosować się. Nagrody, które Stowarzyszenie dzieciom rozdaje, składają się z książek, obrazków albo téż odzienia. Wydatek na nie jest niewielki; konferencya na każde dziecko protegowane, przeznacza tytułem nagrody *pięć centimów miesięcznie*, i summa ta wystarcza zupełnie. Z takiémi to prawie nieujętnémi środkami, Stowarzyszenie Ś. Wincentego zamierza zwykle otrzymuje bardzo ważne moralne rezultaty. Aby dzieło opieki szkolnéj pełnić i niém wrzastającemu pokoleniu służyć skutecznie, niepotrzeba wiele wydawać, ani nawet umieć wiele, potrzeba tylko poczciwie chcieć!

Zatrzymujemy się nieco dłużéj nad tym przedmiotem, bo o ile wiemy, bardzo mało jest znany, a zdaje nam się, że nie ma w Polsce szkółki, gdzieby taki system kontrolowania uczniów i wspierania nauczycieli, nie mógł być z korzyścią wprowadzony. W naszych ubogich miasteczkach lub po wsiach, nauczyciel wobec zgrai chłopców do psot i figlów jedynych ale w nauce zwykle tępych, wobec rodziców obojętnych albo wprost nieżyczliwych, gdy po kilkuletniém doświadczeniu przekonywa się, że jego usiłowania nie przynoszą owocu, że postęp dzieci pod względem umysłowym jest nieznaczny a pod względem moralnym prawie żaden, cóż dziwnego, że zostawiony sam sobie, powoli zaniedbuje się i opuszcza, wkońcu traci nawet uczucie swego obowiązku! Jest więc szkoła, są uczniowie, ale wychowania prawie wcale nie ma! Gdybyśmy spodziewali się, że słowa nasze dojdą tam, gdzie nasza myśl ciągle zwró cona, że one trafią do serca i umysłu obywateli polskich, tobyśmy ich błagali, aby z téj Francyi raz przecie

wzięli to, co wziąść z niéj warto i należy, aby się przejęli duchem jéj chrześciańskich stowarzyszeń. Na to, by podnieść stan umysłowy i obyczajowy przyszłych pokoleń, dosyć w każdém mieście kilku lub kilkunastu mieszkańców. Lecz choćby i tych nie było, wystarczy jeden człowiek dobréj woli, który w swojéj gminie wszedłszy w stosunek przyjazny z nauczycielem parafialnym, przyniesie mu pomoc swéj rady i nauki, wesprze jego powagę i uczniów przekona, że oprócz profesora jest ktoś więcéj, co się ich postępem szczerze zajmuje. Zdawałoby się również, że po wsiach synowie obywatelscy powinniby z saméj natury rzeczy stać się opiekunami nauczycieli. Bo czyż potrzeba im długo tłumaczyć, że jacy dzisiaj w tych szkołach wychowują się uczniowie, takich oni w przyszłości mieć będą — już nie poddanych — ale sąsiadów... Opiekę Stowarzyszenia nad młodzieżą rzemieślniczą, opowiemy następnie.

V

3 lipca.

Zeszłéj niedzieli, 27 czerwca, niezwyczajny tłum ludzi zebrał się w kolegium *Louis le-Grand*, w Paryżu. Celująca młodzież rzemieślnicza, któréj wyroby może czytelnik obejrzeć na wystawie luxemburskiéj podziśdzień otwartéj, miała otrzymać nagrody. Wzdłuż ścian ogromnéj sali, siedziało półczwarta tysiąca ubogich chłopców, ustrojonych jak którego bylo stać w dniu tak uroczystym, i rzucających wzrok ciekawy na estradę, gdzie już przygotowane były stosy dyplomów i medali bronzowych, srebrnych i złoconych. Środek sali i galerya przepełnione kilkoma tysiącami osób dorosłych lub dzieci obojéj płci; na estradzie biskupi, władze cywilne wojskowe i naukowe, oraz prezesi i członkowie prywatnych edukacyjnych stowarzyszeń. Ten zbiór tak

liczny a tak rozmaity, nadawał uroczystości cechę właściwą chrześciańskiego zmieszania różnych stanów, wieków, i zatrudnień, skojarzonych miłością wspólnego dobra; były i mowy pełne wysokiéj prostoty i dowcipu, których młodzi i starsi z równém podniesieniem, z równém rozgrzaniem słuchali, a gdy wzywano laureatów po odbiór nagrody, muzyka wojskowa przygrywała im marsz tryumfalny. Było to święto kilku tysięcy młodych rzemieślników, dzieci najuboższych zakątków Paryża. Zkąd się tu wzięli, jakim sposobem zebrano ich razem doprowadzonych już do pewnéj w swém rzemiośle biegłości : oto co pragniemy dzisiaj opowiedzieć.

Na odległych ulicach i placach Paryża nieraz można było spotkać (i dziś się to zdarza) tłumy niesfornie bawiących się chłopców i dziewcząt, których twarze wybladłe, odzież brudna i podarta świadczyły o dotkliwéj nędzy i braku potrzebnéj opieki. Były to dzieci, których rodzice albo o nie całkiem nie dbali, albo zajęci pracą, troszczyć się nie mogli, albo téż były to najnieszczęśliwsze w świecie istoty, które domu rodzinnego i ojca ani matki nie znały, a przed słotą i zimnem chroniły się jak mogły, póki ich nie zebrała policya. Nie dostrzegłeś w nich nieraz żadnego śladu wykształcenia, czasami żadnego nawet pojęcia o Bogu. Kiedy więc z nową epoką duch miłosierdzia wysłał ludzi dobréj woli na te pustkowia chrześciańskiéj cywilizacyi, pierwszą myślą musiało być wyrwać czém prędzéj te młode latorośle ze sfery zepsucia, przenieść je na grunt zdrowy, w powietrze czyściejsze. Z wielkim kosztem poczęto tworzyć zakłady, «pensyonaty rzemieślnicze,» w których, zaopatrując wszystkie ich potrzeby, umieszczano chłopców dla nauki rzemiosła. Chciano ich uchronić od wpływu majstrów i czeladzi rozpustnéj, od wszelkiego zetknięcia z warsztatami; w cichości i w odosobnieniu chciano z nich utworzyć biegłych rzemieślników i chrześcian

w wierze umocnionych, a dopiero gdy wyjść mieli na majstrów, do nich zamierzano oddawać młodzież uczącą się.

Zaledwo kilka tego rodzaju stanęło, zakładów, w mieście i po wsiach, zaraz pokazały się niedogodności, a jedną z nieposlednich był zbyt wielki koszt nauki. Choć cena wejścia od chłopca wynosiła 200, 250 do 300 fr., z tych opłat nie mogły utrzymać się owe pensyonaty i każdego roku potrzebowały składek i dobrowolnych dodatków. Wychowywać takim kosztem dzieci ludu, to wistocie zadanie nie już kolosalne ale niepodobne (1): pracy i zachodów niezmiernie wiele, a owoc musiał być zawsze nieznaczny. Ale były i inne niedostatki. Celem tych zakładów, które chłopców zatrzymywały aż do 18 roku życia, było przedewszystkiém zaszczepienie gruntownych uczuć religijnych. Lecz niezawsze skutek odpowiadał staraniu; młody rzemieślnik wyszedłszy z błogosławionéj i uprzywilejowanéj atmosfery, kiedy rzucił się w koło codziennego zajęcia, znajdował się naraz wobec mnóstwa nieznanych towarzyszy szyderczych i rozpustnych, i jakże wówczas musiał czuć się słabym i samotnym, jak bezbronnym przeciw tylu wpływom i przykładom psującym! Bo i to trzeba dodać, że młody opuszczając pensyonat nie miewał, jak się pakazało téj biegłości, któréj rzemieślnik w prywatnym warsztacie nabiera, albo choć nauczył się rzemiosła, nie nabierał doświadczenia w kupnie, przedaży, i nie wiedział jak sobie w danym wypadku poradzić. Ci co jego wychowaniem trudnili się, nie prowadząc życia rzemieślniczego, łatwo się skłaniali do niewczesnéj litości nad losem biednego dziecka, które skazane jest zawsze ślęczyć nad jedném i tém samém; to sypialnie zdawały

(1) *Société pour le placement en apprentissage des jeunes orphelins*, założone w roku 1822, dziś jeszcze od każdego terminatora opłaca rocznie 500 fr.; podobnież *Association des fabricans et artisans* założone w roku 1829.

im się niedość przestronne i powietrzne, to jadło niedosyć zdrowe i pożywne. Młody nawykał przeto do łatwości i wygód tak przeciwnych życiu które go czekało; z charakterem miękim i nieudolnym opuszczając zakład, niósł w świat nieustanną skargę i ciągłe niezadowolenie z siebie i z ludzi.

Wyższych czy niższych klas wychowanie, jeźli ma odpowiedzić dzisiejszym potrzebom, musi być życiem regularném, pracowitém, mozolném, a zarazem musi nie ociągać się z wyprowadzeniem młodzieńca na pole, na którém mają spłynąć dalsze jego lata. Pieluchy domowe dla młodego panicza czy rzemieślnika, na to tylko chyba posłużą, że go ukształcą na dziwaka lub mizantropa; rozpieszczą zbytecznie jego nerwy, albo go zrobią zimnym na wszystko, co jego własnéj osoby nie tyczy. Ci co służyć mają spółeczeństwu, powinni rosnąć i dojrzewać wraz z całém pokoleniem, z którém dzień biały pospołu ujrzeli.

Ale umysł ludzki długo się biedzi, długo opodal trudnego szuka wyjścia, nim w pobliżu dostrzeże drogi jedynie pewnéj i bezpiecznéj. Jestto właściwe dzisiejszym dopiero zakładom chrześciańskim, że środki któremi się posługują są proste, łatwe i tak zwyczajne, że je właśnie dlatego nie trudno przeoczyć. Każdy może ich użyć i z ich pomocą prawie cudów dokazać, byleby miał wiarę, która się nie da złamać trudnościom, jakie później na pewno się ukażą. Lat temu kilkanaście, w jednéj parafii francuzkiéj, człowiek dobréj woli upodobawszy sobie młodego terminatora, wziął go w niedzielę na przechadzkę; rozmawiał z nim, bawił go, uczył o Bogu, o powinnościach chrześcianina, o przedmiotach które się w ciągu spaceru same nastręczały. Następnéj niedzieli toż samo, a późniéj kiedy ucznia już sobie przyswoił, przybrał drugiego i trzeciego. Po skończonym roku miał ich ledwo ośmiu czy dziesięciu, ale ci szczerze go lubili i tęsknili za niedzielą, jak za naj-

milszą rozrywką. Potrzeba było czasu, nim znaczniejsza liczba młodzieży przywykła schodzić się co niedziela dla nauki, modlitwy i spólnéj zabawy. Ale w końcu przywykła; i tak się zaczęło i utrwaliło dzieło Opieki rzemieślniczéj (*Patronage des apprentis*), mieszczące dzisiaj w téj parafi 250 młodzieży, któremu podobnych kilkadziesiąt w Paryżu, a wszystkie razem kilkanaście tysięcy chłopców i dziewcząt liczą obecnie. Tak się též poczynają wszelkie instytucye, których przeznaczeniem wydać plon długotrwały : *Magnus esse vis? a parvo incipe.*

Nowsze asocyacye miłosierne zajęły się w znacznéj liczbie Opieką rzemieślniczą, lecz, o ile wiedzieć można, prawie żadne nie okażało na tém polu tyle żywotności, troskliwości wszechstronnéj i ducha organicznego, ile Towarzystwo Świętego Wincentego a Paulo. Jestto osobna w tém stowarzyszeniu gałąź, posiadająca oddzielną organizacyą, osobne fundusze i własne domy (1). Jeźli się nie mylimy, ma ona najznaczniejszą pod swym nadzorem ilość młodzieży, a choć nie oddawna istnieje, już po raz trzeci urządza wystawę przemysłową, do któréj w bieżącym roku czterystu ośmdziesięciu terminatorów zostało przypuszczonych.

System opieki rzemieśliczéj w Towarzystwie Świętego Wincentego składa się z trzech głównych części : umieszczanie dzieci u majstrów dających rękojmią tak

(1) Towarzystwo Świętego Wincentego ma dziewięć patronażów w Paryżu, dość jednak zwiedzić *Patronage de Notre-Dame-de-Nazareth, rue Stanislas*, 11. Najlepiéj iść w niedzielę, po południu lub wieczorem, bo wtedy można obaczyć zebraną młodzież bawiącą się w ogrodzie lub sali. Musimy tu dodać, że i w Towarzystwie Ś. Wincentego początkowo zakładano pensyonaty rzemieślnicze, lecz zdaje się że ten system coraz bardziéj idzie w zaniedbanie. Podobnież, chociaż do dziś dnia dla ubogiéj młodzieży tworzą we Francyi pensyonaty rolnicze, jednak umieszczanie chłopców na naukę w domach wieśniaków gospodarnych i uczciwych okazało się, zwłaszcza w Bretanii, o wiele korzystniejszém.

pod względem przemysłowym jak religijnym, nadzór nad dziećmi przy warsztacie, zbieranie ich w niedzielę i święta.

Skoro chłopiec ukończył szkoły początkowe (zazwyczaj u Braci Nauki Chrześciańskiéj) i odbył pierwszą komunią, Towarzystwo wyszukuje majstra zdolnego, o którego moralném prowadzeniu się jest zapewnione. Spisuje z nim umowę terminatorską, zabezpiecza chłopcu godziny odpoczynku w ciągu dnia i wolność niedzieli, zastrzega sobie prawo czuwania nad postępkami chłopca i nad sposobem w jaki patron dopełnia kontraktu. Czyż potrzeba mówić, jak dalece Towarzystwo stara się być oględném w wyborze majstra, i rodzaju zatrudnienia najwłaściwszego zdolnościom chłopca i życzeniom rodziny? — Umieściwszy chłopców, Opieka rzemieślnicza zaprasza konferencye, aby wyznaczały stowarzyszonych do odwiedzenia ich, przynajmniéj raz na miesiąc, przy warsztacie. Odwiedziny te są dopełnieniem, uświęceniem umowy, którą zawarto z majstrem. Stowarzyszony występuje tutaj jako naturalny, poufny pośrednik między patroném a chłopcem, przyjmuje od nich zwierzenia, łagodzi wzajemne niechęci, młodego zachęca do pokochania pracy, do cierpliwości i posłuszeństwa, majstra do troskliwéj względności. Jeźli chłopiec ma rodzinę, stowarzyszony z wielką ścisłością strzeże jego obowiązków i uczuć rodzinnych, namawia go, aby korzystał z każdéj wolnéj chwili i pobiegł zobaczyć starego ojca lub matkę, a jeżeli już coś zarabia przypomina mu, aby zaniósł rodzicom grosz oszczędzony. Byleby odwiedzający. nie nadużywał w warsztacie swego prawa mieszania się, nie spieszył się z wydawaniem sądu, nie przybierał roli oficyalnéj a tém mniéj rozkazującéj, można zaręczyć, że każda jego wizyta dla obu stron będzie pożądaną, i skoro sam cierpliwie wysłucha może także być pewnym, że go usłuchają.

Lecz aby zdobyć rzeczywisty wpływ na umysł młodego, nie wystarcza dozierać go przy pracy, trzeba czuwać nad nim kiedy się bawi. W tym celu urządzone są, dla niedzielnych zebrań, domy z kaplicą, z ogrodem lub z podworzem, z obszerną salą, jedną lub kilkoma. Po nabożeństwie, dzieci miewają w ciągu dnia kilka godzin nauki łatwéj i przyjemnéj, to jest historyi świętéj, historyi francuzkiéj, geografii początkowéj, kaligrafii i rysunku linearnego. Reszta dnia przeznaczona na zabawę. Zabawa to jest fundament patronażu, to najsilsza sprężyna w mechanizmie téj instytucyi. Potrzeba bawić dzieci, aby się nie nudziły, i aby ich nuda do złego nie zawiodła, bawić je aby pozyskać ich ufność i wstęp dobremu ułatwić, wreszcie bawić je choćby dlatego, aby umysł ich orzeźwiał, i aby nogi ich wyprostowały się po tygodniowéj mozolnéj pracy.

Każda Opieka rzemieślnicza ma stałego dyrektora, który pełni swe obowiązki za pieniężném wynagrodzeniem. Ale jego obecność w niedzielę nie wystarcza, członkowie konferencyj biorą więc na siebie po kilka godzin, które razem z młodymi w zakładzie spędzają. Już to samo, że przychodzą dobrowolnie i podejmują się téj czynności nie z musu, ale z wewnętrznego popędu, to samo nadaje im pewną swobodę i łatwość, do któréj lgną serca młodociane. Każda ich zdolność, każda specyalność da się tu zużytkować : co umieją tego nauczyć mogą w ciągu lekcyi lub rozmowie, a choćby nic nie umieli prócz zabawy, to jak dopiero wspomnieliśmy, i ten przymiot w zakładzie wysoko popłaca. Dzieci potrafią ocenić to poświęcenie człowieka dorosłego i pod każdym względem stojącego od nich wyżéj, z jakiém on zchodzi do ich wieku i pojęcia, chętnie usłuchają jego rad i poddadzą się jego kierunkowi; wówczas też stowarzyszony rzadko potrzebować będzie karcić z surowością wykroczenia, i jeden gest prawie nieznaczny, lub uwaga wypowiedziana spokojnie, wystarczą, aby

powstrzymać wesołość, jeżli nad miarę wezbrała. Ale iżby on przyszedł do takiego na umysł młodociany wpływu, potrzeba mu przedewszystkiém umieć kochać dzieci. Któż dzieci nie kocha? Wszyscy je lubią, zwłaszcza kiedy ładne, dobre i wesołe. Lecz kochać je mimo przywar, kochać dla uformowania ich charakteru i wydobycia z duszy ukrytych, głęboko ukrytych zarodów dobrego, to rzecz osobnego powołania, to już jest cnotą. Otóż bez téj cnoty stowarzyszony na mało przyda się Opiece: raz, znudzony, zbyt łatwo będzie pobłażał, drugi raz, zniecierpliwiony, na wszystko się ofuknie, jednemu wszystko pozwoli, drugiemu odmówi wszystkiego : humor zmienny mimowolnie pociągnie go do niesprawiedliwości, czém młodzież obruszy i na zawsze odstręczy. Nic z tego, co ich osobiście dotyczy, nie ujdzie bystrego wzroku dzieci; za miłość zapłacą miłością, za swobodę oddadzą szczerość i otwartość, ale zimnych i wymuszonych unikać będą skwapliwie, chociaż im nie odmówią oznak swego uszanowania. Nie kochając dzieci, można mieć szkółkę należycie urządzoną i młodzież zawsze czysto i porządnie ubraną, ale się nie otrzyma nigdy tego ruchu, życia i wesołości, które stanowią istotę patronażu.

Oprócz kawałka chleba na przekąskę koło południa i szklanki limonady z suchém ciastkiem na wieczór. Opieka nic więcéj dzieciom nie daje; w pewne atoli dnie z większą obchodzone uroczystością, zakład dla swych młodych uczestników wyprawia śniadanie, które po trzy sous na osobę kosztuje. Latem jednę lub dwie niedziele chłopcy przepędzają za miastem. W zwyczajną niedzielę, nauki lub zabawa trwają do godziny 5, poczém wszystka młodzież rozchodzi się na objad do swych patronów lub rodziców. Ale o 7 już są z powrotem, i wtedy zaczynają się gry w sali; ustawiają stoliki i ławki, znoszą gry, zapalają lampy. Tymczasem przybywa nowy

poczet stowarzyszonych, którzy rozdzielają się między dzieci i zasiadłszy przy stolikach, pomagają im do rozrywki. O 9téj kończy się gra, wszystka młodzież schodzi się w największéj sali i zasiada na ławkach; schodzą się także stowarzyszeni, kilku księży, dyrektor zakładu i starsi Towarzystwa. Jeden z księży lub stowarzyszonych, mający większą łatwość mówienia, zabiera głos. Odezwy te mają właściwy sobie charakter i tworzą osobny rodzaj wymowy patronażów; nie ma w nich tonu nauczającego, jest to raczéj rozmowa swobodna starszego z młodszymi braćmi. Mówca duchem religijnym przejęty, odzywa się zawsze do uczucia honoru, który w młodych piersiach podnosi i egzaltuje, zasadzając go na wypełnianiu obowiązków sumienném i bez litości dla siebie. Przytém słowa mówcy mają tyle prostoty i uczucia, tyle żywości i dowcipu, że trudno nie słuchać go z uwagą i nie wynieść wrażenia, które na długo zostaje pamiętném.

Bawiąc dzieci, jak widzimy, patronaże nie spuszczają z oka przedmiotów poważnych; często nawet bez wyższego celu niepodobna byłoby przynęcić młodzieży. W niektórych zakładach udało się szczęśliwie zaprowadzić między starszymi konferencye Ś. Wincentego. Chłopcy mają swe bióra, urzędników i kasę, mają liwerantów, ktorzy przyjmują ich bony, i ubogich, których co niedziela odwiedzają. Rzecz zaprawdę godna zastanowienia z jaką powagą, ścisłością i serdeczném zajęciem ci mali stowarzyszeni dopełniają nie zbyt łatwych obowiązków Towarzystwa, z jaką bystrością umieją odgadywać potrzeby ubogiéj rodziny, i jak rozważnie na swych posiedzeniach oceniają każde żądanie przez biednego zaniesione. — Instrukcye Towarzystwa Ś. Wincentego polecają nadto, aby Opieki korzystały z każdéj sposobności dla przyuczenia chłopców do oszczędnego szafunku groszem. «Zdarza się, są słowa instrukcyi, że

terminatorowie mają własne pieniądze : czasem majster da im kilka sous w miejsce śniadania, czasem za odniesienie pakunku ze sklepu dostanie im się mała nagroda; trzeba więc im poradzić jak mają użyć pieniędzy, ale skuteczniejszém będzie niż rada, urządzenie w zakładzie kasy oszczędności. Nie można o tém dość pamiętać, że bale, teatry i sklepy wina ruiną są dla robotników; ci co najwięcéj zarabiają, bywają nieraz najubożsi. I gdyby się dało w klasy rzemieślnicze wpoić zasady ekonomii, opierając je na uczuciach chrześciańskich, zmniejszyłaby się o połowę liczba chorych w szpitalach, dzieci podrzutków i zbrodniarzy.»

A jednak, trzeba dodać wkońcu, mimo tylu starań i środków działania, mimo tylu rodzajów przynęty, zdarza się czasem, że dzieci albo wcale do Opieki nie przychodzą, albo w niéj nie czynią postępu. Nic w istocie trudniejszego, jak przyzwyczaić je do regularnego uczęszczania. Jest słabości ludzkiéj właściwa pewna niestałość, jest w każdym z nas przyzwyczajenie do zmienności, które inném przyzwyczajeniem potrzeba zastąpić. A nadto chłopcy w warsztatach muszą ukrywać się przed starszymi, że do Opieki należą; skoro się wydadzą, czeka ich śmiech i żart bolesny i szydercze przezwisko. Nieraz dziecię przychodzi z rzewnym płaczem i skargą, że prześladowania dorosłych robotników dłużéj wytrzymać nie może. Wpośród młodzieży do Opieki przyjętéj bywają chłopcy nieraz tak zepsuci, że długo wszelka nad nimi praca zostaje bez skutku. Kto więc zakłada Opiekę, niech się przygotuje, że nieodzownie nie powiodą mu się pierwsze lata, że pierwsze chłopców szeregi okazywać będą upartą nieżyczliwość, że w następnych dopiero latach znajdzie żywioły przyjaźniejsze i potrafi przemódz złą wolą czeladzi i majstrów. Opieka rzemieślnicza jest dziełem, które ze wszystkich może najmniéj dozwala pośpiechu i najwięcéj wymaga cierpliwości. Siać trzeba długo bez nagrody,

bez uznania, bez nadziei zbioru, lecz za to można być pewnym, że trochę wcześniéj trochę późniéj, pole bujnie się zazieleni i dla przyszłości zejdzie kłos bogaty.

ZAMACHY NA DYECEZYĄ CHEŁMSKĄ.

20 lutego.

Kilka razy wspominaliśmy w piśmie naszém o zamiarach moskiewskich, dążących w Królestwie Polskiém do zniszczenia reszty Unii i zmuszenia unitów do przejścia na schyzmę. Oddawna już zamiary te nie mogły byc nikomu wątpliwe, skoro rząd rossyjski zawierając konkordat z Stolicą Apostolską, nie chciał wejść w żaden układ mający na celu zabezpieczenie dyecezyi chełmskiéj. Ale odkąd p. Muchanow, który w ciągu kilkuletniéj swéj administracyi, dał się poznać nietylko jako zacięty nieprzyjaciel wszystkiego co żywiół polski utrzymywać może, ale jako zręczny i w swéj gorliwości niezrównany Kościoła katolickiego prześladowca, odkąd ten wszechwładny Królestwa Polskiego gubernator objął naczelny zarząd spraw duchownych i oświecenia publicznego,—odtąd wojna przeciw dyecezyi chełmskiéj przybrała charakter regularnego oblężenia, prowadzonego według wszystkich prawideł moskiewskiéj sztuki i którego koniec z pewną ścisłością da się oznaczyć.

Zły przykład bardziéj od dobrego bywa zaraźliwym. Takie jest przekleństwo zbrodni, mówi poeta, że rosnąc,

samą tylko nikczemność płodzi. Hańby Siemiaszki pozazdrościł dla siebie jeden z księży unickich w Chełmie, kanonik Jan Pociéj (1). Wszedł on w poufny związek z panem Muchanowem, i obaj spiknęli się na to, aby księży unickich, groźbą lub przekupstwem, do odstępstwa skłaniać, i jednę po drugiéj instytucyą Kościoła unickiego w Chełmie znosić lub dla schyzmy wydzierać. Korzystając z doniesień, w tych dniach przez niektóre francuzkie pisma ogłoszonych (2), chcemy dziś wkrótkości oznaczyć, co rząd rossyjski już ta tém polu zdobył, i co mu jeszcze do zburzenia pozostaje.

Dyecezya chełmska, jak wiadomo ostatni zabytek, w krajach berłu rossyjskiemu podległych, obszernéj niegdyś metropolii unickiéj, rozciąga się wzdłuż granic Królestwa Polskiego, w gubernii lubelskiéj i augustowskiéj i liczy około dwieście ośmdziesiąt tysięcy wiernych. Biskup i kapituła rezydują w Chełmie, gdzie się znajduje seminaryum dyecezyalne. Na całéj przestrzeni dyecezyi zakon Bazylianów posiada pięć klasztorów. Po śmierci biskupa Szumborskiego, administratorem dyecezyi, od roku 1851, jest ksiądz Teraszkiewicz, biskup *in partibus*.

Skoro udało się rządowi rossyjskemu zamknąć dom Bazylianów w Rzymie, zamknięto także ich nowicyaty w klasztorach polskich, i dziś w Królestwie, zakon ten liczy tylko dziesięciu członków; ich prowincyał, z kraju wydalony, schronić się musiał do Rzymu. Sprawy unickie należały dawniéj do komisyi wyznań duchownych w Królestwie Polskiém, która załatwiała interesa katolickie; dziś przeniesiono je do sekcyi obcéj, wolnéj

(1) W roku 1852, wydał ksiądz Jan Pociej w Warszawie dzieło: *O Jezusie Chrystusie Odkupicielu, tudzież o pierwotnych Chrześcianach i ich domach modlitwy*, potępione przez Stolicę Apostolską w miesiącu grudniu 1857. Rozbiór tego schyzmatyckiego dzieła znajduje się w *Przeglądzie Poznańskim*, XVII, str. 315 i następne.

(2) Le *Correspondant*, janvier 1858. L'*Union*.

zupełnie od katolickiego wpływu. Szkółki parafialne unickie wziął p. Muchanow pod swój dozor szczególny, i zarzuca je schyzmatyckiemi dziełami, które służyć muszą za książki wykładowe.

Ubezpieczywszy się ze strony Bazylianów, których zakon w Królestwie zwolna dogorywa, rząd zwrócił całą swą czynność przeciw duchowieństwu świeckiemu. Na jego czele stoi administrator, który broni się jak może, ale liczba jego wiernych pomocników coraz bardziéj się zmiejsza. Lat temu kilka, kanonik Pociéj podał myśl przerobienia seminaryum na schyzmatyckie. Stosownie do tego projektu, administrator otrzymał w roku 1852 zawiadomienie, że odtąd seminarzyści okazujący większe naukowe uzdolnienie, wysyłani będą dla dalszego ćwiczenia się do Akademii duchownéj w Moskwie, i zaraz posłano tam dwóch, między nimi syna księdza Pocieja. We trzy lata późniéj naznaczono czterech nowych kandydatów. Ci, przerażeni łaską, która na nich spadła, i bojąc się prześladowania, uciekli z kraju; z nich trzéj znajdują dziś w Rzymie.

Dwaj pierwsi, którzy w Moskwie ukończyli swe nauki, to jest młody Pociej i Szeletmetko wrócili do Chełmu, i przez ministra Norowa, wbrew woli administratora, mianowani zostali profesorami seminaryum dyecezalnego. W tym samym czasie, w sierpniu 1857, biskup Teraszkiewicz miał sobie od p. Muchanowa komunikowany plan nowego urządzenia seminaryum, plan wojskowy i oddający instytut pod kierunek rządu. Zbytecznem byłoby objaśniać, że p. Muchanow nie omieszkał użyć wszystkich sprężyn, aby wymódz na chorym i złamanym długą walką starcu, podpis stanowczy; bo urządzenie seminaryum na sposób schyzmatycki, oddawało poniekąd dyecezyą w ręce Synodu. Biskup to czuł zagrożony prześladowaniem, niepokojony i dręczony; opierał się długo, wpadł w chorobę, — ale podpisu odmówił. Wówczas spostrzegł rząd, że trzebaby

uciec się do jawnego gwałtu; przed gwałtem na teraz się cofa. Nie przestaje jednak szerzyć propagandy między duchowieństwem unickiém; w Chełmie jakoby już w eparchii prawosławnéj, wznosi zakłady schyzmatyckie, ale dla zamknięcia swego dzieła czeka szczęśliwszéj niż dotąd sposobności, albo téż śmierci biskupa!...

Lecz, czyż i my (tu słowa nasze zwracamy do rodaków w kraju i poza krajem), czyż i my czekamy téj śmierci zacnego biskupa, aby późniéj, kiedy już będzie po czasie, z żalami naszémi rozwodzić się, a teraz, póki czas, nie spieszym z obroną téj drogiéj spuścizny apostolstwa naszych przodków, tego, rzecby można zadatku lepszéj dla nas przyszłości? Czyż wtedy dopiero poznamy wartość i znaczenie téj dyecezyi, kiedy ją bezpowrotnie stracimy? Nicże już w naszém ręku nie zostaje, czemby uciśnionym przynieść pomoc; wszystkież organa publiczne zamknięte są dla głosu prawdy; rządy europejskie czyż wszystkie gotowe są poświęcić sprawę Kościoła dla chwilowéj przyjaźni z Rossyą? Nie! Jeszcze czas ratunku w zepełności nie upłynął, jeszcze do pewnego stopnia od nas zależy nieszczęściu zapobiedz. Bo choćby téż najgorliwsze starania skutku żadnego w Europie nie przyniosły, to sama o nich wiadomość, da Bóg, wystarczy aby zagrzać męztwem serca naszych braci i do wytrwania je umocnić!

GEOGRAFIA I ETNOGRAFIA POLSKI.

27 lutego.

Od niejakiego czasu pisma krajowe coraz częściéj mówią o zachodzącéj, albo przynajmniéj przewidywanéj u nas zmianie na polu literatury. Powieść i feleton, panujące dotąd przemożnie, zdają się być zagrożone utratą swego wszechwładztwa; ogół czytający przesycony, znużony niemi, poczyna żądać istotniejszego pokarmu umysłowego: dlatego téż odzywają się coraz głośniéj i śmieléj nawoływania rzeszy literackiéj do przedmiotów poważniejszych, naukowych, historycznych mianowicie. Ledwieby nie można wróżyć, że historya wejdzie na porządek dzienny i będzie miała swoję chwilę górowania, jak niegdyś polityka, późniéj filozofia, a nakoniec belletrystyka z artyzmem. Cokolwiekbądź, reakcya przeciw obecnemu kierunkowi ruchu pismienniczemu już się staje widoczną, i jak każda reakcya sięga zbyt daleko, ciągnie zbyt wyłącznie w przeciwną ostateczność. Zwrót przeto jest trudny, napotyka silny opór w samym nawet materyalnym organizmie produkcyi literackiéj. Dzisiaj, dziennikarstwo jest prądem, który ściąga do siebie mnóstwo strumyków pracy, i owoce jéj przez

dłuższy czas albo dla dłuższego czasu zbierane, unosi w przepaść dni wczorajszych. Ale ten prąd ma w sobie życie, nie płynie tajemnémi kanałami bibliotek i gabinetów naukowych, toczy się na powierzchni rzeczywistych interesów, dogadza blizkim potrzebom i publiczności i pracowników. Żeby go sprowadzić do właściwego koryta, żeby nie dozwolić mu osuszać poważniejszych krynic umysłowéj niwy, żeby ochronić co zrywa i marnuje, trzeba otworzyć inne stoki i ujścia, odpowiadające również warunkom żywotnym. Inaczéj, nawoływanie do pracy poważniejszéj, trwalszéj, surowszéj, będzie zawsze trąciło suchém moralizowaniem pedagogiczném i żadnego nie sprawi skutku.

Jeżeli załamanie się w kierunku pismienniczym, przychodzi istotnie jako wypadek wielu nagromadzonych przyczyn i pod ich parciem zdoła objawić się wyraźnie, pierwszy tego wpływ niewątpliwie musi okazać się na pismach czasowych. Dotąd te pisma, trwają u nas w jakimś stanie aglomeratów nieorganicznych, chociaż w skład ich wchodzą nieraz pełne żywotności cząstki. Bardziéj przeczucie, niżeli usprawiedliwienie ich potrzeby jedna dla nich życzliwość ogółu. Było już nieraz, w rozmaity sposób powtórzone to zdanie, że w teraźniejszém położeniu wszystkich części naszego kraju, pisma czasowe mają wzniosłe stanowisko, powołane są zastępować wyższe szkoły publiczne, spełniać czynności ciał uczonych. Z drugiéj strony odzywają się ciągle skargi, że obywatel mieszkający w swéj wiosce, otoczony rodziną, przejęty najlepszemi chęciami dla pismiennictwa krajowego, nie wie jakieby pismo czasowe miał zapisać, aby dogodzić potrzebie umysłowéj członków swojego domu; że pisma tego rodzaju nie zwracają dosyć względu na potrzeby tych ludzi, co są nie specyalni, nie literaci, nie prawnicy, nie antykwaryusze, ale jednakże do pewnego stopnia ukształceni, przyjęliby nawet chętnie rzecz specyalną, byle wyłożoną w przy-

stępnéj formie. Wymagania może za nadto rozległe, wszelako jest w nich pewna wskazówka i celu i środków. Potrzebność i przystępność, to warunki dzisiaj najgłówniejsze, a od umiejętnego ich połączenia zależy zresztą niemal wszystko.

Nie można powiedzieć, że Redakcye naszych pism prawdziwie zbiorowych i ogólniejszego zakresu, zupełnie nie pojmują swego zadania i nie czynią gorliwych usiłowań; ale widać to zawsze, że nie trzymają w ręku silnego steru i są jakby na łasce swoich współpracowników. Każdego miesiąca zakłopotane czém poszyt napełnić, umieszczają w nim nie to, coby wprost odpowiadało jasno zakreślonemu przeznaczeniu pisma, ale najczęściéj co Bóg da, co komu przyjdzie ochota nadesłać, albo co może podobać się różnego rodzaju czytelnikom. Mają wprawdzie niektóre stałe rubryki, jak np. korespondencyj, i w tych wszakże nie przewodniczy myśl kierująca wszystko do wytkniętych widoków. Ztąd pochodzi, że pisma nasze czasowe, zamiast być czemś istotnie nakształt szkoły publicznéj, zamiast środkować i ułatwiać prace naukowe, stają się wkońcu jakimś ogółowym składem materyałów, urywków, płodów ulotnych, a w tém nie różniąc się od dzienników, ani powagą ani żywością nie mogą ich przewyższyć i współubiegania się z nimi wytrzymać. Chcąc razem i trwalszym i chwilowym względom dogodzić, przypominają ów wiersz Krasickiego:

A Czas z kosą na łące wśród kompasu z gliny
Sam nie wie czy ciąć trawę, czy znaczć godziny.

Śmiemy mniemać, że pisma czasowe w kraju, dopóty nie przyniosą w zupełności pożądanego skutku, nie odpowiedzą żądaniom i ogółu i własnych wydawców, dopóki pewne ich oddziały przynajmniéj, nie zostaną skarbnicą wyrobów dostarczanych przez pracownie urządzone właściwie i do właściwego celu, słowem,

póki Redakcye ich nie wejdą w tryb dobrze uorganizowanych stowarzyszeń naukowych lub literackich. Ta uwaga zwraca myśl ku istniejącym już stowarzyszeniom tego rodzaju.

Kraj nasz posiada trzy szczególniéj grona, liczbą i zamiarem przedstawiające ciała naukowe, po których wiele spodziewać się może: Towarzystwo Naukowe w Krakowie, Kommisyą Archeologiczną w Wilnie i nakoniec Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Różne ich położenie, różne warunki bytu i poniekąd sposoby działania; wszystkim wszakże zbywa jeszcze na tém, w czémby właśnie naśladowanie ich Redakcyom zalecać należało. Mają one swoje ustawy organiczne, odbywają posiedzenia ogólne i wydziałowe, zakładają albo mnożą zbiory i muzea; ale poza szeregiem tych czynności potocznych, porządkowych, niezbędnych wprawdzie, zawsze wszakże przygotowawczych tylko, cel istotnéj pracy wspólnéj, praktyczna użyteczność ześrodkowania sił niknie z widoku, rozprasza się znowu na pojedyncze promienie dobréj woli i zdolności członków. Każdy z nich zostawiony samemu sobie, może zająć się czém i jak się mu podoba, przynieść gronu co łaska. Ci, którzy nie mają usposobień szczególnych i zatrudnień obranych, ograniczeni są do roli biernéj słuchaczy na zgromadzeniach, i ledwo składką ustanowioną, albo jakim darem nadzwyczajnym przyczyniać się mogą do postępu — nie powiemy dzieła, ale przygotowań do zdziałania czegoś kiedyś. Osobne nawet wydziały nauk przyrodzonych, historycznych i moralnych, nie obmyślają przedmiotów pracy zbiorowéj, nie rozdają jéj cząstek członkom, nie pokazują w samém gromadzeniu materyałów planu i zamiaru jakiéj budowy. Czytamy skwapliwie i z uwagą sprawozdania z posiedzeń ogólnych i wydziałowych; we wszystkich prawie to samo: przemówienie prezesa lub jego zastępcy, wyliczenie drobiazgowe ważnych i mniéj ważnych nabytków, na-

koniec odczytanie rozprawy o tém lub owém, która może sama w sobie bardzo cenna i znamienita, ale sądząc z tytułu treści, nie wiadomo najczęściéj ani po co się tu zjawiła, ani gdzie pójdzie potém. Te rozprawy równie jak zbierane różne zabytki rękopismienne, mają podobno stanowić zasób do wydawania roczników, które w programacie wszystkich Towarzystw naukowych zdają się być ostatecznym punktem dążenia, najrzeczywistszym owocem ich usiłowań ku pożytkowi powszechnemu.

Towarzystwa przeto pragną przyjść do tego, od czego Redakcye pism czasowych poczęły, i dziwna rzecz czemu rozmijają się w drodze, czemu nie oddają sobie wzajemnéj pomocy, czemu nie masz pomiędzy niemi porozumienia się i związku. Przecież cele ich, w najogólniejszym zakresie, bardzo są zgodne i niemal jednakie, a środki dopięcia tych celów, nie mogą różnić się wiele, muszą trzymać się téj saméj zasady, którą jest odpowiedzenie w sposób jak najskuteczniejszy obecnym potrzebom umysłowym społeczeństwa. Gdyby roczniki, odstępując nieco od zwykłego trybu pism czasowych, miały być tylko wyłączniéj i ściśléj przeznaczone na skład pewnych rzeczy do schowania, mniéj jeszcze niż tamte zajmowałyby ogół, a w małéj ledwo części czyniłyby zadość powołaniu Towarzystw naukowych. Jak zaś część ta może być łatwo przyłączona do wychodzących już sposzytów miesięcznych, mamy tego przykład na wydawanym przez p. Platera de Broel zbiorze źródeł i dokumentów historycznych przy *Bibliotece Warszawskiéj*. Zbieranie wszakże i drukowanie tego rodzaju materyałów, bądź surowych, bądź nawet do pewnego stopnia wyrobionych, nie jest główném zadaniem Towarzystw naukowych u nas. Doświadczenie pokazuje, że szczuplejsze kółka wydawnicze, przedsiębiorstwa nakładców, pojedyńcze usiłowania czcigodnych mecenasów i pracowitych literatów, sprężyściéj w téj mierze

działają i więcéj przynoszą. Pod względem zaś użyteczności bliższéj, doraźnéj, którą Redakcye pism czasowych i Towarzystwa naukowe szczególniéj powinny mieć na oku, nie tyle dziś idzie o przysporzenie zasobów, ile o wyciągnięcie korzyści z tego co już nagromadzone, o torowanie dróg i ułatwianie przystępu do nabytków pogrążonych w odmęcie. Towarzystwa nadto, są jeszcze powołanie do zajęcia się takiemi robotami, które tylko za pomocą zbiorowéj i dobrze uorganizowanéj pracy wykonane być mogą.

Jak powiedzieliśmy, że Redakcyom pism czasowych nie zbywa na pojęciu ich zadań, tak téż przyznać to winniśmy, niektórym przynajmniéj, Stowarzyszeniom naukowym. Co tu piszemy, nie jest wymierzone przeciw nim jako zarzut lub upomnienie, pochodzi jedynie z chęci poparcia i przyspieszenia właściwego kierunku w usiłowaniach tak pięknych i zbawiennych. Istotną uciechę sprawiła nam wiadomość, że wydział nauk historycznych i moralnych w Towarzystwie Poznańskiém; na samym wstępie czynności swoich, zajął się zrobieniem obrazu bibliograficznego z kilku lat ostatnich. Jestto znak, i czujnego względu na bliższe potrzeby i tego porządku w przedsięwzięciach, który zdaje się zapowiadać, że pójdą jedne za drugiemi szykownym szeregiem. Stoi w oczekiwaniu poczet ich niemały, a głos publiczny niektóre usilnie zaleca. Poważymy się dodać tu i nasze *pium desiderium*.

Coraz częstsze i powszechniejsze wołania w kraju dopominają się o dzieła naukowe popularne, o wykłady podręczne, o książki uczące a przystępne, któreby składały pewny rodzaj szkółki domowéj. Uczynić zadość temu żądaniu nie jest rzecz łatwa i mała. Potrzeba tu dwóch warunków: umiejętności gruntowéj i zdolnego pióra, a są przedmioty wymagające jeszcze bogatego zapasu materyałów, zgromadzenia i uporządkowania wielkiéj liczby danych. W takich to mianowicie przed-

miotach, Towarzystwa mogą dostarczyć przygotowane zasoby i ułatwienia piszącemu. Pomijając inne, zastanowimy się trochę nad jednym.

Nie pomyli się zapewne kto powie, że nam zupełnie braknie dobréj geografii krajowéj. *Starożytna Polska*, Balińskiego i Lipińskiego dzieło szacowne, bardziéj jest historyczném niżeli geograficzném. Pod tym ostatnim względem wiele mu nawet nie dostaje. Kompendya, zwykle dla szkół pisane, prócz innych zarzutów jakieby im zrobić można, odstręczają złą metodą i suchością. Nie odpowiadają one ani dzisiejszemu stopniowi nauki, ani warunkom dzieł popularnych. Napisanie geografii polskiéj podług nowszéj metody, obejmującéj wszystkie widoki krajoznawstwa, osnowanéj umiejętnie a wyłożonéj jasno, powabnie, z życiem, z miłością ojczystéj ziemi, to zawód godzien najznaminitszego pióra. W roku przeszłym, dzienniki warszawskie doniosły jakby osobliwość, że jedna z naszych najwyżéj utalentowanych, najpoetyczniejszych autorek miała zająć się geografią krajową. Nowina ta bynajmniéj nie była dla nas dziwną, ale bardzo przyjemna. Nie wiemy co się stało z zamiarem. Tymczasem, jak wiadomości geograficzne nie są u nas upowszechnione, ciągle napotykamy tego dowody.

Niedawno, *Kronika Warszawská* umieszczając w swych kolumnach list ze Święcian, uznała za rzecz potrzebną przypomnieć czytelnikom, że «*Święciany*, miasto powiatowe gubernii wileńskiéj.» Wkrótce taż *Kronika* miała korespondencyą zatytułowaną «*Z Podlasia.*» Ponieważ zaś szanowny korespondent mieszka pod Garwolinem, jeden z redaktorów dodał przypisek ostrzegający go, że «Garwolin leży na pograniczu Mazowsza z dawném województwem lubelskiém a nie na Podlasiu, którego dzisiaj w Królestwie bardzo mało.» Chociaż komentarz ten ulega także sprostowaniu, bo Garwolin był przy granicy województwa sandomierskiego, *Gazeta Co-*

dzienna nie zastanawiając się nad tém, miała już dosyć powodów zawołać : « Smutna to rzecz, że dotąd tak mało znamy kraj nasz rodzinny, i że tak niewielka korzyść wypłynęła z tylu korespondencyj niby krajowych, któremi zapełniamy szpalty dzienników warszawskich.»

Te to właśnie korespondencye i różnego tytułu opisy mniéj więcéj rozległych okolic kraju, stanowią jeden z główniejszych oddziałów niewłaściwie zagarniętych przez dzienniki, a zaniedbanych przez pisma czasowe. Niesłusznie je lekceważyć i nazywać *niby* krajowemi. Pomimo małéj częstokroć wartości pod względem pisarskim i naukowym, zawierają one szczegóły szacowne, zasługują na uwagę, a lepiéj użyte, rozmyślnie skierowane, mogłyby przynieść wielką korzyść. Ale rzucane po kawałku w pstrociznę *szpalt* dziennikarskich, pisane nawet z myślą zajętą przedewszystkiém sprawieniem *efektu* dziennikarskiego, nikną bezużytecznie. Prócz ludzi, których szczególniéj obchodzi ta lub owa miejscowość, kto je czyta, kto pamięta o nich, kto wreszcie przypomniawszy sobie jaką ciekawą albo przydatną wiadomość, zdoła ją wynaleźć w owych stosach arkuszy, w których każdéj rzeczy trzeba szukać «jak igły w kopie siana?» Wcale inaczéj byłoby, gdyby tym artykułom, zdolnym mieć powab obrazowy i ważność naukową, pisma takie jak np. *Biblioteka Warszawska*, dały przytułek i opiekę. Niedość, że się czasem zabłakają do nich luźnie i przypadkowo, jak piękny opis Pokucia, udzielony przez p. Bielowskiego *Dodatkowi* Krakowskiemu. Redakcye powinnyby starać się o nie, przeznaczyć dla nich stałą rubrykę, jak przeznaczyły dla korespondencyj zagranicznych, a co większa, podać nawet korespondentom swoim, w głównych przynajmniéj zarysach, plan dobrze obmyślony, wskazać im pewne kategorye wymagajace szczególnéj uwagi. Tym sposobem, części przystawałyby lepiéj jedna do drugiéj i powoli tworzyłaby się całość. Możnaby było widzieć gdzie czego brakuje,

która okolica jest jeszcze nietkniętą, w któréj potrzeba szukać korespondenta *ad hoc*. Pisarz, chcący zająć się geografią krajową, znalazłby tu pożądaną pomoc. Czytelnik pospolity miałby przedmiot uczący przyjemnie, bez znużenia; prowadzony porządnym tokiem rzeczy, łatwiejby tworzył sobie wyobrażenia ogólne, nie traciłby szczegółów nieczepiających się niczego w pamięci. Jeżeli to prawda, że objawia się u nas zwrot ku literaturze poważniejszéj, że umysły żądają pokarmów pożywnych, zapewne pisma czasowe podejmując tę cząstkę pracy dogodziłyby potrzebie ogółu, a przeto i własnéj. Ale nie do samych tylko pism czasowych można odezwać się w téj mierze.

Oprócz artykułów rozsianych po dziennikach i niektórych, dawniejszych mianowicie, publikacyach peryodycznych, mnóstwo jest u nas opisów częściowych kraju spoczywających w swoich własnych okładkach, albo między rozdziałami dzieł większych. Są różnéj formy wspomnienia i notatki z podróży, przejażdżek i wycieczek w tę lub ową stronę ziemi ojczystéj; są objaśnienia wstępne albo dodatkowe przy zbiorach pieśni gminnych, i t. p. Wszystkie razem wzięte ledwieby nie wystarczały na pokrycie, chociaż różnorodnym i niekształtnym obrazem, całéj powierzchni w ramach geografii polskiéj. Jeśli zresztą nie złożyłyby obrazu, to przynajmniéj bardzo ciekawą i ważną tekę materyałów. Dzisiaj kiedy do podobnego zbierania jest obudzony popęd, kiedy wielu wydawców i gotowych na ich rozkazy pracowników czeka zatrudnienia, dziwić się prawie potrzeba, że nikomu nie przychodzi na myśl zgromadzić te wszystkie zasoby, oczyścić, okrzesać, uszykować, i począć wydawać jak są wydawane źródła i dokumenta historyczne. Sama natura rzeczy powołuje do tego : geografia jest nieodstępną towarzyszką i pomocnicą historyi, a należy jeszcze pamiętać, że w téj rudzie geograficznéj znajduje się sporo kruszczu czysto

historycznego. Nim jednak rozniecany zapał do nauki dziejów zagrzeje jakiego wydawcę, tymczasem wielkąby oddał przysługę, ktoby zrobił porządny inwentarz naszego majątku ziemiopisarkiego, i nietylko zkatalogował dzieła tytułowane, ale podał dokładną skazówkę do wyszukania wszystkiego, co się znajduje rozrzucone po książkach, pismach czasowych i dziennikach. Zachęta i pomoc do tego zdaje się być powinnością zgodną z powołaniem Towarzystw naukowych. Mamy wszakże wskazać im przedmiot jeszcze bardziéj zasługujący na ich troskliwość i staranność.

Wielorakie i różnorodne opisy, o których mówimy, obfitują szczególniéj w materyał etnograficzny. Jest on w nich stroną najwydatniejszą, ale też traktowaną najpowierzchowniéj. Każdy z piszących nie żałuje trudu na zebranie wszystkich drobnostek odnoszących się od ubioru, zwyczajów weselnych i pogrzebowych, nawet sposobu codziennego życia mieszkańców swojéj okolicy, żaden nie dba dosyć o to, żeby ją ściśle ograniczyć, żeby podać liczbę ludności, żeby tę ludność oznaczyć cechami wyciągniętemi z postrzeżeń filologicznych. W ogólności, etnografia jako nauka odrębna i dokładna, nie przyjmuje się u nas. Trzeba było cudzoziemca, żeby nam skreślił mapę, na któréj pierwszy raz postrzegliśmy odznaczone siedliska ludu polskiego, litewskiego, ruskiego. Tego co Szafarzyk zrobił, nikt w kraju nie wziął szczerze na uwagę, nie starał się sprostować, dopełnić, w szczegółach wykończyć. Obojętność tę trudno pogodzić z wybujałym u nas popędem do śledzenia początków ludowych i zbierania zabytków archeologicznych. Badacz zamierzchłych czasów, sili się z ciemnych i wątpliwych podań kronikarskich wysnuć całe dzieje przechodu i osidlenia się plemion słowiańskich, odbywa dalekie podróże dla porównania kodeksów, jadąc z końca w koniec Polski, (zapewne w takiéj płótném pokrytéj bryce, w jakiéj Lelewel pisał przemowę

do swoich *Ksiąg Biograficznych*), duma głęboko nad tém, czy znajdzie pożądaną literę, która systemat jego domysłów ma podeprzeć, a tym czasem pomija okolice, gdzie częstokroć miedza lub strumyk przedziela plemię od plemiona, gdzie od lat tysiąca lud zewnętrznie niezmieniony w niczém, gdzie kilka słów żywéj mowy lepiejby może rozwiązało mu nie jednę zagadkę, niżeli jaki rękopis zbutwiały. Miłośnik pomników, z albumem pod pachą bieży od ruiny, zdejmuje wizerunki ścian pokruszonych, sklepów pełnych ciemności i prochu, a nie patrzy na lud miejscowy, co te gmachy stawiał, przeżył i może kiedyś odbuduje, nie myśli za pomocą ołówka lub aparatu fotograficznego przenieść na papier tych twarzy, których wyraz mógłby tłumaczyć tajemnicę ruin. Zagorzały archeolog spędza chłopów z wsi sąsiednich, każe rozkopywać mogiły, cieszy się znalezioną paciórką, sprzążką, skorupą, łzawnicą, a swego nie pyta, czy kropla w niéj zamknięta nie jest krewną tych co błyszczą smutnie w oczach go otaczających...

Jednakże powinniśmy poczuć już ważność zajęcia się etnologią krajową. Na powierzchni ziem naszych gotują się zmiany, które znacznie zatrą dzisiejsze jéj zarysy etnograficzne. Należałoby zdjąć je dokładnie, tak dla własnego użytku, jak dla zostawienia czasom późniejszym. Dbałość o przyszłość narodu i ufność w nią, wymaga tego po nas. Robota ta nie może być z pożądanym skutkiem wykonaną, bez przyłożenia się do niéj istniejących, albo umyślnie na to zawiązanych nowych stowarzyszeń; potrzebuje bowiem mnóstwa szczegółowych a dokładnych wiadomości, które tylko na miejscu i przez pewną liczbę ludzi pilnujących się jednych prawideł zebrane być mogą. Przypadałoby najwłaściwiéj, uorganizowanym już i rozgałęzionym Towarzystwom naukowym zająć się tém dziełem, skreślić jego plan, napisać prawidła pracy przygotowawczéj i zobowiązać

do niéj swoich członków, którzy nie potrzebują specyalnych usposobień, bo przecież każdy potrafi, z instrukcyą w ręku zwiedzić bliższą czy dalszą okolicę i w danéj sobie rubryce kategorycznéj położyć żądane odpowiedzi na zapytanie.

Z wielu względów mamy powód liczyć na Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, że usiłowaniom dla dopięcia wskazanego celu da początek i przykład. W granicach państwa pruskiego jest znaczna część ziemi naszéj i ludności naszego szczepu. Wiemyż dokładnie, możemyż ściśle oznaczyć na karcie jak ta ziemia dziś osiedlona, jak ludność swojska i obca rozsypana na niéj? Gadamy, piszemy, że w Szlązku, na Pomorzu pruskiém i w Prusiech wschodnich są całe wsie, całe okolice zamieszkałe przez lud polski; ale czy kto postarał się wsie te po imieniu wyliczyć, granice okolic tych dobrze określić? Napotykamy opisy Wielkopolan, Kujawiaków, Kaszubów, Kurpiów, gdyby wszakże przyszło odcienia te na mappie kolorem oznaczyć, niktby tego wiernie dokazać nie zdołał. Nie idąc wreszcie daléj, w samych prowincyach polskich od roku 1772 do Prus przyłączonych, nietylko nie możemy jednym rzutem oka objąć etnograficznego obrazu, ale musimy jeszcze cierpieć fałszywe jego przedstawianie. Podczas ostatnich wstrząśnień, Niemcy puścili w obieg mapkę, na któréj Księstwo Poznańskie wygląda jak liść, z brzegów zupełnie pożarty w środku podziurawiony przez robactwo. Czuliśmy, że to nieprawda, ale prawdy na to miejsce postawić nie mieliśmy sposobu. Być może, że odsłonić rzeczywistości nie pozwala nam wstręt podobny, jaki obudza się przy dotknięciu rany; jeżeli wszakże nie zrzekliśmy się nadziei i powinności jéj uleczenia, trzeba w nią się wpatrzyć. Niemniéj, albo bardziéj jeszcze fałszywe wyobrażenie dają zwykłe karty polityczne. Poglądając na te arkusze zasypane niemieckiemi lub zniemczonemi nazwiskami, nikt nie pomyśli,

że tam zostało tyle narodu polskiego, ile jest istotnie. Geografowie nasi ledwo niewiele miasteczek i rzek znaczniejszych umieją nazwać po dawnemu. Tysiące wsi, strumieni, jezior, tylko dla miejscowych mają właściwe miano. Któryś z dzienników warszawskich doniósł przed rokiem, że ktoś tam obiecuje podać z całéj przestrzeni państwa pruskiego regestr wszystkich nazwisk polskich w ich właściwéj postaci. Obietnica wielka! O jéj spełnieniu nie słyszeliśmy dotąd. Tymczasem, na karcie prowincyj pruskich po za granicami Księstwa, niepodobna zgadnąć jakby popsute lub zatarte nazwiska restaurować. W wielu pozostał jeszcze widoczny pierwiastek polskiego brzmienia, niektóre zdają się być tylko wprost przetłumaczone, ale domysł często może tu omylić. Prusacy szczególniéj są zawzięci i przekorni w tępieniu wszelkich śladów dawnego dziedzictwa nabytéj przez nich ziemi. Skoro tylko jaki *Ritter* osiądzie w dworze wywłaszczonego szlachcica polskiego, zaraz go chrzci po swojemu, i Janopol przemienia się na *Hansfeld*, Siedlisko na *Stieglitz*, Jędrzejowo na *Putzig* i t. p. Spekulant agronom byleby kupił pustkę chłopską albo strzebież w lesie i postawił w niéj domek, wnet daje mu sentymentalne miano : *Friederichsruhe*, *Wilhelminenhof*, *Charlottenburg*. Nie dowodzi to bynajmniéj, żeby już okolica była zupełnie wypolszczona. Żyje tam przecież lud nasz rolniczy i koło *ritterskiego* dworu można jeszcze w niemieckiéj pisowni rozpoznać nasze pospolite Zawady, Osieki, Wygody, a obok romansowego *Amalienthal*, ukazuje się nieraz zaściankowo-humorystyczny Nicponiém lub O..... wilki. Księstwo ma swoje dobrze robione i czysto po polsku pisane karty geograficzne. Są przytém na każdą regencyą rządowe tabelle (*Verzeichniss Ortschaften*), w których przy nowych niemieckich, znajdują się dawne polskie nazwiska. Tabelle te jednak niezawsze zgadzają się z kartami, a bydgoska pozwala sobie często poprzestawać na

samém mianowaniu niemieckiém. Nie mieliśmy w ręku kwidzyńskiéj i gdańskiéj, mniemamy wszakże, że nie dają nic innego jak tylko co jest na kartach pruskich tych ziem naszych, bo leżą w nich części województw poznańskiego i gnieźnieńskiego, a całe województwa chełmskie, pomorskie i malborskie. Wypadałoby przeto rozpocząć robotę od ścisłéj rewizyi pierwszych, a zupełnego przetworzenia dwóch drugich tabelli. Do sporządzonego dopiero tym sposobem spisu dodane niektóre rubryki, mogłyby mieścić wiadomości pod względem etnograficznym potrzebne.

Nierozszerzamy się daléj z naszemi myślami, bo kto wie, czy i to cośmy powiedzieli, zasłuży na uwagę i sprawi jakikolwiek skutek.

TOWARZYSTWO ROLNICZE W KRÓLESTWIE.

I

POSIEDZENIE LUTOWE.

13 marca.

Towarzystwo Rolnicze Królestwa Polskiego, stósownie do ustawy przepisującéj sześć dni trwania walnym jego zgromadzeniom, zakończyło w dniu 28 lutego pierwsze swoje obrady. W końcu czerwca dopiero członkowie zjadą się znowu do Warszawy dla uroczystego rozdania nagród, rozdzielenia premiów i obejrzenia postępu działań przedsięwziętych.

Zjazd teraźniejszy odbył się w sposób rokujący najpiękniejsze skutki. Obywatele wiejscy zbiegli się bardzo licznie i z głębokiem przejęciem się ważnością powołania. Publiczność warszawska otoczyła ich żywem spółczuciem, cisnęła się na ich zgromadzenia skwapliwie, przysłuchiwała się ich rozprawom z radośném zdumieniem. Po tak długiéj przerwie wszelkich objawów życia publicznego, tyle naraz pokazało się zdolności i usposobień do obrad zbiorowych, że dzienniki krajowe obok

wzbudzonych uczuć czci i otuchy, pełne są wrażeń podziwu. Żywioł ziemiański, za pierwszą sposobnością skupienia się koło sprawy dobra ogólnego, okazał się wśród stolicy zagłuszonéj życiem europejsko-brukowém, z tym blaskiem cech narodowych i tradycyjnych, którego nie mogła zaćmić świetność sztuczna i pożyczona. Warszawa zwykle dwa razy do roku widuje gromadnie zjeżdżających się wieśniaków, na karnawał i na jarmark wełniany. Karnawałowi nie przywożą nic z sobą, prócz pieniędzy i chęci przyjemnego ich użycia, przed mieszkańcami miasta zdają się czuć swoją niższość, spieszą się przybrać ich powierzchowność, po kilku dniach, a raczéj nocach, stają się im podobni nawet bladością twarzy, nikną w miejscowym tłumie. Jarmarkowi przeciwnie, głównie zaprzątnieni tém co mają wywieźć, nie zmieniają ani zakurzonego ubioru, są jakby na popasie, zajęci przedażą lub sprawunkami, biegają z miną zakłopotaną, czasem niechętną, a nigdy swobodną. Miasto, na jednych i na drugich pogląda z góry, mierzy ich wzrokiem interesu, wita i żegna bez oznak szczególnego poważania. Teraźniejsi goście wcale inne sprawili wrażenie, inną po sobie zostawili pamięć. Poznano w nich i uszanowano odrazu ludzi zajętych myślą wyższą nad wszelkie chwilowe i osobiste widoki. Zrozumienie zadania mającego na celu wielkie korzyści powszechne, przeświadczenie o zacności pełnionego obowiązku, nadawały ich twarzom i postaciom ten wyraz powagi, godności i swobody, który towarzyszył im nietylko na publicznych zgromadzeniach, ale w prywatnych schadzkach i chwilach rozrywki. Warszawianie z czcią i wzruszeniem przypatrywali się zgodzie i harmonii w zbiorowisku różnych odcieni właścicieli rolnych, gdzie ze zwykłą otwartością szlachecką objawiały się wszystkie społeczne i rodowe pojęcia, gdzie wzmianka każdéj drogiéj pamiątki, każdéj poczciwéj zasługi znajdowała w ich piersiach głośne echo, jak znowuż każdy

czyn nikczemny lub podejrzany o złą dążność wywoływał powszechną naganę i wzgardę. Mieszkańcom miasta nawykłym widywać gastronomów, z zimną grzecznością dla wszystkich, zasiadających przy stole dla siebie tylko, ciekawém widowiskiem, albo przynajmniéj miłém przypomnieniem były te grona uprzejmych i serdecznych spółbiesiadników, w których domowym obyczajem staropolskim, kto miał więcéj, kto był bardziéj znany lub lubiony, wziął to sobie za obowiązek częstować innych; a działo się to tak naturalnie, po bratersku, bez pychy i wystawności, że proszący i proszeni ciągle zachowywali dobry humor, i rozchodzili się zawsze silniejszym węzłem przyjaźni albo znajomości złączeni.

Pod wpływem swojego, rodzimego ciepła, przy świetle ciężkiem doświadczeniem skupionéj rozwagi, przymocnéj dobrze kierowanéj woli, czynność będąca przedmiotem zjazdu szła sporo i pomyślnie.

Towarzystwo rozpocząwszy swe prace ogólném posiedzeniem w pałacu Kazimierowskim, przeniosło się do gmachu Resursy Kupieckiéj, i rozdzielone na trzy oddziały: Ogólny, Rolniczy i Chowu bydląt, obradowało co dzień, z koniecznemi przerwami, od godziny 10 rano do 10 wieczor. Oddziały czyli Sekcye, pod przewodnictwem swoich prezesów, roztrząsały kwestye bądź przez Komitet podane, bądź przez własnych członków wzniesione. Prezesami w Oddziałach byli członkowie Komitetu. Protokuły rozpraw oddziałowych wraz z ustalonemi w skutek ich zdaniami, powinny były być przedstawiane nazajutrz ogólnemu zgromadzeniu. Do téj mozolnéj pracy, ciążącéj głównie na sekretarzach pozostawała noc tylko, a jednak zawsze wszystko było na czas gotowe i dobrze wykonane.

Mnóstwo wielorakich szczegółów, odnoszących się tak do potrzeb obecnych, jak do dalszych widoków w rozmaitych gałęziach gospodarstwa wiejskiego, zajmowało uwagę Towarzystwa. Lasy, pszczelnictwo, nawozy sztu-

czne, cukrownie, gorzelnie, sposoby ulepszenia krajowéj stadniny, ceny żelaza, fabrykacye narzędzi i machin rolniczych, wpływ jaki premia i nagrody wywrzeć mogą, środki poprawy losu służących wiejskich, urządzenie ochron i zaprowadzenie szkołek rolniczych na wsiach, wszystko to było przedmiotem szczeréj troskliwości, wspartéj nauką, doświadczeniem i rozmysłem. W wielu przedmioatch członkowie złożyli na piśmie gruntowne rozprawy. Sama natura rzeczy wymagała nieraz dotknięcia zadań wyższego zakresu, dziś poruszonych, a z gospodarstwem rolniczém ściśle związanych. Towarzystwo nie okazując się w téj mierze oziębłém i nieprzezorném, umiało utrzymać się w właściwych swemu położeniu granicach.

Porządne rozłożenie zatrudnień, wczesne przygotowanie ich w Komitecie lub Sekcyach, zręczność i czujność przewodniczących obrudom, wiele przyczyniły się do tego, że w sześciu dniach zakreślonych ustawą, zdołano uszykować i załatwić nawał pracy. Ale zdolności i usiłowania sternicze nie przyniosłyby tak pożądanego skutku, gdyby w całém zgromadzeniu nie było tych usposobień, które okazały się prawie zadziwiającemi. Karność, uległość przepisom, takt delikatny, przy żywości i częstokroć zapale, znamionowały wszystkie obrady. W ciągu toczących się rozpraw występowało kilkaset mowców; żaden z nich nie wyrwał się bez istotnéj potrzeby i nie w porę; każdy zdawał się mieć na pamięci drogość czasu, wtedy nawet, gdy gorąco bronił swego zdania, albo pragnął myśl nową przeprowadzić, starał się mówić jak najzwięźléj, jak najjaśniéj, jak najstosowniéj do celu. Nie brakło wszakże głosów bardzo wymownych. Niektórzy członkowie odznaczali się rzadkim przyrodzonym darem słowa, lub wyższém ukształceniem umysłu, innym moc i potoczystość wysłowienia dawało samo uczucie prawdy, samo pragnienie przelania w słuchaczy tego, co uważali zadobre i użyteczne. Myśl do-

kładnie pojmująca swój przedmiot, pierś rozgrzana chęcią przysłużenia się krajowi, dzielnie zastępowały sztukę retoryczną i wprawę.

Ostatnie posiedzenie otwarte o godzinie jedenastéj, trwało prawie do piątéj. Odczytano na niem ośm sprawozdań z Sekcyi ogólnéj, jedenaście z Sekcyi rolniczéj, dwa z Sekcyi chowu inwentarza i parę rozpraw w przedmiotach szczególnych. Obecnymi byli jako reprezentanci władzy rządowéj, Dyrektor główny Komisyi Spraw Wewnętrznych Muchanow, i Dyrektor główny Komisyi Sprawiedliwości, hr. Skarbek.

Na samym wstępie jeden z członków doniósł, że Dyrekcya Towarzystwa Kredytowego, ustępuje na użytek Towarzystwa Rolniczego, w nowym swym gmachu czterech pokoi, salę na posiedzenia, osobne miejsce na bibliotekę, tudzież skład na modele i narzędzia.

Pod koniec posiedzenia zabrał głos Prezes Towarzystwa. Przemówienie jego krótkie, odznaczało się ujmującą prostotą i tą szlachetną skromnością, która w sercach zacnych leży zawsze obok zadowolenia z dobrze dokonanego dzieła. Cieszył się on ze szczęśliwego dojścia do zamierzonego kresu pierwszych obrad, śmiało twierdził, że to «skapitalizowanie» usiłowań pojedynczych po kraju rozrzuconych, że samo zetknięcie się tylu osób jednym tchnących duchem, przyniesie ogólny pożytek. Z serdeczném uczuciem dziękował współtowarzyszom za złożone dowody prawdziwego pojęcia obowiązków obywatelskich, miłości ojczyzny i odwagi cywilnéj, która nie zależy na tém, aby próżném udawaniem niezależności « wyzywać, — jak mówił Tacyt— kusić los i przeznaczenie. » Zalecał następnie, aby za powrotem w swoje okolice, opowiadając współobywatelom dokonane i zamierzone czynności, przekładali im, jakie dobrodziejstwo zlewa i jaki obowiązek wkłada na nich dana swoboda zbierania się i wspólnych narad w sprawie dobra krajowego. Przy tych słowach obrócił

się do p. Muchanowa, wyrażając pochlebne zaufanie, że on jako ten, co pierwszy obwieścił łaskę monarszą, i jako już członek honorowy Towarzystwa, przyłoży się do spełnienia nadziei, które obudził podczas otwarcia obrad.

Towarzysto upoważniło Komitet do wyznaczenia we wszystkich powiatach korespondentów i poleciło mu wygotować dla nich instrukcye, aby tym sposobem działanie Towarzystwa wszystkie zakątki kraju objąć i przeniknąć mogło. Tę łączność i powszechność mając na myśli, czcigodny Prezes przypomniał członkom, aby w domach swoich pamiętali, że bez ciągłego ich współdziałania, praca centralna byłaby jałową i nawet niepodobną. Co się tyczy Komitetu, temu oddając należną sprawiedliwość, rzekł « Uznajcie, Panowie, że się wasz Komitet dzielnie Towarzystwu wysługuje. » Okrzyk i oklask odpowiedział na te słowa, również jak na wzmiankę o zasłudze prezydujących w sekcyach, których gorliwość, takt i wytrwałość w przewodniczeniu obradom wszyscy widzieli.

Dzienniki opowiadając tę chwilę, dodają : « Prezesa Towarzystwa z tych objawów wyłączono; jemu dziękował każdy nie okrzykiem, lecz cichą i serdeczną wdzięcznością. — Miał on trudne zadanie, wywiązał się z niego chlubnie, i do położonych zasług przydając nową, zyskał jeszcze większą miłość i wziętość u swoich rodaków. »

Głos swój zakończył on temi słowy : « Teraz żegnam was, Panowie, nie już jak witałem *nieznanych*, ale jako przyjaciół — do miłego na podobném zebraniu widzenia. Cele mamy wytknięte — niechaj się nowe obudzi w nas życie i wiara we wspólne działania. Do pracy weźmy się żarliwie, ale korne zawsze zasyłajmy do Boga westchnienia, powtarzając : Obyśmy sprostali! »

II

TOWARZYSTWO ROLNICZE W GALICYI.

13 marca.

Doniosłszy o pierwszych czynnościach świeżo zawiązanego w Królestwie Polskiém Towarzystwa rolniczego, uważamy sobie za powinność — chociaż ta nie jest już tak lekką i przyjemną — powiedzieć słów kilka o stanie obecnym innych stowarzyszeń tego rodzaju, oddawna trwających na ziemi naszéj. Posiada je sama tylko część kraju polskiego znajdująca się pod berłem austryackiém. Dwa z nich są w Krakowie dla Galicyi zachodniéj, jedno we Lwowie dla Galicyi wschodniéj. Kraków ma Towarzystwo *rolnicze* i osobne Towarzystwo *leśnicze;* Lwów, Towarzystwo *gospodarcze galicyjskie,* obejmujące w sobie sekcye ogrodnictwa, jedwabnictwa i leśnictwa. Będziemy mówili głównie o Towarzystwie rolniczém krakowskiém i gospodarczém lwowskiém.

Obadwa mają własne swoje statuta i wewnętrzne urządzenia, ale co do składu organicznego i trybu działania są sobie podobne. Prezes, komitet i ogólne zgromadzenie członków, to skład ich ciała. Roztrząsanie zadań tyczących się gospodarstwa wiejskiego i niekiedy krajowego, ogłaszanie drukiem ich wypadku, urządzanie wystaw płodów rolniczych i rolniczo-przemysłowych, założenie szkół rolnictwa i gospodarstw wzorowych, stanowią najogólniejszy zakres ich pracy.

Towarzystwo krakowskie miewało jedno tylko ogólne zgromadzenie w lutym, wydaje pismo tygodniowe, ustanowiło wystawę w Krakowie otwieraną co trzy lata, do założenia szkoły rolniczéj i gospodarstwa wzorowego jeszcze nie przyszło. Towarzystwo lwowskie zjeżdża się na ogólne obrady dwa razy do roku, w lutym i w lecie,

zbiory swoich rozpraw ogłasza sposzytami półrocznemi, wystawę urządza co rok w inném miejscu Galicyi wschodniéj; jeszcze w roku 1850 zdołało nabyć wieś Dublany pod Lwowem i założyć w niéj szkołę rolniczą wraz z folwarkiem gospodarstwa wzorowego.

Zakład Dublański, jakiekolwiek zarzuty jego urządzeniu czynić można, był zawsze znamienitym i pięknym owocem pierwszego popędu dobréj woli; pozostawało tylko utrzymywać go i korzystając z doświaczenia poprawiać stosownie do potrzeby, do celów jak najzgodniejszych z użytkiem krajowym. Po kilku leciech wszakże począł chylić się do upadku, powstały narzekania na brak sposobów jego utrzymania. Szkoła liczy uczniów przesło 30, każdy z nich płaci po 300 złr. rocznie a chociaż jest nie więcéj jak pięciu nauczycieli, dochód pokazał się niedostatecznym na zaspokojenie wydatków. Również gospodarstwo wzorowe nie potrafiło dochodem swoim pokrywać nakładu. Rząd przed otwarciem szkoły obiecywał dawać na nią po 3,000 złr. rocznie, ale dotąd nic nie dał; Towarzystwo zaś w dochodach swoich własnych nie ma odpowiednich potrzebie źródeł.

Dochód stały Towarzystw stanowią składkl dawane przez członków. Towarzystwo krakowskie ma członków 300 płacących po złr. 10 na rok, i urządza się w taki sposób, że od wydałków biórowych pozostaje mu w kasie 1,100 złr. Towarzystwo lwowskie liczy członków około 400, obowiązanych płacić po złr. 12; ale ponieważ wielu z nich poczęło zaniedbywać się w téj powinności zaległość dorównała całorocznemu wpływowi, i kasa ledwo mogła opędzić kancelaryjne i bieżące potrzeby.

Taki stan rzeczy, niepokazywał ani pomyślnego bytu Towarzystw, ani dobrze im wróżył na przysłość. W kraju rolniczym, liczącym cztery i pół miliony ludności, któréj 80 °/₀ zajmuje się gospodarstwem wiejskiém dwie

instytucye tak pożądane, tak potrzebne przez dziesięć przeszło lat trwania nie zdołały skupić więcéj nad kilkuset członków! To już rzucało na nie w ogóle cień niekorzystny; w szczególności wszakże nie ulegają one jednakiemu sądowi, miały różne koleje i znalazły się w różném położeniu.

Towarzystwo krakowskie, w początkach swoich żyło i rozwijało się głównie popędem nadawanym przez hojną i możną rękę Prezesa swego hr. Adama Potockiego. Gdy ten w roku 1851 uwięziony został, miejsce jego zajął Piotr Michałowski, jeden z najznakomitszych ludzi jakich prowincya wydała, założyciel i Prezes pamiętnéj Rady administracyjnéj w Krakowie. Przybrał on sobie zdolnego sekretarza, nadał Towarzystwu silną organizacyą, założył *Tygodnik rolniczy*, który pozyskał wziętość i dotąd utrzymuje się o własnych siłach. Po zgonie Michałowskiego, powołany na Prezesa p. Badeni, pełni do dziś dnia ten obowiązek z powszechném zadowoleniem. Towarzystwo krakowskie przetrwało trudne koleje, nigdy nie zwątpiło o sobie, jeżeli nie potrafiło rozwinąć się świetnie, gotowało zasoby do działania późniéj, z obmyślonym funduszem na zakład podobny Dublańskiemu, strzegąc się przedsięwzięć niedość obrachowanych, czekało dogodnéj pory. Towarzystwo lwowskie, miało także zrazu gorliwego i możnego przewodnika w Prezesie swoim ks. Leonie Sapiezie. Ale w ostatnich leciech, właśnie kiedy okoliczności wymagały po Towarzystwie nowych i większych wysileń, książe Prezes, który od roku 1832 oddał krajowi wiele niewątpliwych przysług, opuścił Galicyą i w inną stronę obrócił swą czynność. Zastępował go hrabia Kazimierz Krasicki. Liczne świadectwa, równie jemu jak niektórym członkom komitetu przyznają najlepsze chęci i najwytrwalsze usiłowania; mimo to, rzeczy widocznie szły coraz gorzéj. Jakieś zniechęcenie i otrętwienie przejęło całe Towarzystwo. Członkowie jedni wymawiając

się odległością i mnóstwem innych powodów, nie zjeżdżali się na zgromadzenia; drudzy, nawet rozgłośnego imienia i znanéj zamożności, nie mogli zdobyć się na regularną wypłatę 12 złr.; na wezwanie do złożenia rat, niektórzy odpowiadali dyplomatycznie, że wedle ustaw dwuletnie nieuiszczenie się z tego obowiązku, pociąga za sobą wykreślenie z rzędu członków, inni wykreślali się po prostu, a byli i tacy, którzy tłómaczyli się, że nie wiedzą czy należą do Towarzystwa! Nie dziw więc, że Komitet nie mógł, albo i nie miał ochoty brać się czynniéj do dzieła, przedsięwziąć coś więcéj nad podtrzymywanie smutnego bytu z dnia na dzień.

Rok 1857 przyniósł jakiś ożywczy powiew, który przebiegł po naszych ziemiach. W tym samym czasie kiedy w Królestwie myślano o zawiązku Towarzystwa rolniczego, w Galicyi zwrócono baczniejszą uwagę na swoje instytucye tego rodzaju, poczęto niepokoić się, utyskiwać, narzekać, co już przynajmniéj było znakiem życia. Wtedyto Towarzystwo lwowskie położyło zapytanie: *Jaka jest przyczyna, że Towarzystwa gospodarcze mało znajdują uznania i poparcia u spółobywateli, i jakby temu zaradzić można?*

Zaraz odezwały się protestacye, że Towarzystwo krakowskie rolnicze nie użala się bynajmniéj na obojętność, a leśnicze może nawet szczycić się coraz większym udziałem. Mniéj jednak dbali o drażliwość miłości własnéj, a poglądający na całą rzecz jako na ważną sprawę krajową, nie wahali się przyznać, że chociaż pytanie powinnoby szczególniéj odnosić się do Towarzystwa lwowskiego, sumienny wszakże rozbiór kwestyi może i innym przynieść bardzo pożyteczne uwagi.

Wszczęta polemika zajęła się głównie Lwowem, a *Czas* krakowski stał się placem, na którym spotykały się z rozmaitych stron nadsyłane sążniste rozprawy. Przez pół roku, każdy jego numer był obciążony to jakimś nieskończonym wywodem skarg i zarzutów, to równie

rozwlekłą a zawziętą obroną. Troskliwie poglądającym zdaleka na każdy objaw usposobień w kraju, mocno biorącym do serca ciężkie położenie Polski austryackiéj, niepodobna było pomijać tych rozpraw; wyznać jednak należy, że rozczytywanie się w nich, wymagało ofiary. Słusznie jeden ze sprawozdawców wyrzekł z boleścią: « Nauczyliśmy się od Niemców pisać wiele i to aż do znudzenia w téj saméj rzeczy, rozbierając ją niby z rozmaitego stanowiska. »

Rzeczywiście, poglądano tam na przedmiot z mnóstwa stanowisk, tylko zostawiono na stronie jedno, które przedewszystkiem powinno być, choć niewidomie zajęte, stanowisko najwyższe narodowe, polskie. Dlatego też czytelnik, obcy miejscowym stosunkom osobistym i podrzędnym, gubi się w tym odmęcie krzyżujących się widoków, napotyka wiele bardzo dobrych zdań, postrzeżeń i uwag szczegółowych, ale węzła całego zadania schwycić nie może. Rozwlekłe, bez wewnętrzego ciepła, bez odblasku gwiazdy naszéj przyświecającéj z góry, prowadzone torem niemieckim lub adwokackim dowodzenia i wykłady, płyną przed jego zmordowanym wzrokiem i tylko od czasu ze wstrętem postrzega, jak ten lub ów stara się wodę obróbić na swoje koło. Smutno jest widzieć, że Towarzystwo złożone z obywateli uciśnionego kraju, przyszło do rozbioru kwestyi, która musiała skończyć się na zastanawianiu się nad tém, jakie jest właściwie jego stanowisko i przeznaczenie, słowem jaki powód i cel bytu. Jeżeli gdzie, to w Galicyi, rozprawianie o tém zdaje się być dziwném. Może w innych krajach zadanie Towarzystw rolniczych daje się ograniczyć do poszukiwania tylko drogą scientyficzną lub praktyczną sposobów, jak z danego kawałka ziemi i włożonego weń kapitału wyciągnąć największy czysty dochód, u nas dzisiaj nie dość na tém. Nie wypada nam więcéj w téj mierze mówić, odwracamy się od polemiki do jéj obecnych rezultatów.

W lutym, odbyły się ogólne zgromadzenia Towarzystw, tak w Krakowie jak i we Lwowie. O czynnościach zgromadzenia krakowskiego, *Czas* donosi krótko i z zupełném zadowoleniem. Zjazd był liczniejszy niż kiedykolwiek, bo zamiast 50 jak zwykle, przybyło 70 członków. Potwierdzono dawnego Prezesa, zmieniono nieco skład komitetu. Skutkiem dobrego wyboru pytań do roztrząsania, posiedzenia nie schodziły na próżnéj pogadance, ale odczytane zostały przez różnych członków odpowiedzi gruntowne, będące w związku z potrzebami kraju i mogące służyć komitetowi za wskazówki do jego czynności. Odpowiedzi te łączyły się organicznie jedne z drugiemi i składały całość, wyrażającą kierunek teraźniejszy gospodarstwa krajowego. Ochota do zatrudnień była wytrwała i tak wielka, że postanowiono nadal zjeżdżać się dwa razy w roku. Ziemianie mogą sobie powinszować, że Towarzystwo ich nader słabemi siłami rozpoczęte, rozwija się tak szczęśliwie i potrzebom w chwili przejść dla gospodarstwa najtrudniejszych, odpowiada. — O ile z tych miłych doniesień *Czasu* krakowskiego cieszyć się słusznie należało, czas Boży to okaże.

Inaczéj się ma rzecz ze Lwowem. Relacya nadesłana z odbytego tam zgromadzenia, zajmuje w dzienniku krakowskim kilkanaście kolumn, powtarza cały bieg toczonych pierwéj sporów piśmiennych, których rozwiązania zawsze niewidać, i opiewa tryumf, któremu trudno zawierzyć. Spotykamy w niéj znowu te same sprzeczności wirujące obłędnym kołem, jakie polemika obracała długo, i dziwić się musimy szczęśliwemu z nich wyjściu. Rozbiór pytania : zkąd pochodzi obojętność kraju dla Towarzystwa, prowadził do tego, że Towarzystwo nie pojmuje dobrze swego przeznaczenia, nie umie zbadać głównych potrzeb krajowych i uczynić im zadość. Z drugiéj strony odpowiadano, że Towarzystwo, bez spółdziałania, bez spółczucia ogółu obywateli nic uczy-

nić nie może. Był to pierwszy *circulus vitiosus*, obejmujący kwestyą, któréj nikt szczerze i otwarcie dotknąć nie chciał, krótko mówiąc — kwestyą włościańską. Powiadano, że w Towarzystwie gospodarczém w jego sprężystém i trafném działaniu leży ratunek kraju przeciwko *chwilowo* szkodliwemu wpływowi okoliczności, aczkolwiek nieuchronnych, lecz mogących stać się materyalnie zgubnemi; a obok tego utrzymywano, że właśnie dla tych kłopotów chwilowych, kraj nie chce wspierać działań Towarzystwa... Zeszła rzecz do podrzędniejszych rozpraw w gronie stowarzyszonych. Komitetowi zarzucano brak wszelkiéj inicyatywy i sprężystości, niedbałość na podawane wnioski, niepilnowanie się ustaw, zły zarząd funduszami. Komitet żalił się na oziębłość Członków, niepełnienie przez nich obowiązków, a ztąd brak funduszów, hamujący wszelką czynność. Był to drugi *circulus vitiosus*, w którym taiła się kwestya osób. Na niéj się téż skończyło. Cała treść rozciągłéj relacyi, daje się zamknąć w następnych słowach:

Liczniejszy niż kiedykolwiek zjazd członków dowiódł, że obojętności nie było; głosiła ją tylko niechęć. Niechętni utrzymywali, że Komitet stracił zaufanie, przez to członkowie zobojętnieli względem Komitetu, a kraj względem Towarzystwa. Uczyniono wniosek ustanowienia komisyi śledczéj i nadzorczéj ale zarzuty ogólnikowe, bez dowodów, musiały upaść. Jeden z członków przeczytał obronę Komitetu, wykazując wszystkie jego zasługi. Zgromadzenie poszło z zapałem za głosem jenerała hr. Załuskiego i zawotowało podziękowanie publiczne Komitetowi. Ks. Leon Sapieha większością przemożną znowu na Prezesa obrany. Hr. Kazimierz Krasicki, hr. Rusocki i p. Maurycy Kraiński wystąpili z Komitetu, a gdy prośby i wyrazy żalu nie zdołały ich zatrzymać, powołano innych. Tak tedy ukończyła się na zgromadzeniu Towarzystwa gospodarczego galicyjskiego kwestya zaufania z zaszczytem dla dotychczaso-

wego Komitetu. Komitet nawzajem okazał się wyrozumiałym dla Towarzystwa. Opozycya została pokonana; wszystkie organiczne czynności w jednym i tym samym duchu dokonane zostały.

Co do tych organicznych czynności, jakie one były, relacya nie naucza; dowiadujemy się z niéj tylko, że postanowiono rozesłać okólnik do członków wzywając aby opłacili zaległości, z oświadczeniem, że którzy nie opłacą będą wykreśleni i nazwiska ich w pismach publicznych zostaną ogłoszone. Potém zaś sprawozdawca opowiada co następuje: « Pomiędzy zarzutami czynionémi Komitetowi jeden miał choć pozorną słuszność, to jest, że nie starano się aby filie Towarzystwa w różnych punktach kraju ustanowione były; ale p. Laskowski na mocy reskryptów rządowych dowiodł, że Towarzystwo już od 1850 r. z wysokiém ministerium « *o to w korespondencyi stoi* » i temu polityczne jedynie względy dotąd się sprzeciwiały. Poruszono kwestyą rewizyi statutów, co jest rzeczą bardzo potrzebną; ale gdy nie wskazano, które i dlaczego paragrafy poprawić należy, komisya na ten cel zamianowaną nie została. — Był podany wniosek, aby wcześnie obierać przedmioty do roztrząsania na zjazdach półrocznych; ale że go nikt nie sformułował, więc przeszedł bez skutku. —Jeden z członków wnosił, żeby Towarzystwo nie tyle zajmowało się rozbiorem szczegółowych praktyczno-rolniczych pytań, ile raczéj stosunkami ogólnemi, z których teraz wynikają wszystkie zawady produkcyi krajowéj. Zdanie to znalazło w zgromadzeniu powszechne uznanie, ale nie wywołało formalnéj uchwały. W ogólności, widać z relacyi, że obrady nie zalecały się porządném prowadzeniem pracy. Mowcy nie zastanawiali się nad tém co i jak powiedzieć mieli. Jeden rozpoczął swą mowę o wyborze Prezesa długim rozhoworem o różnych rzeczach, szczególnie o przyjaciołach domowych, a głównie wyjawiał to przekonanie swoje że « każda praca

umysłowa jest ręką żebraczą, sięgającą do jego kieszeni.» Drugi nagadawszy się wprzódy do woli o łodzi bez sternika, o zbłąkanych owcach bez pasterza, chciał potém dowieść, że niepotrzeba obierać wiceprezesa, bo najłaskawsze zamianowanie Protektora przez N. Pana, zaradzi wszystkiemu : W nieobecności Prezesa zastąpi go Protektor! Inny, nie zważając, że wedle ustawy, telko przewodniczący obradom ma prawo przywoływać do porządku i przerywać głosy, przybrał rolę publicznego cenzora i pozwolił sobie karcić kolegów... »

W całéj téj sprawie, z dolegliwą ciekawością szukaliśmy wyroku o losie zakładu Dublańskiego. Upadek bowiem téj instytucyi byłby wstydem dla prowincyi, byłby znakiem bardzo źle wróżącym o jéj siłach obywatelskich. Relacya szeroko rozwodzi się nad tym przedmiotem, bierze go *ab ovo*, przytacza artykuły ustaw, ze szczególną troskliwością wyjaśnia zasadę, że fundusze szkoły i folwarku wzorowego powinny być oddzielne, że nie mogą być inaczéj chyba sposobem pożyczki z jednéj kasy przenoszone do drugiéj. W chwili kiedy i szkoła i folwark równie są w niedostatku, podobna dyskusya wygląda jak gdyby kto mając dwa próżne naczynia, zastanawiał się czy wolno mu z jednego lać w drugie. Zgromadzenie w téj mierze nie śmiało odejść daleko od zdania Komisyi finansowéj, ostateczny ratunek wskazującéj, we wsparciu rządowém, przydało tylko uchwałę, że Towarzystwo zawsze w miarę sił i możności swojéj będzie utrzymywało szkołę przez siebie założoną.

We wszystkich razach, czy to idzie o stosunki włościańskie, czy o jakiekolwiek działanie zbiorowe, ta nieudolność obywateli galicyjskich do zaradzania sobie samym, do wydobycia z siebie dostatecznych środków. to ich ciągłe, przy głuchym jęku na ucisk z góry, zwracanie błagalnego i rozpaczliwego wzroku ku wysokiemu Rządowi, jast czémś okropném. Mowca króry mówił o

zbłąkanych owcach, mógł był gadać i otych, co osłupiałe biegą za wilkiem do lasu.

Ze ściśnioném sercem rozmyślaliśmy nad tém, kiedy nam przyszedł numer *Gazety Warszawskiéj*, w którym znaleźliśmy list ze Lwowa, donoszący także o zjeździe odbytym. Gorżkie w nim narzekania, ale pisany z tą spokojną i głęboką boleścią, która daje im cechę prawdy. Po smutnych uwagach nad czynnnościami zgromadzenia, są tam przerażające słowa : « Inaczéj być nie może, skoro obojętność na wszystko co jest narodowe, staje się coraz powszechniejszą. »

Bogdajby Towarzystwo gospodarcze galicyjskie, ożywione zaufaniem, które zawotowało, dowiodło mylności tych wyrazów!

III

POSIEDZENIE CZERWCOWE W KRÓLESTWIE.

17 lipca.

Wracamy znowu do przedmiotu, który traktowaliśmy kilka temu tygodni.

Odpowiednio programatowi swych czynności, ułożonemu w lutym, Towarzystwo Rolnicze Królestwa Polskiego zjechało się teraz znowu do Warszawy. Zjazd był równie liczny, równie ożywiony gorliwością obywatelską i kierowany głębokiém pojęciem celów pięknéj instytucyi, która miała zdać sobie i publiczności sprawę z pierwszych kroków swoich usiłowań.

Dnia 19 czerwca, odbyło się w gmachu rządu gubernialnego, niegdyś pałacu Paca, publiczne posiedzenie Towarzystwa, wobec wielu dygnitarzy miejscowych i bardzo licznie zgromadzonych gości płci obojéj. Byli tu także delegowani członkowie Towarzystw rolniczych krakowskiego i lwowskiego, tudzież prezes krakowskiego Towarzystwa Naukowego, F. Wężyk.

Celem zebrania było przedstawić publiczności obraz działań dopełnionych w krótkim czasie półrocza, ogłosić zasługi uwieńczone nagrodami wyznaczonemi przez Towarzystwo, i wręczyć te nagrody tym z pomiędzy zasłużonych, którzy na ten akt uroczysty przybyli.

Czcigodny prezes Towarzystwa, zagaił posiedzenie przemową, jak zwykle, pełną znaczenia w prostych i do serca trafiających słowach. Nie mogąc powtórzyć jéj całéj, przytoczymy kilka okresów i wyrażeń, szczególniéj mocno dających poczuć cele instytucyi i stosownych do okoliczności. «O instytucyach — rzekł — czas dopiero i skutki wyrok wydają... dobre jednak instytucye mają *cechę* sobie właściwą, wyraźną, po któréj w samym zarodzie rozpoznać i rozróżnić je można. I tak zapytam: czy instytucya, któraby miała na widoku same tylko względy materyalne, dobry byt najogólniejszy, potrafiłaby zaspokoić życzenia nasze? Słyszę wasze głosy, — przeczycie — i słusznie. Względy bowiem materyalne są potrzebne, ale to *nie jedyna* potrzeba ludzkości... Przez sam instynkt, w celu do którego dążymy, obok dobrego bytu żądamy czegoś wznioślejszego, szlachetnego, pięknego. Gdy pod tym względem zaspokojona dusza się nasza raduje, wtedy łatwa praca i znoje, bo dusza wymaga duchowego zajęcia. Otoż to i cecha dobrych instytucyj. Prawda, że najlepsze mogą niekiedy przerwać swoje istnienie; wszakże zarody przez nie rzucone przechowują się, biernie niby działają, ale nie dają się wykorzenić. Nadchodzi czas, zbiegają się sprzyjające warunki, — wtedy owe zarody do pełnego wracają życia. A jakież to warunki powrót ten do życia zapowiadają? Oto gdy wszyscy zrozumieją rzecz, dobro powszechne na celu mającą i obudzą w sobie spółczucie dla niéj... O ile instytucye trafiają do wrodzonych uczuć powszechnych, o tyle głębiéj wnikają w serce ludzkie, o tyle pewniejszy wywierają wpływ i skutki. Ten wpływ, panowie, te błogie skutki już ro-

kują nam i krajowi wstępne nasze kroki, uczynione, dzięki Bogu, tak szczęśliwie, że ogólną pozyskawszy zgodę i uznanie, ogólne téż współdziałanie wywołały. Towarzystwo rolnicze rzadko może działać bezpośrednio. Włożenie przez Towarzystwo znacznego kapitału w *jedno* gospodarstwo, bardzo pożyteczny, nie przeczę, objaw wykształcićby mogło; ale ten sam kapitał użyty na zachęty i nagrody w całym kraju, o ileż szersze ma pole! Powołaniem Towarzystwa rolniczego, na wstępie osobliwie jest : *kierować i zachęcać*... Nagroda, zaprawdę, jest to, że tak rzekę, nadanie *ciała* naszym radom i dążeniom; *ona* to myśl naszę dotykalnie po kraju rozniesie i dobrém stanie się ziarnem, zasadą, bodźcem do prawdziwego postępu. Bo téż dźwigając w tym duchu byt materyalny i bogactwo, pomagamy do wykształcenia moralnego i umysłowego klasy *nawet wyrobniczéj*. Z radością słyszymy o poczynionych już krokach ku spełnieniu obietnicy J. W. Dyrektora Głównego prezydującego w Komisyi Rządowéj spraw wewnętrznych i duchownych, co do szkółek wiejskich i rolniczych. Szkółki te koniecznem prawie są dopełnieniem instytucyi naszéj; w nich to bodziec przez nas obudzony, należyty przyjmie kierunek, i środki przez naukę nastręczone przybędą w pomoc dobrym chęciom. Towarzystwo starało się wszystkie poruszyć sprężyny, wniknąć we wszystkie szczegóły : rola, pastewne rośliny, lasy, inwentarze, służby umoralizowanie, ochronki wiejskie — przedstawiają nowe, we wszystkich zakątach kraju obudzone wyścigi, chrześciańskie turnieje. Piękny zaiste dla nas otwiera się zawód; wszyscy rodacy pragną się z nami łączyć, ręki dołożyć do pożytecznéj, tyle przez każdego obywatela upragnionéj *dla ogółu* pracy... czujemy to z sumiennem zadowoleniem, że nietylko krajowi służymy, ale samemu Bogu, który na nas włożył obowiązek święty służenia mu *umiejętnie i z poświęceniem*, pracowania oraz z energią wytrwałą,

nie samolubnie ale i dla współbraci, dzieci jednéj ziemi, dzieci jednego Boga. Choć w tak krótkim czasie, delegacye konkursowe z naszych kolegów złożone, wyszukały, i na jaw wyprowadziły mnóstwo ciekawych i bardzo pocieszających objawów. Dziś wszystkie te objawy przedstawić wam i nagrodami oznaczyć mamy. Wysnuje się z tego, da Bóg, szlachetne współubieganie, oczywisty postęp moralny obok materyalnego, a dla nas w tém obojgu zachęta do wytrwania, skoro wysileniem i składką niewielką tyle dobrego sprawić możemy. A więc śmiało powiem, Towarzystwo nasze nosi cechę dobréj instytucyi, kroki nasze na prawéj są drodze — w Imie Boże, naprzód! »

Odczytany potém został ogólny pogląd na konkursa do nagrod wyznaczonych przez Towarzystwo, a następnie różni członkowie czytali sprawozdania z konkursów do każdego rodzaju tych nagród, wypracowane przez delegacye komitetu. Publiczność, z wielkiem zajęciem słuchała poglądu odznającego się formą i myślą; kiedy zaś przyszło do sprawozdań szczegółowie wykazujących zasługi godne uwieńczenia, tyle tam znalazło się rysów pięknego charakteru, cnoty i szlachetności w ludziach cichych i prostych, że całe zgromadzenie było wzruszone.

Poczęto od najskromniejszych, najniższych, od czeladzi, sług i rzemieślników wiejskich. Liczbę 127 wynagrodzonych listem pochwalnym z dodatkiem r. sr. 15, składali słudzy domowi, gumienni, parobcy, owczarze, leśnicy, cieśle, kowale, ślusarze, rymarze. Biografie ich nie mogły być bardzo kolorowe, ale w ogóle składały te pocieszające świadectwa, że u nas w całéj mocy trwa przywiązanie do wsi rodzinnéj i dawny stosunek patryarchalny dworu z czeladzią jeszcze się nie zatarł. Między gumiennymi byli starcy co po pół wieku i więcéj strawili na służbie w jednêm miejscu, a właściciel dóbr Tworek, w okręgu warszawskim, przedstawił do nagrody

jedenastu sług, którzy od młodych lat do starości otaczają go jakby druga rodzina.

Więcéj rozmaitości w szczegółach obok ważnych postrzeżeń i wniosków ogólnych, dostarczyło pięknie wypracowane sprawozdanie o nagrodzie składającéj się z listu pochwalnego i 50 r. sr., a przeznaczonéj dla włościan gospodarzy. W Królestwie Polskiém. znajduje się obecnie na warunkach wieczystego lub czasowego czynszu i okupu 189,893, na warunkach zaś pańszczyzny mniejsza połowa, to jest 139,529 osad. Skoro zajrzano bliżéj wewnątrz życia włościańskiego, ileż tam zaraz dało się widzieć zdumiewających przykładów wytrwałéj pracy, praktyczności oznaczonéj zdrowym rozumem chłopskim, oszczędności połączonéj z wysokiemi zaletami uczuć ludzkich i cnót chrześciańskich. W rzędzie kilkunastu wynagrodzonych, występują na widok z różnych okolic ludzie, z których każdy stawi z siebie wzór do naśladowania. Tomasz Gass, w gminie Rudno, w Stanisławowskim, na dwóch włokach czynszowéj i własną pracą wykarczowanéj ziemi, porobił sztuczne zalewy łąk, posiada 20 krów z odpowiednią liczbą innego dobytku, syna posyła do szkoły powiatowéj. — Gapiński, we wsi Wężykach, w Łowickim, dostawszy 20 morgów niezabudowanego gruntu, za który płaci czynszu r. sr. 29 i odrabia 20 dni do żniwa, w przeciągu lat dziesięciu wzniósł porządne budynki, ogród owocowy założył i gospodarstwo płodozmienne zaprowadził. — Jan Miszczuk, we wsi Kuczkach, w Kaliskiém, wedle słów sprawozdawcy «postać kmieca pełna skromności i powagi,» z 12 i pół morgów, odrabia na tydzień trzy dni ze sprzężajem a półtora dnia pieszo, osobno zaś dzierżawi 5 morgów łąki. Na téj przestrzeni doszedł do takiéj zamożności, że w dwóch innych dobrach kupił dwa gospodarstwa dla synów, jedno za 6,000, drugie za 1,600 zł. Pomimo tego, pozostaje na gruncie pańszczyźnianym, nie chcąc — jak sam powiada — porzucić

miejsca na którém Pan Bóg tak mu błogosławi i rozstawać się z panem, pod którego rządem tak długo przebywał. — Jan Indruch, we wsi Lelowicach, w Miechowskiém, na sześciu morgach gruntu zaprowadził własnym pomysłem płodozmian, i doszedł do kolosalnego u nas wypadku produkcyi, bo zyskuje brutto z morga nowopolskiego 256 zł. — Stachelski, w Gołonogu, w Olkuskiém, zaledwie lat 29 wieku liczący, ubogą siedzibę po rodzicach otrzymaną, pracą swoją użyznił, w jeden prawie ogród zamienił, i nietylko przykładem budując sąsiadów, stara się ich wszelkiemi sposobami odwodzić od pijaństwa, zachęcać do pracy, w święta i niedziele zgromadza koło siebie, czyta im dobre książki pożyczane od plebana, — Wyliczyć wszystkich niepodobna. Ten utrzymuje przy sobie młodsze rodzeństwo, dzieli się z niém krwawo zarobionym nabytkiem; tamten buduje własnym kosztem kaplicę, jako ofiarę wdzięczności za błogosławieństwo Boże; ów zapewnia dzieciom zamożność, sam w skromnéj po ojcach żyjąc siedzibie; inny przy pracowitém ubóstwie okazuje podniosłe uczucie godności osobistéj, nie chce przyjać nagrody pieniężnéj, poprzestaje na samym liście pochwalnym.

Również żywo zajęło publiczność sprawozdanie o nagrodach przeznaczonych w medalach mniejszych srebrnych i złotych dla ekonomów i rządzców dóbr. Delegacye odkryły między nimi wiele pięknych przykładów poczciwości, poświęcenia się i przywiązania prawie rodzinnego, łączącego ścisłym węzłem szacunku właściciela z ekonomem. Stu przeszło kandydatów przedstawiono na 39 nagród, przyznano jednak tylko 27. Szczególniéj głębokie wrażenie zrobiła biografia jednego z rządzców skreślona przez proboszcza miejscowego. Przemawiały tu najmocniéj same fakta opowiedziane po prostu. Franciszek Bronikowski, dziś starzec niemal ośmdziesięcioletni, w ciągu trzydziestu dwóch lat zarządzania dobrami

Skrzeszewo, złożył dowody nietylko wielkiéj zdolności gospodarskiéj, ale dziwnie zacnego charakteru i szlachetnych uczuć. Właściciel tych dóbr był czynnym gospodarzem, robił próby, rzucał się na nowo wskazane drogi, ale nie szło mu szczęśliwie, z usiłowań odnosił tylko straty. Dopiero od roku 1826, kiedy Bronikowski przyjął obowiązki u niego i wziął na siebie cały zarząd, wszystko obróciło się szczęśliwie. Pierwszy on w téj okolicy zaprowadził płodozmian, siał rośliny pastewne, podniosł inwentarz, zasiewał nieużytki lasami, osuszał bagna, użyzniał piaski, włościan wyuczył rzemiosł, z ich pomocą powznosił budynki, majętność uporządkował, dochody podniosł. Do r. 1832 spłacił 46,000 zł. długu. Gdy po śmierci pierwszego właściciela żona jego poszła za mąż, i potrzeba było spłacać rozmaite schedy, dobra oczyszczać z ciężarów, znowu rządzca potrafił zaradzić wszystkiemu. Nakoniec dziedzictwo spadło na czworo małoletnich sierot, któremi opiekujący się dziad ich wkrótce umarł. Rada familijna opiekę po nim zlała z zupełnem zaufaniem na Bronikowskiego, liczącego już wówczas lat 70. Przyjąwszy te ciężkie obowiązki i łącząc je z dawnemi, zdołał im wystarczyć. W ojcowskiem swém przywiązaniu dla małoletnich, w chrześciańskiem poświęceniu się czerpiąc energią, któréj wiek zdawał się mu odmawiać, zajął się ich wychowaniem równie troskliwie jak zajmował się ich fortuną. Ta cicha a wysoka zasługa miała za podstawę wzniosłą cnotę zaparcia się siebie. Po długim i pracowitym żywocie, po zużyciu niepospolitych zdolności na korzyść drugich, sam nie zeskarbił sobie na starość nic prócz wdzięczności sierot, szacunku sąsiadów i świadectwa własnego sumienia. Późno i niespodzianie przyszło mu odebrać nagrodę czci publicznéj, którą przyjął czule, ale i skromnie. Towarzystwo pojęło, że medal złoty, jakkolwiek zaszczytny, nie jest dostatecznym; że tu nie dość wynagradzać pracę rządzcy, ale należy uznać wysoką zacność czło-

wieka. Postanowiło przeto zaprosić p. Bronikówskiego do swego grona na członka honorowego, szukając w tém chluby, że grono to pomnożonem zostanie jedną zacnością więcéj.

Piękną téż cnotę i zasługę wyprowadziło na jaw z ukrycia sprawozdanie o przyznanych medalach srebrnych ochmistrzyniom ochronek. Klara Zienkowiczówna, niegdyś zakonnica Klarysek w Warcie, mieszkająca obecnie w Sulejowie, bez żadnych środków, silna jedynie wiarą w Opatrzność, założyła w opuszczonéj budowli przytułek dla sierot. Pomimo drożyzny lat ostatnich potrafiła utrzymać kilkadziesiąt dzieci, a nawet zakład swój przyprowadzić do wzorowego porządku i pewnéj zamożności w zapasach.

Inne sprawozdania, dotyczące uprawy roślin pastewnych, ogrodnictwa, urządzenia dóbr i chowu zwierząt domowych, okazanych na wystawie, zawierały wiele ciekawych i uczących szczegółów pod względem ekonomicznym.

Po odczytaniu sprawozdań nastąpiło rozdanie nagród. Wiceprezes wywoływał po nazwisku mających je odbierać, a Prezes podawał każdemu rękę i wręczał patent. Naprzód wezwano ekonomów, których kilku było obecnych, następnie rządzców, pomiędzy którymi znajdował się i ów Bronikowski ze Skrzeszewa. Ukazanie się jego nadzwyczajnie wzruszyło publiczność. Właściciele brali swe nagrody ostatni. Kilkaset rąk przyjmowało oklaskiem każdego z wynagrodzonych, chcąc tym dowodem powszechnéj przychylności zwiększyć znaczenie nagrody, a huczność i przeciągłość oklasków odpowiadała wrażéniu, jakie pierwéj opisanie zasług sprawiło. Tak się odbył ten akt uroczysty, który opowiedzieliśmy tu po krótce wedle sprawozdań dzienników warszawskich, ogólniejsze uwagi nad dążnością i postępem działań Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem zostawując do rozwinięcia w numerze przyszłym, gdzie

mamy jeszcze powiedzieć i o Towarzystwie rolniczém Lwowskiem.

IV

24 lipca.

Dopełniając obietnicy w numerze przeszłym uczynionéj, wypada nam naprród zebrać w treść te wiadomości o działaniach Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiém, które dzienniki krajowe podały, bądź w wyjątkach z odczytanych na posiedzeniu publicznem sprawozdań, bądź w rozwiniętych przez się objaśnieniach i uwagach. Winniśmy tu szczególniéj artykułowi *Gazety Warszawskiéj* oddać sprawiedliwość, że z czuciem i przenikliwością dotykając głębszych stron zadania, złożył dowód jak u nas myśl odpowiednia istotnym potrzebom i usposobieniom narodu, dobrze pojętą i popieraną być może. To samo już obowiązuje nas zatrzymać się jak najbliżéj źródeł, z których czerpiemy. Będziemy się starali tak czytelnikom naszym rzecz przedstawić, żeby widzieli i jak jest i jak się odbija w pojęciach na miejscu.

Wedle przepisu ustawy Towarzystwa Rolniczego, na publicznych posiedzeniach czerwcowych powinny być czytane rozprawy konkursowe, rozdawane nagrody, okazywane ciekawsze płody i narzędzia rolnicze. Ale Towarzystwo dopiero przed pięcią miesiącami ukonstytuowane, ledwo od trzech miesięcy, to jest od zjazdu lutowego, poczęło istotnie działać. Tak krótki czas nie pozwolił uczynić zadość wszystkim wymaganiom programatu. Niepodobna było zebrać płodów i narzędzi do okazania jako owoc usiłowań, a termin dla rozpraw musiano przedłużyć do 1 lutego roku przyszłego. Wypadło więc poprzestać na tém tylko co się odnosiło do nagród. Główne też z odczytanych sprawoznań poświę-

cone było wykazaniu, ile i jak nagrody przyczyniać się mogą do osiągnienia założonych celów.

Rzeczywiście, Towarzystwo zajmując się najpierwéj tym przedmiotem, nie odstąpiło bynajmniéj drogi dla siebie wytkniętéj, owszem poszło torem właściwym swemu położeniu i swojéj zasadzie, wzięło zadanie ze strony moralnéj, najrozleglejszéj i najgłębszéj.

Rolnictwo ma liczne potrzeby : środki do ich zaspokojenia prowadzące są prawodawcze, administracyjne, finansowe, naukowe, moralne. Dwa tylko ostatnie mogą być bezpośrednio w ręku Towarzystwa. Co do naukowych, jakiemi są szkoły gospodarcze, folwarki wzorowe, doświadczenia na gruncie, laboratorya, biblioteki, pisma, te tylko z postępem lat gorliwość nabyć i rozkrzewić może; moralne zaś, w których leży prawdziwe źródło siły i popędu, musiały z natury swojéj nie cierpieć zwłoki.

«Co było najpierwsze — powiada sprawozdawca — i jedynie dostępne w pierwszéj chwili istnienia Towarzystwa to rozbudzić z letargicznego otrętwienia, w które wielu popadło; popchnąć do wspólnego działania w ogólnym celu i łączenia sił dla podołania zadaniu; podnieść pracę i zasługę na polu rolniczém, do prac obywatelskich; wskazać w tém powołaniu wyższe moralne pobudki, nad prostą rachubę korzyści stawiając na pierwszym rzędzie cele i potrzeby dobra publicznego i obowiązki miłości chrześciańskiéj; związać osłabiony węzeł stosunków pomiędzy różnemi warstwami i klasami rolniczemi.»

Towarzystwu, które wzięło sobie za godło : *kierować i zachęcać*, należało przytém jak najspieszniéj i najrozleglej byt swój obwieścić, całe rolnictwo od góry do dołu, od właściciela aż do folwarcznego parobka uwiadomić, nie pismem ale czynem, że jest dla niego, czuwa nad niém, chce z niém działać. Należało mu, żeby zetknąć ię z życiem rolnictwa, okazać znak własnego życia, żeby

dać się poznać, starać się poznawać; słowem, zainteresować, pociągnąć ku sobie, zyskać przychylność i zaufanie. Do tego wszystkiego posłużyły nagrody, użyte jako środek systematycznie urządzony.

Wyznaczone przez Towarzystwo delegacye dla wykrycia zasług godnych nagrodzenia, umiejąc przejąć się duchem danéj im instrukcyi i ważnością swego obowiązku, zajrzały zblizka we wszystkie zakąty kraju. W wielu miejscach właściciele i duchowni chętnie wspierali je swoją pomocą. Biskup lubelski oświadczył, iż chce przykładać się do dzieła jako proboszcz, żeby mógł mu błogosławić jako biskup. Kilka pięknych i zajmujących opisów gospodarstw włościańskich i życiorysów oficyalistów wyszło z pod pióra plebanów miejscowych. Ogłoszenie nagród, poszukiwanie kandydatów do nich, zbieranie się delegacyj po okręgach i powiatach sprawiło ruch, który jakby prądem elektrycznym przebiegł kraj cały, wszędzie budząc popęd do działalności zbiorowéj, wszędzie dając postrzedz, że w zabiegach jednomyślnych koło kawałka ziemi, w szczupłym zakresie obowiązków służby rolniczéj jest myśl wyższa, łącząca się z myślą ogólnego dobra. Zaczęto pilnie oglądać się koło siebie, rozważać, porównywać, sądzić czynności i swoje i Towarzystwa. «Wszyscy — jak się wyraża sprawozdanie — uczuli się pod okiem i kontrolą opinii publicznéj, dotąd obojętnéj, każdy widzi, że sąd wszystkich czuwa i czuwać będzie nad nim : bo chociaż życie prywatne pozostawione jest sumieniu każdego, a zarząd swojéj własności jego własnemu sumieniu, gdy przecież siła zbiorowa jednostek myślących i moralnych stanowi siłę intellektualną, a summa produkcyj pojedynczych gospodarstw bogactwo kraju, społeczność ma prawo i obowiązek wejrzeć w jedno i drugie, aby summa ogólna wypadła na jéj korzyść.»

Łatwo widzieć jaki jeszcze pożytek przyniosły, na jak zbawienną drogę wprowadziły czynności do rozdawnic-

twa nagród przywiązane. Towarzystwa rolniczego zadaniem jest nietylko zasiewać ale i wypleniać, nietylko dobre zarody rozwijać ale i złe niszczyć. Wziąwszy na siebie wielką a delikatną powinność *uczyć* i *oduczać* ziemian stojących na granicy między tradycyą a umiejętnością, musi przez bardzo troskliwe rozpatrywanie się w szczegółach iść do widoków ogólnych, potrzebuje mnóstwa wielostronnych postrzeżeń i zgłębień. Tysiące cząstkowych zasobów tego rodzaju spływając do archiwum Towarzystwa, położyły już podstawę zbiorowi, który szybko rosnąć i wykształcać się będzie. Chociaż delegacye miały na teraz określone swoje przeznaczenie, pozostaną wszakże jako szczęśliwie obmyślone i z dobrym skutkiem wypróbowane narzędzie do zbadania wszystkich, pod tyloma względami różnych miejscowości. Towarzystwo zresztą licząc półtora tysiąca członków, znajdując wszędzie ochocze współdziałanie, potrafi poznać dokładnie obecny stan i właściwe nadal kierunki kultury klas rolniczych.

Opisy, życiorysy, objaśnienia przez delegowanych teraz dostarczone, zdaniem samych sprawozdawców, bynajmniéj jeszcze nie składają całkowitego i dostatecznego obrazu, mogą tylko służyć jako materyały i wskazówki; odsłoniły wszakże nie jeden ważny widok, przyprowadziły do nie jednéj znaczącéj uwagi. Po tych faktach jakie na posiedzeniu publiczném ogłoszone zostały, *Gazeta Warszawska* miała słuszność wyrzec: «Owe przykłady kmieciów pracowitych, ekonomów rządnych, czeladzi wiernéj, pocieszające w nas zrodziły wrażenia. Są ludzie, dla których te piękne przykłady stanowią tylko wyjątek; my owszem chcemy w nich widzieć regułę ogólną, jedynie skutkiem przeciwnych okoliczności nie okazującą się w zastosowaniu powszechném. Nie wszystko u nas uległo przemianie: stara poczciwość żyje dotąd, podnosić ją tylko trzeba, by promieniła jak najszerzéj, by ogrzewała nowe nieraz stosunki.»

Przestrzeżenia nawet ze strony ujemnéj, że strony niedostatków, wad, nałogów, skoro są przedmiotem nie doktryny pismiennéj ale praktyki serdecznéj, wywołują zdania trafne, albo zwracają myśl ku poszukiwaniu przyczyn prawdziwych. Tak naprzykład z powodu niewielu nagrod przyznanych ochmistrzyniom ochronek, czytamy : « W ogóle, owe ochronki u nas nie liczne, są tylko próbą. Potrzeba ich więcéj i urządzonych w ten sposób, żeby lud lgnął do nich; my zaś w Królestwie nie umiemy jeszcze urządzać ochron do jego smaku i pojęcia przypadających. Dlatego te co dotąd mamy rozwijają się bardzo powoli i nie nęcą ku sobie, że zakładane są na wzór miejskich i nieraz prowadzone przez ochmistrzynie życia ludu niepojmujące... Warunkiem ochronek prostota, istnienie na wsi pośród włościan, kierowanie przez kobiety, któreby zstąpiły do ludu, zrównały się z nim czy to tradycyjnie, czy przez poświęcenie. » Podobnież wzgląd na ogrodnictwo nastręczył jedno z dotykanych często, a nigdy nierozwiązanych zagadnień. Sprawozdawca wykazawszy, że ogród nie powinien być uważany za przedmiot zbytku możniejszym panom tylko przystępny, ale być potrzebą, koniecznością, osłodą pracy każdego rolnika, donosi, że w całym kraju zebrano między ogrodnikami ledwo dwudziestu trzech kandydatów do nagród, a jedynastu z nich tylko otrzymało nagrody, i to bez żadnych szczególniéj odznaczających uwag. Czémże się to dzieje, że do téj gałęzi rolnictwa tak pięknéj i przyjemnéj nie widać w ludzie naszym usposobienia? Pytanie to łączy się z inném prowadzącém jeszcze daléj. Któż z własnego doświadczenia, albo z opisu różnych okolic kraju naszego nie wie o tém, jak wszędzie u nas trudno zmusić włościan nietylko do sadzenia ale do zachowania posadzonych drzewek przy drogach? Niedość tutaj zrucać wszystko na brak oświaty, niedbalstwo, narów czy upor, ani też godzi się mniemać, że perswazya, instrukcya, logiczne przekony-

wania potrafią w tym jak wielu innych razach zły nałóg wykorzenić, dobrą, skłonność zaszczepić — oduczyć i nauczyć.

Nie możemy rozszerzać się nad tą kwestyą bardzo rozległą i trudną; potrąciliśmy o nią niemal mimowolnie. Wielkie zadanie Towarzystwa rolniczego u nas jest téj natury, że z każdego punktu wyjścia musi prowadzić w najgłębsze tajniki życia i charakteru ludu wiejskiego. Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem wzięło szczęśliwą do tego drogę, przez samo postawienie środków moralnych przed racyonalnemi, zapewniło sobie klucz do serc zdolnych otwierać się łatwo, ale téż i zamykać się niedostępnie. Żeby sąd nasz, z tego powodu, nie zdawał się być zbyt indywidualnym, damy resztę domówić głosowi krajowemu.

« W tych usiłowaniach i dążnościach — powiada przytaczany już wyżéj artykuł — wszystko nacechowane duchem i myślą, tradycyjnie w sercach naszych przechowaną, chociażby niezawsze wprowadzoną w wykonanie, myślą chrześciańską obowiązku względem braci naszych... W téj myśli zasadniczéj widzieliśmy ową wielką różnicę, która Towarzystwo nasze od innych obcych odróżnia. Nie na sam materyalny patrzano pożytek, nie o samém powiększeniu dotykalnego bogactwa myślano; pamiętano również, więcéj może nawet, o moralnych rolnictwa naszego potrzebach... Kiedy gdzieindziéj wyłącznie nagradzają materyalną ważność wypadków, u nas badano moralne pobudki, mierząc pracę według nich głównie. Nie żadne ideologiczne marzenie kierowało w tém postanowieniu Towarzystwem, ale owszem praktyczność najzupełniejsza, myśl szczęśliwa, wywiązana nie z naśladownictwa obcych, ale z rozumnego wniknięcia w potrzeby nasze dzisiejsze. Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiém odpowiada dzielnie swemu założeniu : *kierować* ku dobremu, *zachęcać* do dobrego. »

Pozostaje nam teraz powiedzieć słów kilka o Towarzystwie Rolniczém w Galicyi.

W numerze z dnia 20 marca r. b. skreślając stan i czynności Towarzystwa lwowskiego, mieliśmy nieprzyjemną powinność wykrywać zasmucające oznaki zwątlenia jego sił żywotnych. Rozprawy dalekie od istotnego celu toczyły się niezmiernie długo, stowarzyszeni zaniedbywali się w opłacie składek rocznych, brak funduszu zagroził upadkiem szkole dublańskiéj, utrzymanie jéj zaledwo na kilka miesięcy do czasu wakacyi zapewnione było. Obecnie mamy pociechę donieść, że wszystko wzięło pomyślniéjszy obrót.

Pod koniec przeszłego miesiąca członkowie Towarzystwa zjechali się do Lwowa liczniéj niż przedtém; posiedzenia odbywały się przez dni cztery z dobrym skutkiem. Na pierwszém z nich 22, czerwca, skoro odczytano sprawozdanie wyświecające stan Dublan, zabrał głos książe Leon Sapieha, prezes Towarzystwa, a wyłożywszy jakie korzyści szkoła dublańska krajowi przynosi, oświadczył z mocą i godnością, iż utrzymanie téj instytucyi uważa za konieczne, jeżeli już nie dla pożytku to dla honoru kraju i Towarzystwa, a przeto będzie wszelkiemi siłami ją podpierał i w ostatecznym razie z własnych funduszow nadal utrzyma, aczkolwiek ufa, że Towarzystwo ze swojéj strony nie zaniedba usiłowaniom jego przyjść w pomoc. Dla ulgi zaś w wydatkach na ten przedmiot, proponował zamknąć klasę pierwszą przygotowawczą, a natomiast przyjmować uczniów, którzy odpowiednie nauki w szkołach publicznych odbyli. Propozycyi téj sprzeciwili się niektórzy członkowie, zarzucając początkowym szkołom publicznym, że przygotowawczéj klasy dublańsiéj zastąpić nie mogą. Zarzuty ich odparłszy ks. prezes, dał zgromadzeniu trzy dni do rozważenia sprawy i stanowczą w niéj decyzyą do ostatniego dnia posiedzień odłożył.

Nazajutrz wszakże, hr. Kazimierz Wodzicki podniósł

kwestyą, i uznając iż byłoby to ujmą dla Towarzystwa, gdyby w rzeczy dla dobra publicznego tak ważnéj potrzebowało trzech dni do namysłu, zażądał otworzenia natychmiast subskrypcyi. Myśl ta ochoczo przyjęta została i niezwłocznie złożono 1,500 złr. Każdy z zapisujących się do składki zobowiązał się równąż kwotę wnosić corocznie przez lat rzy; a jest prawie pewna nadzieja, że w tym przeciągu czasu fundusze szkoły dublańskiéj nporządkują się i z wydatkami zrównoważą. Resztę niedoboru jakiby się okazał, ks. Sapieha obiecał pokryć z własnéj kasy. Tym sposobem więc byt szkoły w Dublanach został zapewniony na dalszą przyszłość, głównie skutkiem gorliwości prezesa. Towarzystwo chcąc złożyć jemu hołd za tę obywatelską zasługę, postanowiło wybić na cześć jego medal złoty i poleciło kilku członkom zaraz tém się zająć.

Następnie, wyznaczona komisya udała się do Dublan dla obejrzenia całego zakładu i za powrotem doniosła o dobrze utrzymanym w nim porządku. Przystąpiono potém do wysłuchania trzech gruntownie napisanych rozpraw w odpowiedzi na pytania zadane przez Komitet w tym roku. Naostatek Towarzystwo zajmowało się pilnie postanowieniami odnoszącemi się tak do własnych czynności jako i ogólnych potrzeb kraju.

Widzimy zatém i tutaj tę energią budzącą się na roli ojczystéj, która chociaż winna swój popęd szlachetnym przywodzcom dowodzi wszakże powszechnego usposobienia, bo w dziejach ludzkich, na większą czy mniejszą miarę, zawsze okazuje się to prawo, że wtedy zjawia się reprezentant gdy ogół ma pewną w sobie gotowość — jak w przyrodzeniu, kwiat nie piérwéj występuje z rośliny, aż ciepło niebieskie rozgrzeje i poruszy jéj soki żywotne.

HRABIEGO URUSKIEGO

SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA.

17 kwietnia.

Zdaje się, że to już przeznaczeniem ludzkiego życia na téj ziemi, aby wszelka ważniejsza sprawa miała zarazem i swoje humorystyczne epizody; od wielkości do śmieszności krok tylko jeden, a nieraz obie idą w parze i obok siebie. Tak téż i w obecnym naszym wielkim dramacie kwestyi włościańskiéj — który niebaczni chcą zamienić w tragedyą! — niezbędną rolę komiczną przyjął na siebie wielkodusznie p. Seweryn hr. Uruski. Przed rokiem ogłosił on prospekt na dzieło czterotomowe pod tytułem *Sprawa włościańska*, który bardzo wiele wistocie zapowiadał. Praca p. Uruskiego miała w sobie zamykać przegląd dawnych praw polskich tyczących się włościan, wszystkie następnie rozporządzenia obowiązujące w téj materyi w różnych częściach dawnéj Polski, a nareszcie, po rozbiorze celniejszych autorów, którzy dotąd o téj kwestyi pisali, « rzut oka na rozwój społeczeństwa w Polsce ». Dodana przy téj zapowiedzi treść przedmiotów dwóch pierwszych tomów mogła zaostrzyć ciekawość i wielki obudzić interes : bo oprócz główniej-

szych statutów, ustaw i paktów, mieściła w sobie nawet « ogólny przegląd woluminów legum »... Ale habit nie czyni mnicha, ani też prospekt nie czyni dzieła. Wyszły w tych dniach pierwszy tom pracy p. Uruskiego (1) daje nam tylko wyjątki z drukowanych rozpraw polskich w kwestyi włościańskiéj. Takie zestawienie w jedno różnych zdań i publikacyj w téj materyi, nie jest wprawdzie pracą wielce oryginalną, ale mogłoby być pożądaném a nawet pożyteczném — gdyby było wykonaném dokładnie, rozważnie, z jakimś systemem i porządkiem. Ale nasz autor (— per antiphrasin, *exemplo* lucus a non lucendo!...) nad podziw wszelki sobie ten trud ułatwił i całe jego dzieło wygląda tylko na żart, który w każdym razie jest za gruby, bo aż siedemdziesiąt arkuszy druku obejmuje. Te arkusze i wyciągi następują po sobie bez żadnego, ani logicznego ani nawet chronologicznego porządku, i stanowią razem jedno z najpocieszniejszych szkolnych exercycyj, o jakich tylko marzyć może umysł młodociany. Po urywku z jakiejś broszury wydanéj w roku 1790, wpadamy naraz w wyciągi z gazet i roczników tegorocznych, by potém znowu czytać wyjątki z listów i dzieł Kołłątaja; obok odezwy galicyjskiéj z roku 1848, mamy artykuł p. Leona de Lavergne, o gospodarstwie w Szkocyi, i t. p. ; i z wyrwanych wszystkich tych kartek bezładnéj kolei, wyrasta napis : Seweryn hr. Uruski! Kompilator nasz, który jest szambelanem carskim, jak to na tytule dzieła wszem wobec ogłasza, miał widocznie i swoich szambelaników, którzy mu ztąd i zowąd dostarczali materyałów, nie zmówiwszy się z sobą, nie ułożywszy w niczém planu do téj dziwnéj i dziwacznéj budowy, na któréj czele miała zajaśnieć cyfra dostojnego panka. Ależ za to i

(1) *Sprawa włościańska*. Wyjątki z nowożytnych ekonomistów polskich. Wydał Szambelan Dworu J. C. K. M. Seweryn hr. Uruski. Tom I; Warszawa. Orgelbrand, 1858.

cyfra w różnych kształtach i arabeskach (S. U.; S. hr. U., i t. p.) w różnych miejscach, przy każdym nieznaczącym dopisku, na początku i na końcu, w przemówieniu i domówieniu jest położona — *et le tour est fait!*... P. Uruski postarał się o dzieło, jak panicze nasi na Wołyniu starają się o *kopertę* : aby się módz popisać z tytułem...

Nie wspomnielibyśmy o téj zabawce, gdyby tylko była próżną i śmieszną, i gdyby p. Uruski nie występował z uroszczeniami do jakiejś nowéj polityki swego wynalazku i chowu. Ale w téj nieudolnéj publikacyi, znajdujemy kilka wskazówek tendencyi równie odstępnéj jak jadowitéj. Na samym tytule dzieła czytamy *motto*, które wypowiada, że « synowie kmieccy stracili swój łan ojcowski » a w domówieniu p. Uruski nazywa uwłaszczenie chłopów « *odzyskaniem* (sic!) przez nich własności gruntowéj »... W téj bezmyślnéj pracy jedyna tylko przebija myśl nienawiści do szlachty, chęć rozdwojenia i zakłócenia synów jednéj ziemi — a cel téj szambelańskiéj demagogii zrozumie każdy, który zna publiczną karyerę pana Uruskiego. My tylko ubolewać możemy, że sprawa uwłaszczenia *takiego* znalazła rzecznika!...

ZACHÓD I MOSKWA.

6 i 20 marca.

I

Wypadki, które w ciągu dni ostatnich zaszły we Francyi i Anglii obudziły w niejednym uzasadnioną do pewnego stopnia trwogę, że przymierze które przywykniono już uważać za podstawę wszelkich zbiorowych działań i politycznych kombinacyj, od którego wszystkie nieledwie sprawy pokrzywdzone wyglądały w przyszłości sprawiedliwszego roztrzygnienia i naprawy, że przymierze to które jest rękojmią ale i najpiękniejszym rezultatem dzisiejszej cywilizacyi, może być zachwiane, zerwane, i znowu świat jak okręt bez sternika rzucony na los wzburzonych fal i wichrów niesfornych. Aby wziąść miarę o ile obawy te są słusznemi i niebezpieczeństwo blizkiém chcemy z przeszłości przypomnieć kilka faktów i przeobrażeń, przez które alians francuzko-angielski już dotąd przechodził.

W roku 1852 pomimo uroczystego ogłoszenia słów: *l'Empire c'est la paix*, mało kto wierzył w trwałość pokoju. W istocie rząd cesarski oprócz przypomnień chwały wojennéj, które dumę narodową podnoszą, przynosi Francyi niezaprzeczony wzrost siły nazewnątrz.

Z utratą codziennych zajęć i wzruszeń parlamentarnego życia, naród francuzki niezaprzątniony jak inne narody rządem wewnętrznym, przez samą nieczynność i przy większéj sile doznaje potrzeby zajęcia nazewnątrz; w tém jednak do innych narodów niepodobny, że nieszuka wyłącznie zdobyczy. Duch jego jakby opatrznie służy ludzkości: kiedy w domu, skutkiem przemian chwilowych, zawiesza niektóre swobody, zdaje się jakby o tyle skwapliwiéj niósł światu całemu coraz wyższe pojęcie potrzeb spółecznych, godności osobistéj i praw pojedynczego człowieka. Lecz biada mu, biada światu całemu, jeżeli to szlachetne dążenie nieznajdzie zaspokojenia, jeżeli nieodbierze należytego kierunku, jeżeli w sprzeczności z początkiem swoim słucha tylko jakiejś zadawnionéj zemsty lub chęci zaboru, albo téż zmienia się w niecierpliwość przeciw własnym rządom wewnętrznym.

Z odnowioném cesarstwem, Francya w roku 1852 zdawała się tylko myśleć o zemście na Anglii; po całym kraju mówiono z zapałem o środkach przewiezienia przez cieśninę morską wojsk i niezliczonych ochotników. Oprócz żądzy burzenia i odwetu za doznane niegdyś klęski nie było w tém marzeniu celu żadnego, ale była namiętność, namiętność ludowa, ślepa. Był to szał nierozumny, który się nawet wystrzegał wszelkiego rozumowania, bo już i we Francyi pospolitém ludzi rozważnych stało się przekonaniem, że Anglia państwo przedewszystkiém cywilizujące żadnéj potędze cywilizacyjnéj nie szkodzi; że w niéj Francya nie wroga ale siostrę znajduje, że te dwa państwa w niczém, czegoby ich własny, zdrowo pojęty interes wymagał, nie są dla siebie zawadą; że owszem są sobie pomocą codzienną przez wzajemne światło, bogactwo, pojęcia sprawiedliwości i doskonalący się nieustannie w jedném jak w drugiém stan spółeczny. Ale na nieszczęście to wzajemne, sprawiedliwe siebie ocenienie, tę zimną rozwagę i do-

brze zrozumiany interes, głuszył wówczas podobnie jak dzisiaj, próżny jakiś bezcelowy zapał, chęć odniesienia nie korzyści, nawet nie zdobyczy, ale tylko zmierzenia się raz jeszcze z najpotężniejszym sąsiadem. Z tych myśli i uczuć krążących w narodzie francuzkim, wynikła między Anglią i odnowionym rządem cesarskim drażliwość tak wielka, że sami nawet ministrowie angielscy objeżdżając wyborców swoich, nieszczędzili słów okazujących najwyższą ku Francyi nieufność. Kiedy we Francyi we wszystkich stanach płonęła żywa chęć wylądowania na brzegi Albionu, w Anglii cała niemal ludność ćwiczyła się podówczas w strzelaniu do celu z karabinów, dla odparcia nieprzyjaciela, którego co chwila spodziewano się. Z obu stron było prawie powszechne mniemanie, że rząd cesarski z Anglią w żaden sposób pojednać się nie potrafi.

Taki był stan Zachodu na kilka miesięcy przed rozpoczęciem wojny wschodniej, stan, zdawało się, najpożądańszy dla Moskwy. Ale właśnie dlatego że był dla Moskwy korzystnym, trwać on nie mógł. Bo rząd Moskwy to wróg ludzkości, wróg wszelkiéj swobody tak rządów jak ludów, wróg światła i sprawiedliwości. A właśnie te dwa wielkie narody Zachodu postawione są oba na straży cywilizacyi na to, aby nieustannie czuwały jeden nad drugim i niedozwalały zwichnąć szczytnego powołania przez użycie swéj potęgi dla własnych tylko widoków a nie dla powszechności narodów. Cesarz Mikołaj, zarówno jak inni, uwierzył także w niepodobieństwo pojednania i porozumienia się dwu mocarstw Zachodu. Przeciw rozdzielonym czuł się on silnym, czuł że na wszystko może się odważyć. Uznawszy przeto porę sposobną do stanowczego a długo pożądanego zamachu, wyprawił do Stambułu księcia Menszikowa z misyą dyplomatyczną, na któréj poparcie rozkazał sekretnie flocie Mikołajowskiéj przygotować się do przewiezienia dwóch dywizyi z Odessy i Sebastopolu na

brzeg turecki pod Stambuł. Mniemał on, że mimo napadu pokój naruszonym nie będzie, i że Europa zaskoczona niespodzianym, ale już dokonanym faktem nie przeszkodzi mu w opanowaniu Bosforu i Dardanelów. Tymczasem wbrew powszechnemu przewidzeniu, zaledwo doszła na Zachod wieść o nowym zamachu Moskwy, zaraz między dwoma mocarstwami ustała zawiść i niezgoda, zaraz stanęło porozumienie przeciw niebezpieczeństwu zagrażającemu wszystkim zarówno.

Wśród przygotowań do stawiania oporu burzycielowi powszechnego pokoju, odezwał się głos bodaj nie proroczy. Pisarz znamienity, wówczas naczelnik opozycyi w Izbie niższéj angielskiéj, a dziś znowu jeden z pierwszych ministrów (d'Israeli) ostrzegał, pod koniec 1853 r., że Anglii albo wcale nie należy wiązać się z Francyą, albo zawarłszy przymierze potrzeba je zrobić skutecznem. Że zaś mało wierzył aby członkowie ówczesnego gobinetu podołali tak wielkiemu przedsięwzięciu, palącemi słowy zapowiadał iż zawód, niewyprowadzenie z przymierza wielkich i trwałych skutków, taką wkrótce między dwoma państwami wywoła niechęć, takie wzajemne zrodzi zarzuty i zaskarżenia, że w tém przymierzu nieprzezornem, nieupewniającem stanowczych dla świata korzyści, widział już nieuchronne między rządami Zachodu poróżnienie, następnie wojnę a z nią klęski dla całego rodzaju ludzkiego. Na poparcie swéj opinii, przypomniał ów mąż stanu, że przy pierwszym podziale Polski, król francuzki Ludwik XV własnoręcznym listem wzywał króla angielskiego do wspólnego a dzielnego wystąpienia przeciw bezprzykładnemu na północy bezprawiu. Nieprzezorna obojętność Anglii i błahość przedsięwziętych środków zaradczych, wyrodziły w narodzie francuzkim już wówczas pojmującym powołanie dwu wielkich państw Zachodu, żal i gorycz. To było jednym z powodów udziału Francyi w oderwaniu od Anglii Zjednoczonych Stanów

Ameryki; wynikła następnie długa na Zachodzie wojna, którąby można nazwać domową, pomnąc że Zachód cały zagrożony jest przez Moskwę, że jest nieustannym przedmiotem jéj podejść, że przez własną nieprzezorność i niecnotę może w końcu stać się jéj łupem.

Wiadomo wszystkim jak była prowadzoną wojna wschodnia, jak przez cały jéj ciąg niemyślano o jéj skutkach lub korzyściach, ale zaledwo ją rozpocząwszy usiłowano zakończyć jak najspieszniéj, byle przyzwoicie. Wiadomo téż jak przed końcem jeszcze wojny, francuzkie wojsko dźwigając cały niemal ciężar niepożytecznego oblężenia, poczynało już okazywać wstręt najwyższy ku sprzemierzonym angielskiéj armii spółtowarzyszom i głośno żałowało, że z nimi przeciw Moskwie, nie zaś z Moskwą przeciw Anglikom przychodzi im wojnę prowadzić. Zaraz też z rozpoczęciem konferencyj paryzkich mogła dostrzedz Anglia, że ją Francya pomija a względność największą Moskwie okazuje. W dalszych po zawarciu pokoju rozprawach nad wykonaniem szczególnych zastrzeżeń traktatu, widziano już ciągle Francyą z Moskwą po jednéj stronie, kiedy Anglia na przeciwnéj stawała. Wprawdzie niedochodziło do zerwania. W ostatecznéj chwili przemagało zawsze widoczne i głębokie obu rządów przekonanie, że zgoda jest dla obu warunkiem bezpieczeństwa. Ale każdy to widzi że we Francyi w niższych zwłaszcza sferach narodu ślepa jakaś do Anglii szerzy się nienawiść. Anglia zimniejsza, oględniejsza, ale i ona nie bez zadawnionéj zawiści, dotknięta, mogłaby się nareszcie i zaciąć.

Miałożby się urzeczywistnić przepowiedziane przed zawarciem przymierza Zachodu nowe, głębsze, straszniejsze w następstwa zerwanie? Miałażby Francya uledz pokusie sprzymierzenia się z Moskwą na poniżenie Anglii? Nie wierzemy temu. Może cesarz Francuzów nieodrzucać pochlebstw Moskwy; może bawić niemi swój

naród, przyjmując jakoby stanowisko arbitra Europy; wie, że popularném zawsze we Francyi jest nieporozumienie z Anglią. Ale wie dobrze, że to gra niebezpieczna; a wielka roztropność któréj dał dowody, nie dopuszcza obawy, aby grę posuwał daleko. Sam nawet naród francuzki, o ile wpływać może na postanowienia rządu, wnetby się koniecznie na téj drodze zatrzymał. Instynktem, przez dawną rodową nienawiść ku Anglii, z rachuby, z teoryi marzy o przymierzu z Moskwą. Przyjąć go stanowczo niezdoła. Francya (a poniekąd i każdy Francuz) czuje, że jest wyrazem najwyższym tego, co się pospolicie rozumie przez cywilizacyą. To ją stawia na jednym biegunie, kiedy Moskwa stoi na drugim, na ostateczności barbarzyństwa. Dlatego nigdy przypuścić nie można, by się spoiły trwale te dwie ostateczności. Dlatego każde zetknięcie Francuza z Moskalem w krótkim czasie obudza zobopólny wstręt i oburzenie. Podoba się zrazu Francuzowi Rossyanin z ogłady, z rozrzutności, z pochlebstwa którego mu nieszczędzi. Ale wnet pozna obłudę i niesłowność. Przeto też w najgorszym razie, z umizgów Moskwy do Francyi, wyglądać można tylko rozjątrzenia Anglii i ta, nie inna zapewne, jest nadzieja Moskwy. Siać na Zachodzie nieufność, drażliwości podbudzać, to rola Moskwy, to jéj cel.

Możnaby się obawiać, by rozdrażnienie Anglii niezwróciło jéj, raz jeszcze, ku jéj odwiecznéj tradycyi łączenia się z Moskwą, odkąd Moskwa weszła do polityki europejskiéj, i podpierania jéj dla równoważenia mocarstw pierwszego rzędu na stałym lądzie. Bo i to dodać wypada, że Anglik w dobréj wierze, mając resztę świata za niższą od siebie, nie zraża się złą wiarą ani w ogólności niższością uczuć i pojęć u obcych, kiedy mu wypada wiązać się z nimi do wspólnego dzieła. Nie strzegłby przeto Anglii od przymierza z Moskwą wstręt podobny do tego, jaki na Francuzach sprawia ob-

łuda barbarzyńcy. Ale i Anglia już się z Moskwą kojarzyć nie może. Indye, Chiny, Azya cała na czas długi stawią te mocarstwa w sprzeczności koniecznéj, w zetknięciu nieprzyjazném i wzajemnie coraz to groźniejszém. Zburzone są posady dawnych aliansów Anglii, i dziś wszyscy jéj mężowie stanu, w każdéj okoliczności, czy w rządzie czy w opozycyi, głoszą jednozgodnie konieczność stałego porozumienia z Francyą i ufność w jéj Cesarzu.

Przymierze dwóch wielkich norodów zachodnich nie jest rezultatem dobrowolnie wybranego systemu politycznego, ale jest skutkiem okoliczności, często od ludzkiéj woli niezawisłych, które przez czterdzieści lat coraz to silniejszém parciem wiążąc z sobą te dwa państwa, tyloma je węzłami i spójniami połączyły i ścieśniły, że najważniejsze nawet zmiany polityczne w obu krajach jedności téj rozerwać nie mogą. Od lat czterdziestu przychodziły do steru rządu u obu narodów różne opinie polityczne, rozmaite nawet dynastye a każda z nich tę jedność sankcyą swoją utwierdzała, bo każda niemal za pierwszy artykuł swego politycznego programu kładła i do dziśdnia kładzie utrzymanie zachodniego przymierza. Ta praca lat wielu, ten owoc ducha dzisiejszéj cywilizacyi, nie da się więc za jedném nieporozumieniem, lub w chwili rozdrażnienia zniszczyć i rozerwać. Nie ma téj nadziei nawet Moskwa sama, chociaż żadnego środka nie szczędzi aby bądź Francyą, bądź Anglią odosobnić i dotychczasową ich harmonią w otwartą nieprzyjaźń zamienić. Moskwie téż na dzisiaj niekoniecznie potrzeba wojny na Zachodzie; wystarczy jéj stan drażliwości i nieporozumienia, który odejmując Francyi i Anglii siłę do czynu i do skutecznego czuwania niezbędną, daje jéj saméj czas i swobodę. Czasu bowiem i swobody przedewszystkiem potrzebuje rząd moskiewski do uprzątnienia wewnętrznych trudności, które przyszły dziś do takiego rozmiaru, że niedano jest

ludzkiemu oku przejrzeć ani obliczyć ich następstw. Ale zostawiona w spokoju, co gorsza nawet zasilana środkami, których jéj dostarczają ludzie i kapitały Zachodu, Moskwa, rzec można z pewnością, przetrwa i pokona te trudności, i wyjdzie z nich silniejsza, a dopieroż wtedy dla całéj Europy straszna.

Jakie wobec tego niebezpieczeństwa spadają na Polaków powinności, aby sprawie swojéj i sprawie cywilizacyi, póki czas, skutecznie służyć, postaramy się wykazać następnie.

II

Dni temu kilka ośmieliliśmy się wyznać czytelnikom, że pomimo rozdrażnienia nie wierzymy w zerwanie przymierza między dwoma wielkiemi państwami Zachodu. Od owego czasu czytaliśmy z pociechą przysyłane codzień z Anglii mowy wszystkich niemal nowych ministrów miane po prowincyach, a zapewniające jednogłośnie, że przymierze to chcą stanowczo utrzymać. We Francyi, broszura *l'Empereur Napoléon III et l'Angleterre,* będąca wyraźnie objawem wyższéj woli i myśli, przedstawiła w tym czasie w sposób prosty, otwarty i niemniéj stanowczy, co Francya a mianowicie Cesarz stale czynili i czynić nie przestają dla przymierza, z jakich powodów to przymierze jest pożądaném i do utrzymania łatwém. Toż samo jeszcze dobitnéj okazuje się z urzędowéj między dwoma rządami korespondencyi w *Monitorze* d. 17 b. m. ogłoszonéj. Tak w mowach i pismach ministrów angielskich, jak w piśmie głoszącém myśl rządu francuzkiego, a najmocniéj w słowach samego Cesarza do posła w Londynie pisanych, widzimy z radością wyznanie, że konieczność tego przymierza wynika głównie z niebezpieczeństwa grożącego cywilizacyi ze strony Moskwy. Boć jeżeli Europa zagrożona

jest od Moskwy, to rzecz jawna że Moskwa doszła do téj potęgi szczególnie przez zabór Polski, i że owa samolubna i nieprzezorna obojętność o los Polski przyczyniła się do tego omdlenia Europy, nietyle przez odsłonienie jéj od północy, jak przez ów roztrój i powszechne wstrząśnienie podstaw społecznych, które są konieczném następstwem dopuszczonéj bezkarnie olbrzymiéj zbrodni. Z drugiéj strony, jeżeli co w historyi ostatniego stulecia jawnie się okazuje, to niemoc Europy przeciw Moskwie, ilekroć bez powołania Polski powstrzymać ją i poskromić probuje. Skoro więc widoczną jest potrzeba sprzymierzenia Zachodu dla bezpieczeństwa cywilizacyi, to znów dla bezpieczeństwa i skuteczności tego przymierza, niemniejsza jest potrzeba Polski. Skuteczność jest tu warunkiem istnienia. Tak określone stanowisko Polski w polityce europejskiéj trwa i tak długo trwać będzie, pomimo upadku rządu polskiego, jak długo w obywatelstwie polskiém dochowa się uczucie politycznego znaczenia naszego narodu.

W dziele świeżo wydaném w Berlinie, *La Cour de la Russie il y a cent ans* (1726-1783), w dziele ważném i ciekawém, bo zawierającém same niemal wypisy z depesz posłów angielskich, francuzkich i innych przy dworze Carów, czytamy uderzający ustęp z instrukcyi, którą minister Francyi książe Choiseul dawał w roku 1760 baronowi de Breteuil, posłowi przy dworze moskiewskim. Instrukcya ta czyta się jak gdyby dzisiaj była pisaną. Minister uznaje w niéj że wielkiém jest dla Rossyi szczęściem, iż ma obecnie (w r. 1760) panujących, którzy pracują skutecznie nad usunięciem z niéj zabytków dawnego barbarzyństwa; ale dodaje, że roztropna polityka nie powinna dozwolić, aby gabinet petersburski korzystał z obecnéj chwili dla wzmożenia swéj potęgi i rozszerzenia granic swego państwa. Bo kraj prawie tak wielki jak połączone razem państwa największych mocarzy europejskich i który bardzo

mało ludzi potrzebuje dla własnego bezpieczeństwa, może nazewnątrz wystawić armie potężne. Już dziś te armie są wyćwiczone, a rząd samowładny, prawie despotyczny; słusznie więc państwo może wydawać się strasznėm dla sąsiadów, a następnie dla ludów, które w skutek nowych jego zdobyczy, staną się jego sąsiadami. Bez przesady twierdzić można, mówi książe Choiseul, że od śmierci Piotra I potęga Rossyi wzrosła o połowę, a z roli którą dzisiaj odegrywa trzeba się domyślać, jakieby na scenie świata zajęła stanowisko, gdyby przez nowe zwiększenia doszła do jeszcze wyższego szczebla potęgi i władzy. Kiedy armie moskiewskie po raz pierwszy zjawiły się w Niemczech, dwory oświecone spostrzegły jak niebezpiecznie było je tam wprowadzać, i jak ważnėm dla wszystkich monarchów stało się zadaniem, czuwać nad zamiarami i postępkami narodu, którego potęga zaczynała być tak straszliwą. Ale dwór wiedeński widocznie na chwilową tylko baczył potrzebę. Gdy Rossyan po dwakroć przywołał na pomoc w wojnie wypadłėj po śmierci króla polskiego Augusta II i w wojnie zaszłėj po śmieci cesarza Karola VI. Cesarzowa Marya Teressa temi samemi w obecnėj wojnie rządziła się pobudkami, i kto wie, czy ona nie pożałuje, a przynajmniėj czy jėj następcy żałować nie będą że takich zawezwano pomocników!... Gwałty których Rossya dopuściła się w Polsce w roku 1733 i 1734; jėj wyprawa na Gdańsk który wbrew wszelkim prawom słuszności obległa i następnie surowo ukarała, za to iż chciał bronić swėj wolności i swych przywilejów; zatrzymanie ambasadora i trzech batalionów francuzkich w przykrėj i poniżającėj niewoli pomimo wyraźnėj kapitulacyi, którą podstępnie wytłumaczono; krzywdzące obejście się z innym ambasadorem królewskim; duma z jaką Rossya domagała się cesarskiego tytułu od monarchów, który go jeszcze jėj nie przyznali; zła wiara jaką okazała w wykonaniu ostatniego traktatu z Turkami; władza którą sobie przy-

własczyć chciała w wewnętrznym zarządzie Szwecyi; sposób jéj obchodzenia się z Polakami od lat trzech; zamiary które już odkryła w kwestyi swego rozgraniczenia z Polską; jéj forma administracyi i stan wojskowy, — wszystkie okoliczności powinnyby nakazać obawę zwiększenia się téj potęgi monarchom, którzy dbają o utrzymanie bezpieczeństwa i spokoju publicznego. Wzywa w końcu książe Choiseul dwory europejskie do tém pilniejszéj czujności, że gabinet petersburski trzyma się planu politycznego głęboko obmyślanego, którego wszystkie części są związane, ale wchodzą w wykonanie stopniowo, w miarę jak wypadki nastręczają po temu sposobność, i że ministrowie rossyjscy nieufni i podejrzliwi, ze skrytością ich narodowi właściwą, łączą zawsze systematyczną chytrość we wszystkiém co mówią, piszą i działają (1).

(1) Podajemy w oryginale ważniejsze ustępy téj instrukcyi; jest ona zbyt uderzającą, abyśmy na ogłoszeniu jéj tłómaczenia poprzestać mieli.

« Il est heureux pour la Russie d'avoir eu des souverains qui ont travaillé avec succès à faire disparaître successivement les restes de barbarie qui y subsistaient encore vers la fin du dernier siècle; mais la saine politique ne doit pas permettre qu'on laisse la cour de Pétersbourg profiter des avantages de son état actuel pour augmenter sa puissance et étendre les bornes de son empire. Un pays presque aussi étendu que les États réunis des plus grands princes de l'Europe, et qui, n'ayant besoin que d'un petit nombre d'hommes pour sa sûreté particulière, peut avoir au dehors de ses frontières des armées formidables; un pays dont le commerce s'étend jusqu'à la Chine et qui est à portée de s'enrichir en se procurant de l'Asie, facilement et en peu de temps, les denrées que les autres nations ne peuvent en tirer que par de longues et dangereuses navigations; un pays dont les troupes sont aujourd'hui aguerries, et dont le gouvernement est absolu et presque despotique, doit, avec raison, paraître redoutable à ses voisins actuels, et successivement aux peuples qui le deviendront au moyen de ses nouvelles conquêtes.

» On peut assurer sans exagération que la puissance des Russes est presque augmentée de moitié depuis la mort de Pierre I[er], et l'on peut juger, par le rôle qu'elle joue aujourd'hui, de celui qu'elle joue-

Powtarzamy, instrukcya ta czyta się jak gdyby dzisiaj była pisaną. Smutno jest, niemal straszno widzieć, jak już przed stoma laty oceniano dokładnie grożący postęp Rossyi. Traci się niemal odwagę do ponawiania ostrzeżeń tak już zadawnionych, a dotąd jakoby nadaremnych!...

Czy przeto wnosić, że było niepodobieństwem oprzeć się fatalnemu parciu téj potęgi cisnącéj z Północy na Zachód? Czy dzisiaj tém bardziéj nieuchronna jest jéj przewaga? Nie wierzymy temu! — Wzrost Moskwy przez drugą połowę ośmnastego wieku tłómaczy się dostatecznie okolicznościami, które się w znacznéj bardzo części zmieniły. Nie jedna tylko Polska, ale wszystkie niemal państwa otaczające Polskę znalazły się naówczas w stanie wewnętrznego rozpadnięcia i niemocy: tak Szwecya jak Turcya, jak samo nawet cesarstwo Niemieckie, z którego, za szczególną opieką Moskwy, wyradzało się nowe państwo pruskie. Ale co nadewszystko ośmielało Moskwę, co ubezpieczało jéj zamachy, to

rait sur la scène du monde, si de nouvelles acquisitions la portaient à un plus haut degré de grandeur et de pouvoir. Les cours éclairées ont senti, lorsque les armées moscovites parurent pour la première fois en Allemagne, combien il était dangereux de les y avoir introduites, et combien il était intéressant pour tous les souverains de veiller avec attention sur les vues et sur les démarches d'une nation dont la puissance commençait déjà à devenir redoutable; mais la cour de Vienne ne consulta que le besoin du moment présent, lorsqu'elle appela les Russes à son secours dans les deux dernières guerres occasionnées, l'une par la mort du roi de Pologne Auguste II, et l'autre par la mort de l'empereur Charles VI. L'impératrice-reine de Hongrie et de Bohême s'est conduite dans la présente guerre par le même motif; et qui sait si elle, ou du moins ses successeurs n'auront pas à se repentir quelque jour d'avoir eu recours à de pareils auxiliaires?...

» Les violences que la Russie exerça en Pologne en 1733 et 1734, son entreprise contre la ville de Dantzick, qu'elle assiégea contre toutes les lois de la justice et de la bienséance, et qu'elle punit ensuite sévèrement d'avoir voulu défendre sa liberté et ses droits; un ambassadeur de France et trois bataillons français retenus dans une humiliante et dure captivité contre la teneur d'une capitulation formelle,

owczesny stan Francyi i długi rozstrój, który poprzedził straszne w niéj zawrzenie, przy najpotężniejszém w dziejach świata wewnętrznèm przetworzeniu społecznèm. Dziś to przesilenie minęło. Francya długo sama przez się trawiona, tak że aż we własnéj niepodległości była zagrożoną, następnie pod najświetniejszym z wojowników niosła w odwecie wojnę aż na kończyny Europy, grożąc powszechnem świata zawojowaniem,— dzisiaj weszła napowrót w karby sobie właściwe i słusznie może o sobie twierdzić, że jest pokojem dla świata. Bo wistocie, powołaniem Francyi szczytném, istotném, jest zapewniać światu pokój. Nie ów pokój bezwzględny, uniżony, nieprzezorny, samolubny, który niebawem wywołuje z jéj własnych wnętrzności wybuchy najsłuszniejszéj zgrozy przeciwko tym coby ją na spodlenie skazać gotowi! Nie ów nawet pokój o którym Fryderyk II, litując się nad niemocą poniżonego przez siebie Ludwika XV, mawiał: « gdybym był królem Francyi, niktby bez mego pozwolenia w Europie z jednéj

mais artificieusement interprétée; un autre ambassadeur du roi, traité avec l'indécence la plus injurieuse; la hauteur avec laquelle la Russie a exigé le titre impérial des souverains qui n'avaient pas encore eu la complaisance de le lui accorder; le peu de fidélité qu'elle a fait paraître dans l'exécution de son dernier traité avec les Turcs; l'autorité qu'elle a prétendu exercer sur le gouvernement intérieur de la Suède; la façon dont elle se conduit avec les Polonais depuis trois ans; les vues qu'elle a déjà annoncées par rapport à une fixation de limites entre l'Empire russe et la Pologne; enfin le système et la conduite de la Russie, la forme de son administration et son état militaire doivent faire craindre l'agrandissement de cette puissance à tous les princes qui ont à cœur la sûreté et le repos public...

» Cette vigilance est d'autant plus nécessaire qu'il y a longtemps que la cour de Pétersbourg a un plan de politique bien formé, dont elle ne s'écarte pas, et qui paraît bien lié dans toutes ses parties, mais qu'elle ne développe que successivement et à mesure que les événements et les circonstances lui en fournissent l'occasion. D'ailleurs, ses ministres, défiants et soupçonneux, joignent à la dissimulation naturelle à leur nation la ruse la plus méthodique dans leurs propos dans leurs écrits et dans leurs démarches. »

armaty nie wystrzelił...» Ale pokój z przywróconéj i ubezpieczonéj wszędzie sprawiedliwości!

Pokój taki Francya i Anglia, szczerém i szlachetném związane przymierzem, mogą światu zapewnić. Król Henryk IV i królowa Elżbieta, ze wszystkich monarchów Francyi i Anglii najpopularniejsi, już przed trzema wiekami marzyli o takiém przymierzu; po nich wszystko co oba kraje najzacniejszych liczą imion, upatrywało w takiém cel dla obu narodów najpiękniejszy. Sam nawet pierwszy Napoleon, wpośród chwały panowiania i we więzach Anglii, przyznawał, że z nią razem czułby się mocnym błogi pokój światu zapewnić. Powtarzamy więc przekonanie nasze, że się niezakłóci przymierze, że nie dokażą tego niższe, niegodne namiętności. Ale zarazem wierzymy, że aby się utrzymało, musi odpowiedzieć celowi, musi objawić się czynami dokonywanemi wspólnym trudem, a nawet orężem, na pożytek swiata. Mówimy orężem: boć Bogiem zastępów staje się i sam Bóg pokoju, kiedy tego wymaga Jego sprawiedliwość.

Jeśli te dwa narody przestawać chcą na wzajemném tylko a bierném szanowaniu się i oszczędzaniu, nie unikną zatargów, i skończy się na tém, że na ostatku byle iskierka, straszny acz przemijający zawsze zapali pożar w namiętnościach, długiém wstrzymywaniem zaostrzonych i zajątrzonych. Nie utrzyma się, a nareszcie i zamąci się przymierze, jeżeli bierném pozostanie, jeżeli nieść światu nie będzie pokoju chrześciańskiego. We wszystkich stanach obu tych wielkich narodów uczucie sprawiedliwości tak jest dzisiaj powszechne, podniesione i umocnione, że w niém znowu jest rękojmia, iż to przymierze tylko błogie skutki dla ludzkości może rodzić, i że już pojąć niemożna, aby te dwa kraje połączyć się miały z sobą na szkodę prawdziwéj cywilizacyi.

Tak oznaczywszy stanowisko i obowiązki zachodniego przymierza, jest Car, wywodzi się jasno powołanie i przymierza, pomnąc przytem, że arcywrogiem tego

powinność Polski. Polska nie ma wprawdzie rządu własnego, ale ma zawsze obywatelstwo światłe, dzielne, patryotyczne, a dziś nawet i roztropne. Ono to rząd polski wyręczać powinno i może, w tém mianowicie, co jest sprawą rządu w stosunku z rządami innémi, zwłaszcza téż z rządami sprzymierzonego Zachodu. Polska przedewszystkiem powinna czuć i myśleć po europejsku. Niegdyś upadła przez zamykanie się i zaślepianie we własnych domowych sprawach lub wygodach. Dziś czas dla niéj naprawy! Obywatelstwo polskie, jakiemibądź sprawami domowemi lub krajowemi mogłoby użytecznie być u siebie zaprzątnione, powinno troszczyć się o to i nad tém pracować, ażeby z niego myśl polska nieustannie szła ku Zachodowi i tam przynosiła wczesne ostrzeżenia o tém, na co zblizka patrzy, skarbiąc sobie tém samém w danéj porze pomoc tegoż Zachodu a świadcząc, dążeniem stałém i roztropném, że żyje Polska, że ufa i godna, by jéj ufano!

Gdybyśmy mieli rząd polski, jaki tylko wymarzyć sobie możemy, gdybyśmy mieli i naród polski dwudziesto-milionowy połączony jedną miłością i braterstwém wszystkich stanów, gdybyśmy mieli wojska dwa kroć sto tysięcy i fortece na granicach, — mogłażby nawet wówczas Polska myśleć bezwzględnie o własnych tylko sprawach i zamiarach? Mogłażby swoje zwłaszcza zamiary przeprowadzać, nie łącząc ich ze sprawami reszty Europy? Nie, bo ta oddzielność raz jeszcze wtrąciłaby nas do grobu! Jakże więc dzisiaj możemy od podobnéj uwalniać się konieczności?... A chcąc być Polakami, jakżebyśmy zapominać mieli, że nam koniecznie trzeba być Europejczykami, że koniecznie musimy wiązać się z tym Zachodem, od którego tylko przyjść może dla skrzywdzonych, ale żyjących pomoc, dla wszystkich pokój, to jest sprawiedliwość!

OBYWATELE POLSCY

W SPRAWIE WŁOŚCIAŃSKIÉJ.

3, 7 kwietnia i 25 września.

I

W rozszarpaniu i rozdzieleniu, w którém nas trzyma potrójny, poczwórny nawet i potworny rozbiór, pod tłoczącém brzemieniem miejscowych dolegliwości i klęsk, które w różny sposób trapią każdą dzielnicę ojczyzny, rzadko kiedy wewnętrzne sprawy jakiejś części naszego kraju obchodzą i zajmują resztę ziem polskich, uległych odmiennym władzom i odmiennym a zawsze smutnym i ciężkim warunkom. Wszakże sprawa na pierwszy rzut oka tylko wewnętrzna, usamowolnienia naszych włościan w rossyjskim zaborze, jest jedną z tych, która najoddaleńsze nawet prowincye Polski i od ekonomicznych następstw reformy najmniéj dotkniętych, Polaków do głębi poruszyła i do żywego zajęła. Nietylko tułactwo polskie, które z położenia, a powiedzmyż także i z posłannictwa swego, tém właśnie że wolne od względów miejscowych potrzeb i szczególnego położenia prędzéj i z równą dla wszystkich części

kraju pieczołowitością może objąć ogół narodowego interesu, nietylko to nasze tułactwo śledzi od roku pilnie i z bijącém sercem wszystkich kroków włościańskiéj reformy w rossyjskim zaborze, ale i Galicya i księstwo Poznańskie dają liczne i znaczące dowody, jak wielce je obchodzi los téj kwestyi. W dziennikach i w korespondencyach prywatnych odzywają się coraz liczniejsze i donośniejsze głosy zachęcania, obawy, napomnienia, przestrogi, które wszystkie świadczą, że obrady i przygotowania czynione nad Wilią i Dnieprem znajdują przemożne echo nad Wartą i Sanem.

Bo też ważność roztrzygającego się zadania nie uchodzi niczyjéj baczności, i każden z nas instynktowo lub świadomo czuje, że sprawa to żywotna dla całéj Polski. Jeśli zmiana stosunków najliczniejszéj klassy narodu w największym odłamie naszéj ojczyzny, już przez się samą wychodzi za obręb miejscowéj kwestyi i staje się ogólną, tém większego jeszcze nabiera ona znaczenia pod wpływem obecnych okoliczności i z uwagi na przyszłość. Niezbadany a zawsze w swoich wyrobach sprawiedliwy Bóg, nie dozwolił nam o własnych siłach i pod własnym rządem dokonać dzieła sprawiedliwości i odkupienia względem naszych włościan, gdybyśmy się tego trudu w chwili naszéj poprawy, w czasie czteroletniego sejmu podjęli. Gwałt i zbrodnia stanęły na przeszkodzie zamiarom szlachetnym i zacnym usiłowaniom. Ale wyzwolenie klas niższych jest jedném z tych nieprzepartych i wielkich zadań tego wieku, które, gdy na drodze prawa i cnoty rozwiązanemi nie są lub być nie mogą, odstępują mety po krętych ścieżkach przemocy a nawet i obłudy. Czegośmy pod własnym rządem nie dokonali, to się w części spełniło pod naciskiem zewnętrznych okoliczności, jak w Księstwie Warszawskiém, lub pod uciskiem obcych, ciemięzkich rządów, jak w Poznańskiém i Galicyi. Jakiemy ofiarami okupione były te częściowe reformy, każdemu z nas wiadomém

i na wieki pamiętném. W ręku pruskiego rządu sprawa ta stała się narzędziem wydziedziczenia szlachty i wynarodowienia prowincyi; w ręku Austryi jeszcze czemś gorszém: noże tu Szelów podjęły się *seperacyi* i z gruntami rozcinały i gardła. Chrześcianin i Polak, ze drżeniem, z omdlewającą na ustach modlitwą, przewidywał chwilę, w któréj, ta sama kwestya włościańska, w niewstrzymanym swym biegu, dojdzie wreszcie i do prowincyi podległych berłu Mikołaja. Jakiż to krwawy plon do zbierania tu miał najsroższy wróg Polski, jakżeż małemi mogły się wydawać próby już przebyte a już tak straszne, wobec téj ostatecznéj, która czekała Litwę i ziemi ruskie; gdy rządy katolickie i cywilizowane użyły kwestyi włościańskiéj na zagładę polskiego żywota, czegóż dopiero obawiać się nie nakazywało poruszenie téj saméj dźwigni przez monarchę, który był jakoby wcieleniem groźnego Iwana?

Opatrzość, która znać zlitowała się nad bezmiarem nieszczęść naszych, która może też i chciała doświadczyć, czy tyle klęsk i prób nie przeszło dla nas bez nauki i korzyści, Opatrzność nie doprowadziła nas do tego najwyższego a oddawna przewidzianego kresu męki. Mikołaj umarł, rzec można uduszony politycznemi zawikłaniami które sam zagmatwał i zanim mógł przystąpić do tych socyalnych zadań, które w jego ręku niechybnieby się stały narzędziem naszéj ostatecznéj zguby: a kto wie, czy w tém nie leży dla nas jakie wynagrodzenie za bolesne zawody wojny, zakończonéj niedawno tak fatalnym pokojem?... Mikołaj umarł; a gdy następca jego, odrazu i śmiało, przystąpił do dzieła usamowolnienia włościan w swojém rozległém państwie, uczynił to w myśli niekoniecznie groźnéj dla Polaków i w sposób, który nam nie odbierał nadziei a dozwalał objawić naszę poprawę, jeśli w istocie nastąpiła, naszę dobrą wolą, jeśli takową rzeczywiście mamy. Czy idealne względy ludzkości, czy daleko praktyczniejsze na mo-

żebny opór arystokracy moskiewskiéj kierowały umysłem cesarza Alexandra, gdy kwestya chłopów nie w duchu terroryzmu, ale na drodze kompromisu podniósł; to pewna w każdym razie, że szlachcie polskiéj zaboru rossyjskiego otworzyło się naraz niespodziane a rozległe pole działania dla własnego i ogólnego dobra, że się jéj nadarzyła sposobność oczyszczenia się z win dawnych, wiekowych, utrwalenia swego moralnego wpływu i społecznego bezpieczeństwa na przyszłość i zabłyśnienia przed Europą w chwale dobrze zrozumianéj sprawiedliwości. Jeśli bolesną, kolącą była zawsze myśl, że pod obcym i wrogim rządem wypadało przystąpić do tak wielkiéj, socyalnéj przemiany, nie można jednak nie przyznać, iż w danén raz położeniu warunki były jak najmniéj uciążliwe. Nie pod nożami hajdamaków, ani wśród wstrząnień wojennych, ani nawet pod brutalną wodzą biórokracyi miała szlachta polska teraz rozwiązać zadanie włościańskie : zostawiona jéj była pewna, i gdyby z niéj przezornie korzystać chciała, wcale nawet obszerna autonomia; dano jéj czas do namysłu, sposobność do obradowania i porozumienia się; obiecywano jéj uwzględnić wszelkie stosunki i wymagania miejscowe, i zaręczono jéj w końcu, że przekształcenie odbędzie się stopniowo i powolnie. A zdawało się także w początkach, że szlachta nasza doskonale pojęła ważność téj chwili, przyjazność okoliczności, świętość wreszcie obowiązku, do którego była powołana. List dziękczynny cesarza Alexandra do obywateli litewskich, był znaczącym w téj mierze objawem świadectwem chlubném dla Polski, tém chlubniejszém, że przez największego jéj ciemięzcę wydaném. Wszystkie części rozszarpanéj ojczyzny zadrgnęły radośnie. Z Galicyi, z Poznańskiego, odzywały się głosy pochwały, dumy, nadziei. My, tułacze, poraz pierwszy może w piśmie cesarskiém witaliśmy słowo pociechy, zapowiedź odrodzenia, i staraliśmy się zwrócić uwagę Zachodu

na tę gotowość do poświęceń dla ludu, którą sam rząd rossyjski po raz pierwszy przyznał téj tak często przez niego sponiewieranéj i przez płatnych jego w całéj Europie gazeciarzy spotwarzonéj szlachcie polskiéj...

Mamyż powiedzieć?... Obudzone nadzieje i oczekiwania kraju, tułactwa, Europy całéj, na sromotny narażone są zawód, i drży myśl, że to co mogło i powinno było stać się naszém zbawieniem i odkupieniem, zamienić się gotowe w nową hańbę, w nowe nieszczęście w upadek, po którym może już powstania nie masz! Akta publiczne i działania pokątne, doniesienia dzienników i korespondencye prywatne, wszystko się zgadza do przejęcia naszych serc trwogą, dla któréj napróżno byśmy szukali wyrazu. Szlachta zaboru rossyjskiego z wielką nierozwagą, z większą jeszcze opieszałością prowadzi sprawę, od któréj zależy jéj dobre imie, jéj dobry byt, kto wié, czy nie już prosty tylko jéj byt samy na przyszłość! Memoryał obywateli podolskich do cesarza, któryśmy czytelnikom naszym w treści przedstawili, tchnie duchem tak ciasnym, tak naiwnie samolubnym, tak mało rozumiejącym i ważność zdania i niebezpieczeństwo zwłoki, że aż krwawą przychodzi zanieść skargę do nieba na takie zaślepienie. Listy, które odbieramy z różnych stron kraju, w niemniéj smutnych kolorach przedstawiają stan kwestyi i w innych częściach zaboru. Egoizm, prywata, widoczna chęć zbycia niemiłéj i drażliwéj sprawy byle czém—byle nie rzeczywistą ofiarą tylko : te są znamiona cechujące obrady i projekta tych obywateli, «którzy ludu mają być kapłanami!» Tu i owdzie nawet, w prawdzie nieśmiało ale znacząco, dają się słyszeć napomykania, że przeciwko woli cesarskiéj mogłaby się znaleźć obrona w sojuszu z równie lub nierównie więcéi jeszcze zagrożoną szlachtą—rossyjską... Więc w takiby to sposób odnowionym został niedoszły przed trzydzietu laty związek z Pestlem Bestużewem! Więc takąby teraz parafrazę dano owemu

we krwi zanurzonemu napisowi : «Za naszę i waszę wolność! » ... Na domiar nieszczęścia, — i według bolesnego w naszych dziejach axiomu, że tylko w złém jest u nas wytrwanie i energia, a w dobrem tylko niemoc protestacyi — ludzie zacni i szlachetni, zgorszeni nierozumem i cynizmem « krzykaczów i dorobkiewiczów » rzucają solenną lub cichą klątwę i usuwają się z obrad i czynności, załamują ręce i uchodzą na stronę lub zagranicę, zostawiając wolne pole nikczemności... Jakby w takiéj sprawie dość było mieć tylko czyste sumienie; jakby walka do upadłego nie była tu obowiązkiem każdego żołnierza; jak gdyby owe tak łatwe : *dixi et salvavi* było pierwszém i ostatniém, lub tylko godném słowem prawego obywatela!...

To téż, te same głosy, co jeszcze niedawno brzmiały chwałą, nadzieją i dziękczynieniem, dziś słyszeć się dają z wyrzutami i napomnieniami, które oby trafiły do serc zastygłych i umysłów tak mało jeszcze oświeconych! Przytoczyliśmy w przeszłym naszym numerze, słowa zacnego obywatela poznańskiego w *Dzienniku Krakowskim*, przypominające z goryczą, że ziemie ruskie były zawsze smutnym teatrem ucisku od swoich, napadu barbarzyńców i buntów domowych... Podobne narzekania na zaślepienie naszéj braci w prowincyach zabranych, czytamy i w korespondencyach galicyjskich. I zagraniczne téż pisma, zrazu uderzone listem cesarza Alexandra do obywateli litewskich i pełne z tego powodu uznania dla naszéj szlachty, dziś odmiennie już o nas sądzić zaczynają i wyrażają się w sposób, który rumieniec wstydu i żalu wywołuje na czoło każdego syna Polski. W dzienniku angielskim *the Globe*, używającym wielkiéj wziętości i upowszechnienia, czytaliśmy właśnie w tych dniach zdanie, które tylko z bolem powtarzać tu możemy, ale które jednak powtarzamy, aby przecież wiedziano, w jakiem świetle postępowanie nasze przedstawia się teraz Za-

chodowi : « Dziwna — woła rzeczony dziennik angiel- » ski — dziwna, że jedyny twardy opór, jaki próba » uwolnienia włościan znalazła dotychczas w państwach » Cara, objawił się właśnie w Polsce, w téj klasycznéj » ziemi wolności! Szlachta wołyńska obstaje przy swoim » funcie ludzkiego mięsa. Jeśli, jak powiedział Camp- » bell, wolność krzyk wydała, gdy legł Kosciuszko, » to teraz niewola może parsknąć w śmiech szyderstwa » na widok tego, jak ta Polska rozumie niepodległość. » Warszawa jeszcze jest zdolna opłacać spektakle. Nie- » dawno pani Viardot złoty tam plon zebrała, a teraz » pani Ristori jest jedynym przedmiotem szału! » (1)... Żrąca jest i paląca gorycz téj mowy — gorycz, powiedz-myż także, przesadzona i nie we wszystkiém sprawiedliwa. Ale ileż w tém dla nas wstydu i upokorzenia, i jakież wielkie wezwanie do upamiętania się i poprawy!...

A wszakże, nie o opinią już różnych części kraju, ani o opinią tułactwa, ani nawet o zdanie cywilizowanéj tu chodzi Europy; chodzi tu o byt, o życie polskiéj szlachty w zabranych prowincyach. Bo marne tu wszystkie wywody i próżne wszystkie słowa : obudzona myśl usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów uśpić się już nie da; nie zatamują jéj żadne memoryały, skrzętne zabiegi i sojusze z arystokracyą moskiewską. A wtedy biada szlachcie zaboru rossyjskiego, biada nam wszystkim, jeśli tę jedyną chwilę legalnego rozwikłania fatalnego węzła opuści : bo wtedy, i prędzéj może niż myślą dojutrki i dorobkowicze, rozetnie go nóż hajdamacki!... Oby Bóg

(1) Strange to say, the only strenuous resistance which the attempt to free the serfs throughout the dominions of the Czar has encountered has been in that classic soil of liberty, Poland. The nobless of Volhynie will have their pound of human flesh. If, according to Tom Campbell, « freedom shrieked when Kosciusko fell, » slavery must chuckle and grins sardonically at this Polish proof of what is meant by independence. Warsaw is still able to pay for theatricals. Lately Pauline Viardot reaped a golden harvest, and now Ristori is all the rage there. (*The Globe*, 22 marca 1858.)

w swojém miłosierdziu od nas odwrócił ten kielich śmierci, oby zacni i szlachetni obywatele, którzy w rozpaczy opuszczają ramiona, zrozumieli,że nie wystarcza tu samo ratowanie honoru i sumienia, ale że tu chodzi o ratunek braci, sióstr, rodzin polskich; i oby szlachta nasza ważyła te słowa Biblii, które nam wciąż stały w pamięci, gdyśmy obecne bolesne wiersze kreślili, i które tylko ze drżeniem wypisujemy :

Si enim nunc silueris, per aliam occasionem liberabuntur; et tu, et domus patris tui peribitis!...

II

Ogłoszone w piśmie naszém uwagi o sprawie włościańskiéj wywołały wiele przeciwnych nam, ustnych i pismiennych odpowiedzi. Zarzucano nam, że oddaleni od prowincyj, w których właśnie ma się rozstrzygnąć ten proces wiekowy, nie możemy być z miejscowemi potrzebami obznajomieni; że nie zwracając uwagi na ekonomiczne następstwa zapowiedzianéj przemiany, wpadamy w jednostronnny, bo teoretyczny i uczuciowy pogląd na sprawę; żc oderwani od stosunków krajowych zbyt łatwo rzucamy potępienie na tych, których zniesienie pańszczyzny bezpośrednio w kraju dotyka. Zbierając razem te zarzuty, chcemy obecnie dodać kilka myśli, mniéj może dla naszego usprawiedliwienia się, jak raczéj dla podniesienia tych stron kwestyj, o których my znowu powiemy, że je pogląd zbyt miejscowy łatwo z przed oczu usuwa.

Ktokolwiek w rzeczach publicznych ma jakieś doświadczenie, ten wie, że w sprawach tego rzędu jak włościańska, aby przyjść do trafnego zdania, nie wystarcza wcale słuchać tylko uczucia; niedosyć nawet ważyć i rozmyślać przy stole pisarskim, niedosyć jest

uczyć się od ludzi specyalnych. Trzeba rzecz poznać na gruncie, mieć ją przed oczyma codziennie i przypatrywać się kolejno wszystkim jéj przeobrażeniom i nieustającym wymaganiom. Przyznając się więc ze szczerością do naszéj w tym względzie niekompetencyi, odpychamy przecież jak najmocniéj przypuszczenie, jakobyśmy, nie zwracali uwagi na ekonomiczne dla kraju następstwa, a tém samém i na stan majątkowy obywateli. Nie podzielamy wcale teoryi tych, którzy marzą, że ze zbytku złego może wyrodzić się dobre, że trzeba złe wysilić aby się skończyło. Twierdzimy owszem, że stosunki majątkowe obywateli wpływają zawsze, do pewnego stopnia, na rozwój ogólnéj sprawy narodowéj. Świeży wreszcie uczy nas przykład, że prowincye w których kwestya włościańska rozciętą została z krzywdą jednéj lub drugiéj strony, wpadły w taki zamęt trudności i naglących kłopotów, że wobec nich najpilniejsze dla duszy polskiéj zadanie, stało się, do czasu przynajmniéj, mniéj pilném.

Nanieszczęście, w prowincyach zabranych, podobnie jak w Poznańskiém i w Galicyi, sprawa włościańska, do któréj od lat sześćdziesięciu kraj zdawał się przygotowywać, któréj roztrzygnienia mógł spodziewać się co chwila, zaskoczyła przecież obywateli wcale niespodzianie. Być może, że prowadzone ostatniemi laty w pismach zwłaszcza zagranicznych dyskusye, usposobiły do niéj poniekąd opinią publiczną, zmniejszyły jednych wstręt, drugich opór znieśmieliły, ale pomimo to nie przestrzegły dostatecznie prawie nikogo. Większa część obywateli, chociaż niby przekonana o konieczności zniesienia pańszczyzny, tak się jednak wciąż rządziła, jakby pańszczyzna trwać miała przez wieki, i dzisiaj dla wielu oswobodzenie włościan znaczy toż samo co ruina majątkowa. W prowincyach zabranych mnóstwo jest dóbr *założonych* w banku rossyjskim do połowy, a nawet do dwóch trzecich swojéj wartości, a skoro zniesienie pańszczyzny

zmiejszy o trzecią część, choćby na lat kilka, szacunek ziemi, znaczna tém samém liczba właścicieli zostanie wyzutą z majątku. Wobec tak smutnych, prawdopodobnych rezultatów, nie dziwimy się bynajmniéj oględności, z jaką obradujące komitety litewskie przystępują do czynienia wniosków, które mają być podstawą decyzyi monarszéj. Ale nie uważamy także za słuszne szukać przyczyny tych następstw w saméj tylko kwestyi włościańskiéj. Każde inne wstrząśnienie musiałoby wywołać téż same skutki opłakane : kto dobrowolnie staje nad przepaścią, naraża się że go lada przechodzień przyprawi o zgubę.

Lecz ten wzgląd na stan majątkowy obywateli, jakkolwiek w oczach naszych ważny, jestże jedynym? o niczémże więcéj w sprawie włościańskiéj myśleć nie należy?... Czy obywatele nasi tak bardzo ten wzgląd spuszczają z uwagi, abyśmy aż my, emigranci, mieli im go przypominać? Czy w dzisiejszém usposobieniu szlachty zbytecznem jest przestrzegać, że są jeszcze inne, moralne i polityczne w społeczeństwie warunki, od których, bądź co bądź, materyalny stosunek jest zawisłym, że od klęski finansowéj kilkudziesięciu obywateli, z któréj zawsze podnieść się mogą, groźniejsza jest klęska moralna całéj prowincyi, może całego narodu, z pod któréj wydźwignąć się byłoby trudno!...

Gdybyśmy prowincyom naszym podawali, dla ostatecznego urządzenia sprawy włościańskiéj, rady szczegółowe, gdybyśmy im albo uwłaszczenie, albo oczynszowanie chłopów przedewszystkiém zalecali, być może, iżbyśmy się w zdaniu naszém, mylili; bo jak powiedzieliśmy, aby tutaj mieć sąd, trzeba być na miejscu. Ale nie wdając się w rozbiór żadnego z projektów i systemów, o których w kraju słyszymy, my wołamy tylko : nie godzi się uważać téj sprawy jako zły interes pieniężny, nie wolno jest przystępować do niéj ze wstrętem i niechęcią, jakby do spekulacyi, która na same tylko

straty konieczne naraża. Niczyjéj krzywdy nie pragniemy, ani chłopskiéj, ani szlacheckiéj; ale czyż podobna tych chłopów, co na jednym gruncie z nami urodzili się i wzrośli, których dola i niedola tak długo była nam wspólną, czyż podobna uważać ich za ludzi nam obcych, albo co gorsza, za sąsiadów nienawistnych, za ukrytych nieprzyjaciół? Jeżli takich uczuć klasa oświecona daje przykłady, czegoż od niższych spodziewać się trzeba? Sto lat czekało na rozsądzenie tego sporu domowego; niechże przykładem dawnych kompromisów spór skończy się teraz dobrowolną, szczerą ugodą; niech arbitrem będzie miłość bliźniego i miłość Ojczyzny, i niech się odbędzie dział familijny, w którym starsi bracia po bratersku obmyślą przyszłość młodszego rodzeństwa!

Prawda jest, bez strat chwilowych dla obywatelstwa obejśćsię nie można. Ale nic ich od téj ofiary dzisiaj nie uwolni, zmusza ich wyraźna wola rządu, i silniejszy od niéj rozwój wypadków. Wszak tylekroć żałowaliśmy, że tych poświęceń nie dokonano wcześniéj. Niechże więc dzisiaj z konieczności umieją zrobić cnotę; skoro oddać trzeba, niech oddadzą z dobrą wolą, bez targu i bez zawiści. Boć jeżli wiele stracić muszą, wiele także mają do odzyskania. Ktokolwiek choć raz miłością dobra publicznego szczerze był przejęty, ten pewno bez dreszczu nie pomyślał o téj przepaści, którą zdradliwie między ludem a szlachtą wykopano; temu na jéj widok ręce opadały bezwładnie, i z rozpaczą odsuwał wszystkie plany, ledwo że nie wszystkie nadzieje!... Jest więc dzisiaj pilniejsza niż kiedykolwiek potrzeba ofiary, i większe tutaj, niż gdzie bądź, jest pole do zasługi. Odzyskać musimy bezpieczeństwo majątków i życia, odzyskać zwaśnioną zgodę stanów narodu, przywrócić Polsce lud w swéj wierności zachwiany, odżywić ów przyjacielski stosunek z poddanymi, który dziś na nieszczęście nieistnieje, ale że kiedyś istniał, jeszcze o tém w poczciwych domach wspomina tradycya. Dla takiego celu, za taką

nagrodę szlachta polska, ufamy, znajdzie w sobie dosyć siły, aby dobrowolnie, na czas krótki, zubożeć!

Ale jéj nie znajdą ci przemądrzy politycy, którzy z miną znaczącą i tajemniczą, szepcą do ucha swych rodaków aby się nie spieszyli, nie naglili, aby raczéj zasłaniali się przed Carem przykładem moskiewskich bojarów. Zasłaniać się przykładem Moskali! Od kogo? od własnego ludu, od uczucia sprawiedliwości, od głosu sumienia, który woła do poświęceń dla Ojczyzny! Zaprawdę, szatan w swéj ironii niemógł podsunąć właściwszego puklerza. Wstrzymywać swoje obrady, opóźniać sprawę już dosyć spóźnioną, i po to tylko aby od sąsiadów wyuczyć się jakiegoś nowego podstępu, aby tém śmieléj i tém zręczniéj wycofać się z niemiłego położenia, nic prawie nie zrobiwszy, powiedzmy szczerze, aby moskiewskim egoizmem ubarwiać własną nicość, o! przyznajemy, na taką myśl nie ma w nas dosyć słów potępienia i zgrozy! Już i bez tego niemało ztąd dla nas boleści i wstydu, że rząd nieprzyjacielski musi przypomnieć niejednemu obowiązki nasze dla ludu polskiego; nie dorzucajmyż przynajmniéj téj sromoty, abyśmy broniąc się przed pierwszym uczciwszym aktem tegoż rządu, wyciągać mieli rękę do moskiewskich pomieszczyków. Co mamy zrobić, zróbmy już sami, o ile nas stać na sprawiedliwsze uczucia. Ale cokolwiek w nas jest godności narodowéj, niech przecie w poczciwém oburzeniu odepchnie precz tę zdradliwą myśl, abyśmy do układu braterskiego z polskim włościaninem, szukać mieli rady i pomocy tych, z którymi wojna trwa ciągła, i od których Polska nic innego nie doznała i nie doznaje, oprócz gryzącego poniżenia i wiecznie krwawiącéj się krzywdy!

III

W chwili gdy te słowa piszemy, zbierają się komitety szlacheckie po guberniach. Sprawa włościan, w prowincyach zostających pod rządami niemieckiémi, rostrzygniona z ochotném, choć jak w Galicyi nieco spóźnioném przyzwoleniem właścicieli ziemskich, dotyka rozwiązania swojego na całéj już ziemi polskiéj. W Królestwie, usposobioném oddawna do przyjęcia najszerszych popraw, nie przypuszczono narodu do objawienia życzeń swoich; tam postanowi zwierzchność cesarska. Ale w Litwie i Białéj Rusi, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie wyrzec mamy poniekąd sami. Na tę chwilę jak przed wiekiem, szlachta polska jest więc reprezentantką dobra, imienia i honoru narodowego. Dlatego tém mocniéj obchodzi nas rozwiązanie téj wielkiéj sprawy, która tak srodze cięży na sumieniu narodowém.

Bezwątpienia, wobec świata, nie brakuje nam sposobów do wytłómaczenia win naszych. Związane mając rece mogliśmy słusznie mówić : nie na nas spada odpowiedzialność za obecny stan włościan na polskiéj ziemi. Mamy czém osłonić nawet przeszłość naszę; możemy przypomnieć że nie inaczéj było gdzieindziéj, że długo owszem los włościan szczęśliwszym był u nas, niżeli u sąsiadów naszych; że nie od nas wyszedł przykład złego, ale od nich przeszła zaraza do nas; że Niemcy to w szczególności, za rządów Krzyżowego Zakonu, rozdzielając swobody « łagodny » lud pruski jak trzodę pomiędzy siebie, « gwoździem w uchu » przybijając do pługa nieszczęśliwe ofiary, wytępiając lud wiejski « jak psy » w tak zwanych mujżach chłopskich, przyczynili się niewątpliwie nieszczęsnym przykładem, do odmiany swobodnego stanu naszych włościan; że na ostatku,

kiedy po przejęciu złych przykładów, przędsięwzięliśmy poprawić się, nie dopuściła nam tego chytrość, chciwość, zbrodnia sąsiadów, i owszém nazwą «Jakobinów» zpotwarzyła przed światem. Wyrzucano nam ucisk ludu, a jaki mu los przygotowano, przeświadcza się teraz Europa; z ludu już wyzwalanego, zrobiono oto prawie niewolników!

Przed światem więc, powtarzamy, nie brakłoby nam usprawiedliwienia. Ale przed sądem prawa, moralności, sumienia, czy wistocie nic sobie do wyrzucenia nie mamy?... Nie sięgając wyżéj, kiedy w pierwszéj epoce prawodawstwa naszego, Kazimierz W. niemocen sam zaradzić złemu, wskazywał kmiotkom aż na krzesiwo, jako już jedyny sposób obrony przeciwko bezprawiu, nie zostawiłże on oczywistego dowodu ciężkich błędów naszych? Niestety, takich świadectw pełne są nasze dzieje! Są wołania moralistów, kaznodziejów synodów; są upominania królów, których «rzewliwie poruszał» los włościan. Jak w piętnastym wieku Dąbrówka, tak w szesnastym powiernicy Augusta, Przyłuski z Modrzewskim, tak w siedemnastym kaznodzieje królewskiego dworu Skarga, Birkowski i inni odzywali się do szlachty: «nie służy panu *absolutum dominium*»; wołał Starowolski «lud nie jestto bydło nieme, nie niewolnik, tylko pomocnik do roboty; niegodzi się obciążać go gwałtownemi robotami, ani sądzić samowolnie, ani wstrzymywać od opuszczania gruntów, a szukania lepszego szczęścia!»

Daremne były wszelkie napomnienia, «dotknęła lud niewola cięższa niż pogańska» mowi jeden z pisarzy spółczesnych. «Polska, mówi inny, stała się piekłem ludu.» A widok okropnéj zemsty ludu ruskiego wyrwał to wyznanie z duszy kanclerza państwa, Alberta Radziwiłła, że «jak panowie wyciskali krew z swoich chłopków, tak działo się na wzajem.» Uroczyście, sami przyznaliśmy wtenczas, «z wielką boleścią naszą, iż

ucisk to i jęki stanu wiejskiego sprawiedliwie chłoszczącą Najwyższego Sędziego rękę sprowadziły na nas.» Przed N. Sakramentem, w katedrze lwowskiéj, ślubowaliśmy « chwycić się środków, któreby lud rolniczy z ucisku dźwignęły. » Lud wysłuchał tego głosu, odrzucił namowy Karola Gustawa, wsparł dzielnie naszych wodzów, — i jakże, gdy niebezpieczeństwo minęło, dopełniliśmy świętego ślubu, który nam dobry król podyktował?...

Pysznimy się szlachetnémi wzorami usamowolnienia i uposażenia włościan, jakie dali w ostatnich czasach Paweł Brzostowski, Andrzéj Zamoyski, książąta August Czartoryski i Stanisław Poniatowski, Chreptowicz, Moniuszko, Grabowski, Chobrzyński, późniéj Staszyc, ale indywidualne te usiłowania, wcale od narodu nienaśladowane, nie sąż raczéj świadectwem przeciw dobréj jego woli? Rzeczywistą wolą szlachty objawił wtenczas ów sejm, na którym sromotnie deptano kodex kanclerza Zamoyskiego «tę, jak mówiono, zasadzkę na czystość krwi szlacheckiéj, tę zdradę wolności!» Poczęliśmy poprawę dopiero na Wielkim Sejmie; przynajmniéj nie skończyło się już na prostych słowach i na przykładach indywidualnych. Sejm przyznał włościanom opiekę prawa i rządu, upoważnił układy między nimi a dziedzicami ziemi, zaręczył zupełną wolność przybywającym do kraju, zasługującym się w szykach wojskowych otworzył drogę do szlachectwa, włościanom w dobrach narodowych oddał posiadaue przez nich ziemie na własność wieczystą. Wielkie to zaiste dobrodziejstwa, Kościuszko zrobił jeszcze więcéj. Ale wystarczałoż to wobec gwałtownych wymagań czasu i twardych okoliczności?...

Cięży więc na nas sroga wina, z któréj mamy oto sposobność oczyścić ostatecznie sumienie narodowe. Poklasnęła Europa zacnemu przykładowi który dała Litwa, gdy pierwsza, i tak ochotnie, przystąpiła do sprawy. Chodzi teraz aby koniec odpowiedział początkowi, aby

nie stało się jak się dzieje u nas pospolicie. Poczynamy ze szlachetnym zapałem, kończymy jak gdybyśmy tego żałowali. Być może, nie będzie w mocy komitetów osiągnąć każde szlachetne życzenie, okazać Europie usposobienia narodu polskiego, okazać ludowi że zawod, jeśliby takowego doświadczył, nie będzie już winą polskiéj szlachty, odwrócić jego zemstę gdyby się miał wziąść do niéj raz jeszcze. Są pomiędzy Rossyanami co rozwiązanie téj sprawy, w pożądanym dla włościan sposobie, uważają za karę którą zsyła na nich Opatrzność za zabór Polski. Może tak być wistocie; nie to nas wszelako uwodzi. Przeniknieni jesteśmy samym względem na los ludu, na dobro i sławę narodu polskiego. Słyszymy często narzekanie że nie dbają o nas obcy, że zapomnieli o nas; przypominajmyż im, przy każdéj sposobności, że jesteśmy!

SPRAWY WARSZAWSKIE.

10 kwietnia.

Dobra jest rzecz systematyczność, ale w naszém narodowém usposobieniu, czy może tylko położeniu wyjątkowém, zamiast przynieść ulgę, często gorszego jeszcze nabawia kłopotu. Przeznaczyliśmy w piśmie naszém osobny oddział dla *spraw krajowych*, i póki mieliśmy do czynienia z takiémi przedmiotami jak Towarzystwo rolnicze i naukowe, rubryka ta była bardzo właściwą i dogodną: spodziewamy się, że przyda się nam na późniéj; tymczasem wszakże wprowadza nas w trudność. To, o czém nam dzisiaj mówić wypada, nie daje się pod nią umieścić, a położone i zatytułowane oddzielnie, obudza kwestye drażliwe, otwiera pole do szerokich rozpraw, wymaga usprawiedliwiania się i objaśnień. Kogoż nie zastanowi, a może i nie obrazi to rozłączenie *spraw warszawskich* od krajowych, jak gdyby były *niekrajowemi?* Kto, przy nieprzyjazném usposobieniu, nie mógłby nas posądzić o myśl utajoną, o dążność złośliwą? Bynajmniéj nie zasługujemy na te zarzuty: cała wina nasza żeśmy się wdali w oddziały i rubryki; a że raz puściwszy się tą drogą, musielibyśmy najniewinniéj

dać ten a nie inny tytuł niniejszemu artykułowi, to przyzna nam każdy nieuprzedzony i bezstronny czytelnik, który go cierpliwie do końca przeczyta.

Cóż zresztą w tém tak dziwnego, że Warszawa może mieć swoje sprawy udzielne? Wszakże ma właściwe sobie życie, charakterystyczną swoją osobistość, któréj cechy pismiennictwo, a mianowicie dziennikarstwo usiłuje ciągle uwydatniać, rozgłaszać, wysławiać. Że dotąd nie występuje ona w tak namianowanéj postaci jak *Hamonia* hamburgska, to zapewne ztąd pochodzi, że i Paryż nie ma podobnego przezwiska. Inaczéj, feletoniści warszawscy zdobyliby się koniecznie na dowcipne i trafne nabierzmowanie swojéj stolicy, którą teraz wedle humoru i okoliczności nazywają rozmaicie : kaprysną i niesytą rozrywek, przytém niezmiernie uprzejmą, i litościwą panią, wiecznie odmładzającą się zalotnicą, niekiedy starą kokietką — zawsze jednak z takim akcentem pieszczoty synowskiéj, że poczciwa kochana, dobrotliwa mama gniewać się nie może. W poważniejszym stylu dziennikarskim Warszawa ukazuje się jako miasto słynne z dobroczynności, celujące wytwornym smakiem i zupełnie europejskie.

Wyznać musimy, że ten ostatni epitet, powtarzany zwykle z uczuciem zadowolenia i dumy, dziwnie nam brzmi obok często odzywających się wzgardliwych sarkań na Europę zachodnią. Dzienniki warszawskie co dzień znajdują cóś do przymówienia Zachodowi. Wedle nich umarł on i gnije, wieje od niego « powietrze zaprawione miazmem śmiertelności, które wiatr przynosi z nad narodów wyczerpanego życia, z nad społeczeństw będących w rozkładzie chemicznym, gdzie pogasły rodzinne ogniska i ucichły pieśni... » Niebrak przytem przechwalania się z jakąś samoistnością, z siłą młodzieńczą, z zasobami na wielki zawod przyszły. Rękojmią i dowodem tego ma być obudzone i rozpowszechnione « uczucie piękna.» Jeden z licznych dziś w Warszawie hu-

morystów zastanawiając się nad brutalstwem młodzieży w obejściu się towarzyskiém, cieszy się że zapomniała elegancyi francuzkiéj czasów Stanisławowskich, bo teraz przyszedłszy do poczucia piękna, stworzy ją sobie własną! Inny feletonista w szczególniejszy sposób stawi swojską samoistność. Uwziął się on niedawno wybić Polakom z głowy poniżające uprzedzenie jakoby byli Francuzami północnymi i okazać, że «dzięki Bogu» w niczém nie są do nich podobni. Skreśliwszy tedy swego wynalazku charakterystykę Francuzów i niemniéj trafną psychologią narodowości polskiéj, taki dał wyrok: «U nich wykonanie poprzedza prawie namysł; u nas nie ma namysłu, ale też nie ma i wykonania — pozostańmy lepiéj tém czém jesteśmy, zadowoleni przynajmniéj z tego, że możemy czémś być i nie psując samowolnie tego samoistnienia» (?!) — Tymczasem każdy arkusz dzienników warszawskich przynosi nam świadectwo, że gdzie niemasz namysłu i wykonania tam ślepe i bezwolne naśladownietwo panować musi, a przy zadowoleniu ze swojéj nicości, niepodobna zdobyć się na jakąkolwiek samoistność. Warszawa całemi piersiami wciąga miazma zachodnie, dokładniéj mówiąc — paryzkie. Rodzinne ogniska u niéj nie płoną ani mocniéj, ani czyściéj jak gdzie indziéj. Urządziwszy całe swoje życie na wzór paryzkiego, poczyna już i gody ślubne, wesela, wyprawiać w restauracyach publicznych. Owo mniemane poczucie piękna, to tylko fałszywe nastrojenie się do maniery obcego artyzmu. Niepomiarkowany, nienasycony, a zimny i wymuszony zapęd do zabaw, rozrywek, zbytków, bynajmniéj nie pokazuje uniesień siły młodzieńczéj, ma wszystkie oznaki starości przedwczesnéj, płochéj i zepsutéj. Jak księżyc w wodzie, tak Paryż w Warszawie odbija się dokładnie i zawsze jedną tylko swoją stroną. Nie masz na kuli ziemskiéj drugiego miasta, w którémby każdy objaw *materyalnéj* cywilizacyi paryzkiéj powtarzał się tak wiernie i szybko. Często

nawet niemożna wytłumaczyć jakim sposobem i dlaczego się to dzieje. Paryż zaczął budować się, dla pewnych ważnych powodów; Warszawa natychmiast wzięła się gorąco do budownictwa, chociaż te powody mieć tam miejsca nie mogły. Paryzcy właściciele domów poczęli podwyższać ceny mieszkań, i mieli w tém jakąś racyą; warszawscy zazaz nałożyli haracz na swoich lokatorów, bez żadnéj słusznéj przyczyny. Nieraz nowy wymysł, nowy dziwoląg w modzie lub zwyczaju, pierwéj nim stanie się widocznym i do pewnego stopnia upowszechnionym w Paryżu, już nas dzienniki krajowe uczą, że w Warszawie jest zupełnie zastosowany i rozwinięty z właściwą naśladowcom przesadą. Zdaje się, że jakiś tajemny pantograf rozciąga się od Sekwany do Wisły i każdy ruch mętu tutejszego wydaje w rysach drobniejszych ale dziwnie dobitnych i wyraźnych na polskiéj *tabula rasa.*

Dawnośmy nie widzieli stolicy kraju naszego. Porzuciliśmy ją krwią oblaną, dymem dział zakurzoną, pod stopy tryumfującego wroga ugiętą. Pozostała w pamięci i wyobraźni naszéj smutna, żałobna, znękana, ale pełna godności narodowéj, samém nieszczęściem swém dumna, wieńcem męczeńskim oświetlona. Czuliśmy na sercu naszém ciężar każdego kamienia wznoszonéj nad nią cytadeli; rumieniliśmy się jéj sromem, bledliśmy jéj boleścią na widok szyderczéj kolumny postawionéj dla wiernych carowi; widzieliśmy ją w myśli naszéj jak struchlała, drżąca, łzawa, na kotwicy wsparta, z krzyżem przyciśniętym do piersi, z wzrokiem wzniesionym w niebo, stała pod szubienicami... Wtedy nawet, gdy musiała rzucić zasłonę wdowią i przywdziać strój balowy, byliśmy pewni, że pod nim kryje włosiennicę, że wśród festynów, zabaw, rozrywek, nie zapomina nigdy o swojéj niedoli, że jéj zacna, mądra, pobożna rezygnacya nie zgrzeszy ani pozorem bezmyślnéj i występnéj abdykacyi... Od lat kilku, im bardziéj wczytywaliśmy

się w dzienniki krajowe, tém bardziéj «zmieniała się scena naszego widzenia.» Dzisiaj, Warszawa stoi nam przed oczyma wesoła, płocha, rozhulana, rozartyzmowana, rada z siebie i ze wszystkiego, zadowolona, szczęśliwa! Niczego jéj więcéj niepotrzeba tylko zabawy, zabawy! W tém wszystkie środki i cele. W kokoszniku moskiewskim, w kryńolinie paryzkiéj, oświecona gazem, zagłuszona muzyką, olśniona widowiskami, niepamiętna na przeszłość, niebaczna na przyszłość, zapomniała jakiego narodu jest stolicą, uroiła sobie, że ma wszystkie warunki niepodległych stolic europejskich i dostała zawrotu głowy, który objawia się w jéj ruchach, szczebiotach i sprawach. Często, zdaje się ona być podobną do téj obłąkanéj, co mniema i wierzy, że jest królową; w domu smutnym, pod strażą twardych dozorców, pyszna i radośna, siebie i innych traktuje po królewsku; marzy, że ją otacza świetny orszak piewców, lirników, gęślarzy, artystów; spoczywająca na laurach, wolna od wszelkich trosków, zajęta tylko obmyślaniem coraz nowych uroczystości, chce głosić światu swoję sławę, wznosić pomniki, wieńczyć talenta i zasługi, po całem państwie krzewić dobroczynną roskosz i roskoszną dobroczynność. Jeżeli kto poważy się wyprowadzać ją z błędu, ma to za obrazę narodowego majestatu, albo pogląda nań z politowanien, jak na pozbawionego zdrowych zmysłów. Bywają chwile wolne od obłędu, *lucida intervalla;* wtedy przemawia rozsądnie, sądzi nawet surowo i wyszydza własne postępki, ale jak gdyby były cudze.

Może to podobieństwo nie jest zupełne, może wyprowadzane z niego porównanie, wiodłoby zbyt daleko; jednakże znajdujemy w tém pewne słowo psychologicznéj zagadki, pewien klucz do utajonéj przyczyny wielu objawów, niedających się inaczéj pojąć i wytłumaczyć. Za karę zapomnienia, spadł cień zasłaniający rzeczywistość; począł snuć się szereg urojeń, przywidzeń,

wyobrażeń spaczonych, uroszczeń niepomiarkowanych, zachceń niewczesnych lub niewłaściwych. Poszło za tém, że nawet zarody uczuć zacnych, usposobień dobrych, popędów szlachetnych, wyrastają na bruku warszawskim w dziwadła, przybierają postać potwornie wybujałą, fałszywą, rażącą i śmieszną. Ztąd także wynika sprzeczność w słowie i niezgoda słowa z czynem.

Przeszłego lata przypadła w Warszawie epoka szczególnéj owacyi poetów. Dzienniki zapowiadały naprzód «miłą nowinę,» że dwóch już przybyło, a trzeci przyjeżdża i «*plejada* jakoś się gromadzi.» Szeroko opisywały potém przyjęcia, uczczenia, uwielbienia; chciwie pakowały w swoje kolumny dokładnie pisane improwizacye i łaskawie udzielone wiersze, które — nawiasem mówiąc — wcale nie usprawiedliwiały entuzyazmu w hołdach. Bynajmniéj nie myślimy ubliżać znanym z talentu solenizantom, ani potępiać okazanego im współczucia i uznania; ale miara kadzideł tak była przebrana, że straciła woń prawdy. Przebijało się w tych owacyach jedno z bardzo szkodliwych urojeń zaślepionéj miłości własnéj i źle rozumianéj chluby narodowéj. Plejada poetów!... Mieliśmy wielką naszę plejadę i jéj promienie długo będą nam świeciły; ale takie plejady nie ciągną jedna za drugą jak stada żurawi, ani nie «rodzą się jak grzyby po deszczu.» Tym tylko co zapomnieli w jakich chwilach ona wzeszła na naszém niebie i z jakiego źródła biło jéj natchnienie, zdaje się teraz, że «poezya polska płynie jeszcze tém samém pełném korytem.»

Skutkiem podobnego usposobienia umysłów, nagle uroiło się naszéj stolicy stawiać pomniki. Gdzie i dla kogo? — Na polach Raszyna, w Olszynce, pod Wolą — niewolno. Więcby może słuszniéj było myślić pierwéj jak grunt dla nich zdobyć? — Nie o to idzie, można obejść się bez tego. Rok prawie temu, jakiś tam poczciwy ziemianin, zasmucił się widokiem kościeliska

ostrołęckiego, które wiatr rozwiewa, bydło depce, i wzywał przez gazety, aby kto postarał się «przynajmniéj ogrodzić rozsypane kości chrześciańskie.» Głos ten przepadł bez echa. Któżby zajmował się tak prostaczém dziełem! Trzeba stawić pomniki, trzeba pokazać światu, że mamy uczucie piękna! Przecież są artyści dla pomników, niechże będą pomniki dla artystów. Nic słuszniejszego! Zaraz tedy poczęły otwierać się jedna po drugiéj składki na uczczenie pomnikami: Czechowicza, Kurpińskiego, Komorowskiego; a gdy w tymże czasie umarł ś. p. Stanisław Jachowicz, to już naturalnie musiał przybyć jeszcze jeden pomnik. Wszyscy są równi w obliczu śmierci, niekoniecznie przeto może być zaprowadzona równość w świątyni pamięci. Ale wyobrażenie *zasługi* tak się stało podatném, że mogiłę tancerki i mogiłę Kościuszki może okryć jednym płaszczém nieśmiertelności. Skoro przytém uwierzono, że można uniećmiertelniać dłótem, znikła różnica między nagrobkiem a pomnikiem. Dawno zmarły Czechowicz był znamienitym malarzem. Ktoś tam postrzegł, że nie masz nawet napisu na jego grobie; słusznie było położyć, czy odnowić tablicę marmurową, przez co wszakże ani jego, ani narodowa sława bynajmniejby nie urosła. Nie wiemy co potomność wyczyta więcéj na mauzoleum Kurpińskiego, jak tylko, że był jenym z rzadkich niegdyś u nas kompozytorów i długie lata dyrygował orkiestrą opery warszawskiéj. Komorowski miał piękny talent muzyczny, ułożył kilka ładnych piosnek na temat narodowy, pozyskal imię ulubionego śpiewaka *Wisły* i *Kaliny*, a co najlepsza, umiał sobie zjednać wielu serdecznych przyjaciół, których zasmucił przedwczesnym zgonem. Powinni oni byli położyć mu kamień grobowy, bez wielkiego hałasu, głuszącego miłą melodyą jego skromnych piosnek. Co się tyczy Jachowicza, to rzecz inna. Cnotliwy, niezmordowany, niewyczerpany w zapale i miłości przyjaciel, nauczyciel i opiekun dziatwy, nietylko

pisał dla niéj wyborne bajeczki, ale z zupełném zapomnieniem o sobie, do ostatka sił pracując, wyhodował, wypielęgnował i w znacznéj części staraniem swojém wykarmił trzy jéj pokolenia. Imie jego długo i w wielu sercach będzie budziło rzewne uczucie wdzięczności; wszakże to imie, zdaniém naszém, jeszcze nie pomnii kowe. Tam gdzie biograf z drobnych kamyków musukładać piedestał, trudno postawić posąg. Artyści nasi jednak nie zrażają się żadną trudnością, a dziennikarze wspierają ich potężnie. Massa gliny wychodzi na modele, i wiele wylewa się atramentu na uwagi nad niémi, na rozprawy znawców, o każdym aniołku płaczącym, o każdéj nodze w tył lub naprzód posuniętéj, o wszystkich « liniach ciepłych i zimnych. »

Uwieczniać zmarłych, tego niedość; trzeba wieńczyć żywych. Wzięła też Warszawę gwałtowna chętka wieńczenia. Już tu nie mogło być wątpliwości, komu i za co opasać laurem skronie. I Ateny niezawsze Temistoklesów lub Eurypidesów miały pod ręką. Naturalnym biegiem rzeczy przypadała koléj na artystów dramatycznych, a z resztą tak i losy chciały. Właśnie Julian Dobrski, uwielbiany tenor opery warszawskiéj, kończył 25cioletni i świetny swój zawód : jego obrano na laureata i któżby się tego spodziewał — na ofiarę. Wieniec złoty, brylantami sadzony, miał przemienić się na *cierniowy!* Sprawa ta poczęta niemal od roku, urosła do olbrzymich rozmiarów, zwikłała się straszliwie i rozwiązała się, albo raczéj jak węzeł gordyjski rozcięta została teraz dopiero, w czasie zjazdu Towarzystwa Rolniczego. Chielibyśmy wyłożyć ją czytelnikom naszym, ale szczerze mówiąc, sami jéj dobrze nie rozumiemy. Zebraliśmy wszystkie dokumenta, położyliśmy koło siebie kilkadziesiąt arkuszy dzienników, przeglądamy je pilnie i rzecz coraz bardziéj się nam zaciemnia. Zdaje się,że mamy do czynienia z kroniką byzantyńską. Chyba jakie pamiętniki prywatne oświecą późniejszych dziejopisów; ze

współczesnych pism publicznych trudno wybadać o co szło istotnie. Opowiemy jak one opowiadają, nie dowierzając żadnemu, a czerpiąc ze wszystkich.

Co w całéj téj sprawie wieńczenia będzie zawsze najbardziéj utrudzało historyka, to, że od początku do końca nie ukazuje się w niéj widomie żadna władza, żadna ręka wieńcząca, tylko jakiś tajemny choć liczny Areopag, który zrazu działa zgodnie, potém rozpada się na dwie sporne strony i nadaje ogółowi publiczności ruch wahadłowy.

Skoro już składki, zapewne za pomocą pięknych rączek zostały zebrane, a jubiler wykonał zadaną mu robotę, rozpoczęły się narady w jaki sposob uroczystość ma się odbyć. Postanowiono uwieńczyć artystę w jednéj z tych oper, w których występują śpiewacy polscy, a on ma największe powodzenie, w *Marcie* naprzykład. Nim dalsze punkta ceremonii przeszły przez dyskusyą, zjawia się na scenie warszawskiéj *Halka*, opera treścią i muzyką czysto narodowa, dzieło wielkiego talentu Stanisława Moniuszki. Przyjęto ją z coraz rosnącym entuzyazmem. Dobrski w roli *Jantka*, zajaśniał nowym jeszcze blaskiém. Zrodziła się bardzo słuszna myśl wieńczenia go w *Halce*. Z początku była na to zgoda, ale w krótce dały się widzieć niedogodności, przeszkody, zawady; kilkanaście przedstawień *Halki* przeszło, a niemożna było spełnić zamiaru, zawsze dla jakiejś ważnéj przyczyny. Tu poczyna nad całą sprawą rozciągać się mgła tajemnicza. W Areopagu dwoją się i ważą się zdania, zachodzi zwrot do pierwotnego postanowienia i *Marta* bierze górę nad *Halką*. Ale przed samém przedstawieniem téj opery, jedna z główniejszych artystek odsyła swą rolę... uroczystość jeszcze nie może mieć miejsca, idzie w dalszą przewłokę, publiczność niecierpliwi się, szerzą się podejrzliwe domysły, « dzienniki nastrajają się na ton zapowiadający jakąś burzę na tym horyzoncie. » Podnoszą one kwestyą na wyższe stanowisko,

słychać głosy, że wieńczyć w operze włoskiéj nie zaś w polskiéj, byłoby to « obrazą powagi narodowego uczucia, ujmu czci należnéj od ludzi serca dla sztuki ojczystéj ! » Przytém jeden szczeromówca dodaje : « U nas w każdym publicznym sporze, w którym udział biorą dziennikarze, zawsze pod spodem kart świeci się jakaś koteryjka, pokryta płaszczem pewnéj szlachetnéj myśli. » Cokolwiek bądź, kwestya wieńczenia, stała się « kwestyą zasad, kwestyą dyplomatyczną i kwestyą gabinetową. » Biedny laureat z odkrytą głową czekał na wieniec, a tu z jednéj strony toczyła się dyskusya, czy powinien lub nie powinien go przyjąć; z drugiéj deliberowano, jak ma być mu podany « czy w ręku, czy w pudełku, czy na poduszce? » « Choćby i na materacu!... tylko niech już będzie temu koniec » — rzekł interesowanéj osobie pewien głos stanowczy w pewnym gabinecie, i rzecz zbliżyła się do końca.

Nie czekając już *Marty*, a korzystając z przypadającego przedstawienia *Ernaniego*, partya « klasyczna » albo jak zwą inni « włochomanów » odbyła uryczystość. Wśród oklasków jednych a oznak niezadowolenia drugich, zmięszany jubilat nie wiedział co robić; nie pozostawało jemu wszakże nic innego, jak przyjąć ów wieniec, który istotnie zamieniał się dla niego w cierniowy.

« *Przyjął!...* » wyrzekła z przyciskiem jedna z gazet, powtarzając szmer zawiedzionych w nadziejach, i zaniosło się zaraz na drugie wieńczenie, mające być demonstracyą przeciw pierwszemu.

W kilka dni potém, przedstawiono *Halkę*, w któréj główne role mają panna Rivoli i Dobrski. W stosownie obranéj chwili występuje na scenę Redaktor *Ruchu Muzycznego* i « jako przedstawiciel sądu téj gałęzi sztuki » w wiencu kwiatów oddaje nowéj solenizantce bransoletkę złotą wysadzaną brylantami, z napisem : *Paulinie Rivoli — Halce*, 1858 r. Zagrzmiały oklaski, posypały się bukiety. Obdarzona podziękowała łzami wdzięczności,

ukorzony pokazał się niedotkniętym i szlachetnym, publiczność zapomniała o sporze i ulubieńca swego wynagrodziła nadzwyczajnemi oznakami entuzyazmu.

Kwestya *dzienna* stała się *faktem dokonanym* i skończyła się na *fuzyi*. Echo jéj wszakże długo jeszcze brzmiało w dziennikach. Sprawozdawcy przyrzekali « z krwią zimną » opowiadać bezstronnie « dwie pełne efektu uroczystości sceniczne. » Rzucając jedni drugim ostre przycinki, starali się dla uniewinnienia niewinnych « bystro patrzeć w samą rdzeń kwestyi. » Uwagi ich i reflexye dają się zebrać następnie :

« W tém wszystkiém żal nam najbardziéj Dobrskiego; najlepiéj wyszła na tém panna Rivoli. — Nie panna Rivoli, ale *Halka* uwieńczoną i obdarzoną została. Pokazaliśmy że hołd należy się Moniuszce, a nie Verdemu. — Rzeczywiście, w całéj téj sprawie nie szło nikomu ani o pannę Rivoli, ani o Dobrskiego; szło o zasadę artystyczną wyznawaną przez każdą ze stron dysputujących. — Dwie odrębne *niby*, a *istotnie* niechętne sobie koterye wieńczyły kwiatem, złotem i brylantami, każda swoję... próżnosć. »

Tyle zdołaliśmy wyciągnąć ku zbudowaniu i ucieszeniu czytelników naszych. Po téj sprawie nastąpiły inne, tak ze zwyczajnego porządku przypadające, jako też i okolicznościowe; ale nie mamy już ani sił ani miejsca pisać daléj o nich.

Smutno zajmować się podobną wesołością — reszta na późniéj kiedyś.

RADY MIESZKAŃCA WIELKOPOLSKI.

24 kwietnia.

Pozwólcie mieszkańcowi jednéj z polskich prowincyj, gdzie już odbyła się próba zniesienia pańszczyzny, zabrać głos w sprawie, nad którą w téj chwili nie ma dla nas ważniejszéj. Głos mój nie będzie długim. Z niczém nowém nie przychodzę, z żadną mianowicie teoryą, która swoją excentrycznością jeszczeby u nas mogła ująć wielu. Chciałbym wprawdzie zwrócić uwagę na pewne trudności i prawdopodobne niebezpieczeństwa, ale nie po to wcale aby niemi straszyć, owszem prostém ocenieniem rzeczy i wskazaniem prostych a najłatwiejszych środków, chciałbym dopomódz do tego spokoju w sądzie, bez którego żadna sprawa nie doczeka się słusznego wyroku. Jestto właściwe naturze ludzkiéj, że póki o rzecz jaką toczy się proces, jedni z jéj utracenia więcéj przewidują złego, drudzy z jéj odzyskania więcéj czynią sobie nadziei niż warto. Czas, rozjemca stanowczy, przynosi dopiero, choć czasem zapóźno, właściwą miarę do ocenienia nabytku lub straty. Taką miarę my już własném doświadczeniem okupiliśmy.

Mojém zdaniem najszkodliwszymi dla ludu nieprzy-

jaciołmi są ci, którzy chcą nas przekonać sofistycznie, że włościan własnością są te grunta, co dotąd w ręku włościan zostawały. Te dowodzenia podstępne, nie bacząc na to że podkopują moralną i materyalną podstawę społeczeństwa, to jest własności, ten widoczny mają cel, aby między klasy sąsiedztwem i wspólnym interesem związane rzucić jad podejrzeń i zawiści, które dzisiaj spór ciężki muszą jeszcze utrudnić, a jutro uczynią niepodobną tę wzajemną pomoc, jaka dla obu stron rzeczy można jest warunkiem życia. Lepiéj, sądzę, widzieć rzeczy jak są i jak je każdy widzi, dopóki nie puści się na sztuczne wywody. Skoro tak zwane włościańskie grunta są własnością szlachty, nie mogą one przejść inaczéj w zupełne posiadanie chłopów, jak tylko sposobem uznanym przez wszystkie prawodawstwa, to jest wywłaszczeniem w celu korzyści ogólnéj. Tak zrozumiany stosunek wpoi w obie strony przekonanie zbawienne, że szlachta tracąc własność, powinna otrzymać wynagrodzenie, że chłopi przychodząc do własności, poddać się muszą tym naturalnym warunkom, od jakich wszelkie kupno było i jest wszędzie zawisłém. Zyskana tą drogą przez chłopów ziemia, nabędzie dla nich prawdziwéj wartości, co tém jest ważniejsze iż jak widzieliśmy w innych prowincyach, lekko zarobiony majątek, lekko cenionym, źle gospodarowanym, a w końcu łatwo bywał rozpraszanym.

Doświadczenie uczy nas także, że włościanie oswobodzeni z stosunku uciążliwego a od wieków trwającego, przez długi czas tego najbardziéj obawiać się będą, aby nie wrócić do téj rzeczywiście przykréj, lecz bardziéj jeszcze niestosownemi rozprawami zohydzonéj zależności. Wszelkie, choćby ich własnym interesem wywołane ograniczenie ich prawa rozrządzania ziemią, zdawać im się będzie przypomnieniem niemiłego stosunku, od którego siebie i swe potomstwo nazawsze zechcą uchronić. Tymczasem nim drugie lub trzecie upłynie pokolenie,

samą miłością rodzicielską wiedzeni, rozdzielą swe role na tyle cząstek, ile będą mieli dzieci. Nastaną gospodarstwa rozdrobnione, a ich właściciele zbyt ubodzy aby się podnieść do jakiejś wyższości intelektualnéj lub moralnéj, zbyt dumni będą mimo to, aby w codziennym zarobku, pracą rąk własnych szukać utrzymania. Wprawdzie odpowiedziećby można, że wrodzona ludziom dążność powiększania swéj własności zapobieży złemu, że gospodarze rządniejsi i zamożniejsi skupować będą role sąsiednie i wywłaszczać bogatszych; atoli (pominąwszy już, że słowiańska ludu naszego gnuśność nie łatwo do tego zaokrąglania majątków poprowadzi), nie widzę wcale, aby ten środek przeszkadzał w czem bądź utworzeniu się proletaryatu rolniczego, owszem widoczna, iż go raczéj przyspieszy. Nadto, zanim rozdrobnione majątki skleją się znowu w folwarki większe, upłynąć musi lat kilkanaście lub kilkadziesiąt, w ciągu których produkcya rolnicza straszliwie ucierpi. Zawsze więc obawiać się trzeba następstw dla kraju niebezpiecznych, jeźli prawo sukcessyi włościańskiéj nie ulegnie pewnym zastrzeżeniom; aby zaś chłopi takiemu ograniczeniu ochotnie poddali się, aby w niém nie widzieli jakiegoś zamachu na swą niezależność, trzeba iżby czuli się niezaprzeczonymi właścicielami swéj roli, trzeba aby za nią zapłacili. Warunkiem więc i upewnienia krajowi produkcyi rolniczéj, i zabezpieczenia klasie włościańskiéj pomyślnego losu, jest położona na początku zasada: przyznać szlachcie własność gruntów poddańczych, chłopom dać możność sprawiedliwego ich wykupu.

Niedosyć na tém. Jeżeli przypuścimy, że chłopi byli już dotąd pod jakim bądź tytułem właścicielami roli, jakże uważać będziemy odrabianą przez nich pańszczyznę? Oczywiście nie inaczéj tylko jako ciężar wieczysty (*onus perpetuum*) do téj roli przywiązany, a panom należny. W takim razie, nie wartość gruntu, tylko

wartość pańszczyzny musiałaby podstawą być wynadgrodzenia dla szlachty. Tymczasem wiadomo jest, że mimo wszelkich dotąd spisywanych inwentarzy i innych przedsiebranych środków ostrożności, ilość odrabianéj prawie w każdéj wsi pańszczyzny mniéj zależała od ilości i jakości danych chłopom gruntów, niż od wymagań dziedziców. Im szczupléj zatem chłopi byli w grunta uposażeni, im większą uciążeni byli robocizną, tém wyższe dzisiaj przy zamianie pańszczyzny na wykup pieniężny, składaćby musieli opłaty. I podobnież, im srożsi byli w swych dobrach panowie, im twardsi w wymaganiu powinności, tém hojniejszém zostaliby nagrodzeni okupem. Możnaż zgodzić się na tak potworne i wszelką moralność obrażające konsekwencye, do których jednak nieodbicie prowadzi opinia przez niektórych głoszona, jakoby grunta poddańcze były prawną poddanych własnością.

Wspomniałem, że aby zapobiedz złym skutkom zbytecznego rozdrabniania ziemi, trzeba koniecznie ograniczyć dla chłopów prawo sukcesyjne. Każdy przewiduje, że tu mam na myśli utworzenie ordynacyj włościańskich. Instytucya ta, od wieków, w klasie rolniczéj u nas istnieje : chałupa i grunt do niéj należny, nie ulegają działowi, ale po ojcu przechodzą na jednego z synów. Dostają się zaś nie najstarszemu, lecz w brew zasadzie majoratów, najmłodszemu synowi rolnika. Wistocie, stosunek ten jest zupełnie naturze rzeczy odpowiedni. Włościanin położeniem swém do twardych robót przeznaczony, wcześnie w małżeństwie musi szukać pomocy, i zwykle pierwsze jego dzieci już wtenczas do lat mezkich dochodzą, kiedy sam jeszcze w sile wieku zostaje. Gdyby więc jego posiadłość przejść miała na syna najstarszego, ten czując się przedwcześnie właścicielem, patrzałby może z niechęcią na przedłużające się dnie rodzica, a jakiby to uczucie wywrzeć musiało wpływ na moralność rodziny, na jéj stosunki wzajemne i koniecznie tak czę-

ste, bo zamknięte w obrębie ciasnéj zagrody, tego zdaje się tłómaczyć nietrzeba. Do'ć wspomnieć, że najpierwszym powodem tych nieuniknionych zatargów byłyby wszelkie wydatki rodziców, łożone na wychowanie dzieci młodszych, bo mogłyby się wydać starszemu niepotrzebném uszczupleniem przyszłéj jego fortuny. Przeciwnie, zanim najmłodszy syn wyrośnie, rodzice mieć będą czas i środki, aby starsze potomstwo wychować a dla zyskania tych środków starać się będą wyciągnąć z swéj roli dochód jak najwyższy. Tym sposobem starsi otrzymują edukacyą, która ich może uwolni od ciężkiéj około roli pracy; młodszy zaś obejmie dobrze zagospodarowaną siedzibę a właśnie wtedy, gdy rodziców opuszczać już zaczną siły wiekiem nadwątlone. I można zaręczyć, że nim dwa lub trzy pokolenia w takiéj szkole wychowane przeminą, przybędzie krajowi, z pośród starszych synów włościańskich, wiele robotników uzdolnionych, chętnych do pracy i w niejednym już razie do średniego stanu sięgających; z młodszych zaś utworzy się zamożny stan rolniczy, mogący zadosyć uczynić wszelkim wymaganiom rodziny i spółeczeństwa.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że w różnych prowincyach kraju naszego, sprawa włościańska różną miewa cechę i nie jednakie może wywołać następstwa. Te znać i wedle nich przeprowadzić ogólne zasady mogą tylko ludzie miejscowi, i byłoby niestosownem, aby mieszkaniec innéj prowincyi narzucał się, w takich wypadkach, z swą radą, choćby téż najpoważniejszém doświadczeniem popartą. Ale są także pewne téj kwestyi strony, właściwe wszystkim prowincyom, właściwe rzecby można naturze ludzkiéj, i w tych zdanie choćby teoretyczne może mieć wagę.

Na pierwszy rzut oka jest widocznėm, iż w obecnéj przemianie, najtrudniejszą będzie chwila przejścia : *dla dziedzica*, z pańszczyznianego do najemnego gospodarstwa; *dla włościan*, z obowiązków robocizny da wykupu.

Rozpoczynając to wielkie zadanie zniesienia dotychczasowych stosunków, trzeba dobrze o tém pamiętać, że w kraju, który od wieków stał na pańszczyznie, niepodobna bez wstrząśnienia a może nawet bez wywrócenia gmachu socyalnego, usuwać od razu całą jego podstawę. Trzeba owszem zacząć od tego, co z jednéj strony dla chłopów jest najuciążliwsze, bez czego z drugiéj dziedzice najłatwiéj obejść się mogą. — Nie ulega wątpliwości, że w stosunku pańszczyznianym roboty sprzężajne, właśnie dlatego że one mniéj ściśle dadzą się oznaczyć, że niszczą w samym zarodzie przychowek włościański i tém samém podkopują dobry byt zagrody, są dla chłopów najdotkliwszemi, ale zarazem najmniéj pożytku przynoszą one dziedzicom. Źle wykonywane, bo z nędznym inwentarzem i ze zwyczajném u nas niedbalstwem, stają się, jak każdemu wiadomo, w gospodarstwie, przyczyną strat rozlicznych, i można śmiało twierdzić, że są jedną z głównych przeszkód w polepszeniu rolnictwa. Włościanin nie dba o swój dobytek, w mniemaniu, że on więcéj dworowi, niż jemu samemu służy; ziarno przeznaczone na pasienie inwentarza, trwoni często na własne wydatki, ufnym będąc, że w razie wypadku strata bardziéj dla dziedzica, niż dla jego zagrody, stanie się dotkliwą. Inwentarz jego prawie zawsze jest tak słaby, iż jeden pociąg dworski porządnie utrzymany, za troje włościańskich wystarczy. Nie trudno téż będzie zastąpić chłopskie sprzężaje. W kraju naszym, tak bogatym w bydło i konie, zakupienie odpowiedniego inwentarza nie wyniesie nigdy tak wysokich summ, aby dziedzic małą częścią otrzymanéj indemnizacyi, nie mógł téj potrzebie zadość uczynić.

Radziłbym zatem bezwłoczne zniesienie robocizny pociągowéj, i tę reformę uważam za konieczny warunek korzystnego nadal urządzenia stosunków włościańskich. Ale inaczéj się rzecz ma z pańszczyzną pieszą. Przywykłemu do ciągłéj pracy włościaninowi niby, sądzę,

szkodliwszém nie było jak ograniczyć go natychmiast do uprawy własnéj zagrody. Nie może ona dostatecznie go zatrudnić; zbyt wiele zostałoby mu czasu do zdradliwego wypoczynku, w którym, kiedy za nadto przedłużony, każdy człowiek mimowolnie siły swoje traci. Przedewszystkiém więc, w interesie samego włościanina, zdaje mi się koniecznćm na czas przejścia, zostawić przez kilka lat pańszczyznę pieszą. Nie da ona rodzinie i czeladzi rolnika odwyknąć od pracy, zapewni mu na późniéj robotników chętnych, podniesie tém samém wartość jego zagrody, i postawi go w możności wypełnienia tych obowiązków, które przyjdą z nowemi stosunkami. Dla szlachty, to chwilowe zatrzymanie pańszczyzny pieszéj równie będzie korzystném, równie, powiem, nieodzownćm. Jeżeli bowiem prawie dowolnie zwiększać można ilość inwentarza, pomnożenie rąk pracujących nie od nas zależy, a zawsze wolnym postępować musi krokiem. I gdybyśmy odrazu pozbawili dziedzica robocizny pieszéj, nie mogąc jéj nabyć w pierwszych latach za żadne pieniądze, musiałby on albo nie obsiewać swych łanów, albo, co gorsza, obsiane a nie sprzątnione marnować. Nie odwołując się tu do żadnego z świeżych przykładów, dość, rozumiem, jeśli przedstawię, że takie opuszczenie roli w wielu miejscach powtórzone, wtrąciłoby niechybnie kraj cały w największą nędzę, i normalne i od wszystkich tak upragnione urządzenie stosunków krajowych na długie lata odwlecby musiało. Czyż potrzebuję dodawać, że oświadczając się za czasowém zatrzymaniem pańszczyzny pieszéj, nie pragnę wcale przeciągać jéj w lata zbyt długie. Owszem, skoro tylko doświadczenie kilkoletnie wdroży do pracy włościanina już na własnéj siedzącego zagrodzie, a szlachtę przyuczy do gospodarstwa prowadzonego najemnikiem i narzędziami, trzeba śpieszyć się z usunięciem i téj reszty dawniejszych stosunków.

Atoli jedna z największych trudności dla szlachty i

dla produkcyi rolniczéj kraju, wyniknąć może z samegoż ukazu cesarza Alexandra. Rozporządzenie to oddziela, jak wiadomo, zagrodę włościańską od roli do niéj przywiązanéj; pierwszą nadaje chłopu jako zupełną i nieograniczoną własność, dla drugiéj zachowuje stosunek niby to dzierżawny. Zdaje się że cele tego rozróżnienia były czysto polityczne, ale następstwa pod względem ekonomicznym mogą być smutne. W niektórych guberniach polskich sadyby włościańskie bywają tak obszerne, że niepłonną jest obawa, iż włościanin po kilku leciech albo i odrazu mógłby całkiem wyrzec się dzierżawy, przestając na zagrodzie. Zasadą dzierżawy jest dobrowolna ugoda, zmuszać do niéj niemożna. Opuszczona przez chłopa rola pozostanie bez uprawy, panu nie wolno jéj wcielić do swych gruntów, ale i grunta dworskie leżeć będą odłogiem, bo właśnie za czynsz dzierżawy, w pieniądzach lub w pracy przez włościan składany, uprawionémi być miały. Po tak długiéj przymusowéj pracy, nicby nie było dziwnego gdyby chłop nasz zapragnął wypoczynku; skromne są jego potrzeby, sadyba w wielu miejscach im wystarczy, nie jest więc wcale urojoném to niebezpieczeństwo, o którém mówię. Zdaje mi się nawet, że było ono jednym z powodów uchwały szlachty podolskiéj, która przecież o tyle wistocie zasłużyła na potępienie, jakie ją w opinii publicznéj świeżo spotkało, o ile zwracała uwagę na interes samych tylko dziedziców. Wszakże i ta uchwała może przynieść dobre skutki, jeźli skłoni rząd do większéj w tym względzie baczności, i jeźli razem z szlachtą podolską, komitety innych gubernij domagać się będą, aby zrównane były warunki, pod którémi tak rola jak zagroda ma być włościaninowi oddaną.

Te są ogólne uwagi, o których sądziłem że przeniesione na papier, mogą się przydać naszéj braci zaniemeńskiéj i zabużańskiéj. Nim przyjdę do drugiéj strony kwestyi, to jest do stosunków pieniężnych, jakie w sku-

tek zapowiedzianéj przemiany rozwiną się, jednę jeszcze myśl chciałbym tu dołożyć. Co trwać ma długo, wymaga silnéj moralnéj podstawy. Nie wierzę aby z trudności, jakiemi dzisiaj ta sprawa jest związana, można wyjść inaczéj, tylko przez najściślejszą sprawiedliwość, przez sprawiedliwość, która nie rządzi się pobłażaniem ani dla siebie, ani dla drugich. Ale niechaj i o tém obywatele prowincyj polskich nie zapominają, że wraz z zniesieniem pańszczyzny nowy dla nich nastaje porządek, nowe ciężary, którym nie wydołają, tylko przez pracę, przez zwiększoną pracę. Gospodarować z wygodą i prawie z niechcenia, dało się dotąd, nie da się późniéj. Czasy wygodne już przeszły dla wszytkich!

BOCIANY WARSZAWSKIE.

6 maja.

Na początku bieżącego miesiąca, dzienniki warszawskie przyszły ponadziewane exemplarzami prospektu « na dzieło w seryach sześcio-zeszytowych pod tytułem WOLNE ŻARTY, świstki humorostyczno-artystyczne zebrane przez BOCIANÓW POLSKICH. »

Prospekt ozdobiony drzeworytami, pisany wierszem i prozą, a zakończony *rebusem*, pokazuje dostatecznie humorystyczną i artystyczną wartość publikacyi, któréj tysiącę wzorów wala się po śmieciskach Paryża.

Nie ujrzeliśmy nic nowego, nic niespodziewanego; widok jednak tego półarkuszyka mocno nas zasmucił i zmartwił. Warszawa oddawna już puściła się w *humoryzm*, i można było przewidywać, że skoro tylko podhoduje swój *artyzm*, będzie usiłowała zdobyć się na *karykaturę*. Raz wzięty kierunek zaślepionego naśladownictwa, musiał doprowadzić do tego punktu, przed którym stępione i obłąkane czucie zatrzymać już nie zdołało.

Wielokroć wytykaliśmy sprzeczność jaka zachodzi między nieustannem narzekaniem na « zgniliznę stru-

pieszałéj cywilizacyi» a ciągłą pochopnością do napawania się «jéj miazmiami.» Nigdy niemożna było mieć na to dotykalniejszego dowodu. Karykatura, to owoc chorobliwie i samopas wybujałego dowcipu, to znamię schyłku umysłowości przychodzącéj do końca swéj fałszywéj drogi. Gdyby ruch umysłowy, którym tak chełpi się piśmiennictwo u nas w kraju, miał istotnie żywotność rodzimą i siłę młodzieńczą, czułby wstręt leźć w tę obcą, nieszlachetną i nakoniec zupełnie zszarganą formę.

Nie możemy tu rozpisywać się szeroko o źródle i znaczeniu karykatury; powiemy tylko, że czém ona była i czém nawet jest jeszcze we Francyi, tém w Polsce nigdy być nie może. Ze wszystkich lichot naśladownictwa, będzie to zawsze najlichsza. Pominąwszy inne, głębsze tego przyczyny, dosyć jest wziąść na uwagę samą różnicę politycznego położenia dwóch narodów. W tym razie podobno najmocniéj powinnibyśmy uczuć, że co się godzi innym, nam się nie godzi: *quod licet Jovi, non licet.....*

Karykatura w saméj Francyi, na swoim gruncie własnym, wtedy dopiero rozwinęła się do najwyższego stopnia, kiedy w nią tchnął całą piersią interes polityczny. W narodzie, który więcéj lęka się smieszności niżeli kuli działowéj, którego zbiorowiska łatwiéj rozpraszać tryskiem sikawek niżeli gradem kartaczy, podczas swobodnego ścierania się partyj i opinij po rewolucyi lipcowéj, była to broń ostra i donośna. Rysowane pamflety trafiały do celu silniéj, doraźnéj i powszechnéj od najdzielniejszych artykułów dziennikarskich. Tyle na nie składało się dowcipu, talentu i umiejętności, że pozostaną nietylko żywą kartą dziejową swojego czasu, ale pomnikiem w historyi sztuki francuzkiéj. Stygmatyzowały one niezmiernie palącemi piętnami systemat panujący i związane z nim osoby, topiły je w najsubtelniejszym wyskoku sarkazmu, ironii i żartu; jednakże

ani systemu, ani osob nie zwróciły z drogi, a czy przyspieszały ich upadek, czy natężały siłę opozycyjną, to wielka w tém wątpliwość. Król Ludwik-Filip, szczególniéj gdy mu chodziło o to żeby rozbroić, zniżyć, ukołysać ducha narodowego, był wielkim psychologiem, głębokim znawcą słabych stron ludzkich i charakteru Francuzów. Poglądał on obojętnie, cierpliwie przynajmniéj na typ swojego wizerunku w nieskończonych przetworzeniach od gruszki do peruki z bakembardami zawieszonéj na kołku. Długo nie przeszkadzał i węglowym i wytwornego ołówka wylewom niechęci, kończącym się na śmiechu. Wyrozumiałość jego niekoniecznie pochodziła z potrzeby, ale raczéj z rachuby: wolał być przedmiotem żartobliwéj wesołości, niżeli tajonego gniewu. Cokolwiek bądź, jest to rzecz pewna że śmiech nie oznacza siły: przeciwnik który się rozśmieje już jest rozbrojony, a wygrana żartu nie jest wygraną prawdy.

Dzisiejsza karykatura francuzka ledwo przypomina czém była niegdyś. Z utratą znaczenia politycznego poczęła słabnąć, drobnieć, rozpraszać się po sposzytach, dzienniczkach i świstkach, na które rzadko kto rzuca okiem. Zabrakło jéj żywiołu i celu. Czasem ożywia się na chwilę jakim przedmiotem polityki zewnętrznéj, zwykle obraca swoich finansistów i utopistów, najpospoliciéj trudni się, mniéj więcéj zręcznie i dowcipnie, przedstawianiem smiesznostek, słabostek, wad lub dziwactw domowego i ulicznego życia; ale niechaj nikt nie myśli że to w celu i w nadziei ich poprawy. Gdyby ten środek poprawczy mógł być istotnie skutecznym, zaiste na całym świecie nie byłoby społeczeństwa poprawniejszego nad paryzkie. Tymczasem karykatura ani jednéj krynoliny choćby o cal zwęzić niezdołała. Francuzi dość mają przezorności i doświadczenia, a przytém szczeroty, żeby nie łudzić się i nie łudzić naciąganym widokiem moralnym. Jest nałóg i wprawa, jest warsztat oddawna nastawiony, wiele rąk ma ztąd zarobek; póki

więc ta gałązka przemysłu trwać może, fabrykują coraz nowe koncepta poprostu tylko *dla smiechu* (pour rire)— chociaż smiech coraz bardziéj cichnie.

Na czém Francya kończy, w Polsce chcą od tego zaczynać. Czyliż tam wistocie tak wesoło, lekko i uciesznie? Nie sądzimy; prędzéj gotowiśmy przypuścić, że samo naturalne następstwo rzeczy pcha daléj po raz przyjętéj obcéj drodze. Skoro się zaprowadziło rzemieślnictwo literackie i artystyczne, trzeba zajęcia się, trzeba roboty, a więc czemużby nie wydawać karykaturek nakształt paryzkich? Reszta jednak wstydu, nie zupełnie zgłuszony głos sumienia i odzywające się z głębi serca poczciwe uczucie, są zapewne przyczyną, że wszystkie podobne chętki i popędy u nas w kraju przybierają postać pięknych celów, szlachetnych zamiarów. Żądza zabaw i rozrywek okryła się płaszczem dobroczynności, karykatura bierze w opiekę moralność. Jeżeli niemasz w tém złéj wiary, to przynajmniéj jest wielki zamęt pojęć.

Bociany polskie zapowiedziały, wierszem przypominającym księdza Bakę, że mają czyścić z brudu swojskie niwy, żądają tylko *żab* i *złotówek*, bo « niepotrzebne tu za katy! żadne ruble ni dukaty; » a spodziewają się współpracownictwa od każdego « komu dowcip język łechce. » Daléj tłómacząc się już prozą, obiecały podawać czytelnikom « dla zabawy, śmiechu i... pożytku, elixir wyciśnięty z najdowcipniejszych głów całego świata, zdolny nawet młodego małżonka przy staréj żonie, lub młodziutką połowicę przy stękającym i podagrycznym mężu, rozweselić, zabawić, naśmieszyć, słowem napełnić *ducha* (!) radością i uciechą. » Nakoniec przyrzekły, że « każdy zeszyt oprócz poezyi, powieści humorystycznych, a zawsze *prawdziwych* i *serdecznych*, oprócz Rebusów, *nowości jeszcze u nas nieznanéj* obejmować będzie w sobie *Drzeworyty* zastosowane do textu, podług rysunku naszych najznakomitszych artystów. »

Obok próbek elixiru głów najdowcipniejszych, można widzieć w prospekcie i próbki najznakomitszego artyzmu. Są tam bociany narysowane w postaci ludzkiéj. Jeden z nich we fraku, z kapeluszem pod pachą, ma bukiet kwiatów zatknięty na końcu dzioba, drugi w todze i z okularami trzyma dyplom doktorski w ręku. Cała werwa rysownika w tém się tylko wydaje, że chudemu elegantowi wisi żaba u dewizki, a z kieszeni, zamiast chustki, wąż wyłazi. Tyle dokazałby ostatni *rapin* każdego *atelier* francuzkiego.

Owoż jakie szacowne nowości brane są od Zachodu dla kraju, i na co mu tak pilno było mieć własnych artystów. Biedna Polsko! to wszystko ma oczyszczać twoje niwy i napełniać radością twojego ducha.!

Sprawozdawcy dziennikarscy, sami z profesyi rozweselacze i czyściciele, powitali braci bocianów — ma się rozumieć, jak najuprzejmiéj. «Będzie to dziełko humorystyczne — mówił jeden — W każdym z sześciu zeszytów umieszczone będą drzeworyty i ... rebusy! Mniemam, że publikacya ta, jeśli ją poprowadzi zdolne i dowcipne pióro, stanie się wkrótce bardzo popularną. W każdym razie życzymy wydawnictwu najlepszego powodzenia.» — «Co się tyczy *Wolnych Żartów*, — wyrażał się drugi — zdaje mi się, że wydawcy w samą porę odgadli żądania publiczności. Jeżeli wypełnią przyrzeczenia zapowiedziane w prospekcie, a spodziewamy się tego po nich, prenumerarorów im nie zabraknie...» — «Rebus na prospekcie — powiadał trzeci — oznacza podobno : *Mamy nadzieję że to pismo zaprenumeruje publiczność*. I rzeczywiście, zważywszy na ilość drzeworytów, rebusy i t. d. cena niepraktykowanie mała. Życzymy więc powodzenia Bocianom, niech czyszczą kraj z żab, wężów i gadzin! — Inny, wspomniawszy nieco o dawnym humorze polskim i o zacieraniu się wszelkich tradycyj pod wpływem pojęć i obyczajów obcych, rzekł z powątpiewaniem : «Czy nowa publikacya odpowie

pożądanym warunkom, zobaczymy. To tylko pewna, że wszystkie wydawane dotąd szkice, obrazki, niby karykatury, niby obyczajowe typy, jak na zimno bez czucia lepione, tak też zimno i obojętnie były przyjęte. » Ale najstarszy z nich nie wahał się bynajmniéj. Zdaniem jego wierszyk prospektowy « napisany z sercem i dowcipem, a toż samo i o prozie można powiedzieć. » (!!) Po lekkiém więc upomnieniu, że należy strzedz się złośliwości żółciowéj i nie wymieniać ludzi, dał błogosławieństwo ojcowskie : « Szczęść wam Boże, panowie Bociany ! »

Ile błogosławieństwo posłuży, niewiadomo ; ale upomnienie na nic się nie przydało. Czytamy w doniesieniu o wyjściu pierwszego zeszytu *Wolnych Żartów*, że autorowie pozwolili sobie tak dobrze w rysunku i tekscie przedstawić jednego z krajowych pisarzy, który obecnie bawiąc za granicą nie ma nawet sposobności odciąć się napastnikom, że wszyscy go poznali, i na chwałę jeszcze niestartego uczucia, mają to za złe. Bociany nim zdołają wytępić gady i wady, stępią to uczucie. Warszawa chociaż jest miastem *europejskiém*, nie jest jeszcze tak rozległém i ludném, żeby typy nie odnosiły się do osób, a sceny do skandalików dających się palcem wskazać i numerem domu oznaczyć. Skoro zaś metropolia, jak upowszechniła resursa, bale, teatra amatorskie, upowszechni karykaturę, wszystkie wypadeczki i ploteczki miast prowincyonalnych, które teraz mało uważane przemykają się w korespondencyach, staną ilustrowane na widok całéj polskiéj ziemi ku powszechnemu zbudowaniu. Na tém się skończy moralny pożytek tych robot dla śmiechu...

Jakkolwiek bądź, Bociany nie będą miały całkowitéj sławy z wprowadzenia nowości zbawiennéj. Chyba tylko rebusy zostaną wykute na wzniesionych dla nich pomnikach. Wieniec pierwszeństwa w obywatelskiéj zasłudze należy się podobno komu innemu.

Jeszcze w lutym była ogłoszona prenumerata na album p. Napoleona Dębickiego, pod napisem: *Sceny z życia*. Doniosły późniéj dzienniki o wyjściu dwóch pierwszych arkuszy, na których figurowały; Sen Jakubów, z podpisem «każdy niech ma swoje idee» — Stan dzisiejszych finansów — Rok 1870 — Et tu Marynia contra me? — Członkowie towarzystwa wstrzemięźliwości, i t. d. Dowiadujemy się teraz, że przed wystawami główniejszych sklepów rycin i litografij, publiczność warszawska przygląda się trzeciéj tablicy rysunków p. Dębickiego, na któréj widzieć można «kilka dość charakterystycznie skreślonych postaci.» Sprawozdawcy uręczają, że *Sceny z życia*, chociaż mają tendencyą działać na wady i śmieszność towarzystwa, różnią się od karykatur francuzkich (?), bo, «jeżeli pobudzają do uśmiechu, to jedynie przez same kontrowanie obrazka z podpisem.» Wedle jednych, p. Dębicki posiada wszystkie zalety humorystycznego rysownika; inni przyznają mu zdolność, dobry instynkt i wiele szczęścia, ale radzą uczyć się lepiéj rysować «tém bardziéj, że przy ciągle wzrastającym ruchu nie braknie na współzawodnictwie, a Warszawa liczy wielu zdolnych artystów, gotowych rzucić się na tę nowo otwartą drogę.»

Nie koniec na tém. Z listów p. Kraszewskiego do *Gazety Warszawskiéj* dowiadujemy się o innym, podobno dawniejszym jeszcze pojawie tego rodzaju. Wydawca Albumu Wileńskiego K. Wilczyński, przygotowawszy przeszłego lata litografie, jak zwykle u Lemerciera, w Paryżu, za powrotem do Wilna obdarzył kraj książeczką litografowaną, któréj tekst i rysunki są dziełem talentu p. Bartelsa. Ma to być — jak nas nauczają listy — «historya naturalna rozmnożonego u nas stworzenia, które zowie się *Łapigroszem* i w mnóstwie metamorfoz chodzi po świecie.» P. Kraszewski oddając wielkie pochwały autorowi, cieszy się z nowego nabytku do literatury i sztuki krajowéj. «Dotąd — powiada — nie mieliśmy je-

szcze podobnego rodzaju albumów naszych własnych, i Topferowski ten wynalazek ręką p. Bartelsa przesadzony został... nie wiemy jak się przyjmie. Nikt jednak zdolniejszym ku temu nie był nad niewyczerpanego rysownika tego, bo mu nie zbywa ani na łatwości ołówka, ani na dowcipie z jakim objaśnia swe ilustracye. Talent pisarza i artysty objawiają się tu razem, a *Łapigrosze* nasi nie ustępują Chamowi i kompanii.»

Kilka przytoczonych potém wyjątków z tekstu, niewystarcza nam na potwierdzenie wyrzeczonego, albo utworzenie własnego sądu. Widać tam ślady dowcipu i téj obserwacyi, co stanowi jeden z warunków humorystyki, ale tego nie dość. *Łapigrosze* może stoją wyżéj od *Bocianów*, zawsze jednak na téj saméj linii mającéj pochyłość niebezpieczną, gdzie łatwo stracić równowagę i spaść w nizką sferę karykatury. Między takiémi utworami ołówka, do jakich np. podały myśl bajki Lafontaina, albo *Reinecke Fuchs* Gœthego, a paryzkiemi publikacyami *dla śmiechu*, przestrzeń niezmierna, granica zaś bardzo niewyraźna : trzeba wysoko podniesionego i moralnie ukształconego czucia, żeby jéj nie przekroczyć.

Szkoda, że p. Kraszewski patrzał na rzecz tylko ze strony artystycznéj, a nie ocenił jéj znaczenia pod innemi względami. Była do tego sposobność i pora. Kiedy idzie o przesadzenie jakiéj obczyzny w grunt narodowy, o wprowadzenie jakiéj nowości zagranicznéj, zwłaszcza skompromitowanéj w swoim kraju, należy pilnie badać jéj naturę, obliczać najdalsze skutki jakie sprawić może, zapobiegać wcześnie nadużyciu. Szczególniéj z lekarstwami mającemi w sobie pierwiastek trucizny, ostrożnie obchodzić się trzeba. Pisarz, który tyle wpływu wywiera na ruch umysłowy w Polsce, ma pewien obowiązek troskliwie zwracać uwagę na wszelki nowo wszczynający się kierunek. W każdym razie, przypominając sobie wszystkie jego wyrzekania przeciw naśladownictwu, zepsutemu smakowi i francuzczyznie, dziwno

nam widzieć, że z tryumfem wita w Bartelsie godnego współzawodnika Chama *et consortes*.

Nie myślimy bynajmniéj odrzucać i potępiać humoru, ani nie wskazujemy także na wygnanie dobrych w rodzaju Topferowskim czy Bartelsowym utworów talentu pod strażą niewinnéj, uczciwéj i rozsądnéj myśli. Chociaż naród nasz w swojém trudném, pokutniczém i niebezpieczném położeniu, w chwili jednego z najcięższych przejść stanowiących o jego przyszłości, nie powinienby być nastrojony do tonu żartów i śmiechu, wolno jednak temu, kto rozumie i podziela jego cierpienia, a sam ma siłę i pogodę w duszy, starać się czasem rozjaśnić jego czoło, wywołać uśmiech na usta, rozerwać, rozweselić, ubawić, ucieszyć, choćby bez żadnego wyższego celu, byle szlachetnie; wolno nawet z bolu nad jego boleścią, z gniewu na jego słabości i winy, jeżeli nie wystarcza na wznioślejszy sposób, potrącić go sarkazmem, upomnieć ironią, opamiętać wytknięciem śmieszności, ukłuć niejadowitym dowcipem: ale bawienie, smieszenie, dowcipkowanie, wziąść sobie za rzemiosło, z humoru wyrabiać na zimno towar codziennych, tygodniowych lub peryodycznych arkuszy, świstki takie przedawać pod firmą specyfików moralnych, to rzecz zdrożna, nam szczególniéj nieprzystojna i niegodziwa.

Humor istotny, w literaturze i sztuce odegrywający znakomitą rolę, ma za podstawę głębokie uczucie i sąd zdrowy. Bez tych pierwiastków, na samych skrzydlach dających mu polot, wysoko wzbić się i utrzymać się nie może. Nigdzie humorystyczność nie jest tak fałszywie pojętą i nie pełza tak nizko, jak w dziennikarstwie warszawskiém. Smutny to znak zaiste. Pomówimy kiedyś o tém obszerniéj; tymczasem nie winszujemy krajowi naszemu ni dawnych, ni świeżo przybyłych czyścicieli Bocianów — wzory ich mamy tu na bruku paryzkim, i wiemy ile pożytku przynoszą.

ŚĄDOWNICTWO

W PROWINCYACH ZABRANYCH.

Z Kijowa, 15 maja.

Od pięciu miesięcy, to jest od daty cesarskiego ukazu wywołanego przez braci naszych z nad Niemna, jedynym przedmiotem publicznego zajęcia stała się u nas kwestya włościańska. Każdy czuje że z nią związany jest los jego, los poddanych i przyszłość prowincyi; a w miarę jak jednych wstrzymują trudności majątkowe, jak drugich ośmiela albo większa zamożność osobista, albo gorętsza troskliwość o rzecz publiczną, tworzą się zdania i szykują się stronnictwa. Na Podolu, i na Wołyniu jak słychać, nie brak podobno takich, którzy przystają, skoro inaczéj być nie może, na « emancypacyą » chłopów, tylko radziby przytém, gdyby się dało, jakoś uratować *pańszczyznę*. Bo też z całéj Polski najwięcéj tam jeszcze przechowało się tego rodzaju właścicieli, którzy z dawnych tradycyjnych maxym, tę głównie zpamiętali, że komu Pan Bóg dał wioskę, tego już od większéj części trosk ludzkich, a zwłaszcza od powszedniéj pracy oswobodził. W inszych przeciwnie okolicach, szczególniéj tam gdzie rozwijający się przemysł gospodarczy przyzwyczaił po części szlachtę do codziennego zatru-

dnienia, obywatele spokojném okiem zdają się mierzyć odsłaniającą się chmurną przyszłość. Bo chociaż straty są pewne, chociaż trudności będą niemałe, ufają jednak, że z czasem a przy pracy wydobyć się z nich potrafią. Co byłoby klęską ogólną i stanowczą, gdyby w jednym roku miało wejść w życie, to rozłożone na lat dwanaście znośniejszym o wiele staje się ciężarem. Dodać trzeba, że w wielu wsiach naszéj ziemi, zamożniejsi włościanie nie czekając na decyzyą rządu, przeszli, za dobrowolną z dziedzicami ugodą, z pańszczyzny na czynsz; jest nadto w gubernii kijowskiéj przeszło trzydzieści tysięcy szlachty ubogiéj lub jednodworców, którzy za roczną opłatą kilku lub kilkunastu rubli, zagrody włościańskie od obywateli dzierżawią. Tak znaczna liczba małych gospodarzy składających czynsze z gruntów dziedzica, ułatwić włościanom naszym powinna ocenienie nowych stosunków wedle zasad prawa i słuszności.

Przyjść w pomoc obywatelom indemnizacyą pieniężną, zachęcić ich do pilniejszéj niż dotąd pracy około roli i wpoić w chłopów uszanowanie prawa, oto są główne warunki pomyślnego przeprowadzenia tych zmian, oto życzenia na których możnaby przestać! Możnaby, gdyby inne nie groziły niebezpieczeństwa. Nietrudno bowiem przewidzieć, że reforma któréj skutkiem będzie : dla jednych umniejszenie własności, dla drugich zapewnienie środków nabycia tejże własności, musi stworzyć mnóstwo zawikłań i sporów, których niepodobna zostawić w długiém zawieszeniu. Jest zatém główném na dzisiaj zadaniem, jest następstwem kwestyi włościańskiéj : obmyślenie ścisłego i szybkiego wymiaru sprawiedliwości.

Wiadome są powody polityczne, dla których pod innym rządem, w sąsiedniéj prowincyi, spory włościańskie wyjęte z kompetencyi trybunałów cywilnych, oddane zostały władzom administracyjnym. Ale wia-

dome są także trudności, klęski i niemal wywrócenie socyalnego porządku wywołane owym niedorzecznym biórokracyi austryackiéj wymysłem. A jeżeli w Galicyi wymiar sprawiedliwości tak wiele sprowadził złego, czegóż spodziewać się po sądownictwie rossyjskiém? Zepsute i przedajne, złożone z ludzi niesumiennych i niezdolnych, przystępne pokusom wszelkiego rodzaju i ulegające pokornie każdemu zachceniu zwierzchnika, nie dające nikomu, gwarancyi bezpieczeństwa osobistego i własności, sądownictwo rosssyjskie tworzy tę właśnie gałąź służby publicznéj, która najsprawiedliwéj doczekała się u nas wzgardy powszechnéj. A że przytém rząd nie robi sobie żadnego skrupułu prawomocne decyzye kasować, albo sprawy, kiedy mu potrzeba, z pod właściwych trybunałów usuwać, kończy się wistocie na tém, że taż sama władza co zapozywa, taż sama u nas sądzi i exekwuje.

Rozpatrzmy się pokrótce w składzie rossyjskiego sądownictwa. Nie wspominam o księdze ustaw, *Zwodzie Zakonów*, owym zbiorze potwornym, w którym co jeden ukaz poleca, to drugi obala, i który za cesarza Mikołaja w chwili kiedy do polskich gubernij był wprowadzony, liczył czterdzieści ośm woluminów, tysiąc czterysta trzydzieści sześć tysięci artykułów! Ograniczam się do samych trybunałów. Skutkiem wydanéj w roku 1784 *Dworjańskiéj Gramoty*, szlachta tak polskich jak rossyjskich gubernij otrzymała wolność wyznaczania z pomiędzy siebie urzędników sądownictwa. Do każdego z sądów *powiatowych* czyli pierwszéj instancyi, wybierano sędziego, dwóch podsędków i pisarza; do sądów *głównych* tak cywilnyh, jak kryminalnych, wybierano prezesów i trzech deputatów. Trybunały te chociaż pod wieloma względami nie mogły iść w porównanie z sądownictwem Królestwa Polskiego, jednak będąc wynikiem opinii publicznéj, używały ogólnego zaufania.

Nadszedł rok 1831; z nim nastała epoka, w któréj

cesarz Mikołaj zdjął z siebie otwarcie wszelkie pęta sprawiedliwości i rozsądku. I kiedy począł burzyć świątynie, rozpędzać zakony, wywozić biblioteki i zamykać szkoły, kiedy chwytał dzieci po ulicach i całe rodziny w głąb pustyń przepędzał, wówczas jeden z tych gromów carskiéj wściekłości spadł także i na sądownictwo naszych gubernij. Ale że zasadą polityczną było przytém uważać ziemie zabrane, a zwłaszcza ruskie, porówno z rossyjskiemi, i w tym celu w całém cesarstwie jednakowe do pewnego stopnia instytucye zatrzymać należało, cesarz Mikołaj nie zabronił nam wybierać sądowych urzędników, polecił tylko, aby wybrani funkcyi swojéj nigdy nie pełnili. Oświadczali zatem gubernatorowie, że elekci obywatelscy nie posiadają zaufania rządu; w ich miejsce przybywali ludzie obcy, mianowani i płatni od korony, i tak zwolna gubernia po gubernii, powiat po powiecie, utracały swoich prezesów, sędziów i podsędków. Odtąd jak najregularniéj, co trzy lata taż sama ponawia się komedya: szlachta wybiera, marszałek przedstawia, gubernator odrzuca!

Ktokolwiek, choćby powierzchu poznał administracyą rossyjską, ten wie, że w niéj chociaż wszystko prawem przewidziane i z rygorem wykonywane, wszystko jednak na odwrót się dzieje. Zadziwiającą jest i za przykład podawaną oszczędność, z jaką urządzono służbę administracyjną i sądową; ale w żadnym kraju urzędnicy tak prędko nie panoszą się jak w Rossyi. Każdy gubernator ma wyznaczony etat na kancelaryą, atoli grosz kazienny rzadko dochodzi najbliższych jego podkomendnych, a ci na tę poufałość gubernatorską nie mają powodu się żalić. Podobnież nim sędzia lub podsędek pozyska nominacyą, musi najprawdopodobniéj wyrzec się pensyi, lecz razem z nominacyą otrzymuje jakoby *dyspensę* na wszystkie przedajności i bezprawia, które zbyt głośnego nie wywołują skandalu.

Potrzebaż opowiadać, jakiémi środkami urzędnik

odarty na samym wstępie, szuka późniéj odwetu na tych, których nieszczęście do niego przybliża? Dość wspomnieć, że naszych w prowincyach może trudno byłoby w jakiéj bądź klasie znaleźć mieszkańca, coby proces swój przegrawszy, nie był jak najmocniéj przekonany, że przeciwnik jego albo więcéj zapłacił, albo miał jeszcze skuteczniejsze nad pieniądz środki zkaptowania sędziego. I jeżeli przy takim chaosie ustaw i otwartém polu samowolności, nie dzieje się więcéj niż dotąd nadużyć, nietrzeba szukać przyczyny w jakiejbądź względności trybunałów dla prawa; raczéj przypisać należy pewnéj ludzkości i prostocie niewytępionéj jeszcze w sferze zwyczajnego pożycia i mającéj przystęp nawet do serc najprzewrotniejszych.

Kiedy w ostatnich latach rozeszła się pogłoska o cesarzu Alexandrze, że pragnie zbawiennych dla kraju reform, a wytoczone niektórym dygnitarzom procesa o kradzież grosza publicznego dały temu mniemaniu podstawę, obywatele nasi ośmielali się w prywatnych rozmowach przekładać gubernatorom, że pod rządem rossyjskim nikt nie potrafi, nikt nawet nie odważy się dowieść sędziemu przedajności i że nie ma innego środka umoralnienia sądownictwa, jak tylko oddać je napowrót wybieranym przez mieszkańców urzędnikom. Przy zmienionym, jak się zdawało systemie w polityce wewnętrznéj Rossyi, mogliśmy mniemać, że te powody trafią do wyższych władz; uprzejmość wreszcie cesarska okazywana marszałkom na koronacyi w Moskwie i późniéj w Kijowie, przysłane nam «Najwyższe zadowolnienie» i podziękowanie monarsze, za dostawy czynione przez prowincyą w czasie wojny, dały nam otuchę, że najważniejszy dla prowincyi interes, to jest wymiar sprawiedliwości, nie będzie całkiem zaniedbanym. Posłano więc, razem z wieloma innemi prośbami i tę, aby urzędnicy sądowi wybierani przez obywateli, jeżeli mają kwalifikacye, byli zatwierdzani przez gubernatorów, i

ażeby usunięto urzędników mianowanych «*tymczasowie*» od korony. Zdaje się że prowincya nie mogła była wyraźniéj uwiadomić rządu na drodze oficyalnéj, że istniejące obecnie sądownictwo nie wzbudza żadnéj wiary w mieszkańcach.

Po dość długiém czekaniu, otrzymaliśmy nokoniec odpowiedź! Najjaśniejszy Pan zawsze pełen łaskawych oświadczeń, polecił oznajmić, że wchodzi w sprawiedliwość przedstawień gubernii i zostawia szlachcie prawo wybierania urzędników według pewnych kwalifikacyj; co większa, dozwala nawet takich wybierać, którzy żadnych kwalifikacyi nie mają, byleby posiadali zaufanie obywateli. Lecz i gubernatorom zostawia się prawo potwierdzania takowych. Jeźliby zaś urzędnik wybrany wykroczył w swych czynnościach przeciw prawu, lub jeźliby nie miał ufności naczelnika prowincyi w takim razie gubernator ma prawo «*tymczasowie*» innego od korony naznaczyć!

I tak się skończyły nasze nadzieje, a wrąz z niemi zapowiedziane odmiany rossyjskiego sądownictwa. Będziemy znowu jak dawniéj zbierali się na elekcye, obywatelstwo nasze wzbogaci się w tytularnych urzędników a sądownictwo pozostanie jak dotąd w ręku zpodlonén. Potrwa to jeszcze czas jakiś bezkarnie; ale kiedy z roztrzygnioną kwestyą włościańską otworzy się naraz tysiąc procesów granicznych i sporów z obywatelami, któż wówczas przekona chłopów, aby trybunałom zawierzyli, a jeźli nie zawierzą jakiż znajdzie się środek uszanowania własności i odwrócenia tylu może groźnych następstw?...

KORESPONDENCI PARYZCY.

---

22 maja i 5 czerwca.

I

Jeźli w poglądach naszych na stan obecny krajowego piśmiennictwa tak często nam nadarza się mówić o dziennikach, nie pochodzi to zaprawdę z osobliwszego zamiłowania w tym rodzaju literatury, ale z prostéj konieczności. W objawach druku nie szukamy pochopu do krytycznych popisów a jeszcze mniéj owéj naiwnéj uciechy *piękna*, którą dyletantyzm warszawski tak gorąco zaleca i święci : staramy się raczéj odgadnąć w nich ducha publicznego, odkryć myśl ogólną, któraby do jakiegoś wspólnego i godnego prowadziła celu, a uwagami naszemi pragnęlibyśmy tylko raz poraz takową myśl obudzić gdzie się nam wydaje uśpioną, lub ją prostować gdy ją na fałszywéj sądzimy bydź drodze. Z takiego zaś stanowiska pojmując nasze zadanie, musimy poniewoli większą część naszéj baczności poświęcić krajowym dziennikom. Bo jakąkolwiek wydawać się może ich wewnętrzna wartość, nie podlega to jednak żadnéj wątpliwości, że pod względem publicznym znaczenie ich niezmiernéj jest wagi, Od lat dziesiątka, gazety bar-

dzo się w naszym kraju rozwielmożyły; w feletonach swoich pochłonęły prawie całą naszę lekką a wielką a nawet część i cięższkiéj (nie śmielibyśmy powiedzieć: poważnéj) literatury; z najodleglejszych stron i kończyn Polski odbierają i nawzajem im przesyłają wrażenia i kierunki; w regularności swojéj, w jednostajności, w codzienności czerpają siłę i moc, jakiéj natchnienie i przekonanie nie nadają, i przez powszedniość swoję właśnie tém skuteczniéj działają na powszechność. Jest u nas cała klasa czytelników, która tylko w tych gazetach szuka normy do sądzenia o wszelkich sprawach politycznego, literackiego i moralnego życia; są wsie szlacheckie, dla których ten codzienny a ulotny arkusz jedynym jest umysłowym pokarmem. Wszystko to wyzywa sąd i czujność dbałego o krajowe losy publicysty, i powinno tłómaczyć i wyjednać nam pobłażanie, że tak często i z różnych stron do tego samego wciąż wracamy przedmiotu.

Chcielibyśmy dzisiaj wziąść pod bliższy rozbiór jednę z najważniejszych gałęzi naszego dziennikarstwa, bardzo rozłożystą, a poniekąd i wielce pasożytną. Chcielibyśmy pomówić o tych licznych korespondencyach, których naszym pismom czasowym dostarcza Paryż. Czujemy do tego tém większy pochop, że przedmiot sam przez się dosyć jest ważny i już miejscowo niejako do naszéj juryzdykcyi należy. Znane nam zarówno tu scena i kulisy; nie tajne nam osoby, ukrywające się pod maską znaków i pseudonymów. Ułatwia to nam sąd nie mało; a przed trudnością wypływającą z osobistych naszych znajomości i stosunków, cofać się nie byłoby godziwém. Jeślibyśmy zresztą tego potrzebowali, czerpalibyśmy już odwagę w tém przewidzeniu, że nam wypadnie poniekąd być daleko mniéj surowymi dla pisarzy obojętnych, niż dla tych, którzy dla dziennika i prac naszych okazali się nieraz bardzo życzliwymi. Będzie to w każdym razie dowodem naszéj szczerości i sumienności —

wprawdzie tylko dla tych może, którzy od podobnych dowodów by nas chętnie uwolnili.

Rubryka zagranicznych korespodnencyj jest najstalszą i najobfitszą w naszych pismach czasowych. Redakcye żarliwie zamawiają i skwapliwie drukują listy z różnych stron świata, z najskromniejszych nawet miasteczek Europy, choćby Carpentras i Krewinkel, z najodleglejszycg punktów kuli ziemskiéj : *Gazeta Warszawska* popisała się nawet niedawno z korespondencyą z Hawanny!... Wszakże, główném ogniskiem tych fabrykacyj jest zawsze Paryż, i ku niemu przedewszystkiém zwrócone są umysły naszéj publiczności i zabiegi redaktorów. Kiedy niedawno dogorywające w Warszawie pewne pismo zamyślało o odżyciu i zaczerpaniu sił nowych, przedewszystkiém zaczęło się starać o kollaboratora z stolicy Francyi i uważało to za *conditio sine qua non* swojéj dalszéj egzystencyi. Pod pewnym względem, zjawisko to ani nas dziwić, ani nawet gniewać nie powinno. Świadomo lub instynktowo, przebija się w tém poczucie, jakie nasz kraj ma o związku jego sprawy z Zachodem, z cywilizacyą chrześciańską i ze stolicą téj cywilizacyi, którą jest Paryż. Na nieszczęście, rzadko który z naszych paryzkich kolegów zdaje się być przejętym ważnością swego powołania w téj mierze; rzadko który rozumie, że trzyma w ręku tę «nić drżącą żywota», co serce Polski tajemnie wiąże z sercem Francyi. Zazwyczaj chodzi im tylko o zapełnianie kolumn, bez uwagi na to, czy tém samém nie wypróżniają duszy narodu; skrzętni w zbieraniu wszystkich możebnych lub niemożebnych bajek, nie pytają się nawet, jaką z nich Polska wyciągnąć może naukę; i zamiast stać się pośrednikami i tłumaczami najwyższych myśli i natchnień ludzkości przed własną ojczyzną, wolą być rzecznikami wszystkich płochości i marności wybujałéj cywilizacyi — *tribuni voluptatum*, że użyjem energicznego wyrażenia sławnego rzymskiego napisu.....

Czas krakowski ma aż pięciu stałych korespondentów z Paryża; a dzięki wyjątkowemu położeniu dziennika, współpracownicy ci mogą nawet, z pewną miarą, traktować i kwestye bieżącéj polityki. Ten też wydział obrał sobie wyłącznie najdawniejszy i najstalszy z tutejszych korespondentów tego pisma, który, choć żadnego nie przebiera znaku i dyplomatycznie pod różnemi występuje postaciami, nikogo jednak nie potrafił zmylić, taktyką zabawną, gdyby czasem nie była gorszącą. Ostatniego tego wyrażenia używamy z namysłem i z całą świadomością jego znaczenia: a czynimy to przez pamięć na rażącą igraszkę, któréj się ten pisarz przed kilkoma laty dopuścił względem publiczności i względem siebie. Oświadczył on był naraz w *Czasie*, że dla niezgodności opinii, nie może w nim daléj brać udziału i składa swój urząd; w parę zaś dni późniéj rozpoczął na nowo drukować listy w tym samym dzienniku — tylko, że odtąd przedstawiał wszystko na wywrót temu, co dawniéj utrzymywał, i niby jako *homo novus* witał z uznaniem *novum rerum ordinem*... Saul został Pawłem chociaż nie wołał głos z nieba; Fenix odrazu z własnych powstał popiołów, tylko że zmienił kolor. Odtąd pisarz, o którym mówimy, upodobał sobie widocznie w tych mystyfikacyach, nawet tam gdzie ich «wyższa» polityka nie nakazuje; odtąd wciąż i równocześnie w kształcie różnorodnych występuje korespondentów i nieustannie sam z sobą gra w ślepą babkę. Tu raz, jak gdyby był kim innym, dziękuje serdecznie samemu sobie za trafne osądzenie lub przepowiadanie wypadków; owdzie wyręcza siebie, jako złożonego chorobą, lub chwilowo nieobecnego; innym znowu razem, uproszony przez samego siebie, prostuje mylne twierdzenie o sobie, i t. p. Ale baczna publiczność, zamiast coby miała widzieć (jak to zamierzono) trzy lub cztery różne osoby, widzi i poznaje jednę zawsze i tę samę niezmierną próżność i dziwi się tylko nieodpuszczonéj powolności szanownych

redaktorów *Czasu* dla takiego rodzaju — brzuchomówstwa!...

Mimo to, i jeźli się uwolnim od przykrego wrażenia, które sprawiają podobne sposobiki, musimy pisarzowi oddać tę sprawiedliwość, że pod pewnemi względami rozumie swoje obowiązki i im odpowiedzieć usiłuje w sposób godny z polskiém sumieniem. Nie udziela on wprawdzie żadnych szczególnych informacyj, nie ma stosunków, któreby go w zakulisową grę polityki wtajemniczały (chociaż tego się każe domyślać), ale czyta pilnie i starannie dzienniki francuzkie i angielskie, zbiera z nich skrzętnie wszystkie ważniejsze szczegóły i daje dosyć treściwy obraz bieżących wypadków. Na nierównie większą jeszcze pochwałę zasługuje częsty zwrót do potrzeb krajowych i jasny, trzeźwy pogląd na rzeczy. Korespondent nie zapuszcza się nigdy w ten fantastyczny świat radykalnéj Palingenezyi europejskiéj, o którym tak często marzyć lubią jego koledzy, nie zakłóca sądu i sumienia narodowego perspektywą niebywałych zmian i przetworzeń, i nie robi experymentów niebezpiecznych na trzęsawisku mystycyzmu, socyalizmu, panslawizmu i rewolucyjnego caratu. Stoi zawsze niezachwianie przy chorągwi Zachodu, w ścisłém przymierzu Francyi i Anglii widzi gwarancyą cywilizacyi i nadzieję dla Polski, i przekonanie to stara się wpajać w umysły polskich czytelników. Gdyby tylko w tém wszystkiém mniéj było pedantyzmu i zarozumiałości, a trochę więcéj gramatyki i stylu! Styl naszego pisarza jest jednym z najosobliwszych i najluźniejszych w świecie; styl to drewniany podszyty ołowiem, w całém tego słowa znaczeniu lapidarny, bo ciężki i urywany. A do wszystkich tych zalet przychodzi jeszcze ciągły ton pedagoga i niesłychana pretensyjność. Korespondent nasz nazwał kiedyś swoję pracę *abnegacyjną* : tymczasem jedyną prawdziwą abnegacyą praktykuje w niéj tylko biedny język polski, który się tam zrzeka wszelkich

praw i przywilejów swoich; sam zaś autor jest do najwyższego stopnia *egotycznym*, jakby powiedział Mochnacki. Zaimek osobisty « Ja » większą w tych listach odegrywa rolę, niż w samym systemie Fichtego; nie potrzebujemy zaś dodawać, że ta rola tu jest daleko mniéj filozoficzną. Co chwila korespondent przestrzega, że to już nam powiedział, że w tém już nas przed dawnémi laty « oświecił »; co chwila się pyta, czy téż pamiętamy jego słowa : a nieraz daje poznać, ża jego to uwagom, napomnieniom, naukom zawdzięcza kraj nasz tę lub owę poprawę, ten lub ów zwrót ku lepszemu. Uczucie dumy, że przemawia « do milionów », że jego głosu słucha Polska cała, że piórem swojém do tylu dobrego się już przyczynił, naiwnie się przebija w niejedném miejscu téj korespondencyi. Pisarz do swoich listów przywięzuje wagę sybilińskich kartek, i zdaje się po każdym wołać : *Dixi, et salvavi animas — vestras...*

« *Vive la bagatelle !* »... takie jest natomiast hasło drugiego korespondenta *Czasu*, który pod znakiem L*** pisuje i najzupełniejszy stanowi kontrast do dopiero co wspomnianego współzawodnika. Przeciwieństwo to stałe i ciągłe w sposobie, w widzeniu, w gustach, w formie w stylu, tylko nie w niepoprawności języka. Jeźli tamten stąpa z powagą tych stworzeń, które Homer « ciężkonogie » nazywa, to ten znowu z wietrznością motyla szybuje po przestworach, zlekka o wszystko potrącając, nie zatrzymując nad niczém pióra lub uwagi; jeźli tamten ciągle *ex professo* przemawia, to ten ma zawsze tylko pretensyą szczebiotania; jeźli tamten nigdy jednego frazesu z drugim powiązać nie umié i mówi zawsze ułamkową mową, to ten przeciwnie riągłych używa haftek i haczyków, któremi spaja rzeczy i przedmioty najmniéj z sobą zgodne i harmonijnie, i, że użyjem słów poety, w jenden zaprząg wtłacza nosorożca z kanarkiem. Bachanalia to prawdziwa grochu z kapustą; kocioł to czarownicy Kordyana, gdzie razem zmięszane najróżno-

rodniejsze żywioły nieba i ziemi; peryod wciąż skacze, bo jednę stopę odziewa koturn a drugą soccus, i list zaczęty od uwag nad światem ducha, kończy się dumaniami nad losem jarzyny. Pan L*** miewa czasem bardzo ciekawe wiadomości, które widocznie nie z gazet, lecz z rozległych czerpa stosunków; ale pośpiech i łatwowierność dają mu się nieraz we znaki, i gotowałyby mu wielkie mortyfikacye, gdyby w ogóle dla trosk podobnych mogło być przystępném pióro tak wiecznie ruchliwe, tak zawsze zadowolnione. Bez braku i smaku, przyjmuje gościnnie wszelką nowinę; *nihil credibile vel incredibile a se alienum putat*, i wystarcza mu zasłyszeć pewien *puff* o wynalezionéj dyrekcyi balonów przez... Gawarniego, aby myśleć

że już leci,
że już leci, że już płynie...

Podziwiamy nieraz ten wieczny dobry humor, tę raźność i krewkość, tę nieustającą zabiegliwość i wszechstronność, tę gotowość do przyjmowania wszelkich wrażeń i interesowania się wszelkiemi zdarzeniami, jakie cechują zawsze naszego korespondenta — podziwiamy, ale się nie cieszymy. Razi nas przeciwnie, że w tych tak smutnych czasach, wśród tak ciężkich i zewsząd nam utrudzonych stosunków, pisarz polski może tak swobodnie sobie bujać po wszystkich wyżynach i nizinach nowellistyki i tak mało sobie zdawać sprawy dla kogo pisze — boby wtenczas niezawodnie nie o wszystkiém pisał. Nie donosiłby wówczas biednym synom Polski o wszystkich balach opery, i t. p., nie łechtałby ciekawości sarmackiéj nowinkami o bohaterach giełdowego świata lub bohaterkach pół-świata, i nie zdawałby sprawy z różnych zabaw, może przyjemnych, ale w każdym razie niepożytecznych. Przedewszyskiém zaś wytknąłby sobie cel pewien i dążność jaką, i zaprowadziłby w swoich listach tę jednostajność kierunku, którejbyśmy w nich

teraz napróżno szukali. Pan L*** nieraz przemawia serdecznie i szlachetnie, udziela trafnych rad i uwag, i objawia żywe poczucie naszych zadań i obowiązków. Ale cóż, kiedy za podmuchem fantazyi wnet w inną uleci stronę, lub nieostrożném słowem wprowadzi w obłęd tak łatwy do obłąkania umysł Polaków? A podobnych kondradykcyj niemało w téj paryzkiéj kronice. Raz będzie się unosił w mgły duchów i wyrzucał Zachodowi, że nie wierzy w działanie szatana, w opętanie, w tajemnice «znane ludowi»; a potém znowu będzie wynosił i sławił wszystkie wymysły i wykwinty materyalnéj cywilizacyi — «bo przecież trzeba być człowiekiem swojego wieku». Naturę Moskwy, całą zgniliznę, całą niepoprawność schyzmy czuje doskonale, i w bardzo trafnych to nieraz wypowiada słowach, wszakże nagle się odezwie, iż «ufa, że inaczej będzie z czasem, gdy zachodnia cywilizacya *spłynie po kolejach żelaznych* do Rossyi» !!! Nierównie pewniejsza dla nas, że po kolejach żelaznych i przez korespondencye paryzkie spływa do Polski wiele mętnych wyobrażeń, wiele chorobliwych i excytujących nowostek i niesłychanie wiele słów niepotrzebnych.

O dwóch następnych współpracownikach paryzkich *Czasu*, piszących pod znakiem B. Y., mało mamy do nadmienienia. Pan B. nie ma specyalności i donosi o wszystkiém, na co go stać. Wszakże, chociaż i o wystawie bydła w potrzebie pisać umié, głowném jego polem zdają się być tutejsze polskie salony. Pan B. dla salonów ma wielki szacunek, dla «dostojnych gości» niemałe poważanie; wielbi urząd, czci panów, a jeśli względów się nie wyrzeka i obyczajom nie przygania, to widocznie w uczciwéj myśli zachowania miłego pokoju. Względy salonowe, powiedzmyż także nawiasem, nie bardzo szczęśliwie się odbijają w zagranicznych artykułach naszych dziennikow. Każden prawie korespondent ma akiś dom znajomy lub rodzinę miłą, i krztuszące im

pali kadzidło na ołtarzu publicystiki. Są i tacy, którzy intonują *saynesy* i *syrwenty* na cześć tej lub owéj polskiéj piękności i niezbyt dyskretne hołdy składają w swéj kronice ognistym oczom pani X. lub junońskim formom pani XX. Błędni rycerze nowellistyki i trubadury prozy, przechadzają się po kolumnach dzienników, nosząc kolory dam swoich i sławiąc ich pierwszeństwo. Serce i potok postrzegać daremnie : ale redakcye, nieulegające urokowi i więcéj zimnéj krwi mające, mogłyby tu przestrzegać przyzwoitości i tłumić objawy, które z życiem publiczném, zaprawdę, nic nie mają wspólnego... Co się tycze pana Y. rzadko zresztą odzywającego się, to ten jako specyalność obrał wydział rzeczy wschodnich i tylko czasem używa sposobności, do załatwienia milczkiem osobistych spraw swoich. Pan Y. tém się szczególniéj od kolegów odznacza, że poprawną pisze polszczyzną. O rzeczach wschodnich rozprawia ze znajomością szczegółów: ale wyraźnego stanowiska nie ma, lub go przynajmniej nie objawia. Niemile nas także uderzyły pewne napomykania o Izraelu, o znaczeniu jego dla przyszłych losów Słowiańszczyzny, o związku jego sprawy ze sprawą uciemiężonych narodów i t. d. Reminiscencye to zbyt niestety znanéj mystycznéj doktryny, która wielkie zadała nam klęski, i któréj nawet w homoepatycznych dozach narodowi podawać nie przystoi...

Wymienieni czteréj współpracownicy *Czasu*, choć w różny sposób, zdają wszyscy zarówno sprawę z bieżących wypadków, i rzadko i dorywczo tylko zapuszczają się w jakieś ogólniejsze i wyższe ich ocenienie. Pan N. natomiast wyłącznie prawie obrał sobie dziedzinę reflexyi, i daje zajmujące nieraz rozprawki o ważniejszych objawach zachodniego życia w sferze moralnéj, literackiéj i socyalnéj. Piąty ten paryzki korespondent krakowskiego dziennika widocznie najwięcéj dokłada starań w swéj pracy, i też najwięcéj czytelnikom daje

do myślenia. Znać człowieka biegłego w literaturze, zdawającego sobie rachunek z tego co widzi i słyszy; znać, że nie trafem i w braku jakiego zatrudnienia chwycił za pióro, a listy jego nie są nigdy różnobarwną tkanką plotek zachwyconych w salonach lub wyczytanych w *Figaro* i t. d. Nieraz tu znaleźć można bardzo bystre spostrzeżenie, myśl nawet głębszą, i mimo ciągłego a wielkiego zaniedbania języka, wyrażenie czasem szczęśliwe: wszędzie widać zaprawę na dobrych, nawet klassycznych pisarzach. Na nieszczęście, pan N. za wiele czytał, a przedewszystkiém za wiele cytuje. Każden jego list jest katalogiem autorów, ambulującą biblioteką, a cytata nieraz przypominają erudycyą sławnego u nas dzieła *Nowe Ateny* w którém między innemi czytamy: «koń boi się wilka: *obacz Tacyta*»... Dla wypowiedzenia najprostszych rzeczy w świecie, że co ciepłe to nie zimne, a co grube to nie cienkie, pisarz nasz wzywa na poparcie, wszystkich wielkich mężów starożytnego i nowożytnego czasu, a wobec tak niepotrzebnego cytowania seciny autorów, złośliwa dusza chciałaby nieraz i swój cytat położyć: *multi vocati, pauci — lecti*... W jednym n. p. z ostatnich swoich listów traktował pan N. o publicystyce. Wmięszali się w tę sprawę Dante, Petrarka, Platon, Arystoteles, Tucydydes, Tacyt, Beatrix i Laura, Juniusz i Camille Desmoulins, Swift z Liliputami, Szekspir ze swoją « oryginalnością duszy» (!), Machiavelli z Molierem, Grimm z Diderotem, Walpole z Mannem i trochę Guicciardini — z czego wszystkiego wypadło, że chciaż «czasom naszym zbywa na wielkich i oryginalnych publicystach, lecz za to powstała *niezliczona liczba* korespondentów»... *Quel bruit pour une omelette!* Nierównie większy zrobimy panu N. zarzut, że rzadko kiedy ma jakiś ciąg w myśli i pewny a wyraźny sobie cel zakłada. Zazwyczaj brak jego listom wszelkiéj podstawy, wszelkiéj konkluzyi. Nagromadzone szczegóły sypią się hurtem, chodzą samopas bez widocznego kie-

runku, i dla tego tracą na swojéj wadze i podpadają losowi ruchawki, złożonéj z ludzi walecznych, ale bez wodza i ładu. Często wniosek wcale nie odpowiada założeniu; często pisarz w ciągu tego samego wywodu zaprzecza sobie niejednokrotnie i zupełnie inaczéj konkluduje sprawę niż ją zagaił; często także i pokilkakroć zmienia swój sposób widzenia i swój sąd o téj saméj rzeczy w jednéj i téj saméj korespondencyi, i postępje sobie z czytelnikiem jak Hamlet z Poloniuszem, gdy mu nasamprzód dowodzi, że ten obłok ma prawie postać wielbląda, a potém sądzi że podobny do łasicy, a w końcu się pyta czy to raczéj nie prawdziwy wieloryb. Jeźli jakiéj, to nie zawodnie polskiéj publiczności trzeba dać myśli zdrowe, jasne; jeźli kto, to publicysta polski ma obowiązek nasamprzód z sobą samym przyjść do zgody i stałe, niezachwiane w sobie wyrobić zdania i przekonania, zanim przemówi do narodu tak nieszczęśliwego, tak we wszystkiém zakłóconego, tak ciągle trawionego gorączką nieokreślonych chęci i zamięszanych pojęć...

Zastanowiemy się w następnym artykule nad paryzkiemi korespondencyami dzienników warszawskich.

II

Korespondenci paryzcy dzienników warszawskich odmiennym ulegają warunkom i inny mają zakres przed sobą, niż ich koledzy pisujący do *Czasu*, których zalety i wady rozbieraliśmy w jednym z poprzednich naszych artykułów. Podczas gdy pismo krakowskie, wprawdzie z wielką i niezawsze przez polskich czytelników uwzględnioną ostrożnością, ale w każdym razie w obszernéj mierze traktować może kwestye zagranicznéj polityki, to gazetom warszawskim odjęta jest zupełnie

ta główna i żywotna sfera publicystyki, i część ich polityczna składać się musi z okruszyn rządowych organów. Ta okoliczność wpływa też naturalnie na sposób pisania i paryzkich współpracowników. Nie donoszą oni o bieżących wypadkach i publicznych zawikłaniach, nie zdają sprawy z codziennego biegu dziejów zachodnich; mają więcéj czasu do rozwagi i namysłu, a może też i wdzięczniejsze pole. Zwykli oni listować tylko raz lub dwa razy na miesiąc, a przedmiotami ich rozbiorów są, lub być przynajmniéj mają główniejsze objawy literackiego, moralnego i społecznego życia Francyi. Zadanie wielkie i trudne, pełne mozołów, ale też i pełne ponęt i szlachetnéj pokusy dla polskiego pisarza, publicysty, patryoty! Między Francyą a Polską, jest zawsze związek wielki, tajemniczy; wypadki, zawody, niesprawiedliwości nawet, mogły zwolnić, nie potrafiły jednak i nie potrafią rozerwać ogniwa łączącego te dwa tak przestrzenią rozdzielone, a instynktem, charakterem, cywilizacyą i wiarą tak do siebie zbliżone narody! Związek ten utrzymać, utrwalać; tę wzajemność umacniać i na upadających pod brzemieniem barbarzyństwa i schyzmy wciąż wołać, że cywilizacya żyje i czuwa, że Francya myśli i działa: powtarzamy jeszcze raz, zadanie to pełne zasługi i uroku dla Polaka, dla wychodźca... Aby zaś to słowo nauki i pociechy powiedzieć, nie trzeba zaprawdę upiękniać złego i kłamać przed własném sumieniem, trzeba tylko ze zdrowym zmysłem i jasném okiem poglądać na Zachód, nie dać się uwodzić szumowinami pływającemi na powierzchni wyrafinowanego życia, ale zanurzyć się w głąb' jego i tam szukać tych pereł cnoty, poświęcenia, pracy, tak licznych, tak świetnych: trzeba jedném słowem mieć serce, by patrzeć w serce Francyi — a nie na same jéj tylko maski i same krynoliny!... W każdym zaś razie, kronikarz paryzki w piśmie polskiém powinien sumiennie się zastanawiać nad tém, co donosi; powinien ważyć każde ze słów swoich, i jeśli

już nie wie o kim pisze, powinien przynajmniéj wiedzieć do kogo pisze, i na czyj to pożytek wziął pioro do ręki.

Ze wszystkich tutejszych spółpracowników pism krajowych, jeden tylko korespondent *Gazety Warszawskiéj*, który od niejakiego czasu zwykł się podpisywać *J. Zam.*, ma poczucie swego obowiązku, uszanowanie dla własnego pióra i wzgląd na moralne i umysłowe potrzeby tych polskich braci, do których przemawia. Podobne przyznanie z naszéj strony zdziwi zapewne niejednego, który zna nasze zasady i wie, jaki przedział między naszém widzeniem rzeczy a przekonaniami p. Zam. Ale wypowiedzenie tego, cośmy za prawdę uznali, mogło nas nieraz kosztować namysłu, nie kosztowało nas nigdy trudu i przezwyciężenia się : prawdą zaś jest niezawodną w naszych oczach, że paryzki korespondent *Gazety Warszawskiéj* przewyższa wszystkich swoich spółzawodników rozwagą, głębokością myśli, sumiennością pracy i poważnością celu. P. Zam. jest zwolennikiem pewnéj sekty i doktryny mystycznéj, przeciwko któréj nieraz występowaliśmy, i ostro, w naszém piśmie; a i tym razem nie myślimy bynajmniéj jakiegokolwiek jéj robić ustąpienia w osobie korespondenta. Są w jego listach ustępy i wywody, którychbyśmy woleli tam nie znajdować, i których wpływ na niedoświadczone i nieprzestrzeżone umysły w kraju mógłby być szkodliwym. Mimo to wszystko jednak, nie wahamy się oświadczać, że ogólna dążność p. Zam. jest zacną i szlachetną, że w korespondencyach jego widać cel wyższy i moralną podniosłość, i że nigdy płocho, ani o płochych nie pisze przedmiotach. «Gdybym był malarzem, powiada raz w jednym liście, nie wszystkobym malował; tak jak pisząc dzisiaj, nie o wszystkiem pisać się odważam.» Zasada godziwa i piękna, którą oby sobie chcieli brać do serca nasi paryzcy kronikarze ! Pan Zam. nie chwyta chciwie wszystkich szkandalów stołecznego miasta, nie wypisuje z *Figara* i podobnych organów śmieciowéj

literatury, wszelkich ohydnych i bezwstydnych anekdot, i nie łechta nerwów rozpusty żywémi obrazami moralnéj śmierci i zgnilizny. Obiera sobie wciąż przedmioty ważne i poważne, i traktuje o nich z goddością, z rozmysłem, objawiając prawie zawsze, jeśli nie gruntowną znajomość, to uczciwe staranie i sumienne zastanowienie. Nieraz spostrzeżenia jego są nacechowane wielką trafnością, nawet głębokością; wszędzie widać człowieka myślącego i zdającego sobie sprawę ze słów i zdań swoich. Powiemy więcéj : widać człowieka, co długo już nie pisał, nie wypisał się, nie rozdał zdawkową monetą pewnego zasobu moralnych i intelektualnych nabytków. Żałować wprawdzie należy, że styl rozwlekły i nieożywiony, chociaż zawsze poprawny, że ton trochę kaznodziejski i pedancki wywołują nieraz znużenie i ztępiają uwagę; ale żałowalibyśmy jeszcze bardziéj tych, którzyby dla podobnych niedostatków chcieli zaprzeczyć rzeczywistéj wartości pisarza, o którym mowa. Takichbyśmy tylko upraszali o uważne przeczytanie np. tego ustępu, który p. Zam. poświęcił «wsi i miastu» z powodu sztuki p. Augier, i spytalibyśmy ich , czy to tak często w dziennikach nadarza się spotkać z sądem równie trafnym, zdrowym i trzeźwym? Wprawdzie podobna pochwała nie wszystkim listom p. Zam. się należy, i nie każda jego rozprawa na równeby zasługiwała uznanie. Moglibyśmy mu zarzucić wiele uprzedzeń (szczególniéj przeciwko Anglii), wiele niejasnych pojęć, chorobliwych uczuć i wykwintnych paradoxów. Moglibyśmy także nadmienić, że płaszcz chrześciańskiéj pokory, w który się ubiera, nawet trochę drapuje, ma niejednę dziurę, przez którą przegląda pycha; że braterska słodycz i miłość, którą wciąż ma na ustach, nie przeszkadza mu jednak w potrzebie folgować kwaśnéj niechęci ku osobom. Ale wobec strasznéj i grzesznéj płochości, któréj codzienne dają dowody jego spółzawodnicy w naszych pismach, nie mamy odwagi w taki

ścisły z nim wchodzić rachunek; i wobec ich zupełnéj bezmyślności nie możemy tak wielkiego mieć żalu, choćby i do jego paradoxów. Powiedzmyż także, że natrafiliśmy w jego kronice na zdania i myśli, które nietylko nas swoją prawdą ujęły, ale tém nas jeszcze bardziéj ucieszyły, że się nam zdawały niejako zaprzeczeniem mystycznéj doktryny, któréj p. Zam. gorliwym jest zwolennikiem. Wiadomo np. jak dalece, znana sekta posuwa myśl apoteozy narodowéj; z jakiem zaślepieniem na wszelkie doświadczenie wieków i tragiczną naukę przeszłości, sławi, wielbi i do godności niejako religijnego dogmatu podnosi wszystkie nasze tradycye bezrządu, całą niepoprawność sarmackiego zarozumienia. Otóż z niemałém zadziwieniem, ale i ukontentowaniem zarazem, wyczytaliśmy w jednym z listów p. Zam. przestrogę, że «zadowolnienie z siebie, ślepa admiracya swego narodu, nieraz na przyszłość złowrogim jest znakiem» ; że «dla postępu całych towarzystw ludzkości te same są prawa, co i dla pojedynczego człowieka : z wielkiéj boleści nad sobą idzie tylko wielka siła do odrodzenia się nanowo.» Niemniéj uderzyły nas i uradowały jego słowa przeciwko tym «samotnym marzeniom, snującym mniemane przyszłe szczęście Francyi (— mybyśmy dodali : i Polski —) zdala od wszelkiego pola do zrealizowania ich i wypróbowania ich praktyczności...» Uwagi to zdrowe i czerstwe, które nam dają pochóp do spodziewania się po p. Zam. tego, czego on sam się spodziewa po człowieku w ogóle : «że jeszcze kiedyś pozna i uczci to gospodarstwo Boże w dziejach ludzkości, i przestanie się miotać gorączkowo, bezowocnie, a krwawo i boleśnie, jak również wyjdzie z oczekującego tylko opuszczenia i kwietyzmu, z którym nie ma woli i pomocy Bożéj»...

Ani takiego gorączkowego miotania się, ani także oczekującego opuszczenia i kwietyzmu nie możemy zarzucić natomiast paryzkiemu korespondentowi drugiego

warszawskiego dziennika, *Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych*. Pan Y. praktykuje *carpe diem* z całą swobodą umysłową rzymskiego poety, tylko że *dzień* znaczy dla niego przedewszystkiém wieczór, wieczór przepędzony w tym lub owym teatrze paryzkim. Tam on « przychodzi szukać tych wypieszczonych mamideł serca, tych młodych i młodzieńczych wrażeń, tych wzruszeń tak *jasnych*, drażliwych i czułych *jak ów meszek co ośniedza* kwiaty lub owoce. » Myśl jego nie wznosi się nigdy wyżéj nad paradyz, a jeśli się zanurzy, to chyba tylko w tych « głuchych falach morza mierności, które pluszczą spokojnie na dalekich wybrzeżach Odeonu. » Czy p. Roqueplan dobrze pokieruje teatrem de l'*Opéra comique* i finansowo tak stanie, jak jego poprzednik p. Perrin, albo na téj nowéj enterpryzie zbankrutuje jak na dawnéj, gdy był dyrektorem Wielkiej Opery; czy p. Mario Uchard wistocie dzieje własnéj żony przedstawił na scenie, lub też to tylko wymysł famy ; czy ten lub ów *socyetaryusz* Teatru francuzkiego podał lub *usunął swoję dymisyą;* czy się uda jutro *dopchać się* do *foyer* Teatru Francuzkiego, które p. Y. nawet *Sancta Sanctorum* raz nazywa : pytania to wielkie, żywotne, nad których rozwiązaniem mozolnie pracuje korespondent i « dzieli się wrażeniami » z bracią rawską i łęczycką. *Circenses!* takie jest hasło tego adepta Talii, Melpomeny i Terpsychory, i o nich tylko rozprawiać lubi paryzki nowelista pobożnéj, moralnéj i katolickiéj *Kroniki!* Jedyna jego troska jest, jakby to po polsku oddać techiczne termina Teatru Francuzkiego, a ukuwszy n. p. wyrażenie *otwieraczka*, zapyta się w trwożnym nawiasie : « (czy to tak? *Ouvreuse*). » Nawias ma u niego nietylko graficzne ale i moralne znaczenie : w nawiasie lubi sobie samemu oddawać sprawiedliwość; i tak n. p. wykrztusiwszy takie słowo jak *panie wkkrylinowane*, doda sam w klamrach : « (*a niech cię tam piorun trzaśnie co za wyraz!*). » O każdéj niedorzecznéj stuczce Palais Royal, o każdéj

lichocie scenicznéj, o komedyjce o któréj sam w końcu powie, że jest «wierutném głupstwem, *wierutne pół psa pół kozy*» będzie zapisywał arkusze magistralnie i trywialnie, przeplatając dyskurs takiémi atycyzmami jak: czy kpi czy o drogę pyta, nie budźmy licha kiedy śpi, a d..niu! i t. p. Stan kasy równie go obchodzi jak stan sceny, wypadki dramatu jak parteru, kulisy jak i zakulisy; i będzie obliczał dochód Opery Komicznéj, opowiadał o grożeniu sobie pięścią między jakimś krytykiem *Figara* a aktorem, którego nazwiska nie pamiętamy, a zapewne dla zbudowania to polskich matron i niewiast i o tém nie zamilczy, że «*fortuna oddała w ręce* panu Uchard jednę z tych ulubionych chwilowych cacek paryzkich» którą jest aktorka Brohan!! Jeśli to wszystko bardzo jest smutnem, to nic natomiast pocieszniejszego nad ważność, jaką pan Y. do każdego teatralnego widowiska przywiązuje, nad liczne exkuzy, że o tym lub owym spektaklu jezcze dziś nic pisać nie może, ale da Bóg to w następnym liście uczyni, nad owe *periculum in mora,* które zdaje się zawsże mieć przed oczyma. Po dwóch długich, niezmiernie długich korespondencycach o *Fiamianie*, czytamy. «*N. B.* W następnym liście powiemy wam słów kilka o nowéj operze *Magicienne*»: trzebaż było choć tem *postscriptum* zaspokoić spragnione sumienie Polaków! P. Ingres darował *socyetaryuszom* Teatru Francuzkiego mały obrazek: «dziś *właśnie* przeniesiono go już do foyer. Jak tylko zatém można się będzie dopchać do tego *Sancta Sanctorum*, zaraz wam powiem jakie jest rozporządzenie tego obrazu i jakie jego artystyczne wrazenie. Spodziewam się, że to nastąpi w przyszłym moim liście.» Zanim się zaś dopcha, donosi że mu trudno było się docisnąć: «Jeszcze jedno słówko. Na żaden sposób w poniedziałek ani się mogłem docisnąć do maluczkiego teatru buff paryzkich, do téj prawdziwéj cukierniczki, jak ją nazywają Francuzi, gdzie dyrektor

Offenbach urządził pierwszą reprezentacyą małéj operetki *Don Broschino*... Jak tylko uda mi się posłuchać choć jednéj reprezentacyi, zaraz się z wami mojém wrażeniem podzielę.» Mamyż jeszcze zaręczyć, że p. Y. dotrzymał solennego słowa? W następnym zaraz liście czytamy : «Cały jeszcze pod wpływem tego co widziałem, piszę do was, *aby nie stracić ani odrobiny tego wrażenia*, które wypełnia duszę moję. Widziałem nakoniec ów... i t. d.» Co za ogień! Co za zapał! Co za fanatyzm!... Pan Y. sam wyznaje, że *fanatycznie* uwielbiał pannę Rachel — i też śmierć jéj przejęła jego duszę niewymowną żałobą. O zgonie O. Ravignana kilka tylko wierszy napisał, dodawszy do tego jeszcze drugi nekrolog innéj osoby, «któréj świetność, znamienity ród i tułactwo nabyły również (sic!) prawa do powszechnéj pamięci» — a tym równie pamiętnym mężem, jest nie kto inny jak syn królowéj Oudy!... Ale za to zejście ze świata panny Rachel dostarczyło korespondentowi atramentu i łez na dwa sążniste listy! «Ja com ją znał osobiście, zaczyna z uroczystą powagą nasz pisarz, i com *do osobistych uczuć przyjaźni* łączył fanatyczne prawie uwielbienie jéj nieporównanego talentu, z prawdziwym i głębokim smutkiem biorę dziś pióro do ręki, aby wam kreślić żywot téj znamienitéj artystki.» Mimo téj ciężkiéj żałości, znalazł jednak p. Y. ulgę w artykułach osławionego Lecomta, z których żywcem wziął żywot téj znamienitéj artystki. Ale gdy nastąpiła sprzedaż publiczna jéj pozostałości, gdy sprzęty, meble i *bonbonierki* wielkiéj Racheli puszczone zostały w targ, a do tego jeszcze, jak mniema fanatyczny wielbiciel, po nizkich cenach przedane, wtedy wezbrane serce korespondenta zalało wszystkie brzegi dziennika żalami i jękami, tak że już sama redakcya widziała się zmuszoną temu potokowi łez położyć tamę protestującym przypiskiem. «Powiedzmyż otwarcie — odważyła się wreszcie przebąknąć szanowna redakcya — że nie możemy podzielać

tego rzewnego prawie żalu naszego korespondenta. Owszem powiedzielibyśmy, że nas gorszy ten cały pośmiertny rozgłos, który nie byłby większym, gdyby chodziło o jakiegoś dobroczyńcę ludzkości. Talent podziwiamy, ale kiedy widzimy pewne ubóstwienia samejże osoby, wtedy w imieniu obrażonego sumienia publicznego protestujemy, i uwielbienię zachowujemy dla niewiast, które postępują mniéj świetną drogą prostych cnót domowych i zwyczajnych obowiązków.»... Nic zaprawdę rozsądniejszego, nic słuszniejszego! Pozostaje tylko maluczkie pytanie, poco szanowna redakcya wydrukowała ten list, przeciwko któremu musiała protestować? Pozostaje, powiedzmyż otwarcie, wielkie pytanie, poco redakcya drukuje w ogóle listy pana Y.?... Miałyżby ją wistocie przekonać argumenta, które jéj współpracownik wyłożył w N. 114? A warto posłuchać téj wielkiéj oracyi *pro domo et circo;* warto przypatrzyć się sposobowi, w jaki nasz pisarz tłumaczy swoje nieskończone *didaskalie.* «Wiem ja, powiada on, że redakcya niezawsze zgadza się chętna na te moje długie ustępy i wycieczki w dziedzinę teatrów, a jednakże nie jest to rzecz, jakby się zdawać mogło na pierwszy rzut oka, mojego tylko *widzi mi się,* albo mojego szczególnego zamiłowania do sztuki dramatycznéj. Jest w tém inna myśl jeszcze i inna pobudka...» I któżby tego się i domyślił: pobudka to moralna, patryotyczna! Korespondent chce tém odstraszyć od złego!! Jeśli, jak sam powiada, «dagerotypuje tak drobnostkowo fizyognomie tutejszych teatrów, to chodzi mu o pokazanie niestosowności przyswojenia dla nas tego, co było stworzone dla Paryża.» «Bo — i tu podnosi korespondent głos grzmiący, majestatyczny — bo kiedyż odzwyczaimy się nakoniec od téj staréj wady polskiéj: żyć w literaturze jałmużną i cudzym chlebem i uczyć naszych Mazurów tych głupstw i bezeceństw, które są wypadkiem innéj wcale obecnéj chwili (— innéj a zarazem i obecnéj

chwili! *audite et plaudite!* —) żywota obudwu narodów?» O głębokości apogogicznego dowodzenia! O, machiawelizmie moralności! A któż, my znów zapytamy, a któż właśnie żywi naród cudzym i zatrutym chlebem, któż dla nas wciąż przyswaja co było stworzone dla Paryża, *któż naszych Mazurów uczy głupstw i bezeceństw*, jeśli nie właśnie ci nasi korespondenci, tak szeroko rozpisujący się nad każdym scenicznym lub salonowym brudem? Dziwny to zaprawdę środek zniechęcenia do złego takie nieustanne tego złego rozprowadzanie i roztaczanie, i przypomina to pewną pedagogikę, która radziła dzieci prowadzić do domów zepsucia, aby w nich wzbudzić odrazę do roskoszy! Namby się zdawało, iż aby odwrócić od zepsucia, trzeba najmniéj o niém gadać, a przedewszystkiém przywodzić przed oczy objawy i przykłady zacności, uczciwości, świętości. Jeśli pan Y. pragnie naszych Mazurów oderwać od głupstw i bezeceństw, ma bardzo skuteczny do tego sposób w opowiadaniu im dzieł mądrości i cnoty, których jest podostatkiem. Niedawno przed panną Rachel umarła tu siostra Rozalia: kilka miesięcy temu wyszedł jéj żywot napisany przez pana de Melun. Co za żywot i jakaż święta niewiasta! Ileż tu cnót wielkich, nadludzkich prawie, a jednak tak znowu ludzkich bo chrześciańskich! Jakież tu sceny i co za dramat! Sceny tu barykad i wojen domowych; dramat to najszczytniejszy, dramat cierpiącéj ludzkości! Ale jedna tylko *Biblioteka Warszawska* podała wiadomość o tém dziele; paryzki korespondent katolickiéj *Kroniki* ani o niém pomyślał! Ojciec Lacordaire ogłasza teraz *Listy do młodego człowieka o sposobie kształcenia się*. Co to za przedmiot przydatny dla polskiego kronikarza! Ileż on tu nauk czerpać i rad przedstawiać może dla naszéj nieszczęśliwéj młodzieży, bez sternika, bez przewodnéj gwiazdy, spragnionéj wiedzy a nieznajdującéj nigdzie klucza! Czyż kto choć zwrócił uwagę naszych dzienników na te słowa

mądrości i prawdywielkiego kapłana? Pan Villemain ogłosił życie Chateaubrianda. Autor *Geniuszu Chrześciaństtwa*, objaśniony przez najgenialniejszego historyka literatury francuzkiéj : zdawałoby się, że taki temat powinien mieć niemałą ponętę dla polskiego sprawozdawcy z umysłowego ruchu we Francyi! Ale pan Y. zdobył się na tyle tylko, aby oświadczyć, że zna tę książkę; o pamiętnikach zaś p. Guizota krótko zawyrokował, że autor ich « zajęty jest uporządkowaniem swego przedmiotu w taki sposób, aby cale i główne światło gromadziło się około jego figury » — czém poprostu dowiódł, że tego dzieła wcale nie czytał. Guizot, Villemain, Lacordaire, Melun! Wartoż o takich rzeczach pisać do Polaków? Pan Y. woli im opowiadać wszystkie perypetye *Fiaminy*, lub *Fausses bonnes femmes*, lub *Ohe! mes petits agneaux*, i przy téj sposobności nauczać że « blizkimi czasów Moliera byli Gretry i Mehul » z których pierwszy umarł w r. 1813, a drugi w r. 1817 ; lub téż, że nędzny wierszokleta Lefèvre Deumier miał « głębokie poetyczne uczucie ; » albo też, że p. Augier, którego osławiony wiersz w *Gabryeli* oburzył nawet niezbyt zaprawdę delikatne sumienie *Figara*, jest « autorem czystego smaku i moralności » !! Ktokolwiek zna choć ze słuchu obecny stan Francyi ten wie, jaką to prawdziwą uroczystością, od czasów umilknienia parlamentarnéj trybuny, jest tu dla wszystkich umysłów wykształconych każde publiczne posiedzenie Akademii francuzkiéj. Korespondent *Kroniki* zaręcza natomiast, że te posiedzenia nie obchodzą Paryżanów, że na nie tylko uczęszczają zagraniczne gawrony i stare kwoki ; i woli o takich marnościach nie gadać. *Is it mandness, so has it methode* » : mówi Poloniusz. Pan Y. chce odstraszyć od złego nieustannném jego rozpowiadaniem ; i skutkiem zapewne téj saméj logiki, myśli zachęcić do dobrego, dyskretném jego przemilczaniem...

Powtarzamy jeszcze raz nasze pytanie : dla czego *Kro-*

nika drukuje te paryzkie listy, przeciwko którym publicznie i poufnie protestować widzi się zmuszoną? Znaczy to zaprawdę zbyt daleko posuwać chrześciańską rezygnacyą i zawiele też wymagać od cierpliwości czytelników, których dziennik sam w przeszłym roku do czegoś lepszego był przyzwyczaił. *Kronika* w przeszłym roku miała spółpracownika w Paryżu (L), który wcale inaczéj pojmował, jakby to Mazurów odstarszyć od głupstw i bezeceństw. Nie był i on ideałem korespondenta : dalecy jesteśmy od podobnéj myśli! Pan L. prawie wyłącznie tylko pisał o malarstwie, o rzeczach artyzmu i sztuki : a czytelnicy nasi wiedzą, jakie w téj mierze nasze przekonania i widzenia. Wszakże nie można zaprzeczać, że pan L. o tych przedmiotach pisał z wielką znajomością, z prawdziwą kompetencyą, ze smakiem i gustem; a ile razy po za tę ciasną wychodził sferę, objawiał niemal zawsze sąd zdrowy, uczucie szlachetne, miłość rzeczy ojczystych i ujmującą do nich tęsknotę. Przedewszystkiém zaś zalecał się stylem pięknym i czystym, pełnym łagodnego dowcipu i delikatnego humoru — a zaleta to tak rzadka teraz w naszém dziennikarstwie! Jeśli ten figlarny pisarz dla tego tylko dał się zastąpić przez pana Y. aby jego straty tém więcéj żałowano (—Richelieu podobno w takiéj saméj złośliwéj myśli polecił konając Mazariniego! —) może on sobie zaprawdę najzupełniejszego winszować sukcesu. Nie pojmujemy tylko, czemu redakcya dziennika z takiém poddaniem się na to zastępstwo przystaje, i nie możemy nie pociągać jéj w téj mierze do surowéj odpowiedzialności. Jakto! *Kronika* chce podnieść moralność naszego kraju, i nie zna na to lepszego sposobu, jak stawienie mu przed oczy wszystkich niemoralności świata! *Kronika* zamyśla być organem katolickich opinij w Polsce, a arkusze jéj ze znakiem Y. robią zupełne wrażenie *Figara* i *Entractu! Kronika* jest pobożną, a pobożnym swym czytelnikom i czytelniczkom opowiada,

jakie to «paryzkie cacko chwilowe» i płciowe « oddała fortuna w ręce» pana Mario Uchard...

Comment, vous êtes dévote, et vous - cancannez !...

Rozszerzyliśmy się nad spółpracownikiem *Kroniki*, bo jest typem wielu, i nietylko paryzkich korespondentów w naszych pismach krajowych, typem także i tych nowelistów ze stolicy Francyi, którzy ostatniémi czasy następowali po sobie w *Gazecie Codziennéj* — dość szybko i dość smutno. W stylu, w zakroju, w zamiłowaniach i zasobach niewiele się różnią od pana Y. Styl to zawsze zawadyacki i pudermański, pełen rubaszności i trywialnych dykteryjek, pełen galicyzmów i «niegramatyczności». Szczegółowo ich rozbierać i charakteryzować nie mamy ochoty, ani też tego widzimy potrzeby. Wszyscy, równie jak p. Y. piszą o samych tylko sztuczkach i figlach, o samych hecach i spektaklach; wszyscy się przechwalają ze swoich stosunków i relacyi w wielkim świecie i półświecie. Dla nas, wtajemniczonych w prawdę i wiedzących bardzo dobre, że niéjeden z tych pisarzy wcale ciężki i mozolny pędzi żywot tułacza, że niejeden z nich nawet na prowincyi osiadły, godziwego tam szuka zarobku, dla nas nad miary pociesznemi wydają się te ich występywania w charakterze dandysów i fashionablów, nieopuszczających niby żadnego steaple chasu i żadnéj reprezentacyi, uczęszczających do Faubourg St.-Germain i zpoufalonych ze wszystkiemi znakomitościami Paryża. Nieraz nowellista opisuje pewien wieczór u jakiejś wielkiéj pani, na którym niby widział tego i owego : kiedy tymczasem tego wieczoru właśnie na biedném poddaszu suszył sobie głowę nad niewinnym, bo jeszcze białym papierem i szukał strawy w pożyczanym z czytelni *Figarze*, lub podobnéj publikacyi. Najnowszy paryzki kollaborator *Gazety Codziénnéj* przeniósł wprawdzie plac fikcyjny daleko niżéj, do kawiarni — bo też tym razem chodziło tylko o opisanie —

polskich « znakomitości » ! Do kawiarni więc zwołał wszystkich w Paryżu osiadłych polskich artystów i pisarzy, i zaczął ich portretować, opowiadając o jednym, że ma nos czerwony, o drugim, że łysy, o trzecim, że trzyma łeb zadarty, i t. p.; a w końcu nawet kazał wystąpić z długiem przemówieniem jednemu z wymyślonych gości, który w estaminetach perorować nie ma, o ile wiemy, zwyczaju. W takiém to świetle, i siebie samych i swoich braci w tułactwie wystawiają przed krajem korespondenci z Paryża!...

Po tylu latach nędzy i cierpień strasznych, po ćwierci wieku oddalenia i ciernistéj pielgrzymki, po tylu walkach stoczonych na polach polskich, węgierskich, włoskich, niemieckich i na nierównie krwawszém może polu ducha, po tylu bolesnych zawodach i mękach serdecznych — głos tułactwa przebija się do kraju, do Polski — i głos ten tylko umie śpiewać *faridondainy i gaudriole!* Pokolenie narodowéj pokuty, dla którego wieszcz nieśmiertelny napisał księgi pielgrzymstwa, teraz, gdy wreszcie może przemówić do braci pozostałéj w ojczystéj ziemi, nie znajduje już nic lepszego do opowiadania jéj, jak hece i figle, nic wznioślejszego do pokazywania, jak cyrcejskie nory i *circenses!* I ci, których Polska wysłała jako świadków swéj wiary i trybunów swéj sprawy, stawają przed nią samą jako trubadury *cours d'amour*, jako mistrze *gai saber* i *tribuni voluptatum!*...

Czyż wistocie nic innego nie wynieśliśmy z naszéj trzydziestoletniéj pokuty na Zachodzie, i czyż Zachód już nic poważnego, wielkiego, świętego nie przedstawia do głoszenia, zalecania i sławienia przed naszym biednym, nieszczęśliwym krajem?... Odpowiemy na to pytanie w dalszym ciągu tych bolesnych studiów.

OBCHÓD W MONTMORENCY.

29 maja.

Dnia 22 b. m. ranny pociąg kolei północnéj wywiózł z Paryża większą jeszcze niż zazwyczaj liczbę Polaków, który dzień wspomieniu Zmarłych na tułactwie przeznaczony, chcieli święcić na miejscu, gdzie dawniéj mieszkali dwaj Patryarchowie Emigracyi, gdzie dzisiaj, razem z innymi równie drogimi sercom naszym, pochowane są ich zwłoki.

W kościele Montmorency, przed ołtarzem Naświętszéj Panny ubranym w białe róże, i w około katafalku pod którego kirem żałobnym spoczęło tyle wielkich imion, zebrały się ku modlitwie i uklękły cztery pokolenia Polski.

Byli tam co jeszcze naszę ojczyznę w całości widzieli; byli co jéj skargę pierwsi na Zachód ponieśli; byli żołnierze ostatniéj wojny o niepodległość, i byli synowie pokuty, którzy jeszcze nigdy Białego Orła w chwale nie widzieli a wszystkiego spodziewają się od Boga.

Każdy z nich w téj godzinie uroczystéj zdjął z siebie co było w nim ziemskiém i człowieczém, odsunął pamięć codziennych zawodów i duszy ucisków : myśl wszystkich

spłynęła razem w modlitwę o zbawienie dla zmarłych i zbawienie dla żyjących.

Kiedy z chóru zadźwięczała polska pieśń i od ołtarza kapłan zawołał : Panie zmiłuj się nad Twojem ludem, kościół cały zdawał się odpowiadać cichém łkaniem : Panie zmiłuj się nad polskim ludem, odejmij Twą rękę karzącą!

A gdy z kazalnicy rozległy się słowa : Jeśli ciebie zapomnę, o Jeruzalem! niechaj prawica moja zapomni o sobie, każdy czuł że mu to słowo mowca wyrwał z głębi duszy, że je podniósł do wysokości prawdy religijnéj, i każdy nim wyszedł z kościoła, w milczeniu, ponowił ślub wierności przed Tronem Boga Rodzicy.

Jeden z młodych krajowców, który zeszłéj soboty odbył emigracyjną pielgrzymkę do Montmorency i groby tamtejsze odwiedził, przesyła nam pismo pełne serdecznych wrażeń jakich doznał na cmentarzu, i żąda abyśmy je ogłosili dla kolegów jego z kraju przybyłych.

« Uchylmy głowy, bo o to przed nami groby ś. p. Niemcewicza, Kniaziewicza, Mickiewicza i tylu innych wygnańców, tułaczy; oto groby przed któremi chylą się wrogi nasze! Przybyli z różnych prowincyj naszego kraju, zgromadziliśmy się dziś w téj spólnéj pielgrzymce, aby choć raz w życiu przynieść im tu spólny wieniec z serc naszych. Czém byli, jakie ich dzieła, byłoby krzywdą wam przypominać. Czyjeż serce nie pamięta jeszcze owych piosnek nuconych mu nad kolebką, owych pieśni co mu wykołysały duszę, co jego myśl ku szlachetnym skierowały celom? Czyjaż pamięć zapomniała tych dziejów, gdzie zapisane zostały poświęcenia mężów, którzy idąc przez świat nieśli swe życie na boje, w nadziei że gdziekolwiek walcząc, wywalczą ojczyznę? Strudzeni ale nie ugięci spoczęli, spoczęli daleko od swojéj ziemi. Los, z którym szli w ciągłych zapasach,

złamawszy im wszelkie osobiste nadzieje, odmówił im nawet grobu w ojczyznie. Widzieliście z blizka gorzki ów chleb tułaczy. Poznaliście choć w części czém jest tęsknota, chociaż wasz powrót zawsze od was zależy. Dla nich wszystkie drogi były zamknięte, otwartą była tylko jedna, i tylko myśli ich leciały po niéj przejęte boleścią.

» Uchylmy czoła i przed tą garstką co tu widzimy. Nie lata podeszłe te barki zgięły, siwizną przypruszyły te głowy szlachetne i dumne. Pomimo nieszczęść i zawodów, pomimo niedoli, ubóstwa i wszelkich zniewag losu, idą oni odważnie i równo, patrzą spokojnie w przyszłość i na ten grób co ich tu czeka. Uchylmyż czoła przed tém życiem pełném poświęcenia i wytrwania, przed témi grobami pełnémi nauki. Wezmijmy z nich po garstce ziemi : będzie to dar dla naszych przyjaciół i krewnych, droższy nad wszelkie upominki przywiezione z zagranicy. Czeka nas tam wielka praca nad sobą i dla drugich, od któréj żaden stan ani położenie wyłączyć się nie może; czekają tam przedewszystkiem próby i ofiary dla pojednania się z ludem. Gdy więc czasem nasza wola się zachwieje i siły osłabną, gdy nam może żal będzie odrobiny mienia dla podniesienia losu i kilku chwil na dzień dla podniesienia duszy naszego ludu, niech ta garstka ziemi przypomni ofiary tułaczy, których wszystkie stopnie nędzy nie zachwiały i których wtedy dopiero w grób złożono, kiedy przeszli wszystkie gammy bolów!

» Wróciwszy więc pod nasze dachy, gdy nam serce uderzy na widok pól i gajów ojczystych, w uścisku rodziny i przyjaciół, śród łez radości wspomnijmy o tych, którzy często nawet przy skonaniu nie mieli przyjaznéj ręki, coby im powieki zamknęła, których oko i przy śmierci patrzało ku ojczyznie. Wielka się epoka przed nami otwiera, świat na nas patrzy, głosy z pod tych mogił wołają! Wracając więc z tego cmentarza, wra-

cając do kraju, wynieśmy ztąd silną wolę aby ofiary krwi, łez i geniuszu nie były daremne i niezawołały o pomstę do Boga.

» Wy zaś cienie drogich Wieszczów, Wojowników, Męczenników, męże czynu, błogosławcie naszéj drodze, uproście nam pojęcie naszych obowiązków i wykonanie ich w wierności Bogu i Ojczyznie ! »

KONSPIRACYA DZIECI WE LWOWIE.

13 czerwca.

Odebrane ze Lwowa listy stwierdzają, o czém już poprzednio wspomniały dzienniki, że rząd austryacki wpadłszy na ślad tajnego politycznego związku Rusinów, przedsięwziął tak w samym Lwowie, jak w cyrkułach wschodnich, dość liczne między młodzieżą i parafialném ruskiém duchowieństwem, aresztowania. W jakim celu utworzono ten związek, jak dalece był rozgałęziony, czy był samorodnym objawem dążności Rusinów rządowi nieprzyjaznéj, czy też go wywołali agenci obcy, o tém, przy małéj liczbie znanych faktów i przy bardzo usilném staraniu władz miejscowych, aby sprawie nie dać rozgłosu, nic dotąd z pewnością powiedzieć się nie da. To tylko pewna, że rzecz cała jest w wysokim stopniu nieprzyjemna austryackim urzędnikom. Boli ich wyznać, że ulubione, pierworodne dziecię hr. Stadyona, w katedrze Święto Jurskiéj ochrzczone, z taką pieczołowitością od roku 1847 hodowane, lat męzkich jeszcze nie dorosłszy, już się brzydką niewdzięcznością odpłaca tym, którzy je od polskiéj jakoby chronili przemocy. Wstydzą się pomyśleć, że te oznaki

niezadowolnienia Rusinów, mogą mieć jakiś stosunek z panslawistyczną sympatyą ku Moskwie. « Czyż podo» bna, mówią, aby ludy, które cieszą się austryackiemi » instytucyami, które mają szczęście zostawiać pod » wszechstronnie uszczęśliwiającym ojcowskim rządem, » mającym na szczególnéj baczności równouprawnienie » mieszkańców, postęp czasowi odpowiedni i powsze» chną zamożność, jakżeż podobna, aby miały skłon» ność ku państwu, gdzie knut nad wszystkiém panuje, » a zwłaszcza w chwili, kiedy to państwo samo się » rozpada (1)!... » Nie wierząc zatém własnym oczom, odmawiając Rusinom wszelkiego powodu niechęci a Rossyi wszelkiéj możności wpływu, urzędnicy austryaccy, skoro zaprzeczyć nie mogą świeżym w cyrkułach ruskich aresztowaniom, zaręczają że to są znowu « polskie wichrzenia » (*eine polniche Agitation*)!

Zanim damy głos naszemu korespondentowi, uważamy za stosowne, dziś, po upływie dziesięciu lat od chwili, w krórćj Święto Jurskie rady i zwady całą napełniły Galicyą, przypomnieć czém była dla rządu austryackiego w owym czasie kwestya ruskiéj narodowości. Kiedy w zachodniéj Galicyi w roku 1846 złożył lud (jak się późniéj wyraziło ministeryum w motywach do galicyjskiéj konstytucyi) « dowody swéj wierności dla tronu i wyprobowanéj życzliwości » zdawało się hr. Stadyonowi pożytecznóm ubezpieczyć i wschodnią Galicyą środkiem, któryby jéj mieszkańcom nie zostawiał żadnéj nadziei zgodnego porozumienia. W tym celu, pana Chomińskiego, który już miał sposobność okazać się *biegłym* w swej *sztuce*, powołał z oko-

(1)...Unter einer allbeglückenden väterlichen Regi rung, welche die Gleichberechtigung aller Einwohner, den zeitgemässen Fortschritt und den allgemeinen Wohlstand besonders im Auge behalt... ein Staat, wo die Knute über alles herrscht... zumal in einem Augenblicke, wo das russische Reich in sich selbst zerfält.. (*Ulubione wyrażenia urzędnjków austryackich, dzisiaj szczególnie powtarzane.*)

lic Tarnowa do Stauropigiańskiego Zakładu, którego członków właśnie w tym czasie zachęcał do wydawania pisma w języku ruskim. Ale gdy członkowie Stauropigii nie mogli pogodzić się, jakiemi czcionkami drukować mają owe pismo, czy łacińskiemi, czy téż kirylicą, wybuchła rewolucya wiedeńska : ztąd dla urządników Galicyi konieczność szybszego działania. Hr. Stadyon, niebawiąc, kilku Niemców i Czechów kreował na Rusinów i wnet wszyscy austryaccy konsyliarze nadworni i gubernialni, koncepiści, kontrolery i praktykanci, poczęli w czwał ubiegać się o zaszczyt ruskiego indigenatu. Zebrało się w ten sposób dwudziestu czterech Rusinów jak Emminger, Oetel, Pöcher, i ci wraz z dziesięcioma alumnami seminaryum, którzy przynajmniéj po rusku umieli i kilkunastoma unickimi księżmi, podpisali pierwszy akt walnego soboru narodu ruskiego : *Hauptversammlung der Ruthenischen Nation!* Powoli, konsystorz ruski we Lwowie prawie cały dał się wciągnąć do téj Rady; zaczęto wydawać pismo, pełne złości i jadu pod tytułem *Zorya Hałycka*, które rozsyłano po wszystkich parafiach i czytano wiejskiemu ludowi, jakoby od metropolity lwowskiego pochodzące.

Musim wyznać, że nie wszystkie duchowieństwo unickie, nawet we Lwowie, miało jednakowe zdanie o uczciwości téj sprawy. Sam metropolita z niesmakiem o niéj się wyrażał, ze wstrętem widział tylu kapłanów do niéj wmieszanych, lecz naglony przez obywateli, aby duchowieństwo powstrzymał, objawić głośno swego zdania nie śmiał, czy téż nie mógł. Grono zacniejszych Rusinów, chcąc oświecić lud zwodzony, zaczęło wydawać w poczciwym duchu pismo ruskie : *Dnewnik,* ale dziennik ten nawet ludu nie dochodził, poza Lwowem mało czytany, wkrótce upadł. Wiele także z owych czasów dochowało się broszur świadczących, jakiém oburzeniem przejęci byli obywatele ruscy na te niecne zabiegi rozerwania dwóch ludów wiekową tradycyą i

spólnością interesu złączonych. Ale jak zawsze, krzykliwsi, zjadliwsi, którzy przed kłamstwem i potwarzą cofać się nie zwykli, wzięli górę. Bywają w każdém społeczeństwie ludzie, których zapał rośnie w miarę im brudniejsza nadarza się im sprawa, im lichszych potrzebuje środków. Niezawsze te zdolności znajdują dla siebie pole, ale każdy podstęp i wszelka intryga ma na zawołanie tego rodzaju szermierzy. Znalazło się ich między Rusinami podostatkiem; byli i między duchowieństwem unickiém tacy, którzy w nadziei nagrody, a nawet przez samę tylko miłość skandalu, gorąco pochwycili plan biórokracyi, aby naprzeciw działaniom i dążnościom Polaków, wydobyć z Rusinów niespodziany objaw patryotyzmu austryackiego. Wnet potworzyły się po miastach cyrkularnych Rady filialne ruskie; parafie i wsie zasypane były pismami ziejącemi wściekłą nienawiścią i grożącemi wojną domową. W trzy miesiące niespełna od chwili wydanego hasła we Lwowie, mogli sobie pochlebiać urzędnicy austryaccy, że lud wschodniéj Galicyi, w razie potrzeby, potrafi także złożyć examin swéj « *wierności dla tronu !* »

Naszczęście, nie potrzebowała biórokracya iść daléj po téj drodze; ale walka choć na papierze, toczyła się zawzięcie i systematycznie : na każdy strzał odpowiadano strzałem. Żądały komitety polskie organizacyi narodowéj dla Galicyi; zaraz Rusini zażądali podziału Galicyi na dwie prowincye. Domagano się z polskiéj strony wprowadzenia języka polskiego do szkół i urzędów a języka ruskiego do szkół wiejskich wschodniéj Galicyi; odpowiedziała Rada Święto Jurska petycyą o zatrzymanie w szkołach i administracyi języka niemieckiego « dopóki narzecze ruskie się nie wykształci. » Przyszedł Lwowianom pomysł obchodzić w lat 165 rocznicę zwycięztwa Jana III pod Wiedniem; więc i Rada Święto Jurska urządziła nabożeństwo, aby uczcić austryackie zwycięztwa we Włoszech. Każda zgoła odezwa i każda

manifestacya polska musiała zaraz w Galicyi, dzięki Rusinom, pokazać się przed światem w austryackim mundurze!

Ta nieszczęśliwa, jak ją wówczas zwano, cesarsko-królewska narodowość, któréj misyą było trawestować czynności polskie, żyła blizko dwa lata. Aż rząd austryacki zakończywszy wojnę włoską i o Węgry uspokojony, gdy dłużéj komedyi Święto Jurskiéj nie potrzebował, umyślił odprawić jéj aktorów. Rozwiązał Rady ruskie i *Zoryą Hałycką* skasował. Urzędnikom nakazał milczenie, kilku zasłużeńszych nagrodził posadami, kilku których gorliwość za daleko uniosła, przeniósł do innych prowincyj, a żarliwym mowcom rad filialnych i redaktorom pism i proklamacyj poradził, aby porzuciwszy trybunę polityczną, przestali na swym obowiązku wiejskich parochów i djaków. Rozumiał on, i dość powszechnie wówczas rozumiano, że cała ta z taką sztuką wywołana agitacya, skoro się ją zaprzestanie ożywiać, ucichnie sama z siebie i żadnego śladu po sobie nie zostawi. Tak stanęły rzeczy w roku 1850; obaczmy jak są dzisiaj.

« Założono tu niezbyt dawno (pisze nasz lwowski korespondent) instytut preparantów przy Stauropigii, pod dyrekcyą p. Paszkowskiego, mający na celu przygotowywać młodzież na nauczycieli do szkół ruskich. Jeden z uczniów tego zakładu, pełniący obowiązki nauczyciela domowego u p. *** konsyliarza sądu apelacyjnego, przyszedł (16 kwietnia) skarżyć się przed ojcem swych pupilów, że kazano mu w instytucie przysięgać na konfederacyą. Uderzony tém wyznaniem konsyliarz, uwiadomił o niém natychmiast p. Gołuchowskiego i p. Strojnowskiego (prezesa sądu apelacyjnego), którzy tegoż samego wieczora, aż do późna w nocy badali młodego preparanta. Nazajutrz i następnego dnia (17 i 18 kwietnia) aresztowano p. Paszkowskiego dyrektora instytutu, 18 preparantów, oraz zecerów zakładu stauropigiań-

skiego. Padły podejrzenia na alumnów seminaryum; kazano im wyjść na spacer i papiery ściśle przetrząśnięto. Dnia 20 kwietnia aresztowano czterech ruskich księży, lecz wkrótce większą ich liczbę z innych cyrkułów przywieziono; zamknięto także jak słychać kilkunastu wiejskich nauczycieli. Z Polaków dwaj do téj sprawy wmieszali się: Rafałowski, podobno rodem z Stanisławowskiego i Roman Zmorski, który podczas pobytu na Wschodzie, otrzymał amnestyą z powrotem do Królestwa i przed kilkoma miesiącami przyjechał do Lwowa.

»W skutek rozkazu władz, rzecz cała trzymana jest w najściślejszym sekrecie; inkwirentom polecono, aby bez pomocy aplikantów, sami spisywali zeznania obwinionych. Do dziś dnia kilku aresztowanych uwolniono, kilkunastu oddano do wojska, reszta nieprędko zapewne doczeka się wyroku. Jest rzeczą uderzającą, że ani żandarmerya, ani policya do wykrycia związku nie przyczyniła się, a jeśli od kogo należało spodziewać się dokładnych informacyj, to przedewszystkiem od prezesa policyi p. Chomińskiego. Wszak przez długi czas był on z Rusinami w najściślejszych stosunkach, wszak karyerę swoję (że nie wspomnę o zasługach z roku 1846) winien głównie sprawie Święto Jurskiéj. Pomimo to, przywołany przez gubernatora, nic o związku nie umiał powiedzieć. Ta nieczynność policyi, obudziła jak się zdaje podejrzenie rządu, w skutek czego sprowadzono z Berna dyrektora policyi, który po kilkodniowéj indagacyi odjechał. Uderzyło i to, że skoro po kraju rozeszła się pogłoska o aresztowaniach, konsul rossyjski w Brodach począł rozpowiadać, że gubernator Galicyi zawiadomiony był o téj konspiracyi przez policyą warszawską...» Rezultatem dotychczasowych badań, o ile przecisnęły się z zamknięcia inkwizytoryatu, ma być: że młodzież w instytucie preparantów zawiązała *konfederacyą ludów słowiańskich* w celu oderwania się od Austryi, że między

duchowieństwem parafialném i nauczycielami wiejskimi, związek ten znacznie już był rozgałęziony, że odkryto ślady porozumienia z południowymi Słowianami w monarchii, że w Stauropigii drukowały się potajemnie dzieła o Słowiańszczyznie tłumaczone na język ruski. Jak wielka zas liczba znajduje się uwięzionych, dowiedzieć się nie można.

Czytając te szczegóły, trudno nie być uderzony podobieństwem, jakie zachodzi między wspomnianą konfederacyą a owemi konspiracyami, któremi pewne mocarstwo umiało oplątać ludność słowiańską pod panowaniem tureckiém. Wiadomo, że przed wojną wschodnią w całéj Bulgaryi nauczyciele wiejscy i duchowieństwo, byli prawie bez wyjątku agentami Moskwy. Wiadomo, że szkoły bulgarskie ozdabiane bywały portretami rodziny cesarsko-rossyjskiéj, że cerkwie wzbogacano darami, i że agenci polscy na Wschodzie, którzy nie bez narażenia życia pracowali, aby Słowian utrzymać w zgodzie z Turcyą, często spotykali się oko w oko z emisaryuszami, pobudzającymi Serbów lub Bulgarów do powstania. Rząd rossyjski nie lęka się bynajmniéj rewolucyj w państwach sąsiednich; owszem umie je przygotowywać, umie wzburzone ludów namiętności tak długo utrzymać na wodzy, jak długo musi czekać, aby skorzystał z wybuchu. Czyżby to kogo zadziwiło, gdybyśmy powiedzieli, że jest pewna partya moskiewska, która pragnie rozruchu dzisiaj, nawet w prowincyach berłu rossyjskiemu podległych! Czy raczéj nie jest to dla każdego widocznêm, iż rozruch taki mógłby użytym być, jako stanowczy dla cesarza Alexandra dowód : że różnorodne ziemie państwa rossyjskiego nie dadzą się inaczéj w pokoju utrzymać, jak tylko przez systematyczne niszczenie zasobów moralnych i materyalnych kraju, przez ogłupianie młodzieży, przez wywóz ludności, przez konfiskaty majątków, jednêm słowem przez system mikołajowski!... Skoro więc

w swojém państwie Moskale dość byliby dzisiaj chętni zbrojnemu zamieszaniu, cóż naturalniejszego nad to, że spostrzegłszy błędy polityki austryackiéj, zapragnęli z nich korzystać i umieli zawczasu podnieść opuszczoną kwestyą ruteńską.

Lecz skutkiem jakich przejść i jakich zawodów w Galicyi, ta kwestya z austryackiéj obecnie stać się mogła rossyjską? Kiedy w r. 1848 Galicya wybierała posłów na sejm wiedeński, Rady ruskie zawiązały się w koła wyborcze dla popierania kandydatów rządowych; a gdy jeden z posłów wschodniéj Galicyi, p. Popiel, rodem Rusin, wotował na sejmie z posłami polskimi, Rusini protestowali przeciw jego narodowości, twierdząc że ten nie może być Rusinem, kto przeciw rządowi wotuje. Być więc Rnsinem, a stronnikiem rządu austryackiego, czyli jak w ówczas mówiono: *szwarcgelberem*, za jedno uchodziło. Dzisiaj tenże sam rząd odkrywa tajemny związek polityczny ruski, i związkowych aresztuje!...

Po rozwiązaniu Rady Święto Jurskiéj, niejednemu z Rusinów przykro było wrócić do życia prywatnego, a wróciwszy, długo nie mógł uspokoić się. Pełno było skarg, użaleń, pretensyj! Narzekało w ogólności duchowieństwo parafialne na zbyt małe uposażenie i domagało się od rządu wynagrodzenia. W czasie gdy gminy wiejskie oddzielano od dworskich, popi uniccy z zapałem podawali się na pisarzy gmin, i nie bez przykrości dowiedzieli się o rozporządzeniu władz, które im tego urzędu wzbroniło. Znaleźli natomiast pewną kompensatę w tworzących się szkółkach wiejskich, gdzie najstarszych synów mogli używać jako nauczycieli, i w ten sposób zatrzymywać w swéj rodzinie dochody do szkoły parafialnéj przywiązane. Wielom z nich rząd udzielił pensye osobiste (*personal-zulage*) wzięte z funduszu obrządku łacińskiego. Ale koncesye te nie mogły zaspokoić rozbudzonych chęci i nadziei, bo już Rusini nie znajdowali w rządzie téj co poprzednio, wyraźnéj pro-

tekcyi. Kiedy więc czynione sobie obietnice i oddane przez siebie usługi z tém co im w istocie przyznano porównywali, spostrzegli się nareszcie, że byli tylko ślepém w ręku biórokracyi narzędziem, i nicby nie było dziwnego, gdyby wielu z nich straciwszy nadzieję, a może zemstą uniesieni, w inną stronę skierowali swe usługi i życzliwość. Czy na dobrą trafili drogę, czy nie narażają się znowu na zawód bolesny, to już inne pytanie.....

Cokolwiekbądź, nie ulega wątpliwości, że położenie rządu austryackiego w Galicyi, obecnie wielce jest różném od tego, jakie było przed laty dziesięcią. Jeśli prawda, że we wschodnich cyrkułach ludność wiejska zaczyna okazywać sympatyą ku Moskwie, to również trzeba o tém pamiętać, że i w zachodnich, chłopi, w znacznéj przynajmniéj części, gdyby mieli wybierać między dwoma sąsiedniemi rządami, dziś jeszczeby ich tylko wstrzymała jedna obawa wrócenia do pańszczyzny. Ale wszak w Rossyi niedługo zniknie pańszczyzna!... Wprawdzie może rząd austryacki tem się pocieszać, że mimo krzyczących o pomstę niesprawiedliwości, których się dopuścił na wyższych klasach w Galicyi, szlachta tak dobrze jak mieszczanie téj prowincyi, nie zbliżyli się do Moskwy, i dopóki czuć się będą Polakami, nigdy się z nią nie pogodzą; ale jakiż ztąd pożytek dla Austryi? Nie o Polskę tu chodzi; jéj przyszłość od zdrad ludzkich niezawisła, w ręku jest Boga i w dzielności jéj synów! Ale na cóż się przyda rządowi austryackiemu ta wierność, którą Polacy dla swéj sprawy chowają, kiedy dziś jeszcze ślepa biórokracya tłumi w Galicyi wszelki, choćby téż najspokojniejszy objaw polskiéj narodowości! Na co się przyda poczciwe uczucie szlachty i mieszczan, kiedy system rządowy ku temu zdaje się być zkierowany, aby ich podatkami zrujnować i aby własność ziemską oddać w ręce Żydów, kosmopolitycznych spekulantów lub w ręce spanoszonych chłopów. Na co

się wreszcie przyda Austryi ów wstręt, którym ku Moskwie przejęte są klasy wyższe w Galicyi, kiedy ośmdziesięciu lat swego panowania rząd ku temu tylko użył, aby zerwać spójnią moralną łączącą warstwy niższe z wyższemi i aby szlachtę pozbawić wszelkiego wpływu na ludność włościańską!... Było dawniéj ulubioném polityków austryackich wyrażeniem, że ich rząd opiera się na masach? Dzisiaj masy te, mordem i kradzieżą na widownią polityczną wyprowadzone, gotowe są, a podobno nie w saméj Galicyi, koronę cesarską za daném skinieniem rzucić pod stopy moskiewskiego caratu. Zaprawdę, godzi się powtórzyć znane od dawna słowo: *Perniciem aliis, postremum sibi invenere!...*

PUŁKOWNIK.

POWIEŚĆ PRZEZ LUDWIKA Z KRZEWIA.

---

26 czerwca.

Już prawie dwa miesiące jak z pod prasy polskiéj w Paryżu wyszła książka, o któréj zamilczeć nawetby obowiązek nam nie pozwalał. Opóźnienie się mimowolne pospieszamy nagrodzić. Jako płód pióra należy ona całkiem do piśmiennictwa emigracyjnego, a formą staje w rzędzie bardzo dziś licznych utworów tego rodzaju w literaturze krajowéj. Jest to powieść mająca tytuł *Pułkownik* (1), powieść — jeśliby ją trzeba było ocechować — historyczna i tendencyjna, ale przytém jeszcze odznaczająca się właściwém sobie znamieniem, które zostawując bez nazwania, chcielibyśmy szczególniéj czytelnikom naszym wskazać i zalecić.

Osnowa powieści prosta, chociaż nie bez sztuki i zręczności ułożona. Pierwsza scena odbywa się w dawném województwie łęczyckiem i w sąsiednich Kujawach, w rodzinnéj ukochanéj okolicy autora, gdzie ciągle jest myślą i sercem, zkąd mu wspomnienia dostarczają naj-

(1) *Pułkownik czyli różny los dwóch kolegów szkolnych.* Powieść w dwóch częściach przez Ludwika z Krzewia. Paryż, 1658, w Księgarni Polskiéj, przy ulicy de Seine, 20.

żywszych natchnień, najtkliwszych wzruszeń, najmilszych obrazów. Różne strony wielkiéj ziemi naszéj opromieniła swoim blaskiem nadobna literatura i poezya narodowa; Kujawy, ile nam wiadomo, zostawały dotąd w zupełnym cieniu : otóż teraz i ten zakątek ukazuje się w świetle rzuconém nań z tak rzewną miłością, że pod tym względem powieść staje się niemal poematem miejscowym, epopeą kujawską. Rzecz poczyna się w roku 1791, a ma dociągnąć się do dni naszych. W téj chwili, kiedy po zamknięciu sejmu czteroletniego, z jednéj strony pogodne dni majowe świecą nadzieją, z drugiéj podnoszą się chmury złowrogie, kiedy między slachtą często jeszcze wspominającą konfederacye Barską i Radomską, jątrzy się świeże rozdwojenie na stronnictwa reformy i starego stanu rzeczypospolitéj, autor bierze z ławek szkoły łęczyckiéj dwóch wyrostków i wyprowadza ich na pole wypakdów historycznych, żeby przez całe życie aż do wspólnego dnia pogrzebu, ciągnęli nić dwoistą, na którą zamierzył sobie znizać zdarzenia, a mianowicie pojęcia górującego w strasznym i tajemniczym dramacie ostatniego okresu dziejów naszych.

Prokop Modliborski i Florek Berniński są tymi przewodnikami, którzy wrodzonym charakterem i dziedziczną nienawiścią rozdzieleni, a na każdym ważniejszym kroku spotykając się z sobą, torują autorowi drogę od punktu do punktu ogólniejszych widoków. Pierwszy jest siostrzanem i wychowańcem starego szlachcica, sławnego rębacza i paliwody, stronnika jednak Konstytucyi 3go maja; drugi synem zawziętego nieprzyjaciela jego, a dworzanina pańskiego domu, tradycyjnie podpierającego stronę przeciwną. Wkrótce téż poza szczupłem kółkiem miejscowych kolligacyj i waśni, ukazują się ważniejsze figury opiekunów i poplecznikόw. Z jednéj strony sędziwy, zacny i rozumny Kasztelan kujawski, ojciec chrzestny i protektor Modliborskiego;

z drugiéj, młody, pełen świetnych przymiotów, ale dumny i niedoświadczony, a znajdujący się na niebezpieczném stanowisku zajętém po ojcu Wojewodzic wołyński, mecenas Bernińskiego i jego syna Florka.

Ma się rozumieć, że powieść « niech sobie jaka chce będzie » obok najdramatyczniejszéj gry wielkich interesów, nie może obejść się bez mięszającego się wszędzie interesu miłości, bo jak autor słowami Pisma powiada: « Będą jedli i pili i żenili się aż do ostatniéj chwili, aż do dnia sądu! » Ale potrafił on téj zużytéj i oklepanéj sprężyny powieścio-pisarstwa użyć bardzo zręcznie, z tym delikatnym taktem, który będąc tylko skutkiem naturalności i prostoty, zdaje się być wysoką sztuką i często ratuje go w najtrudniejszych zadaniach. Niezmiernie lekki i czysty, z tajemniczéj krainy ducha wzięty, na ziemi ledwie widomy płomyk uczucia, wystarczył autorowi na oświetlenie całéj drogi swego bohatera, jakimś tęsknym a błogim promieniem, i na lutowanie rwących się czasem ogniw w łańcuchu powieści.

Na samym wstępie wypadków, Prokop z Kasztelanem znajduje się w domu Starościny, ciotki Wojewodzica właśnie natenczas goszczącego u niéj. Czarne oczy Starościanki Tekluni pierwszy raz ujrzawszy szlachetną twarz Prokopa, otworzyły się szeroko, potém w innéj chwili, kiedy siedział nieśmiały, wlepiły się w niego « jak w tęczę z jakąś ciekawością czy zapomnieniem naiwném, tak często zdarzającym się dziewczynom piętnastoletnim. » Chłopiec był nieśmiały i zmięszany, cóż dziwnego? Miał już lat ośmnaście, serce czułe, duszę poetyczną, marzył czasami i czuł co piękne. «Może ten obraz (jaki teraz miał przed sobą), wypędzi już nazawsze wszystkie inne wymarzone w wyobraźni; może zaciemni nawet wszystkie inne prawdziwe, co mu się późniéj nawiną przed oczy? — Tak się dziwnie często rodzą uczucia na tym świecie! tak się dziwnie dzierzgają wypadki! »

Po odjeździe Kasztelana z Prokopem, wojewodzic Stanisław, zawsze wesoły i niemal po dziecinnemu igrający z kuzynką, był cierpki, jakby zazdrośny, prześladował ją młodym szlachcicem. Teklunia nachmurzyła się, ale pani Starościny ten symptomat zazdrości nie gniewał. Na tém się skończyło tą razą, a tymczasem wypadki dzierzgające się dziwnie, szły jedne po drugich.

Wojka moskiewskie opanowały kraj, przewidywano drugi podział Polski. « Rozpacz ogarnęła dobrych obywateli; rozpacz i wstyd widne były na czołach większéj części Targowiczanów oszukanych przez Moskwę lub dumę własną. » Wśród tak smutnych okoliczności odbyły się w Warszawie zaręczyny Wojewodzica z Teklunią, a tegoż dnia dowiedziała się ona, że w bójce między szlachtą, stary Berniński zginął od szabli wuja Modliborskiego, Florek zaś miał w ręku Prokopa jako jeńca i przywiózł do Warszawy, do pałacu swego protektora. Mocno ją obchodziła ta sprawa, była niespokojną, jak jéj narzeczony postąpi, czy jego honor nie ucierpi na tém, czy Prokopa uwolni? Ale zaledwo odważyła się wymówić jego nazwisko, Wojewodzic pospieszył jéj donieść ze smutnym uśmiechem, że już jest wypuszczony. Prokop jednak miał powody mniemać, że uwolnienie swoje w znacznéj części winien był Starościance, a opuszczając stolicę konno z dwoma towarzyszami, ujrzał ją w karecie z matką. Czy i ona go widziała? « Czarne oczy miała, czarnemi patrzała...» odpowiada nam autor i dodaje : « Nie wiedzieć dlaczego ta piosneczka ciągle tego dnia brzmiała w uszach Prokopowi ! »

W parę lat później inne spotkanie. Teklunia była już żoną Wojewodzica, żoną kochającą przez cnotę i obowiązek, która mogłaby uwielbiać i kochać gdyby mąż miał szacunek u ludzi. « Patrzyła na niego z niewymownym żalem, bo żeby uczuć jego zgryzotę niepotrzeba było żadnéj wielkiéj, poetycznéj miłości z jéj

strony.» Przyszedł czas strasznych poniżeń i zawodów dla dumy. Kościuszko powstał w Krakowie... Warszawa huczała gwarem ponurym, był to wielki tydzień 1794 r. O świtaniu we czwartek miasto wstrzęsło się i wybuchło. Wojewodzic napadnięty w swoim gabinecie od zgrai naprowadzonéj przez własnego lokaja, z pistoletem w ręku, podniosł dumnie czoło i postąpił naprzód; Teklunia wstrzymała go za ramię i wysunęła się przed męża. Chwila była straszna i niebezpieczna. W tém dało się słyszeć stąpanie żołnierzy po wschodach, na ich czele młody oficer z pułku Działyńskiego wpadł do pokoju z dobytym pałaszem. Tym oficerem był Prokop Modliborski. «To on! —zawołała Teklunia zakrywając oczy i padając na krzesło.» Natychmiast ciżba wyniosła się z domu, Prokop nie słuchał kłopotliwych podziękowań Wojewodzica, powiedział że spełnił swój obowiązek, ukłonił się obojgu państwu i wybiegł ze swymi żołnierzami. Na odchodzących patrzał Florek z poddasza.

Wieczorem, Wojewodzic wyprawiwszy naprzód przebranego Florka z pojazdami, wymknął się ostrożnie z miasta i pojechał na Wołyń. Żonę jego także wywiozła matka do Kujaw, czekał na nie przy rogatkach wolskich porucznik Modliborski, przysłany przez Kasztelana żeby je odprowadził aż do karczmy Utraty. W ciągu drogi nie mógł ani widzieć Tekluni, która z głębi karety kiedyniekiedy tylko spójrzała mimowolnie na galopującego jezdca lub cień jego «jakby unikając widoku, a zapewne i myśli napastujących ją dzisiaj.» Ledwo przy pożegnaniu miał sposobność ujrzeć ją na chwilkę, ucałować jéj rękę cofniętą prędko, i usłyszeć słowa: «Proszę kłaniać się panu Kasztelanowi. Ja... za was modlić się będę, niech... was Bóg w boju strzeże!»

Pożegnanie krótkie, było na długo. Bóg strzegł walecznego Prokopa w boju na ojczystéj ziemi, pod Dubienką, pod Maciejowicami; strzegł go późniéj w wielu

sławnych bitwach na ziemiach obcych, dokąd poszedł za Dąbrowskim. Dopiero po leciech dwunastu, w roku 1806, widzimy go znowu, a widzimy pułkownikiem wojsk francuzkich, w okolicy rodzinnéj, w domu Kasztelana Kujawskiego, gdzie się i Teklunia (bo ją autor, jak powiada, przez przwiązanie ciągle tak nazywa), na kilka godzin znajduje. Żałujemy, że nie możemy przytoczyć całéj téj sceny skreślonéj z wielką prostotą i żywém uczuciem.

« Wszyscy płakali, wszyscy byli szczęśliwi, weseli, tak jak oddawna — tak jak niektórzy nigdy może nie byli... Zrazu było może cokolwiek przymusu w rozmowie Prokopa z Teklunią; ale za małe półgodzinki, te dwie czyste dusze zrozumiały się znowu, bez żadnych tłómaczeń. Rodzące się niegdyś w sercu uczucie, którego Teklunia nie pojęła dobrze, znalazło się dzisiaj — nie zapomniane w prawdzie, ale przemienione w najszczerszą przyjaźń, przyjaźń czułą, prawdziwą, dumną ze szczęśliwego wyboru... Na drugi dzień rano pułk francuzki poszedł ku Kutnu i Łowiczowi. Pułkownik był smutny. I błonia kujawskie tak ślicznie wyglądające w pogodny ranek letni, tyle słodkich obudzające z lat dziecinnych wspomnień, niepotrafiły go rozweselić. Jechał stępo przed pułkiem, prowadząc go w świat na długie jeszcze boje, a przeczuwając w sercu sieroctwo całego życia. — W téj chwili czuł się jakimś krzyżowym rycerzem dla Polski! »

Na tém kończy się pierwsza część powieści. Autor idąc za swoim bohaterem, przeprowadził czytelnika przez ważny okres czasu, przeszedł z nim granicę, gdzie « stara Polska, z rębaczami jakich już dziś niemasz na świecie, z krzywą szablą i kontuszem zstąpiła do grobu, a ukazali się ułani, co jak Prokop i jego towarzysze pod Samosierą, cudów dokazywali. « Było tu wiele do wspominania i rozważania; wszakże, autor pod jednym i drugim względem pamiętał zawsze, że jest nie dziejo-

pisem ale powieściopisarzem, starał się w akcyi i obrazach wydać, co miał na myśli i sercu. Jeżeli mu się zdarzyło potrącić o większy wypadek historyczny, wskazał nań czytelnikowi, westchął i poszedł daléj. Często sam powiada : « Nie ma serca o tych klęskach, na których już tyle późniejszych grobów leży, wspominać. — Każdy Polak wyryte w sercu nosi te dnie przez tyle klęsk i tryumfów, nadziei i rozpaczy pamiętne na wieki. Tu nie ich historyą się pisze. » Jeżeli chciał swoje pojęcia i przeświadczenia polityczne wyrazić, łączył je z działaniem i charakterem osób. Działanie ciągle jest żywe, zajmujące, a przy wielkiéj swobodzie w karb moralnéj dążności ujęte. Charaktery niektórych osób wybornie schwycone, wydane i utrzymane. Dramatyczność w scenach, obrazowość w opisach niekiedy uderzająca, zawsze odznacza się naturalnością i prawdą, do czego wiele przyczynia się niepospolity dar zachowania w stylu świeżości i prostoty mowy potocznéj. Szczegóły miejscowości, domowego życia, dawnych obyczajów, rozsypane tu i owdzie jakby od niechcenia, jokby z pamięci przepełnionéj niemi, tchną jakąś wonią łąk i pól naszych, sprawują miłe i rzewne wrażenie.

Dwa niebezpieczeństwa grożą każdéj powieści historyczno-tendencyjnéj, mianowicie odnoszącéj się do czasów, których nasz autor zasięgnął. Naprzód, niesmak, jaki pewna szkoła powieściarska w nowém piśmiennictwie naszém sprawiła do tych obrazów pijatyki i ubijatyki szacheckiéj, do tych typów z przysłowia, pary wąsów i konfederatki składanych, które przeszłość ojczystą obróciły w odrażliwą karykaturę; potém stronniczość, jakiéj łatwo się dopuścić, ulubione lub nienawistne sobie pojęcia wcielając w charaktery odpowiednio założonemu celowi tworzone. Autor nasz obu tych niebezpieczeństw szczęśliwie uniknął. Jest i u niego ta szlachta kontuszowa i karabelna, co po dawnemu huczy, rąbie się i pije, a jednak umiał ją nam z innych

stron tak pokazać, że poglądamy na nią bez wstrętu, z upodobaniem, z jakimś szacunkiem synowskim. Postawił i on reprezentantów stronnictw zdobiąc jednych w przymioty, odsłaniając drugich wady, ale swego przywileju autorskiego nie nadużył, ni zbyt biało, ni zbyt czarno, dla dogodzenia swoim skłonnościom politycznym nie malował. Można niezgadzać się z nim w sympatyach, a jednak sympatyzować z jego książką, czytając zrosić ją łzą patryotycznego wzruszenia. Zkądże to wszystko pochodzi? Oto ztąd, że autor brał pióro do ręki nie dlatego, żeby jaki ustęp dziejowy «artystycznie obrobić» albo jaką opinią zręcznie wyforytować, ale że mu poczciwe serce polskie, przepełnione żalem, smutkiem i miłością, kazało pisać.

Zatrzymaliśmy się na końcu części pierwszéj, i nie ciągnąc daléj osnowy powieści, wypowiedzieliśmy sąd o niéj. Powodem do tego jest, że część druga stanowi z wielu względów całość odrębną, nawet co do formy nieco różną. Główne osoby i przywiązana do nich dwoistość znajdują się jeszcze tutaj; ale koło nich mnożą się i różnorodne interesa i widoki, które trudno pod jeden rzut oka zebrać, w jedną treść spoić. Chcąc wszystkiego dotknąć, trzeba byłoby mówić wiele, dlatego powiemy mało.

Autor zostawuje między dwoma częściami przestrzeń ogromną, z roku 1806, przeskakuje od razu na rok 1836. W przelocie tylko rzuciwszy posępne spojrzenie na Księstwo Warszawskie, Królestwo i powstanie Listopadowe, staje wśród Emigracyi, czyli raczéj w Paryżu, gdzie szuka emigrantów i naprzód znajduje ich — w salonach. Późniéj robi wycieczkę na prowincyą, żeby ztamtąd sprowadzić pułkownika Modliborskiego i stawiąc go w przygotowaném otoczeniu, nawiązać rwący się ciąg i podtrzymać upadający interes powieści. Myśl główna, piękna i słuszna, myśl pokazania w nowém pokoleniu dawnego ducha ojców, dawnego rozdroża

wyobrażeń, przybranych tylko w inne kształty i nazwiska, niewystarcza mu wszędzie, zamiast skupiać i ożywiać, rozstraja i ostudza dramat. Talent jego oderwany od ziemi rodzinnéj, nieogrzewany ciepłem ognisk domowych, opuszcza skrzydła i stąpa nieśmiało po gruncie sobie obcym. Powieść często wpada na tor moralnego, politycznego, a nawet i teologicznego traktatu. Akcya ustępuje miejsca rozumowaniu. « Lecz argumentowanie nie apostolstwem. » Zdaje się, że autor nie dość znał Emigracyą, stał na uboczu wielkiego jéj prądu, myślą tylko łapał w nim końce trzymanéj zawsze na oku dwoistości, całém sercem nigdy się nie zanurzył. Zerwał się zresztą na przedsięwięcie zbyt wielkie i przedwczesne. Potężny ten obraz dantejski zanadto jeszcze blizki naszego wzroku. Trzeba pewnego oddalenia, żeby jego całość objąc i zrozumieć; inaczéj, dadzą się widzieć tylko rozproszone i niesforne szczegóły. To téż przytrafiło się i naszemu autorowi. Wielokroć chciał dać poznać życie emigranckie, wpadł w drobiazgowość bez znaczenia; ile razy probował cokolwiek wyższy typ emigranta utworzyć, zawsze spotykał trudność współczesności: lękał się i od prawdy odstąpić i wiernie portretować. Jeżeli pozwala sobie wyprowadzać na scenę figury znane, musi je albo jednostronnie i niedostatecznie ukazywać, albo przesuwać tylko jak cienie niewyraźne i nieme. Najczęściéj poznajemy tu charaktery ludzi nie z tego co robią i mówią, ale co sam autor za nich i o nich mówi.

Charakter pułkownika szczególniéj jakoś w rozwinięciu maleje, nieodpowiada naszym oczekiwaniom. Jestto bardzo zacny, szlachetny, rozsądny, dobry i czuły a w końcu pobożny, z tém wszystkiem dość pospolity człowiek. Czy to tylko spodziewaliśmy się ujrzeć w krzyżowym rycerzu za Polskę, po pół wieku wojen, powtórnym tułaczu? Jednym z najwydatniejszych rysów jego charakteru jest, że niechce nigdy od nikogo, nawet

od najbliższych krewnych i przyjaciół przyjąć żadnego wsparcia. Mieszka tedy w szczupłéj izdebce, sam sobie gotuje barszcz, starannie czyści podszarzany surdut, a kupując w sklepie nowy ubiór, ściśle rachuje się z groszem, bo i na cóż to? wszakże był w tandetnym piaskowym kuntusiku, kiedy czarne oczy nań patrzały. Wspomnienia podobnego rodzaju stanowią największą poetyczność téj sędziwéj, osieroconéj starości. Widzenia się pułkownika z panią Stanisławową, należą do scen najlepiéj pojętych i skreślonych.

Są jednak i w téj części inne, bardzo zajmujące i piękne sceny, są miejsca pełne wdzięku, zdrowego rozsądku i zacnych uczuć. Samo zakończenie odznacza się dramatyczcością i sztuką czerpaną zawsze z tego samego źródła, które dostarcza najlepszych natchnień autorowi.

« Straszny dzień był, kiedy po trzeci raz jenerał Bem starł się z nieprzyjacołmi Polski i Węgier. Na szerokiéj otwartéj błoni stał zastęp polskiéj jazdy. Na jego czele, kilka kroków na przedzie, siwy jak gołąb; starzec nieco schylony na koniu, z ręką spokojną na cuglach i szablą w pochwie, patrzał w przybliżające się szeregi nieprzyiacielskie po rozbiciu się węgierskiéj piechoty. W tém od strony głównego sztabu Bema, zkąd jak orły z gniazda wylatywały z rozkazami posłańcy, przybiegł oficer i popolsku dał rozkaz do szarży, stając sam obok starca. « *To ostatnia moja szarża w życiu*, zawołał pułkownik dobywając pałasza, i rzucił się na moskiewskie szeregi. »

Na téj szarży kończy się publiczny żywot krzyżowego za Polskę rycerza! Tu trzeba rzucić okiem na zawód, jaki przebył jego kolega szkolny.

« Pochlebiał póty, póki mu to potrzebne było. Wziął od Wojewodzica wieś ogromną na Rusi, za małą wioszczynę w łęczyckiém, przytém za jego wstawieniem się, jakieś starostwo, — za Targowicę. Ożenił się bogato,

dorobił drugie tyle i stał się większym panem, niż sam Wojewodzic.»

Pułkownik Modliborski, raniony pod Hermansztadem, przybył do Paryża bardzo słaby, jadąc do kwatery tak zaniemógł, że go musiano zanieść do szpitalu, gdzie otoczony najdroższémi osobami po chrześciańsku oddał ducha Bogu. — Floryan Berniński, spanoszony na Wołyniu dorobkiewicz, graf polski w hotelu paryzkim, po dobrém śniadaniu siadając do pojazdu, padł na ulicy tchnięty apoplexyą. — Orszaki pogrzebowe spotkały się w drodze do cmentarza. Za jednym szło pół tysiąca Polaków, za drugim ciągnął szereg najętych i próżnych powozów.

Nie mogliśmy ani dosyć okazać zalet, ani należycie roztrząsnąć niedostatków, jakie postrzegliśmy w powieści, którą p. Ludwik z Krzewia zbogacił naszą literaturę. Może jednak te kilka słów obudzą ciekawość czytelników nieznających jeszcze dzieła, i pewni jesteśmy, że będą nam za to wdzięczni. Książka ta, pod względem sztuki niewątpliwie zajmuje chlubne miejsce pomiędzy znakomitszémi utworami tego rodzaju, a z innych względów zasługuje na szacunek i współczucie.

ODDANY W SOŁDATY.

10 lipca.

Zesłać w Sybir — oddać w sołdaty — wyrażenia składnią swoją nawet przeciwnie naturze języka polskiego, weszły w jego dziedzinę i pozostaną w nim tak długo, jak długo będzie służył do opowiadania dziejów ojczystych. Nietrzeba, i wreszcie niemożna wyrażeń tych naginać do prawideł mowy naszéj, starać się je spolszczyć, lub przetłumaczyć na polskie : tracą przez to moc i prawdziwe znaczenie. *Sołdat,* to wcale nie jedno co *żołnierz*. Żołnierzem we Francyi np., jest równie pierwszy marszałek jak ostatni szeregowy; sołdatem w Rossyi, nie nazywa się żaden oficer, żaden dobrowolnie wysługujący się na oficera. Właściwy sołdat rossyjski, stoi po za tą liniją oddzielającą go od wszelkich nadziei, na któréj leży ten sam napis co na bramie piekła Dantowego. Oddać w sołdaty, nie znaczy to samo co oddać do wojska, ani nawet co oddać w rekruty. Przywiązane do tego jest wyobrażenie kary, i kary rzeczywiście piekielnéj. Tysiące synów Polski, za miłość ku niéj, cierpiało i cierpi jeszcze tę karę. Jednego z nich niedawno uwolniła Opatrzność. Znalazł się między

nami, opowiadał nam co přzebył, opowiadał z tą prostotą zbolałego a czystego serca, z tą przechowaną pod *szynelem* aresztanckim i sołdackim naiwnością dziecinną, którą trudno oddać piórem. Staraliśmy się jednak ile możności najwierniéj, słowa jego spisać dla czytelników naszych. Dzisiaj, kiedy jakaś błyskotna zasłona pokrywa coraz bardziéj pamięć męczeńskiéj przeszłości, kiedy umysły tak pochopnie zwracają się w stronę powabnych widoków, jakie nasuwają im ciągle głoszone zmiany i łaski, może nie odrzeczy będzie rzucić przed oczy ten bolesny obrazek, może nawet zbyt zaufanym w skuteczność administracyjnych reform, przypomni on, jakie na dnie ich leżą zadania.

Oto jest w skróceniu, co nam młody Polak-sołdat opowiedział :

« Ojciec mój był kapitanem wojsk Napoleońskich, w roku 1807 stracił oko pod Królewcem. To mi się wraziło w pamięć, zresztą mało pamiętam i jego twarzy i jego dziejów. Przed mojém przyjściem na świat mieszkał z matką moją we wsi własnéj Zagródce w lubelskiém pod Czemiernikami. W r. 1831 był w wojsku narodowém, w jezdzie, potém nie wiem jaką koleją rodzice moi znaleźli się w kaliskiém, w miasteczku Krośniewicach, gdzie urodziłem się 1832 r. Następnie nie mieli już oni wsi swojéj, mieszkali w Lublinie, a ojciec był pod dozorem policyi. Miałem lat sześć, kiedy go wzięto i wywieziono, nie umiem powiedzieć za co i dokąd. Matka mi to tłumaczyła, ale będąc małym dobrze zrozumieć nie mogłem, a potém nie chciałem się jéj rozpytywać, bo to ją bardzo smuciło. Pamiętam tylko, że przy pożegnaniu z ojcem płakała niezmiernie i dała mu krzyżyk srebny. Przeniosła się ona ze mną do Radzynia, a nakoniec do Siedlec, gdzie podrosłszy zacząłem do szkół chodzić.

» Na wiosnę 1848, kiedy miałem lat szesnaście i byłem w klasie piątéj, począł się między studentami ruch

jakiś. Przyjeżdżali tajemnie studenci lubelscy; miewali ze starszymi narady i zmowy. Mnie powiedziano tylko, że jest wojna, że przyszła pora oswobodzenia, że trzeba nam iść do Węgier, gdzie już nasi biją się za wolność. Nie roztrząsałem tego, bo wszystko zdawało mi się naturalném i koniecznėm; czułem w sobie ochotę i powinność, byłem gotów iść z innymi.

» Wkrótce nadszedł dzień umówiony. Nie miałem serca żegnać się z matką i powiedzieć jéj że ją opuszczam. Zostawiwszy kilka słów napisanych do niéj, wykradłem się z domu. Późno wieczorem siedliśmy za miastem do kilku bryk żydowskich, czekających na nas i ruszyliśmy ku Lublinowi. O milę od Lublina złączyło się z nami kilkuset wychodźców lubelskich, i wszyscy opatrzeni jak kto mógł w broń i żywność, rozdzieliwszy się na gromadki po kilkunastu, piechotą już pociągnęliśmy różnémi manowcami do lasów Międzyrzeckich, bo tam miało przybyć i wiele innych oddziałów. Ja zgoła nie znałem ani drogi ani planu, ale byli tacy co nam przewodniczyli.

» Zaledwośmy weszli w lasy, usłyszeliśmy strzelanie. Rząd był uwiadomiony pzez szpiegów, wojsko przygotowane czekało na miejscu naszego zbiorowiska. Rozbijano już i chwytano tych co pierwéj przybyli, a zaraz i nasz oddział obskoczony został. Broniliśmy się zawzięcie, z obu stron kilku padło trupem i wielu bylo ranionych. Mnie kozak ciąwszy w rękę przy samym pulsie, chwycił za kołnierz i ciągnął na konia. Miałem nóż w drugiém ręku, ukłułem go nim parę razy i porwawszy zębami odgryzłem mu kawał ucha; nic to wszakże nie pomogło. Wszystkich ilu nas było żywych pobrano, powiązano i zawieziono do Warszawy.

» Siedzieliśmy w cytadeli warszawskiéj ze trzy miesiące, potém w Modlinie około pięciu miesięcy, naostatek wrócono nas do Warszawy i poczęto ciągnąć śledztwo. Byliśmy zamknięci każden osobno, rzadko i

na krótko mogliśmy spotykać się z sobą, rozeszło się jednak pomiędzy nami hasło, żeby mówić jak najmniéj, nie obwiniać jedni drugich i ani wspomniać o nikim z nieuwięzionych. Dla mnie ta instrukcya była nie potrzebną, bo z czémże miałem wygadać się, kiedy nic nie wiedziałem, tylko robiłem co inni robili. Stawiony do protokułu i przed komisyą śledczą, w któréj prezydował jakiś jenerał obwieszany orderami, zawsze moję piosnkę powtarzałem, a co było na mnie krzyku ze zwykłem moskiewskiém przysłowiem, co fukania i tupania! Trząsłem się ze strachu i płakałem.

» Po kilku miesiącach pojedynczych badań i mniéj więcéj licznych naocznych stawek, sprowadzono nas wszystkich do wielkiéj szali, powiadając żebyśmy się pożegnali, bo mamy już być rozwiezieni w różne strony. Był to jakiś wybieg śledztwienny. Starsi téż z pomiędzy nas, podczas uściskań się pożegnalnych powtarzali wszystkim : « Nie koniec jeszcze sprawy — bądźmy ostróżni — niech każdy ściśle trzyma się tego, co dotąd mówił; nic nie zmienia, nic nie dodaje.

» Istotnie śledztwo trwało daléj aż dopiero w jesieni 1849, przeczytano każdemu z nas wyrok. Ja skazany zostałem na sześć lat robót w fortecy, a potém na dwanaście lat w sołdaty, z wysługą na Kaukazie. Po ogłoszeniu wyroku, szary nas ubior aresztancki został przyozdobiony. Tym, co mieli iść na Sybir, poprzyszywano po jedném rękawie czarném; nam, mającym prędzéj lub późniéj dostać się do Kaukazu, położono na plecach wielką z żółtego sukna literę K, z dodatkiem mniejszych liter i cyfer. Byliśmy jeszcze czas niejaki trzymani w cytadeli; w grudniu odesłano nas do Modlina zkąd w lecie 1853 przeprowadzony zostałem do Zamościa.

» W Zamościu było do ośmdziesięciu Polaków za różne przestępstwa polityczne i w różnych czasach skazanych. Często przy robocie, w chwilach odpoczynku, porzuciwszy taczki i łopaty zbliżaliśmy się jedni do dru-

gich, żeby choć słówko powiedzieć, albo przynajmniéj westchnąć razem. Jednego dnia zebrało się nas czterech. Opuściwszy zmęczone ręce i smutnie kiwając głowami, poglądaliśmy na siebie w milczeniu. Któryś odezwał się : «Żeby już ogień spadł na te mury i spalił wszystko, a położył koniec naszéj męce !» — «Nietrzeba ognia — rzekł drugi — Bóg litościwy : krew nasza ich zaleje.» Dozorca Moskal stojący niedaleko, zwrócił się szybko ku nam i zapytał co gadamy? — « Nic » odpowiedzieliśmy; a w tém wyskakując żydek z pobliskiéj gromady, powiada, że on słyszał, i ofiarując się na tłumacza, prawi żeśmy przeklinali Rossyą i zguby jéj życzyli. « Buntowszczyki ! Dam ja wam ! » — krzyknął dozorca i kazał nas wziąść pod areszt. Dostaliśmy po 25 rózek.— Ból, swoją drogą; ale tego nikt sobie nie wyobrazi co to za okropność, być w ręku takich oprawców, który zdaje się radziby cię pożarli ; widzieć ich rozradowane twarze kiedy zakasując rękawa wołają : « *podawaj jewo !* » słyszeć jak cwicząc cię smakują, jak gdyby wychylali kieliszki tęgiéj gorzałki, i powtarzają z uciechą : « *wot krow lacka!* Ah ! ciężko każdemu więzniowi w fortecy, ale nie jest jeszcze najnieszczęśliwszym, który nie Lachem u Moskali.

» Matko moja biedna ! myślałem sobie — gdybyś ty wiedziała co się z synem twoim dzieje !... A to jeszcze było prawie niczém w porównaniu tego, co mię czekało.

» Umarł cesarz Mikołaj, nastąpił po nim Alexander i porobił jakieś ułaskawienia, w skutek których ogłoszono na Wielkanoc 1855, że już daléj w fortecy lat naszych wysiadywać nie będziemy i pójdziemy jak gdzie kto osądzony. Zyskałem kilka miesięcy wolności, jeżeli to zyskiem i wolnością nazwać można. Zebrano nas około dwudziestu do podobnéj jak ja kategoryi należacych, i wyprawiono z partyą rekrutów. Szliśmy pomiędzy dwoma rzędami straży, ale rekruci wolno, my za nimi w okuciu.

« Za przybyciem do Brześcia Litewskiego zachorowałem na febrę. Oddano mnie do lazaretu, a skoro wyzdrowiałem włożono mi znowu łańcuszki, i w towarzystwie sześciu różnego rodzaju delinkwentów, wysłano pod strażą w dalszą drogę na Kowel, Łuck, Ostrog do Żytomierza. Tu już mię rozkuto, przyłączono do partyi żołnierzy wychodzących ze szpitalu i wyprawiono do Kijowa. Przeznaczony do pułku piechoty który był w Krymie, ubrany w mundur i odesłany do rezerwy tego pułku, przepędziłem zimę w Białejcerwki, a na wiosnę złączywszy się w Berdyczewie z pułkiem wracającym z Krymu, poszedłem do Winnicy. Dopiero zaczęła się moja służba i męka regularna. Przydzielono mnie do roty, czyli kompanii, oddano pod dozor *djadiuszki*, to jest starego żołnierza, i pod bezpośrednią władzę gefrejtera. Djadiuszka i gefrejter uczyli mię na kwaterze karabin rozbierać, liderwerki czyścić i nazywać po imieniu własném i ojcowskiem każdego z moich zwierzchników, począwszy od nich samych aż do jenerała. Chodziłem przy tém na tak zwane *uczenja*, gdzie pod okiem feltfebla i kapitana *uczebnego*, musztrowano nas gromadnie. Pomimo najszczerszéj chęci i usilności, nie szło mi dobrze, mianowicie nie mogłem nigdy zpamiętać owéj litanii nazwisk i wyuczyć się formuł mowy służbowéj w języku rossyjskim, do którego miałem nietylko odrazę ale i jakąś niezdolność mimowolną. Wycierpiałem wiele z tego powodu. Jako *dworjanina* niewolno było karać mnie cielesnie, i nawet przełożeni moi powinni byli mówić do mnie : *wy* ; nie przeszkadzało to wszakże nabrać się wszelkiego rodzaju razów bolesnych i nasłuchać się najzelżywszych łajań między któremi « *Polak bezmozgij* » należało do najdelikatniejszych. Nie brakło przytém kar dozwolonych. Koza, areszt o chlebie i wodzie — to nic ; ale *czasy*, po naszemu godziny, — straszna rzecz ! Każą ci wziąść dwa karabiny jak się bierze w ramię broń, położą na barkach dwa

drugie, na nich w poprzek dwa jeszcze, wyładują tornister kamieniami, i tak stój godzinę jedną i drugą i trzecią niekiedy. Nogi gną się, ręce drętwieją, oddech ustaje, krew bije do głowy, a nie masz rady — stój! bo kiedy broń upuścisz, to ci ją znowu nałożą waląc pięściami gdzie się trafi i karę przedłużą.

» Mój przywiléj szlachectwa więcéj mię narażał niżeli zasłaniał, ściągał na mnie szczególną jakąś nienawiść i wyższych i niższych, służył wszystkim za przedmiot urągań i powód prześladowań. Tych co mieli jakąkolwiek władzę nademną, drażniła ciągle myśl, że muszą choć pozornie szanować zawadę zupełnéj samowolności w postępowaniu ze mną; ci, co równie jak ja należeli do ostatniego szczebla podwładnych, przeznaczonych cierpieć bez mocy już zadawania cierpień komukolwiek, zamiast współczucia i politowania, z jakąś głupią a złośliwą uciechą patrzyli na moje udręczenia. Nigdzie tu nie było dla mnie ani sprawiedliwości, ani łaski, ani koleżeństwa. Prędko dowiedziałem się, że dopominać się o sprawiedliwość, zanosić skargi do wyższych, było to tylko pogorszać swoję biedę, ściągać na się gniew przełożonego, a zemstę oskarżanego zwierzchnika. Żeby być wysłuchanym trzeba pierwéj mieć łaskę, a ja u nikogo w łaskach nie byłem. Późniéj przekonałem się dlaczego głównie, ale zrazu musiałem przypisywać to mojemu usposobieniu zewnętrznemu i wewnętrznemu. Nie stworzony na żołnierza, nie obdarzony sprytem i przebiegłością, a nadewszystko nie umiejący pochlebiać. nie mogłem pozyskać niczyich względów, Oficerowie poglądali na mnie z ukosa, nie lubili żebym się im nawijał na oczy; podoficerowie i junkrowie, pomiędzy którymi jedynie pozostawało mi szukać towarzystwa i zażyłości, odepchęli mię od koleżeńtwa, bo nie mogłem poddać się jego warunkom. Zeby żyć z nimi, trzeba żyć jak oni, a jakie ich życie, obyczaje, upodobania... wyrazów mi na to nie staje. Kto zblizka nie widział, ten

nigdy sobie nie wystawi tego wyzucia się ze wszelkich karbów moralności, téj rozpusty i zbestwienia jakie przy oburzającém grubiaństwie panują w niższych klasach wojska rossyjskiego. Niemogąc tedy mieć ze mnie towarzysza do pijaństwa i wszelkiego rodzaju bezeceństw, brali mię wszakże niekiedy za przedmiot zabawy i swoich zwierzęcych żartów. Ten niby z rozigrania w poufałości koleżeńskiéj dał mi *sojkę* pod bok, że aż ukłuło w piersiach, ów zaczepił jakiémś słówkiem dotkliwém, żeby zyskawszy stosowną odpowiedź wyzionąć cały zbiór obelg rażących moje najświętsze uczucia ludzkie i narodowe; inni, zalewając się gorzałką, wciągali mię gwałtem między siebie i zmuszali patrzeć na ich obmierzłą swawolę. Póki jednak moi bliżsi i dalsi koledzy i zwierzchnicy nie mieli ani czego mi zazdrościć, ani co ze mnie wycisnąć, złośliwość ich ograniczała się na wyrządzaniu mi chwilowych przykrości, bez zamiaru dotknięcia mię jakim ciężkim i zgubnym ciosem; ale wkrótce przyszło i do tego.

» Pułk nasz opuścił Podole i poszedł znowu na Ukrainę. Rozłożono nas w gubernii kijowskiéj. Główna kwatera i kancelarya pułku była w jedném z miast powiatowych; bataliony i roty stały po wsiach i miasteczkach okolicznych. Rota moja znajdowała się w tém saméem miasteczku gdzie i major batalionowy. Miałem kwaterę u żyda. Tuż przy miasteczku był dwór właściciela i kościół katolicki. Ilekroć mogłem znaleźć swobodną chwilę, chodziłem modlić się do kościoła. Panie przyjeżdżające na nabożeństwo ze dworu, często mię tam widywały klęczącego w kątku i zalanego łzami; zdjęła je ciekawość dowiedzieć się kto jestem. Posłany za mną służący, wypytał się o mnie na kwaterze i gdy doniosł co mu umiano powiedzieć, otrzymał rozkaz zawezwać mnie do dworu. Przyjęty byłem z dobrotliwością, któréj pamięć nigdy nie zatrze się w mojém sercu. Jedna z pań wyszła mówić ze mną, kazała sobie opowie-

dzieć całą moję historyą i obecne położenie, słuchała z rozrzewnieniem, pocieszała prawdziwie po chrześciańsku i ofiarowała wsparcie z takiém uczuciem, że je odrzucić byłoby grzechem niewdzięczności i pychy. Byłem rzeczywiście w nędzy, mundur miałem podarty, koszul tylko resztki, a z pułku ani nadziei otrzymać nowych : pod tym względem także traktowano mnie wyjątkowo. Wyszedłszy jednak, po lepszém zastanowieniu się wróciłem i oddałem pieniądze mówiąc, że na nic mi się przydać nie mogą, bo gdyby tylko postrzeżono że je mam i wydaję, zaraz musiałbym powiedzieć zkąd dostałem. Zmartwiło to moję dobrodziejkę, szukała sposobu jakby tym dociekaniom zapobiedz. Stanęło na tém, że mam otrzymać z poczty list adresowany do pułku, w którym będzie doniesienie żebym udał się do niéj dla obebrania 30 rubli przysłanych bezimienne. Plan został wykonany, ale nie z najlepszym skutkiem.

» Skoro odebrałem pieniądze, zrobił się niesłychany rumor w całéj rocie, stałem się jakąś figurą dziwnie zajmującą wszystkich. Major przywoływał mnie kilka razy, i to winszując trochę żartobliwie, trochę z przekąsem, że wyszedłem na pana, to upominając poważnie, żebym nie ubliżył czasem godności mojego szlachectwa, dopytywał się zawsze w rozmaity sposób, zkądby posyłka być mogła ; dodał nareszcie, że ponieważ mam znajomość we dworze, powinienbym dostać pozwolenie polowania w parku hrabiowskim i postarać się o zwierzynę na zbliżające się święta wielkanocne. Pozwolenie dostałem, a tak za pomocą leśniczego jak dwoch srebrnych rubli, upolowawszy sarnę, zająca i parę cietrzewi, przyniosłem to wszystko majorowi. Podziękował uprzejmie i już odtąd nie męczył mnie badaniami.

» Inaczéj było z niższém mojém zwierzchnictwem i towarzystwem. Wszyscy patrzali mi w oczy jak gdyby czegoś spodziewali się czy żądali odemnie, czasem przymawiali się do traktamentu dodając jakieś niewyraźne

pogróżki. Ja zaś nie chcąc wdawać się w żadne bankiety, któreby zaprowadziły daleko, uważałem za rzecz najstosowniejszą obrócić pieniądze na oporządzenie siebie: sprawiłem surdut mundurowy, bieliznę, czapkę i wszystko co było potrzeba; zostało mi jeszcze siedem rubli. Gdy jednak prześladowania i groźby rosły, żaliłem się na to przed moją opiekunką. Na nieszczęście — czy może na szczęście, bo co miało być moją zgubą, miłosierdzie Boże po dopuszczonych cierpieniach obróciło na mój ratunek — przyszła jéj myśl napisać do jenerała korpuśnego, opowiadając ucisk jakiegom doświadczał i prosząc dla mnie o protekcyą. Jenerał upomniał pułkownika i majora: tego tylko niedostawało, żeby wszystko od góry do dołu spiknęło się na mnie biedaka!

»Wkrótce po świętach, jednego wieczora przychodzę do kwatery, aż patrzę leży jakiś zegarek na stole. Biorę go i biegę przez sień na drugą stronę do żyda gospodarza, żeby zapytać co to znaczy. Żyd zaledwo drzwi otworzył i postrzegł mię z zegarkiem w ręku, krzyczy że mu go ukradłem, że nie mogąc dłużéj utaić, teraz odnoszę. W tém, wchodzi do sieni gefrejter z dwoma żołnierzami; niedługo słuchając sprawy, napadają na mnie, przyznają słuszność żydowi. Gefrejter leci natychmiast i przyprowadza feltfebla. Straszny to był człowiek, dreszcz przechodzi po skórze kiedy go wspomnę. Wysłużony z sołdackich dzieci, tyran na żołnierzy, skrzętny w ciągnieniu z nich dochodu, i za to wielki ulubieniec pułkownika. Rudowłosy, mały, krępy, jak przypadł w gniewie do rosłego chłopa, to podskakując bił go pod brodę aż żęby szczękały, a jeśli zaczął kuć pięścią w szczękę, to kuł póki głowa nie schyliła się na ramię, potém walił z drugiéj strony żeby ją odprostować. Jeszcze do dziś dnia cierpię ból dziąseł odbitych przez niego. Feldfebel wpadł zapieniony, nie dał ani słowa powiedzieć, wstrząsł mnie chwyciwszy za barki, popchnął i kazał do aresztu prowadzić. Niezadługo przy-

szedł tam i major. Oczy mu się iskrzyły, przygryzał sobie usta, i z razu zaczął powolnym głosem: «To tak, miłościwy panie – od żebractwa do kradzieży — a mówiłem, strzeż swojego szlachectwa — teraz się z niém pożegnasz.» Załamałem ręce i z płaczem przysięgałem żem nie winien. «Breszesz!» krzyknął z nieodstępném przysłowiem, kopnął mnie nogą i wyszedł.

»Nazajutrz wyprawiony zostałem przy raporcie, jako obwiniony o żebractwo i kradzież, do miasta powiatowego gdzie była kancelarya pułkowa. Nie pozwolono mi wziąść rzeczy i pieniędzy z kwatery, dano natomiast tornister nasypany piaskiem, i z nim musiałem iść pieszo cztery mile. Prowadzili mnie gefrejter i dwóch żołnierzy. Za koszulę cienką którą miałem na drugiéj, wysypali mi piasek z tornistra, a sami sobie podpili.

»Przyprowadziwszy do miasta, osadzono mnie na odwachu. Nazajutrz wpadł tu pułkownik rozdąsany straszliwie, po kilku słowach, chwycił mię za włosy, smagał szpicrutą, i wśród najzelżywszych wyrazów powtarzał ciągle: «Przepadło twoje dworjaństwo — pójdziesz przez rózgi!» Po odejściu pułkownika, zawołał mnie audytor do drugiéj izby na *doprosy*. Pytał i słuchał odpowiedzi spokojnie, a potem dyktował kanceliście protokuł. Powtarzało się to przez dni kilka i napisali wiele arkuszy. Co daléj z tém się działo, nie wiem. Czekając końca i polecając się Bogu, siedziałem z innymi aresztantami, w liczbie których było trzech dezerterów żołnierzy i dwóch służących pułkownika. Jedenastego dnia, kiedy dezerterów wyprowadzano na pędzanie przez rózgi, pułkownik i mnie kazał iść za nimi, żebym, jak powiadał, przypatrzył się co mnie czeka. Gdym z placu powrócił do więzienia, przyjechał i on zaraz, a oćwiczywszy swoich służących, kazał za jednym zachodem i mnie rozciągnąć obnażonego. Nie wiem wiele rózeg wtedy dostałem; byłem we krwi od karku do pięt, łytki najgorzéj mnie bolały: bito póki nie wpadłem w konwulsye. Pomimo to, puł-

kownik znowu odwiedził mnie wieczorem i obiecał, że jutro formalnie pójdę przez rózgi. Pewny byłem, że nie wytrzymam, i całą noc gotowałem się na śmierć. O siódméj rano, prosiłem oficera dyżurnego żeby mi pozwolił pójść do spowiedzi. Popatrzał na mnie, i nic nie mówiąc sam mnie zaprowadził do kościoła, a zostawiwszy przy drzwiach żołnierza, odszedł. Znalazłem w konfesyonale młodego księdza, wyspowiadałem się jemu z całego życia i opowiedziałem obecne moje położenie. Był mocno wzruszony, zasilił mojego ducha gorącém kapłańskiém słowem, dał błogosławieństwo na ostatnią godzinę; ale wszakże pocieszał mnie nadzieją, że Bóg odwróci nieszczęście; kazał ofiarować się przed cudownym obrazem będącym w kościele i ufać. Po komunii i modlitwie, wziąłem krzyżyk złoty, który mi matka niemowlęciu jeszcze zawiesiła na szyi, i przyczepiłem pod obrazem Najświętszéj Matkę Bolesnéj.

»Ksiądz towarzyszył mi z kościoła do więzienia, bo wziął na siebie świadczyć o mojéj niewinności, i jeśliby trzeba było iść zaraz do jenerał-gubernatora. Przed odwachem zastaliśmy oficera dyżurnego; uspokoił on czcigodnego spowiednika mojego, że nie będę pędzany przez rózgi, bo zdaniem audytora nie masz przeciwko mnie pewnego dowodu, tylko podejrzenie. Jako poszlakowany tedy, utracę zapewne moje prawa do wysługi... I oto co mi przyniosło upomnienie jenerała korpusnego dane moim zwierzchnikom!...

»W parę dni późniéj, wyprawiono mnie z rotą strzelców celnych do Kijowa, gdzie téż pomaszerowała i moja rota na musztrę zbiorową. W Kijowie, zaraz odesłany zostałem do mojego majora. Ten zobaczywszy mię zawołał: «A ty tu po co! Czemużeś lepiéj nie utopił się albo nie powiesił.» — I kazał mię odprowadzić do kapitana. Kapitan nie chciał ani wiedzieć o mnie i odesłał nazad do majora; major powtórnie do kapitana — a że go nie było teraz w domu, przyjął mię moj feltfebel,

po swojemu. Na pierwsze powitanie usłyszałem «*Wor!*» (złodziéj) i dostałem pięścią w twarz, aż mi oko krwią zabiegło. Napastwiwszy się nademną z pół godziny, kazał gefrejterowi zabrać mię z sobą do kwatery i pilnować żebym był gotów wystąpić jutro na musztrę, chociaż prócz szynielu (płaszcza) i próżnego tornistra nic nie miałem.

» W nocy rozchorowałem się okropnie. Gefrejter przerażony, pobiegł raniutko zaraportować o tém. Kazano dostawić mnie do kancellaryi rotnéj. Iść nie mogłem, co krok padałem, trzech żołnierzy wlekło mnie po bruku. Jakiś kacap nadjechał z kibitką i dobrowolnie ofiarował się odwieść mnie na miejsce. Kiedy wóz zatrzymał się przed kancelaryą, przypadł do niego feltfebel i bijąc mnie po głowie, wołał: Łżesz! ty nie chory, ty zmyślasz, ja cię uleczę.» A gdy gefrejter rozpowiedział, co cierpiałem w nocy — dodał: «No, to cholera — chwała Bogu — przynajmniéj już zdechnie.» Kazał wszakże prowadzić mnie do majora, który był na placu musztry o parę wiorst za miastem. Gefrejter z żołnierzem zdjęli mnie z wozu, wzięli pod ręce i ciągnęli daléj. Przechodząc przez jedną ciasną uliczkę, dla odpoczynku posadzili mnie pod murem, a sami odeszli trochę. Z przeciwległego domu wybiegła służąca, podała filiżankę herbaty i zapytała kto jestem. Zaraz przyszedł jéj pan w szlafroku i papuciach. Był to odstawny kapitan, Polak rodem. W kilku słowach opowiedziałem mu historyą moję; radził pisać natychmiast prośbę do Wasilczykowa, ale nie mieliśmy czasu dłużéj rozmawiać: wracali moi stróże. Upuścił mi na kolana pięćdziesiątówkę (25 kopijek) i odszedł. Gefrejter widział spadający pieniądz, i mało dbając o inne okoliczności, pytał tylko gdzie jest; bo jak powiadał, do niego należy, dla niego był dany, a zresztą nie będzie już mi na nic potrzebny. Oddałem mu go: odtąd litościwiéj ze mną się obchodził, głosem tylko przynaglał do pośpiechu w drodze, a

mieliśmy jeszcze odbyć długą przechadzkę. Major odesłał mnie do lekarza pułkowego; ten ani spójrzawszy mi w oczy, zawołał: « *Wrjosz!* (tu zwykłe przysłowie), nie jesteś chory, rózek tobie potrzeba. Prowadzić go nazad na plac musztry! » Zapłakałem tylko i rzekłem: róbcie sobie co chcecie. Wyszedłszy, padłem o kilkanaście kroków odedrzwi. Wtedy wysłał służącego, kazał mi wrócić, zapisał receptę i wyprawił na kwaterę. Wieczorem ogarnęła mnie gorączka, straciłem przytomność, nie pamiętam jak znalazłem się w szpitalu.

» Kiedy po kilku dniach, odzyskawszy zmysły leżałem bardzo zbolały i słaby, siadł przy mnie stary sołdat, posługacz szpitalowy, i tak zaczął: « A cóż, źle z tobą..... pójdziesz na tamten świat. Czy pomyśliłeś o zbawieniu twojéj pogańskiéj duszy! » Odpowiedziałem mu żem chrześcianin. « Jaki ty chrześcianin — mówił daléj — Nie jesteś chrzczony w Jordanie. I twoje chrześciaństwo pogańskie, i ty sam poganin. Proś popa żeby cię ochrzcił na prawosławną wiarę, która jedna tylko prawdziwa. Inaczéj przepadniesz na wieki! » Nie miałem sił daléj odpowiadać jemu; ale widząc żem niewzruszony, traktował mnie potém jak psa, bo téż było u niego zasadą, powtarzaną ciągle, że pies, żyd i lach, to wszytko jedno.

» Podobne nawracania spotykały mię często i były najnieznośniejszém dla mnie utrapieniem, najdotkliwiéj rozdzierały mi duszę. Jeszcze przed fatalną sprawą o zegarek, kapitan uczebny, nieraz po musztrze, po sfukaniu mnie, albo wytrzymaniu przez godzinę pod bronią, brał na stronę i przemawiał poważnie, że odemnie samego zależy los mój polepszyć, że gdybym przeszedł na prawosławie, pozyskałbym opiekę starszych, poszanowanie u wszystkich, dostałbym sto rubli zapomogi i mógłbym nawet przed terminem wysługi awans otrzymać. Późniéj, kiedy po wyjściu, ze szpitalu chodziłem znowu na musztrę, męczył mię jeszcze swojem apostol-

stwem, ale już nie obiecywał nic więcéj tylko powrot do dworjanstwa i łagodniejsze postępowanie ze mną. « Będziesz naszym bratem — mówił — i będziemy cię traktowali po bratersku. » Przecież jestem chrześcianinem, jestem waszym bratem w Chrystusie, odpowiadałem. « Nie! — wołał — ten tylko nasz brat, kto ma z nami jegnego Boga i jednego Cara; wasza religia odszczepieńcza przeciwna Bogu i Carowi. » — Jakże miałem go przekonywać, powtarzałem tylko, że moja religia, rzymsko-katolicka, jest święta i prawdziwa; choćby mi przyszło sto razy więcéj cierpieć i zginąć, nigdy jéj nie odstąpię. Na to wykrzykiwał z szyderstem: « O ho! gdyby wasza religia była święta i prawdziwa, nie bylibyście pod nami, i ja nie stałbym tu nad tobą. » Wpadając stopniowo w gniew, nie szczędził bluznierstw dla naszéj wiary, obelg dla mnie, i zwykle kończył: « *Czort z toboj — bud' ty proklat!* »

» Do szpitalu wojskowego przychodzili na praktykę klin:czną uczniowie medycyny, miedzy którymi byli i Polacy. To dało mi sposobność zabrać znajomość z nimi i późniéj poznać kilku junkrów Polaków.

» Niezadługo po mojém wyjściu ze szpitalu, w jakiś dzień galowy, przechadzałem się po mieście z dwóma nowo poznanymi junkrami. Teatr i widowiska tego dnia były bezpłatne. Tylko co pominąwszy menażeryą zwierząt, zwróciliśmy się na uboczną ulicę, aż postrzegamy że idącego przed nami ucznia uniwersytetu pies napadł, i ten uderzył go laseczką, a zaraz przyskoczył do niego właściciel psa, pułkownik, jak późniéj dowiedzieliśmy się, von Brinken. Co tam daléj było między nimi, nie mogliśmy widzieć ani słyszeć dobrze, bo zbiegło się koło nich wiele ludzi, a my nie śmiejąc zbliżyć się, stanęliśmy na stronie pod ścianą. Kilku żołnierzy zatrzymało się także przy nas. Skończywszy z uczniem, pułkownik zwrócił się ku nam rozjuszony. Zrobiliśmy wszyscy front przed nim. Ale mu koniecznie trzeba było złość

spędzić na kimkolwiek. «To teraz dopiero zdejmujecie czapki! — zawołał. Junkier obok mnie stojący odpowiedział, żeśmy pierwéj widzieć go nie mogli. Trącił junkra w piersi, a mnie i każdemu z żołnierzy dał w twarz. Wieczorem, ja i obadwaj junkrowie przebrani po cywilnemu, mieliśmy czynny udział w oddaniu pułkownikowi na teatrze co się należało; w nocy nie było już nas w Kijowie, szliśmy ku lasom, nie wiedząc gdzie i jak Bóg nas daléj poprowadzi. Wyprowadził szczęśliwie...»

Przerywamy na tém opowiadanie. Wypadek jaki spotkał v. Brinkena, rok temu był opisany w dziennikach. Donieśliśmy o nim czytelnikom naszym w numerze *Wiadomości* z dnia 6 czerwca roku przeszłego. Wiele ciekawych i nawet bardzo przejmujących szczegółów saméj historyi oddanego w sołdaty musieliśmy pominąć, albo pobieżnie tylko dotknąć. Okoliczności ucieczki i wędrówki jego przez różne strony kraju naszego, dla łatwych do odgadnienia względów, ogłaszać nie wypada, chociaż znalazłoby się w nich mnóstwo scen bardzo dramatycznych, rzewnych i sercu polskiemu, obok boleści, przynoszących pokrzepienie i pociechę.

HRAMOTKA P. KULISZY.

24 lipca.

Trafia się to niezgrabnym w strzelaniu stróżom nocnym, że zamiast do wilka co rabuje, strzelą do brytana: wina gromady, że takiego dozorcę wybrała. Coś podobnego zdarzyło się u nas, lecz abym sens tego apologu wyłożył, muszę nieco daléj sięgnąć pamięcią.

Lat temu kilkanaście, wśród najzaciętszych prześladowań, jakiemi Moskale gnębili nad Dnieprem narodowość polską, w Kijowie, który był obrany za pole popisu dla Bibikowa okradającego szlachtę a pastwiącego się nad młodzieżą, kilku Małorosyan utworzyło rodzaj towarzystwa literackiego, mającego na celu wskrzeszenie dawno zapomnianéj narodowości ruskiéj. Byli to panowie Kostomarów, profesor historyi rosyjskiéj w uniwersytecie kijowskim, Kulisz, nauczyciel szkoły powiatowéj, szwagier jego Bazyli Biełozierski i Szewczenko, malarz, uczeń akademii petersburskiéj, a zarazem niepospolity poeta. Koło nich gromadziły się umysły oświeceńsze Rusi zadnieprowskiéj, kilku możniejszych obywateli sprzyjało również tym młodym rozkrzewicielom zadawnionéj idei. Zaczęto pisać arty-

kuły i dzieła w języku rosyjskim, wykazujące historycznie co to jest Ruś południowa, jakie przebyła koleje, na jakich warunkach została wcieloną do państwa wszechrosyjskiego; nieszczędzono w tych pismach Polaków, ale kto umiał czytać między wierszami, mógł spostrzedz, że jeźli wypowiadano wojnę, to nie tym ciemiężycielom, którzy już dawno minęli, ale tym którzy dzisiaj dręczą. Że to byli ludzie wykształceni, szlachetni, szanowani w Kijowie, pisma ich nabrały wkrótce wielkiéj wziętości, i myśl jakiejś wyłączności narodowéj, małoruskiéj, ocknęła się prędko i do serc przylgnęła. Spostrzegł się rząd i chiał zapobiedz jawnéj propagandzie. Arestowano p. Kostomarowa i wysłano do Wołogdy; w tym samym czasie zatrzymano w drodze p. Kulisza, który z żoną wyjeżdżał za granicę, i wyprawiono go do Nowogrodu; p. Biełozierskiego osadzono w Petrozawodzku, a p. Szewczenkę, w którego pieśniach dostrzeżono wiele nienawiści ku rodzinie panującéj, zasłano w sołdaty do Orenburga. Dla usprawiedliwienia tych deportacyj, policya rozsiewała wieść, że odkryto spisek małoruski, ale nie zdaje się aby to było prawdą, bo oprócz nich, o ile wiem, nikogo ani w Charkowie, ani w Połtawie, ani w Czernichowie podówczas nie wzięto.

Zdawało się że tym krokiem energicznym zapobieżono niebezpieczeństwu i że wszystko minęło. Wysławszy naprzód w głąb Rosyi i zastraszywszy prześladowaniem, rząd moskiewski, ze zwykłą sobie względem podejrzanych Moskali i Małorusinów polityką, począł następnie głaskać deportowanych i zjednywać urzędami; mimo to, przez cały ciąg panowania Mikołaja, żadnemu z nich niewolno było pism swoich ogłaszać drukiem.

Po wstąpieniu Alexandra i po zawarciu pokoju, kiedy cesarz podniósłszy kwestyą włościańską, potrzebował dla niéj pewnego w imperyum rozgłosu, i w tym celu zwolnił przepisy cenzury, kiedy w dziennikach rosyj-

skich jawiły się artykuły uderzające swą dążnością polityczną, pisarze małoruscy zaczęli także pokazywać się z polemiką literacką, powieściami, wywodami historycznémi, które częścią po rosyjsku częścią po małorusku były ogłaszane. Celem tych pism było oczywiście podnieść język, lieraturę a najbardziéj wskrzesić w pamięci podania historyczne, głównie z czasów najpełniejszego zformułowania się zywiołu ruskiego w oddzielną narodowość, to jest z czasów Nalewajki, Chmielnickiego i buntów kozackich. Pisma te, ku wielkiemu naszemu zadziwieniu, nie wywołały dotychczas ani jednego wiersza odpowiedzi ze strony rosyjskich literatów. Świeżo bardzo, bo w tym roku dopiero, jeden z polskich znamienitszych pisarzy, rozprawą pełną nauki w jednėm z pism moskiewskich opowiedział prawdziwe położenie ludu ruskiego pod berłem polskiém, wpływ narodowości polskjéj a przez nią oświaty zachodniéj na Ukrainę, i wpływ katolicyzmu na Kościół wschodni, którego hierarchią naprawiła Unia. Rzecz godna uwagi, że praca ta została przyjęta przez pisarzy małoruskich z wielką wyrozumiałością, i że bezstronnie i zgodnością przedmiot drażliwy przez obie strony był i jest dotąd rozbierany.

Ale ludzie tak niepospolici jak p. Kulisz i jego towarzysze musieli spostrzedz, że budząc narodowość ruską podejmowali sprawę wątłą i tak przedawnioną, że aby od większości swych współbraci być zrozumianymi, musieli przemawiać do nich po moskiewsku. Najpierwszą zatém potrzebą okazało się nauczyć swoich języka, i w tym celu pojawił się na Rusi pierwszy oddawnych czasów elementarz ruski, aprobowany przez cenzurę świecką i duchowną w Petersburgu, w. r. 1857. Elementarz ten, wydrukowany moskiewskiemi czcionkami, nosi tytuł *Hramotka*. Przyniosła ona wiele biedy: zaczęto czytać ją, ważyć, roztrząsać, mówić o niéj, wołać wreszcie na ratunek przeciw zasadom w niéj głoszonym,

jakoby zręczną były proklamacyą przeciw panom, podbudzaniem chłopów do buntu. Co chwila wynajdowano w niéj słowa jak Lachy, Nalewajko, i kiedy podejrzenie zostało rozbudzone, a strach dodał mocy podejrzeniu, tak się ta książeczka wydała niebezpieczną obecnemu stanowi rzeczy, zwłaszcza gdy się układa najważniejsza dla nas sprawa, to jest przyszły stosunek włościan do panów, że marszałek guberski kijowski uznał za rzecz przyzwoitą zaskarżyć urzędownie dziełko przed księciem Wasilczykowem. Ze swojéj strony ks. Wasilczyków uważał także za konieczne zatrzymać po ksigarniach wszystkie exemplarze elementarzyka, odbierano go nawet prywatnym. Wprwdzie kilku panów małoruskich oświadczyło, że sami należeli do téj publikacyi pana Kulisza, nie widząc w niéj nic grożącego i zdrożnego, niemniéj jednak wola rządu gubernialnego została utrzymaną.

Ten postępek marszałka guberskiego różnemu uległ ocenieniu. Jedni, lubo takich mała znalazła się liczba, sądzili że marszałek dopełnił tylko swego obowiązku; drudzy, przeciwnie, odzywali się z oburzeniém, że wmieszał się do sprawy, która go obchodzić nie mogła, że jako Polak nie powinien wznawiać niechęci ludu do szlachty, a jako pierwszy urzędnik obywatelski, powinien był zostawić rolę oskarżyciela, komu należało. Lecz jest jeszcze inna strona téj sprawy. Jakikolwiek w przyszłości być może stosunek Małorusinów do Polski, nam zawsze o tém pamiętać się godzi, czém oni są względem Moskali. W księgach indyjskich Menu powiedziano: *będziesz uważał twego sąsiada za nieprzyjaciela, a sąsiada twojego sąsiada za twego sprzymierzeńca.* O téj indyjskiéj zasadzie snać nie wiedział pan marszałek, kiedy strwożony zerwał się na krok tak bardzo niepolityczny.

Obaczmyż wreszcie czém jest ta *Hramotka* i czy warto było dla herezyj w niéj zamieszczonych, stawiać szlachtę

polską w tak nieprzyjemném zetknięciu ze stronnictwem mającém wielkie i sprawiedliwe znaczenie na Rusi zadnieprowéj. Książeczka zawiera około stu stronic, drukowana we dwunastce i ma pozór katolickich elementarzyków berdyczowskich lub wileńskich. Rozdziały poprzedzielane są obrazkami Ś. Trójcy, Zbawiciela, N. Panny. W przedmowie powiada autor, że kto chce uczyć się obcéj mowy, powinien nauczyć się pierwéj własnego języka « a wtenczas i mowa dawna sławiawiańska stanie mu się łatwiejsza, i prędzéj wyuczy się po rossyjsku (*po moskowśki*).» Po abecadle następuje zgłoskowanie, ale nie są to, jak zwyczajnie w elementarzach, brzmienia bez sensu : autor od razu uczy *dzieci swoje* zgłoskować zdania, wiersze i strofy. I tak naprzykład :

UROK PERWYJ.	LEKCYA PIERWSZA.
Czi je szczo łucz-cze, kra-szcze w swili	Co lepiéj, piękniéj w świecie
Jak u ku-pi ży-ty	Nad życie wspólne,
Bra-tom dobrim do-bro pewne	Z bratem dobrym dobro stale
Poznat' sze di-ły-ty.	Poznać i podzielać.
UROK DRUHYJ.	**LEKCYA DRUGA.**
Po-mo-lu-sia Hos-po-de-wi	Wzniosę modly do Pana
Ser-cem o-di-no-kim,	Sercem jednakim,
I na złych mo-ich po-hla-nu	I na złych moich spozieram
Ne złym mo-im o kom.	Okiem nie złośiiwym.
UROK PIATY.	**LEKCYA PIĄTA.**
Wzło-wlat' du-szu pra-we dni-czu	Usidlą duszę prawą
Krow' do-bru osu-dia t'	Krew dobrą osądzą.
My ni Hos-pod' pry-sta-ni-szcze	Pan będzie moją ucieczką
Za-stu pni-kom bu-de.	I moim obrońcą.
I woz-dast' im za di-ła ich	I odda im za ich sprawy
Kri-wa-wy. łu-ka-wy,	Kwawe i złośliwe
Po-hu-byt' ich i ich sla-wa	Potępi ich i ich slawa
Sta-ne im w ne-sla-wu.	Pójdzie im w niesławę.

I tak daléj aż do lekcyi dwunastéj, stopniując coraz

mocniéj przez wyrażenia i strofy to z hymnów Pisma świętego, to z dum patryotycznych, do których rozbioru zaraz przystąpimy. Po zgłoskowaniu idzie nauka chrześciańska z wyjątkami z Historyi świętéj, któréj dążność choć wielce schyzmatycka, ale styl dawnych księży unickich, uczniów byłéj akademii kijowskiéj. Daléj arytmetyka z przykładami zastosowanémi do życia rolniczego i sielskiego, które z obyczajowością tego ludu tak bardzo się zespoliło; w końcu nauka czytania i historyi ukraińskiéj. Ten rozdział zasługuje na szczególną uwagę: cała historya jest jakby fantazyą na jeden ułożona temat, za który służy autorowi: *Staroświćkaja duma pro het'mana Nalewajku.* Autor przepisuje ją strofami, po każdéj strofie idzie nauka:

Jak u naszij, u sławnij Ukraini
Buwały i mory, i wijskowii czwari
Nichto Ukraińciw ne ratowaw,
Nichto za nych Bohowi mołytwiw ne posyław,
Tilko światyj Boh naszych ne zabuwaw,
Na wełyki zusillia na odpowiddia derżaw.

(Kiedy na naszéj sławnéj Ukrainie, bywały i mory i wojskowe gwary, nikt Ukraińców nie ratował, nikt za nich do Boga modlitw nie słał. Tylko Bóg święty o naszych nie zapomniał. Na wielkie wysilenia, na odwet nas chował.)

W komentarzu autor powiada, że ta ziemia ukraińska była zupełnie pustą póki « ne obizwaw sia na Lytwi wełykij kniaź Gedymin. » Przyznaje orężowi litewskiemu, że tę ziemię zdobył na Tatarach i uczynił ją zamieszkałą pod berłem polskiém, i lud ukraiński pod osłoną panów litewskich i ruskich począł zbierać się w sioła i uprawiać tę ziemię tak piękną, tak wdzięczną. Późniéj ten kraj przeszedł pod berło polskie przez dobrowolne połączenie się dwóch narodów; panowie polskiego i ruskiego pochodzenia żyli długo w miłéj z sobą zgodzie i nikt nie pytał i nie badał kto jakiego

narodu. Aż panowie ruskiego pochodzenia poczęli odstępować wiary i zwyczajów przodków swoich i wspólnie z panami polskimi ciemiężyć lud zbytnią pańszczyzną, co wywołało na świat Nalewajkę, że się ujął za prawa swego ludu. Daléj mówi pieśń :

Oj z za hory chmara wystupaje,
Wystupaje, wychożajc
Do Czyhryna hromom wyhrimlaje,
Na Ukrainsku zemlu błyskawyćeju błyskaje,
To Polaki czerez try ryki try perechody mały
Da i koło tretioho perechodu stanom stały,
Pust'yły konij na popasanie,
Sami sobi daly na try hodyni odpoczywanie,
A szco het'man Nalewajko dumaje hadaje
Szczo win na newzhodu Lahiw zamyszłaje
Tilko Boh światyi znaje
Szco jemu na pomicz pomahaje.

(Oj z za góry chmura występuje i wychodzi, do Czehryna grzmotem gromi, na ziemię ukraińską błyskawicą błyska. To Polacy przez trzy rzeki trzy przechody mieli, a koło trzeciego przechodu obóz rozłożyli. Puścili konie na popasanie, sami sobie dali przez trzy godziny odpoczywanie. A co hetman Nalewajko myśli i przemyśla, co on na poróżnienie Lachów wynajduje? Tylko Bóg to święty zna, który mu swą pomocą pomaga.)

Nauka : Buła Polszcza wełykim carstwom, upirałaś odnim końcem u Baltyjskoje a druhym u Czernoje more. Pohlań-téż (patrzcież) szczo teper iz nei ostałoś ! Hde ii pany i hetmany, hde ii duki i woewody? Stoit poper Polszcza wełykim cwintarom (cmentarzem) starodawnei sławy i płaczut na tomu cwintari żywyi po mertwych. Se ne czije jak nasze diło. Dopekły Lachy nam swojeju znewahoju do samoho sercia; strepenułyśmy i zachytałoś Polskoje carstwo na swoij twerdyni; poty chytałoś poki susidy zo wsim joho powałyły. Tak to Boh karaje za neprawdu carstwa zemnii, tymi samymi rukami kotory ich oboroniały. » — Każda z następnych strof od-

powiedni ma komentarz, aż do ostatniéj która brzmi jak następuje :

A kozaki hladiły u wiczy wbaczały
Promyż sebe burkowały, rachowały
Try korugwy na zabaczenie Lachom stanowiły
Na korugwach uhowor riadnu pysały
Wirnomu prawosławnomu Christianstwu myrom myr
A Lacham worohom pekelnyj pyr
W koho krest na toho i krest!

Ot-seż i pijszły kozaki
Na czetyry pola a na piate na Podole
Lahiw na wsi storony, po wsim krestam kołotyły
Lachy o proszczenia prosiły da ne doprosiły sia
Ne takiwśki kozaki szczob oproszczenie dały.
Ne takiwśki Lachy szczob napaśt zabuły.

(A kozacy patrzali u wici wyglądali, między sobą pomrukiwali rachowali, trzy chorągwie na pokaz Lachom wystawiali, na chorągwiach umowę naradę spisywali. Wiernemu prawosławnemu Chrześciańsktwu ogólny pokój, a Lachom wrogom piekelna biesiada. Kto krzyż nosi niech ten krzyż i znosi! —

Otoż i poszły kozaki, na cztery pola a na piąte na Podole. Lachów na wszystkie strony, na wszystkich rozdrożach bili, Lachy pardonu prosili a nie doprosili się. Nie tacy to kozacy żeby dawali pardon, nie takie tz Lachy żeby o napaści zapomnieli.)

Nauka : « Wielka to siła jednolitego ludu nikt nie ostoi się przeciw jednostajnemu działaniu. Nie oręż, nie sztuka zwycięża w wojnach narody; walczą one wspólnictwem sił, u kogo więcéj woli i myśli jednéj (dumy jednoj) ten bierze nad drugim górę. Tak było za dawnych czasów, tak będzie i do końca świata. »

Oto do jakiego sensu moralnego przyprowadziła autora ostatnia strofa dumy o Nalewajce, strofa nie zaprzeczamy pełna jadu przeciw Lachom, ale przeciw dawnym Lachom, którzy się bili z Nalewajką. Wszakże możnaby w inny sposób rozwinąć tę strofę, a przecież autor nie wspomniał w niéj ani o panach, ani o chło-

pach, ani o teraźniejszéj Polsce. Dzisiejsza Polska według niego « to wielki cmentarz na którym żywi płaczą po umarłych » zazdroszcząc ich śmierci. Wiersz posłużył mu za powód do upomnienia, że tylko zbiorową siłą i jednakową dążnością możemy dójść do wielkich rezultatów. Czy to nauka tylko dla uczniów pana Kulisza?.....

Oprócz modlitw zwyczajnych zamieszczonych w elementarzu, jest kilka bardzo pięknych tłumaczeń psalmów w tym języku, którym modlili się przodkowie nasi, szlachta pochodzenia ruskiego, i który jeszcze tak niedawno był językiem u nas prawie pospolitym. Na końcu książeczki znajduje się odezwa do piśmienych, która tak się zaczyna. « Ziemla Ukrainska ide daleko po obydwa boku Dnipra; siahaje wona poti narod howoryt' po naszomu i w Awstrijśkomu carstwi aż po samy Karpaty. Perejdesz hraniciu i ne dohadajesz sia (*nie domyślisz się*) szczo se wże insze carstwo : zdajet' sia tobi, szczo se wse ide ridna nasza Wołyń abo Podole. Lude dilat' (*dzielą*) zemlu na carstwa a Boża premudrost' na plemena. Prochodiat' (*upływają*) sotni lit, kładut' sia inszy hranyci myż (*między*) carstwamy, a Bozi hranyci myż plemenami stojat' nenaruszymy. Wymre odno, druhe kolino (*pokolenie*), nastanut' inszi własti dajut sia horadam i sełam zakony, a zakony jazyka i zwyczaiw ostajut sia nenaruszymy poki samo plemia ne pryjme samochit (*dobrowolnie*) inszoj mowy, inszych zwyczaiw. » Tu następuje piękne słowo o dawności mowy ruskiéj, o « korolu Stefanie » który kozaków formował a pieśni ich lubił i rad im się przysłuchiwał. I już wtedy uważano je za starodawne, bo od wieków brzmiały, jako dzisiaj brzmią. Szanujże wszelki, kończy autor, swoje rodzone słowo, które nie od kogo innego jak od samego Boga jest nam nadane, a nie dlatego dane aby my dar Boży znieważali i o nim zapominali. Kto go znieważa i zapomina, ten dobrowolnie wygania siebie z rodzinnéj ziemi, i do tego

serce nie zwróci się jak do brata wpośród obcych, tego nie przywita nasze bratnie plemię pod Karpatami. Czuża tomu nasza piśnia, kotorii ne ma riwnii po wsemu świtu. »

Powyższa odezwa którą p. Kulisz zwraca nie do swych maluczkich, ale do nas którzy więcéj może wiemy niźli on chce powiedzić, zamyka ten elemantarzyk. Przyznajemy, jest książka ta niepospolitém zjawiskiem i daje wiele do myślenia, mogłaby nawet niejednemu z naszych piśmiennych posłużyć za wzór i wskazówkę. Ale w żadnym razie nie widzimy w niéj téj groźnéj nam propagandy, która p. marszałka guberskiego tak bardzo przeraziła, w żadnym też razie szlachta ukraińska za postępek swego naczelnika nie przyjmie odpowiedzialności.

Teraz nim skończę, jeszcze słowo do p. Kulisza i jego zacnych rodaków. Równie jak on, i my pragniemy aby naród małoruski dojrzał « do owych wielkich wysileń od Boga wskazanych » o których mówi pieśń. Ale narody, mówi taż sama pieśń, mają swe odwiecznie granice, które próżno chcieć przekraczać. Historya skupiła narodowość ruską po tamtéj stronie Dniepru, jéj sercem są dzisiaj słobody ukraińskie. Ukraina przeddnieprowa orężem polskim zdobyta i broniona, zaludniona tym samym ludem który złona swego wydał szlachtę, jest i da Bóg nie przestanie być polską prowincyą. Ilekroć po nią sięgać będą małoruscy patryoci, tylekroć zamiast bratniéj dłoni, która ich czeka z pomocą, znajdą jednego więcéj nieprzyjaciela. « Siła złego dwóch na jednego » mówi polskie przysłowie.

POLITYKA ROSSYJSKA W POLSCE.

WSTĘP.

31 lipca.

Od czasu pokoju paryzkiego, postępowanie Rossyi w ważnych zadaniach państwa, przybrało nagle cechę tak niezwykłą, pozory tak niespodziane, iż zdawało się jakoby rząd rossyjski zaniechał tradycyonalnych, wiekowych tendencyj, i że z odmianą czasów i okoliczności, wszedł na drogę nowego działania, zapewniającego Europie spokój przez długie lata, a dobry byt i swobodę mieszkańcom obszernego imperyum. Dzienniki zagraniczne chciwe nowostek, do najpierwszych dotąd liczyły i liczą nowiny z Rossyi. W kwestyach odnoszących się, czy do polityki zewnętrznéj, czy do zmian wewnętrznych, czy wreszcie w usiłowaniach przemysłowych, handlowych albo naukowych, zabłysła od Wschodu żywym ogniem zorza nadziei, wzniosły się fantastycznie olbrzymie rezultaty, i na obszerném polu francuzkiéj, niemieckiéj, a nawet angielskiéj publicystyki śpiewano i do dziśdnia śpiewają kantaty na cześć Alexandra II. W Paryżu, telegraficzne bióra korespondencyjne przyjęły mimowolnie rolą, którą im naznaczył gabinet petersburski, dmąc przez nie jak przez tubę, co chce aby

się po świecie rozeszło. Te plotki, o ile która uderzyła publiczność, podejmuje natychmiast dziennik *le Nord*, podnosi do wysokości zdarzeń historycznych i reform, i to sofizmatami, to zręczną insynuacyą przekonywa zdziwionych na Zachodzie słuchaczy o tém, czemu ani tenże sam dziennik, ani nikt ze znających Rossyą, nigdyby uwierzyć nie mógł.

Wśród tego wszechrossyjskiego natłoku łask, szczodrobliwości, błyszczących obietnic i zapowiedzi, po których, chociażby się ziścić nigdy nie miały, zawsze na umysłach wrażenie zostaje, dzięki rozstawionym po Europie gazeciarskim klakierom, cokolwiek było powiedziane o Polsce i Polakach, przyjmowane jest jeszcze z większą lekkomyślnością, z silniejszą jeśli można wiarą. Nowiny najmniéj uzasadnione, najsprzeczniejsze duchowi odwiecznéj polityki moskiewskiéj są powiększane, dopełniane, tłómaczone w sposób najkorzystniejszy potrzebom Rossyi. Lecz nietylko za granicą, zwłaszcza zaś tu we Francyi, gdzie płochość w przyjmowaniu lada doniesień, może tylko wyrównać nieuctwu w tém wszystkiém co nie jest francuzkie, nietylko, powtarzamy, za granicą, ale u nas w kraju, osobliwie w zaborach pruskim i austryackim, wieści o tego rodzaju nagłem przeistaczaniu się Rossyi i o zmianach w jéj polityce, nieraz za najszczerszą uchodzą prawdę. Najpoważniejszy, a przytém najwolniejszy z dzienników polskich *Czas*, w artykułach, które pisze lub powtarza o Rossyi, zbyt zawierzając swoim informacyom, albo téż zbyt skwapliwie za niemi ubiegając się, wpadał dość często w dobroduszną łatwowierność. Za nic słowa aktu tak uroczystego jak manifest Alexandra przy wstąpieniu na tron ogłoszony, którym monarcha ten zapewnił ludowi swemu, iż pójdzie śladem Katarzyny i Mikołaja! Za nic niedwuznaczne słowa, niedwuznaczna groźba, mowy znamienitéj, mianéj przez cara w Warszawie! Za nic wreszcie protestacya najzdrowszéj części emigracyi

polskiéj, która czy w większéj czy mniejszéj zostanie liczbie, zawsze będzie treścią rozćwiertowanéj naszéj społeczności! Za nic te ostrzeżenia, to wszystko na stronę? Wierzono temu tylko, czemu chciano wierzyć, czego wszyscy pragnęli.

A pragną wszyscy i wierzą, że Rossya od czasu pokoju paryzkiego, i wstąpienia na tron Alexandra II nie jest tą Rossyą jaką dawniéj była, ale że postępuje drogą cywilizacyi w ślad za innemi ludami Europy, zkąd wynika, że porzuciła myśl o zaborach, o burzeniu sąsiadów, o kłóceniu sprzymierzeńców.

Pragną wszyscy i wierzą, że Rossya, ten najzajadliwszy Kościoła katolickiego prześladowca, naraz jak Szaweł łaską Boską dotknięta, z oczu zrzuciła ślepotę, złagodniała, udobruchała się, i może nawrócenia się jest blizką.

Pragną wszyscy i wierzą, że nawet w sprawie polskiéj Rossya dała dowód téj zmiany szczególnéj i niespodzianéj, bo cesarz nietylko ułaskawił wychodźców polskich i więźniów politycznych, ale już nie tępi narodowości polskiéj, i owszem szanuje język i tworzy instytucye naukowe w kraju!

Złudzenia to daremne, i za które kiedyś krwawo trzeba będzie zapłacić! Ale czém można zwieść nieznających Rossyi i chcących aby ich łudzono, tém nie złudzi nas, emigrantów, którzy dotykalnie czujemy sprawę, dla któréj żyjemy, którzy jesteśmy poniekąd aktorami w tym dramacie, poniekąd żołnierzami w téj walce toczonéj z całą przebiegłością potężnéj nienawiści najzaciętszego z naszych wrogów.

Zacznijmy od rozpatrzenia pierwszego z tych obłędów politycznych i zobaczmy jakim torem idzie Rossya u siebie na drodze postępu, oświaty i wolności.

I

URZĄDZENIE GMINNE.

31 lipca.

Reformy w wojsku naglącemi potrzebami wywołane, niektóre zmiany w administracyi krajowéj, redukcya taryfy, zawiązanie pewnych towarzystw handlowych i i przemysłowych mogą jeszcze nie być i nie są wistocie objawem polityki liberalnéj. W kilku pismach ulotnych lub w artykułach tu i owdzie rozrzuconych, na które mało kto zwrócił uwagę, wyłożono jasno dlaczego Rossya musiała chwycić się takich przedsięwzięć jak budowa kolei żelaznych, lub dopuścić takich zmian jak wolność wyjazdu za granicę poddanym imperyum (1). Ale mijając nateraz pomniejsze, zastanowimy się nad najważniejszą reformą : kwestyą włościańską.

W piśmie, które ogłosiliśmy na początku tego

(1) Znana to już dzisiaj rzecz, że trzydziestoletnie panowanie Mikołaja tak dalece zasklepiło Rossyą, że nikt w niéj nie wiedział co się działo na Bożym świecie. I jakże mogło być inaczéj w kraju, gdzie prócz kilku stolic, nie ma ani jednego europejskiego miasta, gdzie człowiek skazany był na czytanie dzienników ociosanych po czerkiesku przez cenzurę rossyjską. Zamknięty przez lat kilkanaście w takiém więzieniu, cóż dziwnego że nic się nie nauczył i do reszty zgłupiał! Ale godném jest podziwienia, że sam rząd nic prawie nie wiedział o wielu ulepszeniach i wynalazkach europejskich. Oficerowie francuzcy zapewniali nas, że Moskale w Krymie niechcieli zrazu wierzyć, aby mogła być broń ręczna sięgająca daléj niż rossyjskie armaty. A wiadomém jest przecie, że ministeryum wojny rossyjskie utrzymuje wciąż agentów wojennych we wszystkich większych stolicach Europy, bo nawet i w Stambule! Powiadają, że paryzki agent dostarczał ministrowi najregularniéj, tygodniowych raportów o plotkach paryzkich. Tak to, nawet w Rossyi, rząd nie może bezkarnie odsuwać mieszkańców od zetknięcia się ze światem, ani brać na siebie obowiązku pamiętania o wszystkich potrzebach krajowych.

roku (1), staraliśmy się wykazać, że całkiem inne przyczyny niż te o których mówiono w Europie, wywołały w Rossyi kwestyą włościańską. Ale wstrzymaliśmy się wówczas z dalszemi wnioskami, nie mając jeszcze dowodów, których tylko następny rozwój sprawy mógł dostarczyć. Dziś sprawę tę posunięto daleko, i dążność rządu stała się widoczną; wreszcie program ogłoszony przez Komitet centralny, pod prezydencyą hr. Orłowa, zasiadający w Petersburgu, nie dozwoli nam w rozumowaniu pomylić się. Są i ukazy cesarskie i instrukcye ministra również wszystkim znane. Z porównania i zgłębienia tych dokumentów wypada, że kwestya włościańska jak była reformą wywołaną przez potrzeby zagranicznéj polityki, tak zawiązkiem będzie i podstawą przyszłéj polityki wewnętrznéj, a jéj końcem ostatecznym musi być : *jeszcze większe ześrodkowanie i spotężnienie władzy absolutnéj w ręku cesarza.*

Obaczmy, na czém wistocie zasadza się reforma, która przed Europą nosi nazwę *Oswobodzenia chłopów* (Emancipation de paysans), a w kraju ma tytuł *Polepszenia bytu włościan* (Ułutszenie krestianskaho byta)?...

a. Urządzenie przyszłe gmin stawia chłopów pod bezpośrednią władzę rządu i tyranią wyjątkową zmienia w ucisk ogólny.

b. Chłop chociaż usunięty z pod władzy pana, niemniéj przecież zostaje przywiązany do gruntu, który przechodzi częścią na jego własność, częścią w wieczystą dzierżawę. Nadanie téj ziemi opiera się na największéj niesprawiedliwości, to jest na zaborze własności cudzéj.

c. Wszystkie te zmiany dokonywane są ze zwykłą rządowi rossyjskiemu hypokryzyą i przebiegłością : pod hasłem dobra ludzkości, legalności, dobra kraju, postępu, cywilizacyi, zniesienia niewoli i t. d., i t. d.

(1) *Rząd rossyjski i jego teraźniejsza polityka.* Paryż, 1858.

Zarzuty, które czynimy rządowi rossyjskiemu są tak ważne, że potrzebują ścisłego i sumiennego ze strony naszéj wyjaśnienia, aby nas nie posądzono o złą wiarę, a może o dążności tak wsteczne, że liberalniejszym od nas wydać się może rząd absolutny, moskiewski. Prosimy przedewszystkiém czytelników aby pamiętali, że nie o to idzie nam dzisiaj, czy pańszczyzna ma być zniesiona lub nie, bo to już sprawa osądzona i powielekroć zdanie nasze w niéj objawiliśmy; ale o to, aby znane były powody, które rządem rossyjskim kierują, cele które on osiągnąć zamierza, środki których używa, a zatem i niebezpieczeństwa, które grożą i od których, póki czas, trzeba się zasłaniać.

W całém imperyum rossyjskiém wprowadzone będzie jednostajne urządzenie gminne (*mirskoje*), któremu wszystka ludność włościańska jednakowo ma ulegać (1). — Co jest gmina? Pod imieniem gminy rozumiemy, albo jednostkę administracyjną, jaką jest gmina we Francyi lub Królestwie Polskiém od czasów Księstwa Warszawskiego, albo też stowarzyszenie polityczne, którego członkowie obowiązani są do wzajemnéj zależności, reprezentacyi, solidarności. W pierwszym razie, gmina jest cząstką podziałową państwa, w drugim, jest osobnym kraikiem, jakby małą rzecząpospolitą. Gmina rossyjska nie jest wyłącznie ani jedném ani drugiém: żyje w niéj jeszcze w atomicznych ułamkach

(1) Oto jest program przez rząd w téj sprawie zakreślony, (*Gazeta Warszawska*, 1858. N. 126):

« Rozdział VIII. *Utworzenie gmin wiejskich.*

Gminy we wsiach i wioskach do jednego właściciela należących. — Gminy we wsiach należących do kilku lub wielu właścicieli. — Połączenie cząstek mało zaludnionych w jednę gminę lub przyłączenie ich do części ludniejszéj. — Najmniejszy, co do liczby dusz lub zagród, skład gminy. — Podział użytków gruntowych między członkami gminy. — Rozkład powinności należących skarbowi lub obywatelowi. — Urządzenie polityczne w gminach. — Zarząd gminny, jego skład i przedmioty prac. »

wolna zbiorowość dawnéj gminy słowiańskiéj, ale w większéj części jest ona tylko najniższym szczeblem hierarchii administracyjnéj. Długie wieki niewoli wykończyły jéj stan dzisiejszy. I polscy i rossyjscy historycy zgadzają się na to, że aż do napadu Warjagów liczne siedziby słowiańskie dzieliły się na małe gminowładztwa. Warjagowie zachowali urządzenie gminne Słowian, i obok kilku rzeczpospolit podzielili kraj na księstwa. Lecz i te księstwa były to raczéj dzielnice obszernego podboju. Słowem plemię Ruryka zagarnąwszy Słowiańszczyznę ruską, nadało jéj *ogólną* administracyę wojenną, ale administracyą *szczegółową*, miejscową, zostawiło w dawnym stanie.

W czasach najścia tatarskiego, słowiańskie siedziby różnego doznały losu. Ruś południowo-zachodnia, przejmując zwyczaje zachodnie i domagając się korony z Rzymu, wyrobiła w sobie więcéj europejskie pojęcia o państwie, i za pojawem hordy łupieżczéj stawiła opór tak dzielny, że ją zgruchotano, rozbito, ale jéj nie zgnębiono, nie zdeptano. Minęła burza, dzielni książęta litewscy wypędzili Tatarów; pod zasłoną ich oręża zaczęła tworzyć się społeczność nakształt zachodniéj, gdzie zamki i grody szlachty polsko-litewskiéj wyobrażały zachodnią feudalność w jéj ostatnim, najdalszym odblasku. Inne były koleje słowiańszczyzny zadnieprowskiéj i zadźwińskiéj, — *zaleśnéj*, jak wówczas mówiono, wskazując na kraj oddzielony ogromnemi puszczami, ciągnącemi się nad Wołgą, Oką i ich dopływami. Tam, w tych świeżo osiedlonych krajach, mali kniaziowie ugięli karku pod Tatarami. Nie mogąc siły odeprzeć siłą, przyzwali na pomoc chytrości; nie mogąc panować niepodlegle, bili czołem przed wodzami i posłańcami hanów, i choć deptani, przecież rządzili. Kniazik zebrawszy trochę grosza i podarków, jechał do hordy, «*bił czołem;*» pokłonami i datkami wkupiał się do łaski Jego Hańskiéj Mości, całował kraj jego szaty, i na znak

pokornéj uległości podawał mu czarę z *kumysém* (kwaśnem mlekiem). Han siedząc na koniu wychylał czarę, lecz kilka kropel spuszczał na grzywę końską, które kniaź ze czcią zlizywał, i tym znakiem upokorzenia pieczętował hołd swojéj wierności.

Kniaź im z większą pokorą i chytrzejszém uniżeniem sprawił się w złotéj hordzie, tém z większą ufnością hana i obszerniejszą władzą wracał do swoich. Często cała władza polityczna przyznawaną mu była, tylko dodawano mu tatarskiego poborcę, do którego odbiór haraczu i podatków należał.

Taki stan trwał przez wieki tatarskich rządów. Z namysłem piszemy słowo *rządów*, choć Rossyanie tę epokę zowią tatarskiém jarzmem (*tatarskoje igo*). Rządy tatarów były wprawdzie jarzmem dla kniaziów, ale dla ludu gorsze było jarzmo książąt. I nie ubyło niewoli, choć przemoc hanów zastąpiła potęga wielkich kniaziów moskiewskich : inny był władzca ale system nie inny. Dawniéj wielcy książęta moskiewscy wysyłali swych wojewodów, którzy nie mniejszych dopuszczali się zdzierstw i bezprawiów. Zresztą nietylko urządzenia polityczne i administracyjne ale nazwiska pozostały też same. Lud zwał hana *Carom zołotéj Ordy* , wielki książe moskiewski nazwał się także carem. Taż sama co dawniéj «*kazna*» wysysała podatki; ten sam duch, ten sam wiatr co dawniéj z Azyi, wiał późniéj z stolicy, z Moskwy. Z pogardą mówił Tatar o podbitym że to *krestianin*, i ten wyraz « krestianin », ze swą zepsutą wymową, przechował się w języku urzędowym cara i bojarów. Dziś *chrestianin* po rossyjsku znaczy chrześcianina, *krestianin* chłopa.

Kniaziowie i carowie moskiewscy nie zmieniwszy nic prawie w urządzeniu kraju, zostawili także nietkniętą po Tatarach gminę. Zwykle chłop przebieglejszy wybierany był za naczelnika (*hołowę*), ten miał stosunki z władzą, rozkładał i wybierał daniny, woził ją bojarowi i tak

miejsce *haraczu* tatarskiego zajęły bojarskie obroki. Mniejsza o to, za co ta danina była składaną, czy za najem ziemi bojarskiéj, czy za czasowe uwolnienie chłopa od pracy, ale zawsze rozkładano ją stosownie do ilości dusz : ztąd zwyczaj liczenia na *dusze,* ztąd dla kazny podatek zwany *podusznym*, ztąd dla właściciela *obrok* czyli czynsz pogłówny, od słowa rossyjskiego obrjeczon czyli skazany na płacenie. To urządzenie gminne dochowało się w Rossyi do dziś dnia w majątkach obywatelskich i skarbowych. Byle zapewnić odbiór podatku i obroku, to z resztą mniejsza o to, jak się tam gmina urządzi!

Wiedzą o tém badacze historyczni, że odległych wieków zdarzenia tak się przekształcają z czasem, w napływie późniejszych wyobrażeń, że już późniéj prawdy dójść nie można, chyba siłą natchnienia lub wytężonéj a pełnéj erudycyi krytyki. Toż samo zdarza się w sferze moralnéj i politycznéj. Gmina, ów pierwszy objaw spólności interesów, pierwsze wyobrażenie ładu w tworzącém się społeczeństwie, z upływem wieków przerabiać się musiała, a zawsze w sposób odpowiedni naciskowi politycznemu. I kto dziś dojdzie co w niéj dochowało się kształtów pierwotnych, a co późniéj naniesione i przyrosłe? Indyjska gmina w niewoli mongolskiéj zapomniała o swych prawach i urządzeniach; został się tylko *zemindar*, poborca tatarski, pierwszy i ostatni jéj urzędnik polityczny. Nie inny los spotkał w Rossyi gminę słowiańską. W dobrach skarbowych, gdzie najszczęśliwsze ma myć ludu położenie, Mir, to jest gromada, ma zostawione sobie prawo wyboru *hołowy,* ale wybór pada zawsze na ludzi, których rząd wskazuje. I nikt nie pomyśli, aby mogło być inaczéj. Bo czyż przypuści chłop rossyjski aby poczciwość dawała komuś prawo być wybranym na urząd : trzeba na to przebiegłéj chytrości, trzeba majątku i łaski u «*naczalstwa.*» Podobnie rzecz się ma z Radą gminną (*mirskaja schodka*).

Jest to taka parodya zbiorowéj funkcyi jak wszystkie instytucye kolegialne w Rossyi, gdzie prezes dyktuje, członkowie milczą, sekretarz pisze; późniéj podpisy panów radzców stwierdzają rzecz, jakoby wspólnie uradzoną.

Hołowa więc rządzi gminą samowładnie, rozkłada podatki, i naznacza rekruta, summami przeznaczonemi na przekupienie urzędników szafuje bez zdawania liczby (*bezotczotno*), i przy zachowaniu pewnych form sądownicznych, gminie nakazanych, może wedle prawa posyłać za przestępsta na Sybir. Jest wprawdzie urząd sądowy, rodzaj przysięgłych, *sudcy*, którzy zasiadają w tak zwanéj *sielskoj* rozprawie, ale rząd ten nie ma żadnego znaczenia, bo jego wyrok zawisły jest całkiem od woli hołowy i naczalstwa (1). Nad hołową są starszyny, już nie wybrani ale mianowani do korony: *Wołostnj* (wojt) i *Okruznoj* (okręgowy), i ci znowu zależą od Izby gubernialnéj a raczéj od jéj prezesa (*Presiedatel pałaty gosudarstwiennych imuszczestw*). A tak w tym łańcuchu administracyjnym, przy każdém jego ogniwie, chłop rossyjski spotyka zawsze czynownika, ten straszliwy dla biednego ludu utwór, pośredniczący między człowiekiem, który jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże, a Carem o którym mówi poeta, że jak Bóg jest silny, jak Szatan złośliwy! Taką to gminę rząd rossyjski w krajach naszych zamierza utworzyć, gminę, przed którą nawet chłopi rossyjscy w niejednych, jako słyszymy, dobrach prywatych, już dzisiaj z przerażeniem się cofają.

« Policya miejscowa, mówi minister spraw wewnętrznych, należeć będzie do właściciela. Chłopi mają być podzieleni na gminy (miry) zarząd gminny należeć będzie do Rady (mirskaja schodka), a sądownictwo do

(1) Słowo *naczalstwo* w ogólności odnosi się do wszelkiéj władzy, do wszystkich starszych w zarządzie.

sądów gminnych, złożonych z chłopów, pod dozorem i zatwierdzeniem właściciela.» Rząd oddaje więc nateraz władzę szlachcicowi, bo go czyni odpowiedzialnym za poduszne chłopskie, bo wreszcie pan w razie nieurodzaju będzie musiał chłopów żywić. Skoro ta potrzeba tolerowania szlachty ustanie, jéj miejsce zastąpią niechybnie czynownicy. Ale powiedzą nam « usuwając szlachtę od dozoru, rząd straciłby najpierwszy, bo rolnictwo upadnie, zmniejszy się produkcya kraju, łany obywatelskie leżeć będą odłogiem ! » — Za odpowiedź niechaj posłużą dzisiejsze dzierżawy rządowe. W krajach zabranych rząd ma liczne dobra, po większéj części z konfiskaty pochodzące; wypuszcza je zwykle w dzierżawę na publicznéj licytacyi. Dzierżawca dobijając targu, okupuje naczalstwo, okupuje hołowę; ci pod rozmaitémi pozorami wynajdują zawsze jakieś niedopłaty lub zaległości na włościanach (rozumié się biedniejszych), i pędzą ich na pańszczyznę. W ten sposób kraj na produkcyi nic nie traci, ale jakże opłakanym jest stan chłopa! I taką to przyszłość włościanie nasi znajdą w wolności, którą dla nich gotuje rząd rossyjski. Zdarzyć się może iż na przemianie zyszczą chłopi zamożniejsi i przebieglejsi, lecz w każdym razie biada ubogim i prostodusznym!

Zarzucą nam znowu «że władza nadzorcza w gminie, oddana będzie szlachcie nie na czas tylko, ale na zawsze» Kto za długo trwałość tego urządzenia zaręczy? Umieściliśmy niedawno korespondencyą z okolic Kijowa, w któréj znajdował się przerażający opis sądownictwa w guberniach zachodnich (1). A przecie wedle prawa, do szlachty należy tam wybór urzędników sądowych. I cóż wreszcie może być mniéj dla rządu niebezpieczném jak sądownictwo, choćby w ręku obywatelskiém złożone, skoro pilnować się musi zwodu zakonów? Dość jednak

(1) Obacz str. 241.

było raportu Bibikowa, aby skasować półwieczny przywiléj szlachecki : cesarz Mikołaj uznał wszystkę szlachtę zabranych gubernij niegodną urzędu sądowego, i wymiar sprawiedliwości oddano w ręce nasłanym wyrzutkom rossyjskiego społeczeństwa, exoficerom wygnanym z armii. To przezorne postanowienie ojca swego, cesarz Alexander świeżo, jak wiadomo, zatwierdził.

Czyliż ten przykład nie wskazuje dostatecznie, co sądzić mamy o trwałości władzy obywatelskiéj w przyszłych włościańskich gminach?..... W skutek reform przedsiewziętych w armii, cesarz Alexander zmuszony był usunąć wielu oficerów. Biedni ludzie pozostawieni bez kawałka chleba, włóczą się teraz po miastach, przykrzą się władzom, żebrzą jałmużny, napastują zamożniejszych. Przewidywana w służbie cywilnéj reforma jeszcze większą liczbę czynowników na bruk wyrzuci. Niech ojcowskie serce Cesarza Wszechrossyj nie krwawi się przedwcześnie niedolą tylu wiernych poddanych! Alboż to nie ma ziemi polskiéj i szlachty polskiéj aby ich żywiła? Alboż to kwestya włościańska w ostatnim wyniku nie dostarczy miejsc po włościach obywatelskich? Alboż nie byłoby korzystnie każdą gromadę, wieś każdą w guberniach polskich oddać pod batóg wypróbowanego żołdaka? Więc dosyć będzie jednego donosu popa, jednego raportu sprawnika, żeby obywatelowi odebrać zarząd gminy i zastąpić go odstawnym praporszczykiem. Wówczas w dobrach szlachty polskiéj, urzędnicy moskiewscy znajdą dla siebie chleb zasłużonych, *panis bene merentium,* a biedny chłop litewski lub ruski, wprawdzie uwolniony od ucisku szlachty (dość rzadkiego przyznać trzeba), rzucony będzie na pastwę zgłodniałemu czynownictwu!

Oto co się zowie w Rossyi, zamierzone przez rząd ulepszenie bytu włościan, przejdziemy teraz do drugiego zarzutu, który, sprawie włościańskiéj, polityce rossyjskiéj zadaliśmy.

II

UPOSAŻENIE WŁOŚCIAN.

7 lipca.

Odpowiedziawszy gminę rosyjską, jéj pochodzenie historyczne, jéj stan dzisiejszy, niekończącą się nigdy opiekę, którą różnego stopnia urzędnicy sprawować nad nią gotowi, przedstawiliśmy tém samém pod jaki zarząd ma przejść chłop polski, skoro na sposób moskiewski zostanie uwolnionym.

Przystępujemy teraz do wykładu drugiego zarzutu jaki uczyniliśmy, a mianowicie «że chłop usunięty z pod władzy pana, niemniéj przecież zostaje przywiązany do gruntu, który przechodzi częścią na jego własność, częścią w wieczystą dzierżawę, jak równie, że nadanie ziemi opiera się na największéj niesprawiedliwości, to jest na zaborze własności cudzéj.»

Cesarskie pismo «o ulepszeniu bytu włościan» powiada:

«Właściciel-obywatel zachowuje prawo własności do *całéj swéj ziemi*, ale chłop zatrzymuje *sadybę* którą ma prawo kupić na własność, wypłacając się w oznaczonych terminach. Oprócz tego, chłop *pozostaje przy używaniu takiéj ilości gruntu, jaka według miejscowych okoliczności okaże się potrzebną*, aby zapewnić byt jego i dać mu środki zadość uczynienia jego obowiązkom względem państwa i względem właściciela. Wzamian za to użytkowanie gruntu, chłopi obowiązani są albo płacić czynsz właścicielowi, albo pracować na jego korzyść (1)»

(1) Reskrypt z Carskiego-Sioła do jen. gubernatora kowieńskiego-Grodzieńsko-Wileńskiego, 20 listopada (2 grudnia) 1857. Obacz *le Nord*, 21 grudnia 1857.]

Tłómacząc wolę cesarską, minister spraw wewnętrznych dodaje :

« Oswobodzenie chłopów odbędzie się nie od razu ale stopniowo. W tym celu, do pewnego czasu *zostaną* poddani *w stanie przechodnim*, to jest mniéj więcéj *przywiązani do ziemi*; późniéj dopiero przejdą do stanu całkiem wolnego, kiedy im rząd, *pod pewnémi warunkami* dozwoli, przenosić się z miejsca na miejsce. Ten stan przechodni mieć będzie swój kres i nie może trwać dłużéj lat dwunastu.

» Prawa wolności i własności chłop wtedy tylko otrzymuje, jeźli w terminie wyżéj oznaczonym ujści się z należytości całkowitéj, która przypada za sadybę.

» Po odłączeniu sadyby reszta gruntów ma być podzieloną, stosownie do użytku, na grunta dworskie i gromadzkie (1). »

« Grunta, mówi w inném piśmie pan minister, oddzielone na użytek chłopów, *pozostaną na zawsze pod zarządem gminy* (*mira*). Nie wolno ich odmieniać w części lub w całości, a tém mniéj przyłączać napowrót do gruntów dworskich, chyba *za pozwoleniem gminy* i wskutek upoważnienia danego przez izbę sądową, która ustanowioną będzie w każdym powiecie, stosownie do nowego porządku rzeczy (2). »

Są rzeczywiście dwa nadania :

Nadanie każdemu gospodarzowi włościańskiemu sadyby w dziedzictwo, za opłatą składaną ratami, które jednak nie powinny ciągnąć się dłużéj dwunastu lat,

(1) Odezwa ministra spraw wewnętrznych do jen. gubernatora wileńskiego, 21 listopada (3 grudnia) 1857.

(2) Odezwa do jen. gubernatora petersburskiego, 5 (17) grudnia 1857. Obacz *le Nord*, 4 stycznia 1858. W odezwie do jen. gubernatora wileńskiego, minister nie dozwala aby nawet za upoważnieniem gminy i izby sądowéj grunta oddane chłopom, z ich rąk kiedykolwiek wyjść miały. « Ziemia która będzie raz oddana do użytku chłopów, nigdy nie będzie mogła być przyłączona do łanów pańskich i pozostanie nazawsze w użyciu chłopskiém. »

to jest, najdłuższego terminu ukazem przewidzianego — i Nadanie pewnéj ilości gruntu, stosownie do okoliczności miejscowych *na wieczne posiadanie gminy* za czynsz odpowiedni lub robociznę.

Jak widzimy sadybę otrzymuje tytułem dziedzicznym chłop; grunta do uprawy, tytułem wieczystéj dzierżawy, otrzymuje nie chłop ale gmina. Zanim okażemy charakter i skutki tego rozróżnienia, obliczyć przedewszystkiém potrzeba jaką ilość gruntów właściciel będzie mógł sobie zostawić, a jaką oddać będzie *zmuszony*. Aby przyjść do tego obliczenia, staraliśmy się otrzymać dokładne wyszczególnienie wszelkiego rodzaju gruntów w kilku wsiach polskich, położonych w zabranych prowincyach. Bierzemy pod uwagę przykłady najkorzystniejsze projektowi rządowemu, to jest dwóch wsi, z których jedna leży w guberni grodzieńskiéj, druga w podolskiéj, gdzie właściciele oddawszy grunta zostające teraz w ręku włościańskiém, jeszcze przy dość znacznéj ilości ziemi pozostaną.

Przykład pierwszy.

Wieś **, w powiecie wołkowyskim, gubernii grodzieńskiéj. Chat 96, z których 75 ciągłych (sprzężajnych), 21 pieszych. Leży nad rzeczką wpadającą do Niemna, w odległości 80 wiorst od miasta gubernialnego, 20 od powiatowego, 25 od najbliższego portu na Niemnie. Gleba żytnia, czarnoziem z glinką żwirowatą, pozycya równa, łany blizkie dworu. Ziemia potrzebuje nawozu co trzy lata, gospodarstwo trzy polowe.

a) *Grunta dworskie:*

	morgów.	prętów.
Podsadybą dworską (z zabudowaniem mieszkalném i folwarczném, ogrodami wawrzywnemi, i t. d.) .	15	120
Ziemi ornéj: w zmianie pierwszéj	165	40
— — drugiéj	180	200
— — trzeciéj	220	100
Sianożęci w lesie	100	»
— ponad rzeczką	75	180
Lasu sosnowego i dębowego	256	250
Do przeniesienia . . .	1013	290

	morgów.	prętów.
Z przeniesienia .	1013	290
Zarośli i krzaków	104	50
Gruntu pod stawem i rzeką	62	100
Drogi i nieużytki	24	200
Razem. . .	1205	40

b) *Grunta w używaniu gromady :*

Pod sadybą wiejską i ogrodami.	360	60
Ziemi ornéj : w zmianie pierwszéj	354	200
— — drugiéj	366	100
— — trzeciéj	350	250
Pod sianożęciami w łecie	75	»
— ponad rzeczką	186	»
Razem. . .	1693	10
Uroczyszcze « wójtkowe » gdzie są dwa ogrody chłopskie, zajmiszcza zwane	6	60
Pop i cerkiew	72	120
Gruntów wątpliwych do kogo będą należały	29	200
Ogółem ziemi . . .	3006	130

Dochód z młyna i arendy . . . . 560 r. s.

Przyklad drugi.

Wieś ***, w powiecie mohylewskim, gubernii podolskiéj. Dusz 268, gospodarzy ciągłych 69, pieszych 12. Odległość od miasta gubernialnego 186 wiorst, od Mohylowa i portu na Dniestrze 75, od Odessy 300. Gleba pszenna pierwszego gatunku; glinka szara potrzebująca nawozu co lat 12. Okolica ogrodowa; wody oprócz stawka do napoju bydła i obfitych krynic, żadnych niema. Dwie zmiany bliskie dworu, trzecia odległa; grunta częściami wzgórzyste.

a) *Grunta dworskie :*

	morgów.	prętów.
Pod zabudowniami i ogrodami dworskiémi	36	120
Ziemi ornéj : w zmianie pierwszéj	180	100
— — drugiéj	175	200
— — trzeciéj	166	180
Sianożęci po rudach : w zmianie pierwszéj	14	120
— — drugiéj . . .	16	100
— — trzeciéj . . .	20	50
Lasu dębowego, w którym sianożęci dworskich . .	100	»
Lasu czarnego	250	»
Do przeniesienia. . . .	959	270

	morgów.	prętów.
Zprzeniesienia . . .	959	270
b) *Grunta w używaniu gromady* :		
Pod zabudowaniami, ogrodami i sadami.	418	229
Ziemi ornéj : w zmianie pierwszéj.	260	»
— — wakansów	8	»
— — drugiéj.	280	»
— — wakansów	12	»
— — trzeciéj	240	»
— — wakansów	16	»
Sianożęci chłopskich po rudach	60	100
—	120	»
Razem. . .	1415	20
Ziemi cerkiewnéj.	62	100
Pod stawkiem	1	60
Drogi i nieużytki.	4	20
Ogół. .	2442	170

Dochód gotowego grosza — z arendy . . . . . . 250 r. s.
— z owocowego sadu, od 150 do 300 r. s.

Jak czytelnik mógł spostrzedz, wybraliśmy przykłady najprostsze majętności nie wielkich, nie mających żadnych fabryk, nawet gorzelni. Stosunek gruntów dworskich do całości gruntu wypada :

w przykładzie pierwszym jak 40 : 100
» drugim 38 : 100

w obu zaś powyższych przykładach grunta będące w użytkowaniu gromady mają się do całości gruntu jak 58 : 100, i przechodzą grunta dworskie blizko o piątą część obszaru.

Jest więc rzeczą niewątpliwą, że obywatele trzy piąte lub połowę, co najmniéj, swéj własności ziemskiéj oddać będą zmuszeni. Większa to niżby się zdawać mogła ofiara, ale bywają w historyi narodów chwile, w których ofiar choćby najcięższych potrzeba. Przyznanie wolności osobistéj ludowi, tém samém podniesienie jego moralne i materyalne, porównanie wszystkich klas narodu w prawach cywilnych, stało się od lat sześćdziesięciu z górą, naszym celem i naszym drogo-

skazem politycznym. Być może iż oddaleni od ojczyzny, i raczéj koniec sprawy niż jéj trudności mając ciągle na myśli i w sercu, gotowi dziś jesteśmy skarżyć się na braci naszych w kraju, że niedosyć żwawo, niedosyć ochoczo korzystają z możności przeprowadzenia pożądanéj od tak dawna reformy; ale nie mniéj faktem jest, że nawet w chwili najtrudniejszéj, bo pod obcym rządem, szlachta polska nie wahała się, skoro jéj dozwolono, zażądać zmian na korzyść ludu. O téj gotowości naszéj, o téj historycznéj dla nas konieczności rząd rosyjski wiedział dobrze, kiedy naprzód do szlachty polskiéj się odezwał i jéj odpowiedź uchwycił zręcznie jako środek do wprowadzenia kwestyi w całém, tak obszerném i tak różnorodném państwie. Nie śledząc przyczyn, które decyzyą rządu wywołały, przestawali na tém, że im wolno było uczynić krok jeden na drodze oświaty i chrześciańskiego postępu. Podejmując dziś trudy i czyniąc ofiary, godzi się przecież zapytać dla kogo je ponoszą? Trzeba być sprawiedliwym i względnym dla włościan, ale trzeba także obejrzeć się aby nie zostać narzędziem polityki obcéj, a co gorsza nam nienawistnéj.

Powiedzieliśmy, że grunta które dziś są w użytkowaniu gromady, a które wynoszą połowę a nawet trzy piąte obszerności w każdéj mniéj więcéj wsi, przechodzą pod zarząd gminy. Wiemy już czém jest gmina w hierarchii urzędowéj moskiewskiéj, obaczmy czém jest w Rossyi zarząd gospodarczy takowéj gminy? Każdy gospodarz ma dla siebie wyznaczoną ilość pola, za które płaci czynsz w gotówce albo robotą. Ale to pole nie jest ani jego własnością, ani nawet wieczystą dzierżawą; i gospodarz i rola przez niego użytkowane są tylko numerem gminnym. Chłop nie ma żadnéj pewności, że ziemia którą on całe życie potem swoim skrapiał, przejdzie na jego dzieci i wnuków; co gorsza, nie wié nawet czy na przyszły rok będzie mu wolno z niéj użytkować.

Pomór bydła, gradobicie może go postawić w niemożności uiszczenia się w podatkach lub w obroku; umrze gospodarz, starszego chłopca oddadzą w rekruty i biedna wdowa z drobnemi działki, nie będąc w stanie dopełnić wymagań zarządu gminnego, utraci swój kawał ziemi; to też po śmierci chłopa grunt zwyczajnie wraca do gminy, a ta oddając go nowemu posiadaczowi musi zapewnić się, że żadnego uszczerbku ani zwłoki w odbiorze podusznego i obroku nie ucierpi. Jestże taki układ zdolnym przywiązać włościanina do ziemi moralnie lub materyalnie!... Możnaż obiecywać sobie po nim ulepszenia w gospodarstwie rolniczém?... Co skłonić ma chłopów do jakiegoś nakładu pracy lub gotówki w grunt, który Bóg wié czyją jest własnością i każdéj chwili w inne posiadanie przejść może?...

Pewna część gruntu w gminach rossyjskich zostaje zawsze w bezpośredniém użytkowaniu ogółu gminy i zowie się łanem gminnym, *obszczestwiennaja zapaszka*. Każdy członek gminy winien pewną liczbę dni roboczych poświęcić co rok na uprawę i zbiór téj roli, a dochód z niéj obracany bywa na zapłatę zaległości podatkowych, na utrzymanie zarządu gminnego, na magazyn zapasowy i na *wziatki* dla naczalstwa wszelkiego rodzaju. Minister spraw wewnętrznych w odezwach swoich zaleca jak najmocniéj, aby przy utworzeniu gminy część gruntów oddzielić na łany gminne; troskliwy opiekun urzędniczéj dziatwy, instynktem rodzinnym wiedziony, zawczasu obmyśla jéj nadzwyczajne dochody! Lecz są i inne wyższe cele: z tych łanów, powiedzieliśmy, tworzą się zapasowe magazyny, na które każdego czasu rząd swoję rękę może położyć. Przydawały się takie magazyny w różnych wojnach; w ostatniéj nawet włościanie zsypali i odwieźli dla armii miliony *czetwierti* w czasie bardzo krótkim.

Tak w każdém urządzeniu tych rozległych stosunków, w każdym artykule reskryptu lub okólnika, jedna

jest myśl widoczna: exploatacya wszystkiego i wszystkich na korzyść państwa, zcentralizowanie ludzi i ziemi, zgromadzenie w ręku rządu wszelkiego rodzaju środków i ułatwień, których dostarczyć może najliczniejsza w Europie ludność najobszerniejszego w świecie imperyum!

Po takiém wyłożeniu gospodarstwa i zarządu gminnego, zrozumialsze nam są słowa p. ministra; iż «pod pewnemi warunkami tylko» wolno będzie chłopom przenosić się z miejsca na miejsce. Rzeczywiście, zależność zupełna chłopa od gminy przy urządzeniu, pod jakie rząd go poddaje, jest to *przytwierdzenie do gruntu* bardziéj ścieśniające jego wolność osobistą, aniżeli za pierwszym rzutem oka dostrzedz tego można. Chłop będzie mógł późniéj zmieniać gminy, przechodzić z miejsca na miejsce, ale z pod czego chciałby się uchylić w jednéj gminie, znajdzie to w drugiéj, bo co będzie na Litwie, będzie i na Rusi i na całéj przestrzeni imperyum! W dzisiejszym stósunku pańszczyznianym, zmiana albo śmierć właściciela kładzie koniec wyjątkowemu uciskowi, ale gmina to dziedzic nieśmiertelny i tém dokuczliwszy, że osobisty stosunek będzie zastąpiony martwą literą prawa!

Przejdźmy teraz do praw własności, czém one są w istocie? W chrześciańskiém pojęciu, prawo własności jest prawem absolutném, niezależném od państwa, ani od rządu, zależném tylko od usług, jakich właściciel wymaga. Co do mnie należy, nie należy do państwa, ani do kościoła, ani do większości, i nikt, nikt zgoła, nie może wywłaszczyć mnie z *mojéj* ziemi, z *mojego* inwentarza, z *moich* ruchomości bez *mojego* zezwolenia. *Le charbonnier est plus maître chez lui que le roi dans son royaume!* Samowolne wywłaszczenia «konfiskaty» różnią się od nieprawego zaboru i kradzieży, tém tylko, że nie ma na nie sądu kryminalnego.

W jedném z pism rossyjskich ogłaszanych za granicą,

wyliczono z wielkim dowcipem prawa najbardziéj uprzywilejowanego stanu w Rossyi to jest szlachectwa. «Dworjanie, mówi to pismo, mają prawo radzenia, jeżeli rząd nakaże; mają prawo wchodzić do służby wojskowéj i cywilnéj, jeżeli ich przyjmą; mogą z niéj dobrowolnie usunąć się jeżeli ich uwolnią; mają prawo wyjeżdżać za granicę jeżeli ich wypuszczą, i bawić tam tak długo, dopóki pozwolą.» Podobne wolności i prawa rząd rossyjski przyznał szlachcie i włościanom w pismach urzędowych o kwestyi włościańskiéj. Ziemia, którą posiada właściciel (opiewa reskrypt cesarski) *niechaj* w jego posiadaniu pozostanie *nazawsze*, i nietykalnie. Ale pewna część odebrana mu będzie *nazawsze*, a z połowy swéj własności traci, także *nazawsze*, prawo używania. Chłop (tłómaczy pan minister) będzie *wolny*, ale przez lat dwanaście pozostanie pod *władzą* pana i w tym czasie *musi* zapłacić za sadybę, inaczéj nie uzyska wolności. Po upływie lat dwunastu będzie mu *wolno* przenosić się z miejsca na miejsce, *jeżeli mu gmina pozwoli* i jeżeli dopełmi «pewnych warunków» o których jeszcze dzisiaj nic nie wiemy.

Oto jest zwykły język polityki rossyjskiéj, tak dobrze w dyplomacyi, jak i administracyi krajowéj. Lubi rząd rossyjski ogłaszać zasady polityki sprawiedliwéj, konserwatywnéj a najbardziéj wtedy, gdy je czynami swemi gwałci. Słuszna jest, że chłopów ogłasza wolnymi, bo nikomu Bóg nie dał prawa do posiadania *dusz* ludzkich; bezprawie choćby najdłużéj trwało, nie staje się prawem. Lecz jakże usprawiedliwić ten samowolny szafunek własności obywatelskiéj, ten nakaz zgóry i bez zniesienia się z właścicielami wydany, że *tyle* gruntów szlachta ma oddać chłopom na własność, a *tyle* w wieczystą dzierżawę? Kto sieje wiatr, sieje burzę: nikt bezkarnie porządku moralnego nie narusza. Jeśli rząd własną mocą odejmie obywatelom część własności, jak przekona klasę włościańską, że tego i drugi i trzeci raz

powtórzyć nie może? Jaką armią wystawi przeciw rozbudzonym chęciom mass, które wyuczy zbogacać się nie pracą, nie rządnością, ale cudzym uszczerbkiem? Lecz zarzucą nam, że rząd jakkolwiek arbitralnie rozrządza własnością do któréj nie ma prawa, nie domaga się przecież darowizny, owszem żąda aby się chłop wypłacił, i wypłatę stawia za warunek wolności. Odpowiemy, kto chce skutków, podaje ku temu środki. Czémże chłop za sadybę, którą na własność ma otrzymać, zapłaci? Na Wołyniu, a osobliwie na Podolu, cena sadyby musi być bardzo znaczna, bo ich obszar wielki; i w niejedném miejscu, sadyba warta jest tysiąc do dwóch tysięcy rs. Z pewnością zatém wielu chłopów płacić nie będzie, powstaną nieporozumienia, mitręgi, zajścia, a w końcu bogatsi chłopi, skupować będą po dwie i trzy sadyby. Ani zarząd gminny ani właściciel nie zapobiegą ruinie biedniejszych, owszem sprzyjać będą wywłaszczeniu chłopów, bo im bardziéj powiększy się liczba bezsadybnych rolników, tém łatwiejszym, tém tańszym stanie się robotnik. Właściciel zresztą musi starać się o to, aby na gminie nie ciężyły zaległości w podatkach i powinnościach, za któreby spadała na niego odpowiedzialność, więc nietylko dozwoli ale pomoże bogatszym do zapłaty za biedniejszych i do stopniowego ich w ten sposób wywłaszczania przyczyni się. Nim dwanaście lat ubiegnie, z licznéj gromady chłopskiéj zostanie tylko *kilkunastu* zamożniejszych właścicieli chłopskich, *silnie ujętych pod zarząd gminny*, reszta zamieni się w proletaryat! Czy dla uposażenia téj ludności w ziemię, rząd znowu od szlachty części jéj gruntów zażąda?...

«Mówią daléj, że rząd chce przywiązać włościan do ziemi przez nadanie im własności.» Zdarzyć się to może w stronach ogrodowych i leśnych, gdzie sadyby tak są uposażone w ogrody i sady, że całą rodzinę wyżywić potrafią. Ale w okolicach stepowych i gdzie zagrody nic

nie znaczą, gdzie sadów nie ma, a dom z kijów wierzbowych spleciony i obmazany gliną staje za mieszkanie, tam oprócz sadyby trzeba czegoś więcéj aby włościan do gruntu przytwierdzić. Tymczasem oprócz sadyby chłop nic więcéj na własność nie odbiera, bo to wszystko co nad zagrody włościańskie szlachcie wydzierają, dostaje się nie pojedynczym właścicielom włościańskim, ale jakiemuś fikcyjnemu, zbiorowemu posiadaczowi, którego w końcu jedyném będzie przeznaczeniem służyć potędze Rossyi i karmić carską drużynę, czynowników!

I czyliż to kogo zadziwi, że rząd podniosłszy sprawę włościańską we własnych jedynie, to jest swojéj władzy widokach, nie chciał, częstokroć nie mógł troszczyć się, aby projektowane odmiany, przeprowadzone były bez obrazy praw lub interesu mieszkańców. Aby zubożyć klasę najbardziéj niepodległą, zatém najniebezpieczniejszą, to jest szlachtę, rząd odbiera jéj grunta gromadzkie, oddaje takowe gminie w wieczną dzierżawę i zapowiada, że już nigdy nie będą mogły wrócić do gruntów dworskich? Szlachta, z właściciela *rzeczywistego*, staje się właścicielem *nominalnym* i za to nic nie otrzymuje; dzierżawa *czasowa* zmienia się w dzierżawę *wieczystą* i za tak zmieniony tytuł posiadania, gmina nic nie płaci! Przecież każdy widzi, że co innego jest być właścicielem z zupełném prawem stanowienia o swéj własności, a co inszego mieć tylko dochód z ziemi bez prawa jéj rozrządzenia.

Stosownie więc do reskryptu cesarskiego, właściciele będą musieli *bez wynagrodzenia* oddać na wieczną dzierżawę gminom grunta, za których użytkowanie chłopi odrabiali dotąd pańszczyznę, gminy zaś mają składać czynsz, który, w kraju tak niezamożnym jak nasz, będzie znowu płacony robocizną. Będzie to więc jak dawniéj pańszczyzna, tylko nie indywidualna ale zbiorowa i to właśnie stanie się, dla chłopów biednych, nowém źródłem daleko dotkliwszego niż dotąd ucisku. Pan, który

dotąd posługiwał się pańszczyzną, prawie zawsze po ludzku i z wyrozumiałością, teraz nie mając do czynienia z chłopami pojedynczymi ale z gminą, nie będzie miał téj co poprzednio względności ; owszem drażniony ciągle wspomnieniem wyrządzonéj mu niesprawiedliwości, zechce odbierać co do grosza wszystko co mu się należy. Rząd to przewidział, jak się zdaje ; może i to przewidział, że z tak drażliwego stosunku między panem i gminą wyradzać się muszą waśnie i niechęci, i że staną naprzeciw sobie dwa nieprzyjazne obozy : panów i gmin, między którymi koniecznym i naturalnym pośrednikiem będą *czynownicy i naczalstwo.*

Choćby téż nie było innych powodów do niezgody między panem a gminą, to sam brak dobrego rozgraniczenia gruntów dworskich i gromadzkich, niemało ich dostarczy. W całym zaborze rossyjskim, możnaby rzec w całéj Polsce, podział gruntów wiejskich jest mniéj więcéj taki : w pośrodku dwór, w około zagrody chłopskie, daléj wokrąg trzy zmiany dworskie, a daléj pasem kolistym idą pola gromadzkie. Po krawędziach las, między gruntami albo w lesie łąki. Jak tu przy takiém rozpołożeniu ziemi oddzielić ostatecznie grunta dworskie od gminnych bez ogólnego przemiaru ? A jak tego dokonać w ciągu lat dwunastu w kraju, gdzie nie ma kadastru ogólnego i gdzie na gubernią, nieraz większą od niejednego w Niemczech królestwa, znajduje się zaledwo dziesięciu geometrów, z tych zaś połowa niezdatnych. Minie zatém termin przechodni, granice pozostaną wątpliwe ; ztąd kłótnie, ztąd procesa, ztąd wieczna znowu interwencya czynowników i naczalstwa !

Zbierając w jedno cośmy dotąd powiedzieli, widzimy, że :

Rząd odbiera szlachcie połowę albo trzy piąte własności i oddaje ją w małéj części chłopom jako dziedzictwo (za wynagrodzeniem dla szlachty w wielu miejscach bardzo

wątpliwém), w większéj zaś części gminom jako wieczystą dzierżawę;

Ze straty poniesionéj przez szlachtę, chłopi zyskują bardzo mało, nierównie więcéj gmina, czynownicy, rząd;

Chłopi ubożsi, pozbawieni możności uiszczenia się za sadybę, przejdą w proletaryat, którego pomnożeniu się sprzyjać będą zarówno właściciele więksi jak zarząd gminny;

Chłopi bogatsi, którzy zakupują sadyby uboższych, trzymani za pośrednictwem gminy pod władzą czynowników, od wpływu szlachty całkiem oddzieleni, powiększą siłę i środki działania rządu;

W miejsce robocizny wykonywanéj pojedynczo, wprowadzoną będzie pańszczyzna żbiorowa, wymagana z całą ścisłością prawa, formą urzędniczą obostrzonego;

Nakoniec wprowadzony sztucznie antagonizm interesów pana i gminy, wywołać musi nieprzyjazne starcia i walki, których rozjemcą i dla obu stron pośrednikiem może być tylko rząd.

Obraz to dosyć sam z siebie bolesny, nie potrzebuje komentarzy, i nie jest, i nie mogło być w naszéj myśli dodawać mu farb jaskrawych. Staraliśmy się poznać i wyłożyć rzecz sumiennie, wyśledzić skutki projektami rządowemi zamierzone; rozumowanie nasze oparliśmy na faktach i cyfrach, które dostały się nam w ręce. Mówiliśmy powielekroć i powtarzamy: zniesienie pańszczyzny jest konieczne, dzisiejszego stanu dłużéj zatrzymać nie można, ale jesteśmy przytém najmocniéj przekonani, że rząd uczciwy i przezorny całkiem różne podałby środki od tych, które dziś Moskwa narzuca. A chociaż nie mamy bynajmniéj téj zarozumiałości, abyśmy mogli tu, w Paryżu, układać dla kraju projekta przeprowadzenia reformy włościańskiéj; chociaż każdy Polak mogący zdanie swe o sprawach krajowych wypowiedzieć niepodlegle, do wielkiéj zmuszony jest wciąż ostrożności, może jednak potrafimy z czasem wskazać

sposoby, któremiby, do pewnego stopnia, dało się uniknąć sideł, przez rząd moskiewski dla naszego obywatelstwa zdradliwie zastawionych.

Aby przeniknąć zdrady moskiewskie, nie trzeba nigdy zapominać o chytrości tego rządu. Rossyanin ma jak Janus dwie twarze, z których jedna służy mu do oszukania świata; — słowo rossyjskie jest dwulicowe, i o téj dwulicowości reform zapowiedzianych chcemy następnie powiedzieć słów kilka.

III

UMORALNIENIE WŁOŚCIAN.

14 sierpnia.

« Komitety włościańskie, powiada minister w odezwie tylekroć przez nas cytowanéj (1), powinny pamiętać o środkach mogących zapewnić wyżywienie publiczne i i regularne składanie podatków do skarbu. W tym celu może byłoby dobrze ulepszyć stan magazynów wiejskich, oddzielić łany gminne i utworzyć gminne fundusze. Powinny być nadto przedsięwzięte środki, aby rozszerzyć między włościanami początkowe wykształcenie i rzemiosła użyteczne, aby los starców i niedołężnych zabezpieczyć i chorym przyjść w pomoc i t. d. »

Ktożby po tych słowach ministra powątpiewał o dobrych chęciach rządu? Ktoby nie uznał jego troskliwéj przezorności, jak lud od głodu stara się uchronić, jak strzeże go od zaległości w podatkach, zabezpieczając łany wspólnego użytku, i jak postęp i ulepszenie rolnictwa widocznie ma na pamięci, kiedy zmusza gminy do oszczędności i do składania pieniężnych zapasów?

(1) Odezwa do Jl. gubernatora kow.-grodz.-wileńskiego, z dnia 21 listopada (3 grudnia).

Któżby dalej nie uszanował téj pieczołowitości o oświatę i znajomość rzemiosł tyle z rolnictwem związanych? Wszak minister w swéj odezwie nawet o instytucyach dobroczynnych nie zapomina, los starców, kalek i chorych chce opatrzyć, i urządzeniem gmin, za jednym gdyby się dało zamachem, pragnie osiągnąć te wszystkie cele, nad których powolném zrealizowaniem pracują na zachodzie tysiące chrześciańskich stowarzyszeń w narodzie najbardziéj chrześciańskim!

Nigdy despotyzm nie jest tak oburzającym, jak kiedy bierze na siebie maskę liberalizmu. Aby ułożyć przepisy podobne tym, które wydano o przyszłym zarządzie klasy włościańskiéj, potrzeba było albo nie znać Rosyi, nie znać jéj praw i urządzeń, albo też czyniąc dla opinii pewne w słowach koncesye, w gruncie szydzić z wszystkiego co jest dobrém powszechném i jego miłością.

Chcąc ocenić wagę słów wyższéj odezwy, nie sądzimy iżbyśmy zboczyli z' drogi, rozpatrując się naprzód w systemie podatkowym rosyjskim. W żadnym podobno kraju niemasz tak wielkiéj różnicy między wysokością podatków stałych i niestałych jak w Rosyi, i nigdzie tak bardzo jak tutaj dochody skarbu niestałe nie uciskają najbiedniejszéj klasy narodu. Podatek stały w Rosyi jest to *poduszne*, które jeśli się nie mylimy mało co nad sześćdziesiąt milionów rs. przechodzi; tymczasem korespondencya ogłoszona świeżo w dzienniku *Le Nord* (1) przekonywa, że podatek od wódki wydzierżawiony został przed kilkoma tygodniami w guberniach szczero-rosyjskich i w Syberyi za sto milionów rs. rocznie, a zatém w całem imperyum wyniesie co najmniéj sto dwadzieścia milionów rubli. Te liczby mówią przez siebie dość wyraźnie o niemoralności panującéj w rozklasyfikowaniu podatków. Ale możnaby mniemać, że

(1) *Le Nord* z dnia 1 sierpnia, korespondencya z Petersburga z dnia 10I22 lipca.

raczéj podatek stały jest zbyt szczupłym a dochody państwa niestałe świadczą tylko o zamożności mieszkańców, co najwięcéj o chciwości poborców wódczanych. Tak wistocie mniemają Rosyanie, ale choćby i tak było (co nam przynajmniéj zdaje się wątpliwém), zawsze śmiało twierdzić można, że system poboru wódczanego w Rossyi jest miarą ogólnego zepsucia i wielką propagandą niemoralności, i że dopóki ten system trwać będzie, póty wszelkie przepisy o podniesieniu klasy najbiedniejszéj w cesarstwie, nie mają celu i nie mają znaczenia.

Dochód z konsumpcyi napojów gorących jest częścią prawa własności i jest wynagrodzeniem ciężarów, które to prawo wkłada na właściciela. Zrodził się zapewne w czasach, kiedy zysk z ziemi był niepewny i nieznaczny, i kiedy właściciel, na którego spadały wydatki miejscowego zarządu i policyi, aby im odpowiedzieć, musiał wymagać daniny niezależnéj od ziemi. Nałożony na przedmioty niekoniecznie do życia potrzebne, jest on w zasadzie swéj słuszniejszy i mniéj dokuczliwy od tylu innych różnego rodzaju opłat, których do nieskończoności natworzyły, w dzisiejszym systemie podatkowania, rozmnożone potrzeby państwa. W krajach od Polski oderwanych, pobór ten był w ręku rządzącéj szlachty, bo panowie nasi mając ogromne dobra zwłaszcza w województwach ukrainnych, utrzymywali swoim kosztem zamki i nadworne wojsko. Ale w guberniach szczero-rosyjskich, gdzie udział szlachty w zarządzie państwa był prawie żaden i gdzie wielcy książęta dzierżyli władzę zupełną, pobór wódczany należał zawsze do korony i tworzył jedno ze źródeł dochodów skarbowych.

Z téj różnicy w prawie do opłaty wódczanéj, zrodziły się w dzisiejszém imperyum dwa odrębne sposoby wyciągania podatku. W Rossyi, ponieważ monopol pędzenia wódki i dochód z niéj był przy rządzie, rząd tylko

miał prawo sprzedawać go tak zwanym *odkupczykom*, możnaby rzec poborcom jeneralnym. Co lat kilka w Petersburgu, w gmachu senackim, wypuszczają przez publiczną licytacyą w dzierżawę odkupy rozmaitych gubernij : kto ofiaruje największą summę ten ma prawo przedawania wódki, nie inaczéj przecież jak według ceny przez rząd z góry oznaczonéj i stosownie do bardzo szczegółowych a ostrych praw, któremi władza sprzedaż cząstkową przepisała. Odkupczyk bywa jeden na całe miasto lub na całą gubernią; czasem tworzy się kompania, która wydzierżawia przywiléj sprzedawania wódki w kilku guberniach. Ale czy jeden, czy kilku wydzierżawi, zawsze jednaki panuje system nadużyć, i wszyscy urzędnicy znaczniejsi, nie wyłączając gubernatora, miejscy, powiatowi, i guberscy, pobierają stałe pensye od dzierżawcy monopolu, odkupczyka. Ten zwyczaj stałych, nieprawych pensyj tak jest powszechny, tak niezmienny i jawny, że wiedzą o nim wszyscy : publiczność, ministrowie, wié nawet sam Cesarz. Wprawdzie powiększają one i bardzo znacznie wysokość opłaty od dzierżawy monopolu, ale za to dają odkupczykowi wolność używania przy sprzedaży cząstkowéj, wszelkich najmniéj godziwych sposobów, z których najpospolitszemi są : szynkowanie w godzinach prawem zakazanych, sprzedaż różnych przekąsek podniecających pragnienie, wreszcie fałszowanie trunków. W tém wszystkiém, po miastach, nie doznają oni żadnych przeszkod, bo w Rossyi wszystko jest wolno temu, kto ma silne poparcie. Ale na wsi rzecz się ma inaczéj : tam odkupczyk musi naprzód z właścicielem umówić się o kabak czyli dom szynkowy, a mimo to szlachcic, jeźli tylko sumienny i o dobro poddanych dbały, przeszkadzać będzie z pewnością rozpajaniu chopów, o ile prawo mu dozwoli. I wistocie trzeba przyznać panom rosyjskim bogatszym, że w ich dobrach zamożność i moralność włościanina jest daleko większa niż u szlachty biedniej-

széj albo w dobrach skarbowych a osobliwie niżeli po miastach. W większych, tak dobrze jak mniéjszych miastach, obu stolic nie wyłączając, pijaństwo doszło do najohydniejszego rozbestwienia, zwłaszcza też między klasą robotników, najniemoralniejszą z całego ludu moskiewskiego. Im uroczystsze święto tém więcéj bywa opilstwa i tém brudniejsza rozpusta : *kto praždniku rad, tot do świta pijan*, mówi rosyjskie przysłowie (1).

W prowincyach polskich, pod rossyjskiém panowaniem, wprowadzono do miast i do dóbr rządowych monopol i odkupy ; lecz po wsiach szacheckich propinacya jak dawniéj została przy szlachcie. Atoli i w dobrach szlacheckich, wkrótce po zaborze, mimo najuroczystszych zapewnień, że przynajmniéj pod materyalnym względem nikt nie straci na przemianie rządu i że własność pozostanie nietykalną, nałożono podatek zwany *winokurnym* (2), po 60 kopiejek z duszy męzkiéj. Kiedy ludność, a z nią zamożność kraju zwiększyła się, prawo propinacyi, mimo podatku konsumpcyjnego, przynosiło zysk dość obfity ; ale chcąc być sprawiedliwym, trzeba dodać, że nasza szlachta dopuszczała się licznych w tym względzie nadużyć. Gdzie pan mieszkał na wsi i propinacyą trzymał na siebie, tam chłopów umyślnie nie-

(1) Zdaje się że w Rossyi przepisy policyjne chyba na to są wydane, aby ułatwiać i uprawniać grabież urzędniczą. W miastach, po rogach ulic stoją budki ; w nich zazwyczaj trzéj policyanci (*budoczniki*) mieszkają i nocują, a obowiązani są czuwać nieustannie nad porządkiem i spokojem ulicznym. Jest prawo, że budocznik choćby widział zataczającego się opilca, nie może go aresztować dopóki się ten nie wywróci, Aby mu dopomódz, policyanci zlewają wodą chodnik na około budki, a kiedy pośliźnie się i wywróci, wpadają na niego z wielkim fukiem, porywają pod pachę, i łając i szturkając prowadzą do *oddziału* : tymczasem, po drodze, wśród ciągłego szamotania, wyciągają mu wszystko z kieszeni !... Choćby nieszczęśliwy spostrzegł się, nic to nieszkodzi : pijany nie wie co gada, więc skarga jego nie może nic znaczyć !!

(2) Od słowa *wino*, które znaczy po rossyjsku wszelki napój mocny (jako to : *chlebnoje-wino*, *winogaadnoje-wino*, i t. p.), i *kuryt'*, czyli palić pędzić.

rozpajano. Ale w większych dobrach, puszczonych w dzierżawę, zwyczajnie żyd arendarz siedział na karczmie, tam wódka zwolna pochłaniała wszystko: dobytek włościanina, czas jego i zdrowie, i moralność całéj ludności.

Nieraz w piśmie naszém wspominaliśmy o kijowskim Bibikowie, a zawsze z tém uczuciem zgrozy jakie obudza pamięć złośliwego tyrana, i które w nas wywołuje może wstyd, żeśmy pastwienie się jego tak długo w milczeniu znosili. Tu jednak winniśmy powiedzieć, że za jego czasów, w trzech południowych guberniach przestrzegano pilnie aby żydzi nie mieszkali w karczmach, że ustanowioną była dosyć wysoka i niezmienna cena wódki. Jakie miał do tego Bibików powody, trudno odgadnąć, to tylko pewna, że pod jego wielkorządztwem żmniejszyło się na Rusi pijaństwo i podniosła się zamożność ludu wiejskiego. Lecz kiedy ze śmiercią księcia Lubeckiego upadła w Petersburgu jedyna zapora nadużyciom finansowym, i kiedy po śmierci Kankryna zarząd skarbu przeszedł wręce plugawego Wronczenki, pozazdrościli czynownicy dochodów szlachty polskiéj i umyślili przerobić po swojemu system konsumpcyjnego podatku w prowincych zabranych. Gdyby im szło o wzrost dochodów skarbowych, najwłaściwiéj byłoby, sądzimy, podwyższyć podatek *winokurny*, przez coby i wódka musiała podrożeć. Ale nie wchodziło to w plany urzędników; z postępem czasu i praktyki, z plonem zebranego w głębi Rossyi doświadczenia, wymyślili oni system nowy, który zbliżając się do odkupów, otworzył pole do skrytych i obszernych umów z żydami.

Zniesiono podatek *winokurny* i wprowadzono *akcyzę*, to jest pobór od hurtownéj sprzedaży wódki w magazynach szlacheckich. Przywiléj pędzenia wódki i cząstkowéj sprzedaży zostawiono szlachcie, lecz pod warunkiem że ani jeden garniec trunku nie wyjdzie z magazynu bez opłaty; prawo zaś wybierania téj opłaty puszczono

w dzierżawę tak zwanym *akcyznikom*, w ten sam sposób jak w głębi Rossyi prawo pędzenia i szynkowania wódki. Jeżli w Rossyi interesem jest odkupczyka aby jak najobficiéj sprzedano wódki po karczmach, w prowincyach zabranych *akcyznik* to przedewszystkiem ma na celu aby jak najwięcéj wyszło jéj z magazynów; że zaś sprzedaż w magazynach zależy niemal wyłącznie od konsumpcyi krajowéj, przeto *akcyznik* wszelkich używa sposobów aby tę konsumpcyą powiększyć. Ale w Rossyi odkupczyk sam pędzi wódkę, sam ją sprzedaje i sam chłopów poi; przeciwnie w prowincyach zabranych *akcyznik* o to się stara, aby właściciel sam poddanych swoich rozpijał. Jeżli szlachcic dobrowolnie namowom *akcyznika* ulegnie, to, choć z obrazą sumienia i z krzywdą poddanych, może używać w spokoju obfitego zysku; lecz jeżli nie chce swego ludu rozpoić, musi uzbroić się w długą cierpliwość do walki z przebiegłym żydem, musi narazić się na ciągłe psoty i szkody, od których nigdy nie znajdzie zasłony.

Nie wspominamy o mitrędze jakiéj właściciele gorzelniani doznają od akcyznika w pędzeniu wódki, ani o stratach które z tego tylko powodu często ponoszą. Akcyznik wié o tém, że chrześcianin nie może zrównać żydowi w talencie szynkowania; jego więc celem najwyższym jest : zdobyć na szlachcicu karczmę i w niéj żydka zaufanego osadzić. Wprawdzie prawa rossyjskie najsurowiéj zakazują aby akcyznik nie trzymał gorzelni ani karczmy, ale od czegoż są urzędnicy, od czego pensye, które płacę rządową przechodą zazwyczaj w dwójnasób? Z téj więc strony można być spokojnym. Gdyby zaś właściciel nie chciał wydzierżawić propinacyi, to i na to jest rada. Naprzód otoczą go siecią karczem i karczemek, i poddanych jego tak zręcznie wywabią do szynków sąsiednich, że szlachcic rad nierad przekona się wreszcie, że odpychając żyda, swoim nie pomoże, a sam ciężko traci. A choćby te nawet środki nie wystarczały, i

wtedy jeszcze akcyznik nie ustąpi; nie może on zcierpieć chrześciańskiego szynku, zapłaci podpalacza i karczmę szlachecką spali. To już ostatni z jego strony argument: walka się kończy, bo szlachcic składa broń i podpisuje warunki zgody. Niedawno temu czytaliśmy z gubernii podolskiéj doniesienie, że panu W. cztéry naraz karczmy spalono. I niema sposobu obronić się; nic nie pomogą skargi zanoszone do policyi, żądanie śledztwa i komissyi, wreszcie procesa wytaczane akcyznikowi! Wszystko napróżno!..... Byli dawniéj po wsiach izraeliccy arendarze, i tych, jeszcze za czasów polskich, pijawkami ludu zwano. Ale dziś sprawa nie z drobnymi, mizernymi żydkami bez wpływu i znaczenia! Wronczenko oddał nasze prowincye w ręce bogatych, przebiegłych żydów, którzy drwią ze wszystkiego, bo wszystkich opłacają i wszystkich trzymają w swém ręku.

« Aby zmniejszyć pijaństwo (mówi ukaz który wprowadził akcyzę) rozkrzewione w guberniach zachodnich, i stanowi chłopskiemu zapewnić dobry byt, uznajemy za stosowne i t. d......» Jeżeli cesarz Mikołaj nie miał rzeczywiście innych celów, to przyznać trzeba, że środek, którego użył, jest osobliwy! A cóż mniemać dzisiaj o odezwie pana ministra i o jego propozycyach oddzielenia łanów gmjnnych, składania oszczędności pieniężnych, rozszerzania między ludem oświaty?..... Jedna jest w całém cesarstwie dla ludu kasa oszczędności i jedna potężna szkoła; w guberniach rossyjskich zowie się ona *odkupem*, w guberniach polskich *akcyzą!*

« Lecz rząd, powiedzą nam, zapewne odmieni teraz swój system podatkowania. » Obaczmy co w tym względzie donosi organ gabinetu petersburskiego, *le Nord*. « Od dwóch tygodni (pisze on z petersburga z d. 22 lipca) widzieć można codziennie, przechodząc przez plac senacki, ogromną liczbę powozów zatrzymanych u wielkiéj bramy senatu. Jeżeli zdjęty ciekawością, co jest powodem tak licznego zjazdu, wejdziesz na sale drugiego

piętra, ujrzysz tam ruch niezwyczajny..... W tych salach odbywa się licytacya odkupu wódczanego; idzie tu wielka gra bo o miliony, a pijaństwo i rozpusta są kartami téj gry. Już poprzednio doniosłem, że spodziewają się cen wysokich, lecz rezultat przeszedł wszelkie oczekiwanie. Ceny wzrosły do wysokości bajecznéj, summa przysądzona obecnie wyższa jest o trzydzieści milionów od poprzedniéj! Na co rachują odkupczyki, podpisawszy tak ciężkie zobowiązania? Słychać, że liczą szczególnie na wielką ilość robotników pracujących na kolejach żelaznych. Bądźcie pewni, że się nie omylą; znaczna część płacy wyrobników przejdzie, ani wątpić, do szkatuły poborców. A zresztą, czyż trudno dolać trochę wody do trunku, dorzucić trochę materyi upajającéj, i tak wszystkich zaspokoić? Oto są niektóre cyfry przysądzone; dozwolą one wnioskować o ile się ceny podniosły:

« W Syberyi wschodniéj z 746,675 odkup wzrósł do 2,276,000 rubli; w Syberyi zachodniéj z 163,000 do 1,901,000 r.; w gubernii włodzimirskiéj z 515,000 do 1,416,000 rs.; w kazańskiéj z 102,100 do 760,600; w kurskiéj z 622,400 do 1,592,460 rs.; w orelskiéj z 701,000 do 2,046,900 i t. p... W szesnastu guberniach, cena odkupu z 8,367,275 podniosła się do 20,991,800 rs., czyli o dwanaście i półmilionów rubli przeszło; a ponieważ zysk w tych guberniach może być obliczony na czternaście milionów, rzeczywiste zatem w nich podwyższenie wynosi trzydzieści pięć milionów rubli.» Petersburg wraz z Kronsztadem i Carskiém-Siołem przyznano za 6,083,000 rs., a samą Moskwę za 5,000,000 rubli z górą. Wszystkie gubernie (rossyjskie) razem wzięte przyniosą dochodu najmniéj 100,000,000 (1), a jeźli do nich do-

(1) Przyniosły, jak się w rezultacie pokazało, nierównie więcéj. Późniejsza korespondencya *le Nord'a* upewnia, że cena odkupu na rok 1859, we właściwéj Rossyi i Syberyi, podniosła się do stu sześćdziesięciu milionów rs.

damy gubernie polskie i zysk z akcyzy, pokaże się, że konsumpcya trunków gorących w Rossyi daje rządowi najmniéj 120,000,000 rubli czyli 480,000,000 franków czystego co rok dochodu.

«Co powiedzieć (zapytuje *le Nord*) o takiém źródle przychodów? Czy trzeba się z niego cieszyć przez wzgląd na dobro skarbu, czy téż smucić się przez wzgląd na dobro publiczne? Ludzie świadomi zapewniają, że Cesarz wcale nie był zadowolniony ze wzrostu odkupów. Mając na pamięci cel ostateczny, przewidując smutne następstwa, cesarz Alexander wcale jest nie rad temu przybytkowi dwudziestu lub trzydziestu milionów rubli, skoro te miliony wycisnięte będą z klasy najbiedniejszéj, z krzywdą jéj zdrowia i jéj moralności!»

Cesarz Alexander nie cieszy się z tego wzrostu pijaństwa! Wierzymy temu, lecz któż przeszkadza usunąć przyczynę, znieść odkupy, akcyzę i zaprowadzić uczciwszy niż dotąd system podatkowania? Czy go krępuje jak w państwach konstytucyjnych opinia Izby prawodawczéj; czy potrzeby rządu, zwiększenie armii, blizkość wojny zmuszają go choć z żalem zatrzymać dochody tak srodze niemoralne? Kiedy po śmierci Kankryna, jeden z dygnitarzy rossyjskich troszczył się kto będzie ministrem finansów, cesarz Mikołaj rzekł: *ja sam!* Czemużby dzisiaj cesarz Alexander nie mógł powtórzyć odpowiedzi ojca; nigdy pewno *ja* cesarskie nie byłoby stosowniejsze; nigdyby większéj ulgi nie przyniosło biednemu ludowi!

Po cóż tu dalsze wykłady i objaśnienia? System finansów w każdém państwie cechuje politykę jego rządu. Potrzebaż więc zastanawiać się jeszcze nad odezwą pana ministra, który, jakby dla igraszki, rzuca niedbale kilka słów liberalnych o rozszerzeniu oświaty między ludem, o nauczeniu go rzemiosł pożytecznych!...

Żądać polepszenia losu klasy włościańskiéj pod względem materyalnym od saméj tylko szlachty, a pod wzglę-

dem moralnym od kilku ludzi nie mających wpływu w rządzie, od ludzi którzy zebrani są dziś w komitety dla postawienia najniższego szczebla administracyi krajowéj, jest to domagać się od pomocnika murarskiego, który nosi kamień i cegłę, aby kierował planem architekta. Na cóż się przydadzą ofiary dla ludu choćby największe ze strony obywateli, kiedy stoi wciąż otworem tyle przepaści, zdolnych pochłonąć nie wiedzieć jakie fortuny? Co szlachcic odda chłopu, to z każdym rokiem palić będą gorzelnie, to na wódkę przetopione przeleje się do szkatuły akcyzników, w ręce czynowników i rządu.

Jakichże ofiar wymaga rząd dla podniésienia oświaty? Lat temu kilka, za czasów Bibikowskich, właściciel Białocerkwi założył w swém mieście gymnazyum. Wybudował gmach wielkim kosztem, dał fundusz na utrzymanie domu, na usługę, na koszta nauki. Miał prawo spodziewać się, że skoro gymnazyum będzie otwarte, jeźli nie on, to przynajmniéj ktoś ze spółobywateli zostanie mianowany honorowym opiekunem, kuratorem zakładu. Zjechał Bibików na uroczystość otwarcia, lecz przywiózł z sobą gotowego kuratora w sobie pana Sudjenki, małorossyanina. Oznajmując ten wybór Bibików rzekł : *czest' imieju wam predstawit' bogatiejszeho małorossyjskawo pamieszczyka!* Ale kijowski wielkorządca daléj swój żart posunął. Natychmiast skasowano gymnazyum w Winnicy, a profesorów przeniesiono do Białocerkwi. I tak kraj nie skorzystał nic z ofiary szlachetnéj; nie przybyła mu nawet jedna więcéj szkoła moskiewska!

Najliczniejsza klasa ludzi w Rossyi jest i długo jeszcze będzie skazana na zupełną ciemnotę. System rządowy wymaga tam niewielu ludzi bystro patrzących; reszta im bardziéj ścieśniona w swych pojęciach i wiadomościach tém lepiéj. Ta zasada kierowała dotąd ministerstwem oświecenia : kilka uniwersytetów z ograniczoną liczbą uczniów i z niedołężnymi profesorami, kilka gymnazyów

do których nie miał wstępu nikt prócz syna szlachcica, uznanego przez heroldyą, i kupca pierwszéj giełdy, bardzo rzadkie szkoły powiatowe, i trochę po miastach szkółek parafialnych, — oto wszystkie źródła oświaty dla Rossyi! Żadnych szkół specyalnych, technologicznych, rzemieślniczych; jedyny instytut agronomiczny i trzy czy cztéry szkoły rolnicze. Przy takim stanie i takiéj liczbie instytucyj naukowych, cóż dziwnego że oświata ludu leży dotąd odłogiem? W prowincyach polskich chłop z tradycyi pamięta, że dobrze jest czegoś się nauczyć, i że kiedyś, przy każdéj cerkwi unickiéj była szkółka, gdzie djak, sługa kościelny, był nauczycielem ludu. Dotąd nawet mieszkanie djaka zowie się szkółką, choć z wprowadzeniem schyzmy oprócz pijaństwa i rozpusty, niczego tam nauczyć się nie można. Ale w Rossyi! Tam tysiące zabobonów łączy wprawdzie lud z duchowieństwem: spotkanie z popem, rozmowa z popem, upicie się z popem, ma odrębne, kabalistyczne niemal znaczenie, pomimo to, chłop rossyjski ma wstręt do popa, który *i z żywoho i z miortwoho djerot!* Wreszcie jakiżby to był nauczyciel? Będziemy mieli wkrótce sposposobność pomówić o duchowieństwie rossyjskiém; tu dość napomknąć, że jeżeli na niém gruntuje rząd nadzieję oświecenia ludu, to długo jeszcze będzie czekał, nim choćby najsłabsze z téj strony błyśnie światełko!...

Nie o polepszenie bytu klasy włościańskiéj, ani o rozpowszechnienie oświaty między ludem, troszczy się rzeczywiście rząd rossyjski! *Zlać w jednę masę wszystkie różnorodne narodowości imperyum, podciągnąć je pod jednostajną regułę administracyi, obyczaju i Kościoła rossyjskiego, to jest i będzie niezmienną dążnością polityki rossyjskiéj.* Do niéj stosować będą, pośrednio czy bezpośrednio, wszystkie reformy, i ulepszenia rządu, wszystkie wpływać będą na zcentralizowanie i zpotężnienie władzy samodzierzczéj a zawsze ukryte pod maską szlachetnych i liberalnych dążności; jaki zaś z tych sze-

rokich, często nadludzkich, a zawsze nieludzkich planów i przedsięwzięć wypłynie rezultat, to przyszłość może nieodległa wypowié!

IV

STAN KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO DO ŚMIERCI MIKOŁAJA.

4 września.

W roku 1842, wśród głębokiéj ciszy, możnaby powiedzieć wśród ogólnego rozproszenia sił w Europie, kiedy Francya niegdyś tak drażliwa w uczuciu godności narodowéj znosiła cierpliwie upokorzenia od Moskwy, kiedy Austrya nie śmiała innéj mieć opinii, innéj woli nad politykę gabinetu petersburskiego, kiedy nawet Anglia, dumna i potężna Anglia, z niewypowiedzianą postępowała ostrożnością, aby uniknąć jawnego boju z państwem, które oddawna ukrytą wiodło z nią walkę, wystąpił przeciw Rossyi starzec, Grzegorz XVI, sam jeden, bez wojsk, bez skarbów, bez pomocy ludzkiéj, i zaskarżył przed Bogiem i ludźmi mocarza, promieniejącego chwałą nieprzerwanych powodzeń i potęgi prawie nadziemskiéj. Ale głos tego starca rozległ się po świecie echem donośném i od razu opinia katolicka w Europie ogłosiła Rossyą za nieprzyjaciela Kościoła i cywilizacyi. Wrażenie było tak silne, wyrok Stolicy Apostolskiéj tak stanowczy, że w dziesięć lat późniéj, za pierwszym zamachem uknutym przez Rossyą na sąsiada słabszego, duchowieństwo i organa katolickie wszystkich krajów ujęły się gorąco za niepodległością turecką i przyczyniły się niemało do wypowiedzenia wojny olbrzymowi północy. « Bo *z północy*, mowi Jeremiasz, *wyjdzie złe na wszystkie obywatele świata.* »

Spostrzegł się rząd rossyjski i zaraz po zawarciu pokoju uznał za konieczne zmienić swą politykę w spra-

wach Kościoła. Koncesyami mniejszéj wagi uczynionemi Stolicy Apostolskiéj pragnął uspokoić opinią katolicką na Zachodzie; poczęto głosić, że nowy cesarz przejęty jest duchem tolerancyi, że daleki od prześladowania katolicyzmu, sprzyja swobodnemu rozwojowi wszystkich wyznań chrześciańskich, że ma nawet zamiar puścić w niepamięć srogie ukazy swego ojca. Usłużne Rossyi gazety powtarzając codziennie też same domniemania, chociaż brak im zupełny faktów na poparcie, usiłują zatrzeć koniecznie wspomnienia świeżych, bolesnych strat Kościoła, i wmawiają w opinią, że to co od wieku trwa i na drugie sto lat jest zakreślone, dziś nagle ustało.

Opowiadając wewnętrzną politykę Rossyi, z kolei my także zatrzymać się musimy nad obecnym stosunkiem tego państwa do Kościoła. A nie będziemy go oceniali objawami tylko dzisiejszéj, przemijającéj chwili. Jak z jednego marszu wojska niepodobna sądzić o planach wodza, ale należy śledzić jego ruchy od początku kampanii, tak aby poznać zamiary Moskwy względem Kościoła, potrzeba wyjść od chwili, kiedy polska ziemia, z nią dyecezye katolickie przeszły pod panowanie rossyjskie.

Traktatem r. 1793 zobowiązała się Katarzyna:

«Art. VIII. Rzymscy katolicy *utriusque ritus*, którzy, na mocy artykułu II niniejszego traktatu, przechodzą pod panowanie Jéj Mości Cesarzowéj Wszech Rossyj, nietylko będą mieli wolność zupełną w całém cesarstwie wyznawania swéj religii, stosownie do zaprowadzonego w niém systemu tolerancyi, ale w tychże prowincyach ustąpionych artykułem II, zostaną utrzymani przy obecnych dziedzicznych własnościach. W tym celu *Jéj Mość Cesarzowa Wszech Rossyj przyrzeka w sposób nieodwołalny za siebie, swych dzeedziców i następców, że na wieczne czasy utrzyma wspomnianych rzymskich katoli-*

ków obu obrzędów w nienaruszoném posiadaniu prerogatyw, własności i kościołów, w wolném zachowaniu obrządku i karności, oraz wszystkich praw do ich wyznania odnoszących się. — Oświadcza za siebie i za swych następców, *że nigdy władzy swéj monarszéj nie użyje ze szkodą religii kotolickiéj rzymskiéj obu obrządków*, w krajach które skutkiem obecnego traktatu dostały się pod jéj rządy.»

Takie było zobowiązanie cesarzowéj Katarzyny. Tych, co tak wiele po dzisiejszym Imperatorze spodziewają się, zapytamy czém są wobec uroczystych zapewnień Katarzyny, owe nieśmiało po dziennikach europejskich rozpuszczane obietnice lub domniemania, którym nawet wstęp do naszego kraju surowo jest wzbroniony? Przecież wiadomo, jak długo trwał ów traktat r. 1793, który Katarzyna Polsce narzuciła i od nikogo nie będąc zmuszoną, sama podpisała.

Tegoż jeszcze roku (1793) zwołano do Petersburga na sekretną radę celniejszych dygnitarzy schyzmy, aby wskazali «*sposoby, któremiby najlepiéj nawrócić można prowincye polskie na prawosławie.*» Po dość długiéj dyskusyi, Imperatorowa zgodziła się na plan skreślony na pismie przez awanturnika z wysp jońskich Eugeniusza Bulgari, który przeszedłszy we Włoszech i Niemczech wszystkie Kościoły i sekty XVIII° wieku, dał się poznać Frydery-kowi II; przez tegoż Katarzynie zalecony, odrazu mianowany został arcybiskupem prawosławnym, w utworzonéj umyślnie dla niego eparchii chersońskiéj. Zostawiając w pokoju, na pewien przeciąg czasu, obrządek łaciński, głaszcząc nawet i jednając łacińskie duchowieństwo, tém prędzéj za to, na owéj radzie petersburskiéj, postanowiono z Unią zakończyć. Pod kierunkiem biskupa schyzmatyckiego założony dom misyonarzy dla Unii. Przez kilka miesięcy pracowano w cichości, aż odezwa archimandryty słuckiego, dyrektora misyj, jakby wystrzał działowy dała hasło do rozpoczęcia walki na całém polu. Była to jedna z najzjadliwszych i najprzewrotniejszych

proklamacyj, jakie tylko ciemnota, złość i fanatyzm podyktować mogą. Rzucili się z nią misyonarze na wsze strony, a każdy miał z sobą bandę żołnierzy. Wnet zapełnili województwo kijowskie, bracławskie, dyecezyą łucką, włodzimirską, chełmską; roili się w Mińsku i Połocku. Potrzebaż mówić jakie było apostolstwo, z takimi apostołami?... Naprzód zamknięto klasztory bazyliańskie, zakonnikom którzy nie chcieli wiary swéj odstąpić, kazano rozejść się z pensyą od 50 do 100 rs. na rok. Proboszczów, o ile wzdragali się przejść na schyzmę, wypędzano z parafij, gorliwszych osadzono w więzieniu. Wpadali urzędnicy do kościołów, zamykali je, oddawali klucze schyzmatykom. Metropolicie i biskupom kazano wyjechać z dyecezyj, w ich miejsce ustanowiono cztery eparchie prawosławne. A z taką szybkością pełniono to dzieło szatana, i z taką zgodnością między urzędnikami i duchowieństwem, że nim umarła Katarzyna (1796) obrządek unicki stracił dziewięć tysięcy trzysta parafij, blizko sto pięćdziesiąt klasztorów i przeszło ośm milionów wiernych.

Pokazał rząd rossyjski co umié. Kiedy w Polsce działy się te gwałty i grabieże, na Zachodzie lała się krew, i nikt nie myślał upomnieć się u Imperatorowéj o wolność sumienia zaprzysiężoną traktatami, bo nikt się nie upomniał o prawa narodu okrutnie zamordowanego. Jedna tylko Stolica Apostolska broniła Unii, ale broniła słabo. I nie mogło być inaczéj, bo w téj strasznéj epoce już nie prowincye ale państwa całe na Zachodzie od Kościoła odpadały, sam nawet Kościół chciano zabić.

Lecz w czém najszczególniéj zręczność Katarzyny odbiła się, to w jéj stosunku z duchowieństwem łacińskiém. Ona, która dobra kościoła prawosławnego zabrała na skarb, która konfiskowała majątki panów polskich, jeśli wczas nieprzysięgli wierności, która wbrew traktatom odebrała wszystką własność duchowieństwu zakonnemu i świeckiemu Unii, ona właśnie uszanowała

dobra obrządku łacińskiego, schlebiała księżom, przyciągała Jezuitów. A tymczasem pocichu i nieznacznie rozwijały się zamiary daleko sięgające. Zaraz po pierwszym rozbiorze Polski, w ostatnim, najbardziéj ku wschodowi posuniętym zakątku Polski, umyśliła utworzyć dyecezyą białoruską. Na biskupa wybrała intryganta, który sumieniem bynajmniéj nie wiązany, pchany jedynie żądzą dojścia do najwyższych godności, stał się w ręku rządu wyborném narzędziem w najzuchwalszych planach polityki wewnętrznéj. Siestrzencewicz, rodem kalwin, służył za Fryderyka II w huzarach pruskich; wyrzekłszy się swéj wiary i rzemiosła wojennego, przyjął święcenia, został w Wilnie kanonikiem, wikaryuszem generalnym i biskupem *in partibus*. Przez lat kilkanaście zarządu w dyecezyi białoruskiéj, Sietrzencewicz trapiony namiętnością panowania, wywrócił hierarchią zakonną, wszystkie klasztory pod swoję władzę podciągnął, a upominany kilka razy przez Papieża, zawsze do protekcyi Katarzyny uciekał się. Oceniwszy jak należy człowieka, Katarzyna postanowiła (1780) podnieść go do godności arcybiskupa, dyecezyą zaś białoruską zmienić w archidyecezyą i metropolią mohilewską. Papież Pius VI, przez trzy lata opierał się natarczywym żądaniom a nawet prośbom Imperatorowéj; wreszcie oddano tę sprawę porozumieniu się legata z posłem rossyjskim w Warszawie. Lecz gdy i tu nie przyszło do zgody, Katarzyna wyprawiła do Rzymu umyślnego agenta, który uzyskał nakoniec przyzwolenie Papieża. W r. 1783 zjechał do Petersburga legat, przywiózł Siestrzencewiczowi palliusz i oddał mu władzę nad wiernymi obrządku łacińskiego w imperyum rossyjskiém. Nowy arcybiskup znalazł dla swéj ambicyi pole obszerne i skuteczne od rządu spółdziałanie. Nie chcąc cierpieć równego sobie w Rossyi katolickiéj arcybiskupa, przyczynił się najwięcéj do skasowania unickiéj metropolii, i kiedy rząd z jednéj strony zmuszał unitów do odstąpienia swéj wiary,

Siestrzencewicz, wbrew zakazom Papieża, zachęcał ich do przechodzenia na obrządek łaciński. Z dwóch więc stron pracowano nad wywróceniem Unii.

Wypadkiem, który w historyi tego państwa więcéj się już nie powtórzył, śmierć Katarzyny zagroziła polityce rossyjskiéj zerwaniem nici tradycyjnéj. Paweł, który we wszystkiém sprzeciwiał się matce, w sprawach także Kościoła chciał odmiennym iść torem. Człowiek ten, z sercem istotnie szlachetném, ale rozdrażniony przez panów moskiewskich, z uczuciami rycerskiemi, ale z głową przewróconą, sądził że nadeszła w Europie chwila, w któréj będzie mógł rozwinąć w całym blasku potęgę cesarzów wschodnich. Przez osobiste dziwactwo zapalił się do zakonu maltańskiego, i gdy Maltę opanowali Francuzi, kazał się obrać W. Mistrzem. Utworzył dwa wielkie przeorstwa : szlachty polskiéj i rossyjskiéj, rozdał mnóstwo komandoryj i wielkich krzyżów; chciał zmienić zakon w najpierwszy instytut wojenny w Europie, którego celem miała być restauracya zburzonych tronów. Łatwo pojąć, że W. Mistrz zakonu, którego otaczało tyle szlachty katolickiéj, który w pałacu swoim zbudował kaplicę katolicką i mszy katolickiéj słuchał na tronie odziany dalmatyką, który dla godności swéj maltańskiéj potrzebował względów Papieża, i ofiarował mu przytułek w swém państwie, przeznaczając Mohilew nad Dnieprem na stolicę apostolską, łatwo pojąć że cesarz Paweł nie mógł prześladować Kościoła katolickiego. I owszem wszedł w porozumienie z Stolicą Świętą, przywrócił trzy dyecezye unickie, arcybiskupią w Połocku, dwie biskupie w Łucku i Brześciu. Oddał Bazylianom część monasterów, niektóre dobra przez Katarzynę zabrane zwrócił unitom na potrzeby zakonu i seminaryów. Zbytecznem zdaje się mówić, jak dalece takiemi czynami oburzyć musiał przeciw sobie całą Rossyą. Udusili go téż Rossyanie z wiedzą i zezwoleniem jego własnego syna.

Niepodobnym do ojca był Alexander, niepodobnym do siebie samego w różnych epokach życia. Opowiadając politykę zagraniczną Rossyi, przechodziliśmy te odmienne peryody, kiedy Cesarz był liberalnym, kiedy niespodziane szczęście zmąciło jego umysł i kazało mu uwierzyć, że jest panem świata, późniéj kiedy przeżył sam siebie, zrobił się bigotem, niedołęgą i zdawszy rządy Arakczejewowi, niedbał o to co się w państwie działo. Zmuszony przez długi czas schlebiać Polakom, chociaż nie odwołał żadnego z ukazów Katarzyny, nie zburzył też nic z tego co ojciec odbudował. Wszakże w pierwszych latach jego panowania narodziła się instytucya, któréj przeznaczeniem jest odegrać ważną jeszcze rolę w dążeniach polityki rosyjskiéj. Chciwy władzy metropolita mohilewski, starał się, o ile podobna, uszczuplać nieustannie prawa i powagę podwładnych mu biskupów. Przedstawił on Pawłowi projekt ogólnego kościelnego forum, mającego sądzić w ostatniéj instancyi ważniejsze sprawy sześciu łacińskich i trzech unickich dyecezyj; projekt ten wprowadzony w wykonanie przez cesarza Alexandra w r. 1801, przyszedł do zupełnego rozwinięcia w r. 1804. W ośmiu artykułach streszcza on wszystkie prawa despotyczne, któremi Katarzyna usiłowała skrępować Kościół i poddać go pod władzę świecką. Ta najwyższa w cesarstwie instytucya kościelna zowie się dziś Kolegium katolickiém rzymskiém, i składa się z metropolity jako prezesa, z powołanych z dyecezyj kanoników lub prałatów, i komisarza cesarskiego, schyzmatyka, bez którego wiedzy i sankcyi żadne pismo w kolegium przejść nie może. Ta potworna instytucya burząca hierarchią i zasady Kościoła katolickiego, ujmuje prawom biskupów, przywłaszcza sobie w części władzę Głowy Kościoła, a władzy świeckiéj daje możność mieszania się w najdrażliwsze i najgłębsze stosunki kościelne. Przyjdzie nam późniéj przypatrzeć się z blizka temu ciału; tu chcemy tylko

przypomnieć, że myśl jego podał Siestrzeńcewicz, *mając nadzieję* zawładnięcia całym Kościołem. Zezwolił zaś na to rząd rosyjski, *mając pewność*, że skoro uda się metropolicie wciągnąć wszystkie sprawy Kościoła do kolegium, uda się także Cesarzowi podciągnąć i kolegium i metropolitę pod swoję władzę, i rządzić następnie Kościołem katolickim jak rządzi Kościołem prawosławnym i jego archirejami, zkasowawszy patryarchat a za pośrednictwem Ś. Synodu. Taki to fundament przyszłéj dla nas schyzmy przygotował « wspaniałomyślny » cesarz Alexander I.

Rzecz zaprawdę szczególna, że Rossya dziś jeszcze u niektórych znajduje wiarę, chociaż prawie zawsze w swych podstępach powtarza się! Dosyć poznać dokładnie jeden okres historyi rosyjsskiéj, aby wiedzieć co w danym razie rząd cesarstwa zamierza uczynić. Alexander tworząc kolegium katolickie w Petersburgu, naśladował Piotra w ustanowieniu Świętego Synodu. Cesarz Mikołaj, odnawiając walkę z katolicyzmem, poszedł za przykładem babki Katarzyny, i znowu oszczędzając łacinników chciał naprzód z unitami zakończyć. Dwa ukazy z roku 1828 dotyczące hierarchii Kościoła i seminaryów unickich, wypowiadają całkowicie myśl cesarską, i wszystkie środki aż do roku 1839 następnie przedsiębrane, wypłynęły z ukazu roku 1828, jak ze źródła. Ale czasy były teraz trudniejsze : na Zachodzie pokój, od południa wojna z Turcyą nie zbyt szczęśliwa; do tego Krolestwo Polskie i jego instytucye, oraz podejrzana przyjaźń Austryi krępowały Mikołaja, i zmuszały go do nierównie większéj ostrożności, niżeli ta, która za czasów « *Imperatorowéj Matuszki* » była potrzebna. Dopiero zwycięztwo odniesione nad powstaniem polskiém podwoiło potęgę rządu, i dozwoliło Cesarzowi rozwinąć swe myśli i uczucia z całą swobodą.

Rok 1832 liczyć się będzie do najopłakańszych w dziejach Kościoła : szybko po sobie i jak piorun druzgocące,

padały z Petersburga coraz to nowe ukazy. Naprzód zniesiono władzę prowincyałów bazyliańskich, późniéj zamknięto ich seminarya, w końcu skasowano ten zakon. Zmuszono arcybiskupa Bułhaka, że się usunął na stronę; imiona złowrogie Łużyńskiego, Siemiaszki i Żarskiego, imiona po tysiąc razy łzami ikrwią oblane, klątwą umęczonych piętnowane, występują na kartę historyi. Z pyłu zeszłowiecznego archiwum wydobyto nanowo pismo Eugeniusza Bulgari : *O sposobach, któremi najlepiéj nawrócić unitów polskich na prawosławie*. Znowu nastały misye, gwałty, zabory, więzienia, pałki, zesłania w Sybir; i nie było tak wymyślnéj srogości lub tak chytrego podstępu, którychby nie użyto w tych « *Dziejach apostolskich* » schyzmy, od r. 1832 do 1839. Tysiąc trzysta parafii, przeszło dwa tysiące księży unickich i półtora miliona wiernych, zmuszono do przyjęcia prawosławia. Nakoniec wyszedł dekret Ś. Synodu głoszący złączenie Unii z schyzmą; cesarz Mikołaj zatwierdził go « *dziękując Bogu* »,—i na tém bluźnierstwie prześladowcy Kościoła Bożego, zakończyła się historya Unii w rossyjskiém imperyum...

Przejdźmy teraz do obrządku łacińskiego. W r. 1835, cesarz Mikołaj, przyjmując w Warszawie deputacyą biskupów i wyższego kleru, słuchał w milczeniu, kiedy mu księża katoliccy mówili o powinności, jaką ma każdy chrześcianin, szanowania władzy świeckiéj. Po skończonéj przemowie ukłonił się i dał znak ażeby wyszli. Aż kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim księdzem « *uże mnie eto Duminus vobiscum wot zdieś...* » zawołał, energicznym gestem uderzając się w gardło.

Ten gest oddający wiernie uczucie cesarkie, mógłby służyć za najwłaściwszy komentarz do ukazów, któremi rząd rossyjski prowadził wojnę z Kościołem katolickim, za Mikołaja. Wiedział on, że gdziekolwiek przebywa choć jeden ksiądz katolicki, tam władza imperatora przestaje być nieograniczoną, że gdzie bądź w imperium

otwarta jest świątynia katolicka, tam wznoszą się modły za Polskę. Kiedy w Petersburgu chwalono jednego z biskupów z nauki przykładnego życia, Cesarz z gniewem i językiem sobie właściwym wykrzyknął: *wsio taki pad rożoju katoliczeskawo księdza tarczyt polskaja morda!* »

Trzebaby osobnéj książki, a nie doraźnego artykułu, aby opowiedzieć wszystkie szykany i mitręgi, któremi rząd za Mikołaja krępował wolność sumienia i Kościoła, wszystkie zdrady i pokusy któremi podkopywał jego hierarchią i osłabiał moc jego dogmatów, wszystkie nakoniec bezprawia, któremi burzył odwiecznie instytucye i gasił światło żywéj wiary. Z pomocą petersburskiego kolegium wdarł się Cesarz w zarząd klasztorów, parafij i dyecezyj; po wojskowemu urządził seminarya, po wojskowemu także chciał przepisać szafunek sakramentów. Rozkazał, aby księżanie ważyli się spowiadać tych, których nie znają; w tym celu, aby nazwiska i imiona spowiadających się wpisywali do księgi, wraz z objaśnieniem czyli im dali rozgrzeszenie! Ogłosił prawo, aby dzieci mieszanych małżeństw chrzczone były na prawosławie, i aby księża katoliccy takie pary błogosławili. Niewolno było w tym razie odmówić ślubu katolickiego; niewolno było, nawet w konfesyonale, przypomnieć przed ślubem na jak wielkie niebezpieczeństwa tego rodzaju związek naraża. Kapłan, który słuchając głosu sumienia wykroczył przeciw temu przepisowi, mógł być pewnym że nie uniknie więzienia albo Sybiru.

Charakterystyczną ale dla nas najboleśniejszą kartą w historyi Mikołaja jest zniesienie klasztorów. Niższe klasy polskiego społeczeństwa zostawaly i dotąd jeszcze miejscami zostają pod wpływem duchowieństwa zakonnego. Klasztór w Polsce jest ogniskiem wiary, ale jest także twierdzą narodowości. Dlatego zaraz po skończeniu wojny polskiéj, cesarz Mikołaj wydał rozkaz do ministra Błudowa, aby skasować « niepotrzebne » kla-

sztory. Minister ułożył pismo do kolegium, w którém naprzód obszernie wykłada, że dobro samego Kościoła wymaga zniesienia wielu zakonów. Argumentami czerpanemi z książek XVIII wieku, wojuje przeciw zgromadzeniom klasztornym; mimo to zaręcza najuroczyściéj, że rząd cesarski nie jest przeciwny instytucyi zakonów. Owszem ubolewa, że w dzisiejszym wieku niewiary tak mało jest « prawdziwego powołania » do życia zakonnego, że dawna pobożność zastygła w tych domach, że wkradło się w mury klasztorne zepsucie obyczajów, że zakony nie oddają już tych co dawniéj usług! A tak lejąc łzy nad ofiarą, któréj nóż przykłada do gardła, minister konkluduje : « Aby złemu zapobiedz, najwłaściwszém nam się wydało, znieść pewną liczbę zgromadzeń duchownych, i między takie domy rozdzielić zakonników, które urządzeniem swojém odpowiadają cèlowi założenia, duchowi chrześciańskiemu i potrzebom dzisiejszéj epoki. » Zniesiono zatém w metropolii mohilewskiéj dwieście przeszło klasztorów i skasowano zupełnie takie zgromadzenia, których obowiązki apostolstwa lub miłosierdzia stawiały zakonników w ciągłém zetknięciu z klasą uboższą. Zabrano na skarb majątku kościelnego blizko pięciu milionów rubli srebrem, przeznaczając je częścią na potrzeby państwa, częścią na uposażenie schyzmatyckich zakładów. A jeźli dekret zniesienia oburzał do żywego bezprawiem i obłudą, to wykonanie było jeszcze ohydniejsze. Wpadali urzędnicy z wojskiem do klasztoru, nie uprzedzając pierwéj ani minutą, i po oznajmieniu że dom ma być zamknięty, tejże chwili odsyłali zakonników pod eskortą. Niewolno było mnichom nic z sobą zabrać, co nie było ich osobistą własnością. Po odjezdzie księży, banda drapieżna rzucała się dopiero na zapasy gotówki, śpiżarni, na sprzęty klasztorne, na ruchomości kościoła! Pełno było, w owych czasach, wyższych i niższych czynowników, którzy naraz przyszli do majątku, do

wspaniałych sreber i kosztowności; nierzadko od oficera policyi mogłeś kupić kielich, monstrancyą albo ornat złotolity! W lat kilkanaście późniéj powtórzono tę grabież, i wówczas złupiono do reszty duchowieństwo zakonne z wszelkiéj własności nieruchoméj.

Potrzebaż wyliczać jeszcze więcéj faktów?... potrzebaż przypominać tak niedawne ukazy: o wykładzie katechizmu w szkołach, o zakazie odpowiadania na dzieła przeciwne religii katolickiéj, o nagrodach przyznawanych nawet złodziejom, jeżeli przeszli na schyzmę?... Czyż wyszły z pamięci czcigodne nazwiska męczonych księży, prześladowanych biskupów? Azaliż to, cośmy powiedzieli, nie wystarcza do ocenienia i systemu, którego się trzymał rząd w sprawach Kościoła, i sposobów jakiemi ten system przeprowadzał?...

Trzy były rodzaje prześladowań, któremi od początków chrześciaństwa, nieprzyjaciele Kościoła dążyli do jego zagłady. Jedni chcieli go zatopić w przelewie krwi i w męczarniach: były to za czasóm rzymskiego mocarstwa. Drudzy chcieli go poszarpać, wydzierając mu, jak protestanci, wszelką własność. Trzeci, jak Julian Apostata lub Filip Piękny, zakradłszy się w środek owczarni, pragnęli ją udusić kłamliwą, więzienną troskliwością. Ale ci wszyscy prześladowcy zostali daleko poza rządem rossyjskim; on pierwszy dopiero wszelkiéj na przemian używał broni przeciw Kościołowi, a każdą władał, jako nikt przed nim, po mistrzowsku!...

Obaczmy co się zmieniło pod panowaniem Alexandra.

V

STAN KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO POD ALEXANDREM.

18 września.

«Między trefnisiami utrzymywanymi na dworze carskim, opowiada Villebois, oficer marynarki i adjutant

Piotra I, był niejaki Zotow, który Piotra za młodu uczył czytać i pisać. Tak wielka zasługa wymagała, zdaniem błazna, nadzwyczajnéj, uderzającéj nagrody, i gdy się nieustannie jéj dopominał, — słusznie się skarżysz, rzecze Piotr, ale nie straciłeś na czekaniu; zrobię dla ciebie, czegom dla nikogo nie zrobił : zamianuję cię *kniaziem-papą.*» W istocie ogłosiwszy go na uczcie pijackiéj «Papieżem,» dał mu pałac, wyznaczył pensyą i przydał za członków, kolegium ludzi znanych z wszelkiego rodzaju rozpusty i ohydy. Urządziwszy dwór błazeński i ubrawszy go w płaszcze i birety czerwone, zamknął wszystkich na trzy dni w sali obszernéj, kazał im ukłaść się do łóżka, i poił ich i karmił tak, że wielu nieżywych wynieść musiano. Zebranie to nazwano « kardynalskiém konklawe » i powtarzarzano je odtąd, raz do roku, aż do śmierci Piotra. Te orgie bezwstydne, a jednak trafnie malujące i cara i jego poddanych, nie były wcale, jakby się zdawać mogło, wyskokiem rozpustnéj imaginacyi, ale wchodziły w rachubę polityczną. Po każdéj z nich, car z pompą najwspanialszą obwoził po mieście Zotowa i jego towarzyszy, w stanie którego opowiedzieć nie można, a to jakoby na pokaz ludowi moskiewskiemu, czém jest « Papież i kolegium kardynalskie. » Miały te saturnalia inszy przytém cel. Car błaznując z ceremonij dworu rzymskiego, uderzał zarazem w powagę moskiewskiego patryarchy. — Każdy najlepiéj zna swojego domu i cnoty i wady. Dynastya Romanowów pochodzi, jak wiadomo, z popowiczów; Piotr więc z tradycyi wiedział co może duchowieństwo. Wiedział jak jego prapradziad Filaret podszedł był wszystkie partye moskiewskie i wyniósł na tron syna swego Michała; pamiętał jak trudną i niebezpieczną walkę z patryarchą Nikonem musiał stoczyć jego własny ojciec, Alexy. Korzystając przeto ze śmierci patryarchy Adryana, pośpieszył znieść tę godność i w jéj miejsce ustanowił Najświętszy Synod, którego członków dowolnie mianował i usuwał. Odtąd

naczelny zarząd Kościoła, administracyjny i dogmatyczny, przeszedł zupełnie, podobnie jak armia, marynarka, finanse, w ręce cara, i Piotr był z téj reformy tak szczęśliwy, że ją uważał za największe dzieło swego panowania. Kiedy w jego obecności czytano artykuł *Spektatora angielskiego*, którego autor stawiał rossyjskiego cara wyżéj od Ludwika XIV, «to nieprawda, zawołał Piotr, ja tylko w jedném byłem wyższym od wielkiego króla Francyi : umiałem zawładnąć Kościołem.»

Dzisiejszy Kościoł rossyjski, jeśli Kościołem nazywać można zgromadzenie popów pod zarządem Najświętszego Synodu, owoc polityki Piotrowéj przez następców troskliwie hodowany, ma dwa rodzaje duchowieństwa: *białe* czyli żonate, i *czarne* czyli mnichów.

Trudno sobie wyobrazić zakłady naukowe równie nędzne jak są w ogóle seminarya rossyjskie. Przechodzą w nich seminarzyści ledwo nauki początkowe, trochę wykładu Pisma świętego i Ojców świętych, żadnéj prawie teologii dogmatycznéj, żadnéj historyi kościelnéj ani prawa kościelnego; te bowiem przedmioty należą do szkół wyższych, akademij duchownych. Kiedy przyszły pop kończy seminaryum i broda zaczyna mu rosnąć, wysyłają go na szukanie żony, bo jak wiadomo, dopóki nie ożeni się, nie może zostać parochem, nie może nawet być wyświęconym na księdza. Nie odrazu to przychodzi. Podwójny kandydat do hymenu i do kapłaństwa, musi nieraz przez rok cały jeździć po złych drogach, zanim upatrzy sobie probostwo, w któreby się mógł wżenić. Najpożądańsze dla seminarzystów są partye popadzianek, zwłaszcza takich, które braci nie mają, i w posagu przynieść mogą, wraz z sakramentem kapłaństwa, gotową po ojcu parafią; w ten też sposób parafie utrzymują się dość często w tym samym rodzie, jeśli nie po *brodzie*, to po kądzieli. Ale to dopiero połowa karyery, reszta zależy od sprytu popa i od zdrowia żony.

Bo jeśli żona dość wcześnie rozstanie się z tym światem, pop rzuca probostwo, wchodzi w monachy i świetna przyszłość przed nim się odkrywa. Lecz jeśli przeciwnie, małżonka wytrwale towarzyszy mu na drodze żywota, to pop na zawsze skazany zostać przy owczarni, przepada w karyerze.

Manaszestwojuszczoje duchawienstwo dzieli się na starszyznę rozumną, przebiegłą, zaprawną do wszelkiego rodzaju chytrości, jeromonachów, ihumenów, archimandrytów i na braci, prostych czernców, *czerń.* Prawdziwa to czerń, gruba, ciemna, żarłoczna i rozpustna; ich przeznaczeniem służyć starszyznie i przyszłym dostojnikom prawosławia. Bo rossyjskie monastery nie są bynajmniéj miejscem modlitwy i cichéj za bliźnich ofiary; są to szkoły mniéj więcéj po wojskowemu urządzone, przygotowujące wyższą kościelną biórokracyą. Tam jeromonach, który w domu odebrał lepsze wychowanie i przebył akademią duchowną, otrzymuje stopień uczony i wysłany bywa naprzód na rektora seminaryum. To pierwszy stopień do awansu: jeszcze on tu wprawdzie nie może wpaść w oczy ministrów ani cara, ale karnością, zwinnością i usłużnością może sobie utorować drogę do łask świeckiego i duchownego *naczalstwa.* Robią go archimandrytą i eparchialnym wikarym, co już jest biskupią godnością, a ztąd do archireja tylko jeden szczebel. Zostawszy arcypiskupem, ma pod swoim zarządem znaczną liczbę duchowieństwa, owczarnia jego liczy czasem kilka milionów, znajduje więc tysiące sposobności popisać się z swém nieograniczoném poświęceniem dla cara. I można być pewnym, że wytrwa w niém do końca, aby tylko dostał się do Najświętszego Synodu. Bo Synod to już najwyższy szczebel hierarchiczny, *patres conscripti* prawosławia! Synod odbiera ukazy od samego Imperatora, ogłasza je wszystkim archirejom! Synod, to prawa ręka, to są usta Imperatora w dogmatach i admi-

nistracyi schyzmy! Czém Senat Rządzący w sprawach świeckich, tém Synod w sprawach religii, a jak Senat ulega rozkazom ministra sprawiedliwości, tak téż Synodem rządzi prokuror generalny. Bywa zaś prokurorem człowiek posiadający szczególne zaufanie i łaski cesarza, jak naprzykład był Protassów, który zacząwszy swą karyerę w Synodzie od pułkownika, w tymże Synodzie dosłużył się raugi jenerał adjutanta!...

Oto wierny obraz prawosławia! Jestto jedna więcéj sprężyna w machinie administracyjnéj, są to żandarmi z długiemi brodami, z pomocą których Imperator chce rządzić sumieniem całego narodu. Ducha wiary, uczucia kapłańskiego posłannictwa, téj ciągłéj troski katolickiego Kościoła o podnoszenie ziemi do Boga, próżnobyś tam szukał, od najniższych do najwyższych szczebli! Ze schyzmy rossyjskiéj wieje atmosfera cmentarna, wieje mróz azyatyckich religij, w których im mniéj jest ducha, tém więcéj w obrzędach zaciętości i stężenia. Na formie stoi prawosławie : *po ukazie* szanują schyzmę klasy wyższe, które w gruncie szydzą z wszelkiéj wiary; na formę tylko patrzy lud, który swoich popów z tego sądzi, czy z powagą odprawiają ceremonie kościelne, czy wyraźnie czytają ewangelią, czy pięknie spiewają przy ołtarzu i t. p. I taki szkielet bez serca i ducha, gmach który nie ma innéj przyczyny bytu, oprócz woli i cara i ciemnoty ludu, chce rząd rossyjski wznieść u nas na ruinie Kościoła katolickiego. Wymagają tego niezwłocznie potrzeby państwa. « Wewnątrz Rossyi, mówi pisarz którego przecież o przyjaźń dla Polski posądzić nie można, Gagarin, wewnątrz kraju chodzi o to, aby znieść wszelkie różnice burzące jednostajność cesarstwa. A zatém każde stowarzyszenie religijne nieulegające władzy Synodu uważane jest za odszczepieńcze i ustać powinno; każda narodowość osobna musi być pochłonięta przez narodowość rossyjską; każdy przywiléj, ślad wszelki dawnych organizacyj politycznych i praw służących

prowincyom lub królestwom, wcielonym dzisiaj do cesarstwa, powinien zniknąć, aby zapanowała we Wszech Rossyi jednostajność, to jest, mówiąc słowami uświęconemi : ortodoxya, autokracya i narodowość. » Wistocie ta potrójna jedność : religijna, polityczna i narodowa, jak ją pierwszy zformułował Uwarów, minister oświecenia za Mikołaja *« prawosławie, samodzierżawie i narodnost' »* jest marą, która od Piotra aż do Alexandra II dręczy z kolei wszystkich imperatorów, jest kardynalną zasadą polityki, od któréj nie śmié odstąpić żaden Rossyanin, a tém mniéj można tu wyjąć reformatorów rewolucyjnych, jak Hercen i jemu podobni marzyciele.

Wykazaliśmy poprzednio, jakiemi środkami rząd rossyjski dążył na ziemi polskiéj do zrealizowania jedności religijnéj. Pierwsze zkasowanie Unii, założenie metropolii w najodleglejszym zakątku ziemi katolickiéj, utworzenie kolegium katolickiego w Petersburgu na wzór Najświętszego Synodu, nieobsadzanie dyecezyj lub przedstawianie Stolicy Świętéj kandydatów niegodnych, zakaz bezpośredniéj komunikacyi z Dworem Rzymskim, zkasowanie Unii powtórne, zniesienie około trzystu klasztorów obrządku łacińskiego, zabór kościelnego majątku, ścieśnienie seminaryów, zmniejszenie duchowieństwa do liczby potrzebom krajowym nieodpowiedniéj, prześladowanie księży, zamykanie świątyń, ukaz o małżeństwach mieszanych, wdzieranie się rządu świeckiego do spraw kościoła i tyle innych zgubnych ukazów, były to przez lat blizko ośmdziesiąt, z większą lub mniejszą srogością wybuchające, ale niemniéj dlatego zawsze zwycięzkie, objawy apostolstwa schyzmy! Dopiero allokucya papiezka i wywołane przez nią w Europie oburzenie ostrzegły, że daléj z równym zapędem iść po téj drodze, może byłoby niebezpiecznie. Wstrzymano się więc ale nie pierwéj, aż cesarz Mikołaj swą walkę doprowadził tak daleko, że aby sięgnąć ręką po zwycięztwo, nie potrzeba już było zadawać nowych

ciosów, dość tylko nie dozwolić aby zgoiły się rany. Jak inżynier, kiedy wykopie i zapali miny pod fortecą, może w oddaleniu i spokojnie czekać aż się mury rozpadną, tak rząd rossyjski pilnując tylko wykonania istniejących praw, może wcześniéj lub późniéj spodziewać się na ziemi polskiéj, ruiny katolicyzmu!...

Powiadają, że dzisiaj inaczéj, — jakby w Rossyi inaczéj być mogło : tam choć ludzie się zmieniają, system trwa zawsze jeden. Mówią że cesarz Alexander nie wydaje nowych ukazów prześladowczych? Po co zabijać człowieka, któremu już dano dostateczną ilość trucizny! Wszakże i cesarz Mikołaj, od roku 1847, na jakiś czas pofolgował swéj srogości, zapewne w przekonaniu, że to co zrobiono, wystarczy. Ale my dodamy: *cesarz Alexander nie cofnął w sprawach Kościoła ani jednego z ukaz'w ojcowskich, i podobnie jak ojciec, do dziś dnia nie wykonał konkordatu zawartego przed laty jedynastu!*

Wypadałoby może, nim rzecz naszę o Kościele zamkniemy, odpowiedzieć na mniemania, których tak wiele ostatniemi czasy o tolerancyi rossyjskiéj rozeszło się. Ale na cóż się przyda zbijać, kiedy tylu ludzi jest interesowanych uwodzić wciąż opinią? Wolimy więc, o ile nam dozwoli szczupły zasób wiadomości, podać krótki obraz obecnego stanu Kościoła, właściwiéj mówiąc, jego dzisiejszych na ziemi polskiéj niedostatków, i pokazać jak owe prawa rossyjskie, o których dzisiaj w Europie niemal zapomniano, na gruncie naszym rozwijają się i jaką przyszłość dla nas gotują.

Na czele zarządu kościelnego siedmiu dyecezyj katolickich w cesarstwie jest, jak wiadomo, Kolegium petersburskie, którego przecież Stolica Apostolska nie uznaje, bo uznać nie może. Ta instytucya mająca kiedyś, wedle planów rossyjskich, być wcieloną do Najświętszego Synodu, dzisiaj zależna całkiem od ministra,

służy do przesyłania biskupom rozporządzeń rządowych; zastępuje poniekąd Metropolitę, a nie ma mocy obstawać przy prawach kościelnych, ani opierać się rozkazom władzy świeckiéj. Zdawałoby się, że rząd mając to ciało przy sobie, w Petersburgu, i wszystkich członków trzymając w swojém ręku, może być spokojny o rezultat jego narad. Bynajmniéj! Aby działanie księży katolickich, którzy w kollegium zasiadają paraliżować i jeśli można wykrzywić, przydaje im urzędników cywilnych, ludzi odmiennéj wiary. Prokurorem jest dzisiaj p. Żełtouchow, schyzmatyk; sekretarzem kolegium p. Krumbmüller, luter, a nawet kancelarya kolegium, w znacznéj części, prawosławnymi albo protestantami została obsadzona.

Korespondencya bezpośrednia z Rzymem jest wedle praw rossyjskich zbrodnią stanu, *crimen læsæ majestatis*, i pociąga za sobą zsyłkę na Sybir. Kiedy więc z Stolicy Apostolskiéj przychodzi pismo, musi być naprzód czytane przez ministra który decyduje, czy można lub nie, komunikować je kolegium katolickiemu. Jeżeli pismo wymaga odpowiedzi, Metropolita lub Biskup powinien ją wraz z kopią odesłać do ministra, na kopercie zaś listu przyłożyć pieczęć wolną, aby kopia mogła być sprawdzoną, a list mimo to doszedł do Rzymu jakoby przez biskupa zamknięty. W tak zwanych *skrutyniach*, przez które Stolica Apostolska czerpie informacyą o kandydacie przedstawionym przez rząd do biskupstwa, nie godzi się nikomu wyrazić zdania rządowemu kandydatowi przeciwnego! Nie wolno nawet na pytanie Dworu Rzymskiego odpowiedzieć *nie wiem:* trzeba wiedzieć, a wiedzieć koniecznie tak jak każe minister. — Takim to ścieśnieniom, które rzeczywistemu wyrównywają zakazowi, ulega, pod panowaniem Alexandra, korespondencya biskupów polskich z Głową Kościoła. A zapewniają mimo to, że Kościół oddycha dzisiaj swobodniéj. Gdzie rząd przywłaszcza sobie władzę cen-

zorską nad dekretami duchownémi Stolicy Apostolskiéj, tam nie ma nietylko swobody religijnéj, ale nie ma nawet spokoju sumienia dla żadnego biskupa. Jak organizm ludzki bez wolnego krwi opływu, tak Kościół katolicki bez wolnéj, między władzami duchownemi, wymiany uczuć i myśli, usycha i drętwieje.

Im mniéj biskupów katolickich tém lepiéj dla Rossyi; przez długi czas cesarz Mikołaj starał się w Rzymie, aby ośm dyecezyj Królestwa polskiego zamienić na pięć, a gdy tego otrzymać nie mógł, postanowił nie obsadzać dyecezyj, oddając ich zarząd administratorom. Bo administrator, to *persona grata* dla rządu; wprawdzie nie będąc sufraganem, nie może spełniać funkcyi duchownéj biskupa, niemniéj jednak ma zwierzchność świecką nad duchownymi; że zaś jest odwołalnym, ulegać musi rozkazom ministra. Historya Kościoła katolickiego w prowincyach zabranych, zna wielu administratorów, od których dyecezye cięźkiéj doznały krzywdy; dość wspomnieć tu Łaskiego w Mohilewskiém, albo Butkiewicza w Królestwie!... Dwie dyecezye cesarstwa, wileńska i kamieniecka nie mają obecnie biskupów; arcypasterz zmuszony do ciągłego pobytu w Petersburgu, rzadko kiedy może odwiedzić swą owczarnią. Jaki ztąd wkrada się nieład w zarządzie parafialnym, jaki brak karności duchownéj, o tém i mówić zbytecznie. Wedle konkordatu z r. 1847 rząd rossyjski zezwolił na piętnastu sufraganów w cesarstwie; z téj liczby jest tylko jeden, i tego, chociaż ani słowa po niemiecku nie umié, przeznaczono na sufragana do dyecezyi niemieckiéj, w Tyraspolu (1).

Powiedziano jest w konkordacie, że z pozostałych po

(1) W miesiącu wrześniu b. r., Ojciec Święty ogłosił księdza Krasińskiego biskupem wileńskim; a zaś księdza Staniewskiego mohilowskim, księdza Dekerta warszawskim, księdza Platera łowickim, księdza Bereśniewicza żmudzkim, sufraganami.

ostatniém zniesieniu stu sześciu klasztorów, żaden więcéj nie ma być zamknięty. Tymczasem od r. 1847 zniesiono ich trzydzieści sześć. Wiadomo, że wszelka komunikacya z jenerałami zakonów odjęta jest polskim klasztorom, i aby rozerwać między niémi wszelką łączność, wspólne życie duchowe i karność zakonną, pozbawiono ich nawet prowincyałów. Podzielono męzkie i żeńskie klasztory na *etatowe* (tych jest pięćdziesiąt) i *nieetatowe* które rząd natychmiast zamyka, skoro liczba zakonników zejdzie w nich do siedmiu. Są trzy oddziały klasztorów etatowych : w *pierwszéj* klasie zgromadzenie powinno liczyć dwudziestu trzech zakonników i pobiera na utrzymanie trzy tysiące rubli; w *drugiéj* ma być siedemnastu z funduszem dwóch tysięcy rubli; w *trzeciéj* nakoniec trzynastu z półtora tysiąca rubli rocznéj pensyi. W nieetatowych liczba jest nieograniczoną; w nich za każdego zakonnika rząd płaci na rok czterdzieści rs. Lecz pamiętać trzeba, że żaden zakon w prowincyach zabranych nie ma prawa przyjmować do nowicyatu, ale na miejsce zmarłych w klasztorze etatowym powinien wziąść, jakby dla awansu, zakonników nieetatowych. Dopiéro gdy wygasną jego klasztory nieetatowe, i kiedy w etatowych pokaże się liczba mniejsza od przepisanéj, dopiéro wtenczas, za upoważnieniem ministra, można przyjąć kandydata do stanu zakonnego ! Jakaż instytucya, jakie pytamy stowarzyszenie, choćby też najgorętszym było ożywione duchem, ulegając tylu szykanom, ścieśnieniom i dokuczliwym formalnościom, może zakwitnąć i przynieść owoc swéj pracy ? Wcale téż o to nie chodzi rządowi rossyjskiemu. Wié on, że zakony są filarami Kościoła ; więc usunąwszy filary, czeka rychłoli gmach runie. Wié nadto, że gorące uczucie religijne, którém niższe klasy są u nas przejęte, było w znacznéj części skutkiem wpływu zakonów ; więc skasowawszy edukacyą klasztorną, spodziewa się, że ludność uboższa zobojętnieje dla wiary.

Wprawdzie nie dano mu dzieła zagłady doprowadzić do końca, ale skutek już prawie otrzymany. Bo nim upłynie lat kilkanaście, pozostanie w całém cesarstwie około tysiąca zakonników, którzy zamknięci w klasztorach niczém z sobą niepołączonych i osadzeni, nieraz umyślnie, w pośród ludności schyzmatyckiéj, nie będą mogli przynieść ani pomocy świeckiemu duchowieństwu, ani obrony zagrożonemu Kościołowi. Niektóre zakony rząd rossyjski wyróżnił szczególną nienawiścią, są to : Jezuici, Pijarzy i Misyonarze. Żaden zakon nie może trudnić się wychowaniem młodzieży, nawet Siostry Miłosierdzia, które zaledwo są cierpiane. Zamknięto ich nowicyaty, pozbawiono ich kierunku Misyonarzy, oderwano od naczelnego zarządu we Francyi. Te więc, które jeszcze żyją, gdy je przyciska wiek pochylony i zmuszone są przestać na służbie szpitalnéj, nie oddają i oddawać nie mogą tych usług, jakich każdy katolik spodziewać się dzisiaj ma prawo od córek Ś. Wincentego.

Czy rząd rossyjski dopnie wszystkich celów, które zamierzył przez zniesienie klasztorów, to w Boskiéj tylko jest wiedzy; ale już dzisiaj może on poszczycić się, że jeden ważny rezultat otrzymany. Odkąd zakony przestały razem z jałmużną roznosić światło wiary, odtąd nędza klas niższych, w prowincyach zabranych, zaczęła wzrastać widocznie. W Kownie, Wilnie, Żytomierzu i innych miastach gubernialnych tłumy próżniacze i żebrzące zalegają ulice i wstęp do kościów. Utworzyła się nawet osobna klasa, w któréj ludzie rodzą się żebrakami, żyją z jałmużny i zapewne w łachmanach zakończą swe życie. Niewolno jest katolikom wiązać się w miłosierne stowarzyszenia, zwłaszcza takie, któreby myślały zarazem o potrzebach duszy i ciała. Ale niech cesarz lub członek rodziny panującéj zapowie swój przejazd przez miasto, zaraz policya rozpoczyna łowy. Chwytają, zbierają żebraków, wywożą za miasto, i ulice oczyszczone i

upiększone « przedstawiają N. Panu błogi widok dobrego bytu i szczęścia poddanych! »

Przejdźmy do świeckiego duchowieństwa. Jest pięć seminaryów dyecezyalnych, nie ma go tylko arcybiskup dla swojéj dyecezyi, i pomimo usilnych, jak słyszymy, starań, otrzymać go nie może. Rząd który zabrał około dwudziestu milionów franków własności kościelnéj, uniewinnia się brakiem funduszu na seminaryum mohilewskie. Obaczmy jaka w innych jest liczba alumnów i jakie uposażenie? Dyecezye podolska i wołyńska otrzymują tysiąc pięćset rs. na ośmnastu seminarzystów w każdéj. Dyecezya wileńska, z sześciu tysięcy rubli przeznaczonych na seminaryum, musi opłacić rektora, profesorów, koszta nauki, służbę, w końcu wyżywić i utrzymać czterdziestu alumnów. Ponieważ nauki trwają cztery lata, w najlepszém zatém przypuszczeniu seminaryum wileńskie może dostarczyć dziesięciu co rok księży. Tymczasem, jest w téj dyecezyi trzysta kościołów parafialnych, filialnych czterysta pięćdziesiąt, razem więc kościołów siedemset pięćdziesiąt, a na to, księży świeckich znajduje się — pięciuset! Liczba świeckiego duchowieństwa niewystarcza zatém choćby na odprawienie mszy w każdym kościele; że zaś przez śmierć lub choroby co rok około dwudziestu pięciu księży w dyecezyi wileńskiéj przestaje pełnić obowiązki, ubywa więc duchownych co rok trzy razy więcéj, niźli ich seminaryum może dostarczyć. W innych dyecezyach, jeszcze gorzéj; to téż w prowincyach zabranych już dzisiaj panuje dotkliwy niedostatek księży, ledwo jednego kapłana znajdziesz na dwa tysiące wiernych! A niedostatek ten z każdy mrokiem będzie się powiększał, i rząd rossyjski wiele na niego w przyszłości rachuje. Tymczasem w samém Wilnie, apostata Siemaszko otrzymał fundusz na trzystu schyzmatyckich seminarzystów; są tam alumni, którzy się uczą po polsku, po rusku, po żmudzku i po łotewsku. Przezorny rząd zawczasu, jak widzimy, go-

tuje apostołów dla wszystkich prowincyj polskich!......

Duchowieństwo zparafialnie dzieli się na pięć klas; proboszcz *pierwszéj* klasy pobiera sześćset rs.; *piątéj* dwieście trzydzieści rubli, mniéj pięcioma od sta na opłacenie dziekana, Te dwieścia rubli, w plebanii piątéj klasy, muszą wystarczyć na proboszcza, wikarego, organistę, służbę kościelną, koszta nabożeństwa, a co ważniejsza na utrzymanie kościoła, Trzeba jednak wyznać, że do utrzymania świątyń, rząd osobnym funduszem przyczynia się. Jest w cesarstwie tysiąc sto kościołów parafialnych i na ich reparacyą cesarz Mikołaj wyznaczył dwanaście tysięcy rubli corocznie, co na każdy z ósobna kościoł wynosi dziesięć rubli i ośmdziesiąt kopiejek! I o tém także warto wspomnieć, że na początku zeszłego roku (7 stycznia) wyszedł ukaz Rządzącego Senatu dozwalający Biskupom odbudowywać walące się kościoły; ale pomimo to, gubernatorowie nie dozwalają reparacyj, jak to się niedawno zdarzyło w gubernii mohilewskiéj i kijowskiéj.

Na wzór uposażenia duchowieństwa świeckiego i zakonnego, opatrzone są inne potrzeby kościoła w dyecezyach polskich; dość powiedzieć że w kapitułach prałaci pobierają dwieście pięćdziesiąt rubli, kanonicy sto dwadzieścia do stu piędziesięciu rubli srebrnych rocznie! Lecz bodajby tylko na brak uposażenia od rządu mógł skarżyć się Kościół polski! Mieli za co ojcowie nasi wystawić tyle świątyń wspaniałych i wznieść tyle pobożnych fundacyj, więc i nasze pokolenie, choć odarte i zubożałe, jeszczeby się zdobyło na wyżywienie swych kapłanów! Nie pieniędzmi rozchodzi się chwała Boża po świecie, ale żywą wiarą i dobrą wolą. Kościół wolny nie lęka się nieprzyjaciół, i póki wolny, nie braknie mu nigdy środków do spełnienia swéj missyi. On żyje walką i rośnie wśród męczarni, kiedy ma do czynienia z wrogiem jawnym, i kiedy od niego żądają aby krwią dał świadectwo prawdzie. Ale insze jest, pamiętajmy o tém,

położenie Kościoła polskiego; bez spółdziałania wiernych obejść się on nie może! Księża polscy gwałceni w swém sumieniu schyzmatyckiémi ukazami, zmuszeni do nieustannéj ostrożności i zamknięcia się; przy chrzcie i przy pogrzebie, przy ołtarzu i na kazalnicy zmuszeni ważyć swe słowo, hamować swe uczucie i wciąż pamiętać że ich podsłuchuje szpieg, że na nich czycha wróg nieubłagamy; wystawieni na tysiące pokus, tysiącami otoczeni zdrad, a od Głowy swojéj, od źródła swéj władzy, tak odcięci że im się nieraz zdaje jakoby byli opuszczeni, księża polscy aby tyle trudności zwalczyć, kroku nie zmylić, i chorągiew świętéj wiary ręką niechwiejącą się utrzymać, potrzebują serdecznego, jednomyślnego od całego narodu poparcia, potrzebują widzieć i czuć za sobą ręce i serca milionów!...

Taki jest dzisiaj stan Kościoła katolickiego w Cesarstwie! A jednak mówią, że nowy cesarz łaskawy jest, że otworzył w Rossyi erę tolerancyi. Wszak na biblie protestanckie dał sto tysięcy rubli! Wierzymy temu, Rossya nie lęka się protestantów; cesarz Mikołaj czterdzieści tysięcy Estończyków ochrzcił na schyzmę i ledwo kto o tém zasłyszał w Europie. Alexander I równą protekcyą jak dzisiejszy zaszczycał Towarzystwo biblijne. Inaczéj rzecz się ma z katolikami! Przeszłego roku, działo się to na Białorusi, pewna parafia, dawniéj unicka, uwierzyła, że z nowym carem może teraz łagodniejsze nastały rządy i zapragnęła przejść na obrządek łaciński. Podano prośbę do cesarza. Wnet jak piorun spada komisya, a spada z instrukcyą gotową, napisaną przez gubernatora w tych mniéj więcéj słowach: przekonać obwinionych, że dopuścili się dwóch zbrodni; *naprzód*, że bez pośrednictwa miejscowych władz poważyli się pisać do Imperatora; *powtóre*, że nie mieli prawa żądać przejścia na obrządek łaciński, bo od dziadów i pradziadów wyznawali religią prawosławną (!). Komisya, po swojemu, rączo wzięła się do śledztwa i sześciu ludzi, którzy, jak

zdaje, ośmielili parafią do podania owéj prośby, zbitych pałkami aż do krwi, odesłanych zostało przez miejscowego obywatela do szpitalu.

Jeszcze słowo o małżeństwach mieszanych. Każdego tygodnia, w Petersburgu i w Moskwie, na sto ślubów katolickich można liczyć około połowy małżeństw mieszanych. Wiadomo jakie są skutki podobnego związku: całe rodziny przechodzą na schyzmę i wraz z schyzmą przyjmują rossyjską narodowość. Zdarzyło się w Petersburgu, już za panowania Alexandra, że trzéj katolicy pojęli za żony Rossyanki, i nie wymagano od nich zobowiązania, że dzieci swe wychowają w prawosławiu. Prawda, że wszyscy trzéj nie potrzebowali téj względności od rządu, byli to: hr. Morny, hr. Wetzerode i p. Leszatycki, śpjewak nadworny; wszyscy trzéj cudzoziemcy. Cóżkolwiek bądź, rozeszła się o tém w prowincyach zabranych wiadomość i urosło mniemanie, że rząd nie pilnuje już prawa o małżeństwach z tą, co dawniéj, srogością. Pewien obywatel żmudzki, brat jednego z powiatowych marszałków, ożeniwszy się z prawosławną, doczekał się z niéj kilku córek. Przeszłego roku urodził się syn; na myśl że dziedzic imienia i majątku będzie się liczył do prawosławnych, żal ścisnął serce ojcowskie. Napisał więc ów obywatel prośbę do cesarza, aby tego przynajmniéj potomka dozwolono mu wychować w wierze katolickiéj. Jako motywa do swéj petycyi przydał, że miał szczęście służyć Rossyi, że walczył za nią na Kaukazie, i że otrzymał w swoim czasie wiele znaków honorowych, Przysłano mu odpowiedź, lecz w niéj zapytano: co go ośmieliło do proszenia o łaskę tak przeciwną prawom Cesarstwa, i dodano ostrzeżenie aby się nikt nie ważył przesyłać podobnych pism, bo ani czytane, ani nawet przyjęte nie będą!

Oto są dwa niewątpliwe fakta i dwie decyzye cesarskie, które, jak się zdaje powinny być dostateczném

objaśnieniem, *co sądzić o polityce rządu, za panowania Alexandra, w sprawach Kościoła.....*

VI

NARÓD I IMPERATOROWIE W STOSUNKU DO POLSKI.

16 pazdziernika

Za czasów Mikołaja zdarzało się między nami słyszyć ludzi, którzy obwiniając Cesarza o wszystkie nieszczęścia Polski, u narodu moskiewskiego szukali dla nas sympatyi i między cierpieniami Polski i Moskwy dostrzegali pewnéj solidarności. Dzisiaj zmieniły się wyobrażenia: dzisiaj mówią, że nowy Cesarz ma dla Polski chęci najlepsze, ale że wkorzeniony system biórokracyi, zastarzałe przesądy i niechęci różnych klas narodu nie dozwalają mu iść za popędem serca. My ani z jedną, ani z drugą opinią nie będziemy walczyli. Wierzymy temu, że naród moskiewski jest nieszczęśliwy, pragnęlibyśmy ulżyć jego cierpieniom; ale jego ucisk wewnętrzny, mniejszy czy większy, nie zmienia wcale jego stosunku do Polski. Wierzymy także w liberalne dążności Cesarza, w jego uczucia ludzkie i szlachetne; ale usposobienie jego skierowane wyłącznie do potrzeb tronu i państwa rossyjskiego, nie może w żaden sposób pogodzić się z życzeniami narodowości polskiéj. I na to również przystajemy, że przemiany wewnętrzne, w głębi Rossyi wywołane, mogą, przy czujności z naszéj strony, wpłynąć przeważnie na przyszłość Polski; ale czekać z ufnością dobrodziejstw dla Polski z Petersburga czy z Moskwy, od cara czy od ludu, nierazby nam się wydało igraszką skrzywionego umysłu, gdyby częściéj jeszcze nie było znakiem skrzywionego uczucia.

Jest w komedyi *le Médecin malgré lui* scena, w któréj

Molier w sposób bardzo przekonywający oddaje niezgodę małżeńską. Płaczem kobiety wzruszony sąsiad przybywa jéj na pomoc, lecz interwencya obcego zaraz godzi małżonków i nieproszony obrońca musi co tchu uciekać. Trzeba przyznać, że Moskale dość wiernie przedstawiają małżeństwo Molierowe, i że wiele, pod tym względem, od nich moglibyśmy nauczyć się. Są u nich, jak wszędzie, stronnictwa religijne i polityczne; są klasy różnością pojęć i dążeń zwaśnione; są nawet zarody niebezpiecznéj wojny domowéj. Ale wszystkich łączy uczucie jednéj rodziny; wszyscy albo odgadują instynktem, albo oceniają rozumem stosunek swego kraju do obcych; i chociażby najbardziéj rozerwani, wszyscy zjednoczą się od razu w nienawiści ku Polsce, ilekroć duch Polski zagrozi ich przewadze politycznéj w Europie. Ta zaciętość przeciwko nam, która u Mosali zdaje się być skutkiem ich bezpośredniego na ziemi polskiéj zetknięcia się z katolicyzmem i zachodnią cywilizacyą, ta zaciętość każdéj klasie narodu właściwa, choć w każdéj inaczéj objawiająca się, należy do tajemnych, dla Zachodu niezrozumiałych a najdzielnieszyyh sprężyn polityki rossyjskiéj, któréj carowie nigdy z oka nie spuszczają i po mistrzowsku umieją nią władać.

Zacznijmy od ludu. Wziąwszy ośm gubernij na około Moskwy rozłożonych (1) i ośm drugich w dalszym promieniu stolicę otaczających (2), obejmiemy przestrzeń na któréj mieszka, około dwadzieścia milionów mniej więcéj jednolitego, szczerorossyjskiego ludu czyli Moskali. Jestto jądro, twierdza potęgi rossyjskiéj. «Lud wielkorossyjski, mówi Mickiewicz, wysoki wzrostem, silny, barczysty, celuje bystrością umysłu, ale

(1) Moskiewskia, twerska, jarosławska, włodzimirska, riazańska, tulska, kałuzka i smoleńska.

(2) Nowogrodzka, wołogodzka, kostromska, niżegorodzka, penzeńska, tambowska, kurska i orłowska.

serce ma nieczułe i duszę zimną; w oczach nosi jakiś wyraz szczególniejszy. Patrząc w te oczy podobne do kropel zlodowaciałych, widzi się coś strasznego, coś nakształt głębi bez dna : światło odbija się od nich ale nie płonie w soczewce. Jest to wzrok jasny, przeszywający, wzrok nie człowieka, ani zwierzęcia, ale owadu. Żeby mieć wyobrażenie o nim, trzeba wziąść pod szkło powiększające jaki owad i przyglądać się jego oczom nieruchomym, przezroczystym, przenikliwym i zimnym.» — Z tych słów mistrza możnaby wysnuć całą charakterystykę moralną i polityczną ludu moskiewskiego. Chłop wielkorossyjki jest czystym racyonalistą, daleki od mystycyzmu i poezyi, a pełen wschodniéj zabobonności, któréj podstawą jest fatalizm. Wierzy w gusła, czary, wróżby, mianowicie w znaki ostrzegające, ale wszędzie i zawsze widzi przeznaczenie, los, *sud'bę*. Ile razy puści się w religijne dociekania, bada formę nie ducha, trzyma się litery nie rzeczy. Sekty powstają tam nie z zwidzeń ani extazyi, ale z zimnego rozbioru słów Biblii. Modli się bez uczucia, bez rozrzewnienia; pokutuje bez skruchy. Zabiwszy człowieka, gdy nic przy nim nie znajdzie, albo gdy jest schwytany, potrząsając smutnie głową, powiada tylko : *takaja sud'ba!* To usposobienie filozoficzne przy krzepkiém i zdrowém ciele, przy krwi zimnéj, przy żywym umyśle a zupełnie uśpionèm uczuciu, daje mu wysokie polityczne przymioty. Jest niezmiernie odważny, wytrwały, cierpliwy, czynny, pracowity, oszczędny, przedsiebiorczy i przemyślny. Wobec pana, wobec zwierzchnika ma w postawie, mowie i obejściu jakąś śmiałość, pewność siebie i niemal godność niezmiernie różną od posępnej pokory ludu ruskiego albo litewskiego. Pomimo to, w duszy jego daleko więcéj jest instynktu karności i służby. Lubi i nawet potrzebuje czuć nad sobą krzepką i surową władzę. Wypuszczony z pod rygoru, z pod groźnego oka i głosu rozpuszcza się i broi, mimowolnie, z nudy,

jak mówi przypowieść « dlatego tylko, że mu plecy świerzbią, że długo niedarte zarosły łozą. »

Lud stworzony do przemysłu i handlu; żaden naród europejski nie wyrówna mu w przebiegłości. Znaną jest rachuba Piotra W., że jeden Żyd oszuka dwóch Polaków, Ormianin dwóch Żydów, Cygan dwóch Ormianów a Moskal dwóch Cyganów. Moskiewski lud uważą Polskę za swoję własność, za kraj nad którym powinien panować, bo go zdobył, bo nietylko pobił ale i oszukał Polaków. I spodziewa się utrzymać go na zawsze przy Rossyi, bo według rachuby Piotrowéj, na ośm wypadków, w których Polak ani razu Moskala nie podejdzie, Moskal za każdą razą potrafi go oszukać,

Leżaczeho nebijut' powiada chłop moskiewski. Nie jest on, w zwyczajném swém usposobieniu, srogi ani okrutny; dla obcych bywa gościnny, dla nieszczęśliwych i prześladowanych od rządu ma gorącą sympatyą. Ale te ludzkie uczucia znikają wnet, kiedy dusza jego zapragnie zemsty osobistéj albo narodowéj. W roku 1831, wojsko sarkało, że w brew przyrzeczeniu nie oddano mu Warszawy na rabunek, że mu zabroniono pohulać w « zbuntowanéj Polsce » tak, jak tego dozwolił Suwarow na Pradze, przed czterdziestoma laty. W roku 1812, w czasie cofania się Francuzów, chłop moskiewski pastwił się nad nieprzyjacielem bezbronnym, umierającym z głodu i zimna; zakopywał żywcem Francuzów ranionych i z wściekłością deptał lub przybijał łopatami ruszającą się ziemię, pod którą szamotali się przyduszeni w mogile. A jednak, powtarzamy, chłop moskiewski nie jest z natury okrutnym; tylko że każdy car umié trafić do jego duszy, rozbudzić jego niewolniczą zaciętość i rzucić — na szlachtę, na najezdnika, a przedewszystkiém na Polskę, jeżeli ona daje znak życia!

Insze jest źródło i insze są objawy nienawiści panów rossyjskich ku Polsce. Od czasów Piotra bojarowie od-

daleni od rządu, upośledzeni w znaczeniu i dochodach, patrzyli z zawiścią na wzrastającą powagę wyższéj szlachty polskiéj, chociaż czuli dobrze, że ta przemoc szlachecka, niwecząc władzę centralną, musi Polskę przyprawić o zgubę. Takie jest serce ludzkie : zazdroszczą ludzie chwilowego powodzenia trzpiotom, którzy wśród zbytków i swawoli lecą w otwartą przepaść, a kiedy w nią wpadną, mają dla nich śmiech i pogardę! Z uczuciem niewysłowionéj roskoszy, deptali panowie rossyjscy po karkach polskich, kiedy od roku 1767, dzięki radomskiéj konfederacyi, Polska stała się już jakby wielkorządztwem moskiewskiém. Posłowie Imperatorowéj, poniewierając ostatnim królem i sejmami, bardziéj może niż tego wymagała roztropna polityka, dogadzali niewiedząc o tém, ogólnemu pragnieniu arystokracyi rossyjskiéj. Jeden tylko z ówczesnych ambasadorów Siewers, może dla tego że był Niemcem z rodu, nie pojmował celu dręczenia i poniżania nad potrzebę. To téż, chociaż na sejmie grodzieńskim, r. 1793, otrzymał wszystko czego wymagały interesa Rossyi, odwołano go, a za to tylko, że nie wymógł na Stanach uchwały kasującéj order *Virtuti Militari*, i że nie zmusił tém samém Polaków, aby z piersi własnych żołnierzy zdzierali sami znak zaszczytny, dany im w czasie boju.

Zapomnieli panowie rossyjscy dawnych kłótni, które o miestniczestwa i namiestnictwa między sobą prowadzili; przygasła także, do pewnego stopnia, ta gorsząca i opłakana niechęć, która możne domy polskie z krzywdą publiczną tak długo dzieliła; ale antagonizm szlachty polskiéj z rossyjską przetrwał lata i wypadki. Strasznym był i wstrętnym dla panów rossyjskich cesarz Paweł, głównie zaś dlatego, że wstrzymał wytępianie narodowości polskiéj. Pewne uczucie słuszności, które ten Cesarz względem nas okazywał, wystarczyło w Rossyi najzupełniéj do usprawiedliwienia jego morderców; i dzisiaj niełatwoby przyszło spotkać Rossyanina, któryby zabójstwa

Pawła nie uważał za konieczne i nie zaliczał go do wielkich wspomnień, jakiemi tylko naród pełen energii politycznéj poszczycić się może. — Kiedy z upadkiem dawnéj Polski, kilku potomków naszych rodzin historycznych znalazło się zbiegiem okoliczności, albo nawet dobrowolnie na dworze Cesarzy rossyjskich, nienawiść szlachty moskiewskiéj stała się jeszcze widoczniejszą. Z dość długiego szeregu tych imion, jeden tylko książe Lubecki zyskał jakąś wziętość u panów moskiewskich, przynajmniéj nie był od nich prześladowany; może dlatego że go cesarz Mikołaj nie lubił i swą nieżyczliwość jawnie okazywał. Bodajby ten przykład jedyny, był zarazem ostatnim! Gdyby Polacy, którym się marzy o wpływie w Petersburgu, mogli odgadnąć ile ich tam spotka, u szczytu ich żądań, przykrości i poniżenia od arystokracyi moskiewskiéj; gdyby wiedzieli na jakie wciąż narażeni będą intrygi, zdrady i szpiegostwa; gdyby pamiętali, że ci co przed nimi tąż samą puścili się drogą, chociaż okryci łaskami, późniéj przecież odsunęli się dobrowolnie, albo odsunięci skończyli dni swe w zapomnieniu, albo wreszcie nagłą i tajemniczą śmiercią zeszli z tego świata; gdyby jedném słowem znanym był, we wszystkich szczegółach, ciernisty żywot którego z Polaków spędzony na dworze rossyjskim, — nieznalazłby się już więcéj, między nami, ani jeden ochotnik do służby tak śliskiéj a tak mało zaszczytnéj. Cesarz Mikołaj, uchodzący słusznie za najczystszy typ Rossyanina, wyrażał się często w sposób malujący dobitnie stosunek obu narodowości. *Je ne connais,* mawiał on, *que deux espèces de Polonais : les uns que je hais, les autres que je méprise.* » Inną razą, w Warszawie, kiedy książę Paskiewicz żądał od niego łaski dla kilku Polaków obwinionych o znaczny deficit pieniężny, ale zresztą, zdaniem księcia, szczerze Rossyi przychylnych, odpowiedział Mikołaj : « *Je vois que, dans ce pays, il n'y a que*

les voleurs qui me sont dévoués!» — Taką opinią Cesarz rossyjski objawiał o życzliwych Rossyi Polakach.

Nienawiść czynowników do Polski (w ten oddział można zaliczyć duchowieństwo schyzmatyckie) ma znowu właściwe sobie przyczyny i odmienny charakter. Nie wspominamy już o tém, że biórokracya rossyjska, podobnie jak biórokracye innych krajów, widzi w szlachcie, to jest w klasie zamożnéj, posiadającéj ziemię, najgłówniejszego wroga. Są insze, naszemu położeniu odpowiednie powody ich niechęci. Nie lubią nas czynownicy rossyjscy, jak oprawca nienawidzi swéj ofiary, która mu jest wyrzutem sumienia, że się nad słabym i bezbronnym dopuszcza niesprawiedliwości. Dla Żydów i dla rossyjskich urzędników, kraj nasz, to ziemia obiecana! Cała Rossya nie może dostarczyć tylu miejsc zyskownych jak nasza Polska, w porównaniu tak mała. W Rossyi, z wyjątkiem gubernatora i jego biórowych pomocników, wszyscy zresztą urzędnicy są wybierani przez szlachtę. Tam gubernatorem bywa możny pan, który już dlatego jest mniéj przedajny, że nieprawne daniny obraca zwyczajnie na oświecenie lub upiększenie miasta, na teatr, publiczne spacery, i t. p. W prowincyach zabranych przeciwnie; tu oprócz marszałków i małéj liczby wybieralnych, wszyscy urzędnicy są Moskale, mianowani przez rząd, z klasy uboższéj, zwłaszcza popowiczów, którzy najliczniéj zapełniają kadry biórowego proletaryatu. Gnębiąc szlachtę, w niéj narodowość polską, czują oni że walczą w obronie własnego interesu; bo cóżby się z nimi stało, gdyby przemógł żywioł polski! Pamiętają powstanie w roku 1831, podczas którego przebyć musieli kilka twardych miesięcy; pamiętają i o tém, że podobne przesilenie zdarzyć się może nie raz jeszcze. Ich nie zwiodą bale i obiady wyprawiane dla cesarza i dygnitarzy; oni wiedzą że ten kraj tylko bagnetami można przy Rossyi utrzymać, idzie im więc poprostu o kawałek chleba.

Jeszcze jeden powód nienawiści urzędniczéj. Jest nim «zgorszenie» dla szeregów biórokracyi. Przez rozmaite znaglania, przez ukazy cesarza Mikołaja, przez zubożenie szlachty drobnéj, mnóstwo młodych Polaków weszło nietylko do służby wojskowéj, ale do cywilnych departamentów. Z nich, wyjąwszy tę małą liczbę która zupełnie zmoskwiciała, większość jest pracowita, zdolna i — *proh dolor* — nie kradnie! Rossyanie obawiają się ztąd złego przykładu. Jest mowa o dzisiejszym cesarzu, że chce naprawdę wytępić kradzież i nadużycia służbowe. Gdyby ta dążność dłużéj potrwać miała, Polacy staliby się w koleżeństwie nieprzyjemni, w awansie niebezpieczni. Rossyanie więc zazdroszczą nam poczciwości naszéj; bodajby jéj długo zazdrościli! W przyczynach téj zawiści jest źródło naszéj mocy i rękojmia przyszłości; bo nic tak nie broni i nie hartuje narodu, jak zacność indywiduów.

Oto jakie są wobec Polski uczucia i przekonania Moskali. Bez względu na klasę do któréj należą, na pobudki które nimi rządzą, wszystkich łączy wspólny węzeł nienawiści, mniéj więcéj jawnéj lub ukrytéj, zaciętéj lub roztropnéj, śmiałéj lub obłudnéj, ale zawsze jednostajnie dążącéj do zagłady polskiéj narodowości i polskiego imienia. Lecz dążność tę może wyprzedzać albo wstrzymywać monarcha; obaczmy zatém jakie były dla sprawy polskiéj usposobienia cesarzów rossyjskich.

Osobistą ku nam nienawiść mieli wistocie tylko Katarzyna II i Mikołaj. Było téż i za co: Caryca była nierządną, a Polak każdy niedyskretny; wszystkie kobiety podejrzanego życia, na całym świecie, nie lubią nas z tego powodu, a Moskali, że umieją milczeć, wielce poważają. Imperatorowa tak mocno brała do serca niedyskrecyą polską, że kiedy na sejmach, zwłaszcza czteroletnim, szlachcic niejeden, w zapale oratorskim, wygadał się z pod serca, ambasador rossyjski wymawiał

to królowi, a Katarzyna nie zapomniała swéj urazy nawet w deklaracyi zaboru, z roku 1793. — Cesarz Mikołaj miał do nas wrodzoną, rzecby można, antypatyą; przytem raziło go przejęcie się ustawami konstytucyjnemi, które on poczytywał za komedyą, i chciał aby jego poddani lepiéj pamiętali jaka w niéj rola, stosownie do miejsca i czasu, każdemu przystoi. Cierpiał on, kiedy niepowodzenia wojny tureckiéj i odgrażania się Austryi zmusiły go do uszanowania Sądu Sejmowego i zaprzysiężenia konstytucyi. Obraził go wybuch listopadowy, dręczyły powodzenia oręża polskiego, ale najboleśniéj ugodził go akt detronizacyi. On, co tak zręcznie z pomocą matki, dworu pruskiego i panów niemieckich w Rossyi, wydarł Konstantemu cesarską koronę, nie mógł utrzymać korony polskiéj na głowie! I kto mu ją zerwał? kilkunastu szlachty polskiéj!... Za tę krzywdę pragnął zemsty, na możność pomszczenia się czekał ośm miesięcy, i mścił się aż do śmierci przez lat dwadzieścia.

Ani Paweł, ani Alexander nie okazali jawnéj ku nam niechęci. Paweł raz kochał nas, drugi raz był obojętny. Uwolnił Kościuszkę, obdarzył go duszami i pieniędzmi; Kościuszko dusz nie przyjął, pieniądze odesłał. To rozdrażniło cara; panowie moskiewscy, uważni na wszystko, zkorzystali z téj chwili, aby go jeszcze bardziéj rozjątrzyć widmem powstającéj Polski w Legionach, na których czele Kościuszko ma zamiar wkroczyć do Polski. Pędem wysłano ukazy do gubernatorów: *łowit' miateżnika Kastiuszku, budie pokażetsia w granicach naszich; dostawit' jewo z narocznym feldjegrom w St. Peterburg!*» Kościuszko był wówczas w Ameryce.

Alexander I, najmniéj może ze wszystkich carów, jacy dotąd panowali, czuł ku nam wstrętu. Był wychowany przez Szwajcara, miał kochankę Polkę, przyjaciela Polaka; zaczął panować młodo i nieszczęśliwie. Ale wnet zepsuli go dyplomaci europejscy, kochanka zdradziła,

panowie moskiewscy wyrugowali z jego umysłu wpływ Polaka. Doświadczył tego Alexander, że cesarze rossyjscy liczyć mogą na niewątpliwe, nieograniczone poparcie narodu ilekroć zechcą gnębić Polaków; ale w decyzyach przyjaznych Polsce znajdą opór nawet tam, gdzie się go najmniéj spodziewali. W roku 1809, Imperator ulegając żądaniom Napoleona, zgromił księcia Galicyna dowódzcę armii w Galicyi, że opieszale działa przeciw Austryi; hardy Moskal odpisał «*nie mogę działać w szczerém przymierzu z narodem, którego nienawidziłem od dzieciństwa i którym pogardzać nauczyłem się oddawna.*» Po zwycięztwach odniesionych nad Cesarzem Francuzów, mógł uważać się Alexander za arbitra losów Europy, a w Rossyi miał władzę tak nieograniczoną, jakiéj żaden z imperatorów nie posiadał, ani przed nim, ani po nim. Pomimo to, kiedy na sejmie r. 1818, przyrzekł uroczyście przyłączyć do Królestwa prowincye zabrane, panowie moskiewscy nie lękali się podnieść jawnéj opozycyi. Apologista caryzmu i prawosławia Karamzyn, zaszczycony tytułem historyografa państwa rossyjskiego napisał ów głośny list do Pozzo di Borgo, w którym wyrzucał cesarzowi zbyteczne pobłażanie dla Polaków, z krzywdą interesów Rossyi (1). «*Niech sobie będzie Polska szczęśliwa*, pisze on, *ale niech będzie także szczęśliwą i kwitnącą Rossya, w jéj odwiecznych i nietykalnych granicach które nam przywróciła Wielka Imperatorowa... (a nie dzisiejszy Imperator!).*»

Takim to językiem przemawiają Moskale, kiedy chcą przypomnieć swym carom, jaka jest ich powinność względem Polski. Może cesarz bezkarnie więzić Rossyan, zsyłać ich w Sybir i roboty katorżne, może ich wieszać nawet, może szarpnąć się na ich majątki, na cześć ich

(1) Ogłoszony w *Ruskim Zagranicznym Zborniku*, N. VI, wydawanym obecnie w Lipsku.

imienia i rodziny. To wszystko mu wolno, wszystko zniosą spokojnie; to wszystko zdarzało się już nieraz i przeminęło bez ważnego następstwa. Lecz biada mu, jeśli samowładnie zechce wyrzec o sprawie polskiéj! O Polsce decyduje nie Car, ale cały naród moskiewski!...

VII

ALEXANDER II W STOSUNKU DO POLSKI.

23 pazdziernika.

Cesarz Alexander II obebrał wychowanie bardziéj rossyjskie niżeli stryj jego, a staranniejsze niżeli ojciec; który o sobie nieraz wspominał, że wstąpił na tron z wiadomościami jenerała brygady. Kierował wychowaniem nowego Cesarza naprzód jenerał Moerder, człowiek zacny, późniéj jenerał Kawelin mąż światły i ludzki, lecz największy wpływ na jego usposobienie i uczucia narodowe wywarł nauczyciel języka i literatury rossyjskiéj, poeta Żukowskij, którego następca tronu lubił bardzo. Żukowskij był szczerym Moskalem ze szkoły Karamzyna, patryotą w duchu Katarzyny II. — Podczas wojny roku 1831, cesarz Alexander miał rok trzynasty, był zatem w wieku, w ktorym doznane wrażenia wciskają się do duszy głęboko i na długo zostają. Pamięta on bez wątpienia co się wówczas działo w Petersburgu, na dworze: w jakiém rozdrażnieniu i niepokoju był ojciec jego; jak siedząc nad kartą Polski znaczył atramentem miejsca powstania, które nazywał pożarem, i mówił do siebie zadumany « *gore, wszędzie gore!* » jak odebrawszy kuryera o wzięciu Warszawy wpadł do pokojów imperatorowéj wołając « *na kolana dzieci, dziękujcie Bogu!* » Dalsze tryumfy, parady, « mołebni » i przyjęcie upokorzonéj polskiéj delegacyi równie żywo

wbić się mogły w pamięć młodego. Lecz co najgłębsze musiało zostawić wrażenie, to w ślad za tryumfami zemsta, to ta walka ćwierćwieczna, zacięta a systematyczna, któréj rezultat jest podobno całkiem odmienny.

Alexander Mikołajowicz został Cesarzem mając lat trzydzieści siedem; od lat dwudziestu blizko był pełnoletnim, przez dziesięć ostatnich należał do wszystkich narad państwa i do działań ważniejszych. Wprawiał się powoli w zarząd ogromnego imperyum, pod okiem i sterem człowieka, który miał wistocie pewne przymioty samowładnemu monarsze właściwe. Był dobrym synem, nie rwał się do władzy, objął je wcześniéj nawet niż się spodziewał, bo nikt nie przewidywał tak rychłéj śmierci Mikołaja. Cesarz Alexander II nie schwycił steru państwa długiém czekaniem zniecierpliwoiony i z chęcią pomszczenia się wielu osobistych uraz jak Paweł; nie wstąpił na tron krokiem niepewnym i w obawie, aby mu nie pośliznęła się noga na stopniach zbryzganych krwią, jak Alexander I; nie przywłaszczył sobie korony, nie wdarł się do niéj po trupach pięciu obwieszonych i wśród płaczu półtorasta rodzin osieroconych wygnaniem ojców, jak Mikołaj; Alexander II objął panowanie najspokojniéj, najprościéj, najlegalniéj, z sumieniem czystém, z myślą swobodną, z sercem tylko ściśnioném po stracie ojca, którego kochał.

Poszczęściło się mu w samych początkach. Położenie było krytyczne, niebezpieczne; zadanie do rozwiązania trudniejsze niż za którego bądź z poprzedników. Jeszcze chwila, a już cała Europa miała skoalizować się przeciw Rossyi; z Francyą, Anglią, i Turcyą złączć się miała Austrya i Szwecya; wojna z nadbrzeżnéj i prowadzonéj jakby dla postrachu, zmienić się miała w bój stanowczo decydujący o istnieniu cesarstwa w Europie. Z nieporównaném szczęściem udało się Alexandrowi wycofać Rossyą z nad przepaści i uzyskać pokój, o którym żaden z jego poddanych nie zamarzył. Od téj chwili przedsię-

wziętą została praca długa i mozolna przywrócenia Rossyi téj przewagi w Europie, któréj tak blizką zdawała się być przed wojną. Jestto zadanie obecnego monarchy: napozór, najmniéj może ze wszystkich carów stosunkami internacyonalnemi zajęty, cesarz Alexander takie tylko reformy w swojém państwie podejmuje i wytrwale przeprowadza, które związane są z wymaganiami polityki zagranicznéj. Prędko uśmierzył on gniew opinii liberalnéj w Europie; zręcznie wciągnął kapitały zachodnie do budowy kolei żelaznych w Rossyi; przebiegle, jakby skazując się na pokój długoletni, rozpoczął wielką sprawę oswobodzenia włościan. Oddawna, jak wiadomo uwolnienie włościan leżało w programie cesarzów rossyjskich; marzył o niém Alexander I, dyskutował na Radzie Państwa cesarz Mikołaj; ale dopiero wojna krymska przekonała najzaciętszych, że chcąc ubezpieczyć Rossyą od najazdu, trzeba zmienić system rekrutowania, tém samém wyzwolić chłopów z pod wpływu szlachty. Cesarz Alexander przywiązał swe imię do sprawy włościańskiéj, lecz w ukazach jego i reskryptach widoczna jest taż sama, co poprzednio, dążność polityczna: uwolnić rząd od wpływu klas możnych, w miejsce opieki szlacheckiéj rozciągnąć nad ludem opiekę urzędniczą, i wszystkie siły państwaześrodkować w ręku monarchy.— Opowiadając dzisiejszy stan katolicyzmu w Rossyi, widzieliśmy również, że chociaż zmieniły się pozory i sposoby działania, nie ustąpiono nic z kardynalnéj zasady państwa: *jeden car i jedna wiara*. Cesarz zezwolił wprawdzie na niektóre koncesye, ale o tyle tylko, o ile wywołane były względami polityki zagranicznéj. W początkach roku 1856, kiedy pełnomocnicy różnych dworów wybierali się na kongres do Paryża, hr. Nesselrode odebrał z Wiednia, od ks. Gorczakowa, depeszę téj treści. « Spieszcie uspokoić papieża, bo inaczéj narazicie się na wstyd i niebezpieczeństwo, że pierwszym artykułem traktatu gwarantować będą w Rossyi tolerancyą

Kościoła katolickiego.» Natychmiast wyprawiono do księcia Paskiewicza roskaz, aby bez straty czasu przedstawił kandydatów na wakujące w Królestwie biskupstwa. Wówczas też ustanowionym został w Petersburgu: « *Tajny Komitet Katolicki*, » do którego należeli Nesselrode, Błudow, Kisielew I i II, Łanskoj a z Polaków Turkułł i Hube. To grono miało wyszukać środki, któreby, nie wprowadzając ważnéj odmiany w rzeczach Kościoła, mogły jednak być przedstawione Stolicy Apostolskiéj. Wiadomo czy wistocie zaszły jakie odmiany.

Podobnie rzecz się ma z narodowością. Były, ile wiedzieć można, podczas kongresu paryzkiego, nieśmiałe i tajemne upominania się obcych za Polską, które pełnomocnik rossyjski zbył gorącemi w imieniu Cesarza oświadczeniami, ale w traktacie niezobowiązano Rossyi do niczego i cesarz Alexander miał zostawione sobie pole do wolnego działania. Obaczmy co zrobił:

Kiedy Filipowi hiszpańskiemu doniesiono o powstaniu w Portugalii, ucieszył się monarcha katolicki, że raz przecie skończy z tym kraikiem i wcieli go na zawsze a niepowrotnie do Hiszpanii. Cesarz Mikołaj podobnież, uwiadomiony o powstaniu listopadowém odezwał się temi słowy: «przyszła nakoniec chwila, w któréj oczyszczę z niesławy pamięć mego brata i naprawię ogromny błąd polityczny, którego się dopuścił, tworząc Królestwo Polskie.» Zapewne nie przewidywał Mikołaj, ile go ta naprawa i krwi, i niepokoju kosztować będzie! Lecz niebezpieczeństwo minęło a zostało poczucie spełnionego dzieła; Moskale za najwyższą zasługę liczą Mikołajowi: upokorzenie i rozbicie Polski.

Dzisiejszy cesarz jest zanadto dobrym Rossyaninem, zanadto dobrym synem, zanadto prawdziwym carem, aby powtórzyć mógł błędy swego stryja lub zboczyć z drogi, po któréj z taką chwałą szedł jego ojciec. Z drugiéj strony, cesarz Alexander nie czuje ku nam nienawiści swego ojca, nie ma krzywd osobistych do

pomszczenia, nic go więc nie nagli do środków gwałtownych, którémi nacechowane były rządy Mikołaja. W państwach despotycznych potrzebna jest czasami gwałtowność, ale przedłużona, może wywołać reakcyą; poza krajem zaś drażni bez potrzeby opinią publiczną. Nie wpadając ani w jednę, ani w drugą ostateczność, dzisiejszy monarcha, równie daleki od sentymentalności stryja, jak od srogości ojca, natrafił zdaje się na drogę środkową, po któréj idąc bezpieczniéj od obydwóch, może dążyć do zlania w jedność Polski z Rossyą.

Potrzebaż na to dowodów? Któż miał więcéj sposobności, aby życzliwość choćby osobistą dla Polski okazać? Wstąpiwszy na tron, mógł i powinien był uczynić zadość warunkom traktatu wiedeńskiego, koronować się w Warszawie, przywrócić dawną administracyą w Królestwie i narodowe w prowincyach zabranych instytucye. Tego wszystkiego w Warszawie spodziewano się, to wszystko przyznać — było może i bezpiecznie, i roztropnie. Wówczas opinia publiczna w Królestwie i prowincyach, dotknięta bolesném przemilczeniem Polski w traktacie paryzkim, żywiła żal głęboki do Zachodu; należało z téj niechęci korzystać, aby Polaków na długo, może na zawsze, do rodziny cesarskiéj przywiązać. Takie rady dawał Alexandrowi Turkułł, sekretarz stanu Królestwa Polskiego, gdy mimo nadwątlone zdrowie, wyjechał za cesarzem do Warszawy, aby uchronić go od wpływu panów moskiewskich i zapobiedz nierozważnéj mowie, któraby wszystko popsuła. Na szczęście zachorował on w drodze, a w Warszawie rzeczy poszły daléj, jak miały pójść, właściwym trybem. Nie dozwolili Moskale żadnych dla nas ustąpień, a pragnęli mimo to entuzyazmu dla cesarza, czy dla tego aby się nim przed Europą poszczycić, czy téż aby nas we własnych oczach poniżyć. Rozbudzano nadzieje, my téż w popłochu i w radości zwykle nie znający miary, oddawaliśmy się całém sercem tym wiośnianym rojeniom. Na balu

szlacheckim, kiedy zebrani z prowincyi obywatele czekali niecierpliwie na cesarza, wpada generał Adelberg z doniesieniem, że cesarz dopiero co podpisał zupełną i bezwarunkową dla wszystkich amnestyą! Wnet rozeszła się ta wiadomość, wesele i entuzyazm niekłamane porwały wszystkich, a gdy w téj chwili Alexander II ukazał się w sali, przyjęto go z tak serdecznémi okrzykami, jakich nie słyszał w polskiéj stolicy żaden z jego poprzedników. Cesarz przemówił nareszcie; była to mowa, którą napisał, kazał przeczytać i czytania dopilnował książe Gorczakow, a raczéj p. Muchanow, ów wierny stróż interesów arystokracyi rossyjskiéj w Królestwie. — Turkuł słusznie przewidywał co się stać miało, to téż śmierć jego przyniosła nam wtedy więcéj usług, niźli całe jego urzędowanie. Alexander II wygadał się niepotrzebnie: *Surtout point de rêveries!*

Drugim faktem chrakteryzującym politykę nowego cesarza, było utrzymanie księcia Gorczakowa przy władzy Namiestnika królewskiego, a z nim razem zatrzymanie i wyniesienie jego towarzyszy. Gorczakowowie od dziada i pradziada nie pokazali żadnéj zdolności politycznéj, chociaż są ludzie prawi i szczerzy patryoci. Wiadomo, że Gorczakow I tak dobrze pokierował interesa rossyjskie naprzód w Wiedniu, późniéj w Petersburgu, iż zerwał odwieczną przyjaźń Rossyi z Austryą, a następnie, gdy szukał nowych w Europie aliansów, uczynił cesarza swego zawisłym od Francyi. Gorczakow II z trzy razy większém wojskiem dał się pobić nie już Francuzom i Anglikom ale Turkom; o Gorczakowie III, bohatyrze krymskim, milczą kroniki. Moskalom nie tajne były te tradycye ich rodowéj niezdolności; wiedzieli oni że Gorczakow II chyba za Wasyla lub Iwana mógłby być namiestnikiem osobnego kraju; że zahukany niegdyś przez Paskiewicza, odchodzi często od przytomności, stracił wzrok, pamięć i podpisuje stosy papierów nigdy nieczytanych. Ale wiedzieli także, że

nim rządzić będzie Muchanow, że w ten sposób Królestwo zostanie czém było, to jest gubernią na większe rozmiary, drugiém wielkorządztwem zakaukazkiém z odmiennémi nieco prawami; że wreszcie Gorczakow ma wstręt prawdziwego Moskala do wszystkiego co polskie, a Polakom znany jest z swéj sławnéj exekucyi, po skończonéj wojnie z r. 1831, na żołnierzach polskich z dziwném okrucieństwem dopełnionéj!...

Moglibyśmy jako trzeci dowód, wykazujący dążność rządową w Królestwie, zacytować akademią medyczną świeżo otworzoną. Między owemi żądaniami obcych dworów dla Polski, o których mówiono przed dwoma laty, miało się znajdować jedno, dotyczące szkół narodowych. Wistocie, ukaz założenia akademii podpisany jest w Darmsztadzie, choć ledwo w rok późniéj został wykonany. Czytając go, trudno nie zapytać, dlaczego z tylu wyższych szkół, jakie w Warszawie można było utworzyć, założono właśnie szkołę medyczną, która jakkolwiek ważna i pożyteczna, dla Polski jest najmniéj ważną i chyba dla rządu więcéj od innych przedstawia dogodności? W Królestwie mamy podostatkiem lekarzy, ale nie mamy uzdolnionych prawników, profesorów, geometrów lub inżynierów, przedewszystkiem zaś zbyt mało jest ludzi gruntownie wykształconych. Otóż, przyzna to każdy, nauki lekarskie nie podnoszą wcale ogólnéj krajowéj oświaty; nie mają tego związku z wyższemi potrzebami narodu jak nauki prawne albo literackie; nie mogą nawet wpłynąć na rozwinięcie bytu materyalnego jak nauki matematyczne. Trzystu uczniów, którzy w zeszłym roku do akademii zapisali się, nie znalazłszy pomieszczenia w Królestwie i w prowincyach zabranych, przeniosą się w głąb Rossyi, wejdą do armii moskiewskiéj, osiądą w Petersburgu lub w Moskwie, gdzie znaczna liczba polskich lekarzy do wielkiéj przyszła wziętości i naukowego znaczenia. Moskale czyniąc tę drobną koncesyą, wiedzieli dobrze, że

sami odniosą z niéj najpierwszą korzyść, a zawsze po Europie rozejdzie się huczny rozgłos, iż cesarz zakłada dla Polaków akademie!... Pomimo to, jakże urządzono tę szkołę, czy powołano do jéj dyrekcyi jednego z Polaków, którzy się w kraju i za granicą odznaczyli? Bynajmniéj! Sprowadzono Rossyanina, który w uniwersytecie kijowskim nie słynął wcale jako nauczyciel, lecz jako gorliwy patryota, jako jeden z zaufanych księcia Wasilczykowa, których Moskale zowią *priwierżennyj* to jest oddani duszą i sercem. Godna także uwagi, że rząd, choć na żadne instytucye zwykle nie żałuje pieniędzy, okazał się tak dziwnie skąpym w uposażeniu akademii warszawskiéj. Pensye ich profesorów są trzy lub cztery razy mniejsze od pensyj wyznaczanych w uniwersytecie wileńskim, lat temu pięćdziesiąt. A chociaż nie znamy budżetu Królestwa Polskiego, jesteśmy niemal pewni, że utrzymanie baletnic warszawskich przechodzi kilka razy summę akademii lekarskiéj przyznaną!... Takie jest, to najważniejsze, moglibyśmy powiedzieć, to jedyne dobrodziejstwo, którego Polska od dzisiejszego cesarza doznała.

Cudzoziemcy, a nawet Polacy dopuszczają się dość często dziwnego przeoczenia, przez nieodróżnianie systemu rządowego w Królestwie a w prowincyach zabranych. Moskale, choć w Królestwie, nie dozwolą nigdy aby siły narodowe poza pewną granicą podniosły się i rozwinęły, to jednak nie tępią ich z taką zajadłością jak na Litwie i Rusi. Wstrzymuje ich poczęści zobowiązanie kongresu wiedeńskiego, który bądź co bądź jest dotąd prawem zasadniczém Europy; utrudnia im dzieło wynarodowienia jednolitość wszystkich klas prowincyi; może téż zastanawia ich i to prawdopodobne przypuszczenie, że w razie nowego rozgraniczenia Europy, byłoby z korzyścią dla Moskwy, w zamian za Królestwo albo jego część, zyskać jakąś prowincyą nad

Bałtykiem lub Czarném morzem. Ale w prowincyach zabranych, o których niejeden dyplomata europejski nie wié nawet że są polskiémi, gdzie wojna z katolicyzmem i polską narodowością już dla samego oddalenia nierównie jest łatwiejszą, gdzie wreszcie różność dyalektów i wyznań otwiera tak szerokie pole do zdrad i otwartéj przemocy, tam dopiero Moskale czują się panami, tam mają ręce rozwiązane i rządzą się téż jakby u siebie!

Jeszcze Katarzyna II, wkrótce po rozbiorze z roku 1772, zaczęła rościć pretensye do wszystkich ziem ruskich z Polską złączonych i roszczenia te popierała wywodami historycznémi. W rozmowach i korespondencyach z dygnitarzami polski, jak np. z Siestrzeńcewiczem, biskupem Kossakowskim i hetmanem Rzewuskim, Imperatorowa dowodziła swych praw do Rusi, nie jako monarchini mająca na swe rozkazy dwakroć sto tysięcy bagnetów, ale jako uczona Katarzyna, Katarzyna filozofka i jako uprzejma gospodyni ermitażowych wieczorów. Za cesarzową dworacy, wyższe duchowieństwo rossyjskie, złożone wówczas w znacznéj części z exunitów, z ex-protestantów niemieckich, zakopywali się na wyścigi w badaniach, poszukiwaniach i rozprawach dowodzących, że nowy zabór był tylko odwetem, był przywróceniem odpadłych dawniéj prowincyj. Rzecz jednak szczególna, że aż do czasów Mikołaja i wojny roku 1831, nikt w Rossyi nie znał krajów tych pod inném nazwiskiem, jak prowincyj zabranych. Dopiéro p. Ustriełow, późniejszy profesor uniwersytetu petersburskiego, nazwał Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę *Rusią zachodnią* (Zapadnaja Ruś) i tém zgrabném kłamstwem całemu imperyum dał zarazem imię Rusi. Wynalazek Ustriełowa przeszedł od razu w język dyplomatyczny i urzędowy; przeszedł także, wstyd wyznać, w zwyczaj niktórych Polaków, którzy Rusi od Rossyi, w potocznéj mowie i w pismach, nie umieją odróżniać!

Strata imienia wiedzie za sobą dość często zatratę rzeczy. Mikołaj z szczególną troskliwością pilnował, aby w prowincyach zabranych wyplenić wszystko, co jeszcze żyło polską tradycyą. Skasowawszy prawa, publiczne sądownictwo, wykład języka polskiego w szkołach, zabroniwszy mówić po polsku w szkołach początkowych dzieciom ledwo z niemowlęctwa wyszłym, cesarz Mikołaj zniósł dawne imiona prowincyonalne, nowe od miast gubernialnych potworzył, nie darował nawet okręgom pocztowym. Biada temu, kto będąc rodem z prowincyj zabranych, zapytany przez cesarza o pochodzenie, odpowiedział że jest Polakiem. Język urzędowy nie zna w cesarstwie ani prowincyj zabranych, ani ziem polskich. Dobrze o tém wiedzą Polacy, urzędnicy cywilni lub wojskowi; roztropniejsi między nimi lub mniéj śmieli unikają wszelkiéj mowy o narodowości, wobec Rossyan nie chcą nawet rozmawiać swym językiem, a na zapytanie naczalstwa : *iz kakich wy?* odpowiadają : *iz Polaków*! to jest z rodziny, która dawniéj była polską!

Lecz nietylko w znaczeniu urzędowém nie ma Polski ani Polaków w cesarstwie; cały naród rossyjski przekonany jest najmocniéj, że « prowincye zabrane jak były niegdyś (!), tak będą znowu czysto-moskiewskiemi, bo Polska nie żyje i odżyć nie może. » Wprawdzie głębsi i światlejsi ludzie stanu, a takich Rossya ma do dziśdnia, przyznają że « Katarzyna popełniła błąd przyzwalając na rozbiór Polski; że należało utrzymywać kraj ten w nierządzie i niemocy, zasłaniać się nim od Europy, a tymczasem wszystkie siły zwrócić na Turcyą i zabrać Stambuł, który dziś — może już na zawsze dla nas stracony! Złe się stało lecz zmienić go nie można. Zagarnąwszy Polskę trzeba być logicznym, zgnębić ją zniszczyć do ostatka; to dla Rossyi jest dzisiaj koniecznością polityczną! » Inne są powody, choć taż sama co do nas

konkluzya liberalistów moskiewskich. « Narody, mówią oni, podobnie jak indywidua żyją i umierają. Byli Grecy i Rzymianie, gdzież są? Byli Czechowie i Serbowie, gdzież są? Cóż znaczy ta garstka Polaków w odosobnieniu, cóż oni mogą zrobić bez nas, bez milionów? Ludy jednego plemienia zlewają się z sobą najczęściéj; takie jest prawo historyczne. Wszakże i Francya nie z samych tylko złożona Francuzów, ale mądrą polityką w jeden aliaż została stopioną; królowie i ministrowie samowładni zaczęli formować ten polityczny amalgamat, ale tylko rewolucya potrafiła go dokonać. Niech więc carowie duszą potrochu Polskę, to dla nas żniwo! Późniéj, kiedy orzeł carów dwugłowny utraci nieco z swych piórek, kiedy skończymy z prawosławiem i samodzierżawiem, uściele się droga do wielkiéj słowiańskiéj dzierżawy! Jéj granice: Elba, Cisa, Adryatyk, Bałkany, a może i Bosfor. I Wendo-Słowianie, i Morawo-Słowianie, i Heleno-Słowianie, i Polska a nawet Węgry, — wszystko to musi skojarzyć się w jeden związek, w jedno państwo, któremu podobnego świat jeszcze nie widział! Słowiańskie strumienie, woła Puszkin, spłyną w jeden ocean; gdzież słońce coby go wysuszyć mogło?... »

Teraz niech nam wolno będzie zapytać, czyli imperator Alexander dla pochwał gazeciarzy europejskich, albo nawet dla słodkich oczu pań wileńskich, zechce wyrzec się i tradycyi dyplomatycznéj tylu mężów stanu, i przeważnéj opinii panów rossyjskich i olbrzymich rojeń moskiewskich liberałów, których on zna i którzy mu nawet dość zręcznie schlebiają? Miałżeby mniéj gorącym być patryotą od Katarzyny i Mikołaja, mniéj zręcznym dyplomatą od Alexandra I? Wątpimy o tém; owszem wszystko nam wróży że on i w zręczności i w rossyjskim patryotyzmie, przejdzie swoich poprzedników, że on jest i będzie « *le plus fin Grec de Bas-Empire!* »

Kiedy cesarz Alexander przyjechał po raz pierwszy do

Warszawy, choć z groźbą wspomniał przecież o « polskich marzeniach, » ale w podróży na Ruś i na Litwę uznał że najmniejsza o nich wzmianka byłaby niewłaściwą. Przyjmowali go panowie nasi jakby drugiego « wskrzesiciela Polski « i znaleźli w nim człowieka dobrze wychowanego, prawdziwego *gentlemana*, który zna się na kuchni, lubi « tęgiego węgrzyna, » grzeczny jest z damami, nikogo nie podejrzywa, nie obawia się nikogo! « Jakże niepodobny do ojca! — wołają, — tamten był brutal, opryskiwy, nieufny, nigdy od Polaka nie chciał przyjąć jadła ani napoju; ten przeciwnie nietylko sam się z zaufaniem powierza, ale żonę swoję chce nam jeszcze powierzyć! Doprawdy, on szczerze zdaje się kochać Polaków; nawet sam się z tém oświadczył!...»

Ostrożnie, ostrożnie! *Grattez le Russe, vous y trouverez un barbare!* Niech który kapłan odważy się wspomnieć o potrzebach kościoła; zaraz zmarszczą się brwi carskie. Niech ojciec poprosi, aby mu wolno było wychować w swéj wierze jedynego syna z prawosławnéj zrodzonego, niech w poparciu prośby wskaże na swe blizny za Rossyą otrzymane; wnet dojdzie go groźne pytanie: co go ośmieliło do podania tak szczególnéj petycyi? Niech jedna z prowincyj zabranych zażąda wykładu języka polskiego w szkołach publicznych; odpiszą jéj że nie wié czego żąda, bo nie ma prawa tego domagać się. Niech który z literatów przypomni potrzebę katedry polskiéj w Kijowie; minister *zwierzy* mu się poufnie, że projekt ten wywołałby wielkie nieukontentowanie w Radzie Państwa. Niech wreszcie profesorowie uniwersytetu kijowskiego, rodem Niemcy lub Moskale, zapytają ministra, czy mogą przypuszczać młodzież polską do katedr uniwersiteckich, odpowiedzą im zapewne, lecz po długiém milczeniu, że to dałoby się zrobić w Kazaniu a nawet w Moskwie, ale w Kijowie jeszcze zawcześnie!

A jednak wszyscy to widzą, że w téj chwili jesteśmy rządowi nader potrzebni. Szlachta polska dała hasło

reformy włościańskiéj; jéj przykład jeszcze wiele może zaważyć i ułatwić cesarzowi szczęśliwe przeprowadzenie dzieła, na którém przyszłość imperyum polega. Cóż więc sądzić i czego nadal spodziewać się, jeźli w téj saméj chwili, w któréj rząd musi na nas oglądać się a razem czuje się obowiązanym wobec Europy do zmiany polityki wewnętrznéj, jeźli w tym właśnie czasie nie można otrzymać żadnéj ważniejszéj koncesyi, żadnego rzeczywistego zwolnienia?

A skoro tak jest, więc po cóż się łudzić fałszywą rachubą, po co wmawiać nadzieje, które i serce i rozum odpycha; po co ztamtąd wyglądać dobrodziejstw i ratunku, zkąd dla nas przyjdzie tylko albo gwałt, albo zdrada, albo gorsze od śmierci spodlenie? Prawda jest, że cesarz rossyjski dużo okazuje ludzkości, że za jego przykładem zgrzeczniała administracya moskiewska, i że ztąd niemała już dla poddanych rossyjskich ulga! Lecz czyż te formy zewnętrzne zmienią naturę rządu i narodu? Naturę moskiewską sam prosty instynkt zna u nas i zawsze jéj nie dowierza! — Na Litwę przychodzą z głębi Rossyi kompanie cieśli i kopaczy którzy się najmują do robot. Chłop moskiewski nie spiewa zwykłe, ale zdarza się że po skończonéj pracy, rozciągnięty na ziemi, zawodzi spiew niby tkliwy a przeciągły. Téj czułości boją się włościanie litewscy, i kiedy pieśń taką posłyszą, ludzie doświadczeni każą gospodarzom czuwać ostrożnie. Bo Moskal, mówią oni, nie roztkliwia się bez celu; pewno mu głowie snują się jakieś plany na nocną wyprawę!...

ZŁUDZENIA.

28 sierpnia.

Nieszczęśliwi zwykle są najpochopniejsi do zawierzania bezzasadnym nadziejom, do opierania się na zwodniczych urojeniach, kiedy właśnie nikomu takie nadzieje i urojenia nie są niebezpieczniejsze jak nieszczęśliwym. W wielkiéj części skutkiem długich i ciężkich nieszczęść, ale téż niemało i z własnéj winy, naród nasz bardzo łatwo oddając się złudzeniom, nieraz przez to pogorsza swoję dolę, rozstraja swoje siły. « Spocząć choćby na mrowisku..... » Oh ktożby tego głosu nie rozumiał! Ale kiedy zmordowany pielgrzym chce zasnąć wśród ziół odurzających, trzeba mu wzbronić spoczynku, trzeba nań wołać żeby się zerwał z miejsca, gdzie zdradliwe upojenie może go zmysłów pozbawić.

Rozwiązywać wielkie zagadnienie losu narodów, w wyraźnych kształtach przewidywać ich przyszłość, obliczone od wypadku do wypadku wskazywać im drogi, to nie każdemu i nie zawsze przychodzi; widzieć mgłę spadającą na myśl narodową, postrzedz że stara droga poczyna niknąć w manowcach, poczuć niebezpieczeństwo, to może każdy, kto z oka i serca nie spuszcza biegu rzeczy

ojczystych. Jeżeli nie wystarcza nam na podanie nauk zbawiennych, środków doraźnie zaradczych, uważamy przynajmniéj sobie za powinność, wyjaśniać położenie sprawy narodowéj, podnosić głos przeciwko krzywemu kierunkowi pojęć, rozpraszać złudzenia.

Jedném z najniebezpieczniejszych złudzeń jest dzisiaj jakieś wybujałe, nieokreślone a świetne widmo, ukazujące się mało rozważnym umysłom w reformach poczętych i zmianach spodziewanych na Północy. Bezwątpienia, reformy te mają niezmierne znaczenie, noszą w sobie zaród ogromnych wypadków, bezpośrednio i pośrednio dotykają najgłębszych posad naszego bytu, najżywotniejszych zagadnień naszéj przyszłości. Ale nateraz, w obecnéj chwili, cóż takiego zaszło, cożeśmy już otrzymali, co nam wrócono, dano lub chociażby dać obiecano, na czémby godziło się spocząć, polegać z ufnością, czekać bez troski i obawy, a w błogiém zadowolnieniu marząc, myślą przynajmniéj nieraz grzeszyć przeciw świętemu duchowi narodu, opuszczać ognisko jestestwa narodowego, tracić z pamięci i widoku ideę wielkiéj i samoistnéj ojczyzny? Trocha ulgi od nieustannego strachu kibitki i od przesadzonych wymagań cenzury, trocha wolniejszego ruchu do wyjazdu za granicę albo zajęcia się wewnętrznémi interesami kraju, ulepszeń i postanowień odpowiednich potrzebom administracyjnym — oto wszystko co dotąd płynęło z tego źródła łaski, które zdaje się stać otworem do ugaszenia wszelkich naszych pragnień, pomimo wyraźnéj zapowiedzi, czego i pod jakim warunkiem poddani polscy od Cesarza rossyjskiego spodziewać się mogą. Zapowiedzi téj, chociażby była niezgodną z jego osobistém usposobieniem, wymuszoną na nim, lekceważyć nienależy; przestrzega ona przynajmniéj, że ani tak samowładny pan zupełnéj woli nie ma, nie wszystkiego chcieć i chcąc nie wszystko zrobić może. Odwieczne kierunki dziejowe, systemata wiekami budowane nie dają się od

razu zawrócić i przełamać. Zachwianiom się i nachyleniom ich zbyt ufać niebezpiecznie; a jeżeli widać że zaczynają wstrząsać się aż do posad, to właśnie tém mocniéj trzeba utwierdzić się na swojéj posadzie moralnéj, skupiać i ożywiać narodowego ducha.

Dlatego, ile nam sił i sposobów starczy, staramy się wyłuszczać z pozorów i stawić w prawdziwém świetle roboty i zamiary reformacyjne Rossyi, w jéj zewnętrznéj i wewnętrznéj polityce wykazywać niezmienioną naturę, nieprzerwaną tradycyą, tę samą co zawsze dążność, ukrytą tylko pod maską przeobrażeń postępowych i zastosowaną do niezbędnéj konieczności. Dlatego także, nie potakując zwątpieniom i urazom, do jakich świeżo doświadczony zawód oczekiwań mógł być powodem, nie zważając na chwilowy układ zmiennych kombinacyj politycznych, utrzymuiemy to przekonanie, że prawdziwa chorągiew cywilizacyi chrześciańskiéj, jedyna na jaką nam bez odstępstwa przeszłości i zrzeczenia się przyszłości naszéj oglądać się wolno, dotąd tkwi jeszcze na Zachodzie, ściśléj mówiąc we Francyi. Dlatego nakoniec, wszelkie oznaki choćby najlżejszych skłonności w kraju do zwrotu zaufania i nadziei w przeciwną stronę, wszelkie objawy zapomnienia się i pochopu do złudzeń, dają nam powód do smutku i trwogi, do narzekań i upomnień. Pod tym względem odbieramy czasem pocieszające uwagi, że zbyt czarno wjdzimy rzeczy, że trzeby mieć wyrozumiałość na okoliczności, że w ogóle tak źle nie jest jakby się zdawało. I zapewne, usposobieni jesteśmy przyznać tym uwagom do pewnego stopnia słuszność, bo inaczéj wypadałoby nam okryć się żałobą i milczeć. Jednaże, z licznych rozmów, listów i napotykanych mniéj więcéj wyraźnych dowodów w dziennikach, nabieramy codzień przeświadczenia, że zupełnie uspokajać się w téj mierze nienależy. Na usprawiedliwienie naszéj troskliwości przytoczymy głos bardzo skromnego organu, który właśnie że się

odzywa z ustronia, z prawie zapomnianego zakątka dawnéj naszéj ziemi, może służyć za tém wiarogodniejsze świadectwo. Przytoczymy go jeszcze i dlatego, że obok dowodu płochości i zaślepienia, miło jest napotykać ślady trzezwego sądu i rozwagi.

W Chełmie, niegdyś stolicy naszego województwa, a dzisiaj mieście powiatowém regencyi kwidzyńskiéj Prus Zachodnich, wychodzi dwa razy na tydzień półarkusik z tytułem : *Nadwiślanin*. Poczciwe to pisemko, jak się zdaje ledwo bibliografom znane w Warszawie, zaleca się wybornym duchem i nawet niezłą polszczyzną. W jednym z jego numerów sierpniowych jest artykuł zawierający wyjątek « z przejazdki do Polski przez Golub. » Autor opowiada jak go ucieszyło, kiedy jego woznica, służący urzędnika nadgranicznego, począł sobie nucić historyczne piosnki polskie. Wdawszy się z nim w rozmowę dowiedział się, że wiele on ich umiał i bardzo są rozpowszechnione między ludem. Zastanowiło go wszakże, że umiejętny śpiewak, w marszu Dąbrowskiego dodając różne waryanty i mało znane zwrotki, opuszczał pierwsze dwa wiersze. Na zapytanie, czemu to czyni, odpowiedział z cicha, że je powtarzać głośno rzecz niebezpieczna; słowa te znane są wszystkim i wielu ludziom solą są w oku. « Toć pan już miarkuje, jak to niby jest! » dodał ze znaczącém spojrzeniem, trzasnął z bicza i świsnął na konie.

Zadumany nad tém co słyszał, przejęty « szacunkiem dla głębokiego uczucia, które tak prostodusznie i naiwnie umie się ukrywać w miarę potrzeby, a przecież święty ogień utrzymuje na dnie serca, » podróżny stanął przed dworem, celem jego wycieczki za granicę pruską. Tu spotkała go inna niespodzianka. Zgromadzenie sąsiadów było liczne, patryotyzm szumiał swobodnie, młodzież śpiewała wyraźnie « Jeszcze Polska nie zginęła. » Deklamowano wiersze, nawet « Do matki Polki. » Nie mógł pojąć gdzie się znajduje,

«Dostrzegli starsi co mnie zadziwia — powiada — i nuż się śmiać z lękliwego Niemca, jak mnie nazwano.— Inne teraz u nas czasy; — odezwał się ktoś — człowiek już nie robi z mozgownicy suszarni, aby tam myśli po dawnemu wędził, serce już nie studnia, aby tam wszystko w niém topić. Inne czasy u nas, mój Prusaczku; a da Bóg zdrowie N. Panu miłościwie nam panującemu, to za roczek jaki inne chorągiewki będą u nas powiewały. Człek sobie, Mospanie, w kontuszu, przy karabeli, pojedzie na sejmik jak dziadowie nasi jeździli. — Nastąpiła długa replika na przekonanie mnie niewiernego Tomasza. Przytaczano mi liczne historyjki, istne brukowe wiadomostki, które miały dowodzić, jak szczeremi chęciami pała najwyższa głowa w rządzie ku mieszkańcom Królestwa, co jednakże ze względu na otaczających go doradzców miarkować musi. Ale niechno tylko się urządzi, upewni, innych dobierze sobie ludzi, natenczas ujrzy świat cały, jaki raj zakwitnie na łanach Królestwa... Daremnie okazywałem im ogromny przedział między zasadami żywiołu naszego i żywiołu moskiewskiego; daremnie zwracałem ich uwagę na różnicę wiary, jako źródło, zkąd wynikają dwa nieprzebłagalnie przeciwne sobie pierwiastki, wschodni i zachodni: nazywano to niemieckiémi wymysłami, niemiecką mądrośeią, zakrzyczano mnie, że nie znam stosunków miejscowych, nie rozumiem wymagań czasu, wyśmiano nakoniec moje wywody i dowody historyczne, jako rzecz dobrą tylko dla ludzi wystygłych, rządzących się zawsze zimnym rozumem i zawsze głupio... Przyczém ciągle usiłowano każdy krok dzisiejszego rządu, czyli raczéj jego naczelnika, po swéj myśli tłómaczyć: przesadzono dobre, łagodzono i uniewiniano złe, dodając nieustannie, że musi *jeszcze* ulegać, ale inaczéj jest w gruncie. Napróżno przypominałem, jak owem «point de réveries» zapowiedziano ile i jakiéj natury szczęścia spodziewać się można. Rozbudzona fantazya, nie znała ni wątpliwości,

ni obawy, ni granic w nadziejach... Gdy wreszcie znaleźli się i odzywający się z panslawizmem... zamilkłem i pogrążony w myślach zastanawiałem się nad ową smutną łatwowiernością, która od wieków daje nas za nos wodzić. Wrodzona krewkość, gorące uczucia rodzime, długie i zawiedzione oczekiwania, brak życia publicznego, ograniczona prasa, a przytém z drugiéj strony zręczne machinacye umyślnie może dostarczające paliwa fałszywie skierowanewu zapałowi, oto, podług mnie, przyczyny nieszczęśliwéj choroby dzisiejszéj, tém bardziéj niebezpiecznéj, że rozgłosy po całéj Europie dają za każdym krokiem oklaski nowemu władzcy, który przecież ma inne cele niżeli owe nadzieje.»

Obrazek ten chociaż zapewne przedstawia scenę zmyśloną, w szczegółach ma prawdziwość, któréj zaprzeczyć nie można. Na cóżby zresztą zdało się taić chorobę; lepiéj przyznać że jest i starać się jéj zapobiegać, zwłaszcza gdy na miejscu, w samém powietrzu krajowém, wszczyna się przeciw niéj oddziaływanie, czuć powiewy rozganiające mgłę szkodliwą. Co do przyczyn jakie ją zrodziły lub wzmagają, tych nie dość jest szukać zewnątrz: główna, najistotniejsza leży w nas samych. Łatwowierność jest zawsze skutkiem nieustalonéj albo zachwianéj wiary we własną prawdę. Chwytamy się złudzeń, bośmy przygasili światło prawdziwe; chwiejemy się na wszystkie strony, bo osłabł nam w duchu punkt podpory. Skoro gwiazda ojczyzny nie środkuje i nie oświeca silnie wyobrażeń naszych, ciążą one ku ciałom obcym, albo zciemniałe i zbłąkane, zdają się nam być same planetami, na których zamieszkać i życie narodowe utrzymać możemy. Złudzenia mamy dwojakiego rodzaju: przychodzące z zewnątrz i tworzone u siebie.

Do rzędu tych ostatnich należą fałszywe, opacznie przewrócone, potwornie wybujałe pojęcia rzeczy prostych, istotnych, po staremu zrozumiałych, jak np. li-

teratura, sztuka, przemysł. Z właściwego sobie znaczenia jako środki, podniesione do wysokości ostatecznych celów, zasłoniły one widok najkonieczniejszego celu, najgwałtowniejszéj potrzeby dla nas. Troska o byt niepodległy, boleść nad jego utratą, wiara w jego odzyskanie, poczęły słabnąć i rozmyślnie być uciszane, jako rozterka w zatrudnieniach pilniejszych, właściwszych, przypadających do smaku tém bardziéj, że mogą obejść się bez ofiary, iść siłą upodobania i interesu. Wyrodziły się ztąd szczególniejsze mniemania i przesądy, które osobliwie dają się widzieć w pojęciach literatury albo piśmiennictwa, bo to częstokroć jedno za drugie uchodzi.

Myśl rozpaczliwie opuszczająca nadzieję niepodległości, poczęła opuszczać i terytoryum Polski. Ratyfikując niejako zabory prowincyj, cofała się ku granicom Królestwa, na podobieństwo powstania listopadowego zamknęła się w stolicy i kapitulowała. Odtąd, krwią dawną i świeżą zlaną ziemię ojczystą zostawuje jéj losom, a jestestwu narodowemu zakłada nową siedzibę w krainie duchowéj, czy może słuszniéj powiedzieć, w krainie nieśmiertelności papierowéj. Literatura — mówiono — to ostatnia nasza spuścizna, ostatnie schronienie narodowości naszéj, jedyny nasz skarb, jedyne pole do zapracowania na względy postronnych, na uznanie praw naszych do bytu. Te względy postronnych, ciągle grają wielką rolę. Jeśli ukaże się dzieło znakomitsze, przed zastanowieniem się jaki ztąd dla ducha lub umysłu narodowego zasiłek i pożytek, wyrywa się okrzyk uciechy, że jest zaszczytem naszym w oczach cudzoziemców. Jeżeli w któréj gałęzi pismiennictwa widać niedostatek, powstaje wołanie : «zapełnijmy tę szczerbę dozwalającą postronnym spoglądać na nas z góry i z lekceważeniem ! » Zadanie, jak powrocić do rzędu niepodległych narodów europejskich, zamknęło się całkiem w zadaniu, jak literaturę polską postawić na równi ze wszystkiemi w Europie. Najwłaściwszym do tego środkiem zdawało

się pisać jak najwięcéj, szerząc czytanie i pisanie, natężać ruch literacki. W jakim kierunku? pod przewodnictwem jakiéj idei? Było trochę sprzeczki o tendencyjność, o kwestye żywotne, ale w ogólności zapanowało zdanie, że piękno estetyczne ma być gwiazdą polarną. Powszechném hasłem stało się: do pióra! w imię piękna! Literatura, pod któréj skrzydła utulono narodowość, uznana jestestwem w saméj sobie, potęgą zbawczą, bóstwem opiekuńczém, ujrzała się otoczoną licznemi zastępami kapłanów. Wszyscy, słusznie czy niesłusznie, uważali się za rozdawców słowa, karmicieli chlebem duchowym. Lada świstek drukowany liczył się za ziarno tego obroku, i doprawdy mnożyło się go sporo, bo «zatyły serca!» Mimo to dają się słyszeć głosy nienasyconego łaknienia. Za każdą zapowiedzią nowéj książeczki, nowego pisemka, powstaje wołanie: «słyszymy że się literatura wzbogaci; czekamy niecierpliwie; szczęść Boże!» Gdy pisarstwo wyszło tym sposobem na jakiś rodzaj służby publicznéj, pospolitego ruszenia na obronę od zatraty imienia Polski, nie dziw, że młodzież z zapałem i szczerą chęcią ciśnie się w szeregi robotników karmi duchowéj. Byle który poczuł zdolność sklecenia powiastki albo wierszyka, nieoglądając się daléj, nie rachując co komu i jemu samemu z tego przyjdzie, puszcza się na literata, w najlepszéj wierze powiadając: trzeba pracować dla dobra ogółu. Mnożą się ofiary złudzenia.

Z początku była wielka radość i ze wzrostu pismiennictwa i z tworzenia się u nas klasy literackiéj. Pomału jednak zaczęły ukazywać się niekorzystne strony; przyszło do zasmucających uwag.

Literatura, mianowicie jéj gałęź zwana nadobną, mająca za godło piękno, zakwieciła się obficie, ale tym kwiatom jakby wymuszonym za pomocą sztucznego ciecła, brakuje istotnych przymiotów: mało mają woni, więdną prędko, nie obiecują trwałych owoców, w nie-

których przebija się pierwiastek trucizny; różnią się niezmiernie od tych, co przed trzydziestą laty powschodziły samorodnie. Jakaż tego przyczyna? Nie można powiedzieć że talentów nie masz. Są — są bardzo znakomite, rzeczywiste, silne i płodne. Nie można zwalić winy na niedostatek ukształcenia. Wszędzie widać formę wyrobioną, wprawę, łatwość i zręczność. Tymczasem wszystkie płody poezyi i prozy dzisiejszéj, zdają się być czémś nakształt pięknych lamp czy latarni z bronzu i kryształu, które błyszczą zewnętrznie, ale wewnątrz ognia nie mają. Odzywają się często narzekania na brak krytyki. Jak niegdyś mniemano, że dyskusya może zrodzić prawdę, tak teraz panuje przesąd, że recenzye wykrzeszą ogień święty. Dziwne wymagania! Krytycy dać nie mogą czego sami nie mają. Bez idei naczelnéj, środkującéj wszystkie myśli i uczucia narodu, trudno im nawet o jedność sądu. Opinia publiczna patrzy na nich, oni na opinią publiczną, i zdarza się wielka niezgoda: wynoszą niekiedy pod niebiosa poemata, które młodzież pali na stosie. Najogólniejszy wszakże wyrok krytyki jest ten, że we wszystkich tworach tak poezyi jak prozy, widać niedostatek natchnienia i przeważa charakter gawędy.

Kapłaństwo literackie, obwieszane wieńcami, zapamiętale prowadzące taniec ruchu pismienniczego koło ołtarza piękna, znalazło się w trudném położeniu, w przykrém zetknięciu się z pogardzonym, wyklętym przeciwnikiem — przemysłem. Szafarzom chleba duchowego, niezbędnie jednak potrzebny chleb powszedni. Przyszło do porozumienia się, do układów, i jakoś cielec złoty wziął górę. Wiele jest rozpraw i wywodów, czém było mecenasostwo magnatów, co dzisiaj znaczą księgarze, jak opinia publiczna utrzymuje równowagę między niepodległością pisarzy a interesem nakładzców. Wszystko to do niczego nie prowadzi, rzeczy idą naturalnym porządkiem, zewsząd dają się słyszeć narzekania

i przestrogi, że pismiennictwo staje się rzemiosłem, że wyroby jego mają przeważający charakter towaru.

Gawęda i towar — to ostatnie wyrazy na drugiéj stronie medalu, którego powierzchnia w ułudnym świetle zdaje się być słońcem ożywiającém wszystko.

Nie trzeba jednak posuwać się do ostateczności. Literatura, w należytém pojęciu ma rzeczywistą swoję wartość i wielkie znaczenie; pisarstwo, czy z natchnienia, czy z zamiaru odpowiedniego prawdziwym potrzebom narodu, jest wysokiém powołaniem, pełną zasługi pracą; ale cóż może natchnąć, co trafny zamiar wskazać, kiedy żaden cel zdolny poruszyć ducha, ani zapału ani myśli nie skupia?

Nie masz natchnienia, bo nie masz soczewki ściągającéj promienie do serca. Zamiłowanie archeologiczne rzeczy ojczystych, zamiłowanie artystyczne piękna, na to nie wystarcza; trzeba miłości żywéj, miłości synowskiéj, która kiedy z całéj siły zawoła: «Matko!» — matka powstanie. Miłość bez nadziei i wiary żywą być nie może. Pełnia tych trzech promieni ogrzewała powietrze, jedna wielka tęsknota i żądza synowska zajmowała wszystkie dusze polskie, kiedy rodziły się owe arcydzieła literatury naszéj, na które oglądamy się dzisiaj podziwiając ich moc tajemniczą.

Rzemieślnictwo przeważa, przemysłowość owładała pisarstwem. Nie może być inaczéj, skoro praca literacka straciła charakter ofiary. Zapewne, poświęcić się, cierpieć, można tylko z przeświadczenia, że się służy godnemu tego celowi; ale téż bez gotowości do ofiary niepodobna żądać wielkiego celu. Chęć uniknienia we wszystkiém poświęceń, ofiar, cierpień, jest jednym z głównych powodów, że tak łatwo podajemy się złudzeniom, które póki się nie rozproszą nic nas nie kosztują.

O MŁODZIEŻY W KRÓLESTWIE.

---

25 września.

Kochana nasza Warszawka! — Nazwę tę pierwszy podobno wprowadził w użycie *Kuryeryk;* przyjęła się jednak i trwa do dziś dnia, po części jest charakterystyczną, a dla znających naszę nadwiślańską stolicę doskonale nawet maluje pewną stronę jéj fizyognomii. «Kochana Warszawka» powtarza nieraz młodzież z prowincyi, opuszczając to miasto, w którém użyła wszystkiego, zacząwszy od wonnego dymku salonów literackich (jeśli posiadany tytuł otwierał *szeroką bramę* do nich), aż do smacznych obiadów Hotelu Europejskiego i uciech baletu, jedynéj instytucyi rozwiniętéj wysoko pod rządami Paskiewicza.

Świetna Warszawa, odzywa się nie jeden z prowincyj przybyły turysta, przypatrzywszy się pierwszopiętrowym łożom w żywe wonne ubranym kwiaty (styl *Kuryerka*), sklepowym wystawom i modnym ekwipażom co Nowym Światem ku Alejom dążą.

Nietylko *Kuryerek*, uliczny plotkarz Warszawy, ale i inne pisma, wyżéj w hierarchii dziennikarskiéj położone, okadzają to miasto durzącym dymem pochlebstw:

wszyscy kronikarze, gwiazdkarze, feletoniści, stroją biedna Warszawkę w suknie niby to modne, a w rzeczy saméj najgorszego kroju i rodzaju, nadając jéj obliczu wyraz jakiejś niemądréj, w położeniu naszém niedozwolonéj satysfakcyi, która oburzać musi serca przechowujące godność i świętości narodowe.

A przecież, w owéj Warszawie, któréj nazwa nie przerobiona figlarnie i konfidencyonalnie, brzmi twardo i poważnie, ktoby poszukał, znalazłby jeszcze co innego jak możność przepędzenia kilku godzin wesoło. Obok czczych improwizacyj i głośnych owacyj na cześć *naszych znakomitości* muzykalnych, i niemuzykalnych są jeszcze dusze zdolne obruszyć się fałszem, a zapalić się świętą miłością. Obok rąk przyklaskujących baletniczkom, znajdzie się jeszcze w ukryciu dłoń poczciwa, gorąca i zacna, gotowa jedném uściśnieniem ręki rozbudzić żal, wlać ufność, wypowiedzieć wszystkie uczucia rodzinne, podnieść siłę i pchnąć do działania. Obok znakomitych salonów, do których niestety dosyć często wstęp znajdują moskiewskie mundury, obok tych czarujących salonów, tak świetnie opisywanych w tygodniowych sprawozdaniach naszych gazet, są jeszcze poczciwe, ciche, od gwaru ulicznego usunięte mieszkania, gdzie witają dawno żegnanych, gdzie poważna, smętna radość rodziny, magnetycznie przyciąga wszystko co poczciwsze, co gorętsze; są koła spojone jednością pracy; są młodzi ludzie mężnie łamiący się z niedostatkiem i potrzebą codzienną, w skupieniu sił pracujący, aby wyrobić sobie poczciwą niezależność od dwóch zabójczych żywiołów, protekcyi rządu i żydowskich pieniędzy.

Długo była u nas posucha, podczas któréj z boleścią patrzyliśmy jak wysychały źródła narodowego życia. Były lata głupiego, zwierzęcego tryumfu z jednéj, a bezmyślnéj, rozpaczliwéj uległości z drugiéj strony. Kiedy ostatnie kibitki wywiozły z kraju wszystko, co najży-

wszą Polskę nosiło w sercu, co dla Polski działało i szalało, kiedy podrastającemu pokoleniu porwano i porozpraszano starszych braci, wtedy między przeszłością, którą po więzieniach, w Sybirze i na Kaukazie wygubić chciano, a przyszłością, którą trzymano w ręku, uosobistnioną w osierociałéj i nieświadoméj dziatwie, rozciągnęły się jakieś ciemne i duszne chmury. Ze szkół znikli wszyscy młodzi, rozumiejący swój zawód nauczyciele; znikli wszyscy uczniowie zdolni przywodzić innym w zacnych dążeniach; została gromadka malców ujętych w karby przepisów szkolnych obmyślonych na zabicie ducha, myśli i godności ludzkiéj, oddanych pod kierurunek zaśniedziałych rutynistów, lub za odstępstwa i podłość nowo kreowanych figur. Godziny nauk w klasach zchodziły na oglądaniu powierzchowności studentów, na rozpytywaniu się o sposobie życia i zatrudnieniach ich rodziców, przy czém profesorowie pozwalali sobie grubiańskich i dotkliwych żartów z nizkiego rodu lub rzemiosła ojcowskiego. Takie postępowanie nauczycieli rozrywało węzeł koleżeństwa między uczniami. Każdy dotknięty albo pogłaskany w swéj miłości własnéj, zamykał się w sobie z goryczą lub pychą i wzgardą. Wszelkie ciepło serdeczne, wszelka uprzejmość i zażyłość wygnane były z pożycia szkolnego; co gorzéj, młodzież przestała czuć ich potrzebę. Skrzepły serca, ociężały umysły, a wybujał na tym ugorze fałszywy literacko-artystyczny dylletantyzm. Maluczkie zabiegi, drobniuchne tryumfy miłości własnéj, zajęły miejsce obowiązku i pracy. Bezrozumne zadowolnienie, lub apatya zastąpiły boleść ożywczą i czynność w imie praw najświętszych. Ciężko było w kochanéj Warszawce, serce czujące uschnąć mogło z tęsknoty i żalu.

Od téj to epoki datuje pewien zwrot religijny, który daje się dostrzegać w całém społeczeństwie, a nawet — co po raz pierwszy jest wybitném — i w młodzieży naszéj. Część téj młodzieży, mianowicie możniejszéj, za-

nadto czysta aby zstąpić mogła na drogi moskwityzmu, zanadto przykładem starszéj generacyi nauczona aby chciała konspirować i zaludniać Sybir lub cytadelę, rzuciła się z dobrą wiarą w kierunek religijny szukając tam pociechy i siły do odrodzenia siebie i innych. Ile ztąd wynika dobrego, jak to zwrócenie się ku najgłębszym źródłom ożywczym jest zbawienném narodowi, tego tu dowodzić nie masz potrzeby.

Ktokolwiek bezstronnie patrzał na młodzieńcze szarpania się generacyi podrzędniéj, na jéj tak szlachetne a tak bezowocne usiłowania, ten przyzna, że brak głębszéj podstawy religijnéj, ujmował nieraz prawdy i mocy tym dążeniom, wyradzał fałsze i wykrzywiał najczystsze zamiary. Lecz dzisiaj za to blizkiemi podobno jesteśmy drugiéj ostateczności. Spostrzegamy codziennie ludzi młodych co jeszcze nie starli się z niczem w życiu, a już szukają tylko spokoju jak najwygodniejszego. Dusza ich i dążności są czyste zapewne, ale czyste jak szkło, które nic nie przyjmuje, i po którém wszystko się ześlizga.

Szukanie świętego spokoju, może być rzeczą godziwą; aleź bywają i niepokoje święte, od których chronić się niezawsze jest godnie, a bez tych niepokojów świętych religia stać się może dla wielu wygodném do cichych snów węzgłowiem, bawełną w uszach od ludzkiego jęku — jak mówi Słowacki.

Wielkie to i święte słowo: *rezygnacya*. Skupia ono w sobie najczystsze promienie chrześciańskiego ducha i na wyżynach świeci. Ale wielkiego słowa tego nie trzeba wzywać na daremnie; dostępne ona tylko tym podobno, co dużo i długo wojowali, co z wiarą i zapałem krzyż swój nieśli i wciąż go niosą pod górę. Rezygnacya w ustach niedojrzałéj młodzieży, brzmi dziwnie, a najczęściéj fałszywie. Właśnie bowiem ludzie, którzy najwięcéj dla kraju poświęcają i cierpią, najmniéj o rezygnacyi mówią. Spytajcie sybirczyków wracających z kopalń Nerczyńska, spytajcie tych co z godnością

czyściec emigracyiny przebyli, czy będą wam teoryą rezygnacyi rozwijać? Natomiast spotkacie obywateli trawiących życie za granicą, albo młodzików zajętych całkiem uciechami salonowemi, którzy szeroko o rezygnacyi prawią. Z całéj poezyi naszéj znają oni i podnoszą tylko *Felicytę* Odyńca i *Resurrecturis*. Już *Dziady* Mickiewicza rażą ich czułe nerwy i delikatne sumienie. Jeden z tych panów będąc niedawno obecnym rozmowie, w któréj podnoszono szlachetny, choć źle użyty zapał młodzieży rzucającéj się w spiski i powstania, odezwał się z pełném zadowolnienia uśmiechem : *Nous autres, nous avons à présent l'héroïsme de la résignation.* Ten « *bohater* » rezygnacyj, nigdy nie siedzi u siebie na wsi, traci pieniądze rok rocznie za granicą, a w chwili gdy przystępowano do sprawy włościańskiéj w jego prowincyi, wyjechał aż za morze Śródziemne.

Ah, gdybyśmy więcéj mieli w duszy téj wysokiéj rezygnacyi chrześciańskiéj, mniejbyśmy pewnie o niéj gadali, bo życie nasze o niejby świadczyło.

Wieszcz, co wyśpiewał tytaniczną walkę Konrada, mógł potém uchylić czoło jak chmurę przed słońcem. Ten co cierpiał i kochał za miliony, mógł powiedzieć :

Niech się twa dusza jak dolina położy,
A wnet po niéj, jak rzeka, popłynie duch boży.

Ale ten, kogo za Polskę nie ścigał świat ani męczył kat, komu oczu nie krył wygnań śnieg, ani więziła cytadela, komu wreszcie Polska nie jest codzienną modlitwą życia, czyliż ma prawo teoryą śpiącéj rezygnacyi stawiać jako ideał dla drugich?

Jest jedno zdanie świętego Tomasza, któremby można odpowiedzieć na wszystkie doktryny rezygnacyi, fałszywym płaszczem religii odziane. Wielki ten mąż Kościoła powiada : *Deus est auctor mali quod est pœna, non autem mali quod est culpa.* De Maistre, tak to zdanie przetłómaczył : *Dieu est l'auteur du mal qui punit, mais non*

de celui qui souille. Tak jest, od Boga idzie złe, które karze, które ciśnie, które do poprawy i podniesienia się duchownego wyzywa; lecz nie od Boga idzie złe które upadla, godność człowieczą depce, świętości narodowe kala, samemu cierpieniu świętość odejmuje. Przeciw takiemu złemu Kościół wieczną i nieustanną wypowiedział walkę, dlatego też nazywa się Kościołem wojującym. Obojętnie na to złe patrzeć, nie stawić mu czoła, nie czynić nic aby upadło, formami pobożności odgrodziwszy się od trudów i ofiar, zostawić żeby wszysko sam Bóg bez szczerych a godziwych usiłowań ludzkich zdziałał, to nie rezygnacya chrześciańska, ale sofizmat egoizmu, to piłatowe umycie rąk, przyzwolenie na złe, pogodzenie się z niém dla własnéj wygody.

Nie myślę rozwodzić się nad tym przedmiotem, chciałem tylko okazać jedno z tych usposobień u nas, któremu należałoby troskliwie zapobiegać; dlaczego zaś pisząc do was zajmuję się i zajmować się będę odkryciem raczéj stron słabych niżeli dobrych, łatwo zrozumiecie. Nie przeszkadza to wszakże powiedzieć, że od kilku lat, pod wieloma względami, jest u nas coraz lepiéj. Nie łudzimy się przeto i nie podnosimy hymnu zmartwychwstania, bo wieko trumny nieodwalone wcale; ale kto z miłością ucho na niém położy, posłyszy przecie głośniejszy szmer utajonego w grobie życia. Oznaczyć wyraźnie co zaszło i zkąd powiało tchnienie żywota, doprawdy nie potrafilibyśmy. Słuszniéj, po prostu, rzec : Bóg się zmiłował. Przybyło nam jedno i drugie gorące serce, zabłysł światły, przezorny umysł, w powietrzu jakoś rozeszła się potrzeba braterstwa, wzajemnego znoszenia się i wspólnéj pracy; w wystawne gmachy i ciche cele przeniknęło pragnienie łączenia się w jedno i współdziałania. Mimo wszystkich trudności, wyjednano pozwolenie zawiązywania między młodzieżą stowarzyszeń czysto religijnych, owych róż duchownych, których podstawą jest miłość braterska i doskonalenie

się wspólne. Nie byliśmy podobno dość prości, aby w duchu prawdy utrzymać i rozszerzać te związki, ale raz rzucona myśl odpowiednia potrzebom nurtującym serca wielu ludzi, dała popęd innym zbawiennym usiłowaniom, dalekim jednakże od wszelkiego pozoru spisków i sprzysiężeń. Każda prawdziwa potrzeba moralna, musi wbrew wszelkim przeszkodom znaleźć sobie drogę. Tak się też i tu stało : prąd budzącego się życia znalazł na wstępie nie jednę tamę zerwaną i usuniętą.—Łatwiejsza od niejakiego czasu komunikacya z prowincyami, wprowadziła w nasze koło warszawskie nowe żywioły... Dotąd prawie nic nie wiedzieliśmy o sobie, teraz dopiero zaczęliśmy się poznawać. Zetknięcia się takie rozniecały ognisko bratniéj miłości w sercach. Jeden zacny skupiał koło siebie kilku przeczucie dobrego mających. Postrzegliśmy wtedy co może jedno silne ukochanie, jak to jeden bratni ucisk dłoni wydobywa zagrzebane w sercu uczucia, jak iskra elektryczna w jednéj chwili przebiega wieniec rąk sympatycznie spojonych. — Otwarcie akademii medycznéj skupiło w nasze mury młodzież po największéj części ubogą, zmuszoną w trudzie dobić się niezależnego bytu. Młodzież ta zdaje się dziś jakoś lepiéj niż kiedykolwiek rozumieć, że wyznawanie prawdy życiem, pełnienie obowiązków i praca wytrwała są najlepszém oddziaływaniem i działaniem. Ostać się bez łask i protekcyj, unikać ile można zetknięcia się ze wszyskiém co nikczemne, nie zaniedbywać codziennych obowiązków, pełnić każdochilowe, na pozor drobne, ofiary, i przez nie dokupić się chwili, która może raczéj jest nagrodą niżeli polem ofiary, wydoskonalać sie ciągle w swym zawodzie, te są najdobitniejsze dążenia téj gromadki, co nie świeci po salonach, nie rozprawia po kawiarniach, nie rzuca bukietów na scenę i nie deklamuje swych rymów na literackich wieczorach.

« Młodzież, i zawsze młodzież, i wiecznie młodzież — mówił do nas niedawno jeden ze szlachetniejszych pes-

symistów w kraju. — Już od lat dwudziestu słyszę o téj szlachetnéj, ognistéj, pełnéj poświęcenia się młodzieży. Gdzież są owoce tego ognia i téj szlachetności? Młodzież, to dopiero *obietnica nadziei*. Gdzie są nadzieje pewne i obietnice owocujące? Młodzieżą posłużyć się można i trzeba przy odbudowywaniu gmachu; ale młodzież nie jest ani jednym, ani najlepszym do budowli materyałem. Gdziez są fundamenta, gdzie są prawdziwe materyały? Mamy w naszém społeczeństwie, i to w lepszéj jego części, młodzieńców exaltowanych i rzucających się na wszystko, i przedwczesnych starców złamanych albo zniechęconych; lecz gdzież są ludzie zdrowi i dojrzali, gdzie obywatele piastujący wysoko godność narodową i noszący w duszy religią obowiązków publicznych? Wiem, że się znajdzie zawsze dwudziestu studentów gotowych konspirować póki się na Sybir nie dostaną, i tyleż czułych kobiét, co ich opłakiwać będą; lecz czyliż to dowodzi dostatecznéj żywotności w narodzie? Pokażcie mi dwudziestu obywateli ziemskich dojrzałych i poważnych, dla którychby Polska religią życia była; pokażcie mi dwudziestu urzędników wyżéj w hierarchii położonych, którzyby w każdym kroku odwoływali się do sumienia narodowego; pokażcie mi choć połowę téj liczby, a uwierzę w wasze nadzieje i podzielę radość waszę. »

Odpowiedź, jakąby można dać na te wyzwania, będziemy się starali wyrazić w przyszłym liście, mówiąc o dwóch najważniejszych klasach naszego społeczeństwa — o obywatelach ziemskich i urzędnikach.

INFLANTY POLSKIE.

2 pazdziernika.

Wielka to u nas wada, że rozdzieleni pod różne rządy, nie mamy żywéj chęci wiedzieć jedni o drugich, znać się nawzajem. Jakby przyzwalając na podział Polski, części jéj zamykają się w granicach przemocą zakreślonych, prowincye mało albo nic nie wiedzą co się dzieje za ich obrębem. Nie godzi się przecież braciom, wspólną przyciśnionym biedą, tak zapominać się wzajemnie. Dlatego z przyjemnością pospieszam udzielić wam kilka na prędce zebranych w myśli szczegółów o jednéj z ziem polskich, najmniéj znanéj przez ogół, a zasługującéj na uwagę rodaków pod każdym względem. Chcę mówić o *Inflantach Polskich.*

Gdy traktat Oliwski pozbawiał Polskę Inflant, część ich, złożona z dystryktów dynaburskiego, rzeczyckiego, lucyńskiego i marienhausskiego, została przy rzeczypospolitéj pod nazwiskiem Księstwa Inflantskiego. Musieli i ojcowie nasi grzeszyć niewiadomością o tém księstwie, kiedy piszący w wieku przeszłym «Kronikę Inflant» Hylzen, użala się na to. Dziś ta niewiadomość doszła do takich rozmiarów, że Polakom trzeba mówić o In-

flantach jak o ziemi nowo odkrytéj, o któréj nawet w salonach literackich Warszawy mają tak niejasne pojęcie jak o Borneo lub Sumatrze. Wincenty Pol w swojéj *Pieśni o ziemi naszéj* Inflant nie wspomniał, chociaż znał z téj prowincyi kilka osób i mamy prawo sądzić, że te nie zostawiły jemu złego wspomnienia. Rossyanie, począwszy od samego cara aż do chłopa, lepszą w téj mierze mają pamięć. Mikołaj jednego razu jadąc z Petersburga, pytał Orłowa: «Czy prędko my do tych polskich Inflant wjedziemy?» Chłopi z gubernii Pskowskiéj często chodząc do nas na tańszą wódkę, ilekroć wybierają się za tę odwieczną granicę, mówią zawsze: *pojdiom w Polszczu* — pójdziem do Polski. Inflanty pozostałe przy Rzeczypospolitéj, dzieląc z nią wszystkie losy, doczekały się nakoniec losu Inflant szwedzkich. Nie zostały jednak i wtedy z niemi połączone. Po pierwszym rozbiorze kraju wchodząc w skład gubernii witebskiéj, utworzyły trzy jéj powiaty: dynaburgski, rzezycki i lucyński.

Prowincya ta, dwieście kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców licząca, oddzielona od Kurlandyi Dźwiną, na prawéj stronie téj rzeki rozciągając się ku północy, wchodzi klinem między gubernią rygską, obejmującą dawne Inflanty szwedzkie i gubernią pskowską. Od wschodu graniczy z dwoma powiatami białoruskiemi gubernii swojéj, z siebieżskim i drysieńskim.

Kraj zamożny i piękny, obfity jeszcze w lasy, nieźle zagospodarowany, przecięty szosą z Petersburga do Warszawy i robiącą się w tymże kierunku koleją żelazną. Druga taka kolej zamierzona z Kurska do Lipawy, zetknie się z pierwszą w Dynaburgu, zkąd pójdzie jéj gałąź do Rygi.

Szlachta i obywatele, chociaż niektórzy mają nazwiska niemieckie, prócz kilku Niemców i tyluż Rossyan dziedziców, wszyscy są Polakami, wyznania katolickiego. Włościanie Łotysze, katolicy także, stanowią lud miej-

scowy, przeważny liczbą, poczciwy, wielce pobożny, dosyć pracowity, po większéj części umiejący czytać, ale nieschludny i do pijaństwa skłonny. Pośród nich, w niektórych okolicach mają swe osady tak zwani Starowiercy, lud napływowy, wielkorossyjski, w skutek prześladowań religijnych za dawnych czasów przybyły do Polski. Osiedli oni najliczniéj w powiatach rzeczyckim i dynaburgskim. Trzeźwi, pracowici, ruchawi, przytém przebiegli i chytrzy, skoro tylko mają daną sobie swobodę, zwykle przychodzą do znacznych majątków przez handel, rozmaite spekulacye, a najwięcéj przez *podrady*, to jest branie robót za kontraktem od rządu lub od prywatnych osób. Bardzo są gościnni, miłosierni dla wszystkich proszących w imię Chrystusa, ochędożni i nawet aż do zbytku zamiłowani w strojach. Każdy młody Starowier musi mieć kaftan z cienkiego sukna, pas jedwabny, a nieraz malowane sanki i konia szybko biegającego kłusem — *rysaku*. Dziewczęta idąc w gościnę lub na jarmark, ubierają się w bławaty, zimą noszą szuby atłasowe, najczęściéj czerwone, a u bogatszych lisami, u biedniejszych białemi zającami podbite. Chleb jedzą zawsze czysty, herbaty coraz więcéj używają.

Poszukiwania we względzie ich religii są nader zajmujące. Wypada mniemać, że przy rozszczepianiu się Kościoła wschodniego chcieli oni pozostać wiernymi Rzymowi. Dowodzą tego stare ich do nabożeństwa książki, surowie zakazane, a kupowane na wagę złota, w których znajduje się na czele modlitwa za papieża. Pozbawieni późniéj opieki stanu duchownego, przyjęli wiele błędów i przesądów. Nie mając kapłanów, wybierają z pomiędzy siebie najzacniejszych na przewodników i nauczycieli, których nazywają *nastawnikami*. Ci zachowując najściśléj bezżeństwo, sprawują obrządki w *molenach* czyli bożnicach, rozsądzają spory, dają rady i w wielkiém są poważaniu. Rządu Starowiercy nie lubią, a do wiary swych przodków tak są przywiązani, że naj-

sroższe prześladowania za czasów Mikołaja, odwieść ich od nich nie zdołały. Używano rozmaitych sposobów. Tak naprzykład, ponieważ oni ślubów małżeńskich nie znają, i starosławiańskim obyczajem wykradając sobie żony, poprzestają na otrzymywaném późniéj błogosławieństwie rodziców i nastawnika, po czém wszakże żyją bardzo przykładnie i chociaż mogą rozstać się w każdéj chwili, rzadko się to zdarza: rząd postanowił, żony ich jako niezaślubione przed popem, uważać za nałożnice (sożytielnicy), a dzieci za nieprawne. Jeden obywatel został nawet pod sąd oddany za to, że urzędownie nazwał żonę taką współtowarzyszką Starowierca, co mu poczytano za występek należący do strasznéj kategoryi sprzeciwienia się Najwyższéj Woli. Wszelako, te i tym podobne prześladowania nic nie wskórały. Wielu nastawników do dziś dnia po więzieniach jęczy, inni umierając pod pałkami, wołali do gubernatorów: «Zamykajcie karczmy i domy rozpusty, ale nie domy gdzie się modlimy do Boga.» Ucisk ten zwolniał podczas wojny krymskiéj, bo Starowierców jest dużo w Rossyi, w samym Petersburgu i w Moskwie, zkąd nieraz przychodzą wozy ładowne odzieniem dla biedniejszych współwyznawców. Cała ziemia Kozaków dońskich jest ich religii, a tajemny węzeł tak silnie spaja wszystkich, że jakaś nić łączy nawet mieszkających nad Donem z osiadłymi w Prusiech, gdzie zaszli także, szukając swobody religijnéj i otrzymali pozwolenie stawić swoje moleny. Mają jakieś proroctwo, że Rossya po wzięciu Konstantynopola upadnie.

Pozwoliłem sobie nieco obszerniéj pomówić o starowiercach, raz dlatego, że są bardzo skłonni ku katolicyzmowi, powtóre, że szczérze sprzyjają Polakom, u których zawsze i wszędzie znajdowali przytułek i pomoc.

W stronie wchodniéj powiatu lucyńskiego, na pograniczu z Białą Rusią, jest kilkanaście tysięcy ludności

niegdyś unickiéj, dziś zamienionéj w prawosławną. Był i tu opor, ale rządowi poszło łatwiéj z b. biskupem Łużyńskim i księżmi unickimi niżeli z nastawnikami starowierców. Lud opuszczony przez duchowieństwo musiał nakoniec uledz.

Jeżeli do tego składu różnorodnych mieszkańców dodamy Żydów, osiadłych po miastach powiatowych, zajmujących się handlem i lichwą, oszukujących panów i chłopów, będziemy mieli cały obraz ludności naszych Inflant.

Nie mając pod ręką cyfer statystycznych, co do powiatu dynaburgskiego żadnych, a co do innych dwóch powiatów, zupełnych, nie mogę wchodzić w szczegółowe wyliczenie mieszkańców należących do różnych stanów i wyznań. Żeby jednak dać jakiekolwiek wyobrażenie stosunku liczebnego w obu tych wzgędach, przytoczę następne liczby. W roku 1857, ludność powiatu rzeczyckiego, zawierała dusz męzkich płacących podatek 34,209, a wedle stanu tak się dzieliła : *Kupców* trzeciéj giełdy, różnych wyznań chrześciańskich 75, starowierców 152, Żydów 33, razem 260. —*Mieszczan*, chrześcian 735, Żydów 1,140, hrażdan 19, razem 1,894.— *Kozaków* czyli *Pancernych* bojarów niegdyś stanowiących straż graniczną 41. — *Jednodworców*, dawniéj szlachty 414. — *Włościan*, skarbowych 5,715, obywatelskich 25,885, razem 31,600. — W tymże roku 1857, ludność powiatu lucyńskiego, wynosząca płci obojéj 66,697, pod względem religijnym obejmowała : *Katolików* 50,893. — *Prawosławnych* 14,022. — *Starowierców* 1,441. — *Lutrów* 91. — *Żydów* 250. Powiat ten miał kościołów katolickich parafialnych 19, filialnych 2, kaplic 8; kościołów innych wyznań 10.

Byt ludu, szczególnéj w porównaniu z Białą Rusią, dosyć jest dobry. Gospodarstwo trzypolowe, ale silne. Wsie dobrze zabudowane, a ostatniemi czasy chęć do upiększania siedlisk wiejskich znacznie się rozszerzyła.

W powiecie rzerzyckim, w Wielonach, majętności p. Janowskiego, powstały ważniejsze fabryki: płótna, cygar, wyrobów garbarskich i odlewów kruszczowych. Pierwsza z nich źle idzie. Handel główny Inflanty prowadzą z Rygą, dostawując tam Dźwiną, lub lądem saniami, bydło, łój, skóry, masło, siemie lniane, pszenicę, rzadko inne zboże (bo to sprzedaje się na miejscu), nadewszysko zaś len, a w zamian biorąc sól i towary kolonialne. Żelazo i zboże, jeśli go potrzeba w latach nieurodzaju, przychodzi Dźwiną z góry.

Zakres listu nie pozwala mi wdawać się w obrazowe opisanie kraju, chociaż turyści mogą tu znaleźć i prześliczne widoki miejsc i drogie sercu polskiemu zabytki przeszłości. Rzucę tylko w téj mierze kilka pobieżnych rysów.

Głownem i prawie jedyném miastem Inflant jest Dynaburg. Miasto to ma swoje pamiątki historyczne, dzisiejsze znaczenie militarne i wielką przyszłość handlową; ale jako moralne ognisko życia nie gra żadnéj roli dla okolicznego kraju. Po środku wznosi się wspaniały kościół przez Batorego dla Jezuitów wystawiony, dziś zamieniony w cerkiew prawosławną i murami pierwszorzędnéj twierdzy objęty. Katolicy postawili sobie ze składek niewielki, ładny kościołek. Twierdzę otaczają rozległe, powiększéj części z drzewa porządnie zabudowane przedmieścia. Wał ziemny, kosztem dwóch milionów r. sr. usypany nad brzegiem rzeki, broni je od zalewów. Grzbietem tego wału, osadzonym drzewami winie się szosa. Dynaburg posiada gimnazyum, ale nauki w niém wykładane są nędznie i jak wszędzie w prowincyach zabranych, po rossyjsku. Miasto przepełnione wojskiem, ma charakter narodowości mięszanéj. Teatr rossyjski utrzymuje się kosztem oficerów i czynowników. Porządniejsi obywatele rzadko tu zaglądają, a stale nikt z nich, oprócz urzędników wyborowych, nie mieszka. Niedaleko od miasta leżą ruiny starego zamku,

którego starostami byli hrabiowie Platerowie. Ich własnością dotąd jest miasteczko Krasław, w piękném położeniu nad Dźwiną. Również malowniczém położeniem nad tą rzeką odznacza się Kreizburg, czyli Krzyżburg, który pisano: †burg, niegdyś rezydencya hermistrzów inflantskich, barona Korfa.

Stolica powiatu rzeczyckiego, pod każdym względem licha mieścina, świeci tylko pięknemi ruinami starożytnego zamku, który panował tu niegdyś wśród ciemnych lasów. Gdzie dziś rozciągnięte druty telegrafów elektrycznych, brzmi trąbka konduktora dylyżansu, a wkrótce zagwiżdże przebiegająca machina parowa, pod koniec wieku XVI°, jak opiewa lustracya starostwa rzeczyckiego w 1593 r. robiona, mało jeszcze mieszkało ludzi, zamiast wiosek stały gony bobrowe, a lasy były tak wielkie, że « owsa niemożna było siać, dla dzikiego zwierza. » Lasy te znikły jak wszędzie, nietylko skutkiem wzrastającéj ludności, ale też przez złą gospodarkę i niedozór, szczególniéj w dobrach skarbowych. Koléj żelazna doreszty je wyniszczy.

Miasto powiatowe Lucyn, złożone z 334 drewnianych dwóch murowanych domów, szczyci się również zwaliskami pysznego zamku, który miał być bardzo obronny i niedawno jeszcze był w części zamieszkały. Z ruin tych na wysokiéj górze przy dwóch jeziorach, widok prześliczny. W powiecie lucyńskim leży także Marienhaus z resztami zamku na wyspie wielkiego jeziora. Tu zachowały się dotąd ogromne puszcze z mnóstwem niedźwiedzi, rysiów, łosi i wszelkiego zwierza. Brak spławnéj rzeki ocalił to bogactwo dla późniejszych czasów, które znajdą sposób obrócenia go na użytek i zapewne użyją roztropniéj. Na błotach marienhauskich znaleziono kotwicę trzyramienną, wedle wszelkiego prawdobieństwa fenicką, co może stwierdzać domysł, że okolice tutejsze były niegdyś zalane wodą morza Baltyckiego. Mówi za tym domysłem grunt płaski, wilgotny i niezmiernie

rozległe moczary, wśród których leży ogromne jezioro Łubań, na dawnych kartach zwane *Mare Lubanicum*. Wiadomo zresztą, że morze Baltyckie cofa się ciągle, i Ryga założona nad samym brzegiem, dziś jest o kilka wiorst od niego odległą. Muszę tu uczynić wzmiankę o jednéj osobliwości miejscowéj. W północno wschodniéj stronie błót lubańskich, jest okolica *Birżami* zwana, w znacznéj części należąca do p. Benisławskiego, która słynie nadzwyczajną urodzajnością. Pszenica daje tu 40, a żyto do 29 ziaren. Szczególniéj odznacza się żyznością wzgórze wznoszące się wśród łąk i bagien, które słusznie nosi nazwisko Złotéj Góry.

Rzućmy teraz okiem na moralne i umysłowe usposobienie szlachty inflantskiéj. Ogólną naprzód cechą pod tym względem, nadającą nawet zewnętrznie jakiś odrębny charakter krajowi, jest, że się tak wyrażę — pewna staroświeckość. Nie śmiałbym tego powiedzieć, gdyby nie zwróciły na to mojéj uwagi postrzeżenia rodaków z innych prowincyj nas odwiedzających, mianowicie nieco dawniéj. Inflanty zdawały się im być zachowaną próbką téj Polski przedrozbiorowéj, o jakiéj tylko słyszeli, jaka była za czasów Stanisława Augusta. W mieszkaniach, w sprzętach, w sposobie życia, w zwyczajach, widzieli oni coś takiego, co tchnęło żywą tradycyą, gdzieindziéj już przygasłą lub zatraconą. Może starodawna powierzchowność i u nas zmienia się, blednie, ale śmiem zapewnić, że uczucia, wyobrażenia, cnoty ojczyste, silnie trzymają się gruntu.

We wszystkich epokach prowincya nasza dawała dowód, że jest częścią niezamarłą narodowéj całości. W Legionach, w armii Napoleona I, mieliśmy naszych reprezentantów, i są jeszcze dziś tacy między nami, co pokręcając wąsa przypominają, że konno jeździli do Moskwy. Poruszenie r. 1831 nie dosięgło aż do nas, ale była gotowość i były ofiary. Augustyn Sokołowski, leżący w łóżku ze złamaną nogą, został porwany do Peters-

burga. Dwóch braci, Alexandra i Antoniego Ryhów, zawieziono do Rygi i zamknięto w cytadeli. Zamilczam innych. Późniéj, z powodu oporu przeciw znoszeniu unii, kilku obywateli zesłano w głąb Rossyi, między innymi, marszałka Bilikowicza. Za panowania Mikołaja, urzędujący natenczas marszałek gubernski Borch, zesłany do Jarosławia, dopiero niedawno wrócił.

Muszę tu, bez pochlebstwa wyznać, że drugą z cech odznaczających szlachtę naszę, jest pełne taktu zachowywanie godności w stosunkach z władzami rządowemi; nie pokazuje ona nigdy ani lękliwego drżenia, ani służebniczych przymilań się i nadskakiwań. Wzorem w téj mierze był, sędziwy i dostojny ś. p. Józef Borch, ojciec Michała. Piastował on także urząd marszałka gubernii witebskiéj i miał ciągle doczynienia ze sławnym satrapą, generał-gubernatorem księciem Chowańskim. Wiele jest pamiętnych i ciekawych anegdot o starciach się między nimi. Przytoczę jednę. Z jakiegoś powodu policya aresztowała i zaprowadziła na odwach szlachcica obywatela. Borch uwiadomiony o tém, ubiera się w wielki mundur komandorski zakonu maltańskiego, który zwykł był nosić dla uniknienia innego munduru, kładzie na piersi wszystkie swoje gwiazdy orderowe, jedzie na odwach, zasiada przy szlachcicu i każe oznajmić generał-gubernatorowi, że jest uwięziony. Chowański zdziwiony i zmięszany, przybiega sam do niego, rozpytuje się coby to znaczyło i otrzymuje taką odpowiedź: «Jestem reprezentantem szlachty; każde zgwałcenie jéj praw, powinno być naprzód na mojéj osobie wykonane.» Znalezienie się to sprawiło pożądany skutek. — Do rzędu podobnych przykładów, należy zdarzenie późniejsze. Kiedy po wzięciu Warszawy wojska wracały w głąb Rossyi, bohatér z pod Puław, książe Wirtembergski, na czele swych szyków wchodząc do Witebska, kazał muzyce grać narodowe pieśni polskie. Szlachta była natenczas zgromadzona na sejmiki gubern-

skie i właśnie nazajutrz miał być dany bal szlachecki. Książe W. przysłał prosząc o bilety dla siebie i dla swoich oficerów. Wręcz mu odmówiono. Generał-gubernator rozdąsany, zawezwał ówczesnego marszałka gubernskiego do wytłumaczenia się z téj obrazy wyrządzonéj osobie tak znakomitéj. Marszałek z całą otwartością wymienił powód i dodał, że albo balu nie będzie, albo książe i jego oficerowie na nim znajdować się nie będą, gdyż nie ręczy aby ich tam co nieprzyjemnego nie spotkało. Bal był, ale bez tych nieproszonych gości.

Z kolei wspomnieć mi wypada, że po wstąpieniu na tron nowego Cesarza, gubernia witebska, w któréj szlachta inflantska nie pozostaje poślednią na drodze obywatelskiéj czynności, pierwsza powzięła myśl podania do niego petycyi : o wolność stanowienia i naprawienia kościołów katolickich, o prawo wybierania jak dawniéj urzędników policyi ziemskiéj, o język polski w szkołach i t. d. Wiadomo jaką dał na to odpowiedź minister Łanskoj. Ale inne gubernie kraju zabranego, które poszły za przykładem witebskiéj, lecz nie naśladowały jéj w tonie próśb swoich, pełnych czołgania się niewolniczego, nie dostąpiły nawet zaszczytu odpowiedzi.

Inflanty otoczone elementem obcym, nic z niego nie przyjęły, a do utrzymania pewnéj niezależności moralnéj, przyczynia się tu wiele nie rozłączanie w sumieniu interesów prywatnych od narodowych. Obywatele starając się uniknąć potrzeby, a nie zważając na żadne powaby korzyści, nie przedają, jak gdzie indziéj, majątków swoich Niemcom, bo mieliby to sobie za grzech przeciw miłości ziemi ojczystéj.

Co się tyczy obyczajów, powiem tylko, że opinia publiczna nie nawykła jeszcze patrzeć przez szpary na domowe i familijne pożycie. Jak najstarsi ludzie zapamiętać mogą, nie było w Inflantach rozwodu, wtenczas nawet kiedy w całéj Polsce co rok można było spotkać się z rozwódką. Seperacyi dwa tylko zdarzyły się przy-

kłady. Z pomiędzy cnót staropolskich gościnność kwitnie u nas w całéj mocy, przechodząc niekiedy przyzwoitą miarę serdecznych wylewów kielichem. Gdyby przyszło wytykać słabości i wady, zapewne znalazłoby się i o tém co powiedzieć; ale póki te należą do chwilowych i wyjątkowych usterków, wolno przemilczeć o nich: ogólniejszego znaczenia jest wrodzona wprawdzie, zawsze jednak zła skłonność do intryg i zapamiętałych zajść sejmikowych. Bywa, że miłość własna, głupstwo i krzywa chęć jednego lub kilku, zakłóca zgodę powiatu i nawet w całą gubernią rzuca rozdwojenie; wszelako i ci jeszcze stanowią wyjątek wśród ogółu myślącego poczciwie i widzącego jasno. Sprawiedliwość nakazuje mi oddać, że powiat lucyński odznacza się jednością nigdy niezachwianą.

Jakkolwiek chlubnie jest nam przyznawać się do utrzymania się przy niektórych zaletach przeszłości, nie idzie za tém żebyśmy nie mieli postępować równo z drugimi na drodze dzisiejszéj oświaty. Owszém, chociaż nie mamy punktu koncentracyi, jakim naprzykład jest Wilno dla Litwy, a inne wielkie miasta są dla innych części Polski, nie dajemy się jednak wyprzedzać. Młodzież nasza udaje się do uniwersytetów i zakładów naukowych słynniejszych; nie masz domu, w którymby nie trzymano gazet i pism peryodycznych; staramy się wiedzieć o wszystkiém co się w innych stronach polskiéj ziemi dzieje; czytamy co piszą, kupujemy co wydają. Żadna może prowincya stosunkowo nie kupuje tylu książek. Dowodem tego jest, że nigdzie nie snuje się tak wielu księgarzy wędrownych, a księgarnia polska w Dynaburgu robi dobre interesa. Mamy kilku ludzi światłych, oddanych pracom literackim. Do liczby téj należą: Michał Borch b. marszałek gubernski; Kazimierz Bujnicki wydawca *Rubona* i utalentowany powieściopisarz, hr. Adam Plater, nakoniec zawołany nasz agronom Józef Gerold Wyżycki, autor *Zielnika* i innych dzieł użyte-

cznych. Przytém kilka młodych osób płci obojéj probuje sił swoich w pismiennictwie. Był chwalebny zamiar wydawania pisma zbiorowego, obywatele złożyli odrazu na ten cel dwa tysiące rubli, ale nie zdołano wyjednać przyzwolenia rządu.

Kobiety nasze, przy należytém wykształceniu umysłu i serca, nabożne bez przesady, dobroczynne z uczucia chrześciańskiego, oddają się głównie zatrudnieniom domowym, wychowaniu dzieci swoich i włościańskich, leczeniu kmiotków. Są one prawdziwém ogniwem patryarchalnych stosunków między dziedzicem i poddanymi. Oznajmione z literaturą obcą, zamiłowane w swojéj, umieją nieraz na pamięć piękniejsze ustępy poezyi naszéj, a w najzamożniejszych salonach nie mówią inaczéj jak po polsku. Trudno byłoby żyć pośród nich kobiecie emancypowanéj.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o tém, co teraz najmocniéj zajmuje wszystkich i może być niejako uważane za *criterium* umysłowych i moralnych usposobień naszych — o kwestyi włościańskiéj. Obudziła się chwalebna i dobrze wróżąca emulacya, skutkiem któréj różne strony naszego kraju pod berłem rossyjskiem, chcą mieć zaszczyt pierwszeństwa zamiarów i kroków na drodze uwolnienia włościan. Jeżeli w tém nie byliśmy najpierwszymi, przynajmniéj o niewieleśmy się spóźnili, chociaż poza obrębem naszéj prowincyi mało to komu wiadomo. Jeszcze za panowania Alexandra I, zrodziła się w powiecie dynaburgskim myśl oswobodzenia chłopów. Wyznaczony komitet ułożył piękny projekt, który kilka razy podejmowany, dla względów politycznych zawsze upadał. Późniéj, pod panowaniem Mikołaja, znowu poruszono tę sprawę bez żadnéj zkądkolwiek podniety. Cała gubernia witebska zastanawiała się nad nią. Były trudności do zwalczenia szczególniéj z powiatami, horodeckim, wieliżskim i surażskim ale gdy przyszło do wotowania, znaczna większość okazała się

za usamowolnieniem. Napisano adres do Cesarza, nie wahając się w nim wyrazić że «ani czas w którym żyjemy, ani zasady religii chrześciańskiéj nie cierpią niewoli.» Surowe upomnienie było odpowiedzią. W niemożności dopięcia tego celu, obywatele przemyśliwali nad sposobami zbliżenia się do niego przez miejscowe urządzenia. W powiecie rzerzyckim ukazały się pierwsze próby oczynszowania włościan, z wielką dogodnością dla nich i z pomyślnym skutkiem. Przykład dał Władysław Sołtan. Naostatek, kiedy kwestya włościańska wytoczyła się pod opieką woli monarszéj, gubernia witebska przystąpiła do niéj z pośpiechem. Na zjezdzie marszałków, gubernator puszczając rzecz w przewłokę, dał się z tem słyszeć, że dosyć jest czasu. «Jak to! — przerwał mu marszałek dynaburgski hr. Stanisław Zyberg Plater. — Jestto plama ciężąca nietylko na nas, ale i na ojcach naszych; im prędzéj ją zmyjemy tém lepiéj.» Na wniosek zaś, że pierwéj należałoby porozumieć się z obywatelami Inflant, odrzekł: «Nie masz tego potrzeby; ja znam ich i słowem uręczam pana gubernatora, że nie znąjdzie się w Inflantach *żaden* obywatel, któryby był przeciwnym oswobodzeniu włościan.»

Teraz, wybrani deputowani pojadą do Witebska radzić ostatecznie. Wspieraj ich Boże!

Pozwólcie list mój zakończyć wiadomością przyjemną dla oddalonych Inflantczyków. Hrabia Tytus Działyński, znany mąż ze światła i zacności, przyrzekł znajdujący się w Kurniku niezmiernie rzadki opis Inflant za czasów Zygmunta Augusta drukowany, kazać rozmnożyć w Paryżu na liczne *fac-simile*, i egzemplarze te nam ofiarować. Upominek ten z jednego krańca dawnéj Polski na drugi jéj kraniec posłany, będzie zakładem wzajemnéj naszéj miłości i wróżbą ściślejszego połączenia.

PRZYJĘCIE
ALEXANDRA CESARZA W WILNIE.

---

9 pazdziernika.

« Cesarz przybył z Mińska do Wilna dnia 18 (6) września o pół do dwunastéj. Dzień był jasny i ciepły, miasto wystrojone uroczyście, ganki i okna pełne kobierców, kwiatów i widzów, ulice oszpalerawane tłumem ciekawych. N. Pan witany okrzykami zajechał do pałacu generał-gubernatora, gdzie urzędnicy i dygnitarze trzech naszych gubernij, wileńskiéj, kowieńskiéj i grodzieńskiéj, zgromadzeni czekali na niego od kilku godzin. Kazał sobie przedstawić gubernialnych i powiatowych marszałków, członków komitetów włościańskich i znakomitszych obywateli. Był w dobrym humorze, dziękował za radośne powitanie i za podniesienie jego ulubionéj myśli co do włościan. Udał się potem do soboru, a następnie do katedry, gdzie go przyjmował metropolita Żyliński. Temu powiedział, że za jego panowania żaden katolicki kościoł nie będzie zabrany na prawosławny. Wieczorem był w teatrze; *admirowano* jego wesołe usposobienie i cierpliwość, bo dosiedział do końca. Oświecenie miasta, o ile miejscowe środki

dozwolić mogły, było rzęsiste, a pod względem smaku odpowiadało różnorodnym usposobieniom mieszkańców. Żydzi na ulicy Niemieckiéj powystawiali swojego pomysłu łuki tryumfalne; pałac Tyszkiewiczów jaśniał wielkim blaskiem dwugłownego orła; p. Van Blavenberg, naczelny tutaj inżynier francuzkiéj kompanii dróg żelaznych, mieszkanie swoje w domu Fiorentinich oświecił na sposób paryzki; najpiękniéj zaś wyglądały iluminowane wieże kościoła Ś. Katarzyny i trzy krzyże na górze za Wilenką, które zdawały się unosić w powietrzu, nad miejscem śmierci dawnych męczenników za wiarę. Nazajutrz rano Cesarz był w Ostréj Bramie i modlił się przykładnie, a wieczorem zaszczycił swoją obecnością bal dla niego dany. Przygotowania do tego balu długo i z wielkim kosztem robione, istotnie się udały. Architekt Bem dobrze się wywiązał ze swego zadania i lokal klubu w pałacu Ogińskich ślicznie urządził. Sala do tańca, mianowicie sala jadalna mogłyby ujść i w Paryżu. Cesarz ukazał się w mundurze ułańskim, jak zawsze z uśmiechem na twarzy i nadzwyczaj ożywiony. Po przedstawieniu jemu dam, bawił się uprzejmie, tańcował siedem polonezów, z generał-gubernatorową Nazimow i z sześcią gospodyniami balu. Honor gospodarowania piastowały: z gubernii wileńskiéj hrabiny Michałowa z Radziwiłłów Tyszkiewiczowa i Alina z Żabów-Marcienkiewiczów Platerowa; z gubernii kowieńskiéj śliczna hr. z Ledochowskich Morykonina i księżna Jabłonowska, z domu Tyszkiewiczówna, córka Benedykta; z gubernii grodzieńskiéj hr. ze Skirmuntów Orzeszkowa i księżna Lubecka, nie pamiętam już kto z domu. U stołu Cesarz siedział między paniami Nazimow i Orzeszkową, z któremi też i pierwéj najwięcéj rozmawiał. Zajmował się niemi ciągle, nakładał im potrawy na talerze, do pani Orzeszkowéj gadał po polsku, na dowód — jak mówił — że kocha Polaków. Po skończonym balu dziękował marszałkowi Domejce, a wyrażając swoje zadowolenie

dodał, iż tak mu się Wilno podobało, że przyszle tu cesarzowę małżonkę, sam zaś swojéj wdzięczności czynami dowiedzie. Ścisk na balu był okropny; tańcujące panie musiały paradne suknie swoje w garść zbierać, na mało przeto przydały się lamy srebne i pyszne materye lyońskie, po które jeżdżono do Paryża. W ubiorach kolor liliowy przemagał, co także wieczorem nie robiło efektu. Damy nasze niektóre, z przesadą prowincyonalną w takie powłaziły krynoliny, że podobne były do beczek lub dzwonów chodzących; inne bez smaku obwieszały się zbytecznie całym zapasem brylantów i koron, przy czém gorzéj jeszcze wydawały się ich niepiękne i podstarzałe twarze. Miléj daleko było patrzyć na białe skromne sukienki naszych panienek przy ładnych ich twarzyczkach. Cesarz zażądał mieć na pamiątkę fotografowane wizerunki gospodyń balu, pani Nazimów zaś ofiarował gwiazdę Ś. Katarzyny — jako od panującego, a naszyjnik brylantowy — jako od przyjaciela. Prosił także metropolity o kopią obrazu Najświętszéj Matki Ostrobramskiéj.

»Na trzeci dzień odbyło się polowanie, urządzone przez Tyszkiewicza w lesie, niedaleko Kierżanki. Długo pierwéj w zamknięciu trzymana zwierzyna udawała wybornie, że jest dziką i z najpoddanniejszą uległością pozwalała zabijać się N. Panu. Strzelił razy 50 i ubił 20 sztuk grubego zwierza.»

Otoż i macie całą wiadomość. Nic nie zaszło osobliwego, bo i cóż takiego zajść miało? Cesarz był rad ze szlachty litewskiéj, szlachta z Cesarza — to już stało na programacie, to leżało w wiadomem zawczasu usposobieniu stron obu. Chcąc zaś zastanawiać się nad tém usposobieniem, robić wnioski jakie ztąd będą następstwa, mojém zdaniem, nietrzeba sięgać ani głęboko ani daleko. Osobistość i polityka cesarza Alexandra, jakiekolwiek są, jakkolwiek być mogą, zgodne lub sprzeczne z sobą, nie oznaczyły się tu żadnym wyraźniejszym ry-

sem. Obiecał nie zabierać więcéj kościołów, mówił po polsku, zapowiedział że czynami da dowod swojéj życzliwości. Ale czy to ma znaczyć, że nam odda co zabrano, przywróci co zniesiono, pozwoli w szkołach i sądownictwie używać ojczystéj mowy, być Polakami, « których kocha » wątpię i nie sądzę nawet aby tego spodziewano się po owych zapowiedzianych czynach. Po prostu więc, ani w obietnicach cesarza, ani w nadziejach szlachty nic pewnego, nic określonego. Alexander ma racyą być zadowolony, bo mu ufają; szlachta ufa, bo w ostatku cóż ma robić! Ztąd uprzejmość zobopólna, o tyle szczera o ile obie strony nie patrzą daléj, nie zdają sobie sprawy z ostatecznego kresu wzajemnych wymagań, cieszą się chwilą. Kto się tu na kim lub na sobie samym zawiedzie, czas to pokaże. Jednę tylko muszę dodać uwagę. Kiedy mowa o takich demonstracyach jak terazniejsza, niesłusznie używać wyrazu szlachta, w całéj jego rozciągłości zbiorowéj. Wiadomo że społeczność u nas bardzo uwarstwowana, i co w pewnych zdarzeniach kryje się na dno, to w czasach jak dzisiejsze szumi i świeci na jéj powierzchni. W téj warstwie jeszcze, częstokroć kilka figur, wyższych jedynie imieniem lub majątkiem, réj wodzi, nadaje ton i kierunek. Z tych panów nie należy brać miary instynktu i rozumu politycznego ogółu. Mają oni swój instynkt i rozum udzielny; mają swoje i do swoich tylko widoków ograniczone nadzieje, które, choćby cesarz chiński panował, z widokami jego pogodzić się dadzą. Dla nich, ręczę najpowabniejszą obietnicą cesarza Alexandra jest przysłanie do Wilna cesarzowéj. Będzie znowu sposobność zabawienia się, figurowania, pokazania się pochlebnie oku monarszemu, wydania tak przyjemnie i świetnie drugich ośmiudziesiąt tysięcy rubli sr. Alboż to mało szczęścia dla naszych trzech gubernij nazywających się *par excellence* Litwą!

Żebym cokolwiek ulżył zarzutów mogących spadać

na prowincyą naszę, muszę i to przywieść na pamięć, że po takich cięgach jakie zadawała ręka Mikołaja, upojenie się dobrotliwością Alexandra daje się w części wytłumaczyć. Tyrania wydobywa z ludzi pewien rodzaj uczucia właściwego zwierzętom, których imienia używamy na nazwę podłości. Wyżeł oćwiczony, skoro pan bić go przestanie, pełza mu u nóg, skacze do piersi z oznakami najżywszego przywiązania, rzucony batog podaje w zębach z takiem zaufaniem radośném jak gdyby był pewien, że już nigdy na niego nie będzie użyty. A i to jeszcze jest w ludziach, że im bardziéj lubią przedpokojowe fawory, tem bliżsi są łaszczącéj się natury!.....

MNIEMANE ZEPSUCIE ZACHODU.

6 listopada.

Kilka już razy zwracaliśmy uwagę na często odzywającą się w pismiennictwie naszém krajowém niechęć i niemal wzgardę dla Francyi, bądź pod ogólném mianem Zachodu, bądź pod jéj własném nazwiskiem, wprost i wyraźnie pomawianéj o upadek na duchu, pogrążenie się w materyalizmie, i t. d., i t. d. Podobne zarzuty, zczególniéj głoszone w dziennikach warszawskich, zdawały się nam ledwo zasługiwać na lekkie dotknięcie z ich strony śmiesznéj. Rzeczywiście, cóż jest zabawniejszego jak słyszeć Warszawę ubolewającą nad płochością i zepsuciem Paryża! Ale gdy się to ciągle, w rozmaitéj formie, z coraz mocniejszym naciskiem powtarza, gdy okoliczności czasowe mogą zboczeniom sądu i uczuć dać kierunek bardzo dla nas zgubny, musimy pomówić o tém nieco obszerniéj.

Przedewszystkiém, kiedy mowa o Francyi, zawsze postrzegamy ze smutkiem, że sąd o niéj w kraju jest powierzchowny i jednostronny, a to pochodzi głównie z usposobienia niezdolnego patrzeć głębiéj, i wartości narodu mierzyć wielką miarą zadań chrześciańskiego

świata. Bywają pismom krajowym rzucane zdaleka w ich kolumny zdrowe myśli i zdania w tym względzie. Ale niedość rozwinięte, lękliwie osłonione powagą prawd pospolitych, wyrażone wreszcie jak do pokazania cenzurze, nie zastanawiają nikogo, przechodzą bez skutku, giną bez echa. Bywają i na miejscu rozsądne odzywania się przeciwko «tak u nas modnym, a tak przesadzonym, niesłusznym i *nieszczerym* deklamacyom i sarkazmom na społeczność francuzką, na jéj obyczaje i literaturę.» Ale ponieważ, aby okazać tę przesadę, niesłuszność i mianowicie *nieszczerość*, trzeba byłoby pierwéj zbić mnóstwo fałszywych, a także bardzo modnych u nas wyobrażeń o własnéj moralności i literaturze, więc dobre rady i przestrogi na nic się nie przydają. Tymczasem, tłum stałych i wędrownych korespondentów, zalewa dzienniki krajowe samemi prawie szumowinami chwytanemi z powierzchni potocznego życia francuzkiego. Nawał doniesień, sprawozdań, opisów codziennie posyłanych z Paryża, bez zastanowienia się na co to potrzebne i przydatne krajowi, częstokroć bez innego powodu i celu, prócz chęci dopełnienia kontraktu z tą lub ową redakcyą, przyczynia się już bardzo do odurzenia umysłów jaskrawym, mozaikowym, niesfornym, a zawsze jednostronnym i przeto fałszywym obrazem. Gorzéj gdy jaki podróżny statysta, zaledwo dopadłszy pióra w hotelu, pozwala sobie pobieżnych postrzeżeń, które nieznacznie zamieniają się w stanowczy wyrok o przeszłości, obecnym stanie i przyszłości Francyi. Najgorzéj zaś, kiedy i ci co te wyroki kreślą i ci co z nich swoje wnioski robią, uzbrojeni są w szkiełko jakiéj ciasnéj i wyłącznéj, albo bezzasadnéj i mglistéj doktryny.

Rewolucya i porządek, jako znamiona dwóch sił przeciwnych ważących się w biegu rzeczy dzisiejszych, stają jeszcze dla wielu umysłów na drodze wszystkich pojęć przywidzeń i życzeń. Widocznie, mamy u nas przyczajonych stronników rewolucyi i jawnych szermierzy

porządku, a chociaż nie można przypuścić, aby Polak nie zakładał sobie, w tryumfie téj czy owéj dążności, pewnych zmian na świecie, trudno zgadnąć czego chcą i spodziewają się tak pierwsi jak drudzy. Wszyscy jednozgodnie potępili Francyą i to jest bardzo smutnym znakiem: pokazuje, albo upadek wszelkich nadziei, albo oparcie ich gdzieindziéj.

Napotykamy naprzykład takie zdania. Za starszéj linii Burbonów zawrzała walka wyobrażeń, która natężyła ruch myśli i podniosła wysoko pismiennictwo francuzkie. Za Ludwika Filipa walka ta przeciągając się jeszcze, wpadała już pod kierunek interesu partyi lub osób, a literaturę szał ogarnął. Po gorączkowym wstrząśnieniu w r. 1848 przyszło omdlenie i potrzeba odpoczynku, wszelkie inne żądze zastąpiła żądza używania, bogactw, przepychu, zbytku. Władza, która się wzniosła, odpowiedziała téj potrzebie i temu usposobieniu. Pod żadném panowaniem postęp materyalny nie był tak uderzającym i spiesznym jak za rządu obecnego, wydoskonalenie i tryumf materyi są zupełne, a stan ten odbił się na dziełach literatury i sztuki; nic znamienitszego, wszędzie mierność, wszędzie brak talentów wyższych. Jeżeli stan ten długo potrwa, niewiadomo co się stanie z narodem; lękać się trzeba żeby dla wygody nie poświęcił swojéj godności.

Dotąd zgoda między naszymi sędziami Francyi, bez względu na różnicę własnych ich wyobrażeń i usposobień; ale daléj zachodzi rozdwojenie. Jedni każą jeszcze nie rozpaczać o niéj, bo ten sam porządek rzeczy, ta sama władza, co dogadzając skłonności ogółu tak wspiera postęp materyalizmu, polepsza razem stan religii dzielniéj niż którykolwiek z rządów poprzednich. Za Karola X, zabiegi króla i arystokracyi usiłowały podnieść religią, ale były zbyt gwałtowne i *niezręczne;* za Ludwika Filipa obojętność panującego mieszczaństwa zostawiała ją na stronie, bez prześladowania i bez wsparcia: rząd

dzisiejszy udziela opieki jéj strażnikom, powiększa wpływ i powagę duchowieństwa. Nikt teraz nie śmieje się z księdza na ulicy, po kościołach pełno ludzi. Zapewne nie jest już wszystko jak najlepiéj, parę pokoleń przeminie nim się złe naprawi, ale wnuki dziś żyjących wzrosną w innych wyobrażeniach i natenczas naród francuzki dźwignie się z upadku... — Drudzy, nie przypuszczając i téj nadziei, wykrzykują ze śmiechem sardonicznym: co za świetna przyszłość! jakie to wzorowe społeczeństwo wyjdzie z cudownego połączenia wyuzdanego materyalizmu z gorliwą pobożnością!

Łatwo jest widzieć ile podobnie ciasny sposób zapatrywania się na rzeczy jest błędnym i do czego prowadzi. Ale niedostatek sądu nietyle tu zasmuca co brak uczucia. Doktorowie robiący studya patologiczne nad Francyą, troskliwsi o zbawienie jéj duszy niżeli uratowanie życia, z tak zimnym spokojem obiecują jéj rekonwalescencyą w trzeciém pokoleniu, jak gdyby na dziś wcale ich nie obchodziło czém była, czém jest, czem być powinna w świecie chrześciańskim, mającym przecież tyle do rozwiązania zadań, z których każde niemal stanowi obręcz naszych okowów. Stronnicy szkoły przeciwnéj poglądają na mniemany upadek Francyi z jakąś złośliwą radością, z jakąś bezmyślną uciechą, jak gdyby im w czém zawiniła lub stała na zawadzie.

W cóż się obrócił ten tradycyjny i logiczny, tajemniczy i rozumny węzeł, łączący jeszcze niedawno serca i dusze dwóch narodów, węzeł tak gorącą krwią wspólnie przypieczętowany, tak jasném słowem mędrców i wieszczów naszych wyłożony? Zaprawdę, gdyby istotnie należało zwątpić o Francyi, powinnibyśmy wydać jęk boleści nad nią i nad sobą razem. Znakiem to byłoby, że przeważyła w świecie strona przeciwna najistotniejszym naszym interęsom i najdroższym nadziejom. Czemuż ci z pomiędzy nas, którym się zdaje, że Francya straciła swoje stanowisko na czele narodów

albo zrzekła się swego powołania, nie trwożą się i nie smucą? Oto bo przygasłe w nich uczucie polskie, pozwoliło nad umysłami wziąść górę doktrynom prowadzącym w różnych kierunkach tak daleko, że interes i nadzieja udzielności narodowéj znikają z oczu, stają się rzeczą podrzędną, jeżeli nie zbyteczną.

Szczęściem ani Francya nie straciła prawa do ufności swoich sprzymierzeńców naturalnych, ani ogół naszego narodu nie zerwał z nią przymierza w duchu; tylko dziś bardziéj niż kiedykolwiek trzeba patrzeć sercem w serce, żeby widzieć wewnętrzne usposobienia ludów, bo ogień święty wszędzie zszedł do stanu utajonego cieplika, a wypadki zewnętrzne nie dają się podciągnąć pod znajome formuły rachub. Z tego wszakże co jawne, oczywiste, nieuległe zaprzeczeniu, dosyćby już można było przekonać się, ile owe krzyki na zepsucie, zbytek, materyalizm Francyi są skutkiem uprzedzeń chciwie chwytających się pozoru. Paryż wystawiany za jakąś Sodomę i Gomorę, jestże istotnie zepsutszym od Petersburga, Wiednia, Berlina? Jestże zepsutszym od tych miast środkowéj Europy, ze swemi domami gry i wszystkiém co rachuje na słabość ludzką czekających na przyjazd cudzoziemców? Nie więcéj słuszności i zasady mają, szczególniéj skierowane do Francyi wołania na przepych, chęć używania, zbytek. Przepych i używanie są i czemużby być nie miały tak tutaj, jak w Anglii, jak w każdym innym narodzie zamożnym, bogatym, obfitym w środki, cieszącym się pełnością sił i swobodnym ich rozwojem; ale zbytku właściwego, zbytku takiego jak rossyjski lub polski nie masz. Nikt tu nad możność nie żyje, z narażeniem majątku i czci nie świeci; owszem oszczędność i rządność powszechna, bardziéj niż przemyślność i obrotność daje ciągły i postępowy wzrost ogromowi kapitałów. Co się tyczy materyalizmu, możnaby zrobić uwagę, że już ten sam, nazywany szalonym, popęd do zabaw, rozrywek wzruszających gwałto-

wnie, jest pewnym dowodem większéj duchowności w narodzie francuzkim; ale trudno temu pojąć duchowność Francyi, kto jéj religijność widzi w tém tylko, co wola i zręczność władzy podnieść lub zniżyć może. Jakto! Francya, ta «najstarsza córka Kościoła» ta «arcy-chrześciańska» piastunka cywilizacyi, miałaby dopiero po dwóch pokoleniach stać się religijną? Któregoż narodu apostołowie dzisiaj jeszcze skrapiają krwią męczeńską najdalsze zakąty ziemi? Jakiż kraj wydał i wydaje ciągle tyle instytucyj pełnych chrześciańskiéj miłości bliźniego? Naostatek, trzebaż jeszcze dodać, że ta Francya, traktowana z takiém politowaniem przez jednych, z takiém potrącaniem przez drugich, stoi przecież na pierwszém miejscu potęg politycznych, główną nić coraz bardziéj wikłających się spraw świata, trzyma w swém ręku.

Dotknęliśmy strony politycznéj, bo bez tego i niepodobna rozumieć Francyi i daremnie o niéj mówić. Ale wiemy jakie na tém polu spotkałyby nas rozprawy, gdybyśmy chcieli je przyjąć. Rozwiązanie wojny krymskiéj i ścieśnienie wolności parlamentarnéj wewnątrz kraju, to są podstawy wszystkich argumentów usprawiedliwiających niby gniew, i wzgardę, i zwątpienie. Rozważniejsze obejrzenie się na siebie samych, szczery rachunek własnego sumienia, mogłyby już bardzo ograniczyć nasze prawa do użalania się i krytyki. Cokolwiek bądź, rozwiązanie wojny krymskiéj, nie jest ani rozwiązaniem poruszonego brzemienia zadań, ani wyłącznie dziełem terazniejszéj polityki francuzkiéj, ani ostatnim jéj krokiem. W tym względzie mniéj zajmując się przedwczesném ocenianiem przeszłości, a pilniéj wpatrując się w przyszłość, należałoby nie tak lekko wyrokować o stosunkach między władzą obecną a narodem we Francyi. Łatwo to, ukazawszy na sam tylko rozwój materyalizmu z zaprzeczeniem wszelkich wznioślejszych pragnień, wyrzec, że dążność władzy odpowiada usposobieniu na-

rodu. Jednakże i w téj dążności i w tém usposobieniu jest jeszcze co innego, na coby się oko polskie bacznie powinno zwracać. Francya codzień wzmaga swoje siły, skupia swoje środki, przybiera postawę potęgi nietylko myślącéj o bezpiecznym spoczynku, ale i o gotowości do działania. Instynkt większości umié to czuć i oceniać, umie na ołtarzu ojczyzny składać ofiary poświęcenia się, cierpliwości, wytrwania.

Nie szukajmy dowodów tego instynktu w przytłumionych głosach partyj i doktryn, ale w patryotyzmie jakim płonęła armia francuzka w Krymie, jakim tchną masy, z których ta armia wychodzi. Duch patryotyczny Francyi, syn ducha rycerskiego, wnuk Apostolski, nie spocznie w egoizmie, Opatrzność spocząć mu nie da. W tém rękojmia przyszłości i Francyi i tych wszystkich, którzy liczą na przyszłość.

Teraz, wypadałoby zrobić jeszcze jedno pytanie. Jakie są, gdzie się kierują i na czém opierają nadzieje tych, co we Francyi już nic obiecującego nie widzą? Wtedy okazałaby się jeżeli nie słuszność, to szczerość ich ubolewań i narzekań. Nie chcemy wchodzić w rozbiór tego zagadnienia; straszno jednak pomyślić, aby wzrok zrażony pozornym mrokiem Zachodu, nie zwrócił się całkiem ku Gwiaździe Polarnéj.

Myłka może być bardzo niebezpieczna. Powolny tok wypadków zadzierżga coraz więcéj różnorodnych i sprzecznych żywiołów w wielką sprawę, któréj drogi i końca nie widać. Zmiennne układy polityki bieżącéj, przymierza i wojny, mogą nas stawić w położeniach, gdzie najpewniejszym poradnikiem, najzbawienniejszą skazówką, będzie tradycyjne uczucie narodowe. Źle jest tępić lub krzywić ten instynkt, którym narody zgadują swoich naturalnych przyjaciół i nieprzyjaciół.

LITERATURA SYBIBSKA.

6 listopada.

W pismiennictwie krajowém napotykamy coraz częściéj ślady powrotu wygnańców naszych z dalekich stron Północy i Wschodu. Literatura *sybirska*, jak ją nazwał Mickiewicz, wzbogaca się znacznie. Niedawno *Gazeta Codzienna* drukowała dobrze pisane i ciekawe «Sceny z życia koczującego» po pustyniach Nerczyńska, bezimiennego autora; teraz daje w feletonie *Wspomnienia Kaukazu*, przez Mieczysława Terlicę. Spodziewać się i życzyć należy więcéj tego rodzaju obrazo-pamiętników. Przynoszą one pismiennictwu naszemu, trącącemu już nieco wyczerpaniem się i jednostajnością, żywioł dziwnie świeży i posilny. Współcześnie ze *Scenami*, *Gazeta Codzienna* częstowała czytelników swoich powieścią Dzierzkowskiego *Przed laty trzydziestą*. Ułamki tych dwóch obrazów, zmyślonego i prawdziwego, spotykały się czasem obok siebie na jednéj stronicy dziennika. Wtedy najmocniéj dawała się czuć jakby woń zatęchłego stawu i żywego z gór strumienia. Odczytawszy nie bez znużenia jednę z tych scen mało budujących a dość pospolitych, jakiemi pisarze powieści niby obyczajowych siłą się natężać interes dramatyczny, doświadczaliśmy orzeźwiającego wrażenia, spotykaliśmy

istotną dramatyczność w prostym opisie téj naprzykład sceny koczowniczego życia, gdzie rodak nasz z kilkoma górnikami, szukając złota w dzikiéj okolicy, znajduje się objęty i zagrożony powodzią. Wezbrane potoki szumią gwałtownie, woda oblewa wzgórze dokoła, karby na zatkniętych kijach spiesznie nikną pod nią i zadumany przewodnik pyta : «Gdzie się to my jutro podziejemy?»

Sybirska literatura nasza, będzie miała kiedyś ważne znaczenie historyczne, dziś jest wielce pożyteczną i zajmującą : uczy i wzrusza. Lepiéj niżeli jakiekolwiek sprawozdania podróżników i geografów daje ona nam poznać i wyobrazić sobie te dalekie, z tylu względów ciekawe kraje, po których tyle rozsypało się kości polskich. Czy kto tę ćwierć wieku przesiedział pod strzechą rodzinną, czy w murach miast zachodnich , nie przeczyta zapewne bez głębokiego wzruszenia takich opisów, jakie podają wspomnienia Mieczysława Terlicy.

Poczynają się one od maja roku 1837, chociaż dla potrzebnych objaśnień na wstępie sięgają nieco dawniejszych wypadków, w których wielu już naszych braci miało udział. Wtedy kiedyśmy tu wrzeli życiem emigracyjném, tam — na Kaukazie, cicho i powoli zgęszczał się zastęp innych ofiar tegoż samego poświęcenia się dla ojczystéj sprawy. Przybywali jedni pierwéj, drudzy późniéj, a coraz liczniéj, aż korpus kaukazki stał się niemal polskim. Dziś w obrazie działań tego korpusu odsłania się nam obraz położenia, życia, cierpień naszych wiarusów i naszéj młodzieży. Naturalnie, pisząc do druku pod cenzurą, autor musiał łagodzić farby, niektóre strony pokazywać tylko w dobrém świetle, wiele rzeczy nakreślić niewyraźnie. Z kilku jednak figur postawionych na pierwszym planie, z tła przebijającego się wszędzie, czytelnik łatwo dopełni sobie w myśli, co szczegółowie nie mogło być wykazane.

Przytoczymy tu kawałek, który zawiera kilka ciekawych i wiele nieznanych wiadomości odnoszących się

do zbiorowego życia naszych rodaków w jednym z głowniejszych punktów wschodniego Kaukazu.

« Na połowie drogi między Kizlarem i Derbentem, o 45 wiorst od morza Kaspijskiego, u samych stóp łańcucha gór kaukazkich, był auł (wieś) nazwiskiem *Szura*, a właścicielem onego Temir-Chan, człowiek dosyć zamożny, lecz ze względu na dwóch bez porównania możniejszych sąsiadów, niemający prawie żadnego znaczenia.

» Graniczące z nim wioski ciągnące się aż do morza, należały do szamchała (t. j. niby księcia udzielnego) Abu-Musselina, człowieka bardzo bogatego i dumnego, a mającego nietylko największe w kraju poważanie, ale nawet szczególne względy dworu rossyjskiego i stopień jenerała dywizyi. Z drugiéj zaś strony ku górom, leży chaństwo *mechtulińskie*, należące podówczas do Achmet-Chana mającego stopień jenerała brygady.

» Ponieważ zaś Szura środkując między dwiema przychylnemi Rossyi prowincyami i przytykając do samych gór, uważaną była pod względem strategicznym za bardzo ważny punkt operacyi wojennych, przeto obrócono tę wioskę na pomieszczenie Apszerońskiego pułku piechoty, obwarowano i nazwano od poprzedniego jéj właściciela Temir-Chan-Szurą. Tutaj to zwykle jest miejsce zebrania wszystkich wojsk konsystujących w północnym Dagestanie, przed każdą wyprawą.

» Do roku 1834, zaledwie sztab pomieścić można było w saklach (domach) tatarskich; niżsi oficerowie i żołnierze zamieszkiwali namioty i ziemianki, to jest doły wykopane w ziemi, pokryte dwoma szerokiemi płatami, splecionemi z chrustu i wymazanemi gliną. Późniéj dopiero generał Kluki von Klugenau, wybudował dla siebie dom mieszkalny, założył ogród, jak również postawił szpital, koszary, i dał początek pięknemu przedmieściu, które do dziś dnia wyrosło na bogate i we wszystko obfitujące miasto.

» Korzystając z opieki rządu, najechało mnóstwo kupców rossyjskich i azyatyckich z towarami wszelkiego rodzaju, a mając ciągle kilkanaście tysięcy konsumentów i żadnéj w blizkości rywalizacyi, robią w krótkim czasie znaczne majątki. Nie dziw więc że Temir-Chan-Szura, w któréj dziś mieści się obok trzech sztabów mnóstwo wojska, urzędników i kupców, wygląda świetnie i oprócz wielu pięknych domów na sposób europejski budowanych, posiada dwa kościoły, prawosławny i katolicki.

» Ksiądz Bartłomiéj Pruszkowski, ex-trynitarz w Łucku, jest kapelanem brygady i kilku batalionów liniowych, a lubo znaczną część roku poświęcać musi na objazd swoich parafian, roztrzelonych na przestrzeni wiorst kilkuset, główną rezydencyą jednakże ma w Temir-Chan-Szurze. Kościołek z dobrowolnych składek, pięknie na wzgórku wybudowany, okolony mnóstwem drzew i kwiatów, a staraniem księdza wewnątrz czysto i nawet z elegancyą utrzymany, napełnia się w święta katolickiego wyznania oficerami, żołnierzami i ich familiami. Liczne to zgromadzenie słucha z pobożnością i zbudowaniem solennéj sumy, przy odgłosie muzyki amatorskiéj odprawianéj.

» Ksiądz Pruszkowski przyjął jeszcze jeden dobrowolny obowiązek : jest on depozytorem biblioteki wyłącznie do Polaków należącéj. Trzeba bowiem wiedzieć, że na Kaukazie, mimo dość uciążliwéj służby, ciągłych trudów i niebezpieczeństw, a może nawet i dla tego samego, nie zadawalniają się wojskowi życiem czysto zmysłowém. Można powiedzieć, że większa część oficerów, szczególniéj teraz, liczyć się może do ludzi bardzo wykształconych. Utworzyły się dwie biblioteki. Jedna pułkowa, mająca przeszło dwa tysiące tomów dzieł rossyjskich, nabytych za ogólne składkowe pieniądze, znajduje się przy pułkowéj kancelaryi; druga w językach : polskim, niemieckim, francuzkim i angielskim,

zakupiona przez Polaków, zostaje u księdza Pruszkowskiego.

» Jakże litości godni tacy, którzy służąc przez lat kilka lub kilkanaście w innéj części świata, w chwilach zwolnych od służby oddają się grze, pijaństwu, lub próżnowaniu, a jednym węzłem, który ich jeszcze łączy z Europą, jest raz w rok odebrany list od kogoś z krewnych albo znajomych; gdy przeciwnie, czytając, dysputując, ucząc się wzajemnie, wyrabia się zdanie, kształci się nietylko umysł ale i serce.

» Zawsze z roskoszą przypominam sobie chwile które w kilku lub w kilkunastu spędzaliśmy na Kaukazie. Jakież serdeczne koleżeństwo, jakaż braterska miłość łączyły nas z sobą; jakżeto pełne nauki rozmowy, jakież pełne młodzieńczego zapału dyskusye, z których zawsze czegoś nauczyć się można było; jakież wreszcie przyzwoicie dowcipne gry lub żarty.! Ale bo téż i trudno znaleźć w jedném miasteczku tylu dzielnych, szlachetnych i wysoko wykształconych ludzi.

» A jaki to przykład dla innych mniéj lubiących naukę, lub dla braku środków pozbawionych jéj zupełnie! Nieraz zdarzało się że biedne chłopcy bez edukacyi, lub wisusy z edukacyą, w naszém towarzystwie odmieniali się zupełnie, pozbywając się złego a nabywając zalet, na których całkiem im zbywało.

» Mieliśmy także i towarzystwo filharmoniczne, amatorski teatr i reduty co niedziela, a wszystko szło dobrze, składnie, że aż miło wspomnieć!

» Ale nie często miewaliśmy te gody; zwykle co rok, poczynając od maja, aż do końca października biliśmy się w górach, dokąd właśnie w początku maja 1837 roku wojska wystąpiły. »

Tu poczyna się opowiadanie, w którém autor raz tylko odzywa się jako naoczny świadek, zresztą przybiera na się rolą historyka a raczéj powieściopisarza, i pierwsze swoje wspomnienie podaje czytelnikowi w kształcie

dramatu, gdzie osoby działające mówią same za siebie. Sposób ten pisania ma swój powab, ale też i strony ujemne; podnosząc obrazowość, osłabia cechę prawdziwości, jest przytém pewnego rodzaju nadużyciem.

Głównemi osobami dramatu są dwaj młodzi Polacy, szlachta, dobrze wychowani, a prości żołnierze w pułku piechoty. Autor nie utworzył ich w swéj wyobraźni, nie zidealizował w nich ogólnego typu, ale opisawszy od stóp do głowy, nazwał po imieniu i nazwisku, dodał nawet w końcu gdzie są dzisiaj i co robią. To razi czytelnika nieoswojonego z szerzącym się w teraźniejszém pismiennictwie zwyczajem wyprowadzania na scenę osób żyjących, a może i samym tym osobom być nieprzyjemném. Kto wie, czy panowie Wiktor Janiewicz i Kazimierz Siedlecki, radzi byliby występować przed publicznością, jako Nisus i Eurial, chociaż p. Terlica starał się pokazać ich w przyjazném świetle; kto wié czy przyznaliby się do wszystkich wyrazów jakie im powkładał w usta?

Bohaterką dramatycznego ustępu jest młodziutka branka tatarska. Postać widocznie prawdziwa i niezmiernie zajmująca, ale tak wpleciona w siatkę zdarzeń ułożonych na wzór machinacyi powieściowych, że czytelnik powoli traci wiarę w zupełną rzeczywistość wypadku, i w tragicznéj chwili zgonu pięknéj *Ajchanym* z ręki *Asłan-Beka* mimowolnie przychodzi mu na myśl Kora i Magua w *Ostatnim Mohikanie.*

Przeprowadzając jednak swój wątek sztuczny, autor korzysta bardzo zręcznie ze sposobności znizywania nań opisów bitew, okolic, życia obozowego, zwyczajów i charakteru mieszkańców miejscowych. To wszystko czerpie już z własnych wspomnień, postrzeżeń i wrażeń; bez niczyjéj solidarności sam jest odpowiedzialny za uczucia jakiemi tchnie i jakie obudza.

Opisy bitew, przepraw niebezpiecznych, drogo opłaconych zwycięztw, mają szczególniéj oryginalność i

żywość obrazów kreślonych z natury. Niepodobne one są do tych raportów urzędowych, w których zawsze wojsko rossyjskie rozbija tysiące, a traci ledwo jednego żołnierza. Nieprzyjaciel twardy, odważny i zawzięty; miejscowość utrudzająca i zdradliwa : każdy krok zdobywczy kosztuje wiele krwi i sprowadza wiele rozpaczy. Aż serce ściska się na myśl, że ta krew w znacznéj części jest polska, że nieszczęśliwi cierpią by mnożyć liczbę nieszczęśliwych i cierpiących, ujarzmieni służą za ujarzmicieli! Ta myśl daleką jest od autora, nie przebija się w żadnym pociągu jego pióra. Zdaje się on zgoła nie pamiętać o tém pod jaką chorągwią i za jaką walczył sprawę, dosyć że walczył wśród walecznych i należał do zwycięzców. Sława korpusu kaukazkiego leży mu na sercu, wznieca w nim zapał i radość jak gdyby była sławą narodową.

Być może, że żołnierz odcięty od wszelkich węzłów swojskich, rzucony daleko na czas nieograniczony, przywyknie widzieć dla siebie wszystko w swoim pułku : dom, rodzinę, zawód, ojczyznę. Ale czyż i za powrotem do kraju nie odezwą się w jego duszy wspomnienia dawniejsze, nie odświeży się w nim pojęcie ojczyzny prawdziwéj? Smutno byłoby, gdyby nasi wygnańcy przynosili z Sybiru i Kaukazu tylko materyał obrazowy, a w Warszawie nie znajdowali nic więcéj prócz artystycznéj formy na ulanie zajmującego feletonu.

WYDANIE DZIEŁ DŁUGOSZA.

11 grudnia.

W numerze *Czasu* z d. 17 z m. czytaliśmy odezwę podpisaną przez p. Alexandra Przezdzieckiego, ks. biskupa Łętowskiego, i p. Franciszka Wężyka, prezesa Towarzystwa naukowego krakowskiego, oraz p. Józefa Łepkowskiego, z uwiadomieniem, że powzięli zamiar ogłoszenia wszystkich dzieł Długosza, tak tych które już były wydane, jak i tych które znano tylko z rękopisów. Stosownie do programu, o ile dotąd jest ułożony, wszystkie dotychczasowe edycye mają być porównane z celniejszémi rękopisami, wyjaśnione źródła, z których czerpał Długosz, i w przypisach poprawione błędy, które popełnił; będą zebrane mowy i listy Długosza gdziekolwiek się znajdowały; dwie jego prace, które nigdy z druku nie wyszły : *żywot Świętéj Kingi* i *Liber Beneficiorum*, wejdą do kompletu dzieł; nakoniec, *historya* jego, wszyśtkie *żywoty*, *listy*, i zostaną na język polski przetłómaczone i obok łacińskiego tekstu wydane. Całe to niepospolitego rozmiaru przedsiebiorstwo, ma uwieńczyć pomnik nad grobem Długosza, oraz medal pamięci jego poświęcony. W przybliżeniu obrachowano koszta

na sto ośmdziesiąt tysięcy złp. Wydawcy naznaczają prenumeratę na dwieście złp.; dziewięćset prenumeratorów pokryje więc koszta. Lecz jeśli znajdą czterysta pięćdziesiąt podpisów, rozpoczną pracę natychmiast, zawezwą uczonych polskich do spółudziału i skończą dzieło, da Bóg, w ciągu pięciu lat.

Czytelnicy nie wezmą nam na złe, jeźli nieco dłużéj zatrzymamy ich uwagę nad tą zbiorową edycyą, która rozmiarem swoim i znaczeniem, zwyczajne przedsiebiorstwa literackie o wiele przechodzi. Nie ma bo téż w piśmiennictwie naszém poważniejszéj postaci nad Długosza. W narodzie, któremu zarzucają, że więcéj mówił niż pisał, a zwłaszcza więcéj niż działał, niepospolite to zjawisko ów mąż, który życie swoje przepędził na służbie publicznéj, na poselstwach, na negocyacyach o pokój, na wychowaniu czterech królewiczów, a pomimo to zostawił po sobie daleko więcéj prac pismiennych, niż którykolwiek z naszych pisarzy. W epoce, kiedy mistrzowie Akademii krakowskiéj, w naukach średniowiecznych zanurzeni, tworzyli w kraju jakby osadę świata zachodniego bez wpływu na kraj, bez związku z życiem narodowém, szczególniejszy to objaw ów uczony, wychowaniec krakowskiéj akademii, który ani filozofią scholastyczną, ani astrologią nie zajmował się. Za to, wszystko co polskie jakże żywo go obchodziło; tego on szukał, tego uczył się, to dla potomności starannie spisywał; gdy zaś krajowych brakowało mu źródeł, niemieckie kroniki kazał dla siebie tłómaczyć, i po rusku uczył się na starość, aby zrozumieć Nestora i latopisców litewskich. Na dworze królewskim lat wiele przebywszy, żadnéj on godności świeckiéj ani duchownéj nie przyjął; własnym jednak kosztem budował kościoły, klasztory uposażał i wznosił bursy dla uczącéj się w Krakowie młodzieży. Kiedy wychowańca swego, królewicza Władysława na tron czeski zaprowadził, stany czeskie ofiarowały mu arcybiskupstwo pragskie: Długosz

ofiarę odrzucił « bo mu bez swoich żyć było trudno. » Prześladowany od króla, z ojczystego mienia wyzuty, z rodzinnego miasta wygnany, przecież na głos królewski stawił się, do posług publicznych ochoczy. Lecz kiedy mu doniesiono, że miasta pruskie poddały się władzy królów polskich, długo przyjęcie ich odradzał i sprzeciwiał się zdaniu prawie wszystkich panów Radnych, aż po pilném zgłębieniu krzyżackiéj sprawy przekonał się, że Polska wistocie miała słuszność i prawo za sobą. A przekonany, podjął się negocyacyj pokoju i szczęśliwie przywiódł je do końca. « Ja który piszę te dzieje (są jego słowa) jestem pełen radości, opowiadając koniec téj długiéj wojny z Zakonem, co nam przywróciła ziemie niegdyś Polsce wydarte. Nie mogłem patrzeć bez żalu na krzywdy wyrządzone ojczyznie naszéj od obcych. Byłbym już zupełnie szczęśliwy, gdyby jeszcze podobało się Opatrzności, za życia mego oddać nam Szlązk i resztę Pomorza. Wtedy umarłbym bardziéj zadowolniony, a spoczynek mój wieczny, byłby słodszy i głębszy. »

W ostatnim roku życia zamykając swe *Roczniki*, nad którémi dwadzieścia pięć lat pracował w rozrzewnjających słowach odzywa się do wszystkich mężów duchownych i świeckich, do wszystkich doktorów i profesorów Akademii krakowskiéj, aby prowadzili daléj tę jego ojczystą historyą; aby jeden z magistrów stosownie opatrzony, « jedynie historyą zajmował się, nad nią ciągle rozpamiętywał, w niéj się kochał, i o niéj dzień cały i noc rozmyślał, z drugimi rozmawiał, i dla pożytku i zaszczytu ojczyzny, a więcéj jeszcze dla chwały Boga pracował. » Lecz głos zagrobowy nie został wysłuchany. « W szesnastym wieku, mówi autor znakomity, względy osobiste wytrąciły pióro z rąk dziejopisów, za które w siedemnastym pochwyciło pochlebstwo. » Sama nawet *Historya* przez półtrzecia wieku czekała wydawców; inne jego pisma wcale ich nie znalazły.

Znajdują ich dzisiaj. Możemy zapewnić czcigodnych mężów, którzy o tak pięknem postanowieniu publiczności donieśli, że odezwa ich będzie czytana przez wszystkich z prawdziwą radością. Nie samych tylko ludzi naukowych w Polsce dzieło takie powinno obchodzić. Kiedy wspaniałe publikacye p. Działyńskiego doszły do Anglii, jedno z najpoważniejszych pism angielskich, ogłaszając ich rozbiór nader pochlebny, okazało w końcu zadziwienie, iż wychodzą jeszcze prace dowodzące tyle życia naukowego w narodzie, który od lat sześćdziesięciu stracił swoję egzystencyą polityczną. Monumentalna edycya wszystkich dzieł Długosza jest przedsiewzięciem niemniéj ważném; warto z nią imię swoje związać. Będzie ona hołdem narodowym, który Długoszowi oddawna należy się, zarazem uczczeniem najświetniejszéj epoki naszéj przeszłości; będzie i pomnikiem dla tych, którzy ją do skutku przywieść potrafią.

Ale dzieła tak obszernego rozmiaru tylko zbiorowemi siłami dadzą się wykonać, a ci co je podejmują, potrzebują głośnych i widocznych objawów tego wrażenia, które ogłoszenie ich przedsięwzięcia na publiczności sprawiło. Jest więc obowiązkiem dzienników polskich podjąć i gorąco poprzeć myśl Wydawców; jest ich powołaniem przedstawić czytelnikom korzyści naukowe i publiczne, które wykonanie planu przyniesie. Czyż, gdyby rzecz nie miała całkiem przyjść do skutku, albo gdyby rozpoczęta przerwaną została, czyżby to nie było dowodem naszéj fatalnéj nieudolności w tém wszystkiém, co zbiorowych a wytrwałych potrzebuje wysileń? Co do nas, przyklaskując całém sercem zamiarowi Wydawców, zachęcając jak najmocniéj do jego przeprowadzenia, zachęcając do poparcia wszystkich, których pismo nasze dojść może, przynosimy z swéj strony pomoc, na jaką zdobyć się potrafiliśmy.

Przynosimy także uwagi i życzenia nasze. Zapewne,

trudno byłoby dobrać imion godniejszych i właściwszych tego rodzaju publikacyi, nad te, które przy odezwie czytamy. Jeżeli w panu Alexandrze Przezdzieckim, wydawcy *Wzorów sztuki średniowiecznéj*, któremu naczelny kierunek przedsięwzięcia oddano, znajdujemy pocieszającą rękojmią że dzieło będzie skończone, choćby też ciężkiéj ale zaszczytnéj ofiary po nim wymagało, to w księdzu biskupie Łętowskim i w szanownym prezesie Towarzystwa Naukowego, widzimy właśnie reprezentantów tego grona kapituły i Akademii krakowskiéj, do których to szczególniéj Długosz wołał przed śmiercią, i dziś jeszcze woła, aby jego prace od zguby uchronili. Lecz niechaj nam wolno będzie wyrazić zdziwienie, dlaczego między szanownymi Wydawcami nie widzimy męża, który w ogłoszoném niedawno dziele złożył dowód równie głębokiéj i wszechstronnéj nauki, jak bystrego i zdrowego sądu? Po nieodżałowanéj stracie profesora Muczkowskiego, p. Helcel (bo każdy odgadł, że o nim mówimy), wydaje nam się jedynym w Polsce pisarzem, któryby mógł przyjąć odpowiedzialność naukową za edycyą Długosza, i któregoby imię było zaręczeniem, że będziemy mogli poszczycić się nią przed światem.

Nie potrzebujemy upewniać, że daleką jest od nas myśl ubliżenia powyższemi słowy któremubądź z uczonych polskich, a tém mniéj któremukolwiek z szanownych Wydawców. Równie jak oni, pragniemy szczerze znaleźć w téj edycyi ścisłość i sumienność, gruntowność i powagę naukową, bez których dzieła pomnikowe bywają tylko pomnikiem upadku. Ale czyż możem zataić, że dotychczasowe, zbiorowe edycye nie najszczęśliwiéj nam się udawały. Że tylko o wydaniu Kopernika wspomniemy: ileż w niém błędów drukarskich, niedostaków edytorskich, niedokładności tłómaczenia. Nie, nie jest ta edycya odpowiedzią na posąg w Walhalli; widocznie nie zostawił w Polsce Kopernik godnych sobie uczniów,

ani uzdolnionych jego sławy obrońców. Wprawdzie, nie ma jeszcze obawy, aby Długosz tak mało jak Kopernik był w Polsce rozumiany; niemniéj przecież zdaje się koniecznem, aby ster naukowy całéj pracy oddany był w ręce pewne i doświadczone.

Mamy jeszcze inny powód, co nas zmusza do przypomnienia zawczasu jedności kierunku. Program wydawców obejmuje tyle różnorodnych robót, że dla ich dopełnienia nie za wiele wszystkich prawie sił naukowych Polski. Mówi odezwa «że zaproszeni zostaną wszyscy uprawiający niwę historyczną, aby obrali sobie dla wypracowania jednę z części, na które ogół pracy rozdzielony został»... Przyznajemy, niejasno nam się przedstawia, co dobrego wydać może taki rozdział czynności? Wiadomo, że ze wszystkich środków finansowych *podatek dobrowolnéj ofiary* okazał się najbardziéj zawodnym; że ze wszystkich rodzajów wojska, *pospolite ruszenie* najsłabszych zawsze dawało krajowi obrońców. Wiadomy także jest przykład Towarzystwa naukowego warszawskiego. Chcąc skończyć wielkie dzieło Naruszewicza, rozdzieliło ono między swych członków pojedyncze epoki lub królów panowania : dwaj tylko dopełnili zobowiązań, Niemcewicz i Kwiatkowski; a ich dzieła, jakże do siebie w niczém niepodobne. Jest i dzisiaj wielu w literaturze historycznéj zasłużonych mężów : jest Lelewel i Maciejowski, Bielowski i Szajnocha, Łukaszewicz i Dzieduszycki i wielu innych. Każdy z tych pisarzy ma osobny system historyczny, odmienne pojęcia o początku Polski, jéj wzroście, kwitnieniu i przyczynach upadku. Lecz gdyby każdéj z tych opinij uczonych chciano nadać legalną reprezentacyą w pomnikowéj edycyi, w «przypisach krytycznych», cóżby się stało z Długoszem?...

Wyrażamy obawy nasze śmiało i z ufnością, bo przy zaczęciu roboty, pracą a rozwagą można złemu zapobiedz. Tylko pamiętać należy, że dzieła Długosza wejdą

do każdéj zagranicznéj biblioteki, że w Niemczech, we Francyi i w Anglii, weźmie je do rąk każdy uczony, i to w sprawach nietylko Polski, ale całéj Północy, że według okazanéj w tém wydaniu nauki i ścisłości, sądzić będą obcy o stanie umysłowym Polski. Wszakże lubimy zazwyczaj, może za nadto, oglądać się na to, co obcy powiedzą. W tym razie najtrwożliwsza oględność jest nietylko do wybaczenia, ale staje się obowiązkiem. Ze wszystkich wielkich prac historycznych, które w ostatnim ukazały się czasie, dzieło Helcla jest jedyném, które śmiało i z dumą, bez uniewinniania, bez przywodzenia łagodzących okoliczności, możemy przedstawić uczonéj Europie. Nie jestże powinnością naszą, abyśmy dzieła Długosza, nierównie więcéj niż statut wiślicki Zachód obchodzące, w podobny sposób wydać starali się?

Musimy w końcu objawić radość naszę, że szanowni wydawcy zwrócili uwagę na tłómaczenie polskie Długosza. Byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną, ażeby ta wielka liczba młodzieży, dla któréj język łaciński jest na nieszczęście już prawie obcy, zapoznała się mimo to z ojcem naszych historyków. *Roczniki* Długosza przez trzy wieki miały w Polsce niewzruszoną powagę; uchodziły one, i słusznie za najzupełniejszy zbiór i wykład maxym i tradycyj dawnego rządu polskiego. Choć niedrukowane, znajdowały się w bibliotece każdego prawie senatora. Dziś (że słowami Długosza zakończym) « niemało to boli, iż godne wiedzy zdarzenia, czyny i dzieje polskie w coraz głębszą idą niepamięć, że lepiéj je znają obcy niżli swoi... A przecież, jakże słodko jest obcować z przodkami, dawnych mężów trudy i zdania objąć pamięcią i nad świetnemi ich dzieły rozmyślać. Gdy wszyscy ludzie pragną oświecić się, a tylko długie życie, pilne nad przeszłością rozmyślanie i doświadczenie człowieka naucza, ten co się wczyta w historyą minionych czasów, pozna narodów i królestw czynności, zamiary, rady, wojny i losy, w krótkim czasie i z małym zaso-

bem wysokiéj dostąpi nauki. Młody znający historyą prześcignie, a przynajmniéj doświadczeniem i światłem wyrówna starym, którzy jednego tylko wieku byli świadkami... Co gdy tak jest, całemi siłami powinniśmy rzucić się do téj nauki, która i rozum zaostrza i do dobrego rządzenia rzeczą pospolitą niemało przyczynić się może.»

PRZYJDŹ KRÓLESTWO BOŻE.

WIERSZ PRZEZ PANA A. E. ODYŃCA.

11 grudnia.

Mamy przed sobą wiersz napisany przez p. Antoniego Edw. Odyńca na przywitanie cesarza Alexandra w Wilnie, a noszący tytuł : *Przyjdź Królestwo Boże!* W podobnych oficyalnych natchnieniach wieje zazwyczaj chłód różnego stopniowania, a zawsze niżéj zera; ale w wierszu p. Odyńca chłód ten ścina oddechy i zamraża duszę : temperatura tu owych lodów, w których Dante zamieścił Kaima i Judasza. Wschód, woła p. Odyniec, zamierzchł ciemnotą i mgłą nieruchomą, i słońce Zachodu topi swą jasność w złotokrwistym obłoku — lecz Bóg litościwy wejrzał, i oto na niebie północy zaiskrza się zorza polarna. I od Wołgi, od Leny, od Niemna do Wisły wszyscy w niéj widzą, a każdy zawierza w jéj siłę i w jéj przeznaczenie, że Wschód i Zachód zawstydzi, ślubem braterstwa narody posprzęga i swobodę utwierdzi przez miłość. W końcu, wzywa poeta duchy Jagiellonów, każe im spojrzeć z wysokości na dziedzica ich tronów, ich myśli i miłości, i popierać w niebiosach modłami swojemi wołanie Polaków, aby pod berłem Alexandra nastał początek Królestwa Bożego na ziemi!...

Musimy być skąpi w słowach, z obawy, aby się nie stać rozrzutnymi w przeklęstwach. Uważamy jednak za obowiązek, pod sąd każdéj polskiéj i chrześciańskiéj duszy oddać tego Polaka, który syna Mikołajowego mianuje dziedzicem Jagiellońskich tronów, tego katolika, który budowniczym Królestwa Bożego nazywa papieża schyzmy. Antychryst miał już swoich proroków; znalazł teraz i swojego poetę w autorze *Felicyty* i *Barbary!*

P. Odyniec za prawdę bez prawa i przyczyny, w ostatnim swym dramacie, postawił swoje imię między imionami Witwickiego i Garczyńskiego. Należy on do szeregu innych zupełnie poetów, tych co w czasie upadku Polski pisali ody na cześć Repnina i dytyramby na chwałę Katarzyny. Godny, pod tym względem, uczeń Trembeckiego nie zechce zapewne ustać w rozpoczętym zawodzie sromoty; opiewać może będzie po kolei wszystkie dzieci Mikołajowéj rodziny, sławić cnoty wielkich książąt i wdzięki wielkich księżniczek, i kto wié, czy czasem jednéj z następnych ód swoich na cześć dworskich faworytów, nie zakończy, jak mistrz jego, szambelan-poeta, sławném pytaniem :

Mój-że to obraz czy pieska?...

LISTY O GALICYI.

I

KONWENANSE SALONOWE.

18 grudnia.

Ktoś, coby po kilkoletniéj za granicą bytności, do kraju wracał i głębiéj a bliżéj stanowi rzeczy i społeczeństwu naszemu się przypatrzył, zrobićby musiał jedno spostrzeżenie, to jest, że w naszéj biednéj Polsce nikt, albo mało kto, wypełnia powinności i obowiązki przywiązane do stanowiska jakie zajmuje. Że w ogólności za wiele spuszczamy się na przypadek, który jest opatrznością niedołężnych, a za mało spraw obrabiamy z tém męztwem, z tą wytrwałością, jakiemi prawdziwa Opatrzność opiekować się zwykła. Że wreszcie od ludzi najwyższe w hierarchii zajmujących pozycye, aż do najniższych warstw społeczeństwa zstępując, nikt około roli ojczystéj nie chodzi stale a wytrwale.

Czyżby to dowodzić miało, że kraj cały składa się z samych wyrodnych, niegodnych i złych Polaków? Bynajmniéj. Wyrodni i przeniewiercy są rzadkim nader wyjątkiem, ale niestety do wyjątków także należą: czynni, gorliwi i wytrwali Polacy.

W tém społeczeństwie naszém, co moralnie naród reprezentuje, widzimy dwojakiego rodzaju indywidua. Jednych poczciwych nieraz i najmilszych zkądinąd ludzi, lecz pogrążonych w apatyi i zwątpieniu; drugich energicznych i rzutkich, lecz zużywających swoję energią i działalność, nie tam gdzieby jéj użyć potrzeba, wynajdujących dla działalności swojéj odległe, niedostępne i niewłaściwe pola, a pomijających najbliższe i codzienne obowiązki. To też na prawdziwém polu robót narodowych, tak mało widać robotników, a ziarna na przyszłość prawie nikt nie sieje.

Uwagi te, od których list mój poczynam, dałyby się podobno zastosować do wszystkich części składających dawną Polskę, do żadnéj jednak nie przypadają bardziéj, jak do ziem przez Austryą oderwanych i mianem Galicyi ochrzconych. Niedorzeczném zapewne byłoby wymagać od jakiejkolwiek prowincyi, i jakichkolwiek bądź ludzi, tego, co w danym czasie siły ludzkie przechodzi, czemu wreszcie miejscowe stosunki i okoliczności nieprzepartą stanowią tamę. Wiemy dobrze, że bohaterstwo nakazać się nie da, że je trudno narodowi na porządku dziennym położyć; ale w życiu codzienném i dla ludzi codziennych, bohaterstwem już jest wytrwałość odważna, poczciwa i twarde stawanie przy swojém. Brak tego koniecznego, a przecież sił naszych nie przechodzącego heroizmu, widzimy wszędzie na polu publiczném i towarzyskiém, i brak ten wytykamy bez żółci i uprzedzeń Galicyanom.

Znane mi wszystkie klęski, jakie dotknęły tę biedną ziemię. Widzę wszystkie trudności, przeszkody, pojmuję nawet pokusy; przyznam chętnie, że prowincye pod rządem rossyjskim zostające, w niejednym względzie łatwiejsze mają położenie. To wszystko jeśli tłómaczy poniekąd, nie usprawiedliwi przecież braku, biernego przynajmniéj, instynktowego a wytrwałego oporu, jakim organizm dobijający się życia, odpierać winien pochła-

niające go obce pierwiastki. Jeśli w Królestwie i na Litwie mniejsze niebezpieczeństwo wynarodowienia grozi, to znowu wyznać trzeba, że posiada Galicya niejedne dogodności tamtym prowincyom nieznane. Pod rządem rossyjskim, nawet dzisiaj, przy powierzchownóm ulżeniu, człowiek mimowolnie czuje się w Azyi. Pod Austryackiém panowaniem, przy całéj piekielności środków na pognębienie nasze używanych, jesteśmy już w Europie. W Rossyi do ostatnich przynajmniéj czasów, godność człowieka i godność narodowa nietylko że była pomiatana, ale nikt jéj ocenić, nikt się na niéj poznać nie umiał; tak np. jak w pogaństwie nie rozumiano rezygnacyi chrześcianina idącego na męki. W Austryi inaczéj. Godność ludzka i narodowa zarówno tu może niecierpianą jest i wytępianą jak w Rossyi, ale godność tę rozumieją. Godnością tą i powagą narodową można było, i do dziś dnia można jeszcze, niejedno ocalić, niejedno przeprowadzić, a nawet zbudować.

Otóż tę godność narodową uroniła poczęści i wydrzeć pozwoliła sobie Galicya, i ciężko pokutuje za tę występną nieoględność.

Po tylu klęskach, zawodach i upokorzeniach, uroniwszy już tyle ze skarbów narodowych, czasby się było upamiętać. Czasby zaniechać owych występnych przymilań się i kokieteryi z Niemcami, któremi tylko poniewierają się i kalają indywidua, a które przecież żadnéj najdrobniejszéj ogółowi korzyści nie przynoszą. Czasby było odzyskać na nowo i zachować lepiéj ową pierwotną wstydliwość, ową cześć dziewiczą w stosunku z rządem i jego władzami, która jak pyłek owocu ściera się niepowrotnie. A kiedy nie możem czoła naszego przybrać w laur zwycięzcy, to zachowajmy przynajmniéj ową godność szlachetną, jaką mieć winna ofiara mająca słuszność za sobą, wobec fałszywych sędziów swoich.

Najbardziéj uciskanym i zgnębionym zostają zawsze

pewne, chociażby tylko bierne środki oporu, zostają jakieś siły i moce zachowawcze, po które najdrapieżniejsza ręka sięgnąć nie zdoła. Środkami témi i siłą odporną, któż działać u nas może? Nie chłopi zapewnie rozbestwiani i oszukiwani po *bezirkach*, nie kupcy i rzemieślnicy, bo mało między nimi Polaków, ale szlachta, i głównie tylko szlachta : ta biedna galicyjska szlachta, okrzyczana, obgadana w całéj niemal Polsce, jako stek fanfaronów i grafów podejrzanego autoramentu. Ta biedna szlachta galicyjska w niczém zapewnie nie gorsza od szlachty innych prowincyj, a przecież wyszydzana od swoich, zabijana od chłopów, obdzierana przez urzędników, wystawiona na pokuszenie przez rząd austryacki, — ta biedna szlachta dźwignąć się musi o własnych siłach, jeśli nie ma pójść w zupełną poniewierkę. Dźwignąć się musi i dźwignąć się może. Straciła ona wiele z narodowéj godności, bo ta czerpie się tylko z zaufania w świętość sprawy, z żywéj a gorącéj miłości ojczyzny, i z wytrwałości w pełnieniu codziennych obowiązków. W tych to źródłach ożywczych odnajdziem i owe środki oporu, jakie Opatrzność pognębionym i pokutującym zostawiać zwykła ku podźwignieniu się i odżyciu na nowo.

Jednym z takich środków ważniejsych a na nieszczęście zaniedbanych, byłoby niezawodnie godne i poważne zachowanie się szlachty wobec władz, urzędników i w ogólności wobec elementu austryackiego zalewającego prowincyą. Zachowanie to zależałoby naturalnie od całéj naszéj wiejskiéj szlachty, chociaż najwięcéj zawisło podobno od tych, którzy siedząc w miastach, tworzą tam tak zwane towarzystwo, wobec Niemców element polski niejako reprezetują, i reszcie prowincyi, że tak powiem, dają ton w formach i zwyczajach. Wystawieni bardziéj niż po wsiach na zetknięcie i stosunki z Niemcami i na ich napaści, mają lepszą sposobność i świętszy

obowiązek, tak postępować, aby uszczerbku sumieniowi polskiemu i godności narodowéj nie przynieść.

Miasto u nas zwykle, nie jest tyle rezydencyą stałą, ile punktem zebrania się obywatelskich rodzin, które do niego na kilka zimowych miesięcy zjeżdżają. Towarzystwo to złożone zwykle z tych samych elementów, z tych samych rodzin, ma jakieś swoje odrębne cechy w każdém mieście, swoje, że tak powiem, tradycye w zwyczajach i w stosunkach swoich do Niemców, a to wszystko jak u nas waży niemało, ma znaczenie polityczne. Towarzystwo takie złożone zwykle z rodzin co możniejszych i co znakomitszych ściąga na siebie uwagę tak kraju jako i rządu; jest korporacyą, jest osobą moralną, i tém samém cięży na niem pewna przed narodem odpowiedzialność.

Rząd austryacki, skarbiąc sobie i bałamucąc chłopów, zwrócił zarazem swoję uwagę i oddziaływać począł na tak zwany świat wielki. I karczmy, i salonu, doglądało równocześnie jego opiekuńcze oko. Kraków, podówczas jeszcze wolne miasto, był od tych przynajmniéj wpływów bezpiecznym. Zostawał Lwów. Czém się stały salony lwowskie pod *zbawiennym* austryackim wpływem, o tém każdemu w Polsce wiadomo. Wyszła w swoim czasie o tych salonach książka, zawierająca trafne rysy i charaktery osób, choć odznaczająca się więcéj plotkarskim dowcipem aniżeli świętą ironią i zgrozą, z jaką należało chłostać owczesne społeczeństwo lwowskie. Jakim sposobem ów wielki świat lwowski doszedł do tak smutnego stanu, dopatrzeć się łatwo, niema w tém żadnéj tajemnicy. Towarzystwo tamtejsze składało się w części z rodzin zamożnych, bogatych, a za arystokratyczne nieuznanych ani przez kraj, ani przez historyą, ani wreszcie przez właściwą arystokracyą. Te rodziny próżnością odęte, błyszczenia w jakikolwiek sposób chciwe, a do tego ozdobione zwykle tytułem świeżéj daty lub dworską godnością, odrazu utworzyły sobie

jakieś lwowsko-austryackie tradycye. Czy Austryacy, a nawet sami panowie owi, brali te świetności na seryo, trudno wiedzieć; dość że pozory były, a dla próżności to wystarcza.

Przysłano do Lwowa arcyksięcia Ferdynanda d'Este na gubernatora, utworzono koło niego rodzaj dworu, potworzono najcudaczniejsze urzędy : W. Łowczych, W. Sokolników i Strażników sreber Koronnych królestwa Galicyi i Lodomeryi. Na salonach arcyksięcia, Polacy naturalnie zarówno z Niemcami przyjmowani byli. Damy z całą swobodą walcowały, oparte ręką o mundury austryackie. Młodzież biegała z oficerami na kursach konnych i bratała się z Niemcami w kasynie. I tak ów pyłek wstydliwości polskiéj starł się bardzo łatwo, oswojono się z Niemcami bardzo prędko. Towarzystwo lwowskie dało się złapać od razu, na próżność... parweniusza.

Już w roku 1846, a późniéj w 1848, zmienił się stan rzeczy w nie jedném. Pamiętnéj wiosny 1848 roku i Lwów także drgnął, ocknął się i pokazał, że nie wygasły w nim do szczętu iskry ducha polskiego. Samo nawet okrzyczane towarzystwo lwowskie zrehabilitowało się trochę w opinii. Ale czasy te przeszły, nastał we Lwowie pan Agenor hr. Gołuchowski, przybierający postawę istnego wicekróla prowincyi. Téj supremacyi p. Gołuchowskiego na zasadzie namiestnictwa opartéj, Lwów poddał się najzupełniéj, a ci co jego towarzyskiéj przewadze uledz nie chcieli, zaprotestowawszy, wyjechali z kraju. Pod opiekę i dozór Jego Excellencyi oddano późniéj młodego arcyksięcia Karola Ludwika, brata cesarskiego. Młody, chcący się bawić, uprzejmy arcyksiąże, znalazł we Lwowie od razu lgnące ku niemu towarzystwo. Jak gdyby obecność jego we Lwowie nie mogła była przypomnieć mieszkańcom gwałtów, grabieży i mordów, jak żeby każda nowo zesłana obca figura nie powinna nas zawsze na nowo oburzać i naszę

nienawiść do Niemców, a narodową godność podniecić. Szambelany, excelencye, parweniusze, młodzież próżniacza, apatyczna, pędząca życie w kasynie i za kulisami, nie mogą zapewne wpłynąć na zmianę atmosfery moralnéj we Lwowie. Śród tych wielkości parafialnych, elegancyi fałszywéj i splendorów świeżo pozłoconych, w téj egzystencyi bezmyślnéj, wyzutéj z pragnień szlachetnych, i nie mającéj potrzeb inteligencyjnych, w tym chłodnym organizmie, w którego żyłach limonada zdaje się płynie, który wrodzoną nawet rodowi polskiemu krewkość już utracił, trudno zapewne i bardzo trudno wywołać uczucie własnego upadku i do obowiązków polskich i obywatelskich zachęcić. Trudno i lepszą przyszłość przewidzieć dla téj rasy, bo excelencye dzieci swoje na excelencye wychowują. Ale miłosierdzie Boskie jest wielkie, większe nawet od głupstwa ludzkiego!

Dzisiaj ów wpływ austryacki, co gangrenę w towarzystwo lwowskie zaszczepił, rozciąga się powoli i do Krakowa. Po zajęciu wolnego miasta, oburzenie powszechne nie pozwalało naturalnie rządowi, ani myśleć o jakiém zbliżeniu. Zresztą przez pierwszych lat kilka, tak zwane towarzystwo, było tak nie liczne, tak mało się udzielające, że brakło elementu do urządzenia choćby jednego balu. Dopiero w r. 1852, ujrzał Kraków z wielkiém zdziwieniem tu i ówdzie po domach prywatnych wieczorki tańcujące; ale bawiono się cicho, a ówczesnemu gubernatorowi Krakowa p. Ettmayerowi, ani w głowie nie postało w towarzystwa polskie uczęszczać. W roku następnym odmieniła się fizyonomia świata krakowskiego. Zjechało kilka domów, które zdawna w Krakowie nie były, a z niemi trochę większy rozgłos w zabawie i ostentacya. Niemców jednak nie widziano ani na lekarstwo. P. Gołuchowski zjawił się na jakimś balu publicznym w resursie i przeszedł niewidziany, nie zwróciwszy na siebie niczyjéj uwagi. Hrabia Mercandin, owczesny gubernator, jeszcze w skład towarzystwa nie

wchodził wcale; widzieć go jednak można było na większych wieczorach, ograniczającego swoje znajomości na kilku mężczyznach, których nieuniknione stosunki do niego zbliżały. Żona zaś jego ani chciała, ani śmiała starać się o wstęp w towarzystwo polskie.

Zbliżenie się tedy świata polskiego z urzędowym austryackim światem, które tak łatwo, tak pomyślnie udało się we Lwowie, w Krakowie szło jakoś oporem. Ale czas przyniósł nowe pokusy, a słabość ludzka dokonała reszty.

W r. 1856 przyjechał do Krakowa p. Clam Martinitz, podówczas jeszcze radca dworu, z Pestu. Zjechał tam w chwili, kiedy Kraków był pusty. Towarzystwo ograniczone do dwóch lub trzech rodzin z wielkiego świata, opinia przeto była cokolwiek słabsza, rada trudniejsza. Pan hr. Clam zaczął od tego, że wszystkim znajdującym się w Krakowie panom i paniom prezentował się, i wielką grzecznością zniewolił ich do wzajemnéj grzeczności. Tu i owdzie dano dla niego jakiś obiad, widziano go na wieczorze, i to nie w kącie za fortepianem jak p. Mercandina, ale wmieszanego w najpoważniejsze i najwidoczniejsze koła, w samém centrum salonu. Grzeczny, układny, bywały w świecie p. Clam znalazł w swojem *gentlmaństwie*, w owém tak ponętném dla nas *savoir vivre*, dzielnego sprzymierzeńca. Dopomogła mu w téj mierze owa, w życiu towarzyskiém, solidarność arystokracyi, która się między sobą, niby po pewnych masońskich znakach poznaje.

Wiedziano w Krakowie doskonale, co się pod ową salonową grzecznością święci, i do czego zmierza przysłanie p. Clama do Krakowa; krzyk powstał chwilowo, strach zdjął wszystkich o polską wyłączność krakowskiego towarzystwa, które się dotąd austryackiemu wpływowi oprzeć zdołało. Teraz wystawiono je oto na pokuszenie, i nasi panowie znaleźli się w kolizyi między tradycyami towarzystwa, które się szczyciło nieprzyj-

mowaniem Niemców, między szlachetnym instynktem i szlachetnym wstydem, a z drugiéj strony między owym fatalnym kodeksem grzeczności światowéj i obowiązków światowych, który zwykle przewraca głowy ludziom niedopełniającym świętszych obowiązków.

W ciągu lata 1856 p. Clam został gubernatorem, sprowadził do Krakowa żonę, która wnet spodobała się jak mąż z miłego obejścia, i oboje ci państwo zapowiedzieli recepcye na zimę. Właśnie pod ową porę, ci co niby stali na czele towarzystwa krakowskiego powyjeżdżali byli za granicę, wielu nie przyjechało do Krakowa, i świat krakowski był mniéj świetny i nie tak liczny. Nadeszła zima, p. Clam i jego żona jeszcze przed karnawałem zaczęli dawać recepcye. Jak te recepcye wypadną? pytał się cały Kraków ciekawie i niespokojnie. Pokazało się, że na pierwszą zaraz, zeszło się całe krakowskie towarzystwo, chociaż większość następnie nie uczęszczała regularnie.

Niemcy urzędnicy, oficerowie, ich żony i córki znaleźli się tam także. Grzeczni i zręczni gospodarstwo wcale nie zaznajamiali ich z towarzystwem polskiém. Zatém na rautach przy osobnym stoliku, na balach w osobnym pokoju, trzymały się Niemcy i dostawały nawet kolacyą odpowiednią potrzebom swoim narodowym, bo naoczni świadkowie widzieli na stole niemieckim piwo i wiedeńskie specyały. Tym z Polaków, którzy przestąpili próg gubernatorskiego salonu, potrzeba było czegoś na złagodzenie winy, do któréj się w duszy poczuwali trochę. Otóż ten rozdział Niemców i Polaków tak zręcznie przez Clama zorganizowany, wielce im był na rękę. Wiele o tém mówiono i drugich za sobą ciągnięto, wabiąc na owo odosobnienie dwóch elementów. Grzeczność i gościnność państwa Clamów coraz więcéj znajdowała wielbicieli, a jak to zwykle w takich razach bywa, każdy (przed słabą wprawdzie opinią ogółu) skompromitowany trochę bywaniem u p. Clama, starał

się różnemi powodami i sofizmatami wciągnąć za sobą drugich.

Nieraz zdarzyło mi się słyszeć jak ci panowie sprawy swojéj bronią i pozwalam sobie myśleć, że bronią jéj nieraz wbrew przekonaniu a przynajmniéj wbrew instynktowi polskiemu. Na zarzut, że zbyt ścisłe z p. Clamem stosunki sprzeciwiają się uczuciu godności narodowéj, odpowiadać zwykli :

«Nie robimy dla p. Clama nic więcéj nad to, co nakazuje grzeczność i dobre wychowanie; czyż zresztą można u siebie w Polsce, cudzoziemcowi robić impertynencyą i nie oddać mu wizyty, skoro nam ją oddaje?» Takie jest tłómaczenie ludzi grzecznych i czcicieli światowych konwenansów. Inne dają tłómaczenie pseudopolitycy i mężowie stanu.

«Kto chce u nas, mówią ci panowie, przysłużyć się krajowi, powinien starać się o wpływy, w niczém nie draznić władzy. Tym sposobem uda się dla prowincyi niejedne wyrobić korzyści, jak się udało wyrobić koléj żelazną (?), a wrazie danym można mieć u rządu samego broń przeciw urzędnikom, co nas dociskają. Zresztą człowiek posiadający w kraju majątek, tysiączne potrzeby, zatargi z urzędnikami, musi przynajmniéj skarbić sobie względy p. Clama, aby go od gwałtów i drapieżności osłonił.»

Są jeszcze ludzie nie należący, ani do pierwszéj kategoryi grzecznych, ani do drugiéj polityków; ci usprawiedliwiają swoje narodowe sumienie tém *np.*, że u p. Clama Niemcy siedzą w osobnym pokoju, a on sam doskonale tańczy mazura.

Cóż można odpowiedzieć na te wszystkie argumenta ludzi nieraz poczciwych i niezłych Polaków? Ktokolwiek nie ze stanowiska konwencyonalno-salonowego patrzy na tę sprawę, oceni łatwo, do jakiego stopnia, Polakowi wolno jest być grzecznym dla Austryaków.

Tym panom co o wpływach u rządu marzą przypo-

mniemy, że *tą drogą* jak nic dla kraju nie uzyskali, tak też nie uzyskają nic; chyba dla siebie szambelańskie tytuły. W podobnych wypadkach, są przyczyny, które się mówi, są inne, które się przemilcza. Otóż w głębi natury ludzkiéj poszukawszy, dwa się znajdą powody zażyłości Krakowian z hr. Clam Martinitzem : brak odwagi cywilnéj i dosyć licha próżność.

Ostatniéj zimy zjechało się do Krakowa parę domów znaczniejszych, które już przez samą miłość własną, nie mogły dać zajmować p. Clamowi pierwszego w towarzystwie stanowiska; to téż zauważano, że w drobnych faktach, w których takowe pierwszeństwo objawić się może, dwie damy polskie trzymały prym; gubernator podobno to spostrzegł i z swéj strony przemyśliwał o odwecie. Nam w te drobiazgi nie wchodzić; nie będziemy także wraz z towarzystwem krakowskiém radowali się z tego, że pani Clamowa wzięła udział w kuligu i po krakowsku się przebierała. Ani nas cieszą, ani zbytnie oburzają podobne maskarady. Ale co nas oburzyło, to widzieć na salonach austryackiego dygnitarza rodzinę obywatela zamordowanego w rzezi galicyjskiéj. Są sytuacye w społeczeństwie naszém wyrównywające tragicznością najdramatyczniejszym Szekspirowskim scenom, przesuwają się przed oczyma niezrozumiane od ogółu. Zjawienie się téj rodziny na salonach gubernatora, nie przypomniało widać szlachcie galicyjskiéj, że tańczy u tych co ją tak niedawno bezcześcili i mordowali...

II

ADRES Z POWINSZOWANIEM.

25 grudnia.

Nie bez przyczyny zajrzeliśmy w przeszłym liście, w ów świat grzeczny i salonowy, gdzie w imie świato-

wych konwenansów, biórokracya austryacka i galicyjska szlachta podają sobie ręce do tańca. Salonowość, formy konwencyonalne, cały ów kodex parafialnéj etykiety i drobiazgowéj grzeczności, co dla pewnych ludzi osobną stanowi religią, nie małą w społeczeństwie naszém odgrywa rolę. Ciekawem nawet do zrobienia byłoby studium o wpływie salonów petersburskich, warszawskich, lwowskich, i t. d., na towarzystwa nasze i na pojedyncze indywidua. Ileż to na tych ślizkich woskowanych posadzkach pośliznęło się ludzi, ile uczuć poczciwych zużyło, ile sponiewierało talentów, ile energii wypotrzebowano w zdatkowéj monecie rozmów salonowych!... Nie mówcie, że grzeczność salonowa nie obowiązuje do niczego, że atmosfera owa nie wywiera żadnego wpływu na życie i postępowanie ludzi, że opuściwszy te niemieckie lub rossyjskie progi, można być znowu dzielnym mężem, i stojącym twardo przy obowiązkach polskich obywatelem. Nie możemy temu uwierzyć, bo kto tańczył z p. Clamem *vis à vis* w kontredansie, ten w danym razie postawiony naprzeciw niemu, jako obywatel polski, pozycyi swojéj nie weźmie prawdopodobnie na seryo, charakteru poważnego nie utrzyma i prędzéj pójdzie za kodexem grzeczności światowéj, aniżeli za natchnieniem sumienia polskiego.

Nie wiem, czy także owéj na grzecznościach opartéj z p. Clamem zażyłości, przypisać ów akt, którego przed kilkoma miesiącami dopuścili się niektórzy z obywateli tutejszych. Z powodu urodzin syna cesarskiego, kilkunastu z nich, postawiwszy się jako reprezentanci całéj szlachty, z własnéj woli do Krakowa przybyło winszować p. Clamowi tego wypadku, i na ręce jego złożyło adres następujący do cesarza:

«Najjaśniejszy Panie! Wysłuchała Opatrzność gorące modły i życzenia ludów Austryi. Odgłos grzmiących dział wzniecił najwyższą radość we wszystkich sercach.

Jeżeli wolno, by z pośrodka tych powszechnych okrzyków radości głos pojedynczych dobitniéj dał się słyszeć, zatém my najuniżeńsi i najwierniejsi poddani, ośmielamy się odezwać w przekonaniu, iż nietylko w naszém, ale i w imieniu całéj najwierniejszéj szlachty prowincyi naszéj przemawiamy; a chociaż od téjże w tym celu nie byliśmy powołani, jednakowoż czynimy to, gdyż zaiste nigdy nie moglibyśmy być wierniejszymi tłómaczami prawdziwszych i gorętszych życzeń stanu szlacheckiego, jak właśnie w chwili, gdy na szczęśliwą wieść o narodzeniu następcy tronu, we wszystkich częściach wielkiego cesarstwa, tak po zamkach, jak pod strzechą, z każdéj piersi dziękczynne modły i gorące życzenia wznoszą się do nieba.

»Racz więc Najjaśniejszy Panie przyjąć u podnoża tronu twego ten słaby wyraz wielkiéj radości i najwierniejszego poddaństwa, i zarazem u kolebki najdostojniejszego następcy tronu, najłaskawiéj złożyć te pierwsze wyrazy hołdu, który mu składamy.

»Waszéj C. K. Apostolskiéj Mości
»najuniżeńsi i najwierniejsi poddani».

Od kogo właściwie wyszła inicyatywa, kto z członków szanownéj deputacyi początkował w tak świetnym akcie, na pewno wiedzieć nie można. Głos powszechny przypisuje inicyatywę nie bez słuszności, hr. Alfredowi Potockiemu z Łańcuta i znanemu austryackiemu patryocie hr. Kazimierzowi Starzeńskiemu. Tego ostatniego większość szanownéj deputacyi nader nizko ceni, — a jednak żaden podobno odmówić mu nie umiał, czy też nie śmiał, gdy szło o uczestnictwo w akcie publicznym.

Niechaj ogół w sumieniu swojém oceni i osądzi, na kim właściwie cięży zarzut i wina podobnych aktów. Czy na kilku indywiduach, co już nic do stracenia nie mają jako obywatele i Polacy? czy też na tych, których

imiona czyściéj i wyżéj w opinii postawione, wstrzymaćby ich powinny od tego rodzaju demonstracyj?... Rozumié się, że gdyby władze tutejsze same od siebie nakazały ów adres, znaczenie jego byłoby całkiem inne. Miałby on wtedy przymusowy, nic nie dowodzący charakter, a ogół podpisywałby go z tém uczuciem, z jakiém poddaje się tylu innym, polskiemu sercu niemiłym, narzuconym powinnościom. Lecz skoro raz obywatele prowincyi sami z siebie myśl tę powzięli, i niby to *proprio motu* ją podnieśli, mieniąc się reprezentacyą prowincyi, czy téż szlachty galicyjskiéj rzecz ta przybiera inną wagę i znaczenie.

Amatorowie takowych adresów stawiają w przykrém położeniu wszystkich spółobywateli swoich, którzy nie podzielają z nimi gorącego dla rodziny cesarskiéj i rządów austryackich entuzyazmu. Skoro albowiem myśl owego adresu od kilku ludzi powzięta dojrzała, członkowie owéj deputacyi rozsyłali dokument ten do podpisów po cyrkułach, nieraz za pośrednictwem urzędników *bezirkowych*. Propozycyj więc takowych albo trzeba było zadosyć uczynić, albo nie podpisując, narazić się tą razą na złą notę i na prześladowanie władzy.

Szanowni członkowie winszujący p. Clamowi urodzin syna cesarskiego, bronić się będą zapewnie zwykłem spędzaniem, to na konieczność, to na potrzebę skarbienia sobie względów, to wreszcie łudzić się nadziejami łask, jakie ztąd dla prowincyi spłynąć mogą. Czy istotnie wierzą, że takie pomiatanie uczuciem narodowém, przyniesie im jakie korzyści? Wszak zdrowy sens moralny uczy, a historya przekonywa, że im więcéj kto się upadla, im bardziéj z godności narodowéj ustępuje, tém w straszniejszą idzie poniewierkę. Zresztą samo doświadczenie lat ostatnich przypomniećby im powinno, że żadna najdrobniejsza łaska nie spada na prowincyą, żaden podatek się nie umniejsza, mimo te wszystkie ukłony i przymilenia. A chociażby, przypuszczam, owe występne

wdzięczenia się rządowi, spowodowały jakie chwilowe zwolnienia, czyż odniesione takim kosztem drobne korzyści wynagrodzą to, co się uroniło z godności i sumienia narodowego. Możnaby powiedzieć o nich, że przynoszą klejnoty narodowe, składają złoto najczystszéj próby, aby w zamian otrzymać od rządu bankocetle austryackie. Młodsze pokolenie patrząc na takie smutne frymarki, oswoi się z niémi i łatwiéj trafi na ów szeroki gościniec, co prowadzi naród do moralnégo bankructwa.

Mówimy to wszystko, naturalnie nie do zdeklarowanych patryotów austryackich, nader jeszcze rzadkich Bogu dzięki, ale do tych słabych, nieoględnych, chwiejących się, którzy nie mają odwagi odmówić swego uczestnictwa w aktach obrażających sumienie polskie. Tym słabym, choć nie zawsze występnym, przypomnieć byśmy chcieli, że na téj śliskiéj drodze koncesyi i przymilań się rządowi, na tych niebezpiecznych pochyłościach, co do zaparcia się Polski prowadzą, nie istnieje granica, do któréj dochodząc, powiedzieć sobie można, «daléj już nie pójdę». Rola złego Polaka bezkarnie odgrywać się nie da. Kto ją na chwilę odgrywa, a do tego gwałtem nie zmuszony, ten się już staje złym Polakiem; z czasem rola w naturę się przemieni, dzisiaj był tylko słabym, jutro stanie się występnym. P. Henryk Rzewuski, bo kiedy jest mowa o nikczemnościach, to do dostojniejszéj i właściwszéj powagi odwołać się trudno, p. Henryk Rzewuski powiedział raz w poufném kole z właściwym sobie cynizmem bardzo głęboki axiomat: «Podłość wedle autora Listopada, jest jak gorąca kąpiel, z początku parzy, ale potém bardzo w niéj miło.» Czyż galicyjscy amatorowie adresów, chcą probować kąpieli wedle systemu p. Henryka Rzewuskiego, i z czasem dojść do téj temparatury, gdzie już zaczyna być miło?...

Członkowie owéj deputacyi mają niby to reprezentować szlachtę galicyjską. Znajdują się między nimi ludzie

wyższéj w społeczeństwie pozycyi, niektórzy z historycznemi nawet imionami. Panowie ci albo są, albo téż mają się za arystokracyą kraju, do którego należą. Zapatrują się oni i wzory nieraz biorą z francuzkich lub angielskich arystokratów. Naśladując ich nieraz w mniéj potrzebnych drobiazgach i formach, czemuż nie przejmą od tamtych jednéj potrzebnéj nader rzeczy, to jest dumy. Jeśli już nie téj świętéj, szerokiéj, narodowéj godności, to przynajmniéj téj pogańskiéj, hardéj, kastowéj dumy, co zginać karku przy lada okazyi nie pozwala. Czyliżby było w ich przekonaniu, że duma owa służy tylko względem swoich i niższych, a względem obcych i władzę mających jest rzeczą niewygodną i zbyteczną?

Nie jeden z tych panów ma może szlachetne zresztą marzenie, że jest piastunem i przechowywaczem tradycyj narodowych; nie jeden odwołuje się do owych tradycyj w życiu. To niechajże będą podobnymi w czém kolwiek do owéj dawnéj szlachty, w któréj, jak mówi poeta; tli się wspaniałość senatorska, i lwi stara śmiałość i niewoli wzgarda bucha. Wspaniałości senatorskiéj, okazać nie mogą, bo nie mamy senatu i sejmów. Lwiéj odwagi dowieść nie przychodzi pora, lecz wzgardę łask obcych, lecz godność szlachetną wobec urzędników austryackich, co dzień mają sposobność okazać. Niechajże po tych przynajmniéj oznakach naród ich pozna, że od téj wielkiéj szlachty pochodzą, co chrześciaństwa broniła...

WSPOMNIENIE O JÓZEFIE GOŁUCHOWSKIM.

11 grudnia.

Józef Gołuchowski, zmarły 22 listopada r. b., urodził się 1798 roku, w staréj Galicyi, w Sandeckiém. Rodzice jego, przy miernym majątku mieli dużo dzieci; brat więc jego starszy Leopold, który za Wielkiego Księcia Konstantego był podpułkownikiem w kwatermistrzostwie wojska polskiego, i on, uzyskali tak zwane *sztyfta*, czyli z francuzka mówiąc *bursy*, do odbywania nauk w Wiedniu, pierwszy w Akademii Inżynierów, drugi w Terezyanum, gdzie przebył lat dziesięć i przy wrodzonéj zdolności znakomite w wielu naukach uczynił postępy. Dowodem tego, między innemi było, że będąc jeszcze studentem otrzymał pozwolenie ogłoszenia drukiem pisemka pod tytułem : *Vom Nutzen der Mathematik*, za którą szczególną odebrał nagrodę.

Przybywszy do Warszawy w roku 1817, zapisał się jako uczeń uniwersytetu na wydział prawny, i w roku 1820 zdał świetnie examin magistrowski. Głównie jednak, tak dorastając w Wiedniu, jak ucząc się prawa w uniwersytecie warszawskim, oddawał się studyom

fitozoficznym, i nawet wykładał już kurs filozofii swoim współuczniom. Przedmiot ten poprowadził go także do Niemiec, gdzie bawiąc lat parę, doktoryzował się w Heidelbergu, a w Erlandze zaprzyjaźnił się ze sławnym Schellingem, któremu przypisał wydane tam po niemiecku swe dzieło: *Die Philosophie im Verhältniss zum Leben ganzer Vôlker und einzelner Menschen.*

Pierwéj jeszcze, w roku 1821, wygotował obszerną i uczoną rozprawę konkursową do katedry filozofii, otworzonéj w uniwersytecie wileńskim, a chociaż młody, nieznany, i filozofii niemieckiéj tak obu Śniadeckim nienawistnéj zwolennik, uzyskał większość głosów pomiędzy swymi sędziami w Wilnie. Stawały niektóre inne przeszkody na zawadzie, lecz te dały się usunąć i Gołuchowski pod koniec 1822 r. katedrę swą obiął. Imię jego szybko zajaśniało od razu zdobytą a ciągle usprawiedliwianą sławą. Głęboka znajomość przedmiotu, śilne przejęcie go szczerze chrześciańskim duchem, rzadki dar wymowy, przezroczystość, wdzięk i moc wykładu, porywały słuchaczów zbiegających się tak tłumnie, że w ogromnych gmachach uniwersyteckich trudno było dobrać dość obszernéj sali. Nietylko młodzież wszystkich wydziałów ńaukowych, ale — co było nowością w Wilnie — publiczność płci obojéj zapełniała ławki i cisnęła się koło katedry, z któréj rozlegający się głos dźwięczny, drgał niekiedy współczuciem wzruszenia jakie sam sprawiał.

Pamięć tych chwil czcigodny professor zachował nazawsze; nazywał je najszczęśliwszemi w swém życiu, wspominał o nich z zapałem i rozrzewnieniem. W wiele lat późniéj spotykając zagranicą dawnych swych uczniów, czule przytulał ich do serca, lubił mówić z nimi o czasach, kiedy — jak się wyrażał, młodzież wileńska, jakiéj nigdzie ni pierwéj ni potém nie wiedział, unosiła go na skrzydłach swego ducha.

Były to istotnie najświetniejsze, ale krótkie i ostatnie

czasy uniwersytetu wileńskiego. Piękną ich pogodę zaćmiła czarna, krwią i łzami brzemienna chmura, po któréj wylewie nie zabłysło już słońce i wkońcu zapadły ciemności trwające do dziś dnia. Zesłany Nowosilcow żeby rozpromieniające się św'atło zgasił, świątynie jego skaził, rostki szlachetnych uczuć podeptał, rozpoczął swoje roboty śledcze, katowskie i korupcyjne. Katedra filozofii, po niespełna dwóch leciech trwania zamknięta została. Niedługo potém, przez ukaz 24 sierpnia 1824 r. datowany, profesorowie Gołuchowski, Lelewel, Daniłowicz i ksiądz Bobrowski skazani zostali na oddalenie się od swych obowiązków i z Wilna.

Za powrotem do Królestwa, trudne nader było położenie osobiste Gołuchowskiego. Gdy czynione starania o znalezienie mu odpowiedniego umieszczenia spełzły na niczém, postanowił wziąść się do roli i osiadł pod Opatowem we wsi Garbaczu, na któréj wdowa po jego bracie, pani Magdalena Gołuchowska, miała opartą pewną summę, lecz potrzeba było niezmordowanych usiłowań aby się przy téj posiadłości utrzymać. Na krótki czas przed powstaniem narodowém, pojął za żonę godną swą bratowę, i lubo Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk powołało go do swego grona, nie oddalając się ze wsi, ciągle zajęty był gospodarką.

Oderwała go od niéj noc 29 listopada. Porzuciwszy wszystko przybiegł natychmiast do stolicy, aby tak prywatnym wpływem rady, jakotéż gorącém słowem na publicznycy prelekcyach w pałacu Kazimirowskim, wspierać wywołane cele narodowe. Umieszczony późniéj w Komisyi Oświecenia miał sobie powierzony wydział główny, to jest wydział zakładów naukowych czyli edukacyjny.

Na téj posadzie zastał go upadek powstania. Wrócił tedy znowu do swego zagonu, zkąd w rok czy we dwa lata porwany do cytadeli, otrzymał jednak po niejakim czasie wolność spokojnego zajmowania się swojemi spra-

wami ziemiańskiemi. Od roku 1831 mało już dawał słyszeć o sobie; ale rozumną pracą i wytrwałym trudem dorobił się pewnéj niepodległości majątkowéj, reputacyi jednego z najpierwszych agronomów w kraju i powszechnego szacunku obywatelskiego. Należał do rzędu tych ludzi, których opinia ma głos przeważny.

Po wypadkach galicyjskich, wydał bezimiennie, własnym kosztem w Lipsku, znane dzieło: *Kwestya włościańska w Polsce i w Rossyi*, a we trzy lata późniéj pismo podobneż pod tytułem: *Rozbior kwestyi włościańskiéj*. Waga tych prac została słusznie oceniona. W roku 1857, miał już gotowe do druku dzieło filozoficzne w języku polskim: « Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka, poprzedzone rozbiorem naukowych systematów filozofii od Kanta. » Wydaniem tego dzieła, w dwóch najmniéj tomach, miał podobno zająć się pan Wolf księgarz w Petersburgu. Znajdujemy w Gazecie Warszawskiéj wzmiankę przez jednego z blizkich przyjacioł ś. p. Gołuchowskiego, że zostawił wiele rękopisów, a wszystkie dzienniki krajowe obiecują podać obszerniejszą wiadomość o życiu męża, którego zgon jest prawdziwą i boleśną stratą publiczną.

POLSKA JAKO NARÓD.

18 grudnia.

Znany ze swych gramatycznych dywagacyj p. A. Morzycki, wydał świeżo w Warszawie dziełko pod tytułem *Polska (dawna) jako naród i jako państwo.* Ma to być coś nakształt filozofii historyi polskiéj : przedmiot, który u nas zazwyczaj tych kusi, co ani filozofii ani historyi nie znają. Jak zazwyczaj téż, tak p. Morzycki daje tylko *dzieje początkowe.* Zaczyna naturalnie od najdawniejszych czasów, sięga Argipeów i Arymfejów i owych młodych wieków stworzenia, w których Jowisz jeszcze nie miał zarostu : *Jove nondum barbato;* kończy zaś na teraz na podziałach za Bolesława Krzywoustego. Ale zato całość swego historyozoficznego poglądu złożył autor we wstępie — jakby w łupinie orzechu, powiedziałby tu Grek, a mybyśmy dodać musieli : orzechu robaczliwego. Pod względem zdumiewającego nieuctwa i nadętéj do rozpuku zarozumiałości, dziełko p. Morzyckiego nic zaprawdę nie zostawia do życzenia i może pod tym względem śmiało walczyć o prym z najsmutniejszemi tego rodzaju u nas płodami płochości i dziwactwa. Nieznajomości szczególnego przedmiotu odpowiada zresztą godnie ogólna nieznajomość języka i gramatyki. P. Morzycki pisze *hao-*

tyczny i *wspołeczny*, i dowodzi tém ewangelicznie, że jego prawa ręka nie wie o lewéj. Następnie nam prawi o «powszechnym odmęcie *wiru*» o świecie «*skrzypiącym* jękami,» zaręcza nam że szatan «*płuży* szkodliwie *dla* tych, którzy z nim współkę trzymają przez co osłabiają się *wiązadła* przeznaczone do utrzymania organicznéj spójni cielesnéj,» że «wola ludzka od prawdy bożéj *odskakująca*, rozpościera ciemne smugi błędu i fałszu» i pyta się przy téj sposobności: — «*czy tak jest ładnie?*»... O, nie! *Tak* nie jest ładnie, historyozofie nasz najnowszy i nadliczbowy! Przysięgamy na Kopczyńskiego, na Śniadeckiego i na tego Światowida, którego p. Morzycki dał «wierny rysunek» i dla którego epoki — czasy złotéj, gminnéj słowiańskiéj wolności — autor taką pała miłością!

To wszystko jest tylko śmieszném, choć niekoniecznie zabawném. Są jednak i rzeczy gorszące. Gorszącémi, oburzającémi są już same obrazy używane przez autora, które stosowniejsze znalazłyby miejsce w sławnéj a nieprzystępnéj sali *Museo Borbonico*. O historyi naszego narodu rozprawia p. Morzycki w stylu jakiejś mystycznéj fallagogi, któregośmy dotąd jeszcze nie napotykali w żadnym druku polskim: bo w ulotnych a wstydliwych skryptach pewnéj sławnéj u nas sekty raził nas już oddawna. Nie mamy odwagi, choćby najlżejszy dać specimen tych obrzydliwości: ciekawego czytelnika (tylko, na Boga, nie czytelniczki!) odsyłamy do stronicy 17-23 téj osobliwéj książki: pozna tam nowego zupełnie rodzaju filozofią historyi ze stanowiska erotycznego, która w ostatecznym rezultacie, zdaje się wołać do «wycieńczonego hulanką godową» narodu polskiego, jak ów rzymski satyryk do Naevola:

Altera major
Spes superest: tu tantum *erucis* imprime dentem...

Major spes dla naszego zaś autora jest — w Rossyi!

I co za dziw? Afrodyzyakowe usposobienie wyradza przecież zazwyczaj nienaturalne pociągi!..... «Rossya, wyraża się dosłownie p. Morzycki, olbrzymią potęgą wzniesiona na przodowniczkę słowiańską, ma powierzone sobie wielkie posłannictwo zaprowadzenia ładu w świecie społecznym, i odebrała z rąk Stwórcy złożone w swojém jestestwie odpowiednie temu *pierwiastki, których brak ludom zachodu: wiarę i gotowość poświęcenia się jednostek!!!*» Cóż na to powiedzieć? Powiemy tylko, używając słów samego p. Morzyckiego, że *wiązadła* przeznaczone do utrzymywania organiczéj spójni cerebralnéj — są u niego widocznie bardzo osłabione...

Dochód ze swego dzieła przeznaczył autor na dom Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, « w naglącéj, jak się wyraża, potrzebie wsparcia *płonnych* usiłowań szlachetnéj *niemocy*(*!!*)»..... Dziwny to zaiste komplement dla Towarzystwa Krakowskiego. Dziwniejsza jeszcze, że Towarzystwo taki dar przyjęło i że egzemplarze przedawane noszą podpis pana Wężyka. Czcigodny i sędziwy prezes Towarzystwa zapewne ani się domyśla treści dzieła, które pod jego tak szanowną firmą świat obiega. Tém większy dla nas powód zwrócenia na to należnéj uwagi, tém większy powód domagania się aby niesłychanemu skandalowi jak najprędzéj położono koniec. Cokolwiek bądź powiedział Wespazyan, *są* pieniądze które dziwną woń mają; a do tak ze wszech miar pożądanego wystawienia swego gmachu, może i powinno Towarzystwo Krakowskie przyjąć wszelki materyał — byle nie błoto.....

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

DZIEŁA STARANIEM LUB NAKŁADEM BIBLIOTEKI POLSKIEJ WYDANE:

J. U. NIEMCEWICZ. — Podróże historyczne po ziemiach polskich, między r. 1811 a 1828 odbyte. Paryż, in 8., maj, 1858.

J. U. NIEMCEWICZ. — Notes sur ma captivité à Saint-Pétersbourg, Paris, in-8, 1841.

ALBERTI DUCIS PRUSIÆ. — Marchionis Brandeburgensis, Libri de arte militari. Lutetiæ Parisiorum, in-fol., 1858.

LETTRES DE PIERRE DE NOYERS, secrétaire de la Reine de Pologne, Marie-Louise de Gonzague (1656-1659). Berlin, in-8, 1858.

KARTA DAWNEJ POLSKI z przyległemi okolicami krajów sąsiednich. Paryż, 1859, ark. 48.

X. KRZYSZTOFA RADZIWIŁŁA H. P. L. Sprawy wojenne i polityczne (1621-1659). Paryż, in-8, maj 1859.

LESCŒUR. — L'Église catholique en Pologne sous le gouvernement russe. Paris, in-8, 1860.

X. A. CZARTORYSKI. — Żywot J. U. Niemcewicza. Berlin in-8, 1860.

PRZEWODNIK NAUKOWY W PARYŻU dla młodzieży polskiej. Paryż, in-12, 1860.

INVENTARIUM privilegiorum, litterarum, diplomatum quæcunque in archivo Regni Poloniæ continentur. Lutetiæ Parisiorum, in-8, maj 1862.

RELACYE NUNCYUSZÓW APOSTOLSKICH i innych osób o Polsce (1548-1690). Berlin in-8, maj, tom I, II. 1864.